

POŹNIK

CESARZOWEJ

# ACHAI

TOM IV

ANDRZEJ  
ZIEMIĄŃSKI



fabryka słów®  
WYDAWNICTWO

# Spis treści

Karta tytułowa  
Książki Andrzeja Ziemiańskiego  
Prolog  
Rozdział 1  
Rozdział 2  
Rozdział 3  
Rozdział 4  
Rozdział 5  
Rozdział 6  
Rozdział 7  
Rozdział 8  
Rozdział 9  
Rozdział 10  
Rozdział 11  
Rozdział 12  
Rozdział 13  
Andrzej Ziemiański  
Karta redakcyjna  
Okładka

ANDRZEJ  
ZIEMIAŃSKI  
POMNIK  
CESARZOWEJ  
ACHAI  
TOM IV

ILUSTRACJE  
DOMINIK BRONIEK

fabryka słów®

LUBLIN 2014



## Książki Andrzeja Ziemiańskiego wydane nakładem naszego wydawnictwa

1. Achaja – tom 1
2. Achaja – tom 2
3. Achaja – tom 3
4. Zapach szkła
5. Toy Wars
6. Breslau forever
7. Pomnik cesarzowej Achai – tom 1
8. Za progiem grobu
9. Pomnik cesarzowej Achai – tom 2
10. Pułapka Tesli
11. Pomnik cesarzowej Achai – tom 3
12. Pomnik cesarzowej Achai – tom 4



# Prolog



**T**en lot nie był podobny do niczego, czego Kai doświadczyła w życiu. Chyba nikt dotąd, nikt z jej świata, nie przeżywał równie intensywnego uczucia wolności, beztroski i stopienia się z niewyobrażalnym ogromem przestworzy. Wokół nie było niczego. Gdzieś tam, daleko w górze, idealnie czysty nieboskłon, gdzieś tam, daleko w dole, ocean. I ona. Pani wszechświata. Lecąca gdzieś w dal. Odruchowo rozstawiła szeroko ręce i nogi, by wtopić się w cały ten pusty świat. Czysta i nieskrępowana niczym radość latania. Bogowie! Dlaczego jej własna cywilizacja nie wymyśliła czegoś takiego?

Kai poprawiła się w uprząży spadochronu. I tak jak ją nauczono, sprawdziła pozostałe elementy wyposażenia: hełm, gogle, maskę tlenową i podstawowe przyrządy. To wszystko, włączając futrzany kołnierz polarnego kombinezonu, ciasno obwiązany szalikiem, ograniczało ruchy jej głowy tak, że nie mogła jej przekreślić, żeby zobaczyć, czy obok i trochę z tyłu leci również Nuk. Dziewczyny nie miały radia, żeby móc się porozumieć. Pozostało wierzyć, że wszystko jest w porządku i koleżanka jest za plecami. Na szczęście droga w dół była prosta i nie wymagała żadnych manewrów. A spadochron, choć eksperymentalny, został zaprojektowany tak, żeby samemu doprowadzić skoczka do właściwego miejsca.

Ten sprzęt oczywiście wymyślili „inżynierowie z dziwnym akcentem”. Wyszyńska, która kazała sprowadzić go z Polski, długo rozwodziła się nad

jego zaletami. Do tej pory – tłumaczyła – zrzutów na terytorium wroga dokonywało się w nocy. Silnik samolotu warczał, ostrzegając przeciwnika o przeprowadzanej akcji. Trzeba było skakać w ciemnościach, z niskiego pułapu, co samo w sobie było śmiertelnie niebezpieczne, i prosto w ręce czekających na ziemi ludzi, którzy przyjmowali zrzut.

Jednak na całkiem obcym, nieznanym terytorium, jak w przypadku tej akcji, pojawił się istotny problem. Nie było ludzi, którzy mogliby czekać na dole. I co? Skakać w dzień, z wysokiego pułapu? To tak jakby przez heroldów ogłosić: „Tu jesteśmy, dzień dobry, dysponujemy techniką, którą widzicie, a naszych ludzi przysyłamy do was, żeby grandzili i szpiegowali. Czy wszyscy już dowiedzieli się o tym fakcie?”. Bez sensu. Druga możliwość to wysłanie okrętu, żeby nocą wysadził desant. Ale na obcych wodach, bez map i rozpoznania łatwiej popełnić samobójstwo, niż wysadzić na brzeg kogokolwiek. Też bez sensu. Wyszyńska jednak znalazła rozwiązanie.

Przysłane spadochrony okazały się rodzajem latających skrzydeł, czymś na kształt „miękkich” szybowców. Skoczek zrzucił się bardzo daleko od celu, z bardzo wysoka. Nikt nie widział i nie słyszał samolotu. Nikt nie mógł się nawet domyślać, że właśnie rozpoczął się wrogi desant. I w dodatku w przypadku tego sprzętu można było wykorzystać starą sztuczkę myśliwców dalekiego zasięgu. Piloci takich maszyn często oglądali dwa świty tego samego dnia. Niezapomniane zjawisko. Pierwszy świt następował na wysokości sześciu kilometrów. A kiedy słońce już wzeszło, wystarczyło zanurkować ostro tuż nad ziemię, w gęsty mrok. I po chwili... słońce wschodziło raz jeszcze. Ten cudowny efekt w przypadku latającego spadochronu można było rozciągnąć prawie w nieskończoność. Przy odpowiednich obliczeniach skoczek cały czas opadał w strefie świtu. A manewrując odpowiednio linkami, lądował tuż przed nim, o pierwszym brzasku. Mała szansa, żeby został przez kogokolwiek odkryty. Jedynym minusem tego rozwiązania był okropny chłód, który panował na większej wysokości, i konieczność oddychania powietrzem z butli.

Ale warto było cierpieć i znieść wszelkie przeciwności. Kai naprawdę leciała! Zupełnie swobodna w przestworzach! Współczuła ludziom, którzy nigdy nie doświadczyli czegoś tak niesamowitego. Każdy szczegół wrył jej się w pamięć. Najpierw długi lot, sylwetki pilotów ze słuchawkami na głowach, wyglądającymi jak wielkie korki wbite w uszy, błyskawiczne,



trwające nieprawdopodobnie krótką chwilę minięcie się z powracającym samolotem meteorologicznym, który sprawdzał warunki na trasie do lotu, i wreszcie krótka jazda metalową rynną, która wyrzuciła dziewczynę w mroźną, absolutnie pustą przestrzeń. W przestworza. Kiedy spadochron rozwinął się prawidłowo, a Kai zgodnie z instrukcją poprawiła się w uprzęży, poczuła coś na kształt ekstazy.

No dobra – trzeźwa myśl przyszła jej do głowy dopiero po dłuższym okresie oszołomienia. Zachwyty zachwytem, a uniesienie uniesieniem. Dlaczego jednak w ogóle zdecydowała się na tę misję? Na wyprawę w głąb nieznanego lądu, nieprzyjaznego i nieprzychylnego obcym? W wielkich bibliotekach w Negger Bank znaleziono tylko nieliczne wzmianki na temat mieszkańców innego kontynentu. Nie utrzymywano z nimi żadnych kontaktów handlowych. Tam kupcy nie byli wolni, a handlem kierował sam władca. Nie chciał obcych. Nieliczni żeglarze, którzy przybijali do tamtych portów, nie byli wpuszczani głębiej. Obyczajów i kultury tamtych ludzi praktycznie nie znano. Stosunków dyplomatycznych nie utrzymywano. Jeden wielki czarny dół, jeśli chodzi o wiedzę na ten temat. A podróżnik przed śmiercią powiedział niewiele. Wystarczyło jednak to, że nauczył się gdzieś kilku zdań po angielsku, i już cały polski sztab ekspedycyjny wariował z nerwów, nie mając pojęcia, jak mogło do tego dojść. Implikacje okazały się łatwe do przewidzenia. Zwiad należało wysłać natychmiast. Oczywiście też, że nie mógł się składać z Polaków, którzy odróżniali się wyglądem i w okropny sposób kaleczyli język. Czarownica stanowiła najlepszy wybór. Owszem. No tak, ale to były racjonalne tłumaczenia. Co jednak ją samą pchnęło do podjęcia ryzyka?

Wzruszyła ramionami. No co? Ach, i na jasną zarazę tu długo dumać? Nie było nad czym. Zrobiła to, bo chciała zaimponować Tomaszewskiemu. Tym bardziej że on sam nie mógł lecieć, choć język miał opanowany. Z tym jego niesamowitym, jak na tutejsze warunki, wzrostem i przeraźliwie bladą skórą odróżniałby się od zwykłych ludzi jak rajski ptak od wróbli. Miejscowi mogli jeszcze myśleć, że to odmieniec jakiś, wielkolud i na coś chory, skoro taki blady. Ale Anglicy lub Amerykanie, których można się tam spodziewać, na pierwszy rzut oka będą wiedzieli, że to ktoś spoza Gór Bogów. Wystarczy im jedno spojrzenie.

Kai pamiętała rady znawcy kobiet Randa i rady Aie. Tak, tak, najlepiej zrobić na Tomaszewskim wrażenie i już będzie jej. Dobra rada. I wydawała

się naprawdę znakomita. Ale inaczej myśli się o robieniu wrażenia na mężczyźnie, siedząc w wygodnym hamaku, a inaczej – lecąc na spadochronie w nieznanie.

Kai zazdrościła Nuk, swojej towarzyszce. Ta nie miała bowiem żadnych rozterek. A poza tym znalazła się w przestworzach, bo tak zdecydował Rand, dogadany z Shen. Chciał mieć w międzykontynentalnym zwiadzie swojego człowieka. Polacy nie oponowali. Wykształcona, zaradna, doświadczona weteranka służb specjalnych i tak była idealnym kandydatem do wykonania tego zadania. Może lepsza byłaby jedynie sama Shen. Lecz ta nie mogła zrobić sobie przerwy w dowodzeniu z oczywistych względów.

Oszłamiające piękno wokół i szok spowodowany niecodzienną sytuacją nie sprzyjały na szczęście rozmyślaniom o istocie bytu. Kai sprawdziła wskazania prostych przyrządów, których obsługi ją nauczono. Kompas, wariometr i anemoskop mówiły, że wszystko idzie zgodnie z planem. Jeszcze raz spróbowała się odwrócić w stronę Nuk. Udało jej się złowić cień towarzyszki – trochę z tyłu, trochę z lewej. Nie mogła dostrzec szczegółów, ale bała się manewrować całym spadochronem, szybując gdzieś nad oceanem.

Coś jednak było nie tak. Może inaczej: coś ją zaniepokoiło, coś, czego nie potrafiła precyzyjnie określić. Jakaś ledwie wyczuwalna igielka strachu ukłuła Kai nagle, pozostawiając zamiast konkretnego bólu jedynie lekkie, nieokreślone co do miejsca ćmienienie. Co to było? Rozejrzała się na tyle, na ile mogła przynajmniej. Nic. Spojrzała do góry. Tam sporą część nieboskłonu zasłaniała czasza jej spadochronu. Ale nie tylko! Dostrzegła nad czaszą dziwny cień jakby gigantycznego obiektu, wyraźnie odbijający się na idealnie białej tkaninie. Teraz już poczuła prawdziwy strach. Nie mogła bardziej się odwrócić. Przez głowę przemknęła jej idiotyczna myśl, że przecież w sakwie, którą miała przytroczoną jako kitbag, jest zapakowany rewolwer. I co? Ma go wyjąć i strzelać na oślep przez czaszę? Strach zaczynał mącić jej umysł. Co to jest? Co o takich rozmiarach może latać w powietrzu?

I nagle cień zaczął się przesuwac. Kai szarpała się z szalikiem i krępującym szyję futrzanym kołnierzem. Bała się zsunąć z twarzy gogle i maskę tlenową. Po chwili zobaczyła to coś. Tuż obok!

Bogowie. To... To był jakiś aparat latający. Widziała wyraźnie. Jakby wielki latawiec z wieloma skrzydłami, do którego podczepiony był

człowiek. I co gorsza, to nie była maszyna Polaków! Nagły paroksyzm strachu zaczął ją dosłownie dławić. Po chwili jednak przyszła myśl: to w ogóle nie jest maszyna ludzi zza Gór Bogów.

Kai odetchnęła głęboko. No tak. Nie była, bo nie mogła być. Nie warczała, nie huczała, nie wyła i nie śmierdziała żadną z tych okropnych chemicznych woni, które znała z lotniska. Wydawało się, że nie ma żadnego napędu, przynajmniej w polskim rozumieniu tego słowa. Nie widziała śmigieł, wirników, niczego. I nagle przypomniała sobie. Na samym początku, kiedy znalazła się wśród Polaków na okręcie podwodnym, przecież też widziała maszynę bez napędu. Okręt holował ją na linie, nadając prędkość, a ta wznosiła się jedynie dzięki sile wiatru. Tamto coś było wiatrakowcem bez silnika, a to tutaj? Przypomniała sobie, że Tomaszewski opowiadał coś o szybowcach, które startując ze stromych zboczy gór, potrafiły się wznosić nawet bardzo wysoko dzięki wstępującym prądom powietrza. Zupełnie jak ptaki.

Ale tutaj? Kai widziała kilka dziwnych skrzydeł, jakby opiętych miękką błoną, system linek i bloków, jakieś malutkie latawce, szybujące na uwięzi przy dziwnym aparacie. Mogły służyć do sterowania. Albo zaraza jedna wie do czego.

Kai widziała też pilota. Kobiętę podczepioną do skrzydeł za pomocą bardzo skomplikowanej uprzęży. Ona również miała na sobie kombinezon, ale w przeciwieństwie do tego, który miała Kai, obcisły, bez futra. Jak więc wytrzymała w tym zimnie? Dziwny szybowiec zbliżał się lekko od prawej strony. Kai dość wyraźnie widziała twarz kobiety. Malował się na niej wyraz totalnego przerażenia. Czarownica nagle i zupełnie irracjonalnie odetchnęła z bezbrzeżną ulgą. Tamta się boi jeszcze bardziej!

Odwróciła się jak mogła w stronę Nuk i pokazała jej uniesiony do góry kciuk. Sierżant odpowiedziała tym samym. Jakby jednak trochę leniwie, bez entuzjazmu. Kai przeniosła wzrok na kobietę pilota cudacznego szybowca. Nic dziwnego, że tamta się bała. Skoro zobaczyła coś takiego pierwszy raz w życiu. Dwie istoty szybujące na przedziwnych zwojach tkanin powiązanych linkami, z twarzami ukrytymi przez hełmy, gogle i przywodzące groźne skojarzenia końcówki aparatów tlenowych. Ludzi, którym wielkie karbowane rury wychodzą z ust. O oczach zakrytych głęboką, nieprzeniknioną czernią. Z czym mogło jej się to kojarzyć? Pewnie z koszmarami najgorszych snów.

Fakt, że tamta boi się bardziej, uspokoił Kai na tyle, że umysł mógł się zająć innymi problemami. Zostały wykryte już na dolicie do celu? No niby tak. Ale Kai była przekonana, że oślepiony przez dzikusów podróżnik nie wspominał o latających aparatach w kraju, do którego teraz zmierzała. Ani słowem. Owszem. Nie pochodził stamtąd, fakt, ale pamiętała dokładnie, że wypytywany o żelazne okręty, ani słowem nie zająknął się o jakichś szybowcach. A kiedy Tomaszewski powiedział mu, że z lotniskowca mogą startować samoloty, podróżnik długo wypytywał, co to są te latające maszyny. Najwyraźniej nie miał pojęcia, że człowiek może latać.

Skąd więc ten szybowiec?

Nie było czasu na domysły. Kobieta w obcisłym kombinezonie przełożyła przed sobą jakieś linki i dwa z mniejszych latawców na uwięzi przesunęły się na prawą stronę wielkiego szybowca. Cały aparat zaczął powoli skręcać, zmieniając kurs. Maszyna, sunąc majestatycznie w przestworzach, oddalała się powoli.

Kai znowu odwróciła się w stronę Nuk. Ta bezradnie rozłożyła ręce. Szybując, i tak nie mogły niczego zrobić. A najgorsze, że nie mogły nawet pogadać. Nie żeby dyskusja na temat przedziwnego spotkania mogła cokolwiek wnieść do sprawy. Ale pewnie przyniosłaby choć trochę ulgi w rodzących się w głowie coraz to nowych pytaniach i wątpliwościach.

Kai zerknęła ostatni raz za oddalającym się szybko obcym szybowcem. Potem klepnęła się kilka razy prawą dłonią w lewe przedramię, gdzie miała przypięte swoje przyrządy. Dawała w ten sposób znak, że niedługo już będą się musiały przygotować do lądowania na obcym, zupełnie nieznanym kontynencie.



# Rozdział 1



**Z**agubiona wśród gór wieś była tak mała, że nawet przemierzając pobliski trakt, można było ją minąć i nie zauważyć niczego. Malutkie chatki przemyślnie ukryto w cieniu rozłożystych gałęzi olbrzymich sosen i szczególnie teraz, w zimie, niecodzienny kamuflaż mógł zwieść oko niewprawnego wędrowca. Tym bardziej że psy nie szczekały.

Shen, prowadząca mały oddział partyzantów, miała dość brnięcia przez śnieżne zasy. Otarła rękawem pot z czoła. No to są nareszcie u celu. Byłby to powód do radości, gdyby tylko ząb, po lewej stronie, chyba ostatni, nie zaczynał ćmić coraz bardziej.

– Wiosna idzie – powiedział młody chłop, który zgodził się być ich przewodnikiem.

– Chyba ocipiałeś.

Shen nie wiedziała, czego się bardziej boi. Zaziębienia od przewiania spoconego ciała przez lodowaty wiatr czy skostnienia od przeraźliwego chłodu, gdyby zarządziła dłuższy odpoczynek.

– Dlatego się panienka poci – powiedział przewodnik. – Czuć ciepło w powietrzu.

Shen zerknęła pytająco na Kadira, ale z trudem łapiący powietrze rusznikarz nie miał sił, żeby odpowiadać na niezadane pytanie. Na szczęście dochodzili właśnie do pierwszych chałup. Pojawiły się psy. W dalszym ciągu jednak nie szczekały. Partyzanci wiedzieli już, dlaczego

tak się dzieje. Podobnie zachowywały się psy w każdej z wsi zagubionych w niegościnnych górach, bo w takich miejscach psy w czasie głodnych dni, które tu zdarzały się często, służyły za strawę dla ludzi. No a wiadomo: od pokoleń pierwszy do gara wędrował ten czworonóg, który najbardziej hałasował – z reguły więc nie zdążył jeszcze spłodzić potomków i w ten sposób nieświadomie hodowano rasę najcichszych zwierząt w całym cesarstwie.

Zatrzymali się dopiero na środku wsi, naprzeciw największej chałupy, z której na ich powitanie wyszedł rosły, bardzo wysoki mężczyzna. Jego wygląd wzbudził zresztą zdziwienie wśród partyzantów. Odruchowo sądzili, że skoro wszystko wokół jest karłowate, poczynając od zabudowań, a na zwierzętach kończąc, to i ludzie powinni być malutcy. Najwyraźniej nie byli. Sołtys, nawet kiedy zgiął się w ukłonie, zdawał się górować nad dowódcą.

– Witajcie, przybysze! Czekaliśmy na was... Choć nie w takiej liczbie. – Spod oka zerknął na uzbrojonych po zęby ludzi.

– Nie bój się. – Shen chciała go uspokoić. – Mamy własny prowiant.

Głód! Nagła myśl przeszła jej umysł: pod żadnym pozorem nie można przyjąć od gospodarzy mięsnego poczęstunku. To na pewno będzie psina!

– Chętnie się nim podzielimy. – Wyjęła z plecaka niewielki karton wypełniony tabliczkami czekolady.

Aha, znali już tutaj to cudo zagranicznego cukrownictwa. Obserwowała rozszerzone z radości oczy sołtysa, kiedy z czią prawie oglądał jedną z tabliczek opakowanych w wykwintny papier. Na obwolucie widać było roześmianego pucułowatego chłopca pędzącego do równie spasionej dziewczyny w jakimś legendarnym raju gdzieś, nie wiadomo gdzie, za Górami Bogów.

– A... a kartofle też macie?

Shen parsknęła śmiechem. No tak, mogła to przewidzieć. Legendy o cudownej roślinie, która odpędzała głód, mające swoje źródło wyłącznie w przechwałkach Polaków, dotarły pod strzechy nawet w najbardziej zapadłych zakątkach imperium. Wiele razy rozmawiali o tym z Kadirem. Rusznikarz twierdził, że ludzie po prostu chcieli wierzyć w cuda. Nie własna praca, nie staranie, nie walka, tylko cud. Najlepiej zagraniczny! Najlepiej pochodzący z tak daleka, żeby nie można było sprawdzić, czy na pewno działa. Cud, dar z niebios, łaska zagranicznych dobroczyńców...

Populiści zawsze potrafili wykorzystać ten mechanizm i dlatego ci, którzy wzywali do roboty, z reguły nie zapisywali się na kartach historii w przeciwieństwie do tych, którzy prowadzili ludzi na bezsensowne wojny, mające przynieść zdobycze i bogactwo, a dające biedę i stopy trupów. Cóż, argumentami do ludu przemawia tylko głupi władca. Mądry używa prostych emocji bez żadnej treści.

– Nie – mruknęła nagle zła. – Ale będą w przyszłym roku.

Pusta obietnica wystarczyła. Sołtys prawie już radosny poprowadził ich do swojej chaty. Partyzanci mieli się rozlokować u sąsiadów.

– Proszę, tędy, tędy. – Wysoki chłop wskazywał drogę, jakby były to zakamarki ogromnego pałacu, w którym można się pogubić. Chałupa nie była skromna, miała trzy izby, ale i tak w głównym pomieszczeniu, przy piecu, ledwie mogło usiąść kilka osób. Żona gospodarza, szczupła, młoda jeszcze chłopka, pomagała Shen szamoczącej się ze swoją grubą kurtką.

– Dajcie, pani, dajcie ją. Wysuszę wam, ale nie przy piecu, bo skóra się zniszczy.

– Dziękuję.

– Dajcie, ja dobrze wysuszę. – Gospodyni zakrzętnęła się przy Kadirze.

Ich przewodnik radził sobie sam. Po chwili usiedli w ciepłe, przy dość sporej nawet ławie na środku, a gospodarz postawił przed nimi misę z parującą strawą. Ani kęsa! – przestrzegła samą siebie Shen, widząc wśród ugotowanych warzyw kawałki mięsa. Nie bierz tego do ust!

Kadir musiał mieć równie posępne podejrzenia, bo także nie tknął niczego. Zadowolił się kubkiem gorącej wody z sosnowymi igłami i odrobiną miodu.

– Gdzie jest ten człowiek? – zapytał sołtysa.

Ten pokazał palcem najbliższą ścianę.

– W tamtej izbie?

– Tak. Jak go znaleźli, to leżał u naszej zaklinaczki. Ale jak się dowiedziałem, że to człowiek zza Gór Bogów, to kazałem przenieść do siebie.

No jasne. Liczył na nagrodę za uratowanie kogoś znacznego. Ale sam w tej głuszy nie wiedział nawet, jak komuś dać znać o znalezisku.

– I co z nim? – indagował Kadir dalej. – Przytomny?

– Nieprzytomny, panie. Albo śpi jakimś takim głębokim snem, albo dziwnie majaczy.



– Jesteś pewny, że to Polak?

Sołtys zamiast odpowiedzi położył na ławie przygotowany wcześniej pasek obcego. Kadir wziął go do ręki. Zwykły pas do spodni, tyle tylko, że nie miał normalnej klamry ani dziurek. Zaciskało się go bardzo poręcznym urządzeniem z ruchomą tulejką w charakterze bloczka. Bardzo przemyślnie wykonana rzecz. I rzeczywiście stało się jasne, że tego przedmiotu nie wykonała ta cywilizacja. Pochodził zza Gór Bogów.

– Tak – mruknął rusznikarz. – To rozwiewa wątpliwości.

– Mam jeszcze więcej jego rzeczy. Żadna z nich nie jest nasza.

Kai skinęła głową.

– Później zobaczymy. Opowiedz, jak było.

Sołtys nalał sobie pełen kubek gorącego napoju z igieł.

– Ano znaleźli go myśliwi. Przy rzece. Normalnie pewnie by go tam zostawili, bo zapasów w domach mało, a zima długa. Jak żaden zwierz we wnyki nie wpadnie, to przeżyć będzie trudno, ale... – Sołtys skrzywił się lekko. – On, choć bogactwa przy nim nie znaleźli, to jednak widać, że znaczny pan. Jego buty z cieniuteńkiej skóry, na ciepłej podszewce, jakoś tak hecnie wykonane. A koszula to z cieniutkiego materiału jak u księżniczki jakiejś.

– Jak to tak? – przerwała mu Shen. – W samej koszuli na śniegu leżał?

Sołtys zakrztusił się łykiem gorącego napoju, który pospiesznie wziął do ust. Mhm, domyśliła się natychmiast. Kurtkę więc miał, ale zaopiekowali się nią myśliwi.

– No i myśliwi postanowili, że go tam na zmarnowanie nie zostawią. Do wsi postanowili zabrać ze sobą. Mimo że jeszcze niczego nie upolowali, a ten to rosły chłop. Wszystkich trzeba było, żeby go nieść.

Sołtys nie podobał się Shen. Kręcił. Ona sama, córka prostego rybaka, ze wsi może i równie małej, choć znad jezior, zdecydowanie lepiej potrafiła sobie wyobrazić, do czego tak naprawdę doszło w lesie. Chłopi żadnego dobrego uczynku robić przecież nie zamierzali. Ratowanie kogokolwiek nie wchodziło w grę. W pewnym momencie jednak zdali sobie sprawę, że człowiek leżący przy rzece to wielki pan, i strach ich zdjął po prostu. Że mogą przyjść inni wielcy panowie i o kompana swego się upomnieć. Żywego ducha we wsi nie pozostawiając, kiedy się wkurzą.

Z jakichś przyczyn sołtys jednak postanowił ukrywać prawdę. Chciał wybielić mieszkańców wsi czy co? Nie mówiąc już o tym, że nazywał

kłusowników myśliwymi. Co za hipokryzja okropna.

– I co dalej?

– Umieściliśmy chorego u naszej zamawiaczki w chałupie. Ale nie potrafiła go uleczyć.

W to akurat Shen mogła uwierzyć. A także w to, że na myśl im nie przyszło, żeby zgłosić to komuś. Bo niby gdzie i komu.

– A potem do wsi zajechał kupiec – podjął swoją opowieść sołtys. – I to nie z miasteczka, ale z samego wybrzeża!

– Ach, no tak! – Shen poważnie pokiwała głową, żeby pokazać, że docenia wagę kogoś takiego. Kadir nie wytrzymał i parsknął śmiechem.

– Wojna wtedy z Shah była. Przemycnicy to normalnie w biały dzień przez góry chodzili, takie interesy można było robić. To i zjeżdżali w te okolice różni tacy, co się na lewym towarze dorobić chcieli.

– I co ten kupiec? – Shen przerwała potok nieistotnych informacji. Odruchowo dotknęła lewego policzka. Ćmiący ząb odzywał się coraz mocniej. – Widział chorego?

– Tak, zainteresował się. Jak tylko usłyszał, że we wsi jest obcy, to chciał zobaczyć, kto taki.

– Jak zareagował?

Sołtys poruszył się niespokojnie. Jemu też najwyraźniej Shen nie przypadła do gustu. Niby chłopka, córka prostego rybaka, jak niosła wieść gminna, ale gdzie tam. Mówiła inaczej niż chłopci. I głowę trzymała inaczej.

– On nam powiedział, że to nie nasz. Że on chyba zza Gór Bogów przybył na żelaznym okręcie!

I co? W gacie narobiliście? – miała na końcu języka Shen, ale powstrzymała się w ostatniej chwili. Tym bardziej że każdy gwałtowny ruch głową kończył się ostrym ukłuciem w i tak obolałej już szczękę.

– Strach padł... – sołtys mimowolnie odpowiedział na niezadane pytanie.

Ano strach, strach. I teraz co tu zrobić? Tu już nie tylko wielmoże, ale same mocarstwa zamieszane. Sprawy tak światowe i tej wagi, że siły w to wciągnięte całą wieś mogły postrzegać mniejszą niż pyłek na końcu palca, który lekkim dmuchnięciem można strącić w niebyt.

– Chorego kazałem przenieść do mojej chałupy.

Rozsądnie, przytaknęła w myślach Shen.

– No i dumałem tak... Kupiec z przemytnikami sprawy miał, więc nieskory on będzie opowiadać w mieście, gdzie był i co widział.

– Mądrze myślałeś. Z tego, co wiem, nic nikomu nie powiedział.

– No właśnie.

– A dlaczego nie zgłosiłeś...? – Shen przerwała nagle i machnęła ręką. – Zresztą nieistotne, co tam zamierzałeś. Kupiec z chorym rozmawiał, tak?

– Tak.

– I czego się dowiedział?

– Niewiele. Człowiek z za gór majaczył, a kupiec jego języka nie znał. Trochę gwary liznął na wybrzeżu.

– Co usłyszał?

– No... tamten powtarzał słowo „Gradient”.

– „Gradient”? Dobrze zapamiętałeś?

– Tak. Dobrze.

Shen i Kadir wymienili się spojrzeniami.

– Coś jeszcze mówił?

– Kupiec niewiele zrozumiał. Na pytanie, skąd przybywa, tamten powtarzał w malignie, że z piekła.

– A co to jest to piekło, wiesz?

Sołtys zaprzeczył ruchem głowy. Shen znowu zerknęła na Kadira. Ten ledwie dostrzegalnie wzruszył ramionami, patrząc na gospodarza z powątpiewaniem.

– No i co jeszcze tamten mówił?

– Ja tam nie wiem. Ja światowych spraw nie znam. I nie ruszam.

– No dobrze. – Widać było, że niewiele więcej zdołają się dowiedzieć. – Zobaczymy ten twój kłopot sami. I zabierzemy go ze sobą.

Sołtys najpierw zerwał się od stołu z wyraźnie malującą się na twarzy ulgą, skoczył do drzwi, ale w ostatniej chwili zatrzymał się jednak.

– A jakby tamci... – Nie wiedział, jak ubrać w słowa myśl, która pojawiła się w głowie. – A jakby tamci wynagrodzić chcieli...

– No jasne. – Kadir podniósł się z za stołu. – Weźmiemy chorego i zawieziemy do polskiego garnizonu przy lotnisku w Kong. Powiemy żołnierzom, że w tej wsi przetrzymywano Polaka, a sołtys za to nagrody wygląda i mają tu przyjechać, żeby samym sprawę załatwić.

– Nie! Nie! Nie!...

Przerażenie gospodarza było tak okropne, że Shen po raz pierwszy zrobiło się go naprawdę żal. Wstała również, podeszła do sołtysa i objęła go ramieniem.

– Nie bój się – szepnęła. – Załatwimy tak, żeby było dobrze. – Uśmiechnęła się szczerze i pchnęła drzwi do izby obok.

Kadir ruszył za nią, śmiejąc się w duchu. Śmiech jednak zamarł mu na ustach, kiedy wszedł za dziewczyną do małej i dusznej izby. Powodem jednak nie był leżący w gorączce zarośnięty człowiek w betach, tylko staruszka siedząca na zydlu obok łóżka. Wyraz zatroskania i grozy na jej twarzy wstrząsnął nawet trzeźwo myślącym rusznikarzem.

– Kto to jest?

Sołtys przepchnął się do przodu.

– Zaklinaczka.

– A czego ona się tak boi?

– Coś przyszło z obcym do wsi – wyszeptał gospodarz, jakby bał się w tym miejscu podnieść głos. – Coś, co nie jest dobre. I ona jedna to widzi.

– Coś? Jakaś istota, duch?

– Nie. – Sołtys rozłożył ręce i potrząsnął głową, ale najwyraźniej nie potrafił znaleźć odpowiednich słów.

Kadir chciał dowiedzieć się czegoś jeszcze, lecz Shen, która już nachylała się nad chorym, poprosiła go o pomoc.

– On strasznie gorączkuje. Masz apteczkę od Siweckiego?

– Tak.

– A umiesz zrobić zastrzyk?

O szlag. Tego jeszcze brakowało! Owszem, teoretycznie wiedział, jak zrobić zastrzyk. Jednak jego wiedza brała się z oglądania rysunków, na których ta czynność została przedstawiona etapami.



Rozkaz był prosty i jasny: „Przygotować lądowisko dla wiatrakowców”. I żadnych komentarzy. Żadnych odpowiedzi na prośbę o pozwolenie ewakuowania ludzi na pokłady okrętów, które towarzyszyły krążownikowi. Nic, tekst depechy nie zawierał nawet zajknięcia na temat tego, czy jego prośba do dowództwa dotarła. A ponieważ z rozkazami podpisanymi: „adm.” się nie dyskutuje, Tomaszewski chcąc nie chcąc nakazał karczowanie drzew w odpowiednim miejscu przy świątyni dzikusów.

Prawdę powiedziawszy, był w kropce. Pozostał tu bez zapasów i amunicji. Z równie głodnym i prawie pozbawionym naboju pułkiem z Kong. Malutkie samoloty obserwacyjne z krążownika usiłowały im coś zrzucić, ale w pierwszej kolejności musiano zdecydować się na rzeczy najbardziej potrzebne. A to były lekarstwa i środki opatrunkowe dla licznych rannych pułku i desantu.

– Coś taki smutny? – Siwecki, który zorganizował lazaret wewnątrz świątyni, w pomieszczeniach, które mogli ogrzać, rzadko pojawiał się na zewnątrz. Zaskoczył Tomaszewskiego zupełnie.

– Poobcinałeś już wszystkie ręce i nogi?

Lekarz mało się nie obraził.

– No przestań. Nie obcinam niczego, bo nie mam warunków. Przygotowuję cięższych rannych do transportu na krążownik.

Tomaszewski wyjął z kieszeni paczkę papierosów. Obaj zapalili, zaciągając się łapczywie, choć na mrozie dym niezbyt smakował.

– Rozkoszuj się, bo to jeden z ostatnich.

Siwecki gwałtownie poderwał głowę.

– No co ty?

– Z tym transportem na krążownik też się nie spiesz. Nie mamy pozwolenia na ewakuację całości.

– Czego ja tu nie rozumiem? Ktoś zabronił przetransportowania tam ciężko rannych?

– W tym sensie to nie. – Tomaszewski uśmiechnął się kpiąco. – Ale transport przez las trzeba jakoś chronić, prawda? A ja nie mam amunicji. Nie mam, psia krew, niczego! Tak naprawdę bezpieczeństwo tutaj zapewnia nam archaicznie uzbrojony pułk z Kong, ale dziewczynom naboju wystarczy jedynie na kilka strzałów.

– No to świetnie. – Siwecki spojrział na swojego papierosa jak na coś bardzo cennego. Potem zaciągnął się, tym razem ostrożnie. – A ci tu? – Wskazał żołnierzy wyrównujących króciutki pas startowy. – Co robią?

– Dowództwo chce mieć pas dla wiatrakowców.

– No to znak, że o nas nie zapomnieli. Przyślą zaopatrzenie...

– Wiatrakowcami? – wpadł mu w słowo Tomaszewski. – Te maszyny mają za mały udźwig.

– To po co nam lądowisko?

– Przyślą jakiegoś mądrąłę. Albo oficjalną delegację – zaczął wyliczać na palcach – albo co gorsza, komisję, albo jakichś naukowców, albo...

– No to niech się pospieszą z tym przysyłaniem. – Siwecki nie miał wątpliwości.

– Tak ci zależy na jakimś oficjelu?

Lekarz potrząsnął głową. Ostatni raz z wyraźną przyjemnością zaciągnął się papierosem i odrzucił niedopałek zgrabnym pstryknięciem tak daleko, że Tomaszewski swój własny upuścił tuż pod nogi i zgniótł obcasem. Nie chciał stawać do konkurencji, w której najwyraźniej nie miał szans.

– Zależy mi na szybkim transporcie przynajmniej jednego rannego.

– Kogo?

– Ten twój ślepy podróżnik, którego uwolniliście razem z Mielczarkiem. Właśnie umiera powoli.

– Co?!

Siwecki zgrabnym zwrotem uniknął chwycenia za ramiona i próby potrząśnięcia.

– To, co słyszysz. Właśnie umiera – powiedział sucho.

Tomaszewski miał ochotę kłać w żywy kamień. Takie źródło informacji! Jedyny ślad, który mieli, jedyny punkt zaczepienia. I umiera. On sam, Kai i Wszyńska spędzali noc z rannym podróżnikiem, wyciągając słowo po słowie, widzieli, że jest słaby i trzeba go oszczędzać, ale ta wiedza była wręcz bezcenna. I ciągle mieli jej za mało. Za mało! Udało im się uszczknąć zaledwie kroplę z oceanu najpotrzebniejszych informacji. A tu teraz okazuje się, że człowiek umiera.

– Co mu tak pogorszyło stan? Zakażenie od ran po wybitych oczach?

Siwecki zaprzeczył ruchem głowy.

– To nie gorączka.

– A co?

– Podaję mu antybiotyki, środki na wzmocnienie, usiłuję ustabilizować organizm, a on mi niknie w oczach. Nie wiem, co mam robić.

– I w czym ci pomoże wiatrakowiec?

– Trzeba go przewieźć gdzieś, gdzie jest laboratorium. Potrzebuję badań krwi, wymazu z żołądka, badania zawartości jelit i setek innych wyników.

Tomaszewski potrząsnął głową.

– Nie masz żadnego podejrzenia, co mu dolega?

Siwecki skrzywił się jakby na wspomnienie jakiejś gafy.

– No powiedz wreszcie.

– Poprosiłem o pomoc nawet czarownika...

– Kai?

– Mereditha. – Lekarz westchnął i dalej mówił z pewnym trudem, jakby się czegoś wstydził. – Oczywiście nie podjął się leczenia, bo przecież nawet nie zamierzałem go o to prosić, ale powiedział mi, że widział już kiedyś podobne objawy.

– Gdzie i kiedy?

– Przed wiekami, kiedy niewolnictwo było bardzo powszechne.

– Co ma do tego niewolnictwo?

Siwecki znowu westchnął, a potem przygryzł wargi.

– Meredith twierdzi, że właśnie wtedy widział coś podobnego. Znacznych jeńców lub cennych niewolników przywiezionych z dalekich krain niewygodnie było trzymać w kajdanach. Musieli przecież bywać na dworach, poruszać się po mieście, stanowić atrakcję, a nie pośmiewisko z powodu tego, że jakiś jaśnie wielmożny pan otacza się ludźmi w kajdanach.

– I nie uciekali?

– Właśnie. W tym cały sęk.

– W czym? – Tomaszewski tracił cierpliwość. Oczywiście rozumiał, że współcześnie wykształcony lekarz musiał się zwrócić o radę do czarownika i bardzo z tego powodu bolały go dusza i duma, ale już bez przesady. Albo Siwecki powie nareszcie, albo trzeba będzie się zwrócić bezpośrednio do Mereditha.

– Najcenniejszym niewolnikom podawano codziennie specjalną truciznę. W małych dawkach. Ona nie zabijała ludzi, nie powodowała zasadniczo żadnych skutków. Tyle tylko, że nie można było przerwać kuracji. Jeżeli niewolnik uciekł, to pozbawiony codziennych dawek wkrótce umierał w męczarniach.

Tomaszewski zmarszczył brwi.

– Naprawdę może istnieć coś takiego?

Siwecki bezradnie rozłożył ręce.

– Ja tam nie słyszałem. Ale generalnie mechanizm nie jest niemożliwy, choć nie wyobrażam go sobie bez upiornych skutków ubocznych.

– I dzikusy aż tak potrzebowały do czegoś uwięzionego przez siebie człowieka, że po wybiciu oczu jeszcze go czymś faszzerowały. Żeby umarł, w razie gdyby wpadł nam w ręce?

– Ja ci tego nie rozstrzygnę. Nie jestem bogiem. – Siwecki zerknął na świątynne zabudowania, które miał za plecami. – Tu, z tyłu, masz chyba największy zbiór ołtarzy w kraju. Spróbuj może jaką ofiarę złożyć. Może jakiś wszechmocny się zlituje?

– Aleś dowcipny.

Siwecki spoważniał nagle.

– Pytałem Kai, czy słyszała o tej metodzie na niewolników. Nie słyszała.

– A pułkownik Thien?

– Nie pytałem, za bardzo roztelepana z powodu braku wina. Rozmawiałem też z Wyszyńską.

– I co?

– Zdziwisz się. Gdzieś o tym czytała. Twierdzi jednak, że to była zwykła psychologiczna sztuczka. Moźni kazali dosypywać do posiłków gorzką sól i wpierali niewolnikom, że to właśnie ta legendarna trucizna.

– Ktoś wierzył?

– Podobno tak i nie uciekali. A nawet zdarzało się, że po ucieczce kilku zmarło.

– Z powodu braku gorzkiej soli?

– Niezbadane są meandry ludzkiej psychiki – westchnął lekarz. – Niestety, mojemu pacjentowi dolega coś bardziej realnego.

Siwecki pożegnał się i ruszył w stronę swojego lazaretu.

– Zerknę, jak tam efekty mojej improwizowanej terapii antytoksykcyjnej – powiedział jeszcze.

– Będę miał go na uwadze, kiedy tylko wyląduje wiatrakowiec. Może się uda odesłać.

– Byłoby świetnie.

Tomaszewski odwrócił głowę. Żołnierze pracowali powoli, bez zbyt dużego entuzjazmu. A on sam nagle zdał sobie sprawę, że jego zły humor bierze się chyba z narastającej tęsknoty. Zerknął na ośnieżone wierzchołki drzew nieprzyjaznego lasu. Cholerna zima! Przypomniał sobie, jak niedawno rozmawiał z Wyszyńską w jej domu, w zupełnie innym klimacie. Przypomniał sobie całe to wielkie nabrzeżne miasto z jego



przepastnymi bibliotekami, luksusowymi burdelami, fajnymi knajpkami i kortami tenisowymi, na których księżniczki uczyły się nowej gry.

I nagle z przeraźliwą mocą zdał sobie sprawę, że wcale nie tęskni za daleką Polską. Najwyraźniej tęsknił do wspaniałego Negger Bank.



Rand siedział nad wielką mapą cesarstwa, na której porozstawiał naczynia różnej wielkości i koloru. Dominowały wszelakie kubki, kielichy, czary, pucharki, garnuszki i szklance. Każde naczynie symbolizowało jakąś placówkę jego organizacji. Ale tylko Rand wiedział, czy wzorzysty puchar umieszczony na symbolu cesarskiego pałacu oznaczał lokalny sztab z dowództwem, czy pojedynczego agenta o kardynalnym znaczeniu. Spis jego ludzi nigdy nie istniał na papierze. Wykresu struktur organizacyjnych również nie było. Wszystko kryło się w głowie Randa i w razie jego śmierci organizacja po prostu przestałaby istnieć. Ze względów bezpieczeństwa nie wyznaczył następcy. Była to zresztą jedna z najbardziej strzeżonych tajemnic, bo łatwo sobie wyobrazić, co by się stało, gdyby wiedział o tym wróg.

– Co robisz? – zapytała Aie szeptem.

Drgnął nieprzygotowany. Ciągłe nie mógł się przyzwyczaić, że jego najbliższa współpracownica i powierniczka może mówić. Tak, tak, Aie po kuracji zaczęła na powrót słyszeć i mówić. Ale o ile słuch miała już naprawdę dobry, to mowa nie chciała powrócić poza stadium zdartego chrypienia. Mimo wysiłków polskich lekarzy jej głos przypominał głos starego sierżanta, który całe życie w huku dział wywrzaskiwał komendy do setek żołnierzy, a potem leczył gardło strumieniami wody. A połączenie filigranowej, prześlicznej dziewczyny i brzmienia jak z podziemi starej karczmy sprawiało piorunujące wrażenie. Dlatego Aie usiłowała mówić wyłącznie szeptem. W związku z tym zresztą brano ją teraz za kobietę niezwykle romantyczną.

– Tak sobie myślę. – Rand pstryknął wielki kielich ustawiony na mapie przy jakimś mieście. Naczynie przewróciło się i odtoczyło na bok, zatrzymując się na żelaznej, rzeźbionej czarze.

– O czym?

Sarknął cicho. Zdecydowanie wolał ją w wersji głuchoniemej. Na tabliczkę przymocowaną do ramienia można było nie patrzeć, a uszu

zamknąć się nie da.

– Widzisz, zajmujemy się różnymi sprawami, gasimy pożary, pięknie nam się współpracuje z polskim wywiadem, a tu speckurwy likwidują nam placówkę po placówce. Systematycznie, regularnie i skutecznie. Papierkowa robota, niezwykle sumienna, mrówcza, powolna. Ale osłabiają naszą organizację z dnia na dzień.

– Mają u nas jakieś źródło?

– Niejedno. – Uśmiechnął się radośnie. – Ale mieli je przecież i przedtem. A teraz poświęcają swoje źródła jedno po drugim tylko po to, żeby nas osłabić.

– Rozumiem. – Aie kiwnęła głową. – I to po cichu, żeby nic nie wyglądało na jakąś szerszą akcję.

– A to znaczy, że cesarzowa nic o tym nie wie.

– Właśnie tak.

Rand podniósł czarę, którą przewrócił, i napełnił winem z flakonu, czekającego na podporządku. Upił mały łyk, a potem długo przetrzymywał w ustach.

– Trzeba by jej o tym jakoś powiedzieć.

Rand mało się nie zakrztusił. Przełknął wino i zaczął kaszleć.

– I niby ma nam uwierzyć? – zapytał, kiedy już odzyskał normalny oddech.

– A czemu nie? Idiotką przecież nie jest.

– Och... – Zrobił kpiącą minę. – Nareszcie ktoś, kto wierzy w nieomyślność cesarzowej.

– Nie powiedziałam „nieomyślność”. Powiedziałam, że wierzę w jej rozsądek.

– Dla mnie to to samo.

– Nie przesadzaj. Musi przecież wiedzieć, że jeśli osłabi jedno ze swoich źródeł informacji, to druga strona zrobi z nią, co zechce.

Rand westchnął ciężko.

– Po pierwsze przemawia przez ciebie zadufanie. Nie jesteśmy żadnym z głównych źródeł, a jedynie niewielkim zabezpieczeniem, testem na prawdomówność pozostałych.

– I wygodnym twórcą plotek.

– Ona tego nie docenia. – Rand tylko machnął ręką i powrócił do swojej wyliczanki. – Po drugie już ją przekonano i wmówiono, że praktycznie

pracujemy dla Polaków.

Aie wyjęła Randowi czarkę z rąk i dokończyła wino. Potem pocałowała go w usta.

– No, to trochę wyklucza jakąś kontrakcję.

Uśmiechnął się łobuzersko.

– Przydałoby nam się coś, co nią wstrząśnie.

– Niby co?

– Jakiś zamach? – odpowiedział pytaniem.

– O Bogowie wszyscy razem do kupy wzięci! Zamach na cesarzową?!

– No coś ty.

– To na kogo?

Znowu się uśmiechnął. Potem rozłożył ręce.

– Najlepiej na mnie – powiedział cicho. – Ale w jej obecności.

Podziwiała jego szaleństwo. Szkoda tylko, że tego się nie da zrobić.

– A jak zamierzasz wnieść broń do pałacu? – spytała słodko.

– Oj tam. To nie musi być żadna broń, wystarczą sztylety. Zamachowcy mnie lekko podziabiają, żeby dużo krwi było na białych szatach! – mówił coraz bardziej podniecony. – Lekko mnie zadrasną. Ale tryskająca krew zrobi odpowiednie wrażenie.

Nie bardzo sobie wyobrażała lekkie zadraśnięcia i tryskającą krew. Z doświadczenia wiedziała, że krew tryska tylko z przeciętej tętnicy. A przecięcie tętnicy nie jest zadraśnięciem. Kończy się śmiercią.

– No dobrze – postanowiła pominąć tę kwestię. – Skoro zamach odbędzie się w pałacu, to wszystkich zamachowców złapią. No nie wiem, kogo zdołasz wynająć, ale większość ludzi przyznaje się do wszystkiego już po zwykłym okazaniu narzędzi służących do przesłuchań. Załóżmy jednak, że znajdziesz wyjątkowych twardzieli, którzy przyznają się, że pracują dla ciebie, dopiero w drugim dniu przesłuchań...

– Nie kpij. Przecież oczywiste jest, że wszyscy zamachowcy muszą zginąć.

– Trochę bredzisz, przyjacielu.

No nie. Zdecydowanie wołał ją głuchoniemą, kiedy miała przygotowane karteczki z napisami w rodzaju: „Szefie, ty masz zawsze rację! Jesteś genialny!”.

– Dlaczego bredzę?

– Ponieważ jeśli zamachowców opanują strażnicy pałacowi, będą dążyć do zachowania ich żywych. Tak ich szkolono. Cesarzowa musi zawsze wiedzieć, kto na kogo nastaje, więc wezmą ich żywcem. Druga możliwość jest taka, że zamachowców zabiją inni twoi ludzie. Ale tych innych twoich ludzi też się złapie i na wstępie okaże im się narzędzia służące do przesłuchań...

– Przestań.

– I krąg się zamyka.

Machnął ręką. Nikt nie lubił słyszeć niekorzystnych opinii o własnych pomysłach.

– No to można zrobić zamach na mnie poza pałacem.

– Ale w takim razie cesarzowa nie będzie świadkiem.

– No szlag!

Rand zły odwrócił się do dziewczyny tyłem. Długą chwilę przyglądał się mapie z rozstawionymi na niej naczyniami. Musiał myśleć o czymś niezbyt przyjemnym. Jego długie palce, starannie wypielęgnowane przez mistrzynię dłoni, nerwowo bębniły o blat wielkiego stołu. Na szczęście nie należał do ludzi, którzy długo rozpamiętują porażki w słownych utarczkach.

Aie znała dobrze Randa. Teraz opanuje się, zmieni temat, ale myśl o zamachu nie przestanie go prześladować. Mimo pozornego spokoju będzie się robił coraz bardziej drażliwy, a potem wieczorem zamknie się w sobie i zacznie przeżywać. Rozmyślała, jak może mu pomóc.

– Zastanawia mnie, jakim szokiem musiała być dla Tomaszewskiego wiadomość, że inni ludzie zza Gór Bogów wylądowali po tej stronie.

Aie drgnęła, nieprzygotowana na taki przeskok myślowy.

– A skąd o tym w ogóle wiemy?

Rand zerknął na dwie maluteńkie filiżaneczki do kawy stojące na mapie w miejscu opisanym jako Kong. Delikatnie dotknął jednej i drugiej, przesunął opuszkami palców po powierzchni porcelany. Miał więc tam aż dwóch agentów? Zdolny człowiek. Aie miała wyraźne zaległości w bieżącej pracy organizacji, spowodowane leczeniem zaordynowanym przez laryngologa.

– Doszło tam podobno do niezwyklej sceny. Polacy uwolnili z rąk dzikusów jakiegoś podróżnika, który chwalił się, że nauczył się kilku zdań w języku ludzi zza gór. Kazali mu coś powiedzieć. I okazało się, że istotnie, zna parę słów. Ale nie mówi w języku polskim, tylko w angielskim!

Aie parsknęła śmiechem.

– Zagadka, co?

– No! Całkiem ogłupieli.

– A to znaczy przecież, że konkurencja jest gdzieś w pobliżu.

– Tak. No i teraz dopiero zaczyna się potańcówka na wiejskiej zabawie podczas odpustu. Coś się poleje. Albo wódka, albo krew.

Aie skinęła głową.

– A najpewniej jedno i drugie – dodała. – A my gdzie stoimy?

Rand zrobił minę wielkiego mędrca.

– Największą panikę wśród Polaków spowodowała myśl, a raczej wątpliwość, czy tamci też mają Dużego Jasia.

– A co to jest Duży Jaś?

– Oj, to broń takiej mocy, że przepalono nią Góry Bogów na wylot.

– O Bogowie miłosierni.

– Lepiej Bogów nie wzywać przy okazji tej broni. Polacy też zresztą nie wzywali, tylko zwrócili się do sejsmologów.

– Do kogo? – Aie znowu przerwała Randowi.

Faza drażliwości w jego zachowaniu jeszcze nie nadchodziła najwyraźniej, bo odpowiadał cierpliwie.

– Dowiedziałem się, kto to jest, już tutaj. – Kciukiem wskazał mniej więcej kierunek, gdzie leżała polska baza w Negger Bank. – To specjaliści od wstrząsów. Depeszowano do najlepszych po tamtej stronie gór. I ci specjaliści twierdzą, że nikt inny raczej nie ma Dużego Jasia. Z naciskiem na raczej.

– Mhm. No to też mam odpowiedź na pytanie, gdzie stoimy.

Rand potwierdził ruchem głowy.

– Jesteśmy wiernymi przyjaciółmi – powiedział zdecydowanym tonem i dodał prawie szeptem: – tych, którzy potrafią przepalać góry.

– No dobrze, a jakim cudem tamci się przedostali na naszą stronę?

– Nikt nie ma pojęcia. No, może coś im tam, Polakom, świta pod czaszkami, ale... Muszą się dowiedzieć, i to za wszelką cenę. Chodź.

Poprowadził Aie do drugiego pokoju. Tam też była mapa, lecz już nie fragmentów cesarstwa, tylko całego świata. To znaczy znanego świata. Geografowie z cesarskich bibliotek podejrzewali, że to jedynie mała część ogromnej całości. Owszem, był już taki żeglarz, który chełpił się, że opłynął świat dookoła. Ale po pierwsze nie wiadomo, czy mu wierzyć.

Mógł przecież łąć dla sławy, a sprawdzić nie ma jak. A po drugie to i tak tylko niteczka na mapie, niedająca nawet fragmentarycznej orientacji z powodu niskiej dokładności. Żeglarz wszak sam geografem nie był.

– Podróżnik przejęty przez Polaków w Banxi szedł gdzieś stąd. – Rand dotknął palcem poszarpanego wybrzeża jakiegoś kontynentu. – Nie znam szczegółów.

Aie musiała się skupić, żeby przypomnieć sobie nazwę odległego miejsca. Chyba nazywano to krajem Nayer? Z naciskiem na chyba. Zresztą z tego, co mgliście pamiętała, używano różnych nazw i nie bardzo wiadano, która jest właściwa, to znaczy której tak naprawdę używają mieszkańcy tych ziem. I zasadniczo tutaj kończyła się jej wiedza. To było „gdzieś na innym kontynencie”.

– Nie wysilaj rozumu. – Rand zaczynał właśnie być uszczypliwy. – Może ci się jeszcze kiedyś przydać.

Wskazał palcem podręczny stolik z przyborami do kreślenia map.

– Zamówiłem u bibliotekarzy krótkie podsumowanie naszej wiedzy o Nayer.

Aie z ulgą podniosła ze stolika niezbyt gruby plik kartek i podeszła do okna. Była bardziej niż biegła w szybkim czytaniu i przyswajaniu tekstu. Kartki szeleściły w jej dłoniach. Po chwili mogła już je odłożyć. Ta wiedza nie była porażająca. Tak po prawdzie, gdyby pominąć spis źródeł i ich ocenę dokonaną przez uczonych w piśmie, całość można byłoby streścić w kilku zdaniach.

Nayer jest państwem zamkniętym, które nie dąży do kontaktów ze światem zewnętrznym. Praktycznie nie ma żadnych więzi handlowych z cesarstwem. Dla statków kupieckich przebycie oceanu to zbyt wielki dystans, a w obcych portach nie oferuje się atrakcyjnych towarów. Nie ma możliwości oficjalnego zejścia na ląd, a konkretnie, nie można podjąć podróży w głąb lądu. Żeglarze mogą poruszać się w niewielkich, zamkniętych strefach w ścisłym pobliżu portów. Ludzie stamtąd uchodzą za zamkniętych i niegościnnych. Zdarzały się rekwizycje statków, jeśli uszkodzone musiały zawinąć do portów, które nie są przeznaczone dla zagranicznych gości. Nieprzyjaźni są też przedstawiciele marynarki wojennej. Nie sposób w razie potrzeby uzyskać od nich jakichkolwiek informacji żeglarskich, pomocnych nawet w nagłej potrzebie. Kontakty ze zwykłymi ludźmi są praktycznie niemożliwe.

Wiadomo, że władca Nayer jest czczony na równi z Bogami. Jego podobizny są wszechobecne. Każdy z mieszkańców zobowiązany jest do powoływania się na jego mądrość i nieomyślność w każdej, nawet potocznej sytuacji. Nie wiadomo, czy podawanie w wątpliwość jakiegokolwiek czynu władcy jest okrutnie karane, ponieważ nigdy nie udało się zaobserwować żadnego zachowania ani usłyszeć żadnej uwagi na temat jakichkolwiek wątpliwości.

Nie wiadomo, czy lud Nayer jest bogaty. Budowle w dostępnych dla obcych żeglarzy portach są imponujące i wzniesione porządnie. Ich marynarka wojenna budzi respekt. Według obserwacji jest liczna, a okręty dobrze wyposażone. Niestety, nie wiadomo niczego na temat handlu Nayer. Podczas kiedy obce statki handlowe mogą pod pewnymi obostrzeniami wpływać do ich portów, o tyle nigdy nie zaobserwowano żadnego statku kupieckiego Nayer w jakimkolwiek z portów cesarstwa.

– Ta wiedza naprawdę nie jest porażająca – powiedziała Aie.

– Właśnie – przytaknął Rand. – Ale przyznasz, że Nayer to dobre miejsce na ukrycie wszystkiego, co powinno zostać ukryte.

– Tak, to prawda. I w związku z tym...

– I w związku z tym – wpadł jej w słowo – nasi przyjaciele poślą tam szpiegów, prawda?

– Poślą. Pilnie. W trybie natychmiastowym.

– Właśnie. Lecz przecież żaden Polak nie pojedzie osobiście. Na pierwszy rzut oka widać, że taki to nie nasz.

– Tak, bladokóry dryblas nie wtopi się w tłum. I już podążam za twoim trybem myślenia.

– To bardzo dobrze. Kogo na ich miejscu wysłałabyś na zwiad?

– A to proste jak nie wiadomo co. Wysłałabym Kai.

– Mhm. A kogo powinniśmy im podsunąć jako drugiego zwiadowcę? I to taką osobę, na którą moglibyśmy wywierać wpływ?

Aie wzruszyła ramionami.

– Ja bym zaproponowała Shen.

Rand potwierdził jej wybór ruchem głowy.

– To najlepsza kandydatura, ale odkąd została watażką jakichś partyzantów, to chyba niemożliwe.

– No to Nuk.

– O właśnie.

Aie cmoknęła cicho.

– I myślisz, że od niej będziesz dostawał informacje?

Rand roześmiał się nagle.

– Nie chcę żartować, że w przypadku wyprawy Kai i Nuk będę miał informacje z dwóch niezależnych źródeł, bo mogę mieć i z trzech. Krzysiek też pewnie o wielu rzeczach będzie chciał mi powiedzieć.

Potrząsnęła głową. Wiedziała, że Rand jest wariatem, ale nie że aż takim. Z drugiej strony nigdy nie mogła odgadnąć, co takiego jest w jego uroku osobistym, że mało kto potrafi się temu przeciwstawić. Doskonałym przykładem zresztą była ona sama. Podeszła do ogromnego lustra wiszącego na ścianie, żeby się sobie przyjrzeć. Chwilę patrzyła taksująco, a potem machnęła ręką.

– Nieźle to nawet wymyśliłeś – powiedziała. – Jednak podczas naszej rozmowy moja głowa też nie próżnowała.

– A co wymyśliłaś?

– Jak przeprowadzić zamach na ciebie i nie oddać sprawców w ręce straży.

– No jak? – Podeszedł bliżej, szczerze zaciekawiony.

– To problem, który łatwo rozwiązać. Ma być na ciebie zamach, a sprawcy mają zginać, żeby nie wygadać, kto ich najął, tak?

– No tak.

– Widzisz, niepotrzebnie skrępowaliśmy się słowem „sprawcy”. Przecież wystarczy tylko jeden zamachowiec, prawda?

– No tak. Ale i tak trzeba wynająć kogoś, kto go zabije, a tego kogoś złapią i wydobędą z niego prawdę.

– Nie będą go w ogóle przesłuchiwać – przerwała mu Aie.

– Jak to? Jak to nie będą przesłuchiwać człowieka, który zabije zamachowca?

Uśmiechnęła się do Randa promiennie.

– Bo zamachowca zabijesz ty! – powiedziała i zaczęła się śmiać. – Ciebie przecież nie przesłuchają. A sprawa prosta. On cię poranił i zabił go w samoobronie. Zostaniesz bohaterem. A nawet „zakrwawionym bohaterem” – zakpiła.

Rand najwyraźniej się przestraszył. Temu planowi nie można było nic zarzucić. Był wzorem logicznego rozwiązania problemu.

– Ale... – Przełknął ślinę. – Ale ja nie umiem zabijać.



– Nauczę cię. – Promienny uśmiech nie schodził z twarzy Aie. – A poza tym już zastrzeżesz jednego człowieka.

Mogła tego nie mówić. Rand pamiętał aż za dobrze. W wąskiej uliczce strzelił do mężczyzny, który ranny leżał na bruku. Odchorował to wtedy. A w koszmarach sennych okropne wspomnienie powracało do dziś. I to bynajmniej nie jako wyrzuty sumienia. Było znacznie gorzej.

– Nie. Nie, ja nie...

– Co ty nie?

Znowu przełknął ślinę.

– Ja chyba nie mam odpowiednio wielkich jaj, żeby to zrobić.

Aie spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Pokręciła lekko kształtną pupą.

– Zapewniam cię, że do tego wielkie jaja są niepotrzebne. Ja nie mam w ogóle, a zabijać umiem.



Selim Michałowicz opuścił dłoń, którą dotąd osłaniał oczy przed bladym zimowym słońcem. Zszokowany spektaklem podszedł do Tomaszewskiego.

– Powinno się zmienić nazwę formacji wojskowej, którą reprezentujesz, Krzysiu – powiedział. W jego głosie wyraźnie czuć było zdziwienie tym, co rozgrywało się nad ich głowami.

– Na jaką?

– To się powinno nazywać: „Marynarka wojenna, własność firmy Admiraliowie, spółka z ograniczoną odpowiedzialnością”.

Tomaszewski parsknął śmiechem. Potem podniósł głowę, żeby popatrzeć, dołączając tym samym do wszystkich dziewczyn z pułku Kong, które też tak stały, tyle że z otwartymi ustami. A było na co patrzeć.

Na nieboskłonie najpierw pojawił się wielki wiatrakowiec dowództwa. Nie był pomalowany w żaden z kamuflażowych wzorców. Pozostawiono po prostu naturalną srebrną barwę aluminium i tutaj, w dzikich ostępach, robiło to kolosalne wrażenie. Lśniący w promieniach słońca metal przywodził na myśl legendarnego srebrzystego ptaka, który krążył nad mityczną siedzibą starożytnych mędrców.

Wiatrakowiec jednak wcale nie zamierzał lądować. Przeciwnie, po wykonaniu ciasnego skrętu nad zabudowaniami świątyni pilot skierował go

w górę, wznosząc maszynę po spirali. W miarę jak cichł warkot jego silników, dał się słyszeć inny dźwięk – huk motorów samolotów transportowych. Po dłuższej chwili zgromadzeni przed świątynią żołnierze mogli zobaczyć pierwsze maszyny nad wierzchołkami ośnieżonych drzew. Leciały w luźnej formacji, bardzo nisko. Huk narastał gwałtownie, a wibracje spowodowane drganiem powietrza sprawiały, że śnieg zaczął opadać z gałęzi wokół.

– Przygotować się do przejścia zrzutu! – krzyčili oficerowie Baranowskiego. – Przygotować się do przyjęcia zrzutu!

Dziewczyny, zafascynowane widowiskiem, nie reagowały. Jedyne piechota morska i Tatarzy raczyli się ruszyć, ale nie po to, by formować zespoły do przejścia pojemników. Żołnierze szukali po prostu schronienia, żeby nic nie spadło im na łeb.

Obsługa transportu w samolotach musiała już otworzyć rampy. Tuż za maszynami pojawiły się białe wstęgi spadochronów, które po dłuższej chwili rozkwitały w idealnie białe, napięte czasze. Dziewczyny z pułku Kong zaczęły krzyczeć w zachwycie. Coś niesamowitego! Pierwszy taki widok w całym ich życiu.

– Przygotować się do przyjęcia zrzutu! – krzyčili podoficerowie.

Na próżno. Dziewczyny obserwowały wszystko z fascynacją. Stały idealnie nieruchomo, patrząc, jak kontenery w kształcie wydłużonych walców opadały powoli. Dopiero po dłuższym czasie zdały sobie sprawę, że ta powolność jest pozorna. Metalowe pojemniki spadały z ogromną prędkością, i to prosto na ich głowy.

Pozory stuporu pękły momentalnie. Ludzie zaczęli biegać, wpadać na siebie, krzyczeć. Tworzyły się zbite grupy, kłębowiska, które nie mogły się rozpaść, i pojedynczy uciekinierzy powiększający chaos bieganiami każdy w swoją stronę.

– Spokój! Spokój! – Podoficerowie usiłowali wprowadzić jakiś ład.

W tym momencie pierwsze pojemniki uderzyły o ziemię. Na szczęście nie spowodowały większych strat. Gorzej, jeśli uwolnione od ciężaru czasze spadochronów opadły na jakieś większe kłębowisko ciał.

– Spokój! Zbiórka!

Okrzyki niewiele dawały. Żołnierze usiłowali w chaosie ująć bombardowanie. Dopiero kiedy kilka pojemników rozpadło się, uderzając

w twarde podłoże, i okazało się, że zawierają konkretne dobra, można było pomyśleć o wprowadzaniu jakiego takiego porządku.

Samoloty zniknęły za wierzchołkami drzew. Jedynie po huku silników można się było zorientować, że zawracają właśnie do bazy i to już koniec rzutów na dzisiaj. Żołnierze uspokajali się powoli, komendy zaczynały odnosić swój skutek. Do momentu jednak, kiedy ktoś odkrył, co konkretnie im zrzucono oprócz amunicji i lekarstw. Siły powietrzne nie praktykowały dostarczania na front konserw, żeby uniknąć, jak to mówiono, „wożenia zbędnego żelaza”. Produkty spożywcze dostarczano w zależności od pogody panującej u „odbiorcy” albo w formie liofilizowanej, albo mrożonej. I teraz trudno się dziwić wygłodniałemu żołnierzowi, który zobaczył leżący przed sobą połączony bekonu i niewiele myśląc, wbił weń swój nóż, żeby odkroić jak najwięcej.

– Nie żreć niczego! – darli się podoficerowie. – Zaczekajcie, aż kucharze coś z tego ugotują!

Akurat. Szybko odkryto, że poza mrożonym mięsem kontenery zawierają również czekoladę i witaminizowane cukierki. I niby co mieli z tym robić kucharze? Dziewczyny zaczęły walczyć między sobą o dostęp do co bardziej strategicznych zasobów.

– Pandemonium – mruknął Selim Michałowicz. – Ale patrz, bo to jeszcze nie koniec.

– Co? – Tomaszewski znowu uniósł głowę.

Wielki srebrzysty wiatrakowiec właśnie zaczął majestatycznie lądować. Ryk jego silników ścichł nagle i maszyna zgrabnymi zwrotami zaczęła szybko tracić wysokość. Po chwili pilot ustawił ją na osi krótkiego pasa. Wiatrakowce wiele nie potrzebowały. Nawet tak ciężkie jak ten. Kilkanaście metrów powinno w zupełności wystarczyć. Ale nie. Wtedy lądowanie z szarpnięciem nie wyglądałoby wystarczająco godnie! Pilot, dokonując cudów swojej sztuki, przeleciał na małym ciągu tuż nad głowami kłębiących się na ziemi żołnierzy. Dopiero kiedy owionął ich zapach spalin, wielka maszyna, skupiając na sobie wzrok wszystkich wokół, zgrabnie przyziemiła na pasie i zatrzymała się chwilę później.



© Fabryka Słów & Dominik Broniek

– Jaśnie wielmożny pan obdarzył swój lud dobrami wszelakimi – powiedział Selim Michałowicz. – A teraz zamierza zaszczyścić lud osobiście.

– Ano. – Tomaszewski skinął głową.

– Ech, ci admirałowie... – Stary Tatar przeciągnął palcami po swoich wąsach. W wojskach lądowych takie przedstawienie było nie do pomyslenia.

Ktoś otworzył drzwi wiatrakowca i podstawił schodki. Zgromadzeni żołnierze opanowywali rozgardiasz. Wszystko, co żyło, uspokajało się właśnie i kierowało wzrok ku niezwykłej maszynie. Długo nic się nie działo. Cisza robiła się jedynie coraz głębsza.

Oficerowie zaszalutowali i zastygli w tych pozach. Dopiero wtedy w drzwiach maszyny ukazał się admirał Wentzel. W galowym mundurze, przy kordzie i odznaczeniach, w śnieżnobiałej czapce ze złotym godłem, tak pięknie kontrastującej ze smolistoczarным mundurem. Żołnierze zrozumieli, że widzą istotę nadludzką. Kogoś, kto pochodził nie z tego świata. Wyprężeni na baczność salutowali, zamieniając się w spżowe posągi absolutnego oddania.

– I o to chodziło – szepnął Michałowicz.

Wentzel powoli zszedł na ziemię. Dopiero wtedy sprężyste odpowiedział na salut oficerów. Ci jak jeden mąż opuścili ręce. Nikt jednak nie śmiał się odezwać. Admirał zrobił kilka kroków i uniósł dłoń w lśniącej rękawiczce.

– Witajcie, żołnierze! – powiedział.

Z gardeł dziewczyn wydobył się ryk tak straszny, że jeśli jakiś wróg był w zasięgu słuchu, to właśnie stracił wszelką wolę walki, a być może nawet dostał ze strachu nieuleczalnej niestrawności. Kiedy wycie się wypaliło, admirał podjął niespieszny marsz ku świątyni. Wszystkie w idealnej ciszy odprowadzały go wzrokiem. To był wzór oficera! To był dowódca, za którego warto oddać życie bez wahania! To była zjawiskowa istota z krainy Bogów.

Stary dowódca tatarskiego zwiadu dawno nie widział takiego teatru pomieszanego z cyrkiem. Ale też dawno nie widział takiej skuteczności. Musiał przyznać, że był pod wrażeniem.

– Panie Baranowski – admirała oczywiście nie obowiązywały jakieś tam stopnie wojskowe – gratuluję panu.

– Dziękuję, panie admirale! – Major, choć było to wbrew regulaminowi, zasalutował jeszcze raz.

– Selim, przyjacielu! – Wentzel położył dłoń na ramieniu Tatara. – Jestem pod wrażeniem, że takiemu starymu wydze chciało się jeszcze ganiać po chaszczach. I to jak! Dziękuję.

Oczywiście byli na ty, ale w tej sytuacji pułkownik Michałowicz wyprężył się na baczność jak chwilę przedtem major.

– Ku chwale ojczyzny, panie admirale!

Z Tomaszewskim Wentzel wykonał jeszcze lepszy numer. Poklepał go po prostu po szyi. Jak wierzchowca.

– Krzysiu, no nie zawiodłeś mnie, dziecko. Bardzo serdecznie ci dziękuję za skuteczność.

Admirał rozejrzał się nagle zdziwiony.

– A gdzie pani pułkownik?

I co tu powiedzieć? Że leży w delirium spowodowanym brakiem alkoholu?

– Jest niedysponowana, panie admirale.

– Ach, to poznam ją później. – Wentzel uśmiechnął się lekko. – Krzysiu, prowadź w takim razie do świątyni.

– Tak jest!

Zanim ruszyli, admirał koniecznie jeszcze musiał pozdrowić żołnierzy. Dziewczyny z pułku Kong same z siebie, bez żadnej komendy, utworzyły szpaler, którym mógł ruszyć w stronę głównego wejścia. Admirał, pozdrawiając, nie salutował oczywiście. Kroczył powoli z uniesionym do góry palcem, a dziewczyny też nie odpowiadały salutem. Kiedy przechodził obok, po prostu pochylały głowy. A idący z tyłu Tomaszewski zastanawiał się nad siłą wizerunku.

Na szczęście droga nie była zbyt długa. Już w przedsionku świątyni admirał mógł odprawić wszystkie towarzyszące mu, a niepotrzebne już osoby i zostać sam na sam z oficerami. Mógł też przywitać się z ciągle owiniętą w koc Wyszyńską i Kai pomagającą tamtej w rekonwalescencji.

– Pani inżynier! – Wentzel zaatakował z marszu. – Dostałem wiele gratulacji od najwyższych czynników za przygotowanie i przeprowadzenie akcji w Banxi. I czegoś tu nie rozumiem.

– Czego, panie admirale?

– To właśnie ja chciałem zapytać: czego oni mi gratulują?

Zaskoczył ją. Inżynier spojrzała na admirała w lekkiej panice, nie mając pojęcia, co odpowiedzieć.

– I tego właśnie się spodziewałem – dobił ją Wentzel. – Pozwolę sobie porozmawiać z panią później, w węższym gronie.

Zerknęła na niego z pewnym podziwem. Ustawiając Wyszyńską w charakterze dziewczynki do skarcenia, uniknął jakichkolwiek dyskusji o specyfice misji z publiką za plecami. I tym samym uciął wszelką dalszą dyskusję, zdusił w zarodku, zanim ktokolwiek zdołał ją zacząć.

– Pani kapitan – podszedł do Kai – złożyłem wniosek o odznaczenie dla pani.

– Dziękuję! – Czarownica uśmiechnęła się radośnie.

Tomaszewski przygryzł wargi. Ona w ogóle nie zna regulaminu! Admirał jednak nie zwrócił uwagi na poufały ton dziewczyny.

– A gdzie nasz, przepraszam, pani przyjaciel, który tak bardzo nam pomógł?

– Meredith? Myślę, że jeździ konno po okolicy. Chyba od czasów Cesarstwa Luan przejadły mu się oficjalne powitania. Natomiast zakochał się w swoim perszeronie. Twierdzi, że to pierwszy od tysiąca lat koń, który powoduje u niego poczucie bezpieczeństwa podczas jazdy.

– Rozumiem. A pułkownik Thien? Mam dla niej instrukcje i rozkazy z pałacu. Czy mimo niedyspozycji nie chciałaby się pokazać choć na chwilę?

Baranowski zaprzeczył ruchem głowy, potem spojrzał na Tomaszewskiego. Ten zmieszał się wyraźnie.

– Raczej... – zawiesił głos. – To byłoby bardzo trudne – dokończył.

– Potrzebuję jej tutaj – nalegał admirał.

– No to ja potrzebuję butelki wódki – wypalił Tomaszewski. A co tam? Po pierwsze są w wojsku, a po drugie Thien nie była oficerem w jurysdykcji marynarki wojennej.

– Ach, rozumiem. – Wentzel nie okazał wielkiego zdziwienia. – Mam wódkę na wiatrakowcu.

– No ale trzeba by ją jakoś chorej podać.

– Tak, to misja delikatnej natury. – Admirał rozejrzał się. – Chyba najważniejszym będzie, jeśli pan to zrobi. – Wzrok zatrzymał się na Baranowskim. – Podejmie się pan, panie majorze?

– Oczywiście.

Oficer piechoty nie piętrzył trudności. Odmeldował się, salutując regulaminowo. A Tomaszewski zrozumiał: właśnie o to chodziło. Zostali teraz sami, tylko marynarka wojenna, bez sił lądowych. Można było porozmawiać bardziej otwarcie.

– Słuchajcie, drodzy państwo. Z każdym z was z osobna i ze wszystkimi razem zamierzam tu odbyć szereg konferencji. Zatem powoli szykujcie się na długie rozmowy ze mną. Teraz jednak w trybie pilnym musimy razem rozstrzygnąć pewną kwestię. Priorytetową dla bezpieczeństwa całej naszej misji po tej stronie gór.

Typowe dla Wentzla, pomyślał Tomaszewski. Żadnego oglądania świątyni, zero zainteresowania ołtarzem, do którego trwał wyścig, niechęć do wysłuchiwania jakichkolwiek frontowych opowieści, jak to było i ilu nasi narznęli. Każdy ma powiedzieć konkretnie, o co chodzi, a on co najwyżej będzie zadawał naprowadzające pytania. Tak jak teraz.

– Czy jesteście pewni, że uwolniony z rąk dzikusów człowiek mówił po angielsku?

– Tak. – Wszyńska nie miała żadnych wątpliwości.

– Gdzie on jest teraz?

– Umiera – powiedział Tomaszewski. – Zdaje się, że dzikusy zaaplikowały mu jakąś truciznę powolnego działania, a my nie mamy odtrutki.

To ewidentnie zastanowiło admirała, bo milczał dłuższą chwilę.

– Ile udało się z niego wyciągnąć?

– Niewiele. W każdym razie widział obce żelazne okręty na własne oczy. Widział też wejście do ich tajnej bazy.

– Na innym kontynencie?

– Tak. Ale myślę, że moglibyśmy tam trafić na podstawie jego opisu.

Admirał syknął cicho. Nie lubił takich odpowiedzi. „Myślę”, „moglibyśmy” – Tomaszewski zganił się w myślach. Mówiąc o faktach, nie powinien używać formy warunkowej.

– Krótko – powiedział stanowczo Wentzel. – Najlepiej jednym zdaniem. Jak byście określili status tych Anglosasów?

Wszyńska wciągnęła powietrze z sykiem. Woląta jednak, żeby odpowiadał Tomaszewski.

– Prawdopodobnie są po tej stronie gór dłużej niż my.

Admirał zaklął cicho.



– Jak długo?

– Nie sposób stwierdzić. Nie przybyli w sposób tak spektakularny jak my. Ich żelazne okręty to nie ORP „Poznań” ani „Sęp”. Tylko, z opisu sądząc, małe jednostki transportowe. Ale to gdybania. Pewne jest jedno: takiego teatru, jaki tutaj zrobiła Rzeczpospolita, oni nie zrobili.

Wentzel zmrużył oczy.

– Raczej się wtapiają? – zapytał.

– Tak.

Admirał przytaknął i rozejrzał się wokół. Najwyraźniej miał dość rozmowy na środku pomieszczenia na stojąco. Niestety, nie mieli nic do zaoferowania. Pułk z Kong pozbył się całego wyposażenia na ostatnim etapie wyścigu, a desant siłą rzeczy nie mógł niczego zabrać ze sobą. Wewnątrz nie było nic, nawet głupich krzeseł z aluminium i brezentu. W dość sporym pomieszczeniu przedśionka świątyni znajdowały się jedynie ławy zbite z nieokorowanych pni osadzonych na krzyżakach. Wentzel podszedł do ściany. Odkrył na szczęście przytargany przez kogoś świątynny zydel i zajął go, krzywiąc się na niewygodę. Reszcie towarzystwa wskazał nieokorowane ławy.

– Na ziemi tu śpicie? – zapytał zniesmaczony skrajną ascezą ich wyposażenia.

– Na gałęziach – sprecyzował Tomaszewski.

– No tak, tak. – Wentzel doskonale udawał współczucie. – Żołnierz musi zawsze liczyć się z niewygodami. – Odruchowo zerknął w kierunku miejsca, gdzie stanął jego ogromny wiatrakowiec. Wewnątrz na pewno czekało rozkładane, wygodne łóżko dla dowódcy. Przewidywał zapewne, że zostanie tu trochę dłużej. Najwyraźniej jednak nie zamierzał opowiadać o luksusach, które zarezerwował dla siebie. Przecież obok stała owinięta kocem Wyszyńska, która jako rekonwalescentka i kobieta mogłaby się domagać jakichś niestworzonych przywilejów. Na szczęście reszta to żołnierze, a im nie wolno nawet myśleć, że na całym świecie mogłby istnieć jakikolwiek powód, dla którego admirał miałby odstąpić komukolwiek swoje wygodne miejsce do spania. – Powiem wam coś o tych Anglosasach – podjął temat po dłuższej chwili.

– Czyżbyśmy mieli o nich jakieś informacje? – zapytał Tomaszewski.

Wentzel zaprzeczył ruchem głowy.

– Od czasu kiedy powstał nasz projekt przekroczenia Gór Pierścienia, wszystkie służby, które zajmują się zdobywaniem dla nas informacji za granicą, zostały uczulone na jednym punkcie. Domyślcie się jakim.

– Czy ktokolwiek na świecie podejmuje podobną próbę – mruknęła Wyszyńska.

– Tak, ma pani rację. Służby informacyjne jednak położyły szczególny nacisk na pozyskiwanie informacji w krajach najbardziej podejrzanych o planowanie prób przekroczenia gór. Tam poszły największe pieniądze, tam skierowano najlepszych ludzi.

– Jakie to kraje?

– Z największym potencjałem, nazwijmy to, odkrywczym. Niemcy, Rosja, Anglia, USA. Jednak podczas kiedy nasze działania w Rosji czy w Niemczech trudno nazwać pasmem spektakularnych sukcesów... – Wentzel spojrzał na zebraną przed nim grupę kpiącym wzrokiem. – Używam eufemizmów, żeby nie powiedzieć: „gdzie ponieśliśmy sromotną klęskę”. Ale wracając do rzeczy... Podczas kiedy tam nam się nie udało, to w Anglii czy USA wprost przeciwnie.

– To znaczy? – odważył się zapytać Tomaszewski.

Wentzel odpowiedział uśmiechem.

– Nie wiem, o czym śni prezydent Ameryki ani o czym rozmawia z żoną. Ale wgląd w tajne projekty udało nam się uzyskać w stopniu pozwalającym stwierdzić, że nie ma i nie było tam żadnych projektów dotyczących ekspansji na teren tego świata. No chyba że nasz wywiad jest całkiem do dupy! O, przepraszam obie panie najmocniej. – Admirał pochylił głowę przed Wyszyńską i Kai.

– A może to inicjatywa prywatna? – poddała nową myśl Wyszyńska.

– Na taką skalę? – obruszył się Tomaszewski.

– No właśnie, na jaką? Nie mamy pojęcia, o jakiej skali mówimy.

– To prawda – poparł ją Wentzel. – Nie mamy też pojęcia, w jaki sposób przeszli przez góry.

– Skoro mają żelazne okręty, to raczej nie są alpinistami. I nie przynieśli ich w częściach na plecach tragarzy.

– Sądziś, że przepalili góry jak my? Że oni też mają Dużego Jasia? – Wyszyńska popatrzyła sceptycznie. – To zapomnij o tej teorii.

– Dlaczego? Skoro nam udało się, przynajmniej dotąd, ukryć fakt istnienia przejścia przez góry, to i oni mogli ukryć istnienie własnego.

– Nie. – Wyszyńska była bardzo pewna siebie w tej kwestii. – Zapomnij o tej teorii. Oni na pewno nie mają bomby.

– Skąd możesz wiedzieć?

– Bo samo jej odpalenie powoduje określone skutki. Powoduje je na całym świecie. I jeżeli ktoś skonstruował bombę i jej użył, to wie, czego szukać, żeby się dowiedzieć, czy bombę odpalili inni.

– Aha, to znaczy, że my wiemy już, czego szukać?

– Tak. I wiemy też dzięki temu, że nikt inny Dużego Jasia nie odpalił.

– Przestańcie się kłócić, drodzy państwo. – Wentzel podniósł dłonie, chcąc ich uspokoić. – Wiemy, że Anglosasi nie przepalili przejścia przez góry. Pytaniem zasadniczym pozostaje, ile oni wiedzą o nas.

Wyszyńska bezradnie rozłożyła ręce.

– Ilość informacji, które posiadamy na ten temat, wynosi równe zero. Wszelkie gadanie to tylko strata śliny.

Admirał przeniósł pytający wzrok na Tomaszewskiego. Ten poruszył się niespokojnie.

– Czy ten uwolniony przez ciebie ślepiec nie powiedział nic na temat, czy oni coś o nas wiedzą?

I jak tu odpowiedzieć.

– On nawet pomylił nas z nimi.

– A kiedy się już dowiedział prawdy?

– Dla niego jedni i drudzy to „ludzie zza gór”.

Wentzel przygryzł wargi.

– No ale jakoś się nauczył paru słów po angielsku. Jak to zrobił?

Tomaszewski powstrzymał się przed wzruszeniem ramionami.

– To podróżnik. Facet, który wszędzie wejdzie, wszystkim się zainteresuje. Ale on nawet nie pochodzi z kraju, w którym wylądowali Anglosasi. Poznał ich przez przypadek.

– To znaczy, że tam, na innym kontynencie, oni niespecjalnie się kryją.

– My też się tutaj nie kryjemy.

– Panowie – tym razem to Wyszyńska postanowiła ukrócić jałową dyskusję – niczego się tutaj nie dowiemy od siebie nawzajem. Temat ślepego podróżnika zamknijmy. Krzysiek naprawdę wyciągnął z niego, co się dało.

– A co pani proponuje?

– Jechać tam i sprawdzić, jak jest na miejscu.

– Jawnie?

– A można i po cichu. Zakraść się nocą, chwycić jakiegoś Amerykańca za łeb i przesłuchać później na odludziu.

Admirał tylko westchnął. Najwyraźniej nie znał jeszcze wszystkich pomysłów Wyszyńskiej i nie wiedział, do czego pani inżynier może być tak naprawdę zdolna.

– Czy wszyscy jesteście przekonani o konieczności wysłania natychmiastowego zwiadu? – zapytał.

– I to niezwłocznie – powiedział Tomaszewski. – Życie z niewiedzą w tej kwestii to jak życie z bombą zegarową pod bokiem.

– Ja Tatarów mogę posłać – odezwał się milczący dotąd Michałowicz.

Wentzel wykonał odzegnujący gest.

– Tatarów za ocean nigdy w życiu. Są zbyt znaczni i będą wzbudzać sensację samym swoim wyglądem.

– No to Polaków też nie można wysłać – wtrącił się Tomaszewski. – Ale mogę lecieć sam. Przynajmniej język znam doskonale.

– Nic ci znajomość tutejszego języka tam nie pomoże. – Kai uśmiechnęła się kpiąco. – Na pewno tamci mają zupełnie inny akcent i wymowę. Mnóstwo innych słów. Nie bez przyczyny czarownik Hunr opracował swoje zaklęcie. On po prostu nie mógł się porozumieć z tubylcami w trakcie swoich licznych podróży.

– A nie możesz rzucić tego zaklęcia na mnie?

– Nie. – Zaczęła się śmiać. – Przecież nawet nie wiem, czego ma dotyczyć. Nie czuję aury tych ludzi, nie słyszę, jak mówią.

Admirał patrzył na Kai z napięciem.

– A potrafiłaby pani zrobić to, będąc na miejscu, pani kapitan?

– Oczywiście, panie admirale. Przecież dokonałam tego już na okręcie podwodnym, w znacznie gorszych warunkach i z dramatycznie trudniejszym językiem. Po prostu z językiem obcym. A tu język będzie jednak podobny.

Wentzel skinął głową.

– W takim razie musielibyście lecieć tam oboje...

Nie zdołał dokończyć.

– Proszę o wybaczenie, panie admirale, ale ja z nim? – Kai podeszła do Tomaszewskiego i stanęła plecami do jego pleców. – Proszę zobaczyć, jak

bardzo Krzysiek różni się wzrostem od przeciętnego mieszkańca tej półkuli. To wielkolud. Wy wszyscy jesteście za duzi, żeby udawać naszych.

– Ale...

– Nie, panie admirale. Proszę zwrócić też uwagę na skórę Krzyśka. – Skubnęła go w policzek. – Jest biała. U nas nawet chorzy i wycieńczeni nie mają takiego odcienia. A kolor oczu? Są jasne, a nie czarne. A włosy...? – Rozłożyła szeroko ręce w geście bezradności. – Jesteście wielkimi, białymi ludźmi. Odróżniającymi się od otoczenia jak latarnie morskie od nabrzeżnych drzew.

Wentzel zachowywał kamienną twarz i nie sposób było odgadnąć jego myśli. Tomaszewski jednak właśnie teraz zrozumiał, dlaczego wuj tak akurat prowadzi rozmowę. On po prostu nakierowywał Kai, chcąc, żeby sama podsunęła jedyne rozsądne rozwiązanie. Przez nikogo nienaciskana. To miał być jej własny pomysł. Ale sukin...

– No to nie mamy w takim razie żadnej możliwości wysłania zwiadu – powiedział admirał, patrząc gdzieś przed siebie. Wcale nie na osobę, do której kierował te słowa.

– Mamy! – Kai zareagowała zgodnie z przewidywaniem. – Ja mogę polecieć na zwiad!

– Ależ, pani kapitan... – Admirał dobrze udawał, że się sumituje. – To zbyt niebezpieczne.

– Czarownica to zwiadowca doskonała, panie admirale. Nie wspominając, że wtopię się w tłum idealnie.

– Oj, za przeproszeniem, z pani urodą w żaden tłum się pani nie wtopi. Każdy mężczyzna nie będzie odrywał wzroku.

A to wredna świnia! Gdyby wzrok Tomaszewskiego mógł zabijać, byłoby w polskiej flocie o jednego admirała mniej. Widział, co tamten cynicznie robi z dziewczyną, ale nie mógł się odezwać.

– Dziękuję, panie admirale. – Kai wzięła komplement za dobrą monetę i uśmiechała się promiennie. – Nadal uważam, że jestem najlepszym kandydatem. By nie rzec: jedynym.

– Ale to bardzo niebezpieczna misja. Trzeba zapewnić pani maksymalne wsparcie. – Wentzel płynnie przeszedł od jej „zgłoszenia na ochotnika” do realizacji planu.

– Tak. – Michałowicz chyba nie zorientował się, jak dowódca wmanewrował dziewczynę w tę akcję, i brał wszystko za dobrą monetę. –

Ale bardzo trudno będzie znaleźć pani kapitan towarzysza, który zminimalizuje ryzyko. To przecież musi być ktoś stąd. I to ktoś, kto proch już wachał.

Wyszyńska domyśliła się planu Wentzla. Ale było jej wszystko jedno, a zwiad wydawał się priorytetem, bo powiedziała tylko:

– Najlepsza byłaby Shen, prawda?

Tomaszewski aż cmoknął.

– Lepiej byłoby chyba wybrać kogoś z własnych szeregów, nieprawdaż?

– Chyba. – Inżynier podkreśliła to słowo: – Chyba nie mamy.

– Z Shen łączą nas bardzo przyjazne stosunki – wtrącił Michałowicz.

– Ale została przywódcą partyzantów – mruknął Tomaszewski. – Nie zostawi tego i nie poleci dla nas na drugi kontynent.

Dopiero teraz zrozumiał, że też dał się wciągnąć w knowania Wentzla. Chciał coś dodać, lecz Michałowicz nie dał mu dojść do słowa.

– Racja, Shen odpada. – Tatar podrapał się w czoło. – Major Baranowski bardzo dobrze wyrażał się o swoim zwiadowcy...

– Słucham?

– Jeśli nie Shen, to może Nuk? Weteran, wykształcona, wyszkolona, i to w dwóch armiach, ochotnik, no i... Ta dziewczyna z całą pewnością nie zesra się na sam widok wroga. – Tatar nagle zdał sobie sprawę, że klnie w obecności kobiet. – Oj, przepraszam panie najmocniej. Czasem ten zupacki język mi się przyplątuje.

Wyszyńska uśmiechnęła się do starego wojaka.

– No to Nuk?

– Nuk.

Inżynier przeniosła wzrok na admirała.

– Nuk – potwierdził. – A Krzyś załatwi nam to z Shen, żeby puściła koleżankę z własnym błogosławieństwem.

Szlag! I tak się załatwia sprawy w marynarce. Ten piernik, stary wyjadacz w mgnieniu oka załatwił karkołomną sprawę, i to w ten sposób, że główna ofiara zgłosiła się na ochotnika. Niech go jasna cholera weźmie.

Wentzel nie zawracał sobie jednak już głowy drobiazgami.

– Kiedy podajecie obiad? – zapytał. – Bardzo zgłodniałem podczas długiego lotu.

– Obiad będzie, gdy rozpakujemy żywność ze zrzutów – odparł Tomaszewski sucho. – Chyba że pan admirał chce skosztować półsurowej koniny.



– Wiosna! Wiosna!

Przewodnik w ośnieżonych ostępach widział coś, czego nie widziała cała reszta partyzanckiego oddziału. Ludzie byli wymarznięci, skostniali i zmęczeni tak, że marsz przez las nie mógł już nabrać szybszego tempa, które mogłoby ich rozgrzać.

– Ciepły wiatr!

Chłop, który ich prowadził, najwyraźniej stracił rozum. Shen bała się nawet odwinąć szalik z twarzy, żeby nie wystawiać skóry na lodowate podmuchy. Tym bardziej że pulsująca tęnym bólem szczęka była bardzo wrażliwa na zmiany temperatury. Siłą rzeczy nie mogła więc zwymyślać durnia.

– Postój zarządź – wychrypiała. – Jak tylko znajdziesz dogodne miejsce.

– Postój nie, panienko. Nie tutaj.

– Dlaczego?

– Bo ciepły wiatr wieje.

No zwariował! Normalnie zwariował!

– Co ty bredzisz?

– U nas we wsi mówią: czujesz oddech wiosny, nie nocuj pod zboczem. Rano słońce lawinę obudzi.

– Jaką lawinę?! I gdzie tu jakieś zbocza widzisz?!

– Ano, panienko, po nocy ich nie widzisz. Ale my doliną podążamy. A zbocza i po jednej, i po drugiej stronie. Nieobytemu w okolicy wydaje się, że wśród drzew od lawin bezpieczny. Że las chroni. Ale kto tu choć raz ojca, brata albo syna szukał pod śniegiem, ten dobrze wie: nie śpij w dolinie, kiedy oddech wiosny czujesz!

Nie sposób było dyskutować z durniem. Wiosny mu się zachciewa. Dobrze sobie. Shen miała już dość swojego przewodnika. Młody chłopak lubił się popisywać, kluczył i błędził po lesie, chcąc rzekomo znaleźć „lepsze przejście”. A teraz jeszcze to ocieplenie, odczuwalne jednak wyłącznie dla niego. Obejrzała się do tyłu, na swoich ludzi. Zmęczenie

widać było gołym okiem. Oddział włókł się niemiłosiernie, a ludzie ciągnący sanie z nieprzytomnym Polakiem musieli wymieniać się coraz częściej.

– Co proponujesz?

– Ano trzeba nam iść na przełęcz zwaną Wrota Shah. A stamtąd do Kong już bliźutko. Wystarczy zejść w dolinę, nad morze.

– A daleko do tej przełęczy?

Chłopak wzruszył ramionami.

– To zależy, jak szybko będziemy iść. Normalnie to, idąc całą noc, nad ranem byśmy byli i w dzień można by zacząć schodzić. Ale...

Chyba bał się dokończyć zdania. Niemniej jego wzrok skierowany na grupę wlokących się noga za nogą partyzantów był zbyt wymowny, żeby mieć choć cień wątpliwości, o czym myśli. Niestety, Shen musiała go dobić jeszcze bardziej.

– Pochód przez całą noc jest absolutnie niemożliwy. Ludzie nie dadzą rady.

Dobra wymówka z tymi „ludźmi”, przemknęła jej przez głowę. Była absolutnie pewna, że ona sama nie dałaby rady iść w tych warunkach przez całą noc.

– Tu nie możemy zostać. Niech panienka uwierzy.

– Toteż wierzę. – Skrzywiła się i od razu dotknęła opuchniętego policzka. Każda próba powiedzenia czegoś głośniej sprawiała, że ból wzmagął się do trudnych do wytrzymania granic. – Nie ma innej możliwości?

Chłopak cmokał i wzdychał, nie chcąc na głos wyrazić tego, co myśli o ludziach „miękkich w nogach”. Nie mieściło mu się w głowie, że ktoś może nie chcieć zdążać najkrótszą drogą do nieodległego przecież w jego mniemaniu celu.

– Żeby dojść do Kong? – powiedział po dłuższej chwili namysłu. – Nie ma innej drogi.

– Nie żeby dojść, tylko żeby zanocować – wprowadziła małą poprawkę. Przewodnik znowu zaczął cmokać i wzdychać.

– Możemy zanocować w karczmie „U Łysego Handlarza”. Na trakcie.

– Świetnie. To idźmy tam.

Chłopak nie zrozumiał.

– Przecież musielibyśmy się cofnąć.



– Nie szkodzi. Dalej w tych warunkach nie pójdziemy.

– No ale wtedy zejdziemy na trakt. A traktem do Kong będzie ze dwa dni!

– Wszystko jedno – ucięła. – Prowadź do karczmy.

Nie słyszała, co tam mrucał pod nosem, i usiłowała się nie domyślać. Jednak udało jej się doprowadzić do rozsądnego wyjścia z sytuacji i tylko to się liczyło. Przewodnik po dłuższym sarkaniu też się chyba pogodził z losem, bo krzyknął:

– Wracamy! Idziemy nazad, do karczmy.

Nie wiadomo, jakich reakcji oczekiwał, oburzenia czy sprzeciwu. Był szczerze zdziwiony, że w głosach ludzi na tę wiadomość dało się usłyszeć jedynie ulgę.

Wcale nie zawrócili. Po prostu ruszyli skosem w odniesieniu do poprzedniego kierunku i tylko odrobinę w tył. Tempo marszu zmalało jeszcze trochę, bo teraz musieli się posuwać pod górę. Na szczęście w miarę łagodną, bo inaczej co słabsi już tu zaczęliby odstawać. Ale i tak nie wiadomo, do czego porównać ten marsz. Wędrowali bokiem do wiatru. Jego chlaszczące mrozem porywy sprawiały, że każdy odwracał głowę na bok. Łatwo się w takiej sytuacji zgubić, łatwo wejść na jakąś przeszkodę. Shen kazała więc rozwinąć linę, której każdy musiał się trzymać, przez co tempo marszu spadło znowu jeszcze trochę. Ciężko było iść, trzymając w dłoni coś, co szarpało w różnych kierunkach.

Trudno powiedzieć, jak długo tak szli, na szczęście niezbyt długo, bo Shen zachowała jeszcze resztki czucia w przemarzniętych stopach. Stromizna ustąpiła miejsca łagodniejszemu podejściu, a po chwili zamieniała się w równą, zaśnieżoną powierzchnię.

– Co to jest? – zapytała przewodnika.

– Trakt.

Żeby szlag tego przewodnika trafił! Ta wredna miejscowa świnia prowadziła ich wądołami, podczas kiedy niedaleko znajdował się ubity trakt? I tylko dlatego, że idąc nim, znacznie nadłożyliby drogi, a on musiałyby pracować o jakiś dzień dłużej? O nie. Shen postanowiła policzyć się z nim rano. Teraz jednak marzyła jedynie o odrobinie ciepła i czymś suchym, do czego mogłaby przyłożyć głowę.

Jednak mimo że tempo pochodu znacznie wzrosło, a wiatr wiał skośnie, w plecy, daleko było jeszcze do spełnienia jej marzenia. Shen powoli traciła

poczucie czasu. Nie miała już pojęcia, czy jest środek nocy, czy zbliża się świt. Sunęła przed siebie krok w krok, zobojętniała coraz bardziej i apatyczna. Coraz rzadziej upewniała się, czy wszyscy ludzie idą za nią. Na szczęście partyzant idący przy przewodniku zatrzymał się nagle.

– Światło!

Shen zatrzymała się również.

– To karczma – uspokajał przewodnik. – Doszliśmy do „Łysego Handlarza”.

– Ale tam coś stoi!

Nie sposób było dostrzec cokolwiek poza plamką światła. Człowiek, który szedł na szpicy, musiał mieć nieprawdopodobny wzrok. Niemniej cokolwiek by tam było, nic już nie mogło powstrzymać Shen przed dotarciem do suchego i ciepłego miejsca.

– Naprzód! – zakomenderowała. – Karabiny w pogotowiu.

Bliskość celu wiała energię w członków oddziału. Żwawiej ruszyli naprzód.

– Co to jest? Co tam stoi w śniegu?

– To ciężarówka.

– No ładnie. To tu są Polacy.

– Może i lepiej – powiedziała Shen. – Szybciej pozbędziemy się kłopotu. Wartownika widzisz?

– Nikogo nie widzę.

– No to wołajcie ich, żeby zaskoczenia nie było. Najgorsi są faceci wyrwani z nienacka ze snu. Zaraz dojdzie do strzelaniny.

– Hej! Hej tam! – przewodnik i partyzant idący na szpicy usiłowali przekrzyczeć wiatr. – Tu swoi! W pokoju przychodzimy.

Coś tam jednak działo się. Po dłuższym czasie otworzyły się jednocześnie drzwi i okno. W drzwiach stanął gospodarz, a w oknie widniała lufa erkaemu.

– Kto tam? – Łysy człowiek owinięty futrem podniósł do góry latarnię.

– Kto idzie po nocy?

– My od Shen. W spokoju przychodzimy. Po gościnę.

Z sieni wynurzył się człowiek w polskim mundurze. W jednej ręce trzymał pistolet, w drugiej latarkę. Po chwili przybyszów na drodze omiótł silny snop światła.

– Od Shen?

– To ja! Spokojnie. Przychodzimy po prostu do karczmy.

– No to broń zostawcie. – Tamten sądził, że jest wyjątkowo sprytny.

– To wy też zostawcie! – Shen nie dała sobie dmuchać w kaszę. – Jak wyrzucicie swoją na śnieg, to my swoją położymy obok.

Kadir, widząc, co się święci, wystąpił naprzód z uniesionymi rękoma.

– Spokojnie, spokojnie. My tylko do ognia, do ciepłej izby, jak i wy. Przecież nie walczymy ze sobą. I sprzecznych interesów nie mamy.

– A po co do Kong idziecie?

– Mamy jednego z waszych. Znaleźliśmy we wsi chorego.

W to najwyraźniej żołnierz z pistoletem i latarką nie chciał uwierzyć. Z drugiej strony nie miał najmniejszego pojęcia, jak się zachować. Z tego, co wiedział, dowódca lotniska rozmawiał z dowódcą partyzantów. Coś tam ustalili i żadnych wzajemnych wrogich aktów nie odnotowano.

Shen zrozumiała, że to nie żołnierz liniowy. Wart nie wystawił, procedur nie przestrzegał. Trzeba go tylko uspokoić. Podeszła więc bliżej i pokazała mu list gończy z własną podobizną.

– Poznajesz? – zapytała, a kiedy skinął głową, dodała: – To ty mi powiedz, co tu robicie.

– To tajne wojskowe zadanie! – obruszył się od razu.

– Oj, stary. – Uśmiechnęła się z trudem. – Ja rozpoznaję wasze stopnie wojskowe. I nie uwierzę, że młodszego sierżanta wysłano z misją najwyższej wagi państwowej. Pewnie kiszonki u chłopów kupujecie, żeby w bazie szkorbutu nie dostać. – Wskazała ciężarówkę.

Skrzywił się i przyznał jej rację. Kupowali kiszoną kapustę i ogórki. A poza tym demontowali sprzęt meteorologiczny z punktów kontrolnych, bo według prognoz ocieplenie ma nadejść i lawiny mogą zniszczyć urządzenia. Shen po raz pierwszy pomyślała z szacunkiem o swoim przewodniku. On mówił to samo, choć nie miał żadnych urządzeń.

– No dobra. – Sierżant, choć nie do końca przekonany, schował pistolet do kabury. – Chodźcie, nie będziemy tak stać na wicherze. – Cofnął się, robiąc im przejście. – Naprawdę znaleźliście jakiegoś Polaka?

– Już go niosą.

Shen pierwsza wkroczyła do ciepłego wnętrza. Prawie zachłysnęła się falą gorąca. Ból zęba wzmógł się natychmiast.

– Jeść... – jęknęła. – Ale coś miękkiego.

Gospodarz, rzeczywiście zupełnie łyśy facet, nawet bez brwi i rzęs, zrzucił już swój kożuch i zakrzętnął się przy kuchni.

– Na jednej nodze, jasnie panienko. Na jednej nodze.

– Tylko mięso, a nie jakąś fasolę! – dodał jeden z partyzantów.

– Ależ oczywiście! Od czasu jak tu garnizon obcych przy lotnisku stoi, to ja już cienko nie przędę. Interes się kręci, to i wszystko mam. – Pokazał z dumą, że miał nawet półkę, na której stały rzędem butelki. W środku na pewno był swojski bimber, ale w butelkach? Rzadki widok. To dla obcych z lotniska. Ech, zaraza jasna, czasy się zmieniały. W leśnej karczmie już i światowe cuda można było zobaczyć.

Polaków w środku było zaledwie czterech. Mieli trzy karabiny, pistolet i erkaem. Niskie szarże potwierdzały, że wyznaczone im zadanie było gdzieś na samym dnie skali ważności. Niemniej wszyscy czterej podskoczyli bliżej, gdy do izby wniesiono prowizoryczne nosze.

– O cholera! To naprawdę nasz!

– Cywil. – Jeden z żołnierzy powoli odwijał grube koce.

– Sanitariusz. Chodź tu z torbą!

Rosły żołnierz odstawił swój erkaem, z którym niezbyt sobie radził. Braki kadrowe na tej półkuli sprawiały, że nawet sanitariusz musiał dźwigać broń. Podszedł bliżej, kładąc na ławie torbę z czerwonym krzyżem na białym tle.

– Ale ja jestem sanitariuszem, a tu trzeba lekarza – powiedział.

– On jest nieprzytomny – stwierdził sierżant.

– No widzę. I co z tego?

– No to zrób coś. Daj mu jakiś zastrzyk albo pastylkę.

– Jaką?

– To ty jesteś medykiem. Zrób coś.

Sanitariusz pomógł koledze odwijać nieprzytomnego ze szczelnego kokonu koców. Mamrotał pod nosem, że tylko na froncie nauczyli działać, a tu żadnych ran postrzałowych nie widzi. Ani ran kłutych czy choćby złamań. I nawet gorączki u chorego nie stwierdza.

– Daleko żeście go znaleźli? – Sierżant spojrzął na Shen.

– Tak, w zapadłej wiosze. Do komendanta lotniska ciągniemy.

– Nagroda was nie ominie. Zapewniam.

– Zamiast nagrody muszę poważnie porozmawiać z waszym dowódcą.

Skinął głową.

– No to jeśli wy do Kong, to rano możemy was zabrać ciężarówką. Ma nowe łańcuchy, a i silnik powinien odpalić.

Słyszając te słowa, Shen poczuła niewyobrażalną ulgę. O tak, ciężarówką! Miała już serdecznie dość brnięcia przez zasy na własnych nogach.

Nie wiedziała o jednym. Sierżantowi dodatkowe dociążenie paki w tych warunkach śniegowych było bardzo na rękę. Biorąc pasażerów, miał w każdej chwili kilkanaście młodych, zdrowych ludzi do pchania samochodu przez zasy w razie potrzeby. Okolicznych dróg nikt przecież nie odśnieżał.

– Przepraszam. – Sanitariusz podniósł głowę znad legowiska nieprzytomnego człowieka i spojrzał na partyzantów. – Czy coś mu podawaliście?

– Tak. – Kadir podszedł bliżej i postawił na stole apteczkę, którą dostali od Siweckiego. – Środki przeciwgorączkowe. Tak jak jest tu napisane w instrukcji.

Żołnierz przytaknął. Nie komentował i nie dopytywał, skąd sprzęt marynarki w rękach partyzantów.

– No tak, to by tłumaczyło brak temperatury przy innych objawach.

– Wiesz już, co mu jest? – zapytał sierżant.

– Nie jestem lekarzem.

– Ale podaj mu coś, żeby żywy do bazy dojechał.

Sanitariusz wzruszył ramionami. Miał do dyspozycji tyle nowoczesnych leków, że z trudem panował nawet nad ich spisem. Przytłaczająca większość specyfików nie została przez niego nigdy wypróbowana. Na każdej fiolce widniał znaczek ostrzegający, że zawartość to lek eksperymentalny. Firma „Kocyan i wspólnicy” musiała mieć gdzieś poligon doświadczalny. Medyków nakłaniano wręcz, żeby szafowali wszelkimi lekami, pomagając miejscowej ludności w każdej potrzebie. Jedynym wymogiem było sporządzenie raportu na temat skuteczności i efektów ubocznych. Słuszne podejście, ponieważ w razie potraktowania jakiegoś nieszczęśnika czymś, co okaże się nieudanym eksperymentem, nie spowoduje to lawiny roszczeń od jego rodziny. Nikt też nie przyczepi się do eksperymentowania na ludziach. Na tych terenach firma „Kocyan i wspólnicy” zamieniała się w boga. Dobrotliwego, skorego do pomocy i potrafiącego sprawiać cuda – czasami tylko wyjątkowo okrutnego, jeśli eksperyment pójdzie nie tak.

Teraz jednak sanitariusz miał duży problem. Musiał coś podać nie miejscowemu, ale Polakowi. Jeśli w tym przypadku popełni jakiś błąd, to konsekwencje będą surowe. Długo zastanawiał się nad wyborem. Znaczką z napisem „Uwaga: lek eksperymentalny” odstraszały. Ale z klasycznych lekarstw generalnie miał do dyspozycji jedynie aspirynę. I co zrobić? W końcu wybrał dwie fiołki i zaczął przygotowywać pacjenta do zastrzyku.

– Co mu dajesz? – zapytał sierżant.

– Coś na wzmocnienie i coś na ustabilizowanie procesów życiowych. – Sanitariusz powoli napełniał strzykawkę. W instrukcji było napisane, że leki można podawać razem, więc je zmieszał. – Tak przynajmniej napisali na fiołkach.

– Robiłeś to już kiedyś?

– Zastrzyk? – zakpił lekko sanitariusz. – Tak.

– Czy podawałeś te leki?

– Pomóż przy opasce zaciskowej.

Szybka dezynfekcja i proces wbijania igły w żyłę zaciekały Shen. Sanitariusz pociągnął lekko za tłok, żeby sprawdzić, czy igła tkwi w żyłę. W szklanym pojemniku strzykawki pojawiło się trochę krwi. Chwilę później tłok zaczął wypychać mętny płyn ze zbiornika. Potem sierżant zwolnił opaskę uciskową.

Leżący na ławie chory otworzył oczy i szarpnął się mocno, jakby chciał unieść się na łokciach. Shen odskoczyła, wpadając na stojącego z tyłu Kadira. Rusznikarzowi też niewiele brakowało, żeby się przewrócić. Na szczęście jeszcze dalej stali inni i ich masa nie pozwoliła im upaść.

– A! – Pacjent miał strasznie suche usta. – Gdzie ja jestem?

– O kurwa mać! – wyrwało się osłupiałemu sierżantowi. – Coś ty mu podał?

Sanitariusz w szoku zwilżył leżącemu wargi zamoczoną w czymś watą. Zerknął na fiołki ze znaczkami ostrzegającymi o eksperymentalnej zawartości. O cholera... w tym przypadku eksperyment miał gwałtowny przebieg.

– Jest pan niedaleko polskiej bazy w Kong. Jutro pana tam zawieziemy.

– Martwy las... – Chory nie był zbyt przytomny. – Uciekłem z martwego lasu, tak?

– Partyzanci pana znaleźli. I przywieźli do nas.

– Martwy las, tak? Tak?

Shen zdecydowała się podejść bliżej.

– Nie. Znaleźli pana wieśniacy. W zwykłym lesie.

– Ale gdzie? – Mężczyzna szybko przenosił spojrzenie z jednej twarzy na drugą. Nigdzie nie mógł zogniskować wzroku na dłużej. – Gdzie jestem?

– W karczmie. Jutro zawieziemy pana na lotnisko. – Sierżant nachylił się nad chorym, ale ten odepchnął go gwałtownie. – Pojutrze będzie pan w szpitalu w Negger Bank – dokończył, stojąc już w bezpiecznej odległości.

– Byłem... byłem... – Mężczyzna mimo ożywienia nie był do końca przytomny. – Byłem w...

– Piekło? – poddała słowo Shen.

– Tak!

Sanitariusz wymienił spojrzenie z sierżantem, potem zerknął na dziewczynę.

– A może dać mu coś na uspokojenie? Jak pani sądzi? Wzruszyła ramionami.

– Mnie pytasz?

– Była z nim pani najdłużej. – Medyk nie miał pojęcia, co zrobić. – Widziała już pani u niego taki stan?

– Nie.

Shen nie znała żadnych medycznych procedur. Miała jednak swoją babską intuicję. Nagle podeszła do chorego i położyła mu rękę na czole.

– No mów. Mów.

– Ludzie wracali z martwego lasu... Wydawali się zdrowi, mogli żyć. Ale potem, po kilku dniach, pojawiały się rany... Na ich ciałach były rany...

– Jakie rany?

– Od oparzeń. A oni nie dotykali ognia. Nie mieli styczności z wrzątkiem. Parzyło ich zimne powietrze.

Shen poczuła suchość w gardle. Znowu dotknęła policzka, jakby chcąc sprawdzić, czy opuchlizna się powiększa.

– Jacy to byli ludzie?

Chory zdawał się nie słuchać. Co chwila przymykał oczy i zapadał w odrętwienie. Ewidentnie się uspokajał. Sanitariusz zauważył to i dawał znaki Shen, żeby kontynuowała.

– Jacy to byli ludzie? – powtórzyła.

– A potem zza martwego lasu przychodzili bezsenni – mężczyzna wymówił to jak nazwę.

– Kto?

– Bezsenni. Ci, którzy mogą przejść. Bezsenni.

– I gdzie oni są?

Mężczyzna mówił coraz ciszej i wolniej. Napięcie mięśni zdawało się ustępować.

– Są wszędzie – szepnął. – Tutaj też...

Shen rozejrzała się mimowolnie wokół. Jak zauważyła, nie ona jedna.

– Tam wszyscy umierali. Tam... – Mężczyzna walczył z opadającymi powiekami. – Bezsenni tam...

Zamknął oczy na dobre. Zasnął? Jeśli tak, to regularny oddech świadczył, że był to zdrowy sen. Firma „Kocyan i wspólnicy” mogła sobie odhaczyć plus przy numerze tego specyfiku, który dzisiaj podał sanitariusz. Dziś się udało.





## Rozdział 2



**A**ie, przestań! Rozkazuję ci, przestań natychmiast. – Głos Randa nie brzmiał tak stanowczo, jak chciałby tego jego właściciel.

Aie nie zamierzała jednak rezygnować. Klęczała przy sofie z drewnianym nożem w dłoni i nakłaniała swojego szefa, żeby wyszedł z kryjówki.

– Aie, odstęp natychmiast!

– Ale musisz się przecież nauczyć.

– Niczego się nie będę uczył!

– Nie leż tam – prosiła dziewczyna. – Wyjdź.

– Odstąp! Bo zaraz ktoś wejdzie i wiesz, co będą o nas mówić?

– No co? – szepnęła wyraźnie zaciekawiona.

– Dam sobie rękę uciąć, że już jutro pojawi się następująca plotka: „A wiesz, jak się skończyła ostatnia kłótnia pomiędzy Randem i Aie? No jak? Aie przyszła do niego na kolanach! Poważnie? I co mówiła? Krzyczała: Wyłaż spod sofy, ty tchórze!”.

Dziewczyna zaczęła się śmiać. Potem odłożyła drewniany nóż, którym przecież i tak nikomu nie można było zrobić krzywdy. Westchnęła ciężko.

– No to wyłaż spod sofy, ty tchórze.

Rand wyjrzał spod mebla dopiero po dłuższej chwili, a i to najpierw omiatając otoczenie ostrożnym spojrzeniem.

Nauka zabijania najwyraźniej im nie szła. Aie nie potrafiła mu wytłumaczyć najprostszych rzeczy. Rand na przykład nie chciał zbliżyć się do ofiary. Usiłował zadać słomianej kukle z naciągniętą tuniką cios

sztyletem, stojąc od niej na odległość ramienia. Tłumaczyła cierpliwie, że musi stać bliżej. Musi wręcz dotknąć własnym ciałem ciała ofiary. Stojąc na odległość ramienia, nie ma już przecież żadnego marginesu ani możliwości, by dalej wyciągnąć rękę i pogłębić cios. Niestety. Rand nie mógł się zbliżyć do kukły. Coś go blokowało. „Przecież on mnie wtedy będzie mógł zabić” – tłumaczył mętnie. „Ale zamachowiec przyjdzie tam wyłącznie po to, żeby cię zabić!” – odpowiadała. „On z góry będzie zdecydowany, żeby cię dopaść. Po to tam przyjdzie. Unikanie go nie ma sensu, bo wtedy wbije ci nóż w plecy. Stanie dwa kroki dalej też nic nie da, bo on te dwa kroki zrobi. I to natychmiast!”

Nic nie skutkowało. Trudno. Aie popchnęła Randa w stronę kukły na siłę. No i owszem, wbił sztylet w korpus. I to nawet w miejsce, które mu pokazywała. Puścił rękojeść i obserwował z zaciekawieniem, podziwiając chyba, jak pięknie sterczy. Dziewczynie opadły ręce. Usiłowała mu tłumaczyć, że jeśli będzie stał i patrzył, to nawet martwy teoretycznie zamachowiec zada mu i tak jeszcze kilka ciosów. Po drugie ofiara, choć ugodzona śmiertelnie, może nie umrzeć od razu. Jeśli znajdzie się medyk w pobliżu, to może nawet i uratować napastnika, a wtedy po wydobrzeniu czeka go przesłuchanie, w trakcie którego zostanie ujawnione dosłownie wszystko. Nie! Rand ma człowieka zabić na miejscu, a nie tylko wbić sztylet i patrzeć, co się stanie. Ponieważ nie wiedział, jak tego dokonać, tłumaczyła mu jak dziecku, że po wbiciu powinien z całej siły napierać na rękojeść, ruszać nią w każdą stronę i kręcić. Powinien poszarpać wszystkie naczynia krwionośne wokół i sprawić, że upływ krwi zabije zamachowca bardzo szybko. Rand oświadczył, że wtedy przecież ubrudzi się krwią.

Postanowiła więc zrezygnować z kukły. Z kilku witek związanych sznurkiem i rękojeści do chochli, która leżała przy naczyniu ze słodzonym winem, wykonała drewniany nóż, którym nikomu nie można było zrobić krzywdy. I zaatakowała nim Randa.

Niestety, właśnie w wyniku tej akcji mężczyzna ukrył się pod sofą. Była bezradna.

– No wychodź wreszcie. Nic ci nie zrobię.

Rand, jeszcze nieufny, powoli wysunął się spod sofy. Wstał ostrożnie i usiadł na zydlu. W sporej odległości od własnej ochroniarki.

– O co chodzi? – zapytał. – No nie nadaję się na mordercę i już.

Aie westchnęła. Potem uśmiechnęła się kojąco.

– Nie znam ludzi, którzy nie nadają się na morderców – powiedziała szczerze. – Takich nie ma.

Czysto teoretycznie był skłonny przyznać jej rację. Każdego można było doprowadzić do stanu, że mógłby kogoś zabić. Wielokrotnie jego organizacja korzystała z tej chyba jednak wrodzonej ludzkiej cechy. Ale akurat nie on. Pamiętał, jak strzelił z rewolweru do leżącego na bruku mężczyzny. Pamiętał, jak to odchorował. A przecież nie strzelał do niewiniątka. Dobił faceta, który chciał zabić jego. I co? O mało sam nie zszedł z tego świata. Nie, to nie dla niego.

– No to widzisz – po chwili namysłu powrócił do rozmowy. – Właśnie trafiłaś na wyjątek. Pierwszego takiego, co się nie nadaje.

– Brednie – skwitowała. – Ale zaraz sobie poradzę z tym, co cię blokuje.

– A co mnie blokuje? – Był szczerze zaciekawiony.

– Przede wszystkim się boisz. I nie ma w tym nic dziwnego. Każdy się boi.

– Ty też?

– Oczywiście.

– I potrafisz sobie radzić z tym strachem?

– Nie radzę sobie. – Wyraźnie się obruszyła. – Po prostu przyzwyczajam się do myśli, że strach jest zawsze, bo taka jego uroda. I już. Towarzyszy mi w każdej chwili i jedyna metoda to się z tym pogodzić.

Nie mógł jej zrozumieć. Czasami tęsknił do czasów, kiedy swoje wypowiedzi musiała zapisywać na tabliczce przymocowanej do ramienia. Sprawiało to, że wydawała się bardziej lakoniczna i stokroć bardziej precyzyjna w swoim przekazie od innych kobiet. Teraz jednak, odkąd Polacy podleczyli jej gardło i struny głosowe, okazała się gadułą jak każda baba. I nie byłoby w tym nic złego. Rand przecież uwielbiał rozmawiać z kobietami. Ale złe było to, że się z nim nie zgadzała i nie potakiwała. Ot co!

– Strach, jak i miłość, jest naturalnym stanem ducha każdego człowieka – podjęła Aie. – I nikt właściwie nie ma nad tymi uczuciami kontroli. A nawet gorzej jest, jak się w czymś życiu nigdy nie pojawi ani prawdziwy strach, ani prawdziwa miłość. Wtedy życie takiego człowieka można nazwać smutnym i straconym.

– Do brzegu, Aie – upomniał ją surowo.

– Musisz teraz zacząć strach oswajać. – Nie przejmowała się jego zniecierpliwieniem. – To, że się pojawi, jest pewne. Ale nie musi być paralizujący.

Wzruszył ramionami. Dobrze sobie. On niesparalizowany? On, który nie chce się zbliżyć nawet do słomianej kukły?

– Ten strach bardzo ci pomoże.

– Co?! – Poderwał się zaskoczony.

– Spokojnie. Najpierw rozwiejemy pewne twoje podstawowe obawy.

– Niby jakie?

– Pamiętaj, że nie wyślemy na ciebie zawodowego mordercy wyszkolonego w sztuce zabijania. Przecież domyślasz się, kto to będzie. Nie morderca, tylko jakiś niewydarzony skryba, który od wielu już lat hołduje religii polegającej na zapijaniu się codziennie w trupa. Będzie to człowiek rozżalony na cały świat, sfrustrowany własną małością, z pretensjami do wszystkich i koszmarną zawiścią do tych, którym się udało. A my mu pomożemy, nauczymy go nienawidzić ciebie, człowieka, jak mu wmówimy, winnego wszystkich jego nieszczęść. I jako najbliżsi przyjaciele pokażemy drogę zemsty. I w związku z tym pamiętaj... Nie zaatakuje cię sprawny, myślący zbir. Ponieważ niewyobrażalne jest, żeby w pałacu ktoś słał się na nogach, więc zaatakuje cię chory od nagłej trzeźwości typ, roztelepany i roztrzęsiony od alkoholowego głodu cień człowieka kierowanego wyłącznie ślełą nienawiścią. Sam wiesz przecież, jak to się robi.

Postanowił jej przerwać.

– I wyobrażasz sobie, że tak po prostu podejść do niego, wbiję sztylet i będę przekręcał ostrze?

– Nie – odparła spokojnie. – To on cię zaatakuje. Będzie łatwiej.

– I dobrze... Ty dalej sobie wyobrażasz, że on na mnie ruszy, a ja wbiję w niego nóż i...

– Tak. – Potrząsnęła energicznie głową. – Ja tylko sprawię, że to stanie się twoim odruchem. A myśleć o tym, co zrobiłeś, będziesz później.

– I przedtem! – wrzasnął. – Bo ja już teraz nie mogę myśleć o niczym innym.

– I dobrze – zlekceważyła go dokumentnie. – Najważniejsze, żeby wbicie noża stało się dla ciebie odruchem. A do tego trzeba ćwiczeń na kukle, a potem na wołowej tuszy.

- No nie! – Aż go zapowietrzyło. – Mam jeszcze dźgać martwą krowę?
- Wolisz świnie?

Załamał się. Zerwał się z zydlu i podszedł do naczynia ze słodkim winem. Nie, za słabe. Gdzieś miał tu ukrytą butelkę z czymś mocniejszym. Gdzie ją schował? Ach, w schowku na mapy! Ruszył w tamtym kierunku, ale dziewczyna domyśliła się, gdzie idzie, i osadziła Randa w miejscu jednym cichym i obojętnym zdaniem:

- Wódka nie pomoże.

Nawet nie podniosła głowy. A on stał tak pośrodku sali, bez sił, pozbawiony woli. Z najwyższym trudem zadał pytanie:

- A co pomoże?
- Kiedy zaczniesz wbijać nóż odruchowo. Bezmyślnie.

Parsknął jak koń. Nie wiedziała, o czym mówi.

- Za rok może mnie tak wyćwiczysz – zakpił.
- To się może udać już po trzech dniach, a może nawet jutro. Tylko musisz zmienić postawę.

Rozłożył szeroko ręce.

- Jak mam zmienić postawę, skoro wiem, że zaatakuję mnie jakiś uzbrojony szaleniec? A jedyną moją szansą jest mały sztylet w moim własnym trzęsącym się ręku.

Roześmiała się. Bez kpiny. Jakoś to nawet ciepło zabrzmiało.

- Oj, przecież nie idziesz tam podłożyć się pod atak szaleńca. Ty idziesz wykonać na nim egzekucję. Bo on ci się sam podłoży.

- Skąd wiesz? – Jego zaskoczenie było dosłownie niebotyczne.

Aie westchnęła po raz kolejny.

- Chodź tu i usiądź – zakomenderowała. – Opowiem ci o moich doświadczeniach.

Rand początkowo nie chciał się podporządkować. Potem jednak zbliżył się trochę i usiadł na sofie, tam gdzie leżał jej drewniany nóż. Usiadł w ten sposób, żeby odgrodzić potencjalne narzędzie zbrodni od dziewczyny. Nie zwracała uwagi.

- Zawsze chciałam się dowiedzieć, dlaczego akurat mnie zabijanie przychodzi z taką łatwością. – Zerknęła na niego, czy słucha.

- I do czego doszłaś?

- Do niczego – wyznała szczerze. – Ale przy okazji dowiedziałam się o wielu bardzo ciekawych sprawach. Wiesz? Rozmawiałam z wieloma

ludźmi. Z prefektami, dowódcami strażników, a nawet dozorcami więziennymi i katami.

– O czym?

– O przestępcach. O mordercach, gwałcicielach, nożownikach i takich tam różnych. Oraz o ich ofiarach. Bardzo ciekawa wiedza. A ja sama mam kilka bardzo ciekawych przemyśleń.

– Na temat bandytów?

– Tak. Na temat napastników i ich ofiar.

Rand zdołał się już na tyle uspokoić, że mógł zacząć myśleć choć w miarę racjonalnie. Co w aktach agresji może być takiego, czego zwykli ludzie nie są w stanie odkryć? Co można zrozumieć, analizując setki, a może i tysiące napadów?

– I czego się dowiedziałaś?

Aie z zadowoleniem spojrzała Randowi prosto w oczy.

– Otóż przytłaczająca większość napastników nie ma planu zapasowego – powiedziała triumfalnie.

Rand, niestety, nie zrozumiał. Patrzył na Aie zbaraniałym wzrokiem i nawet przemknęło mu przez głowę, że to część treningu. Dziewczyna chce go zagadać, a potem zada znienacka jakiś przerażający cios, który pozbawi go oddechu, i powie, żeby nigdy nie dawał się zagadywać. Albo coś w tym rodzaju. Ale nie. Plan Aie był jednak inny.

– Posłuchaj mnie uważnie i podejdź do tego bez emocji.

Zgodził się niechętnie.

– No dobra, spróbuję.

– Każdy napastnik ma plan działania. Przed akcją planuje, co i jak. I w związku z tym musi bardziej lub mniej świadomie zaplanować, jak zachowa się ofiara.

– To chyba nie jest szczególnie trudne. Jeśli jest słabsza, to będzie uciekać, jeśli silniejsza, będzie się bronić.

Aie zaczęła się śmiać i kręcić głową.

– Nie. To nie jest takie proste. Słuchaj i nie przerywaj.

Skinął głową.

– Każdy napastnik usiłuje działać z zaskoczenia. I w związku z tym, nawet jeśli nie wyobraża sobie działań ofiary krok po kroku, to jednak jakichś konkretnych się spodziewa. I jest przygotowany na to, żeby te działania obrócić wniwecz. Przykładowo: gwałciciel dopada kobietę i jest

przygotowany na jej opór. Oraz na to, żeby go zdławić. Ale co się dzieje, jeśli kobieta walczy do końca? Wierzga, a przede wszystkim przeraźliwie krzyczy?

– Napastnik może ją nawet zabić.

– Owszem. Ale nie mówimy o zimnym mordercy, a jedynie gwałcicielu, który chce użyć zboczonej przyjemności, a nie kogoś zamordować. Jeśli kobieta krzyczy i nie udaje się jej łatwo zakneblować, to napastnikowi sytuacja przestaje się podobać i najczęściej odchodzi.

– A oni nie czerpią przypadkiem przyjemności właśnie z tego, że robią to przemocą?

– Owszem. Ale tylko do pewnego stopnia. Rozmawiałam z wieloma prefektami i każdy twierdził, że w większości przypadków przeraźliwie i konsekwentnie krzycząca kobieta unika najgorszego.

– Dziwne.

– Wcale nie. Napastnik nie ma planu zapasowego. Zaskoczony nie wie, jak się zachować. Jeśli ofiara nie postępuje tak, jak się tego spodziewał, to po prostu głupieje i nie wie, co zrobić.

– A niby jak ofiara ma zaskoczyć przeciwnika? – obruszył się Rand. – To po pierwsze. Bo po drugie nie uwierzę, że morderca się cofnie, jeśli jego cel zacznie krzyczeć.

– Oczywiście, że nie. Bo spodziewa się krzyku. Ale opowiem ci historię, którą usłyszałam od żołnierza, weterana.

– Z wojsk cesarskich?

– Tak. Otóż podczas bitwy doszło do regularnego mordobicia. Jeden na jednego, a raczej jeden na jedną, bo nasi żołnierze to kobiety.

– Jak się domyślam, oni byli górą?

– No siłą rzeczy, gdy się walczy na noże. I właśnie ta weteranka znalazła się w takiej sytuacji. Obcy żołnierz leży na niej, trzyma ją za rękę z nożem, a ona jego nadgarstek. Ale to on jest silniejszy. Waży za dużo, żeby go zrzucić, jest zbyt doświadczony, żeby się wysliznąć. No i mogła w oczach, bo ostrze jego noża jest coraz bliżej jej gardła. Jest za słaba, nie wytrzyma dłużej.

– I co zrobiła? – Rand zaciekawiał się wyraźnie.

Aie spojrzała na niego wesoło.

– Pocałowała go prosto w usta. Namiętnie.

– Co?!



Zaczęła się śmiać.

– No widzisz? Nawet ciebie to zaskoczyło.

– No ale zysk jaki? – Rand dalej nie rozumiał. – Co niby? Chciała go przekupić własnym ciałem?

– Nie! Chciała zrobić coś, co go zaskoczy. Co sprawi, że zbaranieje i przerwie zabijanie.

– Udało się? – Rand nagle syknął na samego siebie. Skoro Aie teraz mu opowiadała tę historię, to oczywiste jest, że weteranka przeżyła. Inaczej nie mogłaby opowiadać.

– Korzystając z zaskoczenia, zdołała przekręcić rękę na tyle, żeby dziabnąć tamtego w nadgarstek. No i przewróciła go na bok, a potem uciekła. Wiele więcej nie pamięta.

– Banalna historia. Mam nadzieję, że nie każesz mi się całować z zamachowcem?

Aie, załamana niepojętnością ucznia, uspokajała się przez krótką chwilę, gwizdząc pod nosem. Potem podjęła znowu:

– Jako człowiek wykształcony na pewno czytałeś wiele dworskich kronik i tym podobnych dokumentów. A tam roi się od opisów w rodzaju: „Księżę uniósł stół biesiadny i jego ciężarem zabił napastnika”.

– Czytałem. Przecież to brednie.

– Nie. To cię prawdziwych wydarzeń. W uniesienie stołu biesiadnego oczywiście nie ma co wierzyć, ale to kalekie odbicie czegoś, co naprawdę miało miejsce.

– Czego?

– Jakiegoś pałacowego zamachu. Podczas którego musiało stać się coś, co pokrzyżowało plany zamachowców. A nie mieli planu zapasowego, nie wiedzieli, co robić, jak posypie się ich jedyny plan działania. I co? Wielcy państwo, zamiast fechtować się czy choćby używać sztyletów, zaczęli się normalnie napażać meblami niczym kmiecie w karczmie. Raz przerwana realizacja planu jest już nie do powtórzenia. Nie było planu zapasowego, to i skończyło się tak, że księżę z gośćmi pozabijali nasłanych morderców nogami połamanych krzesel. Dla kroniki potem się to uwzniosliło i napisało, że poradził sobie sam księżę, i to za pomocą biesiadnego stołu, którym fechtował lepiej niż niejeden mieczem.

– Jesteś pewna, że taki był pierwovzór opisanych zdarzeń?

Aie podskoczyła jak ukąszona przez gza.

– Jestem pewna tylko tego, że zaraz będę miała kobiecą dolegliwość i w związku z tym jestem wściekła jak borówka na mrozie, a każdy drobiazg mnie wpienia do imentu!

Aie po raz pierwszy tego dnia krzyknęła z całą siłą, a jej ochrypnięty głos nadał dodatkowe znaczenie temu, co powiedziała. Rand wiedział, że w żadnym wypadku nie należy reagować na wybuch ani wypytywać, skąd dziewczyna wie, co czuje borówka na mrozie.

Dziewczyna uspokajała się długo.

– Ten, który będzie chciał cię zabić, również nie będzie miał zapasowego planu.

– Czym zaatakuje? – Rand usiłował być rzeczowy.

– Nożem. Ale wojskowym, dość tępym – zachnęła się. – Takim czymś żołnierz weteran to może i mógłby cię zabić. Pijany skryba na pewno nie.

Rand nagle zdał sobie sprawę, że słowa Aie, a także jej wybuch sprawiły, że nie reaguje już histerycznie na samą myśl o morderstwie, które będzie musiał popełnić. Zresztą może inaczej. Dopiero teraz w sposób tak jasny zdał sobie sprawę, że przez cały czas rozmawiają o morderstwie. Poczuli oczywiście, jak zbiera się w nim fala mdłości, ale to nawet w małej części nie było to, co wstrząsało nim rano. Coś ograniczyło strach. Hm...? A może to ciekawość?

– A ja czym... – urwał nagle, bo zdał sobie sprawę, że nie wie, czy zdoła wypowiedzieć słowo „zabiję”.

– Sztyletem. – Zrobiła małą przerwę, by zaraz dodać: – I nie bój się. Najlepszym, dahmeryjskim, ostrzonym i wyważanym przez mistrza.

– Tylko moja ręka nie mistrzowska – wyrwało się Randowi.

– Nie będziesz się z nikim fechtował. Zresztą sztylet nie od tego.

– Wiem, że powtarzałaś to wiele razy, i przepraszam, że ciągle dopytuję – powiedział. – Ale jestem amatorem. Jestem zbójem początkującym dopiero.

Trochę ją rozbroił. W każdym razie spojrzała na niego z cieniem sympatii. Co zważywszy na zbliżającą się kobiecą przypadłość, było dużym osiągnięciem.

– No dobra – powiedziała. – Zabij nareszcie tę kukłę, bo strasznie mnie wkurza.

Rand wziął głębszy oddech. Posłusznie jednak poszedł po swój sztylet. A potem, choć dużo bardziej niechętnie, podszedł do kukły.

– Pamiętaj – przypomniała mu Aie. – Masz wybić zamachowca z rytmu. Jeśli pokrzyżujesz mu jego plan, to pamiętaj, że on nie ma zapasowego.

– Mam go pocałować? – zachnął się.

Aie zachichotała.

– Wiesz, miłość między mężczyznami nie jest już zakazana jak przed tysiącem lat, ale uwierz mi, lepiej się z tym nie afiszuj.

– Nie żartuj! – zachnął się. – Co mam zrobić?

– A jak myślisz? Czego się napastnik po tobie spodziewa? Co powinieneś zrobić, gdy już go zobaczysz z wojskowym nożem obok siebie?

– Pomyśli, że będę uciekał – mruknął Rand. I dodał: – Będzie miał świętą rację!

– No właśnie. A ty go zaskoczysz i zrobisz coś, czego nie zrobi nikt na widok zbliżającej się śmierci.

– Co? – Spojrzał na dziewczynę niepewnie.

– Ruszysz w jego kierunku. Aż zetkniecie się ciałami. Możesz się nawet przytulić, jeśli przy okazji chcesz czerpać z tego przyjemność.

– Nie żartuj, mówiłem. – Rand uczynił krok w kierunku kukły. I w tym samym momencie zrozumiał, co robi. – No coś ty?! – Zatrzymał się nagle. – Przecież on będzie mnie gonił, a jak zawrócę, to od razu przebije mnie nożem!

– Tak właśnie myśli każda ofiara. A ty zrobisz inaczej.

Zaczęła cierpliwie tłumaczyć, że goniąc i atakując, napastnik będzie trzymał nóż ostrzem od kciuka w dół. Inny chwyt jest nieracjonalny. A w takiej sytuacji jeśli ofiara zawróci i przypadnie do zamachowca, on nie będzie miał jak wbić noża, bo źle go trzyma. Fachowiec, najlepiej szermierz natchniony, jak choćby legendarna Achaja, by sobie z tym łatwo poradził. Jednym przerzutem noża w samych palcach. Jednak niedopity tego dnia, roztelepany skryba już sobie nie poradzi. Ponieważ nie ćwiczył tak długo jak Achaja i nie wziął udziału w takiej liczbie śmiertelnych pojedynków jak ona. Mówiąc prościej: on w ogóle nigdy nie ćwiczył i nie wziął udziału w żadnym pojedynku poza słownym, czyli obrzucaniem się bluzgami w karczmie. Czy to jasne?

Rand bez przekonania skinął głową.

– No to do roboty. Zabij go!

Postanowił zaskoczyć Aie swoim brakiem wahania. Znienacka ruszył do przodu, dopadł do słomianej kukły, objął ją i wbił sztylet dokładnie w szyję przeciwnika, od razu kręcąc rękojeścią z całej siły i na wszystkie strony.

Krew chlusnęła mu na twarz, na klatkę piersiową i zalała ręce. Krzycząc z przerażenia, odskoczył, z trudem panując nad równowagą na zalanej czerwienią podłodze.

– Aaaa...!

Przerażony do granic patrzył na własne dłonie. Aie doskoczyła do Randa i chwyciła go za nadgarstki.

– To tylko manekin! – musiała zgadywać jego myśli. – Nic z niego nie wyciekło!

– A... a...

– Krew nie wytrysnęła z szyi. To tylko kukła!

Roztrzęsiony spojrzął na dziewczynę błędnym wzrokiem.

– Spokój! I bez hysterii! – nakazała swoim ochrypłym głosem. A jemu wydało się, jakby istota z bezdennej otchłani zatracenia mówiła do niego. – To tylko kukła! Powtórz!

– Bogowie...

– Powtórz! – Podsunęła mu pod oczy jego własne spocone dłonie. Bez śladów krwi.

– Powtórz!

– To tylko kukła – wyszeptał.



Kompania piechoty morskiej zajęła stanowiska obronne szerokim kręgiem w głąb lasu. Dwie kompanie Tatarów odgradzały teren od strony świątynnych zabudowań. W ten sposób powstał idealnie chroniony obszar, w którym oprócz drzew nie było nic. A nawet korony tychże zostały przepatrzone sprzętem na podczerwień, czy przypadkiem nic się w nich nie kryje. Cała ta zabawa służyła tylko temu, żeby pan admirał miał gdzie na osobności porozmawiać z siostrzeńcem. Na osobności! Świątynnym murom nie ufał. Za dużo tam było kryjówek, w których mogło znaleźć schronienie niepożądane ucho. Wśród własnych oddziałów pewnie sami szpiedzy. Wśród wojsk garnizonu Kong? A cholera przecież wie, czy któraś z nich nie mówi po polsku. Cóż więc pozostało? Odgradzona ściśle połać lasu. Z

dała od jakichkolwiek uszu i dzięki ochronnemu kordonowi bezpieczna od dzikusów.

Wentzel prowadził Tomaszewskiego na sam środek wydzielonego rejonu. Póki nie osiągnął celu, nie rozmawiali o niczym istotnym.

– Mam dla ciebie awans, Krzysiu. – Admirał zerknął na Tomaszewskiego. – No i gratuluję ci stopnia komandora porucznika. Już pełnego.

– Nie potraktują tego jako nepotyzmu?

– Nie. Z wnioskiem wystąpił Ossendowski. Niestety, ze sto razy przypominał mi, żebym koniecznie powtórzył ci jego ostrzeżenie.

– Jakie?

– Powiedział: „Niech on tylko nie wierzy w te czary. Bo nici będą z dalszej kariery”.

Tomaszewski westchnął ciężko.

– No i przy takim podejściu współpraca wydaje się niemożliwa.

– A jest konieczna. Powiem więcej. To nasza jedyna szansa.

– Dlaczego?

– Jeśli nie poprze nas najwyższa władza w kraju, to nie damy rady tym wszystkim ciemnym sprawom. Tylko przy wsparciu najwyższej władzy możemy myśleć o sukcesie.

Tomaszewski zatrzymał się na chwilę.

– Nie przesadzasz z władzą admirała Ossendowskiego?

– Krzysiu, Krzysiu, Krzysiu... Ty pomyśl o jednym. Za jakiś czas klauzula tajemnicy dotycząca naszych działań zniknie. I co się okaże? Naród dowie się, jakie niewyczerpalne bogactwa są tu do naszej dyspozycji. Dowie się, że właśnie zakończyliśmy kryzys w RP, a może nawet kryzys światowy. Że zaczynamy zmierzać mocarstwową ścieżką. I dzięki komu? Toż to książę Ossendowski.... Tfu! Tego tytułu nie wolno używać. Że nasz admirał, wielki mąż stanu to wszystko osobiście własnymi uczynkami, własnym przemyśleniem i staraniem uczynił. I kto będzie następnym prezydentem Polski? No to ja ci już powiem. Za kilka lat Ossendowski przeniesie się z gabinetu na lotniskowcu do gabinetu na Zamku! A w tamtym gabinecie są lejce całej Rzeczypospolitej. I to my może będziemy podpowiadać, za które ciągnąć, a które popuszczać.

Admirał ruszył dalej powolnym krokiem. Tomaszewski był trochę oszołomiony politycznymi aspiracjami Wentzla. No właściwie... Żołnierze

na polskim tronie i prezydenckim fotelu już się zdarzali. Być może czas więc i na marynarza?

– Kazałem stworzyć i zarejestrować nową odznakę bojową – zmienił temat admirał. – „Rajd na Banxi”. Przywiozłem odpowiednią ilość, więc rozdaj później swoim ludziom.

– Ooo... Będą mnie na rękach nosić. – Tomaszewski wyraźnie się ucieszył. – Nie sądziłem nawet, że wojsko jest tak blisko harcerstwa i każdy chce mieć na rękawie jak najwięcej sprawności.

– Nie śmiej się. – Wentzel wbrew własnym słowom uśmiechnął się szeroko. – Kiedy zdejmą z nas tajemnicę, to ta odznaka stanie się we wszystkich koszarach przedmiotem kolosalnej zazdrości. Będzie ją miało tylko trzystu facetów, którzy byli tu z tobą.

Tomaszewski wiedział, że wuj ma rację. Tylko trzysta sztuk. To będzie więcej warte niż niejeden KaWu niższej klasy.

– Czy dostanę odznakę z numerem jeden? – zapytał.

– Wszystkie są bez numerów. Zgodnie z regulaminem polowym.

Tomaszewski czuł coś kojącego w tym, że regulaminy marynarki obowiązują wszędzie. Tak samo w garnizonie warszawskim i tak samo gdzieś za Górami Pierścienia, w miejscu, którego nie ma na żadnej mapie, na końcu świata. Obojętnie, czy jest się otoczonym przez oficerów sztabu na jakimś raucie w stolicy, czy dzikusami w nieprzebytej kniei, gdzie rządzą czary i magia. Paragrafy regulaminu i pieczętki są wszędzie jednakowo ważne. Uśmiechnął się do siebie.

W pewnej chwili admirał uznał, że są już w miejscu oddalonym od jakichkolwiek uszu na całym wielkim świecie. Niestety, wokół nie było niczego, na czym można by usiąść. Wentzel skwitował to krótko:

– No to co? Musimy załatwić sprawę jak mafia. Na szybko i na stojąco.

– Będę się streszczał.

– Tak. Tylko najważniejsze sprawy. Co powiedziała ci Wyszyńska?

Tomaszewski pochylił lekko głowę. Potem podniósł ją, bo daszek za bardzo zasłaniał mu twarz i nie widział oczu rozmówcy.

– Przyznała się, że jest z innej planety.

Wentzel zachował kamienną twarz.

– To tutaj... Ich przybycie do naszego świata to inwazja?

– Zaskoczę cię. Wyszyńska twierdzi, że to sprawka sekty Osiatyńskiego.

Tego już admirał nie zdzierzył. Rozpiął górne guziki swojego wspaniałego płaszcza i z wewnętrznej kieszeni wyjął srebrną piersiówkę. Pociągnął łyk, a potem drugi. Oczywiście nie poczęstował Tomaszewskiego. Przecież jakiś tam komandor porucznik nie jest godny, by pić z admirałkiej piersiówki, nawet jeśli prywatnie jest jego siostrzeńcem.

– Możesz jaśniej?

Tomaszewski zaczął opowiadać szczegóły zdarzeń, które miały miejsce od momentu, gdy z Mielczarkiem dotarli do tajemniczego ołtarza. Wentzel słuchał z napiętą uwagą. Jego twarz nie zmieniała wyrazu, nie drgnął ani jeden mięsień. Po kwadransie mniej więcej uznał, że wie już wystarczająco dużo, i zaczął zadawać pytania.

– Reasumując, można powiedzieć, że Osiatyński, wykorzystując urządzenie skonstruowane przez tak zwanych bogów, przedostał się na Ziemię?

– Tak, jak by to powiedzieli miejscowi: do wylęgarni mitycznych potworów, Ziemców.

– I to nie rząd wysłała tu do nas tych „inżynierów”?

– Tam nie ma światowego rządu, tak samo jak u nas nie ma. Nasz świat jest prawie idealną kopią ich świata, tyle że zapóźnioną w rozwoju o jakieś osiemdziesiąt parę lat. No niestety, coś zawiodło w boskim planie i nie udało się stworzyć kopii w stu procentach idealnej.

– Rozumiem, nikt nie chciał mu wierzyć, więc księżę stworzył tam sektę. I Wyszyńska przedstawia się wręcz jako wysłannik Osiatyńskiego?

– W wielkim uproszczeniu i trochę przeinaczając, ale... tak. Przedstawia się jako nasz sojusznik.

– A to sprytna baba. – Wentzel w podziwie kręcił głową. – Podobno Indianie mówią, że wielkość człowieka mierzy się wielkością jego wrogów. No to dzięki Wyszyńskiej jesteśmy chyba najwięksi na świecie.

– Ja też czuję podziw i szacunek do niej jako wroga...

– Mam dziwne podejrzenie, że czujesz do niej co innego – Wentzel przerwał Tomaszewskiemu w pół słowa. – Ale mniejsza z tym. – Machnął ręką. – Ty rozmawiałeś z nią wtedy, w kluczowym momencie, patrząc jej w twarz. Wiem, że nie zgadniesz, czy jest szczerą, czy nie, ale widziałeś jej oczy. Co o niej powiesz?

Tomaszewski podziwiał wuja, że jest zdolny analizować takie elementy jak wyraz twarzy. Jak odczucie dotyczące szczerości w ekstremalnych

sytuacjach, w których ciężko coś ukryć i zapanować nad sobą.

– Nie chcę ci kadzić, ale jak zwykle masz rację. Był taki moment. Zobaczyłem jej autentyczną reakcję.

Wentzel patrzył siostrzeńcowi w oczy z niesłabnącą uwagą.

– Opisz, co się stało.

– Obłożyłem ołtarz materiałem wybuchowym, chcąc szantażem wydobyć prawdę. Jeśli mi nie odpowie na wszystkie pytania w sposób, który mnie usatysfakcjonuje, to wypieprzę tę konstrukcję po prostu w kosmos. A jeśli będzie usiłowała mi przeszkadzać albo wręcz zabić, to Mielczarek miał rozkaz wysadzić i ołtarz, i nas oboje.

– W desperację popadłeś – mruknął admirał i trudno było wyczuć, czy powiedział to z aprobatą, czy naganą w głosie.

– Musiałem wiedzieć.

– Rozumiem.

Tomaszewski wyjął papierosa i zapalił na mrozie, mimo że palenie w tych warunkach na powietrzu nie dawało żadnej przyjemności. Zaciągnął się do samego dna płuc, czując, jak drobne igielki szczypią mu gardło.

– Podczas całej rozmowy wydawała się szczerą – powiedział, wydmuchując dym. – Ale to tylko moje subiektywne wrażenie. Wszystko zmieniło się jednak w jednej chwili.

– Kiedy ten ślepy podróżnik zaczął mówić po angielsku?

– Tak. Wyszyńska w ułamku sekundy zrozumiała, jak dramatycznie zmieniły się warunki. Zrozumiała, że z przesłuchiwanej dziewczyny na mojej łasce stała się panią sytuacji. I wtedy na pewno nie udawała. Runęła w stronę ołtarza i zaczęła wyrywać kable z detonatorów z wyrazem takiej radości, że najlepszy aktor nie mógłby tego zagrać.

– A tak się nie zachowuje agent rządowy, prawda?

– Właśnie. Ona to robi z powodu idei. Inteligentna zołza.

– Bo?

– W trakcie przesłuchania dałem jej swój notes i ołówek. Żeby zapisała wszystkie nazwiska dziwnych inżynierów, jakie zna. Bo my przecież do wszystkich nie dotarliśmy.

– No, no?

– A ta mała, udając, że pisze, przeglądała po prostu moje prywatne notatki.

Wentzel zaczął się śmiać.



– Tak, tak, wielkość naszych wrogów w tym przypadku świadczy o nas bardzo dobrze – powiedział rozbawiony. – Czasem mamy znacznie większych niż my – chichotał.

Potem spowaźniał i bezceremonialnie wyjął Tomaszewskiemu z ust papierosa, żeby go dokończyć.

– Zdała sobie sprawę, że jest dla nas niezbędna? – powiedział. – Razem ze swoimi kolegami? Że kiedy tu już są Amerykanie, czy kto tam, to sami nie damy rady. Nieważne, ile mamy w kaburze bomb atomowych. Jeśli ich użyjemy, to reszta zrobi sobie takie same. Ameryka i Rosja już za trzy lata, reszta rozwiniętych za jakieś dziesięć.

– Sztab robi takie analizy? – zapytał Tomaszewski.

– Ano robi. Nie możemy stanąć sami wobec reszty. Nieważne są nasze eksperymentalne bombowce, okręty podwodne czy krokocierze. Ważne jest osiemdziesiąt lat przewagi technicznej i inżynierowie, którzy przybywają tu tylko „odrysowywać swoje stare schematy techniczne”. To jest władza nad światem. I Wyszyńska zrozumiała, że teraz musimy się z nią i jej podobnymi układać, niezależnie od tego, co się stanie.

– Albo... – Tomaszewski szeroko rozłożył ręce. – Nie kazałem Mielczarkowi neutralizować materiałów wybuchowych. Ołtarz możemy wysadzić w każdej chwili.

Admirał pokiwał głową.

– Najtrudniejsza decyzja w życiu – powiedział smutno. – I to bez możliwości spytania władzy, bo przecież Ossendowski zawału dostanie, gdy mu powiemy o czarach i teleportacji ludzi z innej planety.

– Właśnie.

– A ty co o tym myślisz, Krzysiu?

– Nie wysadzać! – powiedział Tomaszewski zdecydowanie. – Ja wiem, że to naraża nas na jakąś inwazję ze strony Ziemi. Ale tu grożą nam jawnie wrogie siły. Jakaś zakonna organizacja, która przedostała się wieki temu na naszą stronę gór. Być może są w jakiś sposób usadowieni w sztabie armii lądowej. Ktoś przecież zorganizował tu wyprawę czarowników, żeby pokrzyżować nam szyki. Na szczęście Baranowski okazał się człowiekiem na poziomie i wygrał wyścig tylko po to, żeby zagrać mi na nosie. Potem złożył podjęcie decyzji w moje ręce.

Wentzel zaciągnął się po raz ostatni i odrzucił niedopałek.

– Obawiam się, że będziemy musieli z tą ciężką decyzją pozostać. I to co gorsza, sami.

– Na to wygląda.

– No dobra. – Admirał zebrał się w sobie. – Żeby nas ta decyzja nie sparaliżowała, ruszamy do roboty. Po pierwsze musimy się dowiedzieć czegokolwiek o działalności Zakonu po naszej stronie gór. Po drugie musimy wiedzieć, kto wysłał czarowników do Banxi.

– Po trzecie – Tomaszewski włączył się do wyliczanki – trzeba stwierdzić, czy Zakon i czarownicy to nasi wrogowie.

Wentzla zatkało na moment.

– Co? – powiedział dopiero po krótkiej chwili.

– Tak naprawdę to nie wiemy nic o układzie sił, w który brutalnie ingerujemy.

Admirał przełknął ślinę. Wolał nie komentować.

– A teraz realnie – powiedział, podkreślając słowo „realnie”. – Po trzecie musimy ustalić pełną listę inżynierów z Ziemi, którzy infiltrują nasz przemysł.

Tomaszewski uśmiechnął się szeroko.

– A to już wymyśliłem, jak zrobić.

Admirała zatkało po raz drugi.

– Jak? – spytał sucho.

– Rozwiązanie podsunęła mi sama Wyszyńska. Wiemy z naszego śledztwa, że jej ciało urodziło się jako Marta Wiencek, prawda?

– Tak.

– Ona sama żaliła się, że nie lubi swojego imienia Jadwiga. A skoro to imię, jak i nazwisko są fałszywe, to dlaczego nie przyjęła sobie takiego imienia, jakie wydawałoby jej się ładne? Tu tkwi rozwiązanie.

– No, no?

– Bo to nie jest fałszywe nazwisko. Przybrane, ale prawdziwe. Myślę, że firma „Kocyan i wspólnicy”, szukając sposobu zdobycia prawdziwych papierów dla swoich kumpli, szukała grobów dzieci na prowincjonalnych, przykościelnych cmentarzach. Szukali noworodków, ochrzczonych i pochowanych, ponieważ zmarły przy porodzie. Więc w dokumentach państwowych poza statystyką ślad po nich nie pozostał. A metrykę takiego dziecka wydobyć łatwo pod jakimś wydumanym pozorem, albo wręcz za

łapówkę. Mając metrykę, wyrobić prawdziwe dokumenty to już bułka z masłem.

– No tak. Dlatego Wyszyńska nie mogła sobie wybrać imienia i nazwiska, bo ma nie fałszywe, tylko prawdziwe. Tyle że cudze.

Admirał zrobił krok do przodu i położył siostrzeńcowi rękę na ramieniu.

– Krzysiu – powiedział cicho – ty w przeciwieństwie do wielu innych oficerów na karku masz głowę zamiast dyni. I cieszę się, że na ciebie postawiłem.

Przerwał im okrzyk jakiegoś żołnierza:

– Panie admirale! Panie admirale!

– Tutaj!

Zdyszany chorąży piechoty morskiej dobiegł do nich, osypując śnieg z gałęzi, o które zaczepiał.

– Melduje się...

– O co chodzi? – Admirał powstrzymał meldunek ruchem ręki.

– Odkryliśmy tymi aparatami na podczerwień, że dzicy tu podchodzą. Przeskakują z korony drzewa na koronę jak wiewiórki. Panowie oficerowie powinni się ewakuować w stronę świątyni.

Wentzel był wyraźnie zdziwiony, że dzikusy nie dawały ciągle za wygraną. Zastanawiał się przez chwilę, potem jednak powiedział do Tomaszewskiego:

– Dobrze, w takim razie o reszcie spraw pogadamy później. Chodźmy.



Warty na obrzeżach lotniska nie chciały wpuścić na teren bazy obcych, uzbrojonych ludzi, którzy siedzieli na pace ciężarówki. Dzwonienie na wartownię niewiele dało. Sprawę rozstrzygnął dopiero wezwany z wieży porucznik Jabłoński.

– Ach, my się przecież znamy! – W świetle latarki rozpoznał Shen, mimo że trzymała przy opuchniętym policzku namoczoną w roztopionym śniegu chustkę. – Co się stało?

– Nie jest ranna – wyjaśnił Kadir. – To ząb.

– Uuu... straszna sprawa. – Porucznik skrzywił się ze współczuciem. – No może nasz medyk coś zaradzi.

Shen obolała przytuliła się do Kadira.

– Oni znaleźli jednego z naszych. Kogoś z załogi statku „Gradient” – powiedział kapral.

– A co to jest „Gradient”? – wyrwało się porucznikowi. – Ach – zganił sam siebie. – Na pewno tajna misja marynarki wojennej. Niczego nie powiedzą, a ty się później domyślaj, człowieku, co robi marynarz w głębi łądu.

Jabłoński sięgnął na pakę i odsłonił trochę koc spowijający człowieka na noszach.

– Bardzo z nim źle?

– Czasami odzyskuje trochę przytomności – zaraportował kapral. – Ale głównie majaczy.

– Jakież rany?

– Nie stwierdziłem – włączył się sanitariusz.

– Gdzieście go znaleźli?

– Partyzanci go znaleźli w jakiejś wiosce.

Porucznik podniósł wzrok na Shen.

– Trudno wyrazić moją wdzięczność, żeście się nim zaopiekowali.

Słyszając ten prawie dworski styl, Shen chciała wykonać pałacowy ukłon. Niestety, nawet lekkie nachylenie ciała spowodowało taki paroksyzm bólu w szczęcie, że ją sparaliżowało. Jabłońskim aż wstrząsnęło na ten widok. Chyba też nie był odporny na ból zębów.

– Porozmawiamy później. Ale dobrze, że pani jest. Mam rozkaz z dowództwa, żeby nawiązać z panią kontakt.

Kadir spojrzał pytająco, jednak dalszą rozmowę przerwało pytanie kierowcy:

– Panie poruczniku, zawieźć ich pod punkt medyczny?

– No skąd! – obruszył się dowódca. – Nikt nie może widzieć, że jawnie pokazujemy się z partyzantami. Przecież to wrogowie naszego imperialnego sojusznika.

– Aha. – Kierowca nie wnikał w zawilóści sojuszy. – To gdzie mam podjechać?

– Do hangaru. – Jabłoński wskoczył do szoferki. – Ruszaj.

Lotnisko w Kong nie miało hangaru z prawdziwego zdarzenia. Jego rolę pełnił ogromny barak, w którym mógł się zmieścić jeden samolot transportowy. Pozwalało to jednak mechanikom na naprawę silników w zupełnym spokoju, którego nie zakłócały warunki atmosferyczne. A

ponieważ Kong nie było przeznaczone do przeprowadzania operacji lotniczych na wielką skalę, takie rozwiązanie okazało się zupełnie wystarczające. No i na szczęście barak stał właśnie pusty – wojskowa ciężarówka mogła zaparkować na samym środku.

Jabłoński upewnił się, że pomocnicy mechaników zasunęli za nimi wielkie wrota.

– Dobra, wypakowujcie się – zaczął wydawać komendy. – Ty – wskazał na kaprała – każesz przynieść wszystko, co jest potrzebne, żeby partyzanci mogli tutaj przenocować. Skombinuj coś ciepłego do jedzenia. Ty – wskazał na funkcyjnego baraku – pilnuj, żeby nikt z nich nie pokazywał się z bronią na zewnątrz. Ty, ty, ty i ty – machnął na następnych żołnierzy – bierzcie się za nosze i zanieście tego marynarza do punktu medycznego. No i ta biedula też niech tam idzie... – Krzywiąc się, popatrzył na obolałą do granic możliwości Shen. – Niech ją ktoś asekuje. Przecież ślania się na nogach.

– Ja ją przytrzymam. – Kadir pomagał dziewczynie zsiść z paki ciężarówki.

– Przynajmniej karabiny zostawcie tutaj. Nie chcę, żeby ktoś widział, że tu są partyzanci.

Karabiny Kadirowi nie były do niczego potrzebne. Martwił się o Shen. Podtrzymywana przez niego dziewczyna ledwo mogła iść, tak dawał jej się we znaki ząb. Rusznikarz wiedział, że ból bólem, albo się ząb wyrwie, albo sam przejdzie. Był jednak człowiekiem wykształconym i wiedział też, do jakich komplikacji może doprowadzić taki stan pozostawiony sam sobie. Nawet do śmierci.

Jabłoński kazał zgasić rząd żarówek, które dotąd oświetlały plac. Wyszli w ciemność. Na szczęście niekompletną. Trochę światła padało na zewnątrz przez cienką ceratę umieszczoną w wykrojach baraku mieszkalnego. Na szczęście droga nie była długa. Szopa pełniąca rolę punktu sanitarnego była tuż obok miejsca, gdzie spała obsługa lotniska.

– Tędy. – Jabłoński otworzył niewielkie drzwi i zapalił światło.

Zrobił się mały problem. Przejście było za wąskie, żeby czterech ludzi mogło przejść z noszami. W końcu nieprzytomnego przekazano sobie z rąk do rąk. Już w środku położono na jednym z dwóch połowych łóżek stojących pod ścianą.

– Mamy tu bardzo skromne wyposażenie. – Jabłoński wskazał rząd szafek za plecami, kryjących pewnie zapasy leków i narzędzi lekarskich. Chyba nie miał pojęcia, czym dysponują miejscowi lekarze. Wtedy nie mówiłby o skromności. – Chorego zaopatrzymy więc tutaj jedynie w podstawowym zakresie. I najbliższym możliwym lotem odeślemy do Negger Bank. Do szpitala w bazie.

– Tej panience też by się przydała pomoc. – Sanitariusz kiwnął podbródkiem w kierunku Shen. – Choć niekoniecznie aż w Negger Bank.

– To nic takiego – mruknęła Shen, próbując być dzielna. – Przy okazji zgłoszę się do cyrulika.

Jabłoński uśmiechnął się radośnie.

– Przy okazji? Kiedyś tam? – zakpił. – Byle nie teraz, nie tutaj, nie od razu. I to w ludzkich warunkach.

Medyk, który odwijał nieprzytomnego członka załogi „Gradienta” z kolejnych ocieplających warstw, podniósł głowę.

– Tchórz! – skwitował.

– Ale w tej chwili w ogóle mnie nie boli! – Shen ze zdziwieniem stwierdziła, że mówi szczerą prawdę. Ze strachu, kiedy zrozumiała, że oni chcą natychmiast przystąpić do wyrywania, ząb przestał boleć momentalnie. – Nawet nie ćmi!

– Tchórz!

Jeden z żołnierzy, wyraźnie rozbawiony, otworzył szufladę z napisem „Narzędzia dentystyczne”, wyjął wielkie jak grabie szczypce i kłapał nimi kilka razy, powodując nieprzyjemny metaliczny dźwięk. Shen poczuła, że robi jej się miękko w nogach. Spojrzała spanikowana na Kadira, ale ten politycznie odwrócił wzrok.

Sanitariusz z pomocnikiem skończyli rozbierać nieprzytomnego człowieka. Nakryli go czymś białym i sztywnym. Potem zaczęli robić podstawowe badania.

Jabłoński zerknął na zegarek.

– Czy chory mówił, w jaki sposób znalazł się w lesie niedaleko Banxi? – zapytał.

Kadir zaprzeczył ruchem głowy.

– Budził się kilka razy, ale nigdy nie mówił na tyle zbornie, żeby go szczegółowo wypytać.

– A o czym majaczył?

– O piekle.

– O czym?

– Twierdził, że był w piekle. Opowiadał o ludziach, których parzyło zwykle powietrze. O bezsensownych. O tych, którzy wracali zmienieni.

Porucznik skinął lekko.

– Czy to sugeruje, że był w jakichś osadach? Miastach?

Kadir uśmiechnął się lekko.

– Mnie też to pytanie przyszło do głowy. Czy tam, za Wielkim Lasem, są jeszcze jakieś siedziby ludzkie. Ale z majaczeń niewiele wynikało. Nie mam pojęcia, gdzie był.

– Wrócił w dobrej formie fizycznej?

Rusznikarz przytaknął.

– Nikt go też nie obrabował. Miał ze sobą mnóstwo przedmiotów, które mogły budzić pożądanie. A kurtkę ukradli mu dopiero kłusownicy z jednej z naszych wsi.

– Nie wspomniał ani słowem o celu swojej wyprawy?

– Jeśli to była wyprawa. – Kadir wzruszył ramionami. – Nie.

– A o czym jeszcze mówił?

– Opowiadał z fascynacją o jakichś oscylacjach. Coś o tym, że Wielkie Lasy są połączone, że to system czy coś takiego, który podlega cyklicznym zmianom i zmienia... – Rusznikarz zawahał się na moment.

– Co zmienia?

– Wszystko. – Kadir uśmiechnął się niezdarnie.

– Ciekawe. – Jabłoński potarł brodę. – Na szczęście to nie moja dziedzina. Trzeba będzie poczekać, aż go podlecą w szpitalu w bazie.

– Natomiast w przypadku Shen chyba czekać już nie można.

Porucznik drgnął, nieprzygotowany na zmianę tematu, i zerknął na dziewczynę.

– Ach tak, oczywiście. – Skinął na sanitariusza. – Podstawowe badania choremu może zrobić twój pomocnik. A ty chodź tutaj.

Wielki, zwały chłop miał ogromne dłonie, jak kowal. Shen jęknęła z przerażenia. Zerknęła na drzwi za sobą, lecz drogę ucieczki blokował zdrajca Kadir.

– Mnie naprawdę w ogóle nie boli – szepnęła.

Na ustach urodzonego sadysty pojawił się okrutny uśmiech.

– Nie jestem co prawda dentystą, ale zapraszam na fotel. – Wielkie łapska zacisnęły się na ramionach Shen.

– Nie! Nie ma żadnej potrzeby...

– Spokojnie. – Sanitariusz, jak i reszta żołnierzy w niewielkim pomieszczeniu bawili się doskonale. – Jeszcze narzędzi do rąk nie wzięłem, a panienka już mdleje.

Dławiący strach dosłownie sparaliżował dziewczynę. Oprawcy wspólnymi siłami posadzili ją na fotelu, a sanitariusz ze schowka przy masywnej podstawie wyjął niewielką metalową butlę. Usiłował przytknąć ustnik maski do jej twarzy, ale zaczęła krzyczeć:

– Boli! Boli, jak dotykasz!

– Co za histeria okropna. Przed chwilą mówiłaś, że nic nie boli.

– Zmieniłam zdanie! Boli!

– No to właśnie po to tu jesteśmy, żeby usunąć źródło bólu. Musisz trochę pooddychać gazem z tej butli, żebyś nam nie kofnęła ze strachu.

Shen zrozumiała, że sama się wkopała. Chciała wysliznąć się i uciec, ale gdzie tam. Polacy zawsze górowali nad miejscowymi siłą i masą ciała. Przeciwno tym wielkoludom w roli oprawców nie miała żadnych szans. Sanitariusz delikatnie usiłował przytknąć dziewczynie maskę do ust. Usłyszała głośny syk.

– Oddychaj! Oddychaj! No już, już, głęboki oddech. Głęboki! Nie oszukuj!

Usiłowała się rozkaszeleć, ale Polacy nie dawali się zwieść.

– Tym da się oddychać. Da się! – Sanitariusz teraz już twardo knebłował Shen maską. – Zresztą to nie czysty gaz, tylko mieszanina z powietrzem.

Nie czuła żadnych objawów. Gaz był bezwonny. Nie miał też żadnego smaku.

– No! – Po dłuższej chwili sanitariusz odsunął maskę. – To mówisz, że sam dotyk cię boli, tak?

Skinęła skwapliwie głową. Może odstąpią. Niestety. Sanitariusz natomiast uderzył Shen w policzek otwartą dłonią.

– Bolało?

Patrzyła na niego zszokowana. No owszem, czuła dotyk jego dłoni, ale uderzenie nie wywołało paroksyzmu bólu w całej szczęce.



– Gotowa. – Sanitariusz włożył na dłonie obcisłe, cieniuteńkie rękawiczki. – Zaczynamy.

Ktoś przechylił jej głowę do tyłu, ktoś otworzył usta i świecił do środka silną latarką. Czuła, jak główny oprawca odsuwa jej dziąsła przy chorym zębie. Już sama ta czynność przecież powinna wywołać ból tak straszny, że niektórzy mdleli. A tu nic. Shen jednocześnie czuła, co on jej robi, i nie czuła. Włożył jej do ust ogromne szczypce. Słyszała, że coś chrupnęło. Była przerażona, ale w dalszym ciągu ból był spacyfikowany. Sanitariusz szarpał jej głowę w lewo i prawo, żołnierze jednak trzymali mocno. Coś chrupnęło jeszcze raz i jeszcze głośniej.

– No!

Kat wyjął rękę z ust przerażonej dziewczyny.

– Ostatnia chwila.

Jego dłoń powróciła na moment. Shen czuła, że coś robi przy szczęce, coś jej tam wkłada. Potem odsunął się o krok.

– No! – powtórzył.

– Ssso? – Coś blokowało jej usta. – To jusz?

Podniósł do góry szczypce, w których tkwił jej zakrwawiony ząb. Po chwili odłożył obie rzeczy do metalowego naczynia.

– No i czego się było bać?

Shen potrzęsała głową oszołomiona. Nie bolało? Bolało? Skołowana sama nie wiedziała. A on nie dawał za wygraną.

– Czy u was też jest powiedzenie, że ktoś się śmieje jak głupi do sera? – zwrócił się do rusznikarza.

– Takiego nie. – Kadir zmarszczył brwi. – Ale mówi się, że ktoś się śmieje jak dureń na widok ognia.

– No to patrz pan!

Sanitariusz wyjął z kieszeni pudełko zapalek. Wyciągnął małe drewnienko. Potarł główką o blat i przysunął do twarzy Shen. Kiedy zogniskowała wzrok na płomieniu, poruszył nim w prawo i w lewo. Dziewczyna nagle zaczęła chichotać tak głośno, że momentalnie rozbawiła żołnierzy wokół.

– Niezłe, co? – Razem z kolegami usiłował powstrzymać chichoczącą Shen na fotelu, żeby nie zerwała się i z radości sobie czegoś nie zrobiła. – To mówi pan, że śmieje się jak głupi na widok ognia?

– Co to jest? – Kadir mimowolnie też się uśmiechnął.

Jedynie Jabłoński zachował poważny wyraz twarzy.

– Podtlenek azotu – wyjaśnił. – Gaz, który zniczula, zwany jest potocznie gazem rozweselającym. Ona teraz będzie się tak śmiała i śmiała, wystarczy, żeby palcem jej skinąć przed oczami. Ale nie powinno zaszkodzić.

– Nieprawdopodobne. Przecież na tym majątek można zbić w jednej chwili.

Porucznik tylko machnął ręką.

– Chodźmy na zewnątrz, tam sobie zapalę. – Wskazał grupę rozbawionych żołnierzy. – Byle z dala od tych dzieci.

Kadir długo nie mógł oderwać wzroku od niecodziennego zjawiska. Potem jednak ruszył za dowódcą.

– Mówił pan, że ktoś z dowództwa chce się spotkać z Shen?

Jabłoński osłaniał zapalniczkę od wiatru. Potaknął, dopiero kiedy koniec papierosa rozjarzył się żarem.

– Tak. Z dowództwa marynarki.

– A kto konkretnie?

– Nie mam pojęcia. Tyle mi wiadomo, że dowództwo marynarki zwróciło się do mojego dowódcy, żebym za wszelką cenę skontaktował się z partyzantami. Chcą porozmawiać z Shen. Sprawa jest bardzo pilna.



Aie podniosła się znad planów pałacu rozłożonych na największym stole pokoju map. Wyraz jej twarzy nie wskazywał na to, żeby była szczególnie radosna.

– Moim zdaniem kiszka – powiedziała. – Nie bardzo wyobrażam sobie wprowadzenie naszego człowieka z nożem do pałacu. Sieć wart jest zbyt gęsta.

– Oj, przestań. – Rand podniósł się ociężale z postumentu, który został po usuniętej stąd rzeźbie. Posąg przedstawiał „Biafrę zamyślonego”. I był chlubą prywatnych zbiorów Randa do czasu, kiedy okazało się, że to podróbka. Postać uwieczniona w marmurze okazała się „Cheelosem zamyślonym”, w którym ktoś przed wiekami skuł oryginalny napis i wstawił nowy. Kompromitująca rzeźba zniknęła więc błyskawicznie, a na opróżnionym postumencie Rand uwielbiał przesiadywać osobiście.

– Nie każdego przecież się rewiduje.

– Owszem. Ale do żadnej delegacji dyplomatycznej ani przedstawicielstwa generalicji zamachowca nie wkręcimy.

– Myślałem raczej, żeby go przebrać za dostawcę. Oczywiście nie marchwi do kuchni. Ale na dworze można przedstawić na przykład właściciela szlifierni diamentów. Coś w ten deseń?

Aie skrzywiła usta.

– Za dużo ludzi trzeba by było wtajemniczyć. A poza tym na porządne umocowanie, a właściwie na porządne zatarcie śladów jest za mało czasu.

– No to może lekarza z dalekich krain?

– Znaleźliśmy już człowieka idealnego do wykonania zamachu na ciebie. Na lekarza to on raczej nie wygląda. A poza tym odkąd Polacy przywieźli swoją medycynę, to moda na egzotycznych uzdrowicieli spadła do zera.

– Wróżbita?

– Wymagałoby to od zamachowca inteligencji i dobrego aktorstwa. Zapewniam cię, że nasz człowiek nie ma ani jednego, ani drugiego.

Rand stanął przy oknie, patrząc na dalekie zabudowania portu. Prześladowało go jedno pytanie, ale bał się je zadać. Bał się nie Aie oczywiście, tylko jej odpowiedzi.

– To może święty człowiek? – podsunął następną możliwość.

– A na czym miałyby polegać ta świętość? – zapytała dziewczyna.

– Na niczym. Ale skoro mówisz, że mało inteligentny i kiepski aktor, to świętość by pasowała.

Aie przygryzła wargi.

– No, to rzeczywiście byłoby najłatwiej wmówić. – Zastanawiała się intensywnie. – Choć z drugiej strony.. nie wiemy dokładnie, w jakim będzie stanie. A jeśli zajedzie od niego jakimś podłym bimbrem?

Rand aż syknął.

– Wiesz, no... Stan upojenia świętym nie przeszkadza.

– Nie w pałacu. Daj spokój.

– Zaraz. – Randa nagle olśniło. – A czemu my się trzymamy tak kurczowo pałacu? To rzeczywiście teren najtrudniejszy z możliwych.

Popatrzyła na niego zaciekawiona.

– Co ci chodzi po głowie? Ogrody?

– Tak samo jak pałac. Ale cesarzowa przecież wychodzi na zewnątrz.

– Żeby pobłogosławić swój lud? – zakpiła Aie. – A owszem. Miłość do ludu wyraża w otoczeniu minimum dwóch pułków speckurew z gwardii!

– Chrzanić lud z jego natrętną miłością. A nie pomyślałaś o kurierach?

Aie palnęła się w czoło. Kurierzy. Cesarzowa miała własnych, i to w trudnej do zmierzenia liczbie. A to przecież oznaczało liczne stajnie, wozownie, warsztaty, pokoje operacyjne, stodoły z paszą dla koni, wielkie magazyny i koszary. Przecież nikt nie będzie tolerował tak głośnego i smrodliwego sąsiedztwa w bezpośredniej bliskości pałacu. I faktem jest, że cesarzowa w wielu wypadkach odwiedzała swoich kurierów osobiście. Kiedy działo się coś na obrzeżach cesarstwa, kiedy chciała wysłuchać najnowszych wieści z różnych rejonów kraju. Tak, to było to.

– Pozostaje kwestia, jak wywabić cesarzową z pałacu i skierować do siedziby kurierów.

– To biorę na siebie. I nie widzę najmniejszego problemu.

– No to dobrze – przytaknęła Aie. – Ja w takim razie przeorganizuję cały plan akcji, żeby pasował do nowego miejsca.

Kiedy dziewczyna pochyliła się nad stołem, żeby wśród rozłożonych tam planów znaleźć taki, który obejmował także stację kurierów, Rand zdobył się na odwagę i podszedł bliżej.

– Słuchaj... – zawahał się, nie bardzo wiedząc, jak zadać nurtujące go pytanie.

– Co? – Podniosła głowę, mierząc szefa badawczym wzrokiem. To spojrzenie trochę go skonfundowało. Nabrał jednak powietrza i wyrzucił z siebie:

– Słuchaj, czy ja poznam tego człowieka?

– Którego? – nie zrozumiała w pierwszej chwili.

– Tego, który ma dokonać na mnie zamachu.

Aie zrozumiała, że sytuacja jest poważna. Stłumiła westchnienie, odsuwając od siebie papiery. Potem obeszła stół i stanęła przed Randem tak, żeby z bliska popatrzeć mu w oczy.

– Po co miałbyś go poznawać? – zapytała poważnie.

– No... – Nie wiedział, jakiej odpowiedzi udzielić.

– Zapewniam cię, że w chwili zamachu będziesz wiedział, kto go dokonuje.

– Ale... nawet nie wiem, co to jest za człowiek. Czy...

– Kat również nie poznaje wcześniej żadnego ze skazańców. A ty idziesz tam po prostu na egzekucję. Spróbuj to zrozumieć i zaakceptować.

– To nie tak. To... – Naprawdę nie umiał ubrać swoich myśli w słowa. Przerwała mu brutalnie.

– Przestań o tym myśleć! Bo sam siebie zaraz sparaliżujesz. To nie jest zbieranie kwiatków w ogrodzie. To jest akcja, która ma pokazać cesarzowej, że specsłużby chcą cię wyeliminować. Posuwając się aż do zabójstwa. A to z kolei ma ją przekonać, że nie może polegać na samych speckurwach. Że my jesteśmy siłą, która da jej przeciwwagę, że...

Przerwał jej gong anonsujący nadejście służącego. Dzięki Bogom. Rand nie chciał słuchać dłużej. Był na siebie wściekły, że zadał to pytanie. A jeszcze bardziej na swoje zachowanie.

– Panie! – Młody służący przeszedł starą szkołę. Jego ukłon spełniał wszystkie pałacowe warunki. – Przyniosłem list.

– Dawaj.

Chłopak podał Randowi zalakowaną kopertę, wykonał jeszcze jeden absolutnie nieskazitelny ukłon i odszedł, starannie zamykając za sobą drzwi.

– Coś ważnego? – Aie na szczęście nie kontynuowała poprzedniego wątku. Wróciła na swoje stanowisko za stołem do map.

– Raport. – Rand rozerwał kopertę, niszcząc pieczęć. Szybko przebiegł wzrokiem kilka linijek tekstu. – O!

Podniosła głowę.

– O?

– Wczoraj wieczorem pozwoliłem sobie na rodzaj żartu. Kilkudziesięciu swoim wrogom wysłałem krótkie liściki o tej samej treści. Tak żeby ich podenerwować przed snem. Żeby im się źle zasypiało.

– Co było w tych listach?

– Dwa zdania. „Wszystko się wydało. Ucieczka wskazana natychmiast!”

Dziewczyna uśmiechnęła się z politowaniem.

– Zawsze lubiłeś durne dowcipy.

– Nie takie durne! – Rand zaczął się śmiać. – Czterech adresatów zniknęło dzisiejszej nocy. Pewnie gdzieś uciekają!



Samo to, że Wentzel wręczał bojową odznakę „Rajd na Banxi” osobiście każdemu żołnierzowi, wywarło duże wrażenie. A fakt, że takich odznak na całym świecie będzie jedynie trzysta kilkanaście sztuk i nigdy nie powstanie więcej, sprawiał, że czuli się szczególnie wyróżnieni. Wszystko to bladło przy cudach, które pokazywał admirał. Oczywiście w całej armii zdarzały się czasem osobiste dekoracje, zdarzały się i rozmowy oficerów z żołnierzami przy tej okazji. Ale tu, na polanie przed świątynią, nie słyszało się zdawkowych: „Skąd pochodzicie, żołnierzu?”. „Z dupy!” – chciałoby się wtedy odpowiedzieć. Nie, nie. Rozmowy, które przeprowadzał szef kontrwywiadu floty, brzmiały zupełnie inaczej:

– Świetnie, że pana tu spotkałem, kapralu. Proszę pozwolić, że będę się zwracał per Mateuszu. Pańska matka jest przecież z domu Obersdorfer, prawda? A Obersdorferowie są bardzo daleko, ale jednak spokrewnieni z Wentzlami. Dobrze kojarzę? W jakimś sensie jesteśmy więc chyba krewnymi.

Żołnierze nie wierzyli własnym uszom. Czy admirał znał wszystkich swoich ludzi?! Przecież większość z nich widziała go z bliska pierwszy raz w życiu.

– Nosicie piękne imię, Sławomir! Można by to zinterpretować jako sława dla świata, czyż nie? Na pewno nazwisko Wójtowicz będzie teraz sławne w rodzinnym Bielnie, prawda?

Szok. On pamiętał naprawdę wszystkich?

– Słyszałem, Hasan, że jesteś najszybszym Tatarem w Wojsku Polskim. No, może stojący tu obok Azhar mógłby się próbować z tobą równać.

I teraz to już wiadomo. Admirał znał wszystkich trzystu żołnierzy zebranych na polanie. Znał ich osobiście. Interesował się.

Tomaszewski zachowywał idealnie kamienną twarz. Znał mechanizm sztuczek Wentzla. Admirał, kiedy przewidywał, że stanie przed tłumem żołnierzy, kazał sobie dostarczyć akta pięciu z nich. I zapamiętywał z papierów wszystko, łącznie z fotografiami. Miał doskonałą pamięć, także do twarzy, inaczej przecież nie mógłby pracować w wywiadzie. A znając dokładnie pięciu ludzi ze wszystkimi szczegółami, mógł udawać, że ich nie wybiera z tłumu. Że rozmawia z przypadkowymi i takie same rozmowy mógłby przeprowadzić z każdym z zebranych. Sztuczka robiła kolosalne wrażenie, a żołnierze admirała uwielbiali.

Wzruszenie udzieliło się nawet Thien, która dzięki przywiezionym zapasom alkoholu zdołała przemóc słabość i pojawiła się tego dnia na placu. Tylko Baranowski pokpiwał, że jest już w tak dobrej formie, że można by było przydzielić jej jakąś funkcję – na przykład głównego inspektora do walki z alkoholizmem w imperialnej armii.

Tomaszewski, nawiasem mówiąc, zapamiętał to sobie i uznał za dobry pomysł. Różne myśli kłębiły mu się po głowie. Wiedział, że zbliżają się do rozstrzygnięcia w najważniejszych kwestiach. I znał Wentzla lepiej niż inni ludzie. Wiedział, że admirał, promieniejący teraz publicznie radością i sympatią, już na pokładzie wiatrakowca zamieni się w kata i najokrutniejszego mistrza tortur, ponieważ wiele spraw nie szło po jego myśli. Będzie się domagał wyników i nowych pomysłów. A kto ich nie dostarczy, tego głowa może spaść z katowskiego pieńka.

Tymczasem admirał przed odlotem postanowił przemówić do zebranych. Oczywiście jego wiatrakowiec miał na wyposażeniu sprzęt do nagłośnienia, wystarczyło wystawić głośniki. A skoro pojawiła się taka możliwość, jaką dawała tłumaczka piechociarzy Duon, admirał postanowił przemówić także do pułku garnizonu Kong. Miał talent krasomówczy i potrafił trzymać słuchaczy w stanie najwyższego napięcia. Był też cholernie przekonujący. Z wyścigu i rywalizacji piechociarzy z marynarką zrobił majstersztyk współpracy i koordynacji różnych formacji z różnych państw w celu odniesienia wspólnego zwycięstwa. W krótkich słowach przekonał dziewczyny, że są elitą elit imperialnej armii, jej śmietanką śmietanki, a te stały z otwartymi ustami i coraz bardziej szklącymi się oczami. W prostych słowach udowodnił im, że właśnie przechodzą do historii, ponieważ są pierwszym oddziałem, który wkroczył do Wielkiego Lasu i odniósł całkowite, miażdżące zwycięstwo. A z racji skromnej liczby sił własnych to właściwie dokonano tutaj cudu! Dziewczyny od razu uwierzyły, że są absolutnie wyjątkowymi bohaterkami, pierwszymi takimi w dziejach. Przy okazji zrozumiały też, że admirał Wentzel jest najlepszym dowódcą w całej historii świata, mimo że nie brał on udziału w rajdzie na Banxi, a właściwie to stał nawet po stronie konkurentów oddziału Baranowskiego, ale... to nieważne. Na pewno odpowiednio „czuwał” nad rozwojem wypadków. Dla dziewczyn jego postać stawała się powoli bliska boskiej.

Tomaszewski usiłował się nie uśmiechać. Tym bardziej że z Polakami i Tatarami poszło równie gładko. Nie mógł się jednak powstrzymać przy

słowach: „Kiedy z dumą będziecie powtarzać wnukom: byłem pod Banxi z komandorem Tomaszewskim...”. Musiał opuścić głowę i zakryć twarz daszkiem czapki. Ludzie tak łatwo dawali się przekonać, że są bohaterami. Najwyraźniej nie dostrzegali drugiego dna tej sprawy. Admirał w ten prosty sposób przykrywał żenujące braki w zaopatrzeniu, niemożność utrzymania powietrznego mostu w nieskończoność, a także brak jasnej koncepcji, a ściślej: jakiegokolwiek koncepcji, co dalej. Za to bohaterowie byli obecni w nadmiarze. A przecież bohaterowi nie wypada wypominać dowództwu, że jest za mało konserw.

Przy słowach pożegnania owacje przerodziły się w prawie zbiorową histerię, przynajmniej jeśli chodzi o dziewczyny z Kong. Wentzel nie musiał więc tłumaczyć im, że na razie nie mają dokąd wracać, bo ich garnizon jest w obcych rękach.

– Za mną! – rozkazał tylko swojej świcie.

Tomaszewski, Wszyńska, Michałowicz, Kai i Nuk byli już przygotowani do drogi. Z pewną ulgą opuszczali plac wypełniony rozentuzjasmowanymi ludźmi, czując się, przynajmniej w przypadku oficerów, trochę głupio. Wentzel przywiózł ze sobą oficerów mających przejąć trzy kompanie. Swoich bardziej zaufanych ludzi właśnie zabierał ze sobą. Tomaszewski przez to czuł się trochę jak dezterter.

– Przypominam o obowiązku zapięcia pasów. – Pilot odwrócił głowę znad tablicy przyrządów. – Wymóg ten dotyczy także pasażerów w stopniu admirała.

Najwyraźniej był w przyjaźni z dowódcą. Tomaszewskiemu, który z doświadczenia wiedział, że zbiera się burza, wcale nie było do śmiechu. Na szczęście podczas startu nie dało się rozmawiać. Silniki pod obciążeniem pracowały bardzo głośno. Tomaszewski, chcąc uspokoić Nuk, musiał krzyczeć.

– Spokojnie, wiatrakowce są bardzo bezpieczne.

– Nie boję się. – Nuk zacisnęła dłoń na krawędziach metalowego krzeselka.

– Ależ wcale cię o to nie podejrzewam. A tak nawiasem mówiąc, poprosiłem obsługę lotniska, żeby skontaktowała się z Shen. Przy odrobinie szczęścia twój dowódca może już na nas czekać.

Sierzant skinęła głową. Maszyną zatrzęsło nagle, silniki zagrzmiały jeszcze groźniej i wiatrakowiec ruszył do przodu. Przez moment



zachybotało nim na nierównościach niedoskonałego pasa i po kilku chwilach ciężka maszyna uniosła się w powietrze. Uczucie zupełnie nieprawdopodobne w porównaniu ze startem samolotu. A Tomaszewski wiedział, że to nie jest wcale ostatnie słowo cywilizacji technicznej. Czytał, że testuje się właśnie śmigłowce – maszyny, które będą mogły startować i lądować zupełnie pionowo, bez żadnego rozbiegu, a więc na nieprzygotowanym terenie. To może być rewolucja w działaniach wojennych.

Szybko osiągnęli właściwy pułap i silniki ścichły błyskawicznie. Nie lecieli wysoko. Na ziemi nie było wrogiej artylerii przeciwlotniczej, a strzałą z łuku nie można było uszkodzić aluminiowej maszyny.

– No jak tam wrażenia z misji? – zagał Wentzel z pogodnym wyrazem twarzy.

Tylko Tomaszewski wiedział, co się święci. Wybuchowi gniewu admirała mogły przeszkodzić tylko dobre pomysły. Oryginalne.

– W sumie jakoś wyszło. – Pułkownik tatarski nie wyczuwał zagrożenia. – Jak w każdej akcji były i trudne chwile, ale ważny jest efekt, prawda?

– Ty mnie, Selim, nie bierz pod włos. Niby co w tej akcji było trudnego?

No tak. Nie trzeba było słuchać oficjalnego przemówienia. Tam admirał przecież nie wyrażał swoich prywatnych poglądów.

– No wiesz, Joachim, niby nic. Ale kiedy spod lodu wyskakuje ci nagle przeciwnik, i to w samym środku twojego oddziału, to ja ci powiem: to robi na człowieku wrażenie. To robi wrażenie.

– Jakoś z Krzyśkiem opanowaliście sytuację.

– Ano. Na szczęście Krzyś nie stracił nerwów. No i metodę znalazł właściwą, żeby ich pokonać. Nie tam jakąś wydumaną, tylko po naszemu, po mordzie jednego z drugim, kopa w jaja.

Wentzel dobrze znał starego Tatara.

– A tobie się podoba takie naporzanie pięściami po pyskach, co? – Uderzył go dłonią w kolano.

Michałowicz przez chwilę walczył ze sobą, a potem przełamał się i wyznał szczerze:

– No! Podoba mi się! Jak za dawnych czasów. Ale najfajniej było, kiedy zdaliśmy sobie sprawę, że oni nie wiedzą, jaka jest moc ciężkiego

wojskowego buciora. I jak taki piechociarz złapał w końcu tego dzikusa, jak mu sprzedał kopa w goleń, to kość się łamała, a noga robiła kąt prosty, ale nie w tę stronę co trzeba. A najfajniejszy był trzask łamanej kości!

– Selim! – upomniał go admirał. – Kobiety słuchają!

Nuk najwyraźniej miała ochotę powiedzieć, że jej to nie przeszkadza, a nawet przeciwnie, przyjemnie słuchać, bo stary wyga ciekawie mówi. Z czuciem i po ludzku. Nie śmiała jednak odezwać się przy szarżach.

Wentzel przeszedł do rzeczy:

– Nie chciałbym, żeby przewagi wojenne zakryły nam fakt, że tkwimy w martwym punkcie.

– Dlaczego? – Pułkownik nadal nie dostrzegał symptomów nadciągającej burzy.

– Mam przypomnieć? Dobrze! – Wentzel zapalił papierosa. – Tuż pod naszym bokiem tkwią nierozpoznane siły jakichś Anglosasów. W naszym własnym wojsku, w siłach lądowych, tkwią obcy agenci, i to na tyle władni, że są w stanie posłać obcy pułk wraz z czarownikami na akcję, mając do dyspozycji polskich dowódców, polskie zaopatrzenie i polskie rozpoznanie. To mało? Wróg u bram, a my w obrębie własnych murów mamy drugą, równie nierozpoznaną siłę. Więcej. Nie wiadomo, co czai się w naszym własnym kraju, bo coraz bardziej prawdopodobne staje się, że wyprawom zakonnym udało się przed wiekami przedostać na naszą stronę i teraz w naszych barwach zwąchują się z miejscowymi.

Wyszyńska uśmiechnęła się lekko. Admirał w jej obecności nie powiedział, że ma też trzeci problem. Jej i jej kolegów z innego świata. Wzięła to jednak za dobrą monetę.

– Angolami tak bardzo bym się nie przejmowała. – Wzruszyła ramionami. – Na innym kontynencie to jednak nie „pod bokiem”.

– Nic o nich nie wiemy i nie mamy pojęcia, jak się dowiedzieć!

– Przecież ustaliliśmy, że wyślemy zwiad.

– To nazwałbym raczej działaniem rozpaczliwym. A tak nawiasem mówiąc, jak zamierza pani dostarczyć zwiadowców na miejsce?

Wyszyńska machnęła ręką.

– Na spadochronach. Jak w każdym porządnym szpiegowskim filmie.

– Oczywiście przelatujący im nad głowami samolot nie zwróci niczyjej uwagi. Oczywiście nie przeszkolimy skoczków na wielomiesięcznym treningu, niech skaczą na łut szczęścia.

Uśmiechnęła się promiennie.

– Mówi pan o starych czasach, panie admirale. A tymczasem mój... – przez chwilę szukała odpowiedniego słowa. – Mój znajomy inżynier zaprojektował spadochron, który rozwiązuje wszystkie dawne problemy.

– Ciekawostka. Teraz, zrzucając spadochroniarza, samolot nie pojawia się nad terenem wroga?

– Nawet się do niego nie zbliża. Spadochron to latające skrzydło.

– Co takiego?

Zaczęła tłumaczyć.

– To nowy rodzaj spadochronu, który sam leci lotem szybowym. Skoczek zrzuca się bardzo daleko od celu, na ogromnej wysokości. Oczywiście w kombinezonie i aparacie tlenowym. Taki zestaw dociera na bardzo duże odległości. Lądowanie odbywa się z tak małą szybkością, że spadochroniarza nawet nie wywraca. Może jednym ciągiem odpiąć uprząż i pójść na spacer.

– A skąd będzie wiedział, jaka jest pogoda nad celem?

– Przodem trzeba wysłać samolot meteo, który da prognozę.

Wentzel zamilkł, bo wybiła mu wszelkie argumenty.

– Mimo wszystko to wariant pasywny – mruknął, wyraźnie wkurzając Wyszyńską.

– Pasywny? No jasne, przecież możemy zrobić rozpoznanie bojem siłami dywizji! Że też na to nie wpadłam!

Admirał spojrzał na nią ostro, ale nic nie powiedział. Nie wypadało mu się kłócić z kobietą, i to w dodatku cywilem, któremu nie mógł nic zrobić.

Tomaszewski obserwował całą scenę z boku. Według jego rozeznania teraz właśnie nastąpi wybuch strasznej złości Wentzla. Coś musiało mu doskwierać i nie były to rzeczy tak błahe jak zaopatrzenie sił pozostających w Banxi ani wysłanie dwuosobowego zwiadu na inny kontynent. Admirał w swoich wybuchach złości bywał nieobliczalny. Potrafił niszczyć ludzi, łamać im kariery, potrafił też być niebezpiecznie złośliwy. Nawet osoby niepodlegające mu bezpośrednio mogły ucierpieć z powodu tych wybuchów.

– Mam jednak inny problem, z którym borykają się najlepsi specjaliści.

– Wentzel zaczął zupełnie spokojnie i tylko ci, którzy go naprawdę dobrze znali, wiedzieli, że nadciąga huragan. Tomaszewski przez chwilę jeszcze

łudził się, że do ostrej dyskusji nie dojdzie z powodu obecności Nuk, ale pozbawiona tłumaczki dziewczyna niewiele rozumiała.

Wyszyńska spojrzała z zaciekawieniem. Michałowicz też coś przeczuwał i strategicznie wolał się nie wtrącać.

– Ktoś z tego świata ewidentnie przeniknął na naszą stronę gór. Nie może być zwykłą koincydencją wyprawa czarowników do Banxi dokładnie w chwili, kiedy my też mieliśmy to zrobić. Mówiąc „my”, mam na myśli marynarkę wojenną.

– Jakaś koincydencja? – Wyszyńska wzruszyła ramionami. – Nie ma żadnej. To miało być uderzenie wyprzedzające.

– Właśnie.

– No to wystarczy dojść do tego, kto wysłał doradców do Kong, kto kazał szkolić tamtejszy garnizon, kto kazał zbudować tam lotnisko zdolne do prowadzenia głębokich operacji zaopatrzeniowych za linią frontu...

Tomaszewski zaczął się śmiać.

– Co? – Wyszyńska spojrzała na niego nieufnie.

– Zaangażowane w to były setki osób. A podejrzewając je wszystkie, zaraz zwęszymy spisek światowy i uznamy, że wszyscy sprzysięgli się przeciwko nam.

Wentzel podniósł rękę.

– Proszę pani. Nie mamy ani prawa, ani możliwości szpiegować w strukturach własnej armii. Nie mamy prawa prowadzić wewnętrznego śledztwa w domenie wojsk lądowych. Możemy jedynie pewne zauważone rzeczy przekazać wyżej. A wyżej to znaczy gdzie?

– Do sztabu generalnego – odpowiedziała.

– A kto musiał się zgodzić na akcję piechoty i lotnictwa w Banxi?

– Sztab generalny – odpowiedziała znowu automatycznie i sekundę później zdała sobie sprawę z tego, co powiedziała. – O kurw...! – urwała w pół słowa i rozejrzała się spłoszona. – Najmocniej przepraszam. Naprawdę pojęcia nie mam, skąd mogło mi się przyplątać takie słowo.

Tatarski pułkownik uśmiechnął się z wyrazem twarzy mówiącym, że jemu to w żaden sposób nie przeszkadza. Kai uśmiechnęła się również, ale z innego powodu.

– Skoro nie można poprowadzić śledztwa we własnych szeregach, to zacznijmy z drugiej strony – powiedziała.

– To znaczy?

– Wiemy, gdzie zakonnicy zaczęli wyprawy po tej stronie gór. Trzeba sprawdzić, czy zeszli po drugiej stronie i co zrobili.

Chmury gromadzące się w umyśle Wentzla były już widoczne na jego twarzy. Dla baczego obserwatora przynajmniej.

– Ciekawe, jak pani sobie to wyobraża, pani kapitan. Sprawdzenie zdarzeń sprzed tysiąca lat po naszej stronie gór? Poszukajmy w kronikach zapisów w rodzaju: „Kołodziej ze Świątoplekiem opowiadali, jak to natknęli się w puszczy na dziwnych ludzi. I co z nimi zrobiliście? – zapytał pan na grodzie. Zarznęliśmy, odpowiedzieli zgodnie”.

– Panie admirał, proszę nie desperować – wtrąciła się Wyszyńska. – To, że tysiąc lat temu nie było jeszcze Polski, nie znaczy, że nie było w ogóle cywilizacji po naszej stronie gór.

– To gdzie poszukamy? Rzymu już nie było, ale może wikingowie coś sobie zapisali.

– Jest pan europocentryczny.

– To zła droga – powiedział Michałowicz. – Jasne jest jednak, że ludzie, którzy podejmowali wyprawy przez góry, musieli mieć jakiś plan działania. Jakieś projekty stworzenia struktur organizacyjnych po tamtej stronie. Członkowie wypraw, którym udało się przedostać do nas, musieli mieć opracowane procedury wzajemnego odnajdowania się w obcym świecie.

– Owszem, powinni mieć coś takiego. I co z tego?

– Te zapiski muszą być gdzieś w bibliotekach.

Wentzel zacisnął zęby, zaprzeczając ruchem głowy.

– To były tajne materiały. Zapewniam, że w bibliotekach ich nie zostawili.

– Może warto byłoby przeszukać biblioteki zakonne? – powiedziała Kai. – Podobne do tej, w której była Shen.

– Pani kapitan. Zapewniam, że nie szczędziliśmy środków na poszukiwania. Najlepsi fachowcy, których można było wynająć w Negger Bank, przeszukali wszystkie biblioteki. I publiczne, i państwowe, i prywatne, i zakonne, łącznie z tą, którą odwiedziła Shen. I nie znaleźli ani skrawka dotyczącego spraw, o których mówił pułkownik. W bibliotekach, pani kapitan, nie zostawia się rzeczy ściśle tajnych!

No, burza była blisko. Tomaszewski czekał już tylko na właściwy moment.

– A archiwum w Lai Ho Park? Archiwa sił specjalnych? – zapytała Wyszyńska.

– A tam to mamy dostęp na takiej samej zasadzie, na jakiej Shen wyrobiła sobie kartę biblioteczną. Za pomocą karabinów maszynowych i granatów.

– A poważnie? – Najwyraźniej Wyszyńska też się wkurzyła. Zresztą, znając ją, nie było o to trudno.

– A poważnie szukamy i tam przez Organizację Randa. I również nic.

Zapadła męcząca cisza. Jeśli ciszą oczywiście można nazwać miejsce położone pomiędzy dwoma ryczącymi silnikami ciężkiego wiatrakowca. Wentzel wyjął chustkę i demonstracyjnie wytarł pot z czoła, choć we wnętrzu latającej maszyny było raczej przewiewnie.

– Jakies pomysły? – zapytał sucho.

Odpowiedziało mu milczenie. Pionowa zmarszczka pojawiła się na czole admirała.

– Naprawdę na nic was nie stać?

No niby nic. Żadna z siedzących wokół osób nie śmiała podnieść oczu na Wentzla. Wybuch był tuż–tuż.

– Krzysiu, a może ty wiesz, gdzie zdobyć zakonne plany struktur organizacyjnych przerzucanych grup? Ich hasła, sposoby odnajdowania się przez lata...

– Ależ oczywiście, wuju – odparł bezczelnie Tomaszewski. – Wiem, gdzie to znaleźć.

Z satysfakcją obserwował spod oka, jak wzrok wszystkich wokół skupia się na nim. Sam Wentzel był tak zaskoczony, że długo nic nie powiedział. Za to przełknął głośno ślinę.

– Gdzie? – warknął nareszcie.

– Przecież każdego agenta wysyła się zaopatrzonego w hasła, spis procedur, wykaz innych wypraw i mnóstwo instrukcji, co mają robić po drugiej stronie. Znamy miejsca, gdzie poszczególne wyprawy zaczynały wspinaczkę. A ponieważ większości wypraw przejście się nie udało, więc zamarnieści agenci Zakonu czekają na nas w górach z nietkniętymi instrukcjami i opisem procedur.

Wyszyńska parsknęła śmiechem, Kai potrząsała głową, Selim patrzył z nieruchomym wyrazem twarzy, jakby czegoś nie zrozumiał. To było za proste.

Tomaszewski kontynuował spokojnie:

– Oczywiście wszystkie dokumenty przy martwych agentach są szyfrowane. Ale po doświadczeniach z miejscowymi kryptologami to dla nas nie problem. Wszystko jest zachowane na mrozie w stanie idealnym. Trzeba jednak zorganizować wyprawę naszych alpinistów w te góry. Wyposażonych w nowoczesny sprzęt i butle z tlenem. Nie muszą się narażać i przechodzić na drugą stronę, wystarczy przecież, że znajdą ciała zakonników i wezmą papiery. Myślę, że ludzie nauczeni współczesnych technik wspinaczki, w nowoczesnych ubraniach i z tlenem na plecach poradzą sobie bez trudu.

Tomaszewski rozejrzył się i uśmiechnął promiennie, widząc konfuzję współpasażerów.

– Nie muszę chyba dodawać, że te wyprawy będą się same finansować. Martwi zakonnicy mają przecież swoje pasy z zaszytymi diamentami, które miały im posłużyć po drugiej stronie gór.

Admiralska burza została zażegnana. Teraz doszło do sytuacji, kiedy to admirał siedział i nie wiedział, co powiedzieć. Pomysł Tomaszewskiego okazał się naprawdę za prosty, żeby wpadł na niego sam.





## Rozdział 3



Napastnik wychynął z ciemności w miejscu, z którego nie można się go było spodziewać. Kryjówka przecież była za mała! Rand umiał już opanować wszelkie wątpliwości. Kiedy tamten runął na niego, trzymał w ręku sztylet. Zdążył nawet ruszyć do przodu. Zgodnie z instrukcjami Aie zatrzymał się w ostatniej chwili. Niech tamten biegnie, niech on się rusza, Rand musiał stać w miejscu, by cios mógł być precyzyjny. To było dosłownie okamgnienie. I udało się! Trafił dokładnie nad obojczyk.

Sztylet złamał się. Rand jednak nie dał się zaskoczyć. Chwytał napastnika obiema rękami i pociągnął w tył, na siebie. Przewrócili się. Jedno szarpnięcie bransolety na lewej ręce uwolniło małe ostrze, które należało wbić od tyłu w szyję. Kopiąc wściekle wroga kolaniem między nogi, Rand zdołał chwycić swoją lewą dłoń prawą ręką. Pociągnął z całych sił. Mała klinga, wyostrzona przez jakiegoś mistrza, prawie nie napotykała oporu.

– Już! – rozległ się okrzyk. – Zabiłeś go!

Oszołomiony akcją Rand potrząsnął głową. Czuł, jak krew buzuje mu w skroniach. Aie nachyliła się nad nim.

– Tak go pociąłeś, że mu cała słoma z głowy wyleciała! – Sprawnie czyściła szefa z co grubszych źdźbeł. Potem chwyciła za ramiona i pomogła się podnieść. – Kukła zabita! – oznajmiła. – Życie uszło z niej bezpowrotnie i trzeba będzie zrobić nową do ćwiczeń.

– To jeszcze nie koniec? – Rand usiłował wytrzepać słomę z włosów.

– Musimy osiągnąć pełną powtarzalność.

Zdecydowanym ruchem wskazała mu wyjście z sali ćwiczeń.

– Mnóstwo papierów czeka na ciebie.

Ruszył za dziewczyną, nie mogąc się pozbyć ulotnego wrażenia, że to kukła zabiła jego, a nie odwrotnie. Pokasływał lekko. Jak każdy człowiek, który nie uprawia regularnie żadnego sportu, był bardzo wrażliwy na jakikolwiek upadek i wstrząs.

– To ty podpiłowałaś sztylet, żeby się złamał?

– Oczywiście – obruszyła się. – Przecież nie dopuściłabym do twojej broni nikogo obcego!

– A jeśli się złamie w rzeczywistości?

Nie odpowiedziała od razu. Kiedy znaleźli się już w pokoju map, odwróciła się do Randa przodem. Patrzyła mu w oczy tak długo, że nie wytrzymał.

– Mam tylko jedno zapasowe ostrze. Co zrobię, jeśli i ono zawiedzie? – zapytał nerwowo.

– Walka nie polega na użyciu jakiegokolwiek broni – odpowiedziała po dłuższej chwili swoim ochrypłym głosem. – Istotą walki jest eliminacja przeciwnika. Jakich użyjesz do tego środków, obojętne.

– Co mam zrobić, jeśli zawiedzie i drugie ostrze?

– Spróbuj wyrwać mu tchawicę.

– Jak? Rękami?!

Aie uśmiechnęła się ciepło.

– Rozszarp gardło zębami. Po prostu go zagryź. Jak pies!

Nie wiedział, czy mówi poważnie, czy tylko sobie kpi. Nie. Nie po to tyle wysiłku włożył w swoją edukację, nie po to latami gromadził doświadczenie w obcowaniu z kobietami, żeby teraz zagryzać kogokolwiek. Nie tędy droga.

Podszedł do postumentu po rzeźbie sfalszowanego Biafry i nalał sobie wina z amfory, którą tam zostawił. Co go do tej pory zaćmiło? On jako nożownik? Przecież oczywiste jest, że nie potrafi dźgać, zarzynać, fechtować. Dlaczego więc nie użył dotąd broni, którą potrafi władać? Ot, zagadka ludzkiego umysłu.

– Aie?

– Tak?

– Musisz tam być ze mną.

Westchnęła.

– Myślałam, że to już przerobiliśmy. Ochroniarzy do pałacu nie wpuszczają.

– Oj, przecież cię tak nie przedstawię. Możesz być moją wschodnią nałożnicą.

Machnęła ręką.

– Jakoś nie słyszałam, żeby wielmoże ciągaliby ze sobą na salony swoje uzbrojone nałożnice. Obojętnie, czy wschodnie, ze sztyletami, czy te z zimnych krain przywiezione i w stalowe zbroje okute.

– Oj, sam nie wiem. – Stał przed nią i rozłożył ręce w geście bezradności. – Wymyśl coś, bo ja nie dam rady.

– Zapewniam cię, że dasz.

– Bez ciebie? – Zrobił jeszcze krok i objął Aie ramionami. – Bez ciebie to mi się nawet żyć nie chce.

Bronią, którą Rand władał najlepiej, była umiejętność rozmawiania z kobietami. Bynajmniej nie za pomocą argumentów, przekonywania, przedstawiania własnych racji. Nie, nie, nie tędy droga. Nie do rozumu! On potrafił przemawiać do serca kobiety. Potrafił przekazać uczucia.

Teraz przyłożył brodę do jej skroni. Od razu zrobiło się jakoś tak ciepło. Od razu porozumienie przeskoczyło na poziom wyższy niż głupie i ograniczone słowa. Coś tam mówił oczywiście, a właściwie szeptał. Ale same słowa to kaleki przekaz. Nieważny. Ważne były emocje, uczucia. Ważna była bliskość i te wszystkie drobiazgi składające się na większą całość. I to obok, i to pomiędzy, i to w pewnym sensie, i to także, co sprawia, że dusza porozumiewa się z duszą. A nie płaski rozum z drugim płaskim rozumem, i to w dodatku odmiennym. Troszeczkę czucia w tym wszystkim, troszeczkę wrażliwości.

Umiejętność rozmawiania z kobietami była bronią dużo groźniejszą niż sztylet czy nóż. A nawet dużo groźniejszą niż bomba atomowa Polaków.

Rand znał dobrze tajniki walki za pomocą tego oręża. Kiedy po dłuższym czasie podszedł do stołu z mapami, cały umysł Aie był zaprzątnięty jedną kwestią: w jaki sposób zrobić to za niego.

– Coś nowego? – Umysł Randa był już z kolei w zupełnie innej bajce. – O szlag! – Podniósł papiery opatrzone stemplami kopistów. – Co to jest?

– Co to jest? – powtórzyła jak echo Aie, postanawiając odłożyć rozstrzygnięcie kwestii zamachu na później.

Spojrzał na nią zaskoczony.

– To przecież plany operacji zaczepnej na Kong!

– Aż tak szybko nasi ludzie zdobyli te plany?

– A oni aż tak szybko je zrobili?! – Potrząsał głową w szczerym podziwieniu dla jakości działań sztabu. – Armia imperium ruszy na biedną Shen?

Teraz Aie zachnęła się i postukała palcem w czoło.

– A czego się spodziewałeś? Że odpuszczą?

– No nie, ale co oni nagle przestali być tacy nierychliwi?

– Shen w porównaniu z imperium to tylko źdźbło – powiedziała dziewczyna. – Ale tym razem źdźbło w samej źrenicy. Trzeba ją ostrzec.

– A co da ostrzeżenie? Że niby uprzedzona będzie się dłużej bronić?

– To nie ostrzegać?

– Owszem. Ale nie ją, tylko Tomaszewskiego.

Aie pokręciła jedynie głową.

– Że niby Rzeczpospolita stanie u boku partyzantów? – Spojrzała kpiąco.

– Oczywiście, że nie. Ale przecież rysuje się milion możliwości. To polityka. A właściwie kupiectwo. – Roześmiał się nagle z czegoś zadowolony. – Mamy towar w magazynie? Możemy więc handlować. A jak, kiedy, z kim i za ile, to już nam sam rynek pokaże.

Rand odłożył papiery z powrotem na stół i w podnieceniu zaczął krążyć po pokoju map.

– Nam trzeba teraz Bogom dziękować za tę szybkość.

– Jeszcze chwila i pomyślę, że jesteś wierzący.

– Bo jestem! – Zatrzymał się przed Aie, spojrzał jej triumfalnie w oczy, by zaraz ruszyć dalej. – Wierzę w nieskalaną myślami głupotę speckurew.

– Jak dotąd nie były takie głupie.

– Ale teraz? – odpowiedział pytaniem. – Przecież to one stoją za przyspieszoną decyzją sztabu generalnego o akcji na Kong.

– No i co z tego?

– No jak to? Shen wedle ich wersji jest wręcz moją poplecniczka. A już na pewno sojusznikiem. No i wymyśliły speckurwy: marsz na Shen i zamach na mnie! Naraz! To uprawdopodobni nasze brednie o zamachu!

Aie przygryzła wargi. Myślała nad czymś intensywnie.

– Zaraza jasna! – wyszeptła po chwili. – Masz rację, bo to rzeczywiście zrodzi koincydencję. I cesarzowa uwierzy, że to zamach speckurew na ciebie!

– Nie tylko cesarzowa – wysyczał pełen radości. – Każdy człowiek uwierzy w zamach, którego nie było!



Wiatrakowiec nie mógł przelecieć z Banxi do Negger Bank. A przynajmniej nie w pełni obciążony pasażerami. Nie było to możliwe nawet z międzylądowaniem w Kong, więc tu ekipa Wentzla musiała się przesiąść do samolotu. I bardzo dobrze, bo okazało się, że Shen jest na miejscu, a spraw do wspólnego omówienia było mnóstwo. Tomaszewski zamknął się z przywódczynią partyzantów na całą noc w hangarze. Nikt nie mógł ich widzieć, nikt też słyszeć. Barak mieszkalny nie sprzyjał wypełnieniu tych warunków, a poza tym przeważająca część jego powierzchni została zajęta przez admirała i jego świtę. Od siedzenia na twardych skrzynkach Shen bolała już pupa i doskwierał kręgosłup. Rano, kiedy skończyli rozmowy, nie miała najmniejszej ochoty iść spać. Tym bardziej że miejsce po wyrwanym zębie pulsowało nieprzyjemnym bólem i nawet polskie pastylki nie bardzo potrafiły w tym pomóc.

Razem z Kadirem postanowili wyjść na spacer. W ciemnościach przedświtu nikt nie powinien ich zauważyć, a nieliczne lampy umieszczone na słupach wystarczyło omijać szerokim łukiem. Nie zdążyli jednak ujść zbyt daleko, kiedy z tyłu dobiegł ich mlaszczący odgłos kroków w topniejącym śniegu.

Wyszyńska najwyraźniej nie nadawała się na bezszelestnego zwiadowcę. W jednej ręce miała termos, a w drugiej wypełnioną czymś papierową torbę. Kiedy zatrzymali się z ciekawości, weszła bezczelnie między nich i objęła za szyję jedno i drugie.

– Słuchajcie, moi mili, czy rozmawiacie na tyle dobrze po polsku, żebyśmy mogli pogadać? Bo ja, niestety, muszę się przyznać do lenistwa poznawczego. Nie nauczyłam się ani słowa po waszemu.

Oboje patrzyli na nią trochę ogłupiali. Wyszyńska zauważyła to i zdjęła z nich swoje ręce.

– Wybaczcie, pochodzę z kultury na wskroś bezceremonialnej.

– To widać – Shen odzyskała głos po chwili. – Znam też polski. Ale bardziej rozumiem, niż mówię.

– Ja znam lepiej – wtrącił się Kadir. – W razie czego coś przetłumaczę albo podpowiem.

– Trudno. – Wyszyńska skrzywiła się zabawnie. – Wolałabym co prawda porozmawiać z samą dziewczyną, ale...

– Nie mam przed Kadirem tajemnic.

– A ja nie o tajemnicach, raczej o porozumieniu babsko–babskim, dziewczyno.

– Nie traktuj mnie jak dziecko. Proszę! – Shen zaakcentowała ostatnie słowo, żeby było jasne, że to nie prośba, ale żądanie.

– Ja tak tylko z powodu różnicy wieku. – Wyszyńska uśmiechnęła się z lekką dozą ironii. – Nie wiedziałam, że masz z tym problem, koleżanko. Dotąd wydawało mi się, że to Kai ma jakiś ból z tym związany, a tu okazuje się, że wy wszystkie jakieś przewrażliwione.

Shen podniosła oczy z nagłym zainteresowaniem.

– To Kai ma z tym problem?

– No ma. Wydaje jej się, że wszyscy traktują ją jak dziecko. I nawet ostatnio podjęła się prawie samobójczej misji, żeby udowodnić, jaka jest dorosła. Tym samym potwierdziła tylko, że właśnie myśli jak dziecko nie przymierzając.

Kadir parsknął śmiechem. Bogowie! Jaka celna była uwaga Wyszyńskiej. Zaczynał lubić tę wygadana, bezczelną kobietę z innych światów. Shen, mimo że wiele zawdzięczała Kai, również podobała się diagnoza pani inżynier.

– A w dodatku ta mała czarownica ubrdała sobie, że konkurujemy o Krzyśka! Dobre sobie. Jakbym chciała poderwać Krzyśka, toby już tu stał obok i to on trzymałby termos i kanapki.

– E... – Teraz Shen przekrzywiła głowę z ironicznym wyrazem twarzy. – W gębie jesteś mocna, fakt. Ale ciekawam, jak by było naprawdę.

– Nie każ mi udowadniać.

– Wiesz? Teraz ty zachowujesz się jak dziecko.

Wyszyńska miała dystans do samej siebie. Zaczęła się śmiać. Potem zmieniła temat, częstując partyzantów kanapkami. Skądś wiedziała, że Tomaszewski na pewno nie będzie pamiętał o takich drobiazgach, że ludzie po całonocnych rozmowach mogą być głodni. Kanapki okazały się świetne,

z grubymi płatami jakiejś pieczeni. Obiema rzeczami, tym, że o nich pomyślała i jakością kanapek, zdobyła u rusznikarza kolejne plusy.

– Ty na pewno nie chcesz niczego gryźć, więc napij się tego. – Podała Shen termos ze zdjętą nakrętką.

– To ta legendarna kawa?

– Nie, herbata. Czarna, mocna, gorzka. Ma taką ilość garbników, że ściągnie ci ranę w dziąśle i zagoi szybciej niż te wszystkie lekarstwa. Nie jest za gorąca, spróbuj.

Shen ostrożnie przejęła naczynie. Trochę się jeszcze bała brać cokolwiek do ust. Za to spojrzała na panią inżynier z ciekawością. Jej bezpośredniość rzeczywiście nie była udawana. Czego chciała?

– O czym chcesz ze mną porozmawiać? – zapytała.

– Hm. Wiesz już, że nie jestem człowiekiem?

– Wiem od dawna od Kai. A dzisiaj powiedział mi to jeszcze Tomaszewski w wielkiej tajemnicy i odbierając przysięgę, że nikomu nie powiem.

Kobiety spojrzały na siebie z porozumiewawczym uśmiechem. Ci nadęci mężczyźni...

– Skoro tak, to miej na uwadze, że według waszych standardów rozmawiasz ze zwierzęciem, tyle że obdarzonym inteligencją. Rozmawiasz z czymś takim samym jak krowa czy świnia.

– Nie – przerwał jej gwałtownie Kadir. – Od krowy i świni jesteś zdecydowanie ładniejsza – zaprotestował. – Jesteś bardzo piękna.

Wyszyńska dygnęła jak uczennica.

– Dziękuję.

Shen przygryzła zęby i drgnęła, czując od razu szarpnięcie bólu w szczęce.

– A ja zaczynam rozumieć, dlaczego Kai jest zazdrosna. – Dopiero teraz odczuła miazdzącą przewagę doświadczenia tej wielkiej kobiety. Z mężczyznami chyba robiła, co chciała. Na szczęście Tomaszewski wydawał się równie dobrym zawodnikiem, choć z drużyny przeciwnej.

– Muszę ci powiedzieć coś o mojej kulturze. I o tym, czym różnią się jedne zwierzęta od drugich.

Było coś w głosie Wyszyńskiej, bo nawet zajęty kanapkami Kadir przestał żuć i skupił się na tym, co mówi.

– Widzisz, tak się składa, że pochodzę z kultury, która doskonale wie, co w tej chwili czujesz.

Shen spojrzała na nią zaskoczona.

– A co ja w tej chwili czuję?

– Ależ to proste. Jesteś odpowiedzialna za małą grupę ludzi, na których idzie właśnie największa potęga znanego świata. Czujesz ból dowodzenia grupką partyzantów, którą z powierzchni ziemi zamierza zmieść cała armia imperium.

Shen uśmiechnęła się smutno.

– Mówisz dobrze – prawie szepnęła. – A czy wiesz, o czym mówisz?

Wyszyńska splótła ręce na ramionach. Uśmiechnęła się przyjaźnie.

– Moi przodkowie doświadczyli tego wiele razy. Kiedy było ich mało, kiedy nie mieli broni, kiedy potęga pragnąca ich zmiążyć była nie do opisania... stawali do walki.

– I co?

– No jak to co? Generalnie przegrywali okrutnie. Przecież w takiej sytuacji nie da się wygrać.

– A czemu mi to mówisz?

– Żeby zwrócić uwagę na jeden fakt. Przegrywaliśmy. Fakt. No i co z tego? Jakoś dalej istniejemy i mamy się dobrze. Wiesz... Nie to jest ważne.

Tym razem naprawdę zaciekawiała Shen.

– A co jest ważne w sytuacji, kiedy idzie na ciebie cała potęga?

– Widzisz, i dochodzimy do różnic pomiędzy poszczególnymi zwierzętami.

– Jakimi zwierzętami?

– Pomiedzy psem i wilkiem. Muszę ci to opowiedzieć. – Wyszyńska wyjęła chustkę i wytarła twarz. Nadal jeszcze męczyły ją resztki choroby. – Oglądałam kiedyś taki film o doświadczeniach prowadzonych na zwierzętach. Otóż ludzie złapali w lesie wilka, oswoili na tyle, żeby nie gryzł każdego w zasięgu wzroku, i wpuścili do klatki razem z człowiekiem. Na środek rzucili kawał mięsa i nakryli miednicą. I co wilk zrobił? Przecież wiedział, gdzie jest mięso, czuł je. Podszedł więc i usiłował przewrócić miednicę pazurami. Ale dla jego łap to zadanie niemożliwe. Zanim zwątpił, trwało to ponad godzinę.

– I co potem? – Shen przekrzywiła głowę zaciekawiona. Wyszyńska potrafiła mówić tak, żeby wciągnąć słuchacza.



– Kiedy wilk zwątpił, do tej samej klatki wpuszczono psa. Również na środek rzucono kawał mięsa i przykryto miednicą. Pies zbliżył się, może i spróbował popchnąć miednicę ze dwa razy, no ale przecież był mądrzejszy od wilka i zrozumiał, że nie da rady.

– I co zrobił?

– Podszedł do człowieka, spojrzął mu z dołu w oczy i zaczął merdać ogonem. „Pomóż!”

Kadir powrócił do kanapek.

– Znamienna opowieść – mruknął. – Szczególnie w twoich ustach.

– Nieprawdaż? – Wyszyńska uśmiechnęła się szeroko. – Popatrz, Shen.

– Zatoczyła ręką wokół. – W tych lasach żyje mnóstwo zwierząt, prawda? I ja jestem zwierzęciem. Takim samym jak one.

Shen spojrzała na Wyszyńską trochę przestraszona.

– A wiesz, co nas różni? Co odróżnia mnie od reszty zwierząt w lesie?

– Inteligencja?

Wyszyńska zaprzeczyła ruchem głowy.

– Jedne zwierzaki są mądrzejsze, inne głupsze, ale to tylko stopniowanie. Mniej, bardziej, bez znaczenia. Wszak pies mądrzejszy od wilka. Ale różnica leży w czym innym.

– W czym?

– One wszystkie tam – Wyszyńska znowu wskazała las – są przewidywalne. A w mojej głowie nie ma ładu. Jest... – urwała znacząco.

Kadir się domyślił.

– Szaleństwo! – prawie krzyknął olśniony.

Kobieta z obcego świata wyciągnęła ramię i wycelowała w niego palcem. Stała tak długo.

– Tak – powiedziała w końcu. – Szaleństwo.

Shen przełknęła ślinę. Zaczynała się bać tego, co Wyszyńska miała jej do przekazania.

– Kiedy idzie na ciebie potęga nie z tej ziemi, potęga niewyobrażalna, najbardziej rozsądną rzeczą jest poddać się albo uciekać. Można się też ukryć, usiłować negocjować. Można zrobić milion rozsądnych rzeczy. Ale można też postąpić jak moi przodkowie: Idziecie na nas? I myślicie, że zmiążdżycie samą masą? A chuj z wami i z waszym myśleniem. A ja na złość będę do was strzelać. Nie żeby wygrać, ale na złość! Ja was, kurwa,

pomorduję! Nie wszystkich, ale tylu, ilu zdołam. To nierozsądne, ale ja nie jestem rozsądna. Pochłania mnie tylko szaleństwo!

– I wy naprawdę jesteście szaleni?

Wyszyńska uśmiechnęła się lekko.

– Nie będę ci opowiadała o partyzantach, powstańcach ani rewolucjonistach. Opowiem ci tylko o jednym takim facecie, który popłynął „uwalniać” pewną wyspę. Rządził tam reżim, silny i uzbrojony, a on miał ze sobą jedynie stu kilkudziesięciu ludzi. Ktoś zdradził i reżimowi żołnierze czekali już na plaży. Podczas lądowania zabili ponad stu partyzantów. Dowódca desantu przedostał się do dżungli, mając jedynie kilkunastu ludzi. I wtedy powiedział znamienne słowa.

– Jakie?

Wyszyńska zmrużyła oczy, a potem powiedziała cicho:

– Dni reżimu są policzone.

Kadir zaczął się śmiać. Po chwili dołączyła do niego Shen.

– I były policzone?

Wyszyńska położyła jej dłoń na ramieniu.

– Bez znaczenia. Bo chciałam ci powiedzieć coś innego. Wydaje ci się, że Rzeczpospolita to ważny sojusznik. I tak jest w istocie. Ale pamiętaj: Rzeczpospolita sama do okopu nie wskoczy, zadania za ciebie nie wykona. A jakie będą jej interesy i ku czemu będzie dążyć, nie tobie rozstrzygać.

Shen kiwnęła głową.

– Teraz już zrozumiałam. Mimo że to rozsądne, nie będę stała i patrząc z dołu, nie będę merdała ogonem.

– O właśnie. Jest druga droga. Swoja własna.

– Szaleństwo...



Schodzili po trapie samolotu na lotnisku Negger Bank wymęczeni do cna, niosąc swoje bagaże ostatkiem sił. Dodatkowo trzeba było nieść części zimowych mundurów, które przydatne jeszcze w locie, tutaj, w upale, straciły rację bytu. Przepoczone koszule stawały się najwyższym poświęceniem na rzecz przyzwoitości.

– Spać! Spać! – krzyknęła Kai, kiedy jej stopy w okropnych wojskowych buciorach dotknęły rozpalonej słońcem płyty lotniska. – Chcę

się pozbyć nareszcie tych okropnych rzeczy. – Szarpnęła swoje spodnie z grubego drelichu, z kieszeniami na udach.

– Żadne tam spać! – Wyszyńska z ulgą postawiła walizkę na ziemi. Na szczęście do Kong przekazano jej rzeczy z krążownika. – Imprezujemy! Mam, psiakrew, dość tego śniegu, forsownych marszów i wojny z dzikusami. Chcę się bawić!

– Ja też mam dość i śniegu, i mrozu, i zabijania ludzi! – Tomaszewski podszedł do płotu ograniczającego pas startowy i patrzył na białe, niezbyt odległe zabudowania wielkiego miasta. Rozpostarł ramiona i oparł dłonie na metalowej siatce. – Negger Bank! – powiedział z wyraźnym podziwem. – My już w domu!

– Tak! – poparła go Wyszyńska. – Zero spania. Przecież drzemaliśmy w samolocie.

– Akurat. – Kai nie dawała się przekonać. – Jestem skonana.

– Po dobrym winie natychmiast ci przejdzie. – Tomaszewski odwrócił się i oparł o płot plecami. – A poza tym delegalizuję niniejszym sen jako sposób wypoczywania oficerów marynarki wojennej.

– Tak jest! – krzyknęła Wyszyńska. – Tańczymy! Chlejemy! Bawimy się, aż do chwili kiedy zwali nas z nóg!

– Popieram! Kai, jesteś przegłosowana.

Czarownica westchnęła najpierw, a potem przemogła się i rzuciła swój bagaż na płytę lotniska.

– A pieprzyć! – krzyknęła. – Zapomnieć o śniegu i krwi! Ale dajcie się chociaż umyć!

– No jasne. – Wyszyńska zaczęła czochoać palcami swoje przetłuszczone włosy. – Trzy godziny na ogarnięcie się. A w tym czasie moi służący wywęczają, gdzie dziś jest najfajniejszy raut w mieście, i zdobędą zaproszenia.

– No to umowa stoi. Selim? – Tomaszewski zerknął na Tatara. – Idziesz z nami?

– Dziękuję, ale ja będę zapominał o naszych zabitych w ramionach pani mojego serca. Bardzo już do niej tęsknię.

– Rozumiem. A ty, Nuk?

– Ale, panie komandorze. Gdzie tam, sierżant na raut?

– Chwilowo jesteś zatrudniona przez polskie wojsko. A u nas równość jest.

- No chyba nie aż taka. – Nuk przekrzywiła głowę. – Choć fakt, że mam ochotę najeść się i napić za cudze.
- No to załatwione, Kai pomoże ci skombinować jakąś śliczną kieckę.
- Ostrzegam: tancerka ze mnie taka sobie.
- Nie szkodzi. Za to ze mnie samyj nastojaszczij tancior celowo naroda!
- Tomaszewski zaczął się chełpić po rosyjsku.
- Żebyś się nie zdziwił – przycięła mu Wyszyńska. – Tu walca ani tanga mogą nie znać.
- Żebyś ty się nie zdziwiła!



Raut zorganizowany przez księżniczkę Yari okazał się naprawdę wystawny. Jej pałac nad wodą co prawda nie należał do największych w mieście, ale wystrój i smak, jaki nadali wnętrzom architekci, mogły śmiało konkurować z rezydencją cesarską.

Kai i Tomaszewski w tropikalnych mundurach marynarki robili furorę. Każdy z gości chciał wiedzieć, co w Kong, jak wojna z Shah, i w ogóle posłuchać plotek z odległego, zamarzniętego świata, o którym tak głośno ostatnio, ponieważ wybierała się tam cała armia imperium. A tu można było posłuchać ludzi, którzy poprzedniego dnia jeszcze tam byli. Na szczęście ten temat szybko się znudził i zapanowały nastroje bardziej imprezowe.

Wyszyńska miała na sobie tutejszą tunikę ozdobioną jedynie biżuterią. Z powodu wzrostu i urody zza gór zderzonej z miejscowym strojem była otoczona wianuszkiem wielbicieli, którzy na wszelkie sposoby wyrażali swój zachwyt. Okazało się, że nie ona jedna zresztą. Z dziesięciu tak na oko Polek obecnych na raucie co najmniej trzy też miały na sobie tylko tuniki. Powodzenie gwarantowane. I żywy dowód na szybkość, z jaką mieszały się kultury.

W kręgach pałacowych gwary arkapolskiej nie wypadało oczywiście używać. Ale wtrącanie polskich zwrotów i wyrażeń do miejscowego języka stało się nagminne. Z drugiej strony Tomaszewskiego uderzyło jeszcze coś. Pamiętał swój pierwszy bal w Negger Bank. Wtedy miejscowe, delikatne i oparte na piźmie zapachy pań konkurowały z ostrymi, chemicznymi woniami wód kolońskich polskich oficerów. Wystarczyło jednak dostarczyć trochę nowoczesnej chemii miejscowym drogeriom i wody kolońskie stały

się niemodne. Nikt już nie używał tego, co przywiózł w okrętowych zapasach.

Szybko okazało się, że Nuk rzeczywiście nie tańczy za dobrze. Błyskawicznie jednak znalazło się mnóstwo młodzieńców, którzy palili się, żeby ją tej sztuki nauczyć. Sierżant, córka bogatego spekulanta, radziła sobie na dworze, a co najważniejsze, wyniosła z wojska dodatkową cechę – umiejętność zapomnienia się w zabawie. Tylko tu i teraz. A wtedy cienie tych, którzy odeszli, nie miały szansy się pojawić.

– No i co? – Wyszyńska z trudem wyrwała się z kręgu wielbicieli. – Obiecałeś coś zatańczyć. – Wskazała rozbawiony tłum przy orkiestrze zajmującej podium nad największym basenem, który ozdobiono pływającymi i płonącymi kwiatami zamiast pochodni. – Jakiś walczyk?

– Walc jest nudny, a tango dla nich za trudne.

– Poddajesz się?

– Ja?! Po kąpieli mieliśmy chwilę z Kai, żeby przeciwzyć pewną niespodziankę.

Wyszyńska zerknęła na czarownicę z zainteresowaniem.

– No ciekawa jestem.

Tomaszewski przeprosił je ukłonem i zaczął przedzierać się w stronę orkiestry. Nie było to łatwe, mimo że goście księżniczki usiłowali się rozstać, widząc, że idzie gdzieś w konkretnym celu. Do głównego podestu dotarł jednak dopiero po dłuższej chwili, o mało nie moczając się w basenie.

– Zawołajcie mistrza! – krzyknął do jednego z pomocników.

Nawet dyrygent patrzył na niego z ciekawością, ale nie o dyrygenta tu chodziło. Potrzebny był ktoś z dużo większymi kwalifikacjami. Po chwili pojawił się ktoś, kto spełniał oczekiwania, stary człowiek w skromnej szacie, z przewieszonymi przez ramię narzędziami do strojenia.

– Czym mogę ci służyć, wielki panie?

– Mam pytanie, mistrzu. Czy gdybym ci zagwizdał jakąś melodię, potrafiłbyś ją powtórzyć z orkiestrą? Bez prób?

Najwyraźniej to było wyzwanie dla człowieka, który nudził się, kiedy jego ludzie przygrywali wielmożom do tańca. Podeszedł bliżej zaciekawiony.

– Panie, ja już niedosłyszę, niestety. Ale gdybyś mógł melodię zamruczeć, to mogę przyłożyć dłoń do twojej szyi i dowiem się, o co

chodzi.

– Dobra. Tylko uważaj, rytm jest bardzo szybki.

Zaczął mruzczyć, kiedy starzec położył mu dłoń na krtani. Nie trwało to długo.

– Już wiem, o co chodzi. – Mistrz cofnął dłoń. – Złapałem i rytm, i melodię.

– I będziesz potrafił to zagrać razem z orkiestrą?

Starzec zrobił minę, jakby chciano go obrazić. Nachylił się w stronę rozmówcy i wysyczał:

– Bez najmniejszego kłopotu!

Tomaszewski udzielił mu jeszcze kilku instrukcji i zaczął przedzierać się w przeciwną stronę. Na szczęście, kiedy mistrz udzielał muzykantom instrukcji, dyrygent zaczął wyciszać graną melodię i tancerze rozstępowali się łatwiej.

– No, dziewczyny – krzyknął Tomaszewski, kiedy dotarł już do Kai i Wyszyńskiej. – Dajemy czadu!

Dyrygent wystąpił przed swoich ludzi i uniósł ręce.

– Szanowni państwo!

Tłum uspokajał się powoli.

– Szanowni państwo, zostałem upoważniony do wygłoszenia następującego oświadczenia!

Teraz dopiero goście zaczęli się uciszać.

– Obecni tu na sali oficerowie sojuszniczej marynarki wojennej, pan komandor Tomaszewski i pani kapitan czarownica Kai, postanowili uczynić specjalną dedykację! – Dyrygent rozglądał się, by dostrzec, czy goście na pewno doceniają wagę ogłoszenia. – W podzięce za zaproszenie na ten wspaniały bal postanowili poświęcić naszej najwspanialszej, najpiękniejszej, najbardziej dystyngowanej księżniczce Yari... – tu nastąpiło teatralne zawieszenie głosu. – Nowy taniec!

Yari była bardzo młodą kobietą. Słyszac zapowiedź, energicznie wyskoczyła z grona otaczających ją notabli i zaczęła machać do zebranych. Co za wspaniała niespodzianka! Przybysze zza gór zawsze wiedzieli, jak dogodzić wysoko urodzonym. Genialna atrakcja, która odróżni właśnie jej bal od wszystkich innych w tym wielkim mieście. Nowy taniec! Wspaniały prezent, wspaniały! Radośnie uśmiechała się do pary w nieskazitelnie białych, wyjściowych mundurach.

– Drogie panie, szanowni panowie – kontynuował dyrygent, podnosząc napięcie – to się tańczy za Górami Bogów! To jest najmodniejsze w Warszawie!

Tomaszewski i Kai wyszli na środek kręgu utworzonego przed orkiestrą przez gości.

– A teraz będziemy tańczyć w Negger Bank! Ten taniec to... charleston!

Muzyka buchnęła skocznym rytmem. Kroki nie były trudne, ale trzeba było mieć dużo siły. A Kai w dodatku pokazała klasę. Miała po prostu talent. Po półgodzinie ćwiczeń zaledwie teraz zdawała się sama zamieniać w dziki rytm i samą drapieżność. Charleston! Kultura, klasa pomieszane z nieujarzmioną energią. To był zew natury. Goście, najpierw oszołomieni, po chwili klaszczący do taktu, potem zaczęli wdzierać się na środek. Jakiś bardzo już podchmielony bogaty kupiec krzychał z całych sił:

– Jak ktoś się boi, to mu wina dać więcej! Nie ma strachu, to łatwe!

I rzeczywiście. Udawało mu się łapać rytm, a nawet kroki, zaraz jednak zwałił się wprost pod pień rosnącej w ogromnym patio palmy. Na szczęście Wyszyńska zorganizowała będące na przyjęciu Polki. Te zaczęły uczyć swoich partnerów i w tłum bezładnie tańczących zaczął się powoli wkładać jakiś porządek.

Księżniczka Yari, zachwycona niespodziewaną sytuacją, wybiegła na podest przy orkiestrze.

– Przywołuję naszą armię do porządku! – krzychała. – Proszę dotrzymać kroku siłom sojuszniczym! Pani major! – Wskazała jakąś oficer sił specjalnych rozglądającą się niepewnie. – Niech pani nie ucieka z pola bitwy.

– Wina! Schłodzonego wina! – krzyczano wokół. Pot łał się z tancerzy strumieniami.

Tomaszewski zrozumiał to jednak po swojemu.

– Wina! – krzychał. – Tego się nie da tańczyć na trzeźwo!

Podręczni obsługujący piwnice z trunkami nie nadążali z bieganiem po schodach.

– Ależ atrakcja! – Jakiś urzędnik z pałacu, z najbliższego otoczenia cesarzowej, ścisnął rozognioną Yari. – Wieczór udał się, pani, wybornie!

Spódnica wyjściowego tropikalnego munduru marynarki wojennej była dość krótka i Kai mimo wysokich obcasów udawało się zachować

równowagę dość długo. W końcu jednak tłum ją porwał i wpadła na jakiegoś dworzanina. Zdołał ją utrzymać.

– To niesłychane! – Patrzył na nią, wytrzeszczając oczy. – Musi mnie pani tego nauczyć, pani czarownico.

– To proste – krzyknęła. – Musisz tylko zrezygnować ze swojego nadęcia.

– Ja nie mogę zrezygnować z urzędowej powagi. Ale będę musiał zdać sprawozdania na dworze. Będę musiał pokazać to coś.

Dworzanin usiłował jednocześnie tańczyć charlestona i zachować pozory dostojeństwa. Nie udawało mu się ani jedno, ani drugie.

– I w ramach sprawozdania będziesz musiał zatańczyć przed cesarzową? – Kai w tańcu skierowała się w stronę sługi roznoszącego wino. – Współczuję!

Służący wykazał się refleksem i wielkimi umiejętnościami. Kiedy miała upaść po raz drugi, podtrzymał ją wolną ręką, nie rozlewając przy tym niczego z naczyń, które miał ustawione na tacy. Podziękowała mu serdecznie i wzięła dwa wielkie kielichy.

– Odpoczynek? – zapytał Tomaszewski, kiedy z trudem wydostał się z tańczącego tłumu.

– Odsapnijmy trochę.

– Odpocznijmy. – Sprawnie przejął swój kielich. – Należy nam się.

Tłok na sali balowej był tak duży, że na w miarę wolną przestrzeń przy schodach udało im się dotrzeć po paru minutach. Stojący u podnóża służący wytarli im twarze chustami nasączonymi wonnościami. Wszystko było zorganizowane z niezwykłą starannością.

– Na świeże powietrze? – poddał sługa przepasany szarfą wskazującą na to, że miał prawo rozmawiać z gośćmi.

Zaczął prowadzić ich meandrami wypełnionych rozbawionymi ludźmi korytarzy.

– Na główny taras tuż przy sali balowej nie radzę – tłumaczył. – Tam tłok większy nawet niż wewnątrz.

Wierzyli mu na słowo. Służący miał wyczucie. Doprowadził ich na jeden z wielkich balkonów wiszących nad basenami, gdzie spławiano nieustannie płonące kwiaty. Tu było zdecydowanie mniej ludzi. Służący szybko też wymienił im napoczęte już kielichy z winem na trunek dużo lepiej schłodzony i ulotnił się bez słowa.



– O, jak mi dobrze! – Kai przechyliła się przez barierkę, podziwiając nieprawdopodobny wręcz widok na księżące ogrody rozświetlone setkami malutkich oliwnych lampek. Wszędzie przemykały chichoczące pary. W kilku niszach widać było grajków tworzących „ogrodowy” nastrój. Tu jednak żadne dźwięki nie docierały, zabijał je gwar pałacu.

– Wyszyńska miała rację. Pójście do łóżka w takim stanie ducha, w jakim byliśmy, byłoby marnowaniem snu.

– Tak. Dopiero teraz po tym koszmarze długim locie czuję, że żyję.

– Nic się nie bój. Za tę euforię zapłacimy jutro kacem.

– I nie ma na to żadnej metody?

– Jest. Można kaca przenieść na pojutrze!

Zaczęli się śmiać.

– Krzysiek! Kai! – z tyłu rozległ się gromki okrzyk. – No i tu dopiero się spotykamy? Zaczynacie bywać?

Spomiędzy ludzi wyłoniła się znajoma sylwetka. W tym świetle, a właściwie półmroku, rozpoznali go, dopiero kiedy podszedł bliżej. Inżynier Dion, z którym mieli przyjemność podróżować na Złe Ziemie. Teraz ciągnął za sobą drugiego człowieka, jeszcze bardziej upitego niż on sam.

– Pozwólcie, że przedstawię... To mędrzec Taner. Wielki umysł. Naprawdę wielki.

Mędrzec nie za bardzo mógł podnieść głowę. Kiedy jednak mu się to udało, zobaczyli oczy tak wesołe i w stanie takiego szczęścia, że jasne się stało: tu nie tylko alkohol wchodzi w grę.

– Czemu on taki szczęśliwy? – zapytała Kai.

– A to nie wiecie? – Dion nachylił się do nich i przeszedł na ton konspiracyjny. – Polskie oddziały w Sait zajęły świątynie potworów na stałe. A obok, okazało się, są plantacje tego zielska, z którego oni robią osławiony „biały dym”. Którym trują i ogłupiają oddziały wroga podczas akcji. Znasz go chyba?

Jasne, że Tomaszewski znał. Doświadczył jego działania dwa razy. W porcie w Sait i podczas bitwy w Banxi. Doskonale zapamiętał tę woń, która kojarzyła się zawsze z paniką wśród wojska, histerią i załamaniem morale.

– No i co?

– No jak to co? Naukowcy zaczęli to badać, a żołnierze sprawdzili, czy rośnie gdzie indziej. – Dion rozłożył ręce. – No rośnie, rośnie. I to bardzo szybko. No to sprawdzili, jak działa.

– Jak działa?

Dion rozejrzał się, robiąc jeszcze bardziej konspiracyjną minę. Potem wyciągnął skądś małego cybuszek.

– Masz, zaciągnij się! – Podał Tomaszewskiemu. – Tym już wasi handlują na całym wybrzeżu.

Tomaszewski miał już na studiach niewielkie co prawda, ale jednak, doświadczenia z marihuaną. W każdym razie wiedział, co robić. Nachylił się, przypalając od najbliższej lampki, potem zaciągnął się głęboko, przetrzymując dym w płucach. Aż nim wstrząsnęło. Doskonale znał ten zapach. Woń pola bitwy usłanego trupami. Doskonale wiedział, że narkotyk potęguje w człowieku nastrój, w jakim się ten znajduje. A otoczenie, pałacowa impreza, w niczym nie przypominało groźnego lasu. Czuł, jak coś w nim zaczyna pulsować. Czuł, że jakoś tak dziwnie słabnie.

– Daj mi też!

Czarownica przejęła cybuszek i zaciągnęła się głęboko. Od razu zaczęła kaszleć. Nie była przyzwyczajona.

– Do płuc! Do płuc, do płuc, Kai! – instruował ją inżynier. – Opanuj kaszel. Inhaluj!

– Uuu... szlag by was!

– No i jak tam? – zapytał mędrzec Taner. – Działa?

Tomaszewski nie wiedział, czy działa. Zrozumiał nagle, że stęsknił się za Dionem. To przecież jest fantastyczny facet. Przeżyli razem podróż przez pustynię, pamiętał wspaniałe dyskusje, sprośne piosenki śpiewane na biwakach przez imperialną ekipę, a także wzruszające wiersze, które potrafili recytować. Okręcił sobie czapkę daszkiem do tyłu, żeby nie przeszkadzała, i wziął inżyniera w objęcia.

– Dion, przyjacielu!

Obaj mężczyźni zaczęli się całować w policzki.

– Działa – wydał diagnozę Taner. – No to teraz, Kai, sztachnij się jeszcze raz i daj mi buzi.

Czarownica po chwili objęła mędrca. Wcale nie był taki stary. Wyglądał na jakieś czterdzieści pięć, pięćdziesiąt lat. Całował natomiast jak nastolatek. Delikatnie.

– Jak wyście się poznali? – zapytała.

– Z Krzyśkiem? Dzisiaj. Dion nas przedstawił przed chwilą.

– Ach, no fakt przecież! – Palnęła się w czoło. – A z Dionem?

Nie wiadomo, dlaczego wydało jej się to takie ważne. Ale mędrzec zaczął uprzejmie tłumaczyć.

– A z nim to ja się znam od dzieciństwa prawie. Z przerwą trochę, bo on uczył się na inżyniera, a mnie konkretnie alchemia interesowała. A po naukach znowu się zeszliśmy. No ale wiesz. Przyplłynęli ludzie na żelaznych okrętach, to zaraz powynajmowali naszych inżynierów do różnych robót, a wychwalali ich, a doceniali, nawet pieścili, rzekłbym. No a w nas się złość robiła. Dlaczego nas nie doceniają?

– Alchemików? – wtrącił się do rozmowy Tomaszewski, czując, jak kręci mu się w głowie. Oparł się o barierkę balkonu i dodał: – Bo nie potrzebujemy kamienia filozoficznego. Ot co!

Taner chciał odparować złośliwie, ale nie zdążył, bo przerwało im rozmowę sześciu mężczyzn niosących Nuk na wysoko wyciągniętych nad głowami rękach. Dziewczyna miała rozpostarte szeroko ramiona i wydawała z siebie dźwięk:

– Brrrrrrrr!...

– Nuk! Co ty robisz? – zainteresowała się Kai.

– Pokazuję im, jak lata samolot, bo oni jeszcze nie lecieli – odparła sierżant rezolutnie. – No dalej! Brrrrrrrrrrrr!... Zakręt! Uwaga, bo tracę siłę nośną na lewym skrzydle.

Taner odprowadził wzrokiem niecodzienną grupę usiłującą chyba walczyć z silnym bocznym wiatrem na wysokościach. Potem podjął swoją opowieść.

– No i zwierzyłem się przyjacielowi. Że nas ignorują. No to mi powiedział ten durny Dion, przyjaciel mój głupi, żebyśmy wykazali przydatność. Konkretną! No to ja mu, że nie jestem sprzętem w kuchni, który ma być przydatny.

– A ja mu wtedy przywiozłem coś z pustyni – Dion wtrącił się do niezwykle ważnej według niego rozmowy. – Przywiozłem mu dwie butelki. Bo ty mi mówiłeś – spojrzał na Krzyśka – że z olejem skalnym jest wszystko w porządku, ale przerobienie go na benzynę jest kłopotliwe i kosztowne. I będzie bardzo długo trwało, zanim zaczną z Polski przywozić fabrykę w kawałkach.

– No i dał mi dwie butelki. I mówi: spróbuj to przerobić na to!

– Bo w jednej butelce był olej skalny, a w drugiej benzyna. Nie?

– No ale mi się butelki myliły. – Taner wykonał gest bezradności. – I nie chciałem przerobić benzyny na olej skalny, prawda?

– Bo się nie da – wtrącił swoje trzy grosze Tomaszewski.

– Jak się nie da, jak się da?! Da się, jak się da komuś ile trzeba – obruszył się Taner. – Wszystko się da, jak się da.

– Nie przesadzaj.

– Nie przesadzam. Olej skalny przerobić na benzynę to jak splunąć. Byle tylko butelek nie pomylić. Bo wtedy trudniej.

– I przerobiłeś?

– No.

Obaj patrzyli na siebie niezbyt przytomnie. Tomaszewski wiedział, że tak ważną rozmowę powinien odłożyć na później, lecz nie mógł się powstrzymać.

– I to tylko tak na stole? W laboratorium?

– Nie. Zrobię wam każdą ilość. No, straty będą duże, ale przecież surowca w bród, a i przy jego zerowej cenie można tracić, ile się chce. Przy czym odpady to też paliwo, tyle że gorsze. Do pieca tylko.

– Królu złoty! – Tomaszewski tym razem objął Tanera.

Kai powstrzymała ich jednak od całowania. Od strony wylotu najbliższego korytarza zbliżała się sama księżniczka w otoczeniu swej świty.

– Ach, tu jesteście!

Jeden rzut oka na Tomaszewskiego powiedział Yari, że czapka obrócona daszkiem do tyłu jest efektem czegoś mocniejszego od wina. Yari była bardzo spostrzegawcza.

– Co tu przyjmujecie beze mnie?

Tomaszewski natomiast stanął przed poważnym dylematem. Instrukcja sporządzona przez ambasadę i rozdawana wszystkim oficerom marynarki schodzącym na ląd jasno precyzowała zasady obcowania z miejscową elitą. I według tej instrukcji księżniczce należały się pełne wojskowe honory. A do czego ma salutować, skoro orzeł – godło narodowe – znajduje się teraz na potylicy? A może i dobrze, że orzełek był odwrócony? Nie widział przynajmniej tej całej poruty. Nie wiedząc, jak wybrnąć, strzelił obcasami, stając na baczność.

– Melduję, że narkotyzujemy się dymem potworów! – Energicznym ruchem podał księżniczce cybuch, o mało nie wybijając jej przy tym oka. –

Przepraszam, ustnik ośliniliśmy osobiście, wszyscy jak tu stoimy!

– Nie brzydzę się. – Na szczęście Yari była normalnym człowiekiem. Włożyła dziwną rurkę do ust, a Dion przypalił końcówkę oliwną lampką. Księżniczka zaciągnęła się lekko i ostrożnie, unikając tym samym ataku kaszlu.

– Głębiej, głębiej, pani! – namawiał ją inżynier.

– To może kiedy będę sama. – Yari zerknęła jeszcze raz na odwróconą czapkę komandora i maślane oczy mędrca Tanera. – Przypilnujcie, żeby mi jutro dostarczono paczuszkę tego ziela.

– Jutro służący przyniosą. Z najnowszej dostawy z Sait.

Księżniczka ledwie zauważalnie drgnęła, słysząc, skąd pochodzi ziele, potem zaciągnęła się raz jeszcze, równie ostrożnie i dystyngowanie jak za pierwszym razem.

– Czy ten zapach czuli przed śmiercią żołnierze korpusu w Wielkim Lesie?

Kai przytaknęła.

– Ten sam zapach czuli też żołnierze Achai, kiedy umierali tysiąc lat temu – powiedziała. – I wielu, wielu innych.

– Hm, interesujące. – Yari pociągnęła lekko ostatni raz i oddała cybuch. – Powiedziałabym nawet, że bardzo podniecające, kiedy się czuje to samo co oni. Dosłownie mam przed oczami ich cienie. Bardzo podniecające – westchnęła. – Każcie dostarczyć dwie paczki.

– Pani! – Wszyscy pochyłili głowy.

– I jeszcze jedno. Panie komandorze, pani kapitan, muszę powiedzieć, że bardzo spodobała mi się wasza dedykacja dzisiejszego wieczoru. Przyjmuję ją z radością!

Oboje wykonali przepisowe ukłony według instrukcji napisanej w ambasadzie.

– Nie mam pojęcia, jak się odwdzięczyć, pozostanę więc waszą dłużniczką. – Księżniczka podała Tomaszewskiemu niewielki rulon papieru przewiązany wstążką. – Nie mogę jednak pozwolić, żeby para moich przyjaciół mieszkała w jakichś okropnych koszarach na terenie bazy. Proszę, tu jedna z moich willi, położona w pięknym miejscu. Przenieście się gdzieś z dala od wojskowego zgiełku.

Tomaszewski przełknął ślinę, a Kai dygnęła zupełnie nieprzepisowo. Dygający kapitan Wojska Polskiego na pewno nie był tym, co

przewidywały regulaminy.

– K... Królewski dar!... – komandor pierwszy zdołał powiedzieć cokolwiek.

– To naprawdę drobiazg. I koniecznie proszę mnie nauczyć charlestona!

Potem Yari skinęła uprzejmie głową i pozostawiła ich zamarłych w bezbrzeżnym zdumieniu. Książęca willa za nowy taniec? Ufff! To się nie zdarza co wieczór.

Kai oprzytomniała pierwsza. Nagle zdała sobie sprawę, że Yari potraktowała ich jak parę. Coś ciepłego rozlało jej się w klatce piersiowej. Będą mieszkać razem – to druga myśl. Jeszcze bardziej przyjemna. Wyszyńska mieszka w tej samej dzielnicy, gdzie leży ich nowe lokum. Trzecia myśl w ogóle nie była przyjemna. Oparła się o poręcz balkonu. Na szczęście jej uwagę odwróciło to, co działo się na dole.

Musiało tam wiać, i to mocno, bo samolot uosabiany przez Nuk niebezpiecznie przechylił się na lewe skrzydło. Przez chwilę dziewczyna balansowała jeszcze na krawędzi równowagi, potem zwała się do basenu razem ze swoją siłą nośną złożoną z sześciu mężczyzn. Pokrzykiwali na siebie, usiłując wydostać się na brzeg, niestety, pozostali goście wzięli te okrzyki za zachętę i gremialnie zaczęli skakać do wody. Ktoś z góry polewał ich winem.

– Kto tu diluje? – Tuż obok pojawiła się Wyszyńska w towarzystwie przystojnego dworzanina. – No, kto jest dilerem? Zdradźcie mi.

Nikt nie rozumiał jej słów.

– Nie bądźcie tacy. Podobno pojawiło się tu jakieś nowe zioło.

– Ach! – Inżynier Dion uderzył się w czoło. – Teraz rozumiem. – Wyciągnął w kierunku Wyszyńskiej świeżo nabity cybuch. – Proszę.

– Nie mam przy sobie gotówki, ale mogę się zamienić. – Wyszyńska podała małe jedwabne zawiniątko. – Mam jakąś wschodnią używkę. Trzeba wziąć pod język albo pomiędzy górną wargę a dziąsło.

– Jak działa? – zainteresował się Tomaszewski.

– Bardzo łagodnie i daje takiego kopa... – Przez chwilę szukała odpowiedniego słowa. – Akuratnego! Spróbuj, tylko nie popijaj winem, lepiej tego nie łykać.

Zabawa na pewnym poziomie „nasączenia” uczestników ma swoje prawa. Wszyscy obecni więc bez wahania włożyli małe, lepkie kulki pod języki. Działy szybko, uspokajając, wprawiając w trans, godząc z całym

światem wokół. Wyszyńska odlatywała w inny sposób, razem z cybuchem Diona. Uczepiony jej ramienia dworzanin sączył coś z małego flakonika. Odlot.

Dwóch służących dźwigających amfory z winem pokłóciło się o coś, zaczęli się bić, a potem nawet okładać kijami. Szybko okazało się jednak, że to tylko kolejna atrakcja wieczoru księżniczki. Z rozbitych „w kłótni” amfor wyleciały stada kolibrów, które kiedy osłonięto większe lampy niebieskim muślinem, zaczęły świecić w półmroku.

Tomaszewski otarł pot z czoła. Rozpływał się we wszechświecie. Ale jazda! Chyba najlepszy melanz w jego życiu. Coraz bardziej zamglonym wzrokiem obserwował tańczących, rozbawionych gości. Tu, w ciepłe Negger Bank, świat był taki przyjazny. Bez świstu strzał w zamarznętym powietrzu, bez odgłosu kul Mielczarka eksplodujących w obcych ciałach, bez walki wręcz, skalpowania wrogów... Tu nikt nie wciągnął Mustafy pod lód, podryznając mu gardło. Tu nie łamano kości wojskowymi buciorami. Nikt nie wył w przedśmiertnym paroksyzmie, nikt nie pacyfikował żadnej wsi i nie przesłuchiwał rannych. Nie, nie, nie. Tamto w ogóle nie miało miejsca. Nie zdarzyło się nigdy. Tamtego w ogóle nie było!

Jest tylko radość tutaj. Gdzie w ciepłym basenie pływają płonące kwiaty, a mrok wyżej rozświetlają mżące drżąco kolibry.



Możliwość wysłuchania najbardziej gorących plotek z całego imperium była chyba najważniejszą przyczyną, dla której cesarzowa udawała się do kurierów osobiście. Ale też olbrzymia stacja pocztowa kryła w sobie o wiele więcej atrakcji. Tu, w tymczasowych koszarach, wysoko urodzone damy często urządzały sobie dom schadzek. Wbrew pozorom miłość władców do prostego ludu nie była wcale pustym słowem i tu właśnie często to udowodniano, w łózkach zbijanych z prostych desek, bez żadnego wyrafinowania. Tu także mieścił się chyba największy kantor wymiany. Nieoficjalny, oczywiście. Ale jego obroty można by śmiało porównywać do tego, czym dysponował cały miejscowy oddział banku Barucha. Speculanci ze wszystkich stron świata spotykali się właśnie tutaj, bo oprócz złota ściany stacji pachniały też najświeższą informacją. A wiadomości ze świata to wiadomo, towar szybko się psujący i handlować nim, korzystać z niego trzeba szybko. Najlepiej od razu u źródła. A tam, gdzie pieniądź krąży, to

zaraz i poborca podatków swój nos wpycha. Stąd i urzędy wszelkiej maści rozlokowano w pobliżu, żeby chodzić nie trzeba było daleko i wielkich sum należnych skarbowi państwa nie nosić, bo zbyt ciężkie. Dlatego też teren stacji, choć wojsko w bezpośrednim sąsiedztwie nie stacjonowało, uważany był za bardzo bezpieczny. Cesarzowa mogła tu chodzić wszędzie pieszo i rozmawiać z ludźmi bezpośrednio. Idealny teren, by przedstawić jej nowe osoby, których wpuszczenie na dwór graniczyłoby z niemożliwością.

– Przystań mi suszyć głowę. – Cesarzowa mimo zniecierpliwienia słyszalnego w głosie nie skinęła na żadnego z podręcznych, żeby ten wybawił ją od natręta. A Rand, znający ją jednak dość dobrze, rozumiał, że władczyni opęda się od niego tylko rytualnie. Tak naprawdę ciekawa jest, co ma do powiedzenia.

– Wielka pani – naciskał bez przerwy – to tylko powóz. Wystarczy jeden rzut oka.

– To tylko powóz – powtórzyła za nim jak echo. – Co mam niby zobaczyć niezwykłego?

– Jest cały postrzelany!

– Ale na dyszlu nie napisano, kto strzelał, prawda?

– Oczywiście, wielka pani, łatwo jednak dowieść, że to siły specjalne. Zniecierpliwiona machnęła ręką.

– Znowu mi pokażesz jakąś bryłkę metalu, twierdząc, że to pocisk sił specjalnych. Ja już mam dość tych bajek.

– Nie pokażę ci żadnych pocisków. Chcę tylko, żebyś zobaczyła, że powóz ma na burtach moje znaki. I to dlatego właśnie strzelano do niego, a nie do któregośkolwiek innego powozu, który był wtedy na ulicy.

– I mam ci uwierzyć na słowo?

– Nie, wielka pani. Mam świadka. Mam mojego ochroniarza...

– Śmiałeś tu wejść z ochroniarzem? Czyżbyś nie ufał mojej straży? I temu, że chroni cię mój majestat?

– Ależ ufam, wielka pani. – Rand czuł, że rozmowa dryfuje w niepożądanym kierunku. – Aie ma wystąpić wyłącznie w charakterze świadka. Opowie, jak to usiłowano mnie zabić na trakcie do przepędzania bydła.

Cesarzowa westchnęła ciężko.

– I cóż warte są słowa osobistego ochroniarza? Jeśli dobrze wykonuje swój fach, to przecież powie, co będziesz chciał.



– Dlatego też kazałem przyprowadzić powóz – powiedział. – Aie przedstawi dowody na to, że siły specjalne od dawna czyhają na moje życie. A teraz posuwają się już do jawnych aktów przemocy. Ale to nie wszystko. Udowodnię, że spisek jest dużo bardziej rozległy. I nie tylko ja jestem w niebezpieczeństwie.

Oż zaraza jedna. Chyba się zagalopował. „Ktoś jeszcze w niebezpieczeństwie” sugerowało ni mniej, ni więcej samą cesarzową. A tego nie chciał powiedzieć. Takie słowa były zbyt niebezpieczne. Ugryzł się w język, lecz było za późno.

Cesarzowa przełknęła ślinę. Nie mógł wywnioskować z jej idealnie obojętnej twarzy, jak przyjęła jego słowa. Czuł, że zaczyna się pocić.

– No dobrze. – Władczyni wkładała wiele wysiłku, by jej słowa brzmiały idealnie obojętnie i nikt nie mógł wyczytać, czy jest naprawdę znużona, czy wręcz wściekła. – Zerknę na twój powóz, Rand. I porozmawiam z ochroniarzem.

Powiało grozą. Uuuu... Nie ostrzega się cesarzowej przed niebezpieczeństwem, którego nie ma. Nie ostrzega przed czymś, czego nie można udowodnić.

Rand na miękkich nogach włókł się w orszaku władczyni. Powóz był przecież lipny. Na szczęście Aie prawdziwa. A wszystko to miało tylko dowieść ich do miejsca, w którym będzie można przeprowadzić sfingowany zamach na niego. I to miał być koronny dowód na arogancję i bezczelność służb specjalnych. A tak naprawdę miała to być desperacka i rozpaczliwa próba powrotu do łask cesarzowej poprzez podważenie jej pojęcia o bezstronności tych służb. Jak każdy desperacki plan, ten też miał cień szansy na powodzenie. Jeśli całe zajście wypadnie przekonująco, a napastnik zginie na miejscu, to nikt nigdy nie dojdzie do tego, kto go wprowadził w bezpośrednią bliskość władcy, kto szkolił, kto opłacił. Śledztwo, tak czy tak, utknie na początku, stanie się przewlekłe, a jeśli plan się uda, to Rand będzie mógł skutecznie hamować jego postępy.

Na razie jednak nie było potrzeby rozpatrywania żadnego „jeśli”. Rand powiedział trochę więcej, niż chciał, i teraz należało się obawiać o własne życie. I to nie w sensie zagrożenia przez zamachowca.

– Czy o to chodzi? – Cesarzowa wskazała wielki powóz do przewożenia akt, z emblematami Organizacji Randa na burtach.

Przerażony woźnica wykonywał właśnie ukłon tak głęboki, że prawie leżał na ziemi. Aie kłaniała się w sposób absolutnie przepisowy.

– To jest twój ochroniarz? – Władczyni z dużą dozą fascynacji obserwowała woźnicę, który prawie dotykał głową bruku, a jednocześnie jakimś cudem jeszcze nie wywracał się do przodu.

– Nie, wielka pani. – Rand wskazał Aie.

– Ona?! Kpisz sobie?

– Gdzieżbym śmiał?

Cesarzowa, zaintrygowana nieco, podeszła bliżej.

– Kto cię tu śmiał wprowadzić, dziecko? – zapytała. – Kto w ogóle przyprowadza do mnie ochroniarzy?

– To starożytny zwyczaj, wielka pani. – Aie przynajmniej nie straciła nerwów. Szeptła zdanie po zdaniu, jakby napędzał ją młyn wodny. – Wprowadzony przez sławne Królestwo Troy, na którego zwyczajach i my się przecież wzorujemy. Tam każdy z wielkich miał ochroniarzy, zwanych co prawda dla niepoznaki „kuzynami”. I to dwa zestawy. Było kuzynostwo uliczne, mające chronić książąt w miejscach publicznych, i kuzynostwo pałacowe, pracujące wewnątrz budynków.

– Dobrze już, dobrze. – Cesarzowa zrozumiała, że nie przegada dziewczyny, która okazała się zadziwiająco inteligentna. – Dlaczego szepcesz, zamiast mówić normalnie?

– Mogę mówić głośno – Aie odezwała się swoim zachrypłym, marynarskim barytonem. – Ale normalnie nie potrafię. To choroba gardła.

– No rzeczywiście. To już lepiej, jak szepcesz. – Cesarzowa zrobiła jeszcze jeden krok do przodu. Była szczerze zdziwiona, że komuś takiemu można było powierzyć swoje życie. Dziewczyna wyraźnie ją zafascynowała.

Duży plus dla Randa, który rozglądał się dyskretnie. Wokół kręciło się wiele osób, ale nigdzie nie mógł dostrzec zamachowca. Ostrożnie sprawdził, czy sztylet tkwi ukryty w sekretnej kaburze. Był tam. Niestety, Aie nie miała żadnej broni przy sobie. Tego już by się po prostu nie udało przeprowadzić. Jednak sama jej obecność dodawała otuchy. Co prawda niewiele to pomagało. W głowie Randa panował istny mętlik. Czekał na go rozgrywka, akcja i to, że nagadał za dużo, sugerując coś, czego nie powinien, sprawiały, że nie mógł się opanować. W porównaniu z posągowym spokojem strażników wydawał się roztrzęsiony jak najgorszy

oszust na targu w dniu swojego debiutu. Miał wrażenie, że ktoś mu napisał na czole: jestem najgorszym ze spiskowców! Czemu się tak trząś? Popełniał błędy?

Na szczęście nikt na niego nie patrzył. Aie ze swoją urodą małej dziewczynki przyciągnęła uwagę wszystkich. Dworzanie odkryli nareszcie jakąś atrakcję w tym nudnym dniu i przyglądali się dziewczynie ze sporym zainteresowaniem. Przynajmniej sprowadzenie jej tutaj okazało się dobrym pomysłem.

Rand dostrzegł więc dwie rzeczy. Pierwszą był cień szansy na powodzenie całego planu. Drugą sam zamachowiec, który właśnie zmierzał w jego kierunku wraz z grupą koniuszych. Nic w tym dziwnego. Znajdowali się przecież tuż przy wozowni. Kilkadziesiąt kroków dalej stały powozy dworu.

Rand z całą pewnością wiedział jedno. Odtąd nie mógł patrzeć na zamachowca. Jeśli ich oczy się spotkają, wszystko może lec w gruzach. Tamten nie może się zorientować, że ofiara podejrzewa cokolwiek, bo może się przestraszyć i odstąpić od zamachu. To było oczywiste, ale Rand miał wrażenie, że Aie, przekazując mu tę wiedzę, chciała osiągnąć coś jeszcze. Chyba myślała, że jeśli jej pracodawca spojrzy mordercy w oczy, to nie będzie już w stanie wbić w niego sztyletu. Może i racja?

Rand przesunął się tak, żeby mieć słońce za plecami. Napastnik przecież nie podejdzie od czoła. Nie uderzy z przodu. Będzie chciał wbić mu nóż w plecy. A wtedy obserwacja cieni, które rzucały na bruk ludzkie sylwetki, powie mu, kiedy nadszedł odpowiedni moment. Rand opuścił głowę. Z największym trudem opanowywał oddech. Dobrze w sumie, że nie będzie musiał na tamtego patrzeć. Nie znał go i niech tak zostanie. To pierwsze spojrzenie kątem oka i tak powiedziało mu wiele. Opuchnięta twarz, pełna żalu i rozgoryczenia, fałszywej dumy i zwodniczej pewności siebie małego człowieka. Jeden wielki kłęb kompleksów, uraz, niezawinionego we własnym mniemaniu bólu i rozczarowania. Istne serum nieudacznictwa obleczone w słuszny gniew wobec tych, którzy nie chcieli słuchać domagających się. Żal, żal i żal. A w środku nie było nic.

Rand skupił się na obserwacji ludzkich cieni. Za jego plecami na razie nic się nie kryło. Na chwilę przeniósł wzrok na strażników. Stali nieporuszeni. Zdawałoby się nawet, zamyśleni czy znużeni, i tylko wprawne oko mogło dostrzec, że jednak bacznie lustrowali okolicę.

Ciekawe, czy umknie im fakt, że w pobliżu władczyni znalazł się właśnie zamachowiec? Historia spisków i zamachów dowodzi, że w wielu wypadkach umyka. Ale oczywiście Aie miała na ten temat inne zdanie. Baczna obserwacja bogatych kupców pozwoliła jej stwierdzić, iż dobry strażnik wyławia złodzieja od razu, na pierwszy rzut oka. No tak, ale strażnik chroniący towary kupca ma wielkie doświadczenie i praktykę. Złodziei mnóstwo, na gorącym uczynku łapie się ich nieprawdopodobne ilości, posiadający zmysł obserwacji pracownik ma więc jak stać się praktykiem i ma gdzie zdobyć doświadczenie. Później wystarczy mu jedno spojrzenie.

A strażnik cesarzowej? Ilu prawdziwych zamachowców w życiu było mu dane widzieć? Ilu dotąd własnoręcznie złapał? Ha, ha, ha... Ta liczba oscylowała wokół zera. Aie jednak chciała mieć pewność. Nie szczędząc wydatków, wynajęła wielu złodziei. Do prostych prac w stacji kurierskiej. Zorganizowała wielką dostawę przesyłek, wszystko legalnie, to były zwykłe próbki luksusowych towarów, które trzeba posortować i przeładować. Do pałacu próbki dostarczą oczywiście kurierzy. Towar jednak trzeba przepakować, a najpierw rozładować, a to może przecież zrobić prywatna firma. Faktem, że wszyscy tragarze to złodzieje, nikt nie miał prawa się interesować. Zresztą jak to stwierdzić? Niemniej właśnie dzięki planowi Aie wokół kręciło się mnóstwo ludzi o podejrzanym wyglądzie. Ciekawe, czy zmyli to strażników? W każdym razie w tej chwili nie wyglądali na ludzi nerwowo rzucających spojrzeniami to w jedną, to w drugą stronę.

Rand znowu przeniósł wzrok na bruk przed sobą. Z najwyższym trudem opanował się przed rzuceniem spojrzenia do tyłu. „To ci nic nie da” – powtarzała Aie podczas szkolenia. „Spojrzenie do tyłu nic ci nie da, a zamachowiec może je pochwycić i stracić nerwy. A on musi być przekonany, że podchodzi do nieprzygotowanego człowieka”. Łatwo powiedzieć. Ale w rzeczywistości jak tu się nie oglądać, mając przed sobą perspektywę, że ktoś zaraz wbije ci nóż w plecy?

Chwile dłużyły się coraz bardziej. Rand czuł, że pot gromadzący mu się na czole zaraz zacznie zalewać mu oczy. Bał się jednak go wytrzeć. A jeśli zauważą? Jak się wytłumaczyć ze zdenerwowania? Czym je usprawiedliwić? Można oczywiście wmawiać chorobę, ale kto chory śmiałyby przyjść do cesarzowej i narażać ją samą?

Cień pojawił się już w biegu. A Rand z przerażenia zapomniał wszystkiego, czego uczyła go Aie.

Jeden ze strażników wydał chyba z siebie nieartykułowany dźwięk. Trudno powiedzieć. W każdym razie nie poruszył się. Dwóch zaczęło się odwracać, sięgając po broń. A Rand stał nieruchomo. Jedyne, co zdołał odwrócić, to głowa. Zauważył napastnika, który biegł na niego z wyciągniętym nożem. Coś w jego organizmie sprawiło, że czas jakby zwolnił. Z dużą wyrazistością widział bowiem wyraz rozpaczony na twarzy tamtego, tak, nie gniewu, nie rozżalenia, ale rozpaczony – zdążył to dokładnie zanalizować.

Rand usiłował pokonać opór sparalizowanych strachem mięśni i sięgnąć po sztylet. Z góry wiedział, że to się nie uda. Z góry wiedział, że nie ma żadnych szans. Przerażony do granic możliwości postanowił uciekać. Ale jak, skoro nie ma czasu? Postanowił odskoczyć i nawet ugiął nogi.

W tym momencie napastnik się potknął. Normalnie. Miał na stopach zwykłe sandały, w których nic nie usztywniało kostki, a tu był pamiętający jeszcze Cesarstwo Luan wyboisty bruk. Tak zwane kocie łby. No i mężczyzna się potknął. Z wyciągniętym przed siebie nożem zaczął lecieć w przód w sposób niekontrolowany. Prosto w stronę cesarzowej.

Rand miał już napięte mięśnie nóg. Skoczył, chcąc wydostać się z pola rażenia. Zrobił to za późno. Sam nie był już na linii ciosu, znalazła się tam cesarzowa. Nie mógł już jednak powstrzymać tego ruchu. Kiedy skoczył, zderzył się po prostu z zamachowcem i momentalnie otrzymał cios nożem w prawy bok. Jęknął tylko. Obaj zwalili się na bruk. Zamachowiec pod spodem, Rand na nim. I wtedy dostał drugi cios. W to samo miejsce.

Rand zasłonił się obiema dłońmi, ale zrobił to jak każdy amator. Zasłonił się nie na dole, gdzie groziło niebezpieczeństwo, tylko na wysokości głowy napastnika, jakby chciał się osłonić od jego twarzy. Wtedy dostał trzeci cios.

Zabił mnie! – stwierdził z całą przerażającą jasnością.

Teraz, leżąc na zamachowcu, przypomniał sobie o ostrzu ukrytym w dłoni. Szarpnięciem palców otworzył je i wbił w szyję przeciwnika. Szybko i z całych sił przekręcił rękę. Na twarz chlusnęła mu krew z poszatowanej tętnicy.

Stracił kontrolę nad wszystkim, bo przygniół go do ziemi ciężar kilku strażników, którzy rzucili się na nich. Ktoś krzyczał przeraźliwie, on sam

nie mógł w ogóle oddychać. Nie mógł poruszyć ani ręką, ani nogą. Czuł, że się wykrwawia. I nic nie widział. Jakaś upiorna pompa chlustała mu na twarz czerwienią w regularnych odstępach czasu.

Na szczęście strażnicy znali swój fach. Błyskawicznie połamali napastnikowi ręce i nogi. I nawet się nie pomylili. Zdjęty z krwawiącej masy Rand własne kończyny zachował w całości. Ale co z tego?

Ktoś krzychał w dalszym ciągu. Ktoś ocierał mu twarz. Mógł dostrzec zaskoczoną Aie, która musiała w pierwszej chwili podtrzymać cesarzową. Teraz jednak, w ramionach strażników, leżała przyciśnięta do ziemi tuż obok niego.

– Ratujcie go! – krzychała cesarzowa. – Ratujcie go!

Strażnicy pojęli rozkaz z właściwym sobie profesjonalizmem. Usiłowali zatkać tryskającą krwią tętnicę zamachowca. On przecież musiał być przesłuchany.

– Ratujcie Randa! – wrzeszczała cesarzowa. – On zasłonił mnie własnym ciałem! Ratujcie go!

Aha! Jej słowa otrzeźwiły Randa. Tak to wyszło? No nieźle! Szkoda tylko, że on sam właśnie, kurwa, umiera!

– Znam się na opatrywaniu ran! – krzyknęła Aie.

– Puśćcie ją!

Strażnicy rozluźnili swoje chwytaki i właściwie unieśli Aie w powietrze. Doprowadzili ją do wykrwawiającego się zamachowca, bo to przecież było najważniejsze.

– Nie tego ratować! – zakomenderowała cesarzowa.

Dopiero teraz puścili dziewczynę i pozwolili zająć się własnym szefem. Przy zabójcy i tak nie miała szans. Rand z rozpaczą wymalowaną na twarzy szepnął:

– Umieram.

– I histeryzuję. – Aie sprawnie oglądała rany. – Nóż tępy, tylko poharatał ci cały bok. Głęboko się nie wbił.

Sprawnie oddarła pas materiału z dołu własnej tuniki, zwinęła w kłębek i przyłożyła do rany. Na to położyła dłoń Randa.

– Uciskaj mocno!

– Umrę?

– Oczywiście. Ale nie jestem bogiem, żeby ci przepowiedzieć kiedy.

Bezczelna baba! Rand roztkliwił się nad własnym losem i zaczął płakać. O Bogowie! Jaki on jest biedny tu i bezlitośnie porzucony! Jaki bezbronny i taki... taki cicho umierający. Aie uderzyła go otwartą dłonią w policzek. Mocno.

– Ocknij się!

– Do pałacu! Do pałacu!

Strażnicy zaczęli się organizować. Dworzanie byli tak zszokowani, że nie można było na nich liczyć. Przypadkowi ludzie wokół, którzy akurat przechodzili obok w chwili zamachu, tkwili nieruchomo, gapiąc się bezmyślnie. Szef strażników trzeźwo oceniał sytuację. Do cesarskiego konwoju mieli ponad sto kroków. Ale... I tu właśnie zaczynał działać plan Aie. Ilu jest jeszcze zamachowców na placu? Ci ludzie wokół wyglądali naprawdę podejrzanie. Wyraz twarzy wielu z nich wskazywał na to, że mieli coś do ukrycia. Nikt nie mógł podejrzewać, że po prostu się nakradli podczas roboty. Na szczęście Aie dostrzegła to w porę.

– Nasz powóz jest sprawny! – krzyknęła.

Decyzję trzeba było podjąć w ułamkach chwili i dowódca straży stanął na wysokości zadania.

– Ty na kozioł! Ty do środka! Wy na dach! – komenderował.

Osobiście pomagał cesarzowej zająć miejsce we wnętrzu.

– Jego zabierzcie! Jego! – Władczyni nie mogła się uspokoić.

– Kogo? – Strażnicy, którzy musieli zostać na miejscu zbrodni, nie wiedzieli, czy chodzi o ciało zamachowca, czy o leżącego ciągle na bruku Randa.

– Jego! – Cesarzowa wskazała palcem, o kogo jej chodzi.

– Ja sobie tu umrę cichutko – wymamrotał Rand w odpowiedzi.

Aie strzeliła go w twarz jeszcze raz.

– Koniec hysterii!

Wzięła szefa na ramiona i dosłownie wrzuciła do powozu. Sama zajęła miejsce obok.

– Jazda! Jazda! – komenderował szef straży.

Ktoś musiał zawiadomić cesarski konwój, bo dwa wozy strażnicze odłączyły od niego i ruszyły za nimi. Bez szans na dogonienie, oczywiście. Dzieliło ich jakieś dwieście kroków.

– Bogowie! Bogowie! – Cesarzowa nachyliła się nad zakrwawionym Randem. Chyba nie pomyślała o tym, że większość krwi pochodzi od

napastnika. Widok był rzeczywiście wstrząsający. – Zasłoniłeś mnie własnym ciałem!

Zaszczyty, tytuły, dobra ziemskie i medale... Ach, a on właśnie umiera! Skąd taka niesprawiedliwość na świecie?

– Pani... – powiedział słabnącym głosem. – Pani, proszę, napiszcie na moim grobie...

Aie chciała go strzelić w twarz ponownie, ale przy cesarzowej nie wypadało bić rannego. A poza tym nie dowiedzieli się, co Rand chciał, żeby zostało napisane na jego grobie, ponieważ rozległ się karabinowy strzał i woźnica zwałił się z kozła.

– Atak! Atak! – Dowódca straży przejął lejce. – Atakują!

Dwóch strażników obecnych we wnętrzu pojazdu przytuliło się do cesarzowej. Ktoś z dachu strzelił w odpowiedzi, ale nie miał szans na jakąkolwiek celność, za bardzo trzęsło. Drugi strzał, oddany skądś z góry mijanego domu, za to był celny. Wyraźnie słyszeli, jak wali się ciało kolejnego strażnika. Aie na moment wystawiła głowę przez okno. Wjechali między wysokie kamienice. Ulica była wąska. Idealna do przeprowadzenia zamachu.

Rand natomiast zastygł w bezgranicznym zdziwieniu. Kto strzelał?! Kto do nich strzelał?! Czy oprócz jego sfigowanej akcji był jeszcze jakiś prawdziwy zamach na władcę imperium?

Kolejny strzał z dachu mijanego domu zachwiał dowódcą na koźle. Z wnętrza pojazdu nie sposób było ocenić, jak bardzo jest ranny. Niestety, następny strzał trafił w konia. Powozem szarpnęło nagle. W dzikim kwiku zwierząt uderzyli w ścianę kamienicy. Pojazd drgnął jeszcze, przechylił się i znieruchomiał. Strażnicy z dachu, ci, którzy nie spadli podczas wypadku, zeskoczyli na ziemię. Teraz dopiero mogli się ostrzeliwać. Ale ginęli jeden po drugim, bo napastnicy mieli teraz przed sobą nieruchomy cel. Ukryć się nie było gdzie. Jeden z karabinowych pocisków przebił dach i utkwiał w ramieniu strażnika, który osłaniał cesarzową.

– Na zewnątrz! – krzyczała Aie. – Tu nas rozstrzelają!

– Spokój! – rozkazał drugi strażnik. Nawet nie zerknął na kolegę. – Zaraz będzie odsiecz!

– Do tego czasu zginiemy!

– Spokój!



Kiedy Rand usłyszał o rozstrzelaniu, zaczął zbierać siły. Miał sto razy większe zaufanie do swojej ochroniarce niż do imperialnych strażników, którzy w swojej karierze nigdy prochu nie wachali. W ich oddanie nie wątpił, ale doświadczenia praktyczne miała tylko jego dziewczyna. Mimo całej swojej historii raz po raz odzywały się w nim ślady racjonalizmu. Co to było? Kto do nich strzelał?

Wypełzył na zewnątrz. Owionęło go gorące powietrze przesycone zapachem prochu. Najpierw zabito strażnika, który stał po jego prawej stronie. Potem tego po lewej. Rand zawrócił i usiłował dostać się z powrotem do powozu.

– Musimy stąd wyjść! – W drzwiach zderzył się z Aie.

– Trzeba zostać! – Drugi strażnik nie był już jednak tak pewny siebie jak przed chwilą. – Zaraz przybędzie odsiecz!

– Musimy się ruszać. Tu jesteśmy tarczą.

Aie upadła na ziemię obok Randa. Zabrała pistolet martwego strażnika i jego podręczną torbę.

– Na zewnątrz!

Dwa wozy strażnicze znajdowały się już bardzo blisko, ale dla wszystkich stało się jasne, że nie mają szans, żeby zdążyć.

– Wychodzić!

Aie szarpnęła za ramię cesarzową, która wyjrzała na zewnątrz.

– Za mną!

Rand podniósł się również, przyciskając z całej siły opatrunek do własnej rany. Aie ze strażnikiem ciągnęli cesarzową do bramy. Ruszył za nimi otępiały. Dym przesłaniał widok. O mało nie rozwalił sobie głowy o framugę drzwi. Zatrzymali się w przestronnej sieni. Aie sprawdzała pomieszczenia wokół. Strażnik i władczyni patrzyli na powóz, z którego otoczenia już nikt nie strzelał.

Z boku pojawił się biegnący człowiek. Zbliżył się szybko i wrzucił do wnętrza pojazdu silnie dymiący przedmiot.

– Granat!

Nie zdążyli się ruszyć, kiedy silna eksplozja targnęła powietrzem, a z potrzaskanych okien pojazdu buchnęły kłęby dymu. Aie sprawdziła swój zdobyczny pistolet, potem podsypała trochę prochu na panewkę. Stara, skałkowa broń żołnierzy imperium. Dałaby w tej chwili wszystko za swoje rewolwery Kadira.

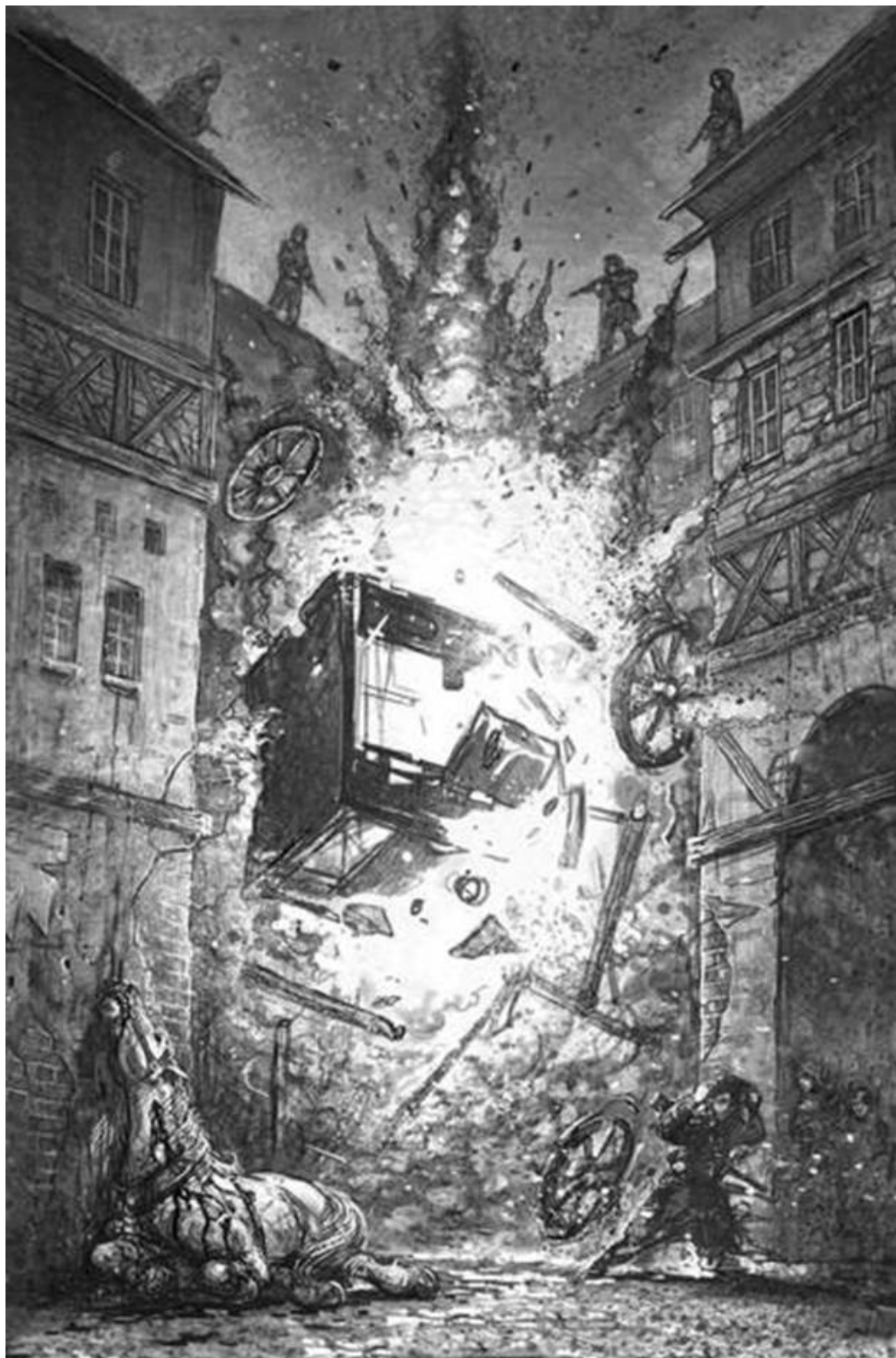
– Co robimy? – o dziwo, pierwszy odezwał się strażnik podtrzymujący cesarzową. Sytuacja wyraźnie go przerosła. Sama władczyni nie mówiła niczego. Stała wpatrzona w powóz, który zaczynał płonąć coraz jaśniejszym płomieniem. Chyba właśnie zdała sobie sprawę, że tylko dzięki Randowi i jego ochroniarce nie siedzi ciągle w środku.

– Wycofajmy się. – Rand wskazał tylne wyjście z domu.

– Prosto w ich ręce? – szarpnęła się Aie. – Przecież tam muszą być ich ludzie, którzy mają osłaniać odwrót tych z dachu! Albo... – urwała w pół słowa.

Albo ich zabić po wykonaniu zadania, Rand dokończył w myślach to, czego dziewczyna bała się powiedzieć głośno. Wszystko jedno zresztą, po co czekali. Wychodzi na to samo.

Przerwał im odgłos nowych strzałów. Tym razem istna kanonada.



– Nasi! – krzyknął strażnik, dopadając do okna. – To nasi!

Aie podtrzymała milczącą cesarzową. A Rand kopnięciem odsunął strażnika od okna. Nawet on miał na tyle rozumu, żeby wiedzieć, że akurat w tym momencie pokazywanie się w oknie było czystym debilizmem. Sam usiłował zerknąć przez szparę w nierównych deskach.

Strażnicy z dwóch wozów cesarskiego konwoju wypadli ze swoich pojazdów całą grupą. Stali na ulicy, prowadząc ogień do zamachowców na dachu. Niezbyt intensywny po pierwszych wystrzałach, bo musieli przecież ładować swoje karabiny. Byli w gorszej sytuacji, ponieważ stali nieosłonięci. Ci na górze na pewno mieli możliwość strzelania zza jakichś osłon. Ile więc mogła trwać wymiana ognia, a właściwie mordowanie tych na ulicy? Aie musiała mieć identyczne przemyślenia, bo powiedziała sucho:

– Zabiją nas.

Randem coś wstrząsnęło. Zapomniał o swojej śmiertelnej ranie. Sparaliżowany strachem nie mógł się skupić. Wyjść z tyłu nie można, ci z góry zaraz skończą sprawę, zaczną schodzić na dół i rzeczywiście załatwią ich w jednej chwili. Czy jest trzecie wyjście?

Oczywiście, że jest, doznał nagłego olśnienia.

– Wychodzimy od przodu – zakomenderował. – Na ulicę!

– Wracamy? Zwariowałaś? – Aie nie mogła uwierzyć. – Tam nas rozstrzelają jedni i drudzy!

– Nie wyjdziemy przecież na środek ulicy. Wyjdźmy tylko stąd i nie odklejając się od ściany, dojdźmy do następnej bramy!

Aie zrozumiała. To miało cień szansy, żeby się udać. No i w dodatku była to już ostatnia, choć desperacka możliwość, jaka im została. Niespodziewanie jednak zaprotestował strażnik.

– Czekajmy tutaj! Przecież wojsko zaraz będzie!

– Nie doczekamy do przybycia wojska – powiedziała spokojnie Aie. – A przynajmniej nie doczekamy żywi.

Najwyraźniej go nie przekonała, ale chwilę później Rand przekonał cesarzową.

– A kto ci powiedział, durniu, że to nie wojsko do nas strzela z góry?! Że to nie jest pucz?

Ta uwaga wyrwała cesarzową ze stuporu. Gwałtownie wciągnęła powietrze.

– Rand! – wrzasnęła nagle. – Zaczynj dowodzić! Wszyscy słuchają twoich rozkazów!

On sam niekoniecznie tego się spodziewał. Umierał przecież i wolałby, żeby wszyscy płakali z tego powodu, a nie kazali ganiać po zaułkach. Ale strach przed tymi z góry, którzy strzelali z dachu i siłą rzeczy musieli się tu zaraz pojawić, miał też swoją moc.

– Aie, ty przodem! – Rand wydał swoją pierwszą w życiu komendę jako oficer liniowy na polu bitwy. – Sprawdź, jak tam jest!

Dziewczyna błyskawicznie wysunęła się na zewnątrz.

– Chodźcie!

Ruszyli za nią. Na zewnątrz oślepiło ich światło i dym. Tu bardziej bali się swoich niż zamachowców z dachu. Tamci nie mieli szans, żeby ich zauważyć. Strażników jednak niewielu trzymało się jeszcze na nogach. Tak jak można było przewidzieć. Z poświęceniem strzelali ogniem na wprost, stojąc po prostu na ulicy. Zamachowcy strzelali spokojnie zza osłon. To była ostatnia chwila na opuszczenie śmiertelnej pułapki, jaką stanowiła sień tego budynku.

Szorowali barkami, sunąc po ścianie, by dostać się dalej. Na szczęście dym osłaniał ich ruchy na tyle, że nikt nie strzelił nawet w tym kierunku. Aie dopadła do drzwi następnego budynku. Otworzyła je, chcąc wskoczyć do środka, na progu jednak ktoś stał. Aie strzeliła odruchowo, zabijając tego kogoś na miejscu. Nie zastanawiała się, czy to wróg, czy przyjaciel, czy w ogóle jakaś przypadkowa osoba, która chciała sobie popatrzeć przez szpary.

– Chodźcie! Szybciej, tu nikogo nie ma.

Z trudem przeszli nad leżącym ciałem młodego mężczyzny. Nie był uzbrojony. Aie chciała przeszukać pomieszczenia, ale Randa strach gnał dalej.

– Wychodzimy! – komenderował. – Wszyscy do drzwi z tyłu!

– To za blisko tamtych.

– Zobacz, czy jest tu piwnica.

– Nie ma.

– No to do drzwi! Szybciej!

Przebiegli przez szerokość całej kamienicy. Drzwi znajdowały się w przeciwległym rogu, duże, dwuskrzydłowe, przystosowane do przenoszenia przez nie wielkich przedmiotów. Aie gorączkowo nabijała pistolet.

Cholerna przestarzała technologia, nabijanie przez lufę! Strażnik zbliżył się do drzwi, chcąc otworzyć jedno ze skrzydeł.

– Stój! – osadził go Rand. – To przecież dom jakiegoś kupca. Tędy przenosił towary.

– No to co?

– To znaczy, że musi tu być gdzieś stajnia i wozownia!

Aie pierwsza zrozumiała, o co chodzi. Skoczyła w kierunku bocznego korytarza, w biegu kończąc nabijać broń.

– Ślepe przejście! – dobiegł jej stłumiony głos. – To jakiś magazyn.

Rand, trzymając się za swój poraniony bok, otworzył drzwi w ścianie. Skład owsa. Następne drzwi. Jakaś graciarnia. Kolejne drzwi otworzyły się same.

Stanął w nich mężczyzna z dwoma pistoletami i wielkim nożem. Nie, nie trzymał ich w dłoniach. Tkwiły spokojnie za pasem, ale twarz mężczyzny przybierała właśnie wyraz niebotycznego zdziwienia na widok zakrwawionego Randa. Na szczęście nie zdążył zdobyć się na jakąkolwiek reakcję. Z boku podeszła do niego Aie i zastrzeliła, przykładając pistolet do głowy.

Skąd w człowieku tyle krwi? To była pierwsza myśl Randa, kiedy zerknął na pokrytą czerwienią ścianę. Czemu ona rabuje zwłoki? To była druga.

Aie wcale nie rabowała. Zabrała trupowi jego pistolety i kopnięciem otworzyła drzwi szerzej.

– Chodźcie, pan nam pokazał wyjście.

Wtłoczyli się do wąskiego przedsionka. Potem kolejne drzwi, nawała światła. Wyszli na wąską dróżkę między domami. Taką akurat, żeby zmieścił się tam jeden wóz.

– Tędy!

Wokół nie było nikogo. Strzelanina właśnie się kończyła. Ale z tej strony zamachowcy nie wystawili straży. Tuż za nędznym ogródkiem znajdowała się ulica prostopadła do tej, którą jechali poprzednio. Również mała i wąska, bo to nie główny trakt. Za to tuż obok przed składem rolnym stał furgon zbożowy zaprzęzony w dwa konie. Aie podbiegła lekko i zastrzeliła dwóch mężczyzn stojących z kijami przy wozie. Czy to część bandy zamachowców? Może tak, może nie. Teraz już nie sposób

rozstrzygnąć, bo obaj nie żyli. Kiedy reszta uciekinierów podeszła bliżej, Aie zabrała pistolet strażnikowi.

– Oddaj. – Usiłował ją chwycić za rękę.

– A tobie po co? – Dziewczyna odskoczyła z gracją. – Siadaj na kozioł i w drogę.

– Ale to moja broń.

– Tobie niepotrzebna. Jako woźnicę i tak zastrzelą cię pierwszego, jakby co.

Pomogła cesarzowej wsiąść do furgonu. Potem wciągnęła słaniającego się na nogach Randa.

– Ruszaj! – Uderzyła pięścią w drewnianą burtę.

– Gdzie?

– Przed siebie! Byle dalej stąd!

Kryty furgon ruszył z łoskotem kół. Na szczęście mogli przysiąść na workach z ziarnem.

– Gdzie jedziemy? – zapytała cesarzowa. Jak na taką sytuację, trzymała się zaskakująco dobrze. Jedynym śladem gwałtownych przejść była potargana fryzura. – Do pałacu?

– To chyba najgorsze rozwiązanie – powiedziała Aie. – Przecież właśnie jechaliśmy do pałacu, kiedy nas zaatakowali.

– Myślisz, że mają więcej takich zasadzek, dziecko?

– Tego nie wiem, pani. Ale jeżeli to zamach stanu, to pałac powinni opanować w pierwszej kolejności.

– Masz rację. No to do dowództwa armii. Jedźmy do sztabu generalnego.

– A jeśli ta zasadzka to pucz?

– O Bogowie! – Cesarzowa z trudem przełknęła ślinę. – Wtedy sami się oddamy w ich ręce. No to... – myślała gorączkowo. – Do sztabu sił specjalnych!

Tego już Rand nie wytrzymał.

– Pani! Przecież chciałem cię ostrzec. Całe dzisiejsze spotkanie miało być ostrzeżeniem przed siłami specjalnymi. Chciałem powiedzieć o tym, że to oni zorganizowali na mnie serię zamachów! Tylko nie do sił specjalnych!

Cesarzowa dowiodła, że potrafi myśleć. Nawet w takiej sytuacji. Rzeczywiście, siły specjalne mogły się przestraszyć tego, co Rand chciał dzisiaj pokazać, i postanowiły działać. Mogło tak być.

– Do prefektury w takim razie.

– Wielka pani – zaoponowała Aie – siłą prefektury są strażnicy miejscy. A to taka siła, że ja ich sama porozganiem, jeśli zechcę! Nie obronią nas, choć rzeczywiście to pewnie nie oni stoją za zamachem.

W to, a konkretnie, w rozganie strażników przez Aie, cesarzowa byłaby w stanie nawet uwierzyć. Więc w całą resztę tym bardziej.

– Rand, geniuszu jeden, dokąd mamy uciekać?

Odpowiedź nie padła od razu, bo w umyśle „geniusza” trwał właśnie proces myślowy. Nie dotyczył on jednak tego, gdzie w różnych instytucjach mogli kryć się zdrajcy i skąd mogło przyjść największe zagrożenie. Rand był bowiem przekonany, że jest śmiertelnie ranny. Nie chciał więc żadnej bezpiecznej kryjówki, bo sądził, że tam umrze. Chciał, i to jak najszybciej, dostać się do polskiego lekarza! Wiedział przecież, jakie cuda wyprawiali z rannymi dziewczynami z korpusu w Sait. Wiele z tych dziewczyn znał osobiście. Chciał więc obcego lekarza. Ale gdzie był najbliższy? Analizował sytuację na zimno. Leszek Siwecki – odpada. Na misji w lasach Banxi. Lekarze z polskiej bazy wojskowej. Odpada. Trzeba przejechać przez całe miasto, w tym przez środek centrum, więc na pewno nie zdążą. Gdzie jeszcze mógł być polski lekarz? Na okrętach mieli szpitale. A jak się tam dostać? Z najbliższej przystani będącej w polskich rękach.

– Gdzie uciekamy? – powtórzyła cesarzowa.

– Do polskiego konsulatu – odparł bez wahania. Siedziba nad brzegiem morza. Mieli własną przystań. Mieli własny transport. Lekarz na najbliższym okręcie w zasięgu ręki.

Władczyni długo patrzyła zszokowana.

– A jeśli to Polacy zorganizowali zamach?

– Gdyby to oni, to już byśmy nie żyli – odparł sucho.

– Jak będziemy wyglądać, kryjąc się w obcej placówce?!

– Będziemy wyglądać jak żywi ludzie. Inaczej będziemy przypominać trupy.





## Rozdział 4



**K**ai obudził ból głowy. Okropny, pulsujący, obezwładniający, wredny, niedający spokoju. Przewróciła się na prawy bok i mało nie zwymiotowała. Pojawiły jej się mroczki przed oczami, fala mdłości uderzyła z taką siłą, że czarownica chwyciła się odruchowo łóżka, żeby z niego nie spaść. Bogowie! Co to było?

Usiłowała sobie przypomnieć, jak skończyła się impreza. Przecież było wspaniale. Nad ranem byli tak rozbawieni, że nie chcieli wracać do domu. Całą grupą ruszyli na miasto. Yari wynajęła specjalistów od kończenia pałacowych imprez. Tym z gości, którzy nie przyjechali własnymi powozami prowadzonymi z powrotem przez trzeźwych woźniców, zgadzano miejskie dwukółki z obsługą, która wiedziała, co robić, jeśli dostojnik zaniemoże na tylnym siedzeniu. A tym, którzy chcieli jeszcze kontynuować zabawę, udając się w siną dal bez konkretnego planu, przydzielano dwóch uzbrojonych strażników, żeby nikt gości nie obrabował. Dodatkowo towarzyszył im wyspecjalizowany służący, który wiedział, jak pomóc znużonemu uczestnikowi zabawy postanawiającemu nagle postraszyć rymsztok na czworakach.

Kai pamiętała to jak przez mgłę. Właściwie w jej głowie pozostały pojedyncze obrazy. Jakiejś marynarskiej speluny w porcie, gdzie wdarli się sporą, rozbawioną grupą. Jakiegoś chlewu albo obory, gdzie mędrzec Taner usiłował nabić świnie na kij od miotły, twierdząc, że broni ich przed

smokiem. Tomaszewskiego i Diona, którzy przytargali skądś łódkę i usiłowali żeglować w miejskiej fontannie...

Wczoraj wydawało jej się to takie zabawne. A teraz z trudem tylko mogła otworzyć oczy. A i to nie do końca. Gdzie była? Bogate draperie, meble z glancowanej skóry i w dobrym guście. Czy to była willa podarowana im przez księżniczkę? A jak tu dotarli? Ach, przecież towarzyszący im sługa musiał wiedzieć, gdzie to jest.

– Kai?

Miała zbyt spieczone gardło, żeby odpowiedzieć.

– Kai?

– Eee...

– Żyjesz?

– Pić!

Usiłowała otworzyć szerzej oczy. Nic z tego. W zasięgu szparek, na które było ją stać, pojawił się Tomaszewski w pomiętych spodniach i koszuli.

– Jak się czujesz?

Nawet nie zadała sobie trudu, żeby odpowiedzieć. Czy on nie widział, że umiera? Podał jej kubek wody, ale nie miała jak wypić. Usiadł więc na brzegu łóżka i wsuwając jej dłoń pod szyję, delikatnie uniósł głowę. Ledwie wypić kilka łyków, w brzuchu zaczęła się jakaś rewolucja. Znowu zakręciło jej się w głowie. Poczwała, jak wraca stan upojenia w swoim najbardziej nieprzyjemnym wydaniu. Świat się zakręcił wokół i przybrał ponure barwy beznadziei.

– Uuu... – Tomaszewski skrzywił się mocno. Nie sądził, że jest aż tak źle.

– Czy... czy można mi jakoś pomóc? – spytała cicho.

– Jest metoda na kaca giganta – przytaknął energicznie. – Ale tylko dla twardych mężczyzn. Jaja trzeba mieć, żeby to przeżyć.

– A jakaś inna metoda? – zajęczała.

– Są. – Tomaszewski machnął lekceważąco ręką. – Różne tam zimne okłady na czoło, witaminki, pikantne zakąski, woda z ogórków i różne tam bzdety. Ale nic nie pomaga na giganta.

Jęknęła.

– A co pomaga?

– Klin. „Bo w tym cała rzecz, czym się strułeś, tym się lecz!” – zacytował ludowe przysłowie.

– Chyba żartujesz.

– Nie, nie żartuję. Musisz wypić klina, i to nie byle co, tylko pół szklanki wódki z cukrem.

– Zwymiotuję na sam widok tej szklanki!

Skinął głową, zgadzając się, że taka możliwość istnieje. Potem wyjaśnił, że właśnie dlatego eksperymentu z klinem nie przeprowadza się w pokoju, tylko w toalecie.

– A te inne metody? – Kai czuła się tak źle, że samo wspomnienie o alkoholu powodowało u niej dreszcze.

– Nieskuteczne! Będziesz tak umierać do wieczora. A może nawet do jutra rana.

O nie! Wszystko lepsze niż całodzienne umieranie!

– Pani kapitan! – Tomaszewski wyraźnie zdenerwował się jej ślamazarnością. – Albo załatwisz sprawę jak marynarz, albo będziesz tu zdychać jak wschodnia księżniczka, której podano truciznę. W jękach i agonalnym kwileniu!

Zrobiło jej się niedobrze na samo wyobrażenie tego, o czym mówił.

– Jesteś kawalerem wojskowej odznaki – kontynuował. – Powinnaś okazać się godna i zachować jak marynarz.

Nie wiedziała, co ma począć. Ale naprawdę wszystko było lepsze od stanu, w jakim się właśnie znajdowała.

– Jak marynarz – powtórzyła posłusznie, choć zdjęta strachem.

– No to chodź! – powiedział urodzony sadysta, okrywając ją prześcieradłem. W innej sytuacji może nawet czułaby podniecenie, że obejmuje ją silnym ramieniem, a ona jest owinięta tylko w cieniutką materię, teraz, choć ślad tej ekscytacji pojawił się mimo wszystko, musiała skupić się wyłącznie na wirowaniu we własnej głowie. Nigdy w życiu nie czuła się tak źle.

Tomaszewski prowadził ją pewnie. Już w łazience kazał jej przyjąć postawę zasadniczą. Nie umiała stanąć na baczność, ale powiedział, że nie o to chodzi, bo nie są w gabinecie admirała. Tutaj miała to być pozycja jak najbardziej stabilna, żeby nie przewróciła się w trakcie, bo konsekwencje będą dość... nie potrafił znaleźć słowa... dość obrzydliwe. Musiała pochylić

się i oprzeć dłonie, pewnie, na marmurowej, podgrzewanej płycie ze sporym otworem, pod którym szemrał płynący niżej strumień.

Zostawił ją tak, żeby skoczyć do kuchni. Musiał mieć wszystko wcześniej przygotowane, bo wrócił błyskawicznie z kubkiem w ręku.

– Nie było tu ani wódki, ani cukru – wyjaśnił. – Ale znalazłem wytrawny miejscowy winiak i posłodziłem miodem.

– Błagam! – jęknęła. – Bez opisów!

– Ach, tak. – Zrozumiał momentalnie. – Nie ma co czekać. Egzekucji się nie odwleka.

Przytrzymał Kai mocno, pomógł unieść głowę, ostrzegając, żeby nie wachała pod żadnym pozorem, i zmusił do wypicia zawartości.

Kai poczuła się, jakby połknęła granat, który eksplodował w jej żołądku. Coś targnęło nią tak, że mało nie rozbiła głowy o marmurowe płyty. Fala mdłości szarpnęła z mocą, a wszystko, co miała w środku, chciało znaleźć się na zewnątrz.

– Opanuj się! Opanuj! – powtarzał Tomaszewski. – To da się opanować!

Akurat. Nie mogła otworzyć ust, żeby mu odpowiedzieć. Zaciskała szczęki z całych sił. Była absolutnie pewna, że umiera właśnie i nie jest w stanie przypomnieć sobie żadnej modlitwy. No to koniec! Czowała, że gdyby teraz wykonała jakikolwiek ruch, choćby najmniejszy, to wybuchnie po prostu i jej kawałki sługi będą zbierać przez jakieś dziesięć dni.

Krzysiek skądś wiedział, co dzieje się w jej wnętrzu. Odczekał naprawdę długo, a potem bardzo powoli i ostrożnie posadził dziewczynę na podłodze, pozwalając, żeby oparła się o ścianę. Żadnego zbędnego ruchu – kurczowo zaciskała zęby. Kołowało jej w głowie. Świat wirował, niebo za oknem było coraz bliżej.

– Lepiej? – zapytał.

Odruchowo przytaknęła i sama drgnęła zdziwiona. Naprawdę było lepiej? W panice analizowała stan swojego ciała. No... no tak! Ewidentnie wszystko wokół nie wydawało się wyjątkowo ponure, a ona sama nie mogła znaleźć powodu, dla którego powinna skończyć ze sobą natychmiast.

– Szybko działa. – Usiadł na podłodze naprzeciwko niej i również oparł się o ścianę. – Mocny alkohol, no i ten cały cukier zawarty w miodzie. Dają energetycznego kopa na wzmocnieniu.

Wbrew własnym oczekiwaniom nie odczuła żadnych dolegliwości, słysząc, jak opisuje to, co wypija. Było jej... No właściwie sama nie

wiedziała, jak jej było. Na pewno już nie źle. Dobrze też nie, ale dostrzegła już jakieś jaśniejsze strony życia.

– No – zgodziła się. – Działa. – Potrafiła nawet jako tako uporządkować swoje myśli. – Jest lepiej.

– Bo najbardziej skuteczne są stare ludowe sposoby – potwierdził. – A nie jakieś tam witaminki czy woda z ogórków. – Tomaszewski podniósł kubek i dopił resztę, którą zostawiła. – No to skoro ci lepiej, chodźmy coś zjeść.

– Jeszcze nie na tyle. Posiedźmy trochę.

– Nie ma sprawy.

Zapalił papierosa, ale nie dmuchał na nią, tylko wypuszczał dym w stronę dużego okna, spoza którego dobiegał świergot ptaków.

– Mmm... – Kai nie wiedziała, jak zacząć, a jej umysł nie był jeszcze wystarczająco sprawny, by rozstrzygać niuanse. Postanowiła zapytać wprost: – Kto mnie wczoraj rozebrał?



Spojrzał na nią zaskoczony.

– Sama się rozebrałaś. Możesz iść i sprawdzić, bo części twojej garderoby leżą do tej pory na podłodze. Od drzwi wejściowych aż do sypialni.

– Ale... – westchnęła. – Jestem pod tym prześcieradłem zupełnie goła.

– Bo się rozebrałaś do rosołu. I chodziłaś jeszcze po chałupie, szukając czegoś do picia.

Ukryła twarz w dłoniach.

– A ty gdzie byłeś?

– Chodziłem za tobą, pilnując, żebyś sobie niczego nie zrobiła.

– I? – Wpatrzyła się z uwagą w jego oczy. – I co?

Domyślił się, jak każdy mężczyzna długo po czasie.

– Jesteś prześliczna, Kai – najpierw wyrwało mu się szczerze. A kiedy się zarumieniła, dodał: – Ja sam zasnąłem na sofie w tym wielkim pokoju z balkonem. W pełnym galowym umundurowaniu.

Patrzył na nią w pewien charakterystyczny sposób i mimo że nie była doświadczona, zrozumiała, że w stanie, w jakim się znajduje, powinna zmienić temat.

– Powiedz mi... – Gorączkowo szukała w umyśle interesującej sprawy.

– Czy... czy ta wyprawa szpiegowska, na którą mam lecieć z Nuk, jest bardzo niebezpieczna?

Uśmiechnął się. Ciekawe, czy miało to jakieś inne znaczenie.

– Powiem ci tak: u nas, w świecie za Górami Pierścienia, każda wyprawa szpiegowska wiązałyby się z niebezpieczeństwem. Paradoksalnie: po tej stronie gór raczej nie.

– Nie rozumiem.

– To proste. Nie ma u was paszportów ani jasno określonych granic. Nie ma jakichkolwiek przepisów regulujących reglamentację spraw poufnych. Kim jest więc szpieg? – Wzruszył ramionami. – Kimś, kto liczy wojska. Kimś, kto rysuje instalacje obronne, sprawdza stan murów, ogląda koszary... – Uśmiechnął się. – A czy wy będziecie się interesować takimi sprawami? Liczebność ich wojsk nas nie interesuje. Stan murów i wielkość koszar również nie. „Tajne” informacje przekazywane pomiędzy ich władcą a administracją obchodzą nas tyle, co zeszłoroczny śnieg. W związku z tym w tutejszym tego słowa znaczeniu nie jesteście szpiegami, bo nie zainteresuje was, ani co u nich słychoć, ani nawet czy latoś obrodziło.



Zaczął się śmiać.

– Co? Nie przekonałem cię? – zapytał po chwili.

Nie bardzo wiedziała, co powiedzieć.

– Najlepiej wytłumaczyć na przykładzie – podjął znowu, widząc jej wahanie. – Wyobraź sobie, że do Negger Bank przyjeżdża nagle ktoś z Dahmerii. Czy Tyranii Symm, albo wręcz z wrogiego nam przecież Shah. Tak. To najlepszy przykład. Przyjeżdża tutaj ktoś z Shah. I co?

– Co co? – nie zrozumiała.

– No co się z nim dzieje?

– Nic. Co się ma dziać?

– No właśnie. Powiedzmy, gdyby siedział na przedpolu i rysował fortyfikacje, to może by się ktoś zainteresował, ale tobie to nie grozi, bo przecież ty nie umiesz rysować, Kai.

Nie mogła się zmusić do uśmiechu. Ale generalnie to on miał rację. Szpiegowało się od zarania świata. Lecz przecież nie siedząc w karczmie ani rozpytując szeregowców na placu manewrowym. Szpiegdy osadzani byli na dworach, w administracji, w strukturach wojska, a najlepiej wywiadu lub kontrwywiadu. Owszem, trochę zmodyfikował te sposoby Zaan przed stuleciami. On potrafił wywnioskować, jakiego rodzaju operacji spodziewa się Luan w przyszłym roku, na podstawie informacji dotyczących tego, jakie mundury zamówił sztab u krawców. Ale czasy Zaana minęły bezpowrotnie. Teraz liczyło się najbardziej, im wyżej uda się kogoś umieścić w hierarchii dworu. A tam rzeczywiście możliwość oddzielenia głowy od reszty ciała wzrastała wraz z wagą stanowiska, które się zajmowało. W sztabie ponoć było jeszcze gorzej. A w służbach specjalnych? Wolą sobie nie wyobrażać.

Tomaszewski musiał obserwować jej twarz, bo powiedział po chwili:

– Sama widzisz. – Rozłożył ręce. – My cię na szpiegowanie nie wysyłamy. To zwiad. Prawie jawny, dotyczący rzeczy ogólnie dostępnych.

– Jeśli dostępnych, to po co zwiad?

Znowu wzruszył ramionami.

– Samo państwo leżące na drugim kontynencie jest nam nieznane. Zupełnie nie wiemy, czego tam się spodziewać. Ale zapisałem wszystko, co mówił podróżnik, którego dzicy potem oślepił. On sam nie napotkał żadnych problemów, żeby zbliżyć się do Anglosasów. Ba, nauczył się nawet kilku zdań po angielsku. A skoro on tego dokonał, to... – Nagle

klasnął w dłonie. – On był tam obcym przybyszem. Wy dwie będziecie miejscowe. Wypytałem o wszystko, co dotyczy zwyczajów w tym państwie, sposobów podróżowania, wiem nawet, jak się ubierają. Wiem, co można mówić, a czego unikać. A dzięki temu, że jesteś czarownicą, w ciągu kilku dni obie z Nuk będziecie już mówiły z idealnym tamtejszym akcentem.

Teraz ona machnęła ręką.

– Obcego zawsze łatwo poznać.

Zaprzeczył ruchem głowy.

– Ja nawet wiem, jak macie się przedstawiać – powiedział. – Jest tam taki odległy region, gdzie mieszkają wyjątkowe oryginały. Czytaj: głupki, przynajmniej według innych mieszkańców kraju. A wy macie tylko zobaczyć, czym dysponują Anglosasi. No, porównaj sytuację sama. Przyjeżdżają do Negger Bank dwie dziewczyny z Shah i chcą się dowiedzieć czegoś o Polakach. A nawet sobie z nimi porozmawiać. Odpowiedz mi sama. Co im grozi?

– Nic. – Wzruszyła ramionami. Nie o to chodziło.

Najwyraźniej Tomaszewski odgadł znowu, o czym myślała. Chyba nie była dzisiaj trudnym przeciwnikiem.

– Powiem inaczej – mruknął. – Czy sądzisz, że pozwoliłbym ci na wyprawę tam, gdzie groziłoby ci jakieś poważne niebezpieczeństwo?

No i tak trzeba było mówić od samego początku, a nie bawić się w jakieś wymyślone przykłady! Jacy faceci są durni. Nie mógł powiedzieć od razu: martwię się o ciebie i nie wystawię na ryzyko kogoś, na kim mi zależy? Pfff...

– Pamiętaj – ciągnął Tomaszewski. – Zwiadem jest Nuk. Wyszkolona, wytrenowana weteranka wielu kampanii, która nie straci głowy w trudnej sytuacji. Ty jesteś mózgiem tego przedsięwzięcia. I żeby ci się te dwie rzeczy nie myliły!

Uśmiechnęła się ciepło. Nareszcie jej wytłumaczył jak należy. I w ogóle jakoś tak z jej ciałem też było coraz lepiej.

– Chcesz wstać? – Zauważył zmianę.

– Mhm.

Podniósł się błyskawicznie i pomógł jej wstać tak, żeby nie zakręciło się w głowie. Skąd się brała jego odporność? Lata praktyki i ćwiczeń? Nie chciała pytać, bo pewnie zbędzie ją jakimś żartem w rodzaju: „Studia w

Polsce są bardzo wymagające nie tylko dla umysłu, ćwiczenia wątroby są równie ważne”. Znała go już tak dobrze, że potrafiła przewidzieć większość reakcji.

Teraz, usiłując zachować maksymalną ostrożność, zaprowadził dziewczynę do ogromnej kuchni. Kai mogła podziwiać wykwintny wystrój willi. Żadnej ostentacji, żadnego bogactwa na pokaz. Proste, ba, prawie surowe wnętrza robiły wrażenie smakiem, z jakim dobrano bardzo nieliczne elementy wyposażenia. Asceza w czystym, brawurowo luksusowym wydaniu. Podobnie było z kuchnią. Jeśli ktoś zgodnie z najnowszą modą chciał śledzić poczynania kucharza przygotowującego posiłek, to specjalnie dla niego ustawiono na podwyższeniu niewielki stół i nowomodne, wzorowane na polskich projektach fotele. W jednym z nich Tomaszewski posadził czarownicę i poprawił prześcieradło, w które była owinięta.

– Zrobię ci coś do jedzenia.

– Nie, nie chcę.

– Ależ chcesz, zapewniam. I nie bój się. To będzie bardzo delikatne, ale nie żaden tam kleik z kaszki manny.

Na razie nalał jej wody do kubka i postawił w zasięgu ręki.

– Lepsza byłaby gazowana. – Zakrzętnął się przy kuchni. – Ale zanim odkryjecie zalety dwutlenku węgla i wynajdziecie sposób bąbelkowania, miną wieki.

– Geniuszu z lepszego i bardziej zaawansowanego świata – popatrzyła na niego kpiąco – powiedz lepiej, jak się wyciąga z ludzi informacje.

Trafiła z pytaniem idealnie. Temat był dla niego ważny i wyraźnie ucieszyła Krzyśka właśnie tym, że sama o to zapytała. Chyba trafiła dokładnie w samo sedno. W każdym razie podszedł bliżej zafrapowany.

– Rzuca się czar, który każe mówić wszystko – jeszcze zażartował – a jeśli nie skutkuje, to najlepiej przypalać pięty nad ogniskiem. Jak nie ma warunków na rozpalenie ognia, najlepiej włożyć patyk do ucha i przekręcać.

– Już? – Uśmiechnęła się cierpko. – Pokazałeś pawi ogon?

Westchnął ciężko. Potem przysiadł obok.

– To naprawdę poważny temat. Bo trzeba odpowiedzieć na pytanie: co powinien robić wywiadowca.

– Co powinien robić?

– Najlepiej nic.

Przez chwilę była pewna, że on znowu żartuje, ale najwyraźniej mówił poważnie.

– Chyba nie rozumiem.

– A ja nie bardzo umiem wytłumaczyć. – Nalał sobie wody do drugiego kubka. Potem rozkroił cytrynę i wcisnął po połowie do obu kubków. – Opowiem ci dość dziwną historię. Ciekawe, czy się domyślisz.

– Zakończenia?

Zaprzeczył jednym ruchem.

– Posłuchaj. W szkole wywiadu marynarki ważne są wszelkie ceremonie, zwyczaje i różne takie duperele, których w piechocie się zazwyczaj nie pielęgnuje.

– Ludzie morza zawsze wydawali mi się jacyś dziwni i potwornie przesadni.

– I słusznie, bo tacy są. A wracając do opowieści: jednym z takich kultywowanych zwyczajów była wizyta u byłego asa wywiadu. Na sam koniec studiów. Oczywiście w trakcie zajęć wielokrotnie spotykaliśmy się z weteranami wywiadu, z ludźmi, którzy brali udział w wielu misjach i opowiadali nam o praktyce, a nie tylko o teorii. Ale...

– Oni wszyscy kiedyś wpadli? Prawda?

– Inteligentna jesteś. I dobrze odgadłaś. – Tomaszewski był wyraźnie zadowolony.

– A na koniec studiów każdy student mógł porozmawiać z kimś, kto nigdy nie wpadł? Z prawdziwym asem?

– Tak. Nie z przymusowym emerytem, który mógł się już udzielać w szkole, nie z dziadkiem, który zaczynał konfabulować, tylko z jednym z najlepszych agentów wywiadu marynarki.

Kai ta opowieść ciekawiła coraz bardziej.

– Jak on się nazywał?

– Nie wiem. Nie znam ani imienia, ani nazwiska. Ale na całych studiach na temat tych spotkań krążyły legendy. Że dyskusja z tym facetem jest zupełnie nieprawdopodobna, porywająca, arcyciekawa.

– A o czym studenci z nim rozmawiali?

– No właśnie. Zanim go spotkałem, ja też chciałem się dowiedzieć. Chodziłem od jednego absolwenta do drugiego i zadawałem proste pytanie. O czym rozmawialiście? Jak mam się przygotować?

Kai nachyliła się w jego kierunku.

– No? No?

– Twierdzili, żeby się nie przygotowywać. Wszystko samo pójdzie świetnie.

– No ale o czym rozmawiali?

– No właśnie. Pytałem o to samo. A oni ciągle, że to wspaniały facet. Że rozmowa z nim to niezwykle doświadczenie. Że takiej dyskusji nie prowadzili dotąd nigdy, z najciekawszymi nawet ludźmi, z żadnymi naukowcami, artystami, literatami...

– Pęknę z ciekawości.

– Ja też tak się czułem przed „porywającą dyskusją”. Niesamowitą. Jedyną w swoim rodzaju. Nieprawdopodobną. Wspaniałą! – Tomaszewski wypił kilka łyków wody. – I przed spotkaniem domyśliłem się, o czym będzie ze mną mówił legendarny agent wywiadu. – Odstawił kubek i wycelował w dziewczynę palcem. – A teraz domyśl się ty, Kai!

Czarownica oniemiała zaskoczona takim obrotem sprawy. Długo myślała intensywnie. Potem wypiała cały kubek wody, otarła usta, zaczęła bębnić nerwowo palcami w blat. Znikąd pomocy. O czym ze studentami rozmawiał as wywiadu? Palnęła się w czoło z całej siły, aż plasnęło. Bogowie, jakie to proste!

– On z wami o niczym nie rozmawiał! – powiedziała. – On tylko słuchał!

Tomaszewski zerwał się z krzesła.

– Tak! – krzyknął. – Czarownico, Kai prześliczna. Jesteś genialna! I dasz sobie radę na misji!

Nie mogła uwierzyć, że zgadła.

– Tak – potwierdził Tomaszewski. – On w ogóle ze studentami nie rozmawiał. Rozpoczynał rozmowę, odkrywał, który temat ich interesuje, i zaczynał słuchać. A ci wygadywali wszystko, co wiedzieli, mądrzyli się, puszyli, pokazywali, jacy to są wspaniali, i byli przekonani, że biorą udział we wspaniałej dyskusji z kimś wielkim. A on nic nie mówił.

Kai opuściła głowę.

– To trzeba mieć dar, żeby być takim słuchaczem.

– Niekoniecznie. Ludzie gadają o wszystkim. Chcą się bez przerwy mądrzyć. Zwróć uwagę, że prowadząc rozmowę, ludzie tylko czekają, żeby powiedzieć swoje. Słuchanie rozmówcy to tylko uprzejme przeczekiwanie

jego kwestii, żeby powiedzieć swoją. Czy widziałaś kiedyś trzy kobiety mówiące do siebie naraz i wszystkie z tego faktu zadowolone?

– Widziałam. I one rzeczywiście nie potrzebują nikogo słuchać. I tak jest u wszystkich ludzi?

– Tak. Są tylko bardziej i mniej uprzejmi. Cierpliwi w przeczekiwaniu twoich kwestii i mniej cierpliwi, zwani gadułami. A cała sztuka polega na tym, że chcąc wyciągnąć od nich wszystko, trzeba zacząć rozmowę na temat, który ich interesuje. Ich, a nie ciebie.

– I to wszystko? A dar?

Tomaszewski wstał i rozogniony rozmową zaczął krążyć po kuchni. Potem stanął przy blacie do przygotowywania potraw i odwrócił się do niej, już przemyślawszy, co chce powiedzieć.

– Ty masz ten dar, Kai! – rzucił zdecydowanie.

– Skąd wiesz?

Uśmiechnął się.

– Ponieważ jesteś w całej historii wywiadu marynarki wojennej pierwszą... czarownicą.



Polski konsulat w Negger Bank pełnił właściwie rolę ambasady. Oczywiście sama ambasada, zgodnie z wymogami protokołu dyplomatycznego, musiała być usytuowana w stolicy, tam gdzie cesarski pałac. Jednak sama władczyni niezbyt często odwiedzała swoją główną siedzibę. Wolała przebywać tam, gdzie życie tętniło najbardziej gorączkowym rytmem – na wybrzeżu.

To jednak nie konsul ani ambasador wybierali sobie miejsce pracy. Lokalizację i wybór obiektu jak zwykle powierzono szefowi wywiadu, ściśle współpracującemu z dowódcą kontrwywiadu i ochrony placówek dyplomatycznych. Dopiero w efekcie ich działań rząd polski kupił od cesarzowej okazały, choć nie za wielki pałac nad morzem. Co prawda dość oddalony od letniej rezydencji władczyni, ale także w związku z tym oddalony również od rezydencji innych oficjeli oraz odseparowany od okolicznej zabudowy.

Był prześliczny. Wysmakowana architektura współgrała z przepięknie utrzymanym parkiem, otoczonym drzewami jeziorkiem z piaszczystą plażą oraz tonącą w zieleni własną przystanią jachtową. Niestety. Polacy, kiedy

tylko stali się prawowitymi właścicielami, przystąpili do systematycznego oszpecania pałacu wraz z otoczeniem. Na samym środku dachu wybudowali okropne kratownicowe maszty do utrzymywania łączności radiowej na dalekie dystanse. Wszystko pokryli siecią drutów i kabli, wybudowali nowe, podwójne płoty z siatki, pawilon winny przerobili na koszary dla strażników, a na szczycie wieży widokowej umieścili całe wyposażenie stacji meteorologicznej. Port i nabrzeże oszpecili nowoczesną rampą do przeładunku, razem z suwnicą i dwoma dźwigami, a część drzew w parku wycięli, żeby zrobić krótki, acz szeroki pas startowy dla wiatrakowców i plac manewrowy. Oranżeria stała się hangarem, pomieszczenia dla aktorów amfiteatru składem paliw, a prześliczny „domek poetów” magazynem na sprzęt przeciwpożarowy. Wszędzie pojawiły się rzędy elektrycznych lamp, budki transformatorów i stacji przekaźnikowych dla agregatów prądotwórczych ukrytych w piwnicach. W codziennej, żmudnej pracy dyplomatów romantyzm miał niewielkie znaczenie.

Randa jednak i jego współuczestników nie obchodziło w tej chwili, czy pałacyk jest ładny, czy brzydki. Po tej stronie miasta łatwo było do niego dotrzeć, a to stanowiło teraz sprawę najważniejszą. Plac i podjazd przed głównym wejściem były pozbawione jakiegokolwiek zabudowy, nie było tam żadnych drzew ani innych elementów mogących stanowić kryjówkę dla zamachowców, którzy mogli nie chcieć wypuścić nikogo do azyłu.

– Zamach stanu! Zamach stanu! – darł się Rand, kiedy tylko zdołał się wydostać z wnętrza furgonu.

Strażnik na koźle zatrzymał się dokładnie przed wartownią, z której wybiegały teraz dziewczyny z karabinami. Zgodnie z umową międzynarodową wszystkie bazy i placówki RP na terenie imperium były ochraniane przez poddanych cesarzowej. Tak samo było i tutaj. Oddział strażniczy składał się z weteranek słynnego korpusu z Sait, przeszkolonych według nowych regulaminów i wyposażonych w nowoczesną broń. Kilka dziewczyn otoczyło go momentalnie i kiedy napięcie wzrosło odpowiednio, oświadczył dramatycznym głosem:

– Dokonano zamachu na cesarzową!

Dziewczyny oniemiały. Dla nich ciągle zabójstwo pierwszej osoby w imperium było czymś niewyobrażalnym. W ogóle zabicie władcy, nawet obcego króla, nie mieściło się w hierarchii zwykłych pojęć. Króla, owszem,

można zmusić do abdykacji, ale przecież kogoś, kto pochodzi w prostej linii od Bogów, nie zabija się ot tak, po prostu.

– Przepuście nas! Idziemy do konsula.

To już druga rzecz, która tego krótkiego ranka nie zmieściła się żołnierzom w głowach. Jak to przepuścić? To przecież niemożliwe. Znały nowy regulamin na pamięć, równie dobrze jak stary. Co to jest? Jak ktoś może podejść do obiektu otoczonego wartami i powiedzieć tak po prostu: przepuście? To niemożliwe.

Po chwili jednak wydarzyło się coś, co jeszcze bardziej zaskoczyło żołnierzy. Rosły strażnik zeskoczył z kozła furgonu zbożowego i razem z Aie pomogli wysiąść i ukazać się w promieniach słońca samej...

Samej...

Jak to powiedzieć przez zaciśnięte gardło? Sama...

Z furgonu wysiadła sama...

O Bogowie!

Dziewczyny nie wiedziały, czy mają stanąć na baczność, salutować, czy paść na twarz. Nie miały zielonego pojęcia, co powinny zrobić. Dowódca warty zamarła nagle w bezruchu, bo właśnie zdała sobie sprawę, że z tego przejścia zapomniała wszystkiego, czego ją uczono. Cały regulamin po prostu ulotnił się z jej głowy, pozostawiając idealną wręcz pustkę.

Odruchowo cofnęła się jeszcze do pomieszczeń wartowni, zajęła swoje stanowisko za ochronnym przepierzeniem i stanęła jak wół, nie mogąc dokonać żadnego wyboru. Który telefon to ten właściwy? Czarny, czerwony czy biały? A może nie telefonować, bo sprawa zbyt ważna? Miała do dyspozycji dzwonki alarmowe na tablicy rozdzielczej, pięknie opisane właściwymi numerami. Ale który powinna włączyć? No przecież pamiętała wszystkie numery! Co się teraz stało? Powoli przeniosła maślany wzrok na ludzi przed wartownią i z powrotem na wielką tablicę. A pieprzyć! Nie przypomni sobie w tych warunkach.

Łokciem zbiła cienką szybkę chroniącą małą czerwoną skrzynkę. Kciukami odbezpieczyła dwa spusty syren alarmowych i jednym naciśnięciem włączyła oba. Upiorne wycie na dachu sprawiło, że Polacy zareagowali momentalnie. Sierżant piechoty morskiej, który przybiegł od strony wewnętrznej wartowni, nie zdążył się nawet zadyszeć.

– Gdzie pożar?! – krzyknął. – Gdzie widzisz dym?!



– Zamach stanu – odparła i nie mogąc wydobyć z siebie nic więcej, palcem pokazała, kto stoi przed bramą.

Sierżant zerknął i również zamarł. Ale tylko na chwilę.

– Chryste Panie!... – wyrwało mu się z bezbrzeżnego zdziwienia.

Opanował się już po sekundzie. Błyskawicznie podniósł słuchawkę czerwonego telefonu.

– Tu jedynka. Zawiadom konsula, że jest zamach stanu. – Lewą ręką gorączkowo kartkował książkę kryptonimów. – Zamelduj też, że przed bramą znajduje się... – Szukał nerwowo kryptonimu pałacu. – Zamelduj, że przed bramą znajduje się „Obiekt Zero”. Powtarzam: „Obiekt Zero”!

– Zwariowałaś? – rozległo się w słuchawce po dłuższej chwili. Najwyraźniej rozmówca również szukał w zestawieniu kryptonimów, czym jest „Obiekt Zero”. – Pałac do nas przywieźli? Cały?!

– Wyłącz syreny i melduj konsulowi!

Wyskoczył na zewnątrz, a potem własnoręcznie otworzył bramę.

– Nie stójcie w polu ostrzału! – wrzeszczał. – Tutaj! Tutaj! Niech jaśnie pani wejdzie do wartowni!

W sporządzonej po podpisaniu międzynarodowego traktatu instrukcji, z którą sierżant musiał się przecież kiedyś zapoznać, było oczywiście jasno sprecyzowane, jak powinien się zwracać do cesarzowej. Nikt jednak nie spodziewa się, że kiedykolwiek spotka władczynię osobiście. Biedak nie pamiętał więc, co służby dyplomatyczne wymyśliły i jak kazały się zwracać do kogo w takiej sytuacji. Musiał improwizować.

– Dawać jaśnie panią tutaj! – darł się na cały głos. – Stoicie w polu ostrzału!

Rand obejrzał się. Najbliższe zabudowania były oddalone o sporą odległość. Jakikolwiek strzał byłby bardzo trudny, a trafienie możliwe tylko teoretycznie. No chyba że się dysponowało bronią z za gór.

– Stoicie w centrum pola ostrzału! – wydzierał się jednak sierżant. – Chować się!

I dopiero teraz Rand zrozumiał. Obcy żołnierz nie ostrzegał ich przed ewentualnymi zamachowcami. Cała grupa stała w centrum ostrzału, ale... obrońców konsulatu. Błyskawicznie złapał cesarzową za ramię i pociągnął w stronę wartowni.

– Tędy!

Sierżant doskoczył z boku i zaczął wydawać rozkazy dziewczynom z pierwszej linii wart.

– Zakorkujcie wejście! Ta budowla odtąd ma być całkowicie szczelna!

– Nie przepuszczać nikogo?

– Więcej, nie możecie pozwolić zbliżyć się nikomu bardziej niż na odległość głosu. Wyglebić każdego, kto będzie chciał dostać się dalej.

– A jeśli to będzie Polak?

– No to co, że Polak? Na ziemię i czekać na dowódcę warty! Matkę rodzoną masz wyglebić i wcisnąć twarzą w bruk!

– Tak jest!

Cesarzowa przeszła przez wartownię oszołomiona. Aie i strażnik zostali przeszukani. Oprócz władczyni, o dziwo, upiekło się również Randowi, ze względu chyba na zakrwawione ubranie. Co za debilizm. No ale regulamin to regulamin.

Od strony pałacyku biegł już konsul, powiewając połami rozpiętej marynarki. Towarzyszył mu zgromadzony naprędce orszak – dwie sekretarki, dyrektor protokołu i chorąży piechoty morskiej. Ten ostatni, kiedy tylko dobiegli do celu, bezceremonialnie nałożył władczyni kamizelkę kuloodporną, a na głowę wsadził stalowy hełm saperski.

– Wielka pani! – konsul użył właściwej, przewidzianej przez instrukcję formy. – Proszę się nie obawiać. Jest pani pod opieką sojuszników, a my zamierzamy dołożyć wszelkich starań, żeby zapewnić pani takie środki bezpieczeństwa, jakie tylko będą w naszej dyspozycji.

Właściwy człowiek na właściwym miejscu. Mogłoby się tak wydawać. Konsul Radziejewski dla ludzi, którzy go lepiej znali, był człowiekiem pozbawionym raczej talentu organizacyjnego. Miał tendencję do nadużywania teatralnych gestów, lubił też przyjmować pompatyczne pozy. Nie było chyba jakąś szczególną tajemnicą, że karierę w dyplomacji zrobił głównie dzięki rodzinnym koneksjom.

Teraz też dawał się ponosić biegowi wypadków.

– Wielka pani, proszę tedy, do konsulatu. A my osłonimy panią własnymi ciałami.

Cesarzowa zerknęła na niego z pewnym zaciekawieniem. No, przynajmniej coś osiągnął, wyrrywając ją z oszołomienia. Całą grupą ruszyli w kierunku pałacyku.

– Proszę wystawić karabiny maszynowe we wszystkich oknach! – komenderował konsul. – Proszę zamienić ten budynek w niezdobytą twierdzę!

– Panie konsulu – chorąży piechoty morskiej nie bardzo wiedział, co powiedzieć – nie mamy karabinów maszynowych. W ogóle.

– Jak to?!

– To przecież nie forteca. W żadnych planach operacyjnych nie ma opcji obrony konsulatu.

– Ależ co pan mówi?! Co pan za rzeczy niestworzone wygaduje?!

Chorąży znajdował się w trudnej sytuacji. O takich rzeczach każdy dyplomata dowiadywał się na pierwszym semestrze specjalistycznego kursu. Ale Radziejewski chyba żadnego kursu nie ukończył. Pewnie rodzina wierzyła, że samo wysokie urodzenie i obycie salonowe w zupełności mu wystarczą. Żadne procedury nie były przecież potrzebne.

– Plan przewiduje jedynie opóźnianie wrogich działań, żeby dać czas dyplomatom na spalenie tajnych papierów i korespondencji. A sekcja łączności ma spalić szyfry, książki kodowe i zniszczyć maszyny. Tylko tyle. Potem się poddajemy.

– I w tym celu mamy kompanię piechoty morskiej?

– Pluton – chorąży wprowadził drobną poprawkę. – Chroni nas czterdzieści dziewczyn z korpusu Sait. Nasi mogą nas chronić jedynie przed nieuzbrojonym tłumem uchodźców na czas ewakuacji konsulatu. Tylko tyle. Potem się poddajemy – powtórzył.

– Nie mogę uwierzyć, żeby największa siła tego świata chciała się od razu poddać. – Konsul wprowadził cesarzową do budynku. Oczywiście przez wejście reprezentacyjne i w związku z tym musieli nadrobić drogi. – Wielka pani – tłumaczył, prowadząc władczynię po schodach – proszę się nie przejmować słowami tego defetysty. Zapewniam, że dołożymy wszelkich starań...

Rand słał się na nogach. Aie, zwolniona z opieki nad cesarzową, którą przejął konsul i jego sekretarki, podtrzymała go silnym ramieniem. Razem doszli jakoś do reprezentacyjnego gabinetu, który nie służył do pracy, a jedynie do przyjmowania gości. Konsul umieścił cesarzową w największym i najpiękniejszym z foteli, a potem zaczął komenderować.

– Proszę rozbić okna i zatkać je workami z piaskiem! – Rozpoczął właśnie karierę wielkiego wodza. – Zamieńmy ten budynek w twierdzę, nie

bacząc, że zniszczą się zgromadzone tu dzieła sztuki!

– Ale, panie konsulu... – usiłował mu przerwać dyrektor, lecz Radziejewski okazał się odporny na kontrargumenty.

– Pracownikom konsulatu proszę rozdać broń! – nakazał.

– Mamy w sejfie cztery pistolety – odparł dyrektor i czując, że ta odpowiedź może nie satysfakcjonować szefa, dodał: – W mieszkaniu mam dubeltówkę. Jestem myśliwym i zaraz się uzbroję.

– Ja nie umiem strzelać! – od razu zastrzegła się jedna z sekretarek. Druga wołała usunąć się w cień zawczasu.

Chorąży postanowił się nie odzywać. Na szczęście dla niego niespodziewanie do gabinetu dotarła pomoc. Młody porucznik piechoty morskiej dopinał w biegu galowy mundur.

– Porucznik Janikowski melduje się na rozkaz! – Przepisowo strzelił obcasami. Konsul spojrział na niego z nową nadzieją. Nareszcie ktoś, kto był pewny siebie.

– Proszę sprowadzić z naszej bazy czołgi. Niech zajmą pozycje na placu przed konsulem!

– Tak jest!

– Ile to potrwa, poruczniku?

– Cały dzień. Baza jest po drugiej stronie miasta, a poza tym pojazdy będą musiały przejechać przez samo centrum, powodując ogromne straty. Ale najpóźniej w nocy powinny do nas dotrzeć.

– A gdyby je wysłać wokół miasta?

– Będzie im na pewno łatwiej, a u nas pojawią się już jutro rano. Jeśli oczywiście komendant bazy w ogóle wyda pozwolenie na użycie oddziałów pancernych.

Konsul skrzywił się, usiłując zapanować nad sobą.

– W takim razie niech flota przyśle piechotę morską!

– Na okrętach nie ma piechoty. Wszyscy są na wyprawie w Banxi!

Radziejewski otarł pot z czoła wielką, nieskazitelnie białą chustką.

– Niech więc okręty przyślą uzbrojonych marynarzy! – prawie krzyknął. – I mnóstwo cekaemów!

Janikowski wiedział, że szefowi w tym stanie ducha nie należy tłumaczyć, że na okrętach nie ma cekaemów. No chyba że marynarze zdemontują te, które służą do obrony przeciwlotniczej. Ale ta broń byłaby bezużyteczna, bo na okrętach nie ma przecież trójnożnych podstaw

umożliwiających prowadzenie z tej broni ognia na lądzie. Nie chcąc narażać swojej kariery, odpowiedział tylko krótkim:

– Tak jest!

Konsul zerknął na Randa w zakrwawionym ubraniu, którego Aie położyła na bogato zdobionej sofie.

– Tu jest ranny, a lekarza nie mamy. Czy w pańskim oddziale jest chociaż sanitariusz?

– Nie, panie konsulu. – Porucznik nie mógł sobie wyobrazić, po co w reprezentacyjnym oddziale do stawania na baczność podczas różnych wizyt miały się znaleźć sanitariusz. Ale nie komentował.

– W takim razie wyślijmy rannego sojusznika na jakiś okręt.

– To trochę potrwa, panie konsulu. Łódź spacerowa, którą mamy na przystani, nie dobieje do burty. Trzeba wezwać kuter z bazy albo łódź z jakiegoś niszczyciela.

– No to nie, rzeczywiście... – Radziejewski, o dziwo, zgodził się z tą opinią. – W takim razie prześlijmy go wiatrakowcem na lotniskowiec.

Porucznik tylko się skrzywił, ponieważ wiedział, do jakich łamańców proceduralnych trzeba by się uciec, żeby zrealizować ten plan. Zaangażować lotniskowiec tylko po to, żeby przyjąć pojedynczego rannego. O matko...

Na szczęście i dyrektor protokołu musiał się czegoś domyślić, bo nachylił się do ucha konsula.

– Jeśli można coś radzić, to sugeruję, że najlepiej i najszybciej będzie wezwać miejscowego lekarza. Stąd, z Negger Bank!

Leżący na sofie Rand tylko jęknął.



Shen spięła konia, usiłując manewrować wozami tak, żeby koń nie kierował się za bardzo jej decyzjami. Zjeżdżali właśnie po czymś w rodzaju piargu wprost na plażę i łatwo było o złamanie nogi. Miała wrażenie, że jej wierzchowiec lepiej wie, jak sobie poradzić, niż ona sama. Podobnego zdania musiał być chyba Kadir, bo po kilkunastu ostrożnych krokach jego koń przyspieszył nagle i uderzył w tego, który schodził przed nim.

– Zaraza jasna! – Dziewczyna mało nie wypadła z siodła. – Uważaj!

– A jak jest „uważaj” w języku koni? – odpowiedział pytaniem rusznikarz.

Żadne z nich nie było wytrawnym jeźdźcem. Żadne z nich nie było nawet dobrym. Jedynie ich przewodnik radził sobie doskonale. Od dłuższej chwili czekał już na nich na dole, od czasu do czasu wykrzykując pomocne rady.

– Nie tak! Trochę w lewo! No bardziej w lewo, bo... Ostrzegam. Tamtędy będzie ciężko!

– Jak jest „w lewo” w języku końskim?

– Wiśta. Nie, hetta, chyba.

Kadir zaniepokojony zerknął na pozycję, w jakiej na dole stał wierzchowiec przewodnika.

– A chodzi o jego lewo czy moje? – zapytał.

– Bogowie, nie wiem! – Shen usiłowała przyjąć na siodle taką pozycję, żeby koń nie odczuł jej jako sugestii, gdzie ma postępować. – Ja sama w strachu.

– Mówiłem, żeby iść tędy na własnych nogach.

– Tam, na górze, przewodnik twierdził, że to będzie łatwe.

– Chyba dla niego.

Kadir umilkł nagle, ściskając boki konia z całych sił. Już w połowie zbrocza mięśnie ud bolały go coraz bardziej. Z doświadczenia wiedział, że to jeszcze nic takiego. Prawdziwy ból zacznie się jutro. Znał to uczucie. Naprawdę nie był urodzonym jeźdźcem. Miejscem, gdzie czuł się naprawdę dobrze, było plecione krzesło, w którym zwykł studiować materiały przyniesione przez uczniów z biblioteki. Na szczęście najgorsza nawet podróż zawsze znajduje swój kres. Rusznikarz błogosławił chwilę, kiedy kopyta jego konia zatopiły się w piasku na plaży.

– Daleko jeszcze? – Shen patrzyła na przewodnika z dużą dozą nieufności.

– Bardzo blisko!

– I tak ci nie wierzę.

Młody chłopak, który służył tym razem za przewodnika, dosiadał konia na oklep. W przeciwieństwie jednak do tych, którym służył, znosił trudy podróży, jakby to była zabawa. Zawinięty w derkę, bo nie miał nawet porządnego okrycia, prowadził pewnie, narzucając takie tempo, że doskonale wyposażeni podróżnicy, w dodatku dosiadający sto razy lepszych wierzchowców niż wiejska chabeta, ledwie dotrzymywali tempa.

No i ciekawe, co znaczyło „bardzo blisko”. Dzień drogi? Dwa? Dobrze, że konie, choć szły trochę wolniej niż na górze, posuwały się równo, umożliwiając rozmowę.

– Sądzisz, że cesarscy zaatakują błyskawicznie? – Shen zerknęła na Kadira, który mościł się w siodle, usiłując przybrać jak najbardziej wygodną pozycję.

– Błyskawicznie to oni co najwyżej wino leją do gardeł – odparł. – Nawet Polacy, decydując się na „wojnę błyskawiczną”, przez ćwierć roku ją planują, a potem jeszcze ćwiczą wszystkie jej elementy. Nie pamiętasz, jak wywieźli oddziały tatarskie do lasu, żeby przećwiczyć elementy rajdu na Banxi?

– Pamiętam. Ale wojsko cesarskie nie walczy według polskich regulaminów.

– Ano nie. Wyprowadzić kupę wojska w pole i kazać ruszać „mniej więcej tam” to ich styl działania. Im więcej wojska, tym lepiej. A jeszcze lepiej to nie zwracać uwagi, co wspomniane wojsko będzie po drodze jadło. Niech sobie grabi własne wsie, pozostawiając z tyłu pustynię jak szarańcza. Żeby do nas dotrzeć, będą musieli pokonać wąski pas pomiędzy górami a brzegiem morza. Wsie małe i nieliczne, położone daleko od siebie. Jeśli nie zdecydują się na kanibalizm, daleko nie zajdą.

Shen wzruszyła ramionami. To fakt, że dużej liczby wojska nabrzeżną drogą nie przepchną. A z zaopatrzeniem też będzie ból. Tym razem członkinie sztabu generalnego będą musiały wysilić swoje główki z przepięknymi fryzurami.

– Mogą wysadzić desant – powiedziała. – Wprost w Kong.

Kadir wybuchnął śmiechem.

– Tak, tak – powiedział po dłuższej chwili, wycierając powieki. – Mogą. Ale tacy dobrzy jak Polacy z krążownikiem za plecami i lotniczym zwiadem nad głową to oni nie są. Portu w Kong z morza nie zdobędą, bo nie mają na okrętach odpowiedniej artylerii. A byle gdzie na plaży desantu nie wysadzą, bo znowu powtarza się problem z zaopatrzeniem.

– Operacje sztabu generalnego nie muszą podlegać prawom logiki, czego dowodem może być los korpusu w Sait. Mogą puścić na nas kupę wojska, licząc na to, że nakryci czapkami wyzioniemy ducha już pierwszego dnia. A oni...

– A oni najedzą się nami? – Kadir wpadł jej w słowo. – No... w wykonaniu sztabu generalnego teoretycznie wszystko jest możliwe. Jednakowoż nie sądzę, żeby rozdali wojsku „Poradnik kanibala, czyli jak najlepiej przyrzadzić ludzinę”.

Chciała mu odpowiedzieć jeszcze bardziej kąśliwie, ale uniemożliwił jej to przewodnik.

– Tam! – krzyknął. – Tam! Widzicie?

Minęli właśnie skałę sterczącą z klifu i ich oczom ukazał się widok kilkunastu osób skupionych wokół czegoś, co do połowy sterczało z wody. Trudno było stąd dostrzec, co to jest. Ale przynajmniej tym razem przewodnik miał rację. Znajezisko rzeczywiście znajdowało się „bardzo blisko” piargu, którym zjechali z klifu. Żeby móc poruszać się szybciej, przemieścili się w pobliże fal omywających brzeg, tam gdzie piasek był bardziej ubity.

Wieśniacy usiłowali taszczyć coś z wody. Nie szło im to sprawnie. Każdy fragment wydawał się powiązany z pozostałymi masą linek.

– Co to może być? – krzyknęła Shen.

– Nie wiem! Ale jeśli nie zostawią tego w spokoju, to zaraz będziemy mieli do czynienia ze stertą śmieci.

Chłopi rozstąpili się, widząc konnych. Przewodnik uspokajał ich, krzycząc, żeby nie rzucali się do ucieczki. Swoich przyprowadził. Cała grupa patrzyła jednak nieufnie.

Kadir zeskoczył z siodła kilkanaście kroków od wielkiego znaleziska. Zbliżał się powoli, prawie z nabożeństwem, usiłując rozpoznać w splecionych fragmentach cokolwiek znanego. Płótno, listewki jakby z drewna i nie z drewna jednocześnie. Może z wikliny? Cieniuteńkie linki, sprawiające jednak wrażenie niesamowicie mocnych. Wszędzie węzły, klamry, dziwne splecionia.

– Co to może być? – powtórzyła Shen, stając tuż obok rusznikarza.

– A co ci przypomina? – zaskoczył ją pytaniem. Przez kilka chwil usiłowała sobie wyobrazić, do czego mogło służyć to coś, co morze wyrzuciło na brzeg. Nie miała pojęcia.

– Nie wiem – przyznała uczciwie. – Papierowego smoka, którego dzieciom porwał wiatr i potrzaskał zabawkę.

– No ciekawe...

Kadir zaczął komenderować ludźmi.



– Wy tam! Chwyćcie za ten fragment. – Gestami pokazywał, o co mu chodzi. – I pociągnijcie tam! Nie płączcie tych linek! Ostrożnie ciągnąć.

– Co chcesz zrobić?

– Rozłożyć to tak, żeby te zwoje linek nie były splątane. Każdą część trzeba pociągnąć tak, jak pozwalają sploty. I wtedy może dostrzeżemy pierwotny kształt.

– Przecież wszystko splątane.

– Nie wszystko.

Kadir usiłował wydawać proste, zrozumiałe rozkazy. A chłopci, domyślając się, że czeka ich konkretna nagroda, pracowali bardzo sprawnie. Już się przekonali, że samo znalezisko nie zawiera niczego cennego, co można by zabrać do chałupy. Pękata sakiewka kierownika robót przeciwnie – zawierała dużo niezwykle cennych rzeczy. Lepiej było się przyłożyć.

Mniej więcej w południe nie udawało się już rozkładać poszczególnych elementów wokół tak, żeby nie zniszczyć całej konstrukcji. Kadir wyciągnął nóż i zaczął przecinać pojedyncze odporne linki. Wyraźnie unikał splotów i sznurków oznaczonych kolorami.

Shen nie chciała mu przeszkadzać. Razem z przewodnikiem zjadła drugie śniadanie z zapasów, które mieli w jukach. Potem znowu podeszła bliżej. Kadir właśnie chował swój nóż.

– No? A teraz co ci to przypomina?

Przyglądała się długo i uważnie. Nic jej to nie przypominało tak naprawdę.

– Gigantyczny latawiec? – powiedziała po długim namyśle. Zabrzmiało to bardziej jak pytanie niż stwierdzenie.

– No. – Kadir przygryzł wargi. – Ja też mam wrażenie, że to maszyna latająca.

– A gdzie śmierzący silnik?

– O! Polka się w tobie odezwała czy co? – zakpił lekko. – Żeby latać, trzeba mieć warcząco–śmierzący silnik! – Machnął ręką zrezygnowany. – Pierwsza odpowiedź była lepsza. To chyba latawiec.

– Taki skomplikowany? – Shen nie mogła jeszcze dopasować do siebie w wyobraźni poszczególnych elementów. – A gdzie pozostałości liny do uwięzi? No chyba że nikt nim nie sterował.

– Sterował.

– A gdzie lina? Albo jej pozostałości?

– Nie było liny. Sternik wisiał tutaj. – Kadir podniósł coś w rodzaju uprząży przymocowanej do konstrukcji w centralnym punkcie. – Chodź.

Kiedy ostrożnie, żeby nie uszkodzić płótna, po którym trzeba było stąpać, podeszła do niego, przymierzył do jej sylwetki skomplikowaną uprząż z powiązanych linek.

– Tak jak podejrzewałem – mruknął. – Pilotem była kobieta.

– Skąd możesz wiedzieć takie rzeczy?

– Dzieci pod niebo się raczej nie posyła. A na ciebie pasuje. – Pokazał Shen, o które fragmenty plecionki mu chodzi. – Ja mam za szerokie ramiona, ty byś w to weszła.

– Nasz przewodnik też niewielki. On mógłby się zmieścić.

– Może i tak. Ale to coś – dotknął innej części uprząży – za przeproszeniem, urwałoby mu genitalia. A kobiecie nie.

Uśmiechnęła się szeroko.

– To wyjaśnij mi jeszcze, na zarazę Polakom takie latawce.

– I tu cię zdziwię.

– Bo?

– To nie jest polskie. Nie pochodzi z za gór.

– A skąd? – dała się zaskoczyć. – To znaczy skąd to wiesz?

Pokazał dziewczynie skomplikowany węzeł na lince. Jeśli pociągnęło się go za pętlę, węzeł sam się rozluźniał, jeśli za ucho – zaciskał.

– To ręczna robota – wyjaśnił. – Żmudna, długotrwała, wykonana przez mistrza. Mistrza rękodzieła. A Polacy to wszyscy jaśnie państwo! Batem ich do ręcznej roboty nie zagonisz. Tam wszystko maszyny robią. I dlatego ich kłamry i zatraski wydają takie dźwięki jak: brzdęk, trzask, klik, prask! Są idealne, ale ich perfekcja bierze się z perfekcji maszyny wykonującej powtarzalne czynności. A to tutaj działa w idealnej ciszy, to wyrób artystyczny, unikatowy, jedyny w swoim rodzaju.

To zrozumiała. I wiedziała też, że Kadir ma rację. To nie było polskie. Ani w ogóle wykonane przez jakąkolwiek cywilizację z za gór. Dziwny latawiec pochodził więc stąd.

– Bogowie... – szepnęła. – Przecież w takim razie powinniśmy choćby słyszeć o takich rzeczach.

Kadir położył Shen rękę na ramieniu.

– A co my wiemy o wielkim świecie? – westchnął. – To coś długo dryfowało w morzu. Impregnat pokrycia prawie stracił swoje właściwości.

– Myślisz, że na tym naprawdę można było latać? Że człowiek mógł tym latać? – poprawiła się.

– Jak ptaki, które wykorzystują prądy powietrza i też nie muszą ruszać skrzydłami, krążąc wysoko. W odpowiednich warunkach to coś mogło unieść człowieka.

– A gdzie jest pilotka?

– Gdzieś tam. – Kadir nie wahał się ani chwili i wskazał ręką szumiące morze. – Gdzieś tam jest.

– Nie mów tak, proszę.

Wzruszył ramionami.

– Uprząż nie jest przetarta, nie jest rozcięta nożem. Pilotka żyła więc, kiedy ten latawiec uderzył o wodę. Rozsznurowała uprząż, żeby się uwolnić.

Zapadła cisza. Shen zastanawiała się, jakie ta kobieta mogła mieć szanse sama na środku oceanu. A przecież wiedziała jakie. Była córką rybaka, wodę znała.

– Powiemy o tym Polakom? – zmieniła temat. – Czy zawieziemy im szczątki?

Kadir skrzywił się i cmoknął niczym lichwiarz na targu, który nagle zobaczył naiwnego klienta.

– Wiesz, trochę będziemy od nich zależeć w zbliżającym się starciu. Od ich informacji, amunicji i zaopatrzenia. Warto więc chyba zachować ten wrak dla siebie. Tak na wszelki wypadek, odłożony na czarną godzinę. Będzie trzeba, to pokażemy coś, co ich zaciekawi.

Shen skinęła głową. Nie znała się na polityce, nie lubiła jej i nie chciała się interesować. Ale Kadir miał rację. Wrak maszyny latającej to nie chory człowiek, któremu trzeba udzielić szybkiej pomocy. Może poczekać, aż będzie do czegoś przydatny.

Podniosła oczy, omiatając wzrokiem horyzont. Wiosenne słońce rozświetlało radośnie powierzchnię morza. A jej w głowie ciągle brzmiało własne pytanie: „Gdzie jest pilotka?”

Gdzieś tam.



Nuk po przyjęciu u księżniczki chciała przespać się w bazie, ale nie dopuszczono jej do kwater. Na bramce spotkała przecież swoje koleżanki z korpusu, nie widziały się nie wiadomo jak długo, a przecież tyle się zdarzyło. Nie byłyby kobietami, żeby sobie wszystkiego nie poopowiadać. Oczywiście nie na wartowni. Dziewczyny po służbie nad ranem zabrały Nuk do swoich kwater w jednej z portowych dzielnic. Zdążyła tylko zostawić karteczkę, gdzie jest i gdzie należy jej szukać.

Weteranki urządziły się niezłe, miały mieszkania z widokiem na zatokę, jak na żołnierskie warunki, bardzo fajnie wyposażone i przytulne. Nuk nie dane było jednak nawet pomarzyć o jednym z łóżek. Przy lekko kwaśnym, słabym winie opowieści ciągnęły się do południa. I Nuk poczuła coś dziwnego. Samo opowiadanie o wszystkich przejściach, o swoim życiu sprawiło, że to życie stawało się mniej zawiłe dla niej samej, bardziej zrozumiałe. Poczuła się trochę jak u medyka, kiedy musi ze szczegółami opowiedzieć historię choroby. Poczuła też przy tym wielką ulgę, a potem niesamowitą radość. Nagle zrozumiała, że jej życie toczy się właśnie tak, jak powinno, tak jak chciała, wstępując na ochotnika do wojska. I choć ówczesne ideały mocno już wyparowały jej z głowy, to jednak w zamian wcale nie pojawiła się pustka. Cieszył ją sposób, w jaki patrzyły na nią koleżanki, a nawet zazdrość, która pojawiała się w ich oczach. Same uważały się raczej za te dziewczyny w wojsku, które miały nieprawdopodobne po prostu szczęście, że ich losy złożyły się tak, a nie inaczej. Natomiast Nuk uważały za babę, która swoje sprawy wzięła we własne ręce, nie zdając się na wyroki opatrności.

Uczucie zazdrości wzmogło się po południu, kiedy pod domki nad zatoką podjechał terenowy samochód z rozpiętą plandeką. Wyszyńska zdążyła wyskoczyć zza kierownicy, zanim jeszcze okoliczne dzieciaki otoczyły pojazd, uniemożliwiając dostęp.

– Nuk! – Wysoka kobieta w miejscowej tunice przyłożyła rękę do ust. – Nuk! Jesteś tutaj?

Sierżant wychyliła się z okna.

– Jestem! Już schodzę!

Ignorowała podziw malujący się na twarzach koleżanek, kiedy ją odprowadzały. Ale numer! Polka osobiście podjeżdżała łazikiem po swoją sierżant! Biedne, nie mogły mieć pojęcia, że to właśnie wczoraj Nuk polubiła tak naprawdę ekipę Tomaszewskiego. Dopiero kiedy po

wymiatającym z człowieka wszystkie siły, wielogodzinnym locie w koszmarnych warunkach, zamiast spać, zaproponowali szaleńcze przyjęcie, zrozumiała jedno: to nie wymuskane, wypachnione, lalusiowate paniczki nie wiadomo skąd, dysponujące jedynie makabryczną przewagą siły. To normalni kumple, twardzi, kiedy trzeba, miękący, gdy w duszy tak grało akurat, skrajnie pragmatyczni, z głupimi uprzedzeniami jak wszyscy ludzie na świecie. No i właśnie wczoraj coś pękło w barierze międzycywilizacyjnego porozumienia. Nagle to porozumienie stało się prawdziwe, zwykłe, normalne, dojmujące do żywego i tak oczywiste, że w ogóle nie można było mówić o różnicach. Nowi kumple Nuk byli tak samo stuknięci jak ona, identycznie porąbani, mieli zasadniczo podobne problemy ze sobą i w zakresie pogodzenia się z otaczającym światem. Dopiero wczoraj jednak tak mocno zdała sobie z tego sprawę.

– Cześć, Nuk! – Wyszyńska wyciągnęła rękę.

– Cześć, Cholernico. – Sierżant uścisnęła jej dłoń polskim obyczajem.

– Przedstawię ci gościa, który cię zabije już niedługo. – Wskazała ręką swój samochód.

Okazało się, że pod plandeką siedział mężczyzna w połowym mundurze lotnictwa.

– Pełczyński – przedstawił się, również wyciągając dłoń. Kiedy się nachylił, zauważyła na ramionach naszywki majora. – Mów mi Jacek.

– Nuk. A dlaczego mnie zabijesz? – zapytała.

Wyszyńska nie dała mu dojść do słowa.

– Bo będzie was z Kai uczył skoków spadochronowych, a tam co chwila ktoś ginie.

Pełczyński zareagował ostro:

– Nikt nie zginie. Te eksperymentalne spadochrony są tak pewne, że dziecko można na nich zrzucić.

– „Eksperymentalne” i „pewne”. Te dwa słowa wykluczają się wzajemnie, nieprawdaż? – Wyszyńska kpiła w najlepsze. – Słuchajcie, dziewczyny – zagadnęła koleżanki Nuk, które otoczyły auto. – Czy mogłybyście rozpedzić te bachory i umożliwić nam odjazd?

Nie było problemu. Polka imponowała weterankom, bo chodziła na bosaka i na gołe ciało narzuciła miejscową tunikę. Nie wywyższała się. Dzieciaki usunięto w mgnieniu oka. Udało się ruszyć bez dalszych przeszkód.

– Wiesz, podziwiam cię. – Wyszyńska sprawnie manewrowała kierownicą, poruszając pojazdem po drodze, która nie została wybudowana z myślą o poruszaniu się na niej samochodami.

– Czemu? – Nuk spojrzała z ciekawością.

– Bo najwyraźniej w ogóle nie spałaś. Mam rację?

– Masz.

– No to wliczywszy lot, imprezę i następny dzień... – Inżynier westchnęła lekko. – Masz zajebiście odporne ciało, młoda.

– W paru bitwach też ciężko bywało. – Nuk zaczęła się śmiać. – Ale dziękuję. Choć rzeczywiście, zaczynam już trochę płynąć. Jeśli wiesz, co mam na myśli.

– Wiem. – Wyszyńska wydostała się na większy plac i bosą stopą mocniej przycisnęła pedał gazu. Wielką radość sprawiali jej uskakujący na boki ludzie. – Boże, jak ja kocham to miasto! – wyrwało jej się nagle. – To chyba najpiękniejsze miejsce na świecie.

– No! – Nuk zdecydowanie była skłonna przyznać jej rację. – Każdy chciał je zdobyć i mieć, i tak już od tysięcy lat.

Uśmiechnęła się do swoich myśli. Ta wymiana zdań była zresztą kolejnym kamyczkiem do rozumienia „obcych”. Ceniła ich za to, że potrafili otwarcie i od razu przyznać, że coś tu jest lepsze niż u nich. Że miejscowi umieją stworzyć rzeczy, których oni sami nie potrafią. A przynajmniej dotąd nie stworzyli. Dramatycznie różnili się od wszystkich innych zdobywców w historii.

Wyszyńska zaparkowała na wznoszącej się stromo alei porośniętej po jednej stronie drzewami. To była zdecydowanie lepsza dzielnica, dzieci, które otoczyły samochód, pojawiło się zdecydowanie mniej. Poprosili jedno z nich, żeby zawołało jakiegoś złodzieja, a kiedy się zjawił, poprosili z kolei jego, żeby zgłosił u swoich, że tu stoją. Odtąd auto było już pod opłaconą wcześniej i hurtowo, pewniejszą od strażników i ubezpieczeń opieką cechu złodziei miejskich. Nic nie miało już prawa zginąć, nic, nawet najpiękniejsze mosiężne części, zostać odkręcone i zabrane.

– Ale sobie gniazdko uwili. – Wyszyńska uniosła głowę wysoko, żeby podziwiać wspaniałości książęcej willi. – A niech ich cholera.

Major Pełczyński również kiwał głową w podziwie.

– I tak będą musieli oddać marynarce – powiedział. – Przecież oficer nie może przyjmować prezentów od nikogo.

– Sądzę, że Krzysiek nie jest głupi. Zresztą sama mu powiem, żeby zgłosił to jako tajną melinę wywiadowczą pozyskaną środkami operacyjnymi, i nikt ich nie wywali.

Nuk otworzyła bramę prowadzącą na szeroki podjazd dla powozów.

– Myślę, że nie mają jeszcze służby poza etatowym ogrodnikiem i sprzątaczkami. Musimy wejść sami.

– Racja. – Cała trójka podeszła do wielkich, rzeźbionych drzwi prowadzących do domu. – Włamujemy się.

Wyszyńska pchnęła ciężkie skrzydło z całej siły.

– Krzysiek, Kai! Jest tu kto? – Wkroczyli do przestronnej sieni.

Tomaszewski pojawił się prawie natychmiast, w samych spodniach i koszuli.

– O? – powitał ich lekko zdziwioną miną. – Jak znaleźliście drzwi wejściowe?

– Od zewnątrz są bardziej widoczne. – Wyszyńska nie mogła powstrzymać się od kpiny. Najwyraźniej Krzysiek szukał tych drzwi. – Co? Wczoraj byłeś w takim stanie, że nie zapamiętałeś, gdzie są?

Machnął ręką.

– Ta willa to istny labirynt. W Polsce mogłaby pełnić rolę pałacu.

Najwyraźniej znał Pełczyńskiego, bo nie przedstawiali się, tylko podali sobie dłonie.

– Chodźcie. – Odwrócił się, wskazując kierunek. – Mam nadzieję, że dobrze zapamiętałem, gdzie co jest.

– Polecę ci trochę służby, przynajmniej najpotrzebniejszych. – Wyszyńska rozglądała się z wyraźnym zainteresowaniem. Budynek naprawdę robił wrażenie. I wielkością, i smakiem, z jakim go wykończono. – Moje dziewczyny na pewno znajdą jakieś koleżanki z dobrymi referencjami.

– Nie zapominaj, że nie mówisz do bogatego przemysłowca, tylko do żołnierza. Jak myślisz, na ilu służących można sobie pozwolić z oficerskiej pensji?

– Oj, nie przesadzaj. Ludzie tutaj są bajecznie wprost tani. A ich usługi na wysokim poziomie.

Musieli przerwać dyskusję. Kai, czekająca w kuchni, podniosła się na ich widok i zamarła zaskoczona, zobaczywszy majora w polowym mundurze. Zastanawiała się, co powinna zrobić, skoro jest owinięta jedynie

w prześcieradło. Stańc na baczność, stuknąć obcasami... tfu! płaśc bosymi stopami i zsalutować do gołej głowy? Nie, nie ma mowy. Salutuje się do orła, a nie do pustej głowy. Na szczęście Pełczyński wybawił ją z kłopotu w tej sytuacji, przedstawiając się po cywilnemu. Był sympatyczny. Jedynie Nuk nie mogła powstrzymać się od uwagi.

– Nie uśmiechaj się tak – powiedziała. – Podobno on nas zabije.

Kiedy Kai spojrzała pytająco, major wyprzedził w odpowiedzi Wyszyńską, która już otwierała usta.

– Będę was uczył skakać na spadochronie – powiedział. – Ale zapewniam, że to bardzo bezpieczny sprzęt.

– Nie boję się. – Czarownica odpowiedziała uśmiechem. – Widziałam już desant komandosów pod Negger Bank. W nocy, w złych warunkach, gdzie w każdej chwili groziło wykrycie. I nic się nikomu nie stało.

Pełczyński skinął głową z uznaniem, a Nuk po raz pierwszy spojrzała na Kai z pewnym zainteresowaniem. Do tej pory uważała czarownicę za wydelikacaną panienkę przewrażliwioną na własnym punkcie. Nie zmieniła zdania, oczywiście, ale po ostatniej uwadze mogła zacząć sądzić, że tamta nie jest przynajmniej histeryczką. Dobre i to.

– Zapewniam obie panie, że sprzęt jest po prostu rewelacyjny. To supernowoczesne rozwiązanie, pozwalające na skok z ogromnej wysokości, bardzo daleko od celu. Możliwość wykrycia zrzutu jest więc bliska zeru.

– Sprzęt sprzętem – Wyszyńska przysiadła na skraju stołu, nie chcąc w tym, co ma na sobie, narażać się na jakiegokolwiek niskie siedzisko – ale zrzut nastąpi nad oceanem. Jeśli spadochron się nie otworzy...

– Zawsze będzie spadochron zapasowy – wpadł jej w słowo Pełczyński.

– A po co?

Major spojrzał na nią zaskoczony.

– Nie rozumiem?

– Po co spadochron zapasowy? Przecież dwóch latających skrzydeł na jednym skoczku nie umieścimy. Więc jeśli się to jedno jedyne nie otworzy, to lepiej nie mieć spadochronu zapasowego.

– Dlaczego? – włączyła się Kai.

– Bo taki sprzęt zapewni tylko bezpieczny, krótki lot w dół, a tam... wodowanie. I co zrobisz sama, w kamizelce ratunkowej, na środku oceanu?

– Można czekać na pomoc? – W głosie Pełczyńskiego nie było jednak takiej pewności, jaka powinna tam się znaleźć, gdyby to rozwiązanie miało



jakiegokolwiek szanse na realizację. – Samolot przecież może zrzucić w pobliżu miejsca niefortunnego wodowania gumową łódź ratunkową.

– Czyli rozciągnąć dwie doby konania na kilkanaście dni? Po co? Lepiej nie mieć zapasu. Kilka minut potwornego strachu i śmierć na miejscu od uderzenia w wodę. Zero męki.

Tym razem Nuk spojrzała na Wyszyńską z pewnym podziwem. Owszem, tamta miała rację, ale to rozwiązanie dla weterana, który niejedno już przeżył i może spokojnie rozważyć, co lepsze. Nie dla Kai.

– Są jeszcze procedury awaryjne – podjął major. – To, że spadochron nie otworzył się od razu, nie oznacza, że nie da się go otworzyć powtórnie. A wysokości w bród. Może uda się niżej.

– Jeśli nawet spadochron się otworzy, ale dużo niżej, to i tak nie ma szansy, żeby skoczek doleciał do brzegu, prawda?

– Oj, zostawmy sprawy techniczne – do rozmowy włączył się Tomaszewski, chcąc zapobiec dalszym makabrycznym szczegółom. – Wrócimy do tych spraw na szkoleniu. Słyszałem, że można je bardzo przyspieszyć?

– Tak. Spadochrony są już zamówione w Polsce. Dotrą do nas najbliższym transportem. A cały tryb treningu wojsk powietrznodesantowych można pominąć, bo to naprawdę sprzęt typu „skocz i zapomnij”.

– Zapomnij o bożym świecie, bo już go nie zobaczysz – dodała Wyszyńska.

– Hej, Cholernico! – Tomaszewski postanowił ukrócić jej wybryki. – To chyba był twój pomysł, czyż nie?

– Tak, ale nie jestem zwolenniczką przedstawiania wszystkiego w cukierkowych barwach. To jest, psiakrew, strasznie niebezpieczne.

I tu Pełczyński zaskoczył ich wszystkich.

– Powiem tak. – Założył ręce na ramionach. – Jeśli wszystko zagra, to cały zrzut jest prostszy niż zjedzenie cukierka. A jeżeli coś nie wypali, to od razu mogiła.

Kai zerknęła na Nuk, a ta odruchowo na nią. Obie zaraz odwróciły wzrok.

– No co, dziewczyny – powiedziała sucho Wyszyńska. – To rosyjska ruletka. Tyle że z dużą liczbą pustych komór.

– A co to jest rosyjska ruletka? – zapytała Nuk.

– To takie coś, co pokazuje, czy jesteś twardą babą, czy mięknie ci pupcia, jak dojdzie co do czego. – Wyszyńska wyjęła z płóciennej torby swój wielki rewolwer, otworzyła bębenek i za pomocą wyrzutnika wywaliła naboje na podstawioną dłoń, a potem jeden z nich włożyła z powrotem do komory. Zatrzasnęła bęben, przyłożyła go do ramienia i pociągnęła w dół tak, że zaczął się obracać, brzęcząc. Podała broń kolbą do przodu. – No? Przyłóż lufę do głowy i pociągnij za spust. A my zobaczymy, czy masz szczęście i czy twarda jesteś. Prawdopodobieństwo, że pójdzie nie tak, jest jak jeden do sześciu.

– Przestańcie się wygłupiać – powiedział Tomaszewski.

Nuk wzięła rewolwer. Przez chwilę ważyła go w dłoni.

– Przestańcie!

Sierżant wycelowała w sufit.

– No ciekawe... i teraz pociągnąć? A to pokaże, czy mam szczęście?

Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, przyłożyła sobie lufę do skroni i pociągnęła za spust. Rozległ się metaliczny trzask. A Nuk poczuła zew jak na polu bitwy. Jakby walnęła naraz wszystkie narkotyki z imprezy u księżniczki Yari. Odetchnęła głęboko, czując, jak coś gorącego rozlewa się w jej wnętrzu.

– Mam jednak twardą dupę. – Oddała broń pani inżynier. – A ty?

Tak zaskoczyła wszystkich obecnych, że oniemieli w bezruchu. Oprócz samej Wyszyńskiej, która włożyła sobie lufę broni pionowo do ust i zdecydowanym ruchem pociągnęła za spust. Znowu rozległ się trzask, kiedy metal uderzał o metal. Kobieta spokojnie odłożyła broń na stół.

– Wolę strzelać sobie w usta, jakby co – powiedziała głosem, w którym nie było śladu drżenia. – Przy strzale w skroń podobno co trzeci przeżywa.

– Przestańcie się wygłupiać, głupie baby! – wrzasnął Tomaszewski i ruszył w ich stronę.

Popełnił zasadniczy błąd. Nie trzeba było iść w stronę dwóch mierzących się wzrokiem kobiet, ale w kierunku stołu. Nie docenił bowiem Kai.

Czarownica chwyciła leżący na blacie rewolwer i mierząc do obecnych, szybko wycofała się pod ścianę.

– Teraz ja!

– Nie! Zostaw to!

Oni najwyraźniej nie wiedzieli. No przecież nie mogli wiedzieć, bo i skąd? Nie mogli mieć zielonego pojęcia. Z całą, całkowitą pewnością nie domyślali się, że czarownica może wiedzieć, w której komorze jest nabój, używając swojego daru.

Wykorzystując zaskoczenie, Kai przyłożyła sobie lufę do czoła. Przycisnęła spust. Trzask! Przycisnęła jeszcze raz. Trzask! Tamci o mało nie narobili w gacie z wrażenia. Kai wycelowała teraz w sufit i nacisnęła cyngiel jeszcze raz.

Odgłos strzału wstrząsnął pomieszczeniem. Coś jakby tynk posypało się z góry.

Kai podeszła do Wyszyńskiej i oddała jej broń.

– No i co? Kto ma najtwardszą dupę w imperium?

– O kur... Ożeż!

– Chętnie zagram z tobą w ruletkę, kiedy znajdziesz chwilę.

Po tych słowach Kai Nuk zrozumiała, co miało miejsce. Domyśliła się, że czarownica użyła swojej mocy. Ale nawet nie drgnęła i nie dała po sobie niczego poznać. Była zresztą jedyną osobą w tym pomieszczeniu, która mogła mieć jakiegokolwiek podejrzenia. Tomaszewski włożył do ust papierosa trzęsącą się ręką. Pełczyński powtarzał pod nosem:

– A nie wierzyłem, kiedy mi mówili, że w wywiadzie marynarki są sami wariaci. Nie wierzyłem.

Na szczęście sytuacja nie zdążyła się rozwinąć w awanturę. Przerwało im walenie do drzwi.

– Kto to może być? – Tomaszewski zaciągnął się za głęboko i teraz usiłował zdusić kaszel.

– Jak tak walą, to nasi. – Wyszyńska ruszyła w stronę korytarza. – Zostawiłam w bazie adres, gdzie będę.

– Ja też zostawiłem – powiedział Pełczyński.

Usłyszeli odgłos otwieranych drzwi. Potem ściszone słowa, których z tej odległości nie dało się zrozumieć. Tłumaczenie czegoś nie trwało długo. Już po chwili drzwi trzasnęły ponownie, a na schodach prowadzących z sieni pojawiła się Wyszyńska.

– Coś takiego. Porucznik na posyłki! Pierwszy raz widzę, żeby oficer biegał z rozkazami.

– Coś aż tak ważnego? – zapytał Tomaszewski.

– Owszem. W Negger Bank doszło do zamachu stanu. Całe wojsko przechodzi w stan najwyższej gotowości. Wszyscy polscy cywile przechodzą na reżim wojskowy.



Miejscowy lekarz, który przybył na wezwanie pracowników konsulatu, uważnie obejrzał rany odniesione przez Randa podczas zamachu. Kręcił głową w podziw.

– Macie niebywałe szczęście, panie. Nóż, którym zadano rany, był tak tępy, że zbrodniarz raczej was nim bił, niż wbijał. Widzę tutaj liczne siniaki i ślady stłuczeń. Natomiast rany klute i cięte oceniam jako powierzchowne.

– No co też ty wygadujesz, głupcze!

Rand nie mógł długo obsobaczać medyka, bo ten zaczął oczyszczać rany i trzeba było skupić się na teatralnych jękach, okrzykach bólu i melodramatycznym wyciu w szczególnie trudnych momentach. Stojąca obok Aie miała sceptyczny wyraz twarzy, ale na przechodzących obok Polakach robiło to duże wrażenie. Kiedy lekarz skończył opatrywać rany, Rand rozsypał swoją pękatą sakiewkę i zadał pytanie:

– Jak oceniasz moje rany?

– Och, na szczęście są powierzchowne, panie. Będziesz żył. To naprawdę drobiazg.

Rand cofnął rękę z sakiewką.

– Zadam to samo pytanie raz jeszcze – powiedział. – Jak oceniasz moje rany?

Tym razem lekarz długo zastanawiał się nad odpowiedzią. Był jednak inteligentnym człowiekiem.

– Twoje rany są śmiertelne, panie. Tylko moja rychła pomoc uratowała cię od zgonu. A gdyby nóż napastnika wbił się o włos w prawo, prosto w wątrobę, to nie rozmawialibyśmy ze sobą w tej chwili.

– Dobra odpowiedź. – Rand nie bawił się w odliczanie pieniędzy. Wręczył tamtemu całą sakiewkę. – I pamiętaj, bo na pewno będą cię później pytać. Zawsze udzielaj tej samej, właściwej odpowiedzi.

– Tak, panie. Będzie, jak zechcesz, panie.

– Będzie zawsze zgodnie z prawdą!

– To właśnie chciałem powiedzieć, panie.

Tak nawiasem mówiąc, polski lekarz, który zobaczył Randa późnym wieczorem, postawił taką samą diagnozę. Więcej siniaków niż powierzchownych ran. Bardzo chwalił zresztą robotę miejscowego kolegi. Tylko dla porządku zdezynfekował wszystko jeszcze raz i zmienił opatrunek. Jediną różnicą był zastrzyk przeciwwężcowy i mała fiolka z tabletkami, które pacjent miał odtąd łykać.

– To tylko tak z ostrożności – powiedział. – Nie za bardzo pana poharatał.

Temu lekarzowi Rand nie płacił. Po pierwsze nie było potrzeby, po drugie i tak nikt go nigdy nie przesłucha w tej sprawie.

Tymczasem konsulat zamieniał się w twierdzę. Polacy potraktowali zamach na głowę sojuszniczego państwa bardzo poważnie. Nikt co prawda nie wybijał szyb i nie układał worków z piaskiem w otworach okiennych, jak chciał sam konsul. Nie było też cekaemów w oknach ani na parkingu, ale uzbrojeni marynarze, a potem żołnierze z bazy przypływali partiami, tworząc zręby improwizowanego oddziału szturmowego, który bardzo rozsądnie ukryto w piwnicach. Na otoczonym przez wojsko pasie startowym czekały w gotowości dwa wiatrakowce, które w każdej chwili mogły ewakuować najważniejsze osoby na lotniskowiec. Jeden z niszczycieli podpłynął tak blisko, jak to było możliwe. Nie mógł co prawda za bardzo udzielić jakiegokolwiek wsparcia ogniowego w ewentualnych starciach (może poza ogniem na wprost, ale chyba nikt nie chciał zniszczenia miasta ani strat wśród ludności cywilnej). Sam jednak groźny wygląd powinien działać odstrasżająco.

Wezwany ambasador przybył natychmiast i odtąd bez przerwy dotrzymywał towarzystwa cesarzowej. Biedna władczyni chciała zdjąć hełm i pozbyć się niewygodnej kamizelki, ale tu okazało się, że jest problem. Przepisy dyplomatyczne określające procedury postępowania w przypadku zagrożenia głowy państwa stwierdzały jednoznacznie, że należy bezwzględnie zaopatrzyć ją w kamizelkę kuloodporną i wielowarstwowy hełm saperski. Nikt więc nie chciał zaryzykować i pozwolić zdjąć tego wszystkiego, bo narażał się tym samym na postępowanie dyscyplinarne z powodu rażącego złamania jasnych i jednoznacznych przepisów.

W tym czasie Rand leżał nieruchomo na kozetce w ambulatorium i pogrązał się w myślach. Siedząca obok Aie nie zasypiała. Wiedziała, że kiedy proces myślowy dobiegnie końca, szef sam się odezwie.

– Co o tym myślisz?

Nagle pytanie jednak ją zaskoczyło.

– O czym?

– No o tym, że wyłem i jęczałem, kiedy mi lekarz czyścił rany.

Aie nie była przygotowana na taki obrót sprawy.

– Hm... – Wzruszyła ramionami. – Zawsze byłeś histerykiem i mimozą. Był czas przywyknąć.

– I mówisz mi to tak wprost?

– A kto ci ma powiedzieć? Jesteś dla mnie jak najbliższa rodzina. Nie mam nikogo na świecie, kto byłby mi bliski, oprócz ciebie. Kogo kocham, kogo szanuję, kto budzi mój podziw. Dlatego ja nie muszę ci powtarzać, że jesteś piękny i genialny. Mogę wprost: większego frustrata i histeryka w życiu nie widziałam.

– Jakoś nie mówiłaś mi takich rzeczy, gdy byliśmy na etapie porozumiewania się za pomocą tabliczki i rysika.

– Samym rysikiem trudno wyrazić poziom twojej hysterii po prostu.

– Ty jędz z ciętym językiem!

– Ktoś musi cię sprowadzać do świata zwykłych ludzi. Od czasu do czasu przynajmniej. – Aie chyba się rozsierdziła. – Czy wiesz, że jesteś bardziej dziewczyną niż chłopakiem? Emocjonalnie nosi cię od ściany do ściany i nigdy nie wiem, czy w danej chwili jesteś akurat w sobie zakochany z genialną wzajemnością, czy może jesteś sobą sfrustrowany do samych granic pogardy! Jak kobieta normalnie, raz tak, raz inaczej, a najczęściej obie rzeczy naraz, jednocześnie, w zgodzie obok siebie. To nienormalne po prostu.

– Ja jestem nienormalny? A czy wiesz, że ja już domyślam się, o co w tym wszystkim chodzi?

– Raczej wiem – westchnęła. – Ten twój przydługi wstęp czemuś ewidentnie służył.

Obraził się na nią i chciał przewrócić na drugi bok, żeby leżeć twarzą do ściany. Zapomniał jednak, że tam go bolało. Zamarł więc z grymasem krzywdy na twarzy. Aie wstała lekko i podeszła bliżej. Usiadła na skraju kozetki, uniosła Randowi głowę i położyła sobie na udach.

– Trochę lepiej?

Fuknął na nią, ale wiedziała, że długo nie wytrzyma. Będzie chciał jej opowiedzieć o swoich przemyśleniach.

– No, nie trzymaj mnie w niepewności – poprosiła. – Zaraz umrę z ciekawości i będziesz mnie miał na sumieniu.

Rand wziął to za dobrą monetę.

– Posłuchaj, czy możesz mi powiedzieć, co tak naprawdę się stało?

Aie wiedziała, że tego typu pytania należy potraktować poważnie.

– No... dokonano zamachu na cesarzową.

– Jesteś pewna?

– A jak mogę być niepewna? Strzelano do niej, zabito większość jej osobistych strażników, gdyby nie cud, szczęście i twoja szybka reakcja, to wszyscy byśmy już nie żyli.

– Opowiadasz mi o przypuszczeniach. A z faktów co mamy?

– No jak co? Strzelano do cesarzowej czy nie?

– A skąd wiesz, do kogo strzelec mierzy?

To pytanie dosłownie zmroziło Aie. Długo nie wiedziała, co odpowiedzieć. Lecz przyzwyczała się już, że umysł szefa chodzi własnymi drogami. Nigdy ubitym traktem.

– Co masz na myśli?

– Posłuchaj. – Przyciągnął głowę Aie za kark do siebie tak, że w tej chwili mógł szeptać wprost do jej ucha. – Wszyscy widzą to tak. Pierwszy zamachowiec zaatakował władczynię tuż przy urzędzie kurierskim. Potem, kiedy dzięki mnie udało jej się wywinąć, drugi zamach nastąpił w miejscu, gdzie wrogowie przygotowali zasadzkę, prawda?

– Tak.

– No ale my wiemy przecież, że pierwszy zamach, ten przy kurierach, był nieprawdziwy. Tam żadnego zamachu nie było.

– No tak.

– Ten debil, który miał mnie na niby zaatakować, po prostu się potknął i poleciał na cesarzową. I tylko dzięki temu i dzięki mojej indolencji wszyscy wierzą, że to był prawdziwy zamach na cesarzową, a ja, bohater ludowy, psiamać, zasłoniłem ją własnym ciałem.

– No dobrze, ale drugi zamach był prawdziwy.

– Nie na cesarzową.

– A na kogo?

– Na mnie! – wypalił Rand i zaczął się śmiać. – A czyje emblematy były na burtach powozu, do którego przez przypadek spowodowany przez panikę wsiadła cesarzowa? To były moje emblematy. Tym wozem

przyjechaliśmy na audiencję i tym wozem mieliśmy odjechać. Ale tylko ty i ja, prawda?

– O Bogowie!

Nie można było odmówić Randowi racji.

– Widzisz. Sfingowałem zamach na siebie, żeby zachwiać wiarą cesarzowej w służby specjalne. A oni zaplanowali zamach na mnie, żeby się mnie pozbyć. Definitywnie, tak, żeby był już ze mną spokój.

– Masz rację – potwierdziła zdecydowanie. – I tylko dlatego, że oba zamachy nastąpiły w koincydencji, my jeszcze żyjemy. Gdyby nie cesarzowa i jej strażnicy, dawno byłoby po nas.

– Ano. Nie spodziewali się, że w moim powozie będzie władca imperium, bo jakim cudem miałyby się tam znaleźć. No i wynajęte zbiry zaczęły strzelać. Siłą rzeczy także do cesarzowej. No i wrobili swoich mocodawców w straszne gówno! W najgorsze gówno na świecie!

Aie nie mogła wytrzymać i zaczęła chichotać.

– O kurwa mać! Ale mamy nieprawdopodobne szczęście!

– Tak. W głowie się nie mieści.

Rand miał rację. Nikt się nie spodziewał, że władczyni będzie w jego powozie. A znalazła się tam tylko z powodu pierwszego, sfingowanego zamachu. Prości mordercy, którzy przeprowadzali prawdziwy zamach, strzelali do wszystkich, którzy znajdowali się w pojeździe. A pasażerom śmierci udało się uniknąć tylko z powodu strażników cesarskich, których liczba i działania musiały zaskoczyć zamachowców. Dlatego wszystko im się posypało. To nie miała być uliczna bitwa. To miała być prosta egzekucja.

No tak. Zwykli wykonawcy rozkazów, jak wynajęci bandyci, na pewno już nie żyli. A w sztabie, który zaplanował akcję, jest teraz panika. I to jaka! Nie spodziewali się, że będą „dwa” zamachy. Nie mogli przypuszczać, kogo w rezultacie komedii pomyłek będą one dotyczyły. Wszystko im poszło nie tak. A to trzeba natychmiast wykorzystać.

– Zawołaj tu kogoś.

Aie ostrożnie zdjęła głowę Randa z ud. Niepotrzebnie tak się cackała. Rand teraz, kiedy już rozpałała go energia nowego pomysłu, sam zerwał się na równe nogi.

– Wezwij szefa wywiadu!

– A myślisz, że taka szucha jest w tym budynku?



– Operacyjnego szefa. Na pewno już tu jest.

Aie umknęła na korytarz. Nie wiadomo, czy to znowu szczęście, czy jej talent zjednywania sobie ludzi swoim wyglądem ślicznej, niewinnej dziewczynki, w każdym razie błyskawicznie zawołano kogo trzeba.

Izaak Rosenblum stanął w drzwiach w krótkim czasie po tym, jak Aie nimi wyszła.

– Rand, przyjacielu, słyszałem, że zostałeś bohaterem, a przy okazji nie odniosłeś zbyt ciężkich ran.

Komandor uściśnął chorego, niezbyt przejmując się jego cierpieniem. Najwyraźniej już wiedział, jak wygląda jego „obiektywny stan zdrowia”.

– Ano, rozsądni tak mają.

– Jakże się cieszę, że cię widzę.

– Ja również odczuwam wielką przyjemność. Tym bardziej że moje akcje na dworze wzrosną niewspółmiernie, co na pewno ucieszy ciebie jako sojusznika.

Rosenblum skwapliwie przytaknął. Był w doskonałym humorze.

– W takim razie pomóż mi trochę, bo jako konający sługa cesarzowej chcę jeszcze przed śmiercią udzielić jej kilku rad.

– Kiedy?

– Już. Zaraz. Żeby nie zdążyła narobić jakichś głupot.

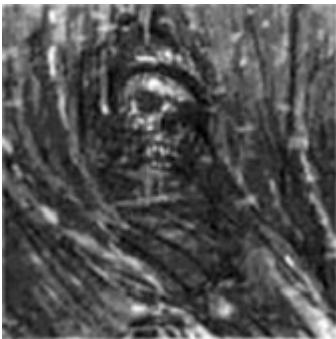
– Ach, jasne. Zatem chodźmy. – Rosenblum otworzył drzwi.

– „Konający sługa”, powiedziałem. Konający. I jako taki nie mogę przecież iść korytarzem.

– A, rozumiem. – Rosenblum wziął Randa za rękę, przerzucił ją sobie przez kark i prawie zaczął nieść swojego kolegę. Z trudem wydostali się na korytarz, ale coś jeszcze nie pasowało. – Spróbuj kuśtykać bardziej przekonująco. Przecież umierasz.



## Rozdział 5



Szymkiewicz wbił czekan i zabezpieczył swoją pozycję.

– Odpoczynek! – głos ledwie wydobywał mu się z gardła.

Nazgajowi zostało jeszcze kilka metrów. Śmieszne. Kilka metrów, ale posuwający się do przodu w ślimaczym tempie człowiek potrzebował na przebycie tego dystansu bardzo długiego czasu. Na tej wysokości nie miał już czym oddychać. Szymkiewicz wyjął butlę z tlenem, ostrożnie odkręcił zawór reduktora i wziął głęboki wdech. Długo przetrzymywał cenny gaz w płucach. A przynajmniej usiłował. Butla była wykonana ze stali. Dużo takich na wspinaczkę ze sobą nie weźmiesz.

Nazgaj dotarł do niego nareszcie. Łapczywie chwycił ustnik tlenowy.

– Dalej już nie zajdziemy – wysapał. – Nie dam rady.

– Jeszcze za tę grań. – Szymkiewicz wskazał ręką kierunek.

– Nie dam rady.

– Dasz. Stamtąd będzie widok na rozległą przestrzeń powyżej. Jeśli niczego nie uda się dostrzec przez lornetkę, to schodzimy.

– Szlag by cię trafił! Muszę odpocząć.

– To odpoczywaj.

Nie można powiedzieć, żeby się lubili. Oczywiście nie mieli też nic przeciwko sobie, nie. Po prostu nie dobrali się sami jako członkowie wyprawy wspinaczkowej. Ktoś zrobił to za nich i nie był to szczęśliwy dobór.

Poznali się dopiero na statku płynącym z Polski. Ten, kto dokonywał selekcji alpinistów, nie dbał o wcześniejsze kontakty. Ważne było, żeby każdy zwerbowany człowiek nie miał rodziny, nie był związany blisko z żadnym ze środowisk, nie udzielał się za bardzo towarzysko. Chodziło o to, żeby nikt się o nich nie upominał. No i organizatorzy otrzymali w ten sposób zbiór samotników, indywidualistów niechętnie nastawionych do jakiegokolwiek współpracy. Co gorsza, z nadmiernie przerośniętym ego. W takiej grupie o konflikty nietrudno. Ale najważniejsza była tajemnica. Już na wstępie wojsko zapowiedziało im, że prędko do ojczyzny nie wrócą. Szybko okazało się dlaczego.

Sam fakt, że Polska posiada własne tajne przejście morskie przez Góry Pierścienia, początkowo nastroił ich pozytywnie. Poczuli smak przygody, smak tajemnicy i tropików, luksusowego życia w łonie obcej, niezwyklej cywilizacji. Wszystko tutaj było niesamowite. Wszystko wspaniałe. Zmienili zdanie, kiedy powiedziano im, że mają wsiąść na wielki jacht oceaniczny i pożeglować z powrotem do Gór Pierścienia. Ich zadaniem miała być wspinaczka, tyle że po drugiej stronie. Ich zleceniodawca, czyli marynarka wojenna, zdobył listę miejsc, skąd przed wiekami wyruszały zakonne wyprawy mające sforsować góry i przejść do ich świata. Przed tysiącem lat. Przytłaczającej większości grup oczywiście się nie udało. A zadaniem dzisiejszych alpinistów było teraz odnalezienie zwłok i odzyskanie starych dokumentów. Trud zaiste bezsensowny. Dla wszystkich jasne było, że zarówno zwłoki, jak i dokumenty w stanie nienaruszonym przetrwały nawet i tysiąc lat. Nic niezwykłego. Jednakowoż czy trupy leżą w miejscach łatwo dostępnych, było już pytaniem, na które wypadało odruchowo odpowiedzieć przecząco. Śnieg, lód i wiatr nie sprzyjały cmentarnemu spokojowi. Ciały mogły być zasypane, pogrzebane pod tonami zmarzliny, a dokumenty przeniesione przez wiatr do niedostępnych rozpadlin. Tego uczyło doświadczenie z gór, które znali. Po tej stronie jednak podobno było trochę inaczej. Specjaliści twierdzili, że szanse odnalezienia śladów wypraw sprzed tysiąca lat są całkiem spore. No nic. Czas pokaże, kto miał rację.

Na razie nic nie wskazywało na możliwość odniesienia sukcesu. To była druga ich ekspedycja śladami zakonnych poprzedników. I dopiero zbierając doświadczenie na trasie, zrozumieli, na jak szaleńczy plan się zdecydowali. Owszem, znali miejsca, skąd zakonne wyprawy startowały. Znali też, choć

mniej więcej, opis wędrowki, którą pokonywali dawni wspinacze, zanim zniknęli obserwatorom z oczu. Ale potem? Którą z możliwych tras wybrali? Szaleństwo!

– Już? Możemy iść dalej?

Nazgaj skinął głową.

– Ale tylko do grani – wychrypiał. – Dalej nie ma sensu.

– Zobaczymy, co za granią, i tam zadecydujemy.

– To głupota. Tlen nam się kończy.

Szymkiewicz uśmiechnął się kpiąco. Wiedział, że zza bawełnianej opaski zakrywającej twarz nic nie będzie widać. A wyraźnie cieszył go fakt, że jest w dużo lepszej kondycji niż kolega.

– Czas się zbierać. Nieboszczyki już się niecierpliwia.

– Przecież ich nie znajdziemy. Daj spokój.

Szymkiewicz wstał ociężale ze skały.

– Idziemy.

– Coś ci wypadło z kieszeni.

Akurat. Nie da się nabrać na tak stary numer. Wszystkie kieszenie miał prawidłowo zabezpieczone.

– No zaczekaj. Coś ci wypadło.

Nie. Nie obejrzy się. Nie ma głupich.

– To lina!

Nazgaj musiał zdjąć wierzchnią, grubą rękawicę, żeby móc podnieść swoje znalezisko.

– O rany boskie! To lina!

Szymkiewicz odwrócił się błyskawicznie. To, co trzymał w dłoni kolega, nie przypominało niczego, co mieli ze sobą. I rzeczywiście, to fragment liny. Ale z takim głównem nikt o zdrowych zmysłach nie wybrałby się w góry.

– To jakiś prymitywny splot.

– Przetarta.

– No! Ktoś tu odpadł. – Nazgaj odwrócił się niezgrabnie i spojrzał w dół. – Zwłoki powinny być poniżej.

– Bzdura. Pamiętasz, co nam mówili na szkoleniu o wspinaczach Zakonu? Jak stracili jednego, to ruszali dalej. I są nad granią!

– Dlaczego akurat nad granią? – Nazgaj ciągle patrzył w dół. – Powinniśmy zejść i znaleźć tego, co odpadł.

– Nie. Pamiętani szkolenie, ale to, co przeżyłem, mówi mi coś jeszcze.

– Co?

– Zakonna ideologia wymarza w mózgu na tej wysokości. Dusi się z braku tlenu. A to byli tylko ludzie stanowiący zespół.

– I co z tego?

– Kiedy stracili jednego ze swoich, stracili też ducha. Obowiązek kazał im iść dalej. Ale założyłem się o wszystko, że daleko nie uszli. Tkwią tam zamarznięci tuż nad granią, bo to był ich ostatni wysiłek.

Argumentacja Szymkiewicza musiała chyba trafić do Nazgaja. On przecież też niejedno przeżył podczas wspinaczki w zespole. Utrata ducha. Znał to uczucie aż za dobrze.

– Możesz mieć rację – wyszeptał.

– Na pewno mam. Oni czekają na nas tuż za granią.

Szymkiewicz odwrócił się, czując, że podekscytowanie przywraca mu siły. Cel był tak blisko. Początkowo nawet udawało im się posuwać do góry tak, jakby byli na zupełnie innej wysokości. Krótco jednak. Warunki tu panujące wysysały siły szybko. Niemniej teraz już prawie nie ustawiali.

Grań osiągnęli w przyzwoitym, jak na stan, w którym się znajdowali, czasie. Jedyne ratunkiem teraz pozostały butle z tlenem. Każdy wdech przypominał łyk nowego życia. Jeszcze i jeszcze. Trudno, przestali kalkulować, na ile im wystarczy. A poza tym teraz już będą schodzić. Jeszcze tylko jeden wysiłek.

Pierwszy przedostał się przez grań Szymkiewicz.

– Są! Widzę ich!

Tym okrzykiem wprowadził w ruch odstającego Nazgaja. Pomógł mu przy ostatnim skalnym występie.

– Tam! Widzisz?

Następny łyk tlenu i ostatkiem sił ruszyli do przodu. W kierunku dwóch skulonych pod kamiennym nawisem postaci. Dotarli do prymitywnej kryjówki, dysząc w tlenowe maski. Jak tamci bez nowoczesnych środków technicznych w ogóle zdołali dotrzeć aż tutaj? Zwłoki dwóch przytulonych do siebie ludzi nie mogły odpowiedzieć.

Szymkiewicz wyjął nóż, żeby odciąć torbę, którą jeden z nich miał ciągle na ramieniu. Druga torba leżała między ciałami. Nazgaj szybko, na tyle, na ile mógł, przeszukiwał przemarznięte ubrania. Nie mieli czasu,

żeby się tu guzdrać. Obaj wiedzieli, że jeśli chcą przeżyć, muszą zaraz zacząć wracać.

– Obaj mają pasy. Nie sposób odpiąć.

– To odetnij nożem.

– Za gruba skóra. Nie dam rady.

Szymkiewicz przysunął się bliżej. Usiłował rozciąć jeden z pasów, ale rzeczywiście niczego nie osiągnął. Na szczęście ich noże były specjalnie przystosowane do radzenia sobie z różnymi materiałami na mrozie. Ktoś wiedział, że u celu będą mieli bardzo mało czasu. Udało się więc rozciąć szwy paska. Nazgaj sięgnął do środka.

Diamenty! Naprawdę tam były diamenty! Ostrożnie zaczął przesywać je do specjalnego woreczka z irchy. Szymkiewicz w tym czasie zbierał wszystkie dokumenty, mapy, szkice i notatki. Nie było tego wiele, ale natrafił na coś, co mogło być książką szyfrów. Przerzucał cały łup do swojego plecaka. Bezcenne znaleziska.

Nazgaj powoli radził sobie z drugim pasem. Skostniałe dłonie nie pomagały przy precyzyjnej pracy. I te cholerne kamyki, które trzeba było wysupływać jeden po drugim.

– No, to by było tyle. – Szymkiewicz odwrócił się i przysiadł na chwilę obok zwłok. – Przynajmniej jeśli chodzi o mnie.

– Musimy wracać.

– Nie inaczej.

Patrzył, jak kolega też kończy swoją robotę. Obaj czuli to samo. Jakoś głupio było tak wstać teraz i odejść, obrabowawszy przedtem martwych wspinaczy. A o jakimkolwiek, choćby najbardziej symbolicznym pogrzebie nie mogło być mowy. Nazgaj zdjął swoją odznakę wysokogórską i przypiął jednemu z zakonników.

– Pieprzyć ideologię. Ale to od kolegi dla kolegi.

– Z szacunkiem – dodał Szymkiewicz, podnosząc się ociężale.

Zamierzał ruszyć w dół, Nazgaj powstrzymał go jeszcze.

– Zdejmij rękawicę.

– Co?

– No zdejmij rękawicę. Tę grubą.

Szymkiewicz był wrogiem wszelkich symbolicznych gestów i pseudopoetyckich przedstawień dla nadwrażliwców. Tamtemu najwyraźniej jednak nie chodziło o żadne oddawanie czci.

– Nastaw dłón.

– Co?

Nazgaj wyjął z irchowego woreczka niewielką garść kamieni i zaczął dzielić.





- Jeden dla ciebie, jeden dla mnie...
- Zwariowałeś?
- A co? Był jakiś protokół, ileśmy tego znaleźli?
- Chyba ci odpierdoliło!

– Tak? To sobie pomyśl, ile lat jeszcze w tajemnicy będą nas tu trzymać. Pomyśl, ile jeszcze wspinaczek przed nami. Oczywiście można sobie wmawiać, że to wczasy w tropikach na jachcie połączone z uprawianiem ulubionego sportu. Ale przecież nie pracujemy i nie zarabiamy. Więc lepiej obliczyć, ile ci potem marynarka emerytury wypłaci za te lata. Co?

Szymkiewicz posłusznie podstawił wyciągniętą dłoń.

- Jeden dla ciebie, jeden dla mnie, jeden dla ciebie, jeden dla mnie...



Sytuacja musiała być naprawdę wyjątkowa, bo porucznika w roli oficera dyżurnego przy wejściu specjalnym bazy zastąpił pułkownik.

Pełczyński nie wchodził z nimi, musiał się zameldować w swojej jednostce. Tomaszewski przyprowadził więc tylko Kai, Nuk i Wyszyńską.

– Melduje się komandor porucznik Krzysztof Tomaszewski plus trzy idiotki! – zaraportował.

Oficer za biurkiem zdębiał.

– Słucham? – Nie wiedział, jak zareagować na tak nieregularny meldunek. Owszem, „sierżant plus trzech” to by było według regulaminu, ale nie usłyszane od kogoś tej rangi. Facet z marynarki wojennej najwyraźniej sobie kpił.

– Komandor Tomaszewski plus trzy idiotki! – rozległo się jednak ponownie.

No dobrze. Skoro tak, pułkownik postanowił podjąć grę.

– A dlaczego idiotki? – zapytał uprzejmie.

– Trudno to sobie wyobrazić, ale one zaczęły dzisiejszy ranek od strzelania do siebie.

– A o co się pokłóciły? – cierpliwie indagował pułkownik.

– Najśmieszniejsze, że o nic. W dodatku każda strzelała do samej siebie.

– O Jezusie... – Oficer dyżurny w niebotycznym zdziwieniu popatrzył na trzy kobiety. – Każda sama strzelała do siebie i żadna nie trafiła?!

Tomaszewski wzruszył ramionami.

– Sam pan widzi, z kim mamy do czynienia.

Wyszyńska nie wytrzymała.

– Dobrze się bawisz, Krzysiu? – A potem przeniosła wzrok na pułkownika. – A poza tym ja strzelałam do siebie tylko raz. A ona – wskazała Kai – dwa razy!

Czarownica uśmiechnęła się przepraszająco, rozkładając ręce.

– Bo nikt mnie nie uczył strzelać. Ale że Nuk jeszcze żyje, to naprawdę cud.

Pułkownik zamarł za biurkiem, patrząc bezmyślnie na wyjściowy mundur Kai. Nie bardzo mógł sobie wyobrazić oficera Wojska Polskiego, który strzela do siebie dwa razy i ciągle żyje. Otrząsnął się jednak, kazał sierżantowi przy maszynie zapisać nazwiska i rozdał im koperty alarmowe. Na Tomaszewskiego i Wyszyńską czekała też korespondencja specjalna.

Przeszli do pustego o tej porze i w tej sytuacji baru.

– Powinniśmy to chyba przeczytać na osobności? – Wyszyńska podniosła do góry swoją kopertę. – Nie znam przepisów marynarki w tej kwestii.

– Ja też nie mam pojęcia, gdzie czytać. – Tomaszewski odsunął krzesła kobietom, a potem sam usiadł przy stoliku. – W każdym razie chyba nie należy czytać głośno ani sylabizować, przesuwając po literach palcem. To chyba dlatego, że dowództwu wstyd z powodu szerzącego się w korpusie oficerskim analfabetyzmu.

– Ale ci się dowcip wyostrzył od rana – Wyszyńska musiała się odciąć. – Kac ci wyraźnie służy.

Tomaszewski bez słowa rozerwał swoją kopertę, wydając odręczny list od Rosenbluma. Szybko przebiegł go wzrokiem.

*Krzysiek,*

*sytuacja jest kuriozalna i absolutnie wyjątkowa, a to stwarza nieprawdopodobne wręcz możliwości. Nie wiadomo, jak to się rozwinie, trzymam więc wszystkie palce wetknięte gdzie trzeba. Ale z tego, co już zdołałem się dowiedzieć, aż tak brutalnej ingerencji w układ władzy w historii cesarstwa jeszcze nie było. Zdarzyć się zatem może wszystko. Nie wiemy też, co z układem sił i przede wszystkim co z naszym sojuszem.*

*I w związku z tym musimy być w pełni zabezpieczeni przed jakąkolwiek siłą mogącą się pojawić z zewnątrz. Sprawa Anglosasów na innym kontynencie zyskała absolutny priorytet. Szybkie rozpoznanie sytuacji to cel numer jeden na najbliższe dni. Krzysiek, porzuć wszystkie swoje zadania i skoncentruj się na szkoleniu dziewczyn. Skróć je dramatycznie, do absolutnie niezbędnego minimum. Musimy mieć choć wstępny ogląd sytuacji. Musimy wiedzieć, czym oni dysponują.*

*Ja ze swojej strony stanę na głowie, żeby potrzebne do przeprowadzenia akcji spadochrony i cały sprzęt dotarły tutaj najbliższym samolotem. Ty dopnij resztę. Dziewczyny muszą polecieć w ciągu dziesięciu dni. A jeśli się uda, to szybciej.*

*Pozdrawiam, Izaak*

*PS W załączeniu kopia notatki skierowanej do Wentzla.*

Tomaszewski uniósł wzrok znad kartki. Wyszyńska była zatopiona w lekturze swojego listu, zwrócił się więc do Kai i Nuk.

– Dziewczyny, musicie wyruszyć najpóźniej w ciągu dziesięciu dni – powiedział z obawą, jak przyjmą tę wiadomość.

Nuk pozostała obojętna, wyraz jej twarzy nie zmienił się ani na jotę. Mogła to być oznaka tego, że jest twarda i nic nie robi na niej wrażenia, albo też tego, że imprezowała od dwóch dób i nie jest w stanie odróżnić rozkazu wysłania jej na urlop od wysyłającego ją na śmierć.

Ciekawa była reakcja Kai. W pierwszej chwili czarownica nawet jakby się uśmiechnęła. Potem zerknęła na Wyszyńską i wyraźnie się zasępiła. Chyba jednak nie myślała przy tym o niebezpieczeństwach wyprawy. Jej umysł zdawał się zajęty zupełnie inną kwestią.

– Potrafisz nauczyć się w kilka dni po angielsku? – zapytał ją wprost Tomaszewski.

– Tak. Jeśli otoczysz mnie ludźmi mówiącymi w tym języku, książkami, podpisanymi zdjęciami i tak dalej.

Skinął głową.

– A ją nauczysz? – Zerknął na Nuk, tkwiącą na krześle niczym posąg wykuty w marmurze.

– Tyle o ile. Ale raczej tak.

– Niczego mnie nie nauczycie – Nuk dowiodła, że jednak nie jest posągiem. Żyje i czasem nawet mówi.

Tomaszewski uśmiechnął się ciepło.

– Wiesz, ludzie, którzy przybywają tu z Polski i słyszą wasz język, mówią, że łatwiej opanować sztukę śpiewania po węgiersku. A mnie Kai olśniła w kilka chwil dosłownie.

– Nie olśniła, tylko pomogła się nauczyć – poprawiła go Kai. – Z Nuk będzie dużo trudniej, ponieważ ty masz doświadczenie z innymi językami, osłuchałeś się, posługiwałeś się już jakimiś, a ona nie. Ale zrobię, co w mojej mocy.

– Dobra. – Tomaszewski skinął na barmana. – Czy mógłby pan zawiadomić majora Pełczyńskiego, żeby tu przyszedł?

– Mógłbym przekazać wiadomość do jego jednostki.

– Świetnie. To wystarczy.

Barman wziął do ręki kartkę i ołówek.

– Co mam napisać?

– Spadochrony powinny przylecieć najbliższym samolotem. Zaczynamy natychmiast.

– Tylko tyle?

Tomaszewski przytaknął. Podniósł do oczu drugą kartkę, która znajdowała się w jego kopercie. Była to kopia depeszy do sztabu wywiadu marynarki, wysłanej z jachtu obsługującego wyprawę wspinaczkową w Góry Pierścienia.

*Do: Sz. Gen. W. M. d/w Wentzel, adm. Wyprawa 2c operująca w kwadracie B.O.R.G. mapy zasadniczej 23338 w dniu wczorajszym osiągnęła założony cel taktyczny. Odkryto zwłoki dwóch członków zakonnej wyprawy wysokogórskiej. Stan zachowania ciał: bardzo dobry. W trakcie przeszukania ujawniono dokumenty, notatki i prawdopodobnie książkę szyfrów. Stan zachowania papierów: dobry, umożliwiający poddanie ich analizie i kopiowaniu. W/w materiały gotowe są do przekazania do sekcji dekryptażu. Nastąpi to w chwili zapewnienia możliwości odpowiedniego transportu.*

*Adamczewski, por. w/m*

Boże, co za żargon! Czy pan porucznik nie mógł napisać wprost, że chce łódź latającą, jeśli pilnie ma przekazać dokumenty? Tomaszewski miał wrażenie, że wojsko dosłownie pierze podatne na ten zabieg mózgi.

– Co tam? – Wyszyńska również podniosła wzrok znad swojego pisma.  
– Sposepniałeś czy tylko mi się zdaje?

– Mamy ich – nie odpowiedział wprost na pytanie. – Znaleźliśmy antycznych alpinistów... tfu! „pierścienistów”? W każdym razie mamy zwłoki starożytnych wspinaczy. Mamy ich papiery i instrukcje.

Wyszyńska zaczęła się śmiać.

– Dokładnie tak, jak przewidziałeś. Ożeż! To wypaliło!

– No. Co prawda niewiele nam daje. Mamy instrukcje sprzed tysiąca lat.

– Dużo nam to da. Zobaczysz.

Tomaszewski cmoknął cicho.

– No, zobaczymy za jakiś czas.

– Już teraz – Wyszyńska podniosła do góry swoją kartkę – ktoś najwyraźniej zaniepokoił się wynikami, które przyniosła realizacja twoich pomysłów. Przestraszył się albo zaciekawiał. Ewentualnie chce bardzo poznać efekty.

Tomaszewski uniósł dłonie w takim geście, jakby chciał ją powstrzymać.

– Sekundę, sekundę... – Uśmiechnął się uprzejmie. – Powiedz mi najpierw, któż jeszcze zna treść depešy, którą ja dostałem w zalakowanej kopercie, musząc kwitować jej odbiór.

Wyszyńska perfidnie sparodiowała jego uśmiech i styl mówienia.

– Kto? Kto? – Wyraźnie miała talent aktorski. – Domyśl się, któż mógłby być aż tak władny.

– Anglosaskie wtyczki?

– Dwójka z logiki! Jeśli to ktoś z nich jest potomkiem zakonników, którzy przeszli przez góry, to co by go interesowały znalezione przy zwłokach materiały?

– Nie, nie, masz rację. – Tomaszewski zrozumiał, że wyrwał się z głupotą. – Taki gość ma przecież własne materiały odziedziczone po przodkach. Czy chodzi więc o twoich...

Zawiesił głos, kiedy położyła sobie palec na ustach.

– Mówiłeś kiedyś, że admirał Ossendowski ci nie wierzy. Że zakazał ci „wierzyć w czary”, wręcz ostrzegał cię, że twoja kariera legnie w gruzach, jeśli będziesz opowiadał o takich rzeczach. Poza Wentzlem, który jest twoim wujem, zasadniczo nikt ci nie wierzy do końca. Czarów nie ma, Zakon zlikwidowała Achaja wieki temu, nie mnożmy bytów ponad potrzebę.

– A nie jest tak? Gdyby nie ty, Ossendowski nie posłałby do Banxi nawet krążownika. Gdyby nie Wentzel, nie ruszyłyby nasze wyprawy wysokogórskie.

Wyszyńska westchnęła ciężko.

– Wiem, jak się czuje człowiek, któremu nikt nie wierzy – szepnęła. Ciekawe, czy miała na myśli swoje przeżycia w stancy na Kresach? – Ale powiem ci jedno. Niestety.

– Co? I dlaczego „niestety”?

Rozłożyła ręce.

– Niestety, jest ktoś, kto ci wierzy. I ten ktoś albo się przestraszył, albo zamierza komuś nakopać do dupy!

– Kto to jest?

Wyszyńska podniosła wyżej swój list.

– Otrzymałam wiadomość, że do Negger Bank przyjeżdża osobiście bardzo ważny pan dyrektor z firmy „Kocyan i wspólnicy”. Oficjalnie, żeby sprawdzić efekty stosowania eksperymentalnych leków tutaj.

– Za wysoka szyszka do takich spraw.

– Prawda? Czyjeś tyłki w dużej liczbie zostaną oddzielone od stołków, mniemam. To zależy od stopnia jego wkurwienia. Może zamiast oddzielania tyłków od foteli zająć się też separacją głów od szyj.

Tomaszewski niespokojnie rozejrzał się wokół. Nuk odlatywała zupełnie, robiła się coraz mniej przytomna. Kai walczyła z kacem i też szybowała gdzieś daleko. Barman zdawał się drzemać.

– Nie wiem, co się stanie i o co mu chodzi – ciągnęła Wyszyńska. – Za mała jestem w hierarchii, żeby mnie informowano. Zwykły inżynier stoczni, przypadkiem rzucony w wir wydarzeń.

No ciekawe. Zwykły inżynier i radzi sobie aż tak dobrze? Kto tu kogo zwodził? A może ten dyrektor przyjedzie tutaj ją nagrodzić? A może kogoś jeszcze? Nie. Czytał dokładnie kroniki dawnego Arkach. Tam każda księżniczka odpowiedzialna za jakąś dziedzinę funkcjonowania państwa od

czasu do czasu dawała dupy. W sensie zawalenia roboty. I on wiedział, czego się najbardziej wtedy bały. Nie wezwania do stolicy, nie rozkazu stawienia się przed obliczem władcy. One najbardziej bały się, kiedy królowa przyjeżdżała do nich sama. Bo wtedy było jasne, że ktoś straci życie.

– No nic. Pozostaje poczekać i sprawdzić, o co mu chodzi.

Wzruszyła ramionami.

– Możemy się nie dowiedzieć. Wiesz, ja chyba nauczyłam się patrzeć na wszystko z dużą dozą relatywizmu.

– Co przez to rozumiesz?

– Choćby popatrzenie na to, co stało się dziś rano. Postronny obserwator powiedziałyby, że trzy idiotki w głupiej zabawie zdecydowały się na potworne ryzyko. A tymczasem ryzykowała jedynie Nuk. Dla mnie strzał w głowę byłby po prostu powrotem do domu. A Kai dokładnie wiedziała, w której komorze jest nabój. Tak to teraz widzę.

Uśmiechnął się.

– Masz rację. Wszystko jest względne.

I ciekawe, co o względności będzie myślał facet, który ma tu przyjechać. Człowiek, który jednym telefonem był w stanie przesunąć na mapie zespół okrętów z krążownikiem na czele.



Pomieszczenie radiostacji było chyba najbardziej przytulnym miejscem w całej świątyni w Banxi. A przynajmniej tak się mogło wydawać, bo było to jedyne miejsce, gdzie docierały wieści z całego świata i przy pewnej dozie wyobraźni udawało się mamić ułudą, że się w tych wydarzeniach uczestniczy.

Siwecki gościł tu codziennie. Wysyłał swoje raporty, zadawał pytania różnym służbom, otrzymywał odpowiedzi. Dzięki temu może choć trochę nuda „zesłania”, jak wszyscy nazywali swój pobyt tutaj, stawała się o włos mniej dotkliwa.

Tym razem w ciasnym pomieszczeniu zastał Baranowskiego, który kończył właśnie dyktować coś radiotelegrafiście. Na jego widok major odłożył notatki i podniósł się z improwizowanego siedziska przy stanowisku nadawania.



– Dobrze, że pan przyszedł – powiedział z uśmiechem. – Czas na przerwę. Za długo już tu siedzę.

– Nie będę przeszkadzał. Proszę skończyć.

Baranowski wyjął z kieszeni swoją papierośnicę i poczęstował Siweckiego.

– Nie ma pan dzisiaj nic pilnego?

– A czy w ogóle stąd mogą wychodzić jakiegokolwiek pilne wiadomości?

– Siwecki zaciągnął się dymem.

– No fakt. Ma pan rację.

– Gnijemy za życia w tym Banxi.

– Oj tak, oj tak – zgodził się szybko Baranowski. – A tymczasem w Negger Bank nastąpiła próba przewrotu. Był ponoć zamach na cesarzową.

– Dopiero?

Major spojrział na lekarza lekko zdziwiony.

– Jak to dopiero? – zapytał.

– No bo liczę tak: Tomaszewski wrócił do miasta, znając go, od razu zaczął imprezować. Pewnie wypił za dużo i z nudów na kacu wymyślił zamach.

Baranowski dopiero teraz zrozumiał, że to dowcip. Uśmiechnął się z lekkim zażenowaniem.

– On bardzo pana ceni – ciągnął niezrażony Siwecki. – Jest pan chyba jedynym facetem, który ma u niego takie poważanie.

– Z powodu wyścigu do świątyni?

– Nie z powodu wyścigu. Z powodu wyniku tego wyścigu.

Zaczęli się śmiać.

– Jeśli ma pan coś pilnego do nadania, to bardzo proszę. Ja naprawdę mogę zrobić dłuższą przerwę.

– Mam tylko wiadomość o śmierci tego ślepego podróżnika. A wieści o czymś zgonie nie są nigdy niczym pilnym.

– A powiedział przynajmniej, jak dotrzeć do tej mistycznej świątyni w okolicach bieguna?

Siwecki strzepnął popiół z papierosa, zaciągnął się i wydmuchnął dym.

– Wie pan, oślepiłi go, więc na mapie niczego mi nie pokazał. Ale dziwna sprawa, można przecież słowami opisać krainy, w których się było. A w tym, co mówił, kryło się coś dziwnego. Czasami odnosiłem wrażenie,

że trafienie do krainy przy biegunie wcale nie wymaga posiadania oczu. Opisywał jakieś dziwne stany.

– I przekazuje pan to do sztabu?

– To też. Sztab planuje wyprawę zwiadowczą, więc ostatnio przekazuję głównie wiadomości o kraju na innym kontynencie, gdzie zwiad ma wylądować. Muszę przekazać każdy szczegół, o którym powiedział mi podróżnik, choćby i w malignie.

– Będzie zwiad? Liczny? – zainteresował się Baranowski.

– Polecą dwie dziewczyny, miejscowe, które pan zna.

Widząc zainteresowanie majora, dodał:

– Kai i Nuk.

– O tak. Nuk jest właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. Ta młoda baba naprawdę może sobie wszędzie poradzić. Ale Kai to ciepła klucha, moim skromnym zdaniem.

– To czarownica.

Baranowski zaczął się śmiać.

– Wy, marynarze, nie dość, że jesteście przesądni, to ostatnio jakoś stajecie się jeszcze coraz bardziej mistyczni. Nieprawdaż?

– W Sait zabiła jednego z najgroźniejszych zwiadowców, którzy kierowali atakiem na port, czarownicę dzikusów.

Baranowski uklonił się lekko.

– Czarownica czarownicę. Czarami, jak rozumiem?

– Nie. Serią z pistoletu maszynowego.

– No proszę, nawet starożytni magowie zaczynają się cywilizować. – Baranowski nie mógł zrezygnować z kpiącego stylu mówienia, jeśli chodziło o sprawy, jak to określał, nadprzyrodzone. – Tylko ten nasz – pewnie myślał o Meredicie – jeździ całymi dniami konno po tej świątyni i gusła odprawia.

Siwecki skinął głową.

– Tak się przywiązał do swojego perszerona, że nie chce go zostawić. No fakt, że teraz trudno go z koniem ewakuować. Na krążownik nie da rady, a drogą przez las samemu niebezpiecznie.

– Droga niedługo będzie – powiedział Baranowski. – Właśnie o tym rozmawiałem. – Wskazał radiostację. – Nie da się przecież zaopatrywać naszych oddziałów w nieskończoność z powietrza.

To fakt, że gonili resztkami. Dzięki zrzutom jedynie amunicji mieli w bród, bo na bieżąco nie zużywali. Dzikusy nie były już skłonne do samobójczych ataków. Żołnierze nawet zamieniali się w zbieraczy i myśliwych, korzystających z uroków wczesnej wiosny. Wszystko, żeby uzupełnić monotonne menu i nie ześwirować z nudów. Dowództwo nie zamierzało opuszczać pozycji, które zabezpieczały ołtarz w świątyni. Nie zamierzało wycofywać stąd sił, a w związku z tym nic łącząca wysuniętą placówkę z bazami na zapleczu stawała się strategiczną koniecznością.

– Budowa szybko się zacznie?

– Jak tylko pogoda pozwoli. Ani przez błoto, ani przez podmokły las sprzęt budowlany nie ruszy. Ale kwestia jest innego rodzaju. Na razie zbudujemy sezonowy trakt. Tym bardziej że większa część została już wytrasowana przez moje oddziały w drodze tutaj. A budowa porządnej kamiennej szosy w wykonaniu polskiego wojska jest zbyt kosztowna. Niech zbudują miejscowi, jak na Złe Ziemie. Choć to chwilowo niemożliwe, bo nie wiadomo, co z sytuacją w Kong.

– No tak. Partyzanci Shen nie mają korpusu inżynierskiego.

Przerwał im odgłos kroków. I bynajmniej nie były to ludzkie kroki, tylko stąpanie podkutego konia po kamiennej posadzce korytarza. Potem usłyszeli szelest, cichy głos, kiedy ktoś uspokajał zwierzę, i dopiero potem trzask otwieranych drzwi.

– Witam panów!

Meredith mimo półmroku panującego w świątyni nie zdejmował z twarzy swoich ciemnych jak smoła, okrągłych szkieł przeciwsłonecznych. Siweckiemu przypomniało się zdanie umierającego podróżnika: „Żeby dojść do krainy przy biegunie, oczy nie są potrzebne”.

– W dalszym ciągu zwiedza pan świątynię... konno? – zapytał Baranowski.

– Nie inaczej. Jest zbyt rozległa, żeby robić to pieszo. No i jednopoziomowa, żadnych schodów, gdzie koń mógłby się potknąć.

– Fakt.

– Napiją się panowie świętego bimbru? – Meredith wyjął spod płaszcza standardową manierkę polskich sił zbrojnych. – Radzę spróbować. Doskonały!

Czarownik napełnił nakrętkę, a ponieważ major się wzdragał, podał ją Siweckiemu. Ten łyknął od razu całą zawartość i o mało nie zatkało go na

amen. To był prawie spirytus. Moc można było oceniać na jakieś osiemdziesiąt procent co najmniej.

– Rewelacyjny – wychrypiał dopiero po bardzo długiej chwili. – Prawdziwy... – nie mógł dokończyć, bo znowu zaczęło go dławić.

– Prawdziwy piechociarski – dokończył za niego Meredith.

– Jak to piechociarski? – zaperzył się Baranowski. – Skąd by moje dziewczyny wiedziały, jak się bimber robi?

– Oj tam – uśmiechnął się czarownik. – Toż w sąsiedztwie mają Polaków z piechoty morskiej. Różne przyjaźnie się zadzierzgają, a z przyjaźniami przepływ nowych technologii i myśli technicznej następuje. Zwykła rzecz między cywilizacjami. A w dodatku kobiety do receptury dodały swoje koncepcje. Ten bimber jest z zeszłorocznych, mrożonych jagód. To poezja.

Baranowski tylko kręcił głową. Nie był przesadnym służbistą, ale doskonale wiedział, co może się stać z nudzącym się, pozbawionym wroga, koszar i przepustek do miasta wojskiem, które ma dostęp do wódki. Piechota morska podrzuciła mu właśnie kukułcze jajo w postaci bomby zegarowej tykającej szybciej niż cykady podczas godów.

– I tak o dały panu?

– Och, baby do czarownika zawsze mają wiele spraw. Ja im w miarę możliwości pomagam w różnych drobiazgach, to i odwdzięczają się jak mogą.

Major przytaknął.

– To w takim razie mam prośbę.

– Tak?

– Potrzebowałbym trochę tego dla... – Baranowski ściszył głos, odwracając się plecami do telegrafisty – dla pani pułkownik.

– Rozumiem. To nie kłopot.

Siwecki, któremu po wypiciu haustem całej nakrętki bimbru robiło się już dobrze na duszy, postanowił się wtrącić do rozmowy.

– A odkrył pan coś ciekawego w tej świątyni?

Meredith skinął głową.

– Tu są same ciekawe rzeczy.

– Hm, mnie tam wszystkie pomieszczenia wydają się po prostu puste.

– No właśnie. Nie zdziwiło to pana?

Siwecki nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć. Fakt, świątynię w lesie w dolinie Sait znał tylko z opisów. Ale z tego, co słyszał, wszystkie jej pomieszczenia były przepełnione jakimiś sprzętami, wotami i całą masą najróżniejszych przedmiotów. A tu? Puste sale, puste cele wzdłuż korytarzy.

– No trochę tak, trochę mnie to dziwi.

– No właśnie. A co ta świątynia panu przypomina?

Tym razem Baranowski był szybszy w odpowiedzi.

– Ta świątynia przypomina więzienie – powiedział.

– O właśnie – zgodził się Meredith. – To jakby olbrzymie więzienie. Tyle że bez skazańców.

– I rzeczywiście to kiedyś był zakład karny? – zapytał całkiem już wesoły Siwecki. – Nie rodzaj klasztoru pełnego eremitów?

– Z całą pewnością nie był to klasztor. Są tu rzeczy, które wykluczają taką możliwość. Ale w pewnym sensie miejsce sprzyja kontemplacji. W jednej z cel długo zastanawiałem się nad podobieństwami opowieści zmarłego podróżnika i tego rozbitka ze statku „Gradient”.

– I do czego pan doszedł? – zapytał Siwecki.

– A dlaczego cele są puste? – Baranowski zadał pytanie dokładnie w tym samym momencie.

Meredith zerknął na jednego i na drugiego, nie wiedząc, na które z pytań odpowiedzieć najpierw.

– Coś zachwiało równowagę, jaka tu kiedyś panowała.

– Tomaszewski z dynamitem na ołtarzu czy Wyszyńska, która go uruchomiła w jakimś innym trybie?

Czarownik zaprzeczył ruchem głowy.

– Dawniej – mruknął zamyślony. – Być może to był książę Osiatyński.



Opatrunek wykonany przez prawdziwego lekarza nie robił odpowiedniego wrażenia, więc Rosenblum musiał opatrzyć Randa jeszcze raz, po swojemu. Przede wszystkim najbardziej widoczną część ciała, czyli głowę, owinął bandażem. Ponieważ nadal nie wyglądało to jednak przekonująco, pochlapał wszystko pioktaniną. Potem prawa ręka. Grunt to nie żałować środków opatrunkowych. Plus ogromny temblak i przyczepiona do ramienia kroplówka. Biegająca od niej rurka nie łączyła się co prawda z żadną igłą, ale cała instalacja potęgowała nastrój grozy. Do

tęgo usztywniona ortopedyczną szyną noga, obwiązana jałowymi chustami, i kula inwalidzka, którą Rand dzierżył w „zdrowej” ręce.

Izaak Rosenblum nie był lekarzem, tylko oficerem wywiadu, ale jego dzieło było sto razy bardziej malownicze i dosłownie miażdżyło nędzny medyczny pierwowzór. Kiedy Rand wkroczył, a właściwie „wkuśtykał” do ambadorskich apartamentów, które były przeznaczone dla szczególnie ważnych gości, cesarzowa zaniemówiła.

– Rand... Rand... – zdołała wykrztusić dopiero po dłuższej chwili. – Czy on będzie żył?!

– Robimy, co w naszej mocy – odparł Rosenblum, przyjmując zatroskany wyraz twarzy. – Jego stan jest bardzo ciężki.

Ściągnięty do konsulatu ambasador, stary, doświadczony wyga w krainie dyplomacji, bez słowa patrzył na dyndającą końcówkę rurki podłączonej do kroplówki. On przecież wiedział, że tak być nie może. Lata doświadczeń w resorcie spraw międzynarodowych jednak sprawiły, że choć z wielkim trudem, zachował kamienny wyraz twarzy i powstrzymał się od komentarza.

Stojący za nim konsul zacisnął jedynie szczęki. Pieprzony wywiad! Na co oni sobie pozwalają, robiąc taki teatr?

– Rand... – Cesarzowa zerwała się z miejsca i podeszła bliżej. Bała się jednak dotknąć aż tak chorego człowieka.

– Robiłem, co w mojej mocy, żeby nie wypuścić go z łóżka – łągał przekonująco Rosenblum. – Ale on się uparł. Mówił, że musi przed śmiercią porozmawiać ze swoim władcą.

– Rand... – Cesarzowa była naprawdę wzruszona. – Zasłoniłeś mnie własnym ciałem! Bogowie świadkami, nie spodziewałam się tego po tobie.

– Wypełniłem swój obowiązek.

– Gdyby nie ty...

– Pani, niebezpieczeństwo jeszcze niezażegnane. Musimy pilnie porozmawiać.

– I dlatego, żeby zamienić ze mną parę słów, zerwał się z łoża, od lekarzy?

– Muszę cię ostrzec, pani. Los cesarstwa jest ważniejszy od losu pojedynczego człowieka.

Rosenblum miał tak idealnie przejętą minę, że ambasador mimo wieloletniego treningu w dyplomacji z trudem utrzymywał poważny wyraz

twarzy. Ten człowiek marnował się w wywiadzie. Jako aktor zarabiałby miliony.

Teraz wymownie spojrzął na wysokich rangą dyplomatów. Obaj, klnąc w duchu na czym świat stoi, przenieśli wzrok na cesarzową.

– Wielka pani! – Ambasador musiał przełknąć ślinę, żeby móc mówić normalnie. Był wściekły z powodu hecy wywiadu. – Za pani pozwoleniem, zostawimy was samych. Na pewno chce pani porozmawiać ze swoim człowiekiem. – Wstał lekko i obaj z konsulem wykonali przewidziane przez etykietę pałacowe ukłony.

Władczyni odpowiedziała uprzejmym skinieniem głowy. A kiedy wyszli, własnoręcznie pomogła Randowi zająć skraj ambasadorskiego fotela. Sama usiadła na zwykłym biurowym krześle tuż obok.

– Jak się czujesz? – zapytała z autentyczną troską w głosie.

– Pani, nie czas teraz na moje zdrowie. – Rand sam się nie spodziewał, że zrobi aż takie wrażenie. Podziwiał umiejętności Rosenbluma w tworzeniu dramatycznej sytuacji. Ale najbardziej ze wszystkiego był dumny ze swojego szczęścia, które przez splot przypadków sprawiło, że był teraz „tym, który uratował majestat”. – Muszę dokończyć, co zacząłem. Choć zacząłem za późno.

– Wiedziałeś o zamachu?

– Nie. Skąd, wielka pani! Wiedziałem jednak, że coś się święci.

– Co?

– Pani, przyszedłem do ciebie w desperacji. Nie mając żadnych dowodów, a jedynie informacje od moich źródeł. Służby specjalne od lat niszczą moją organizację, ale dopiero niedawno posunęli się do zamachu na mnie. Aie miała własnym świadectwem potwierdzić, że żyję wyłącznie dzięki jej refleksowi i umiejętnościom.

– I sądziłeś, że zrobi na mnie wrażenie opowieść jakiegoś ochroniarza?

– Powtórzę, pani: to była desperacja.

Patrzyła na niego bez wyrazu. Była władczynią, prawdziwą. Umiała momentalnie opanować emocje i słuchać z całą uwagą, bezstronnie oceniając fakty. Wszystko świadczyło jednak, że do tej pory jest skłonna Randowi wierzyć. Fakty zdecydowanie przemawiały na jego korzyść.

– Z jakiego źródła dostałeś informacje, że coś mi grozi?

Rozłożył ręce w teatralnym geście.

– Pani, rozkażesz, to powiem. Ale wydam też wyrok śmierci na moje źródło. Okrutnej śmierci.

Przytaknęła. Nie była małą dziewczynką i rozumiała, że nie chodzi o jego obawy, iż cesarzowa komuś powie. Chodziło o zasadę. Jeden wie, tylko jeden może powiedzieć i w razie wsypy wiadomo, czyja wina, czyją głowę odciąć.

A Rand ze swojej strony cieszył się, że dyskusja przybrała akurat taki obrót. Oczywiście nie miał źródła, które poinformowałoby go o przygotowywanym zamachu na cesarzową, bo takiego zamachu przecież nie było. Po raz kolejny błogosławił splot przypadków. Teraz wystarczyło to tylko dobrze rozegrać. Nie wolno mu przesadzać w żądaniach. Nie można być zbyt pazernym.

– Kto stoi za zamachem? – zapytała cesarzowa.

– Nie wiem – odpowiedział Rand.

– Nie opowiadaj bzdur. Przed kim chciałeś mnie ostrzec?

– Przed służbami specjalnymi.

– A możesz jaśniej?

Był na to przygotowany. Zaczął opowiadać o swoich przemyśleniach, o tym, że służby dążą do monopolu przekazywania informacji władczyni, czyli tak naprawdę wprost do władzy. Że widząc zmianę sytuacji z powodu przybycia Polaków, posunęły się prawdopodobnie nawet do zamachu stanu. Zaczął opowiadać o Zakonie i podejrzeniach przybyszów z za gór dotyczących kontynuacji jego knowań.

Tu mu przerwała.

– Co powinnam według ciebie teraz zrobić?

Na to też był przygotowany. Na to przede wszystkim był przygotowany, bo tylko i wyłącznie o tym myślał przez cały czas pobytu w konsulacie.

– Wielka pani! – Uśmiechnął się szeroko. – Przecież zamach stanu się nie odbył – powiedział promiennie. – Proponuję, żebyś wróciła do pałacu.

Oniemiała.

– Prosto w ręce wrogów?

– Drugiej akcji na twoje życie, pani, nie mają w zanadru. Nic nie jest przygotowane, ponieważ miałaś zginąć w pierwszym zamachu. Jak nie na dziedzińcu u kurierów, to po drodze do pałacu, a trzecie zabezpieczenie pewnie miało być jeszcze gdzieś dalej. Tam miałaś zginąć, a widząc misterny plan i trzy stopnie zabezpieczeń, planu alternatywnego już nie



mają. Nie są przygotowani na to, że wrócisz żywa. Dlatego nie słyhać o przewrocie. Ogłupieli!

– Jak to?

– No przecież oficjalnie ręki na ciebie nie podniosą, pani.

– I co? I mam wrócić do pałacu i rozwiązać służby specjalne?

– Wywołasz tym samym wojnę domową, pani. Najpewniej.

– Bo?

– Bo dobrowolnie władzy nie oddadzą.

I znowu przyznała mu rację. Punkt dla Randa. Za daleko to zaszło. Zbyt długo polegała na swoich siłach specjalnych i nawet podświadomie zdawała sobie z tego sprawę. I dzięki temu łatwo teraz było zachwiać jej pewnością co do tego, komu ma ufać.

– I co mam zrobić? Może oddać siły specjalne pod twoje rozkazy? – usiłowała zakpić.

– To również się nie uda. Nawet gdybyś, pani, okazała się tak naiwna i oddała całość sił w jedne ręce.

– Dziękuję za szczerość.

Odpowiedział uśmiechem.

– Wróć, pani, do pałacu. Przecież oficjalnie nic się nie stało. Żadnego zamachu nie było. A że strzelanina na ulicy? Bo to jedna? Nikt nie zwróci uwagi. A w pałacu...

– Mnie zabiją – dokończyła za niego.

– Kto?

– No nie wiem, na kogo mogę liczyć.

– Na strażników na przykład. Moim zdaniem, okazali się lojalni. Na wojsko, myślę, a szczególnie na marynarkę wojenną, która jak i u Polaków, jest przecież osobnym rodzajem sił zbrojnych.

Spojrzała na niego z uwagą. Sprawiał wrażenie, że wie, o czym mówi.

– Pani – ciągnął Rand, widząc, że jego słowa padają na podatny grunt – przecież mamy dziesięć ścigaczy przekazanych przez RP. A na nich marynarzy wyszkolonych według polskich regulaminów. Tak samo dowództwo, sztab i morskie oddziały szturmowe. Otocz się nimi, wielka pani. Oni na pewno nie brali udziału w żadnym spisku, są lepiej uzbrojeni niż ktokolwiek w naszym wojsku, mają nowoczesną łączność i są zgrani z Polakami. Dziesięć motorowych ścigaczy w jednej chwili przewiezie cię na lotniskowiec, gdyby coś szło nie po twojej myśli.

Westchnęła. On miał rację. I rozwiązał najbardziej palącą kwestię. Osobistego bezpieczeństwa. Jej pałac w Negger Bank był oczywiście powiązany z morzem. A nic nie oprze się sile wukaemów zamontowanych na tych małych, ale bezbłędnie potężnych i szybkich okrętach.

Poczuła taką ulgę, że pot pojawił jej się na czole. Rand naprawdę wiedział, co mówi. Zaproponował jedyny rodzaj wojska, który miał radiostacje i pistolety maszynowe. Jedyny rodzaj, który nie mógł brać udziału w żadnych machinacjach, ponieważ w tym czasie się szkolił i był zbyt mało godny zaufania dla sił specjalnych, bo zbyt blisko związany z RP. Proste. Jedna kwestia z głowy. Bogowie, co za ulga.

– A co z siłami specjalnymi?

– Siłami czy służbami?

– A to nie to samo?

Z trudem powstrzymał się od wzruszenia ramionami.

– Służby to pion wywiadowczy zajmujący się zbieraniem informacji. Siły to ich zbrojne ramię.

Przytaknęła zmęczonym ruchem głowy. Odkąd Rand rozwiązał kwestię jej bezpieczeństwa, poczuła wszechogarniające znużenie.

– No to co z jednymi i z drugimi?

– Ze służbami teraz nie zrobimy nic, bo są za silne – zrećcznie przeszedł do formy „my”. – A siły specjalne proponuję oddać pod dowództwo sztabu generalnego naszego wojska.

– A jeśli wojsko brało w tym udział?

– Tego nie wiemy. Jasne jest jednak, że żaden spisek nie jest organizowany przez tysiące uczestników. Musi być ich jedynie garstka. Inaczej wszystko na nic.

– Masz rację – zgodziła się bez trudu.

– W związku z tym sztab generalny nie może być zamieszany w całości, bo jest zbyt liczny.

– Ale czy służby oddadzą swoje zbrojne ramię?

– Nie. Bo my nie będziemy odbierali.

Oniemiała zaskoczona.

– Co?

– My im nie zabierzemy sił specjalnych. Jedynie w ramach unifikacji dowodzenia przed kampanią w Kong sprawimy, że wszystkie rozkazy będą mogły być wydawane jedynie przez sztab armii. Służby dalej więc będą

rządzić swoimi siłami, z tym tylko, że każdy ich rozkaz musi przejść przez sztab i być tam, a więc przez ciebie, pani, osobiście zaakceptowany.

Teraz ona się uśmiechnęła.

– Genialne. Ale czy wojsko sobie z nimi poradzi?

– Nasza armia była tak długo upokarzana przez siły specjalne, że osobiście podejmuję się znaleźć setki spragnionych zemsty oficerów, którzy wykonają zadanie z wielką przyjemnością. I dołożą wszelkich starań, żeby tamtych bardzo zabolalo.

Całe jej zmęczenie i szok kumulowały właśnie swoje objawy. Władczyni chwiała się głową, miała ochotę ziewać, a najbardziej zwinąć się gdzieś w kłębek i zasnąć spokojnie. Dzięki przemowie Randa poczuła coś na kształt nadziei. A może nawet trochę więcej. Był ktoś, kto wiedział, co robić w tej kuriozalnej, niezwykle groźnej sytuacji. Nagła ulga sprawiła jednak, że puszczały jej nerwy. I przede wszystkim chciała spać.

– Odejdź więc – powiedziała. – I spraw, żebyś ozdrowiał. Bardzo mi na tym zależy.

Rand poczuł się jak pijany. Wygrał to starcie! Wygrał! Nie mogąc okazać triumfu, gramolił się powoli.

– Powiedz człowiekowi, który cię tak starannie opatrzył – cesarzowa wskazała palcem jego bandaż – że go ozłocę za to.

Rand ledwie zauważalnie przygryzł wargi. No szlag! Polscy lekarze generalnie zlekceważyli jego rany, nazwali niegroźnymi i nie chcieli poświęcać mu zbytnej uwagi. Jedyny, który widział interes w niesieniu pomocy, to Izaak Rosenblum. I teraz on ma zostać za to ozłocony?

A co tam... Przecież nie od dziś wiadomo, że w dalekich krajach ludzie szybko się bogacą.



Sierżant szef Lewandowski nie miał dobrego dnia. Od rana wszystko waliło mu się na głowę, a teraz jeszcze ludzie poszaleli, od kiedy ogłoszono gotowość bojową. Stary wyga z zaopatrzenia usiłował się nie poddawać panującemu wokół nastrojowi. Co to w ogóle jest „gotowość bojowa” ogłaszana na terenie stałej bazy na lądzie? Pierwsze słyszał! Takie coś to można sobie ogłaszać na okręcie przed bitwą, kiedy działa już załadowane, a marynarze z nożami w zębach gotowi do abordażu. Debilizm czysty. Przecież tu, w Negger Bank, baza nie była żadną twierdzą. Nie miała ani

instalacji obronnych, ani nawet żadnego planu na wypadek ataku. Twórcy regulaminu bazy liczyli się co najwyżej z atakiem głodnego tłumu, zamieszkami cywilów i innymi niepokojami. Na to byli przygotowani. Generalna zasada brzmiała, że jakiegokolwiek strzelanie do miejscowych ma być zrobione rękami miejscowych. Żeby później RP nie można było o nic oskarżyć. No a gdyby ktoś się jednak przedał, to w odwodzie były i czołgi, i cekaemy, ale... raczej przewidziano dla nich użycie doraźne w razie czego, w ramach improwizacji, a nie z przygotowanych stanowisk obronnych. Natomiast atak na bazę regularnej armii oznaczał przecież wojnę. A to już rozstrzygało się innymi środkami niż tymi będącymi w gestii komendanta bazy. Wtedy ruszy cała potęga i zmiecie się przeciwnika z powierzchni ziemi. Tak czy inaczej.

Cóż więc oznaczał dla bazy rozkaz o „gotowości bojowej”? Tego nikt nie umiał wyjaśnić. Każdy dowódca rozumiał to po swojemu i ludzie pchali się gremialnie do magazynów, chcąc pobrać najróżniejsze rzeczy, które w ich mniemaniu mogą się przydać na polu walki. A kwatermistrzowie nie mieli instrukcji, co robić w takich wypadkach. Obowiązywały ich normalne przepisy, według których odpowiadali przecież osobiście za rzeczy pobrane bezprawnie czy nienależnie.

Ludzie się denerwowali, a on *przecież* musiał przeczytać dokładnie formularz zapotrzebowania, zapoznać się z załącznikami, sprawdzić zgodność z instrukcją. Na jego głowę padały gromy, a on powtarzał spokojnie:

– To nie wojna. Nie wystarczy więc wpaść i krzyknąć: „Tamci atakują! Wydać nam całą amunicję!”. Takie wrzaski nie poskutkują.

Nie słuchano go jednak. Tak i wszystkich pozostałych kwatermistrzów. Oficerowie tej służby ukryli się w pewnym momencie, nie chcąc być obiektem naprawdę przykrych zachowań. Żołnierze niżsi rangą musieli jednak trwać na swoich stanowiskach i znosić wszystko, choć z całą pewnością nie ze stoickim spokojem.

Dlatego też Lewandowski, słysząc w pewnej chwili, że Chen domaga się pilnego widzenia, nie wytrzymał i wrzasnął:

– Nie w tej chwili, psiarew! Niech go własna matka utuli, jeśli ma problem, a jak nie rozpozna matki w całym stadzie krów, to niech tuli pierwszą lepszą!

Posłaniec nie komentował. Oddalił się w miarę spokojnie.

Nie wiadomo, ile z tego, co usłyszał, powtórzył Chenowi. W każdym razie tamten zdecydował się na jeszcze jedną próbę. Posłaniec, mówiąc, zasłaniał się ręką, żeby cios w głowę, którego się spodziewał, mniej bolał. Ci miejscowi zatrudniani w bazie zdecydowanie w głupi sposób przenosili na jej teren zwyczaje, które panowały w ich kraju. Było przecież nie do pomyślenia, żeby Lewandowski uderzył go pięścią w głowę, rozkrwawiając wszystko i stając za to do raportu. No nie do pomyślenia. Lewandowski przecież, jakby miał złość, przyłożyłby mu mokrą szmatą w plecy. Ból ten sam, a śladów nie ma!

– Czego!?

– Pan Chen mówi, że to bardzo pilne!

– Nie!!!

– Pan Chen mówi – posłaniec aż się skurczył w oczekiwaniu na cios, który pozbawi go przytomności, a może i życia – że ma wiadomość wagi państwowej!

Lewandowski powstrzymał się z najwyższym trudem. W pomieszczeniu byli przecież inni ludzie. Wstając zza biurka, poprzysiągł sobie jednak, że ktoś dzisiaj w ryj zarobi. Choćby miało się to potem zakończyć karnym raportem.

Sapał z frustracji, idąc korytarzem. Słyszał, jak zamykają się przed nim drzwi do kolejnych pomieszczeń. To jego podwładni wyczuwali, że szef jest w wybuchowym nastroju.

– Czego?! – Na widok Chena sierżant szef wyjął z kabury etatowy, wielki półautomatyczny pistolet i przyłożył tamtemu do czoła. – Jeśli to nie będzie naprawdę ważne, pociągnę za spust – zapowiedział pozornie bez emocji.

Chen nie okazał nawet cienia strachu.

– Sami – powiedział cicho.

Tak zaskoczył tym Lewandowskiego, że ten nagle opuścił broń. Sami tutaj? Rozejrzał się odruchowo. Niby gdzie? Zaprowadzić go do gabinetu? Strata czasu, a poza tym ściany mają uszy. Gdzie w tej pierdolonej bazie można zostać sam na sam?

– No dobra. – Wymyślił coś w końcu. Otworzył drzwi wyjściowe i wskazał kierunek. – Wiatr się zrywa, i to ponoć silny. Zawieszono loty.

Pomysł był niezły. Tuż przy magazynach kwatermistrzostwa było przecież lotnisko. A tumany kurzu przynoszone coraz mocniejszymi

podmuchami z nad pustyni paraliżowały dzisiaj normalny ruch.

Wyszli na sam środek pasa startowego. Zupełnie sami, w huczącym wietrze, który targał materiałem ich ubrań. Tu nie mógł ich nikt podsłuchać.

– Niech to będzie naprawdę ważna sprawa. – Lewandowski potrząsnął ciągle trzymanym pistoletem. – Lepiej niech to będzie coś naprawdę mocnego.

Chen nie okazywał w dalszym ciągu cienia strachu ani wahania. Zbliżył twarz do głowy sierżanta, jakby chciał zyskać pewność, że jego słów nie odczyta nawet ktoś biegły w obserwowaniu ruchów warg.

– Nie było zamachu na cesarzową – powiedział.

Lewandowskiego zapowietrzyło. Nie mógł ani wziąć nowego oddechu, ani wypuścić z płuc starego. Stał nieruchomo z pełną świadomością, że jeśli ten stan potrwa dłużej, to na pewno się udusi.

– Co? – udało mu się wydobyć głos dopiero po kilkukrotnym przełknięciu śliny.

– Nie było zamachu na cesarzową – powtórzył Chen.

– Ale ja mam w tajnym okólniku, że była strzelanina, że uczestniczyła w niej cesarzowa, że...

– Nikt temu nie zaprzecza. Jednak nikt nie planował zamachu stanu ani zabicia władcy.

Lewandowski otarł nagle pot z czoła.

– Masz jakiś dowód?

– Nie. I wiem, że nikt już nie będzie umiał temu zaprzeczyć. Ale... tak naprawdę nic się dzisiaj nie stało.

– O kurwa!

Informacja miała wagę pancernika, i to dodatkowo obciążonego ołowiem. Nie sposób było ocenić jej konsekwencji. Nie sposób było nawet oszacować, jak wielkie ma znaczenie.

I Lewandowski wcale nie próbował. Zmarszczki na jego czole i skupiony wyraz twarzy świadczyły oczywiście o tym, że myślał intensywnie. Ale jedynym problemem, który musiał teraz rozstrzygnąć, było, w jaki sposób w zaistniałym chaosie i bałaganie ściągnąć generała Kawalca osobiście na sam środek pasa startowego?



Rampa w odpowiednio przygotowanym luku samolotu miała specjalne urządzenie. Mechanicy w warsztatach bazy Negger Bank dali z siebie wszystko. Skoczek obciążony sprzętem kładł się na rampie i jeśli był niedoświadczony, jak dwie dziewczyny dzisiaj, to trzymał się kurczowo, ba, z całych sił, dwóch wystających rur. W razie braku zgody skoczka na samodzielne oddzielenie się od samolotu wystarczyło szarpnąć niewielką dźwignię. Wtedy rury chowały się nagle, wysuwając łagodnie z rąk przerażonego skazańca, i skoczek nie miał już się czego trzymać. Bezwładnie leciał w dół. To wystarczyło zasadniczo do prawidłowego wykonania skoku, ponieważ spadochron otwierał się po pewnym czasie samoczynnie.

– Panno Kai! – Pełczyński przysunął mikrofon do ust. – Teraz proszę się puścić i zsunąć po rampie na zewnątrz samolotu.

– Bogowie! Tam jest dziura! I nic nie ma pod nogami!

– No właśnie tamtędy trzeba się wydostać z samolotu...

Tomaszewski odebrał majorowi mikrofon.

– Kai, przestań się wygłupiać i skacz! – rozkazał. – W tym spadochronie wszystko robi się samo. Ty po prostu zamknij oczy.

– Ale tam jest... – Spanikowana dziewczyna długo szukała słów. – Ale tam jest pusto! Nie ma nic pod nogami.

– No właśnie o to chodzi.

Czarownica nie zamierzała się jednak puścić.

– Zamknij oczy!

– Nie!

Mężczyźni wymienili się spojrzeniami. Pełczyński położył dłoń na dźwigni. Kai jednak musiała coś zauważyć, bo krzyknęła w panice:

– Nie dotykaj tego! Ty sukinsynu jeden! Jeśli dotkniesz, to zamienię cię w...

Nie dowiedzieli się, w co czarownica zamierzała zamienić majora. Siedząca obok Nuk nachyliła się i sama szarpnęła za dźwignię. Rury wysunęły się z kurczowo zaciśniętych dłoni Kai i dziewczyna zaczęła zsuwać się po rampie.

– Nie! Bogowie! Bogowie!! Mamusiu kochana! Mamo! Mamo! Nie...

Głośnik zaskakująco dobrze przynosił jej głos. Na szczęście po chwili spadająca dziewczyna wyszła z zasięgu. Radio w jej hełmie było malutkie i prymitywne.

Nuk wypluła gumę do żucia, którą dostała, żeby nie zatykały jej się uszy podczas wznoszenia. Przypięła ustnik maski. Mimo obciążenia sprzętem wstała lekko i z niewielką tylko pomocą Pełczyńskiego położyła się na rampie.

– Już? – Spojrzała na majora.

Ten poprawił jej gogle. Sprawdził, czy maska tlenowa dobrze trzyma. Potem klepnął Nuk w ramię.

– Skacz!

Dziewczyna puściła oba uchwyty. Jej ciało szybko zaczęło się zsuwać w dół i po chwili, idealnie według instrukcji, znalazło się w powietrzu.

– O kurwa jebana w dupę mać! – rozległo się w głośniku. – Co za głupi chuj to wymyślił?!

Samolot przechylił się na prawe skrzydło, potem na lewe, przez chwilę nie mógł wyrównać.

– Co się dzieje? – Tomaszewski zerknął na majora.

– Myślę, że piloci rechoczą ze śmiechu – odparł Pełczyński.

– To trzeba dziewczynom wyłączyć te radia. Żeby nie doszło do katastrofy lotniczej następnym razem.

Pełczyński skinął głową. Wskazał wąskie ławeczki dla skoczków. Kiedy usiedli, powiedział jednak uspokajająco:

– Myślę, że obie dadzą radę.

– W sensie?

– Że dadzą radę tam, na miejscu.

Tomaszewski wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów, ale po chwili zrezygnował i schował ją z powrotem. Nie było oczywiście żadnych obostrzeń co do palenia na pokładzie samolotu, ale strasznie tu wiało. Żadnej przyjemności z palenia.

– Naprawdę pan tak sądzi?

– Przyglądałem im się bardzo uważnie.

Było kiedy, to fakt. Pełczyński miał wiele okazji, żeby sprawdzić, jak się zachowują, jak pokonują trudności i jak sobie radzą ze stresem. Ich doba składała się z wykładów i ćwiczeń, często prowadzonych po angielsku. Każdy dzień kończył się egzaminem, każda noc zawierała elementy poligonowe, sytuacje stresowe w momencie, kiedy delikwent był niewyspany, a nawet ćwiczenia siłowe, choć tych było najmniej i ograniczały się głównie do długiego maszerowania oraz szukania



schronienia w niekorzystnych warunkach. Obsługa radiostacji i mapy połączonej z kompasem przeplatała się z rozmową z samym ambasadorem, zorganizowaną tylko po to, żeby kursantki usłyszały choć raz prawdziwy akcent angielski, a nie tylko jego nędzną imitację w wykonaniu niektórych polskich oficerów. A major nie odstępował ich ani na krok.

– I jakie są pańskie spostrzeżenia? – zapytał Tomaszewski.

– Ta niższa, Kai, ma niesamowitą zdolność przyswajania ogromnej ilości wiedzy w krótkim czasie. Jest lepsza niż największy kujon w mojej szkole. Ale to córeczka mamusi. Albo co gorsza, tatusia.

– Mmm, widziałem ją w akcji. Nie daje ciała generalnie.

– No tak, ale trochę inaczej się człowiek zachowuje, mając za plecami całą armię, a troszeczkę inaczej zostawiony sam sobie. A ona ciągle: tu jej niewygodnie, szalas nie nadaje się do spania, tam są mrówki, a tu mysz. Koc nadaje się co najwyżej do czyszczenia rynsztoka, a wodę w manierce czuć metalem. Ona myli nawet prawą stronę z lewą, co jest dość typowe dla kobiet, jednak trochę przeszkadza w pracy operacyjnej.

Tomaszewski zaczął się śmiać. Pełczyński kontynuował:

– Chociaż umysł ma rzeczywiście dobrze poukładany. Ktoś ją ewidentnie trenował w przyswajaniu najróżniejszej wiedzy, błyskawicznym zapamiętywaniu i łatwym z niej korzystaniu, kiedy jest potrzebna.

– Szkoła pustynna w Danoine. Z tego wynika, że coś tam jednak potrafią.

– Oj, potrafią, potrafią – przyznał komandos. – Głowa więc w porządku, ale w trudnej sytuacji ciało ją zawiedzie.

Nie było sensu mu tłumaczyć. Major, jak większość Polaków, ciągle nie dopuszczał do siebie myśli, że czarownicy jednak różnią się od innych ludzi i akurat kontrolowanie własnego ciała mają opanowane do perfekcji.

– A ta druga?

– Nuk? Ożeż, jak mi się ta baba podoba. Sam bym ją chciał mieć w oddziale. – Pełczyński cmoknął głośno. – I jeśli jej nikt nie zagospodaruje po powrocie, to złożę jej propozycję pracy.

– Przecież to partyzant.

– No to co? Ale sierżant tylko. A u mnie dostanie porucznika na dzień dobry. Na dzień dobry, mówię, bo to nie będzie koniec jej kariery, tylko początek. Kiedy lepsze szlify dostanie, to na starość pójdzie do sztabu i tam

się może nawet generała dosłużyć. I mieć potem generalską emeryturę. W wojskach spadochronowych takie rzeczy się zdarzają.

– Taki skarb?

– No! A ja jeszcze czytałem, co tam o niej Baranowski w raporcie wysmażył. A poza tym kobieta nie mnoży problemów, rozkazy wykonuje co do joty, inicjatywę własną wykazuje, strach zna, ale strachem niepodszyta.

– To szkoda, że pan nie zna Shen. Jeszcze bardziej by się panu spodobała.

– Jest lepsza od Nuk?

– Widzi pan, o Baranowskim mówi się, że to pierwszy w historii człowiek, który dysponując tylko miejscowymi siłami, przeszedł przez Wielki Las i wykonał zadanie. A tak naprawdę pierwsza była Shen. Tyle że zrobiła to sama.

– Nieprawdopodobne! – Pełczyński potarł brodę. – No to z tego wniosek, że sprawa partyzantów jeszcze nieprzebrana. Bo mówią, że cała siła imperium na nich idzie.

– Cała siła idzie – potwierdził Tomaszewski i dodał: – Jedną drogą!

– O? – Major przez chwilę nie mógł uwierzyć. – No to se sztab utrudnił zadanie. A może to z honorowych powodów? – zakpił. – Żeby dać przeciwnikowi szansę?

– Tak czy tak, nakryją ją czapkami. A wyboru drogi nie ma, bo z jednej strony morze, a z drugiej góry. Innej możliwości naprawdę nie ma.

Pełczyński zamyślił się i siedział w skupieniu. Dla niego nic, co dotyczyło operacji na dalekim zapleczu, nie było oczywiste.



Konwój składający się z kilkunastu jeźdźców posuwał się powoli rozmokłym wczesnowiosennym traktem. Poza jedną główną cesarską drogą, która biegła wzdłuż wybrzeża, innych wyłożonych kamieniem w okolicy nie było. No tak, ale czemu się dziwić? Byli przecież na samych najodleglejszych kresach cesarstwa, w pasie nadgranicznym i... Tfu! Shen zganiła się w myślach! Jak mogła powiedzieć o wolnej prowincji Kong, że jest częścią imperium. Już nie jest! I w ogóle trzeba by tę krainę nazwać jakoś inaczej.

– Słuchaj – zwróciła się do Kadira, który jechał obok niej. – Czy nie powinniśmy jakoś nazwać tego kraju dookoła? Nie jesteśmy przecież zwykłą zbuntowaną prowincją. To kraj wolności.

Rusznikarz przytaknął ruchem głowy.

– Nazwijmy się „Wolnościolandia tymczasowa” może. Co?

– Trudne słowo.

– Kronikarze zapamiętają, bo to profesjonaliści. A nikt inny nie będzie musiał.

– Bo co? Bo nas zajmie ta armia, która tu idzie, i znikniemy, co?

– A jak myślisz? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

Nie zamierzała jednak zaprzętać sobie głowy jego humorami. Wiosna ewidentnie wzięła jej umysł we władanie. Ciepło i pierwsze zielone pąki na drzewach pozwalały zapomnieć nawet o błocie, a co tam dopiero o imperialnej potędze, która powoli sunęła w ich kierunku.

– Kadir!

– Co?

– I tak cię kocham! – Roześmiała się radośnie.

Tym razem odpowiedział uśmiechem.

– A ja ciebie, księżniczko ludowa. A ja ciebie!

Jechali właśnie na kontrole partyzanckich obozów. A jednocześnie szkolić. Polska instrukcja dotycząca struktury partyzanckich organizacji była jedna, nie mieli czasu, żeby oddać kopiście do powielenia. I trzeba było osobiście wtlaczać wszystko do głów poszczególnych dowódców. Niestety. Problem był jeden. Ludzie głodni i biedni ochoczo co prawda ciągnęli do partyzantów i licznie zasilali ich oddziały. Byli odważni, odwagą płynącą z desperacji, zdolni do każdych wyrzeczeń. Nie potrafili jednak wykonywać instrukcji. Nie było u nich talentów dowódczych. Setki lat trzymania pod butem oduczyło ich skutecznie przejawiania jakiegokolwiek inicjatywy. Każdą decyzję miała za nich podjąć „władza”. Przedtem cesarska, a teraz dowódca oddziału. To, że podejmował, często z powodu braków w wykształceniu, decyzje złe i głupie, nie miało żadnego znaczenia. Można było na niego psioczyć, można narzekać. Ale to on miał podjąć decyzję i basta! Shen nie mogła zapomnieć kłótni z jakąś kobietą. Chodziło o dzieci, które trzeba było zapoznać z podstawowymi zasadami bezpieczeństwa w lesie. Dowódca oddziału albo o tym zapomniał, albo

uznał za nieistotne. Dzieciaki łąziły więc sobie, jak chciały, aż siłą rzeczy doszło do nieszczęśliwego wypadku.

– Czemu nie zorganizowaliście dla nich jakiejś ochrony?! – wrzeszczała na jedną z nieszczęśliwych matek Shen.

– No bo władza nie zadecydowała.

– A ty własnego rozumu nie masz?! Wszystko za ciebie musi ktoś inny zrobić?

– To jest rola władzy, żeby decydować. Nie moja.

– Ale to twoje dziecko jest ciężko ranne!

– To wina władzy.

– Nie władza cierpi, idiotko! Ty cierpisz!

– Bo dowódca jest do dupy. – Kobieta była bliska płaczu. – Nie zajął się odpowiednio naszymi dziećmi.

– A co on może wiedzieć o dzieciach?! Kawaler przecież! I to on ma decydować? – Shen opanowała się z najwyższym trudem. Przeszła na ton nauczyciela, który musi przemawiać do wyjątkowo tępego ucznia. – Posłuchaj mnie uważnie. Teraz zadam ci pytanie.

– Tak, jasnie pani?

– Ile razy w twoim życiu jakakolwiek władza podjęła korzystną dla ciebie decyzję? Jakakolwiek władza, cesarska dawniej czy dowódca już tutaj. Zastanów się i powiedz: ile razy władza zrobiła coś dobrego dla ciebie?

Kobieta mimo łez w oczach myślała w skupieniu przez dłuższą chwilę.

– Ani razu, pani.

– Ani razu ktoś u władzy nie zrobił dla ciebie czegoś dobrego?

– Jest, jak mówisz, pani. Ani razu.

– A ty, cielu głupie, w dalszym ciągu chcesz, żeby władza za ciebie podejmowała decyzje? Ani razu nie podjęli dobrej, ale w dalszym ciągu mają o tobie decydować?

– Taka jest rola władzy.

– Jednak nigdy się z tej roli nie wywiązali, zawsze, od zarania, robili coś głupiego, a ty dalej chcesz, żeby to władza decydowała?

– No bo taka jest jej rola.

– Hej! Czy ty w ogóle słyszysz, co do ciebie mówię? Ocknij się, kobieto! Jak ma o tobie decydować ktoś, kto nie zna twojej sytuacji, niczego o tobie nie wie, nie ma pojęcia nawet, jakie są warunki w twojej

bezpośredniej bliskości. Jakim cudem ma o tobie decydować ktoś, kto nie ma pojęcia nawet o prostym fakcie, że istniejesz?! Dlaczego ty sama nie chcesz o sobie stanowić?

– No bo to rola władzy. To ona powinna robić.

– A czy dotarło do ciebie, że my tutaj jesteśmy właśnie po to, żeby cesarską władzę obalić? I kto będzie wtedy za ciebie decydował?

– No nasz dowódca.

– Kurwa mać! Toż on właśnie o mało nie doprowadził do śmierci twojego dziecka! I co? Dalej ma za ciebie podejmować decyzje?! Sama nie zaczniesz?!

Na szczęście Kadir był w pobliżu. Przerwał debilną dyskusję i odprowadził Shen w ustronne miejsce, gdzie chłodził jej rozpaloną głowę zimną wodą z manierki.

– Ja cię pierdołę! – Dziewczyna pomstowała jeszcze długo. – Jaśnie pan i jego but im się marzy! Byleby tylko pan był ludzki i łaskawie o nich pamiętał! Niewolnictwa nie ma, a to wszystko urodzeni niewolnicy! Byleby tylko ich nie bito za mocno, a jeśli już, to wszystkich naraz i jednakowo!

– Ciii...

– Co „ciii”, co „ciii”?! Z tym byłem ani kroku dalej nie zrobimy! Po co imperium armia? Wystarczy, jak przyjdzie tu cesarzowa, splunie i powie, żeby jej ślinę całować, a za to brukwi zgniłej da do żarcia, to się pozabijają, żeby do jej plwocin być pierwsi!

– Ciiii...

– Co „ciii”? Cesarzowa nawet pluć nie musi. Wystarczy oznajmić, że będzie podejmować za nich decyzje. Jutro każe, żeby się każdy rozpędził i głową w ścianę huknął. Wszyscy na rozkaz zginą i spokój będzie. A ci, co cudem przeżyją, pojutrze będą powtarzać, że znowu władza źle robi. I znowu... Ale wyglądać będą następnej decyzji! Jak psy w oczy pani wpatrzeni.

– No już, już...

– Nie zagaduj mnie!

– Przecież nic nie mówię.

– To zrób coś, żeby mnie uspokoić.

Na szczęście wieczór zapadał ciągle dość szybko. Kadir wziął ją więc do namiotu dowództwa, gdzie byli sami. Shen nawet się nie zorientowała, kiedy ją rozebrał i stanęła przed nim naga. Był konsekwentny. Nie

wypowiedział ani jednego słowa więcej. Uspokoił ją po długiej i wyczerpującej walce na legowisku. A to świntuch jeden! Najwyraźniej lubił, jak fuczała po kocie, wierzała na podobieństwo wściekłej klaczy, usiłowała gryźć jak psia suka. Ewidentnie sprawiło mu wielką rozkosz, kiedy w końcu przygiął jej kark do legowiska, przycisnął twarz do pościeli, a pupę wypiął tak, aż stała się bezbronna.

No dobrze. Walkę w łóżku może i przegrała, ale uspokoił ją idealnie. Znużona i wypełniona spokojem zasnęła słodko w jego ramionach.

Teraz, siedząc na człapiącym ociężałym koniu, zerknęła na niego z ukosa. Mądrała przebrzydły. Mężczyzna, który zawsze musi mieć rację. I nie udowadnia tego bynajmniej, nie zdobywa uznania krzykiem. Tak po prostu wychodziło. Postanowiła go trochę zaskoczyć.

– Jak myślisz? Czy cesarska armia nie wzięła na siebie zbyt wielkiego ciężaru? – zapytała. – Ganiać za nami po lasach?

Kadir potrząsnął głową.

– Ich podstawowym problemem będzie jedna jedyna droga, która tu prowadzi. Wojsko i zaopatrzenie będą się musiały poruszać tą samą trasą. Im więc więcej wojska popędzą, tym większy korek na łeb sobie wsadzą.

– No fakt. Wojsko nie pożywi się za bardzo tym, co znajdzie po drodze. W górach pustawo, a i bieda wymiotła zapasy z miasteczek.

– Wszystko muszą zabrać ze sobą. Jest co prawda inne rozwiązanie.

– Jakie?

– Mogą zaopatrzenie wozić statkami i wyładowywać w kolejnych portach wzdłuż trasy. To przecież droga wiodąca nie tylko przez góry. Także nad morzem.

Tym razem Shen roześmiała się głośno.

– Wiem, dlaczego mówisz z takim powątpiewaniem. To kosztuje, a cesarzowa nie jest admirałem Ossendowskim, którego stać na wysłanie krążownika wraz z towarzyszącymi statkami do Banxi, kiedy mu taki pomysł w głowie zaświta.

– To prawda – zgodził się Kadir. – Rozwiązanie świetne, ale zbyt kosztowne. Wszystko będzie szło drogą. I dlatego kampania musi być ekstremalnie krótka.

– Co to znaczy?

– No przecież nie o zdobycze terytorialną tu chodzi, tylko o honor. Przyjdą, spalą tu wszystko, zburzą, zabiją, kogo się da, i z powrotem pójdą.

– No przecież musieliby nas złapać. A krążenie wojska po chaszczach to wiesz, jak się w Sait skończyło. Byłam naocznym świadkiem, co robi regularne wojsko w lesie. Gubi się i umiera.

– Toteż nie będą grzybów szukać. Spalą wszystkie wsie, ludzi wypędzą albo gorzej. Miasteczka się zrówna z ziemią, to i gonić nas nie będzie trzeba. Sami z głodu zdechniemy.

– Jeśli spustoszą kraj, to Shah tu przyjdzie.

– No to co? Wtedy my staniemy się problemem Shah, a nie ich. Jaka różnica zresztą? Honor obroniony.

Musiała przyznać mu rację. W takich sprawach jak czyjaś uraza racjonalnych działań raczej nie było. No trudno. Tak czy tak, nie byli regularną armią i w polu wojsku przeciwstawić się nie mogli. A przewidywany przez Kadira plan wrogiego sztabu mógł być rychłym końcem bazy partyzantów. No i ich samych, rzecz jasna.

– Wiesz co?

– Mhm?

– To mówisz, że z serca imperium do Kong prowadzi tylko jedna droga?

– Na lądzie jedna.

Spojrzała na niego przekornie.

– A ja znam dwie – powiedziała, udając, że to nic takiego.

– Jak to dwie? – Zerknął na nią oniemiały.

– Bo wiesz... Ma się trochę znajomości tu i tam. W trakcie wizyty w zakonnej bibliotece poznało się trochę przemysłowców.

Kadir wstrzymał konia.

– I wiesz, że obok cesarskiej, kamiennej jest ukryta równoległa droga?

– Tak. Troszkę przez góry wiedzie. Ale ujdzie.

– Stój! Kto idzie?!

Swoim nagłym zatrzymaniem się musieli zaskoczyć wartowników ukrytych w zaroślach. Dwoje młodych ludzi z karabinami wyskoczyło na drogę i zaczęło biec w ich kierunku.

– Ale wojsko mamy. – Kadir westchnął, widząc ich nieporadność. – I z nimi musimy zatrzymać cesarską armię.

– W tej armii podobna nieporadność – mruknęła Shen. – Uch, no może nie aż taka – dodała, widząc, że dziewczyna biegnąca z bronią potyka się nagle i ląduje w błocie.

– Stać! Stać! – chłopak za to darł się bez przerwy.

– No przecież się nie ruszamy – odparł Kadir.

– Kto idzie?!

– Mam się powtarzać? – Rusznikarz machnął ręką w geście rezygnacji. Nie chciało mu się rozmawiać na tym poziomie. – Kadir i Shen.

– A skąd mam wiedzieć, że mówicie prawdę?

Z tyłu konnego oddziału rozległy się śmiechy. No rzeczywiście, ciężko to stwierdzić. Jeśli jednak wartownicy już się wystawili na łatwy strzał, to w głowie każdego bardziej doświadczonego żołnierza pojawiła się myśl, że powinni okazać się bardziej skłonni do kompromisu. Przecież w razie czego, w razie ostrzejszego zatargu, oboje nie przeżyją pierwszej salwy konnych.

Tymczasem umazana błotem dziewczyna zebrała się, podbiegła bliżej i wycelowała w Kadira, chcąc chyba udzielić swojemu koledze wsparcia.

– Hej, no, są pewne granice głupoty! – warknął na nią rusznikarz. – Jak utaplałaś karabin w ziemi, to z niego nie celuj. Jeśli strzelisz, wybuchnie i palce ci pourywa.

Nie uwierzyła. Mocniej ścisnęła karabin w dłoni.

– Musisz wyczyścić broń – usiłował tłumaczyć Kadir, kiedy Shen straciła cierpliwość.

– Na ziemię! – wydała rozkaz swoim ludziom.

A to były weteranki, z pierwszego „poboru” w Negger Bank, z więzienia dla dezertów. Dziewczyny błyskawicznie zeskoczyły z sodeł i rozproszyły się momentalnie. Niedouczeni wartownicy ogłupieli. Zamiast zwartej grupy przed sobą, w którą można celować dla zastraszenia, mieli teraz kilkanaście rozproszonych celów wokoło. W dodatku ruchomych. I podchodzących coraz bliżej. W kogo mierzyć? Jakoś tak im wyszło, żeby wycelować w dziewczyny z lewej. Ale kiedy to zrobili, te z prawej doskoczyły szybko, podbiły oba karabiny i obaliły niefortunnych wartowników na ziemię, wciskając butami w grunt.

Nikt nawet nie meldował wykonania rozkazu. Wystawienie tych dwoje, żeby pilnowali czegokolwiek, było dramatyczną pomyłką.

– No dobra. Skoro tu stali, to znaczy, że jeden z naszych oddziałów jest niedaleko.

– Mhm. – Shen ujęła wodze swojego konia. – Jedziemy.



Jej ludzie unieśli dwójkę durniów z ziemi i wykręcając ręce, zaczęli prowadzić z przodu. Gdyby przed nimi był jeszcze jeden idiota z karabinem, niech zastrzeli najpierw swoich.

Już za pierwszym zakrętem ich oczom ukazały się cztery szczipione ze sobą wozy pośrodku traktu. Kiedy zatrzymał się pierwszy, pozostałe musiały wbijać się kolejno w przeszkodę przed sobą. Wyraźnie widać było wzniesienie, z którego zjeżdżały. A na błocie, jadąc z górki, wyhamowanie obładowanego wozu okazało się niemożliwe. Widać też było przyczynę, dla której pierwszy wóz stanął w miejscu. Dwa drągi włożone między szprychy z obu stron naraz. Wóz był już bezużyteczny. Oba przednie koła zostały połamane.

– No nawet, nawet – powiedział Kadir. – Akcja sprawnie wykonana.

– Zupełnie jakby nie nasi partyzanci walczyli – potwierdziła jego uznanie Shen. – Hej tam! – krzyknęła w stronę grupy ludzi skupionych nad skrzyniami, które leżały na poboczu. – Kto tu dowodzi?

Tamci zamarli. Potem od grupy oderwał się młody człowiek w nowiutkim płaszczu czarownika. Podeszedł bliżej bez wahania.

– Jestem Varik – powiedział wesoło. – To dla mnie zaszczyt móc spotkać panią osobiście.

Zaskoczył Shen.

– My się znamy?

– Ależ oczywiście, choć w pewnym sensie tylko. Pani portrety wiszą przecież na każdym rozstaju dróg. I trzeba przyznać, że imperialny malarz dość dobrze oddał pani niezwykłą urodę. Choć co tam portret do oryginału.

– Gładko mówisz – wtrącił się Kadir. – Jesteś wykształcony.

– Prawdę mówiąc, jestem lekarzem. Lekarzem i nauczycielem, koleś. – Wobec Kadira dowódca oddziału partyzanckiego pozwolił sobie na daleko idącą poufałość. – Przyłączyłem się do partyzantów, kiedy się głośno o pani Shen zrobiło. No ale na miejscu okazało się, że musiałem objąć tutaj dowództwo. Bo to, co oni sami robili, to był obraz nędzy i rozpacz.

Varik podeszedł bliżej, patrząc ze złością na swoich niefortunnych wartowników.

– Cztery warty poza kolejnością! – warknął. Potem położył dłoń na ramieniu chłopaka. – A ty to już mi drugi raz podpadłeś, koleś.

– No, na warcie tobym ich pod żadnym pozorem już nie stawiał. – Kadir zsiadł z konia, z przyjemnością prostując kości. – Chyba że po

przeszkoleniu.

– Już ja ich przeszkolę. Zapamiętają do końca życia.

– Zabawne. – Shen również zeskoczyła z siodła. – Le–karz z takim talentem wojennym. – Popatrzyła na unieruchomione na zboczu wozy. Tylko za pomocą dwóch drągów. – Brawo!

– Zająłeś się wojennym rzemiosłem, bo co? – dopytywał Kadir. – Pracy dla ciebie nie było?

– Była, koleś, była. – Varik uśmiechnął się szeroko. – I właśnie z jej powodu tu jestem.

– Czego ci brakowało? Pieniędzy?

– Satysfakcji – odparł tamten bez wahania. – Uczyłem te swoje młodziaki z ludu i cały czas miałem wrażenie, że cokolwiek bym im do głów powkładał, to i tak niewiele zmienię w ich życiu. Ich los do jednej warstwy przypisany. Może i nie będą mieli najgorzej ze wszystkich, ale wysoko się wspiąć nie będą mogli. Czułem, że wykonuję jakąś jałową, bezsensowną pracę, z której nikt doraźnych korzyści nie odniesie.

– To akurat rozumiem. – Kadir pokiwał ze współczuciem głową. Młody człowiek był przekonujący. Miał też naprawdę wielki talent, skoro przystał do oddziału ot, tak sobie i zaraz komenda znalazła się w jego rękach. Zastanawiał się, czy ten nauczyciel mógłby być agentem sił specjalnych wkreconym w szeregi wroga. Po chwili namysłu odrzucił ten pomysł. Zbyt wyrafinowany, jak na służby. No i zbyt nisko go umieścili, jak na jakąś konkretną akcję.

– No i pojąłem, że tylko ucząc, ludzi nie zmienię –ciągnął Varik. – Potrzeba czegoś jeszcze, potrzeba czynu, koleś.

– A czego uczyłeś?

– Leczenia ludzi. Jestem lekarzem – powtórzył.

– I jako lekarz mało ci było czynów?

– Postanowiłeś walczyć za swoich uczniów? – Shen uniosła brwi zdziwiona. – Za ich przyszłość?

– Za to tylko, żeby mogli wziąć sprawy we własne ręce.

– Oni nie chcą brać niczego we własne ręce. Poza cudzym złotem, być może.

– To nie ich wina, pani!

– A czyja?

– Edukacji. A raczej jej braku. – Varik wyraźnie wierzył w to, co mówił, i była to dla niego paląca sprawa. – Ale ogarniemy to. Wiem, że jedzie do mnie dwóch kolegów. Chcą się przyłączyć.

– Też nauczyciele? – zapytał Kadir, usiłując mówić takim tonem, żeby nie było w nim śladu sugerowania podtekstu.

– Nie, koleś. Jeden jest prawnikiem, drugi nie skończył jeszcze własnej nauki. Teraz interesuje ich tylko rewolucja.

Shen skinęła głową. Zapaleniec najwyraźniej nie był partnerem do rzeczowej dyskusji. Chociaż dobrze, że się tu znalazł. Miał inicjatywę, wiedział, czego chce, i wiedział, jak do tego dążyć. A za ewidentne talenty przywódcze należało mu się coś więcej niż dowodzenie jednym malutkim oddziałkiem.

– No dobra. – Shen poczuła się wyraźnie uspokojona, że wśród partyzantów pojawiają się jednak ludzie, którzy mają energię i własny pomysł na to, jak działać. – Co z tymi wozami?

– Dziwna rzecz. – Lekarz w płaszczu czarownika poprowadził ich w kierunku pobojuwiska. – Chciałem zdobyć trochę dodatkowej żywności.

Jak oni ładnie nazywają rabunek „zdobyciem”, pomyślała Shen.

– Ten konwój bardzo mnie zastanawiał. Śledziliśmy ich ze dwa dni, zanim teren okazał się sprzyjający do napaści.

– A co w nim było dziwnego?

– Dlaczego jadą tędy? Bezdrożami, a nie cesarską drogą.

– Bo na drodze rabują, a tu dzicz? – poddała myśl.

– Wręcz przeciwnie. Na drodze nie rabują, a tu i owszem, co widać na załączonym obrazku. – Varik uśmiechnął się do własnych przemyśleń. – Po mojemu to oni bardzo bali się kontroli.

– Dlaczego?

– To konwój sług czarowników. Jechali od Wielkiego Lasu chyba. A po drodze albo partyzanci sprawdzą, co na wozach, albo później cesarska armia. W okolicach Kong Polacy też lubią przetrzepać bagaże podróżnych dokładnymi kontrolami, bo na lotnisku zaczęły się kradzieże. A ci tutaj jakoś tak bokiem, bokiem, byle nie na widoku.

– Co było na wozach?

– Generalnie jakieś tam świątynne wota. Jeśli się nie jest wielkim magiem, to się nie zrozumie, na co komu te plecioni. Była też żywność, na

szczęście. Były koce i trochę broni. Ale najważniejsza jest chyba skrzynia z papierami. Pewnie jakieś raporty.

– Zdobyliście? – zapytała Shen.

– Jakżeby inaczej. Papiery są, tyle że szyfrowane.

– A to nie jest taki duży problem. – Kadir rozłożył ręce. – Gdy się ma odpowiednich przyjaciół.

– Cała skrzynia stoi nietknięta. Było coś jeszcze dziwnego... – Nauczyciel dotknął swojego okrycia.

– Co takiego?

– Kiedy już ci z wozów poddali się po strzelaniu, podchodzę do takiego młodego czarownika i mówię mu: „Płaszcz dawaj, koleś, bo tu marzną nocami”. A ten dłoń do ust podniósł, że niby jakieś zaklęcie chce wypowiedzieć i na mnie rzucić. No to mówię do niego: „Nie ze mną te numery, koleś”... – Varik odstłonił połę płaszcza, ukazując kaburę, w której tkwił ogromny rewolwer. – Wyjąłem swojego sześciopięciopalcowego kadira i włożyłem mu lufę do ust, żeby się już tak nie męczył z wypowiadaniem zaklęcia. A kiedy odciągnąłem kurek z trzaskiem, to tamten się zesikał.

Kadir zaczął się śmiać. Z zaciekawieniem obserwował też zmiany, które dokonywały się w języku mówionym, a które dotyczyły wymyślonej przez niego broni. „Sześciopalcowy kadir”. Ciekawe.

– No i co? – zapytała Shen.

– No nic, płaszcz zdjął, a ja wziąłem, mimo że obsikany. Potem mi wyprała jedna z naszych.

Varik wyjął poskładany równo arkusz papieru.

– Znalazłem to w kieszeni. List. A raczej szkic listu do mistrza. Rodzaj notatek, których nie zdążył zaszyfrować.

– I czego się dowiedziałeś? To bardzo ciekawe.

– Więcej niż ciekawe. Tu jest wyraźnie napisane, że w polskim wojsku jest ich człowiek. Autor listu nazywa go „nasz”, ale też używa określenia „dar od Bogów”, zamiennie. Pisze też, że się odkrył.

– Co?

– Autor, mówiąc o tym człowieku, używa słów: „on się odkrył”. Jest to bardzo wyraźnie podkreślone.

– Jak to się odkrył? Zdradził się z czymś znacząco?

– Właśnie nie wiem. Ale tak to brzmi. Sami przeczytajcie.

Shen wzięła papier z rąk Varika, ale nie zamierzała nawet zerkać. Przekazała list Kadirowi. Wiadomość miała nieprawdopodobną wagę. Także w rozumieniu handlowym. Oraz przetargowym podczas ewentualnych negocjacji z Polakami. Ale to w tej chwili nie było dla niej istotne.

Wojna zbliżała się wielkimi krokami. A ona znalazła właśnie wśród swoich dowódców człowieka z talentem, głową na karku i inicjatywą. Jeśli jeszcze jego kumple, ten prawnik z kolegą, okażą się podobni, to jest od czego zacząć. Jediną wadą lekarza było, że nadużywał słowa „koleś”. Nikt tutaj tak nie mówił. Chociaż to może i dobrze. Nie potrafiła zapamiętać imion wszystkich swoich ludzi, więc temu nadała w głowie przydomek: „Koleś” Varik. Łatwiej będzie skojarzyć.

Westchnęła, patrząc na wychodzące zza chmur blade słońce. I w tym westchnieniu było sporo ulgi.



## Rozdział 6



Takiego przyjęcia w letnim pałacu cesarskim jeszcze nie było. Zaproszeni goście stali w równych rzędach, nie śmiać komentować tego, co ma nastąpić. Goście mniej oficjalni, zaproszeni oczywiście, ale nie w oficjalnych listach przewidzianych przez etykietę, kręcili się po kularach, plotkując zawzięcie. Przynajmniej raz na jakiś czas los odwracał się i zaczynał sprzyjać tym mniej ważnym. Bo podczas kiedy ambasadorowie, księżęta i wielmoże musieli stać na baczność w wielogodzinnym oczekiwaniu na przybycie władczyni, ci mniej ważni mogli swobodnie raczyć się winem i zakąskami zgromadzonymi z dala od oficjalnej pompy. W przeciwieństwie do przypominających teraz posągi ludzi najbliższych władzy w tym tłumie wrzało.

– Zamach! Zamach! – było najczęściej powtarzaniem słowem.

Jeśli cesarzowa ogłosi lub choćby tylko potwierdzi pogłoski o zamachu na jej życie, wszystko zmieni się diametralnie. Wiele głów zostanie dzisiaj na zawsze odłączonych od ciał ich właścicieli. Nie tak dawne przecież były czasy cesarzowej Wilthe, kiedy to po ogłoszeniu próby zamachu członkowie gwardii oficerskiej chodzili bezpośrednio na oficjalnej audiencji i wyłuskiwali z wyprężonego na baczność tłumu podejrzanych o udział w spisku. Nie prowadzili ich zresztą daleko. Kat kaźnił ofiary podejrzeń na tej samej sali, tuż za plecami słuchających przemówienia władczyni. Opowieści przypominające to wydarzenie wyraźnie podniecały

plotkujących w korytarzach pałacu. Każdy wyobrażał sobie, co musi czuć człowiek słyszący słowa z pierwszych ust cesarstwa, kiedy za plecami mistrz umierania czyni swoją powinność. Nikt ze skazanych nie śmie przecież krzyżeć czy protestować! Ale te odgłosy... Szepty, prośby, błagania, cicha szamotanina i... ciach! Ciekawe, jaki odgłos wydaje tocząca się na posadzce głowa? A może podstawili kosz ze słomą? Czy słyhać, jak krew wypływa z przeciętych tętnic?

A potem znowu. Nasłuchiwanie, czy odgłos kroków oficerów gwardii zbliża się za plecami, czy oddala? Przecież nikt nie śmiałyby odwrócić głowy, żeby zerknąć, po kogo idą. I tak całe pół dnia... Urocza perspektywa, która wyraźnie podniecała tłum w korytarzach.

Wśród tych mniej ważnych gości przechadzali się Tomaszewski i Rosenblum, pocąc się w galowych mundurach, dla których nie było wersji tropikalnej. Kai instruktor misji nie wypuścił ze szkolenia. I nie pomogły prośby, że przecież nie może odpuścić takiej okazji. „Jeśli odpuścisz szkolenie, zginiesz” – kwitował i pozostał niewzruszony.

– Jak myślisz, cesarzowa ogłosi wieść o zamachu? – zapytał Tomaszewski, biorąc z tacy podręcznego puchar z winem.

– Nie myśl, że mnie, maluczkiego oficera wywiadu, dopuszczają do ambadorskich tajemnic – odparł Rosenblum. – To prędzej ty powinieneś coś wiedzieć.

– A ty nie myśl, że wujek Wentzel dzwoni do mnie z informacjami. Zresztą nawet jakby chciał, to tu telefonów nie ma.

– Radzę, nie pij tego świństwa – Rosenblum na chwilę zmienił temat, widząc, że jego kolega zamierza podnieść puchar do ust. – Dzisiaj wszyscy mają być trzeźwi, więc wino rozcieńczono wodą w stopniu maksymalnym.

– Szlag! – Tomaszewski odstawił kielich na najbliższy parapet. – Ale to by znaczyło, że ogłosi zamach.

– Niekoniecznie. Bo niby co w tej fazie śledztwa miałyby na tym zyskać?

– Ściąć publicznie ludzi na postrach jak Wilthe. Winnych czy niewinnych, nieważne. Ważne, żeby wszystkim strach dupę ścisnął.

– No i sam widzisz. Słuchasz plotek, zamiast studiować tutejszą historię.

– Przypomnę ci tylko, że jestem oficerem liniowym, ciągle w akcji. I bez urlopu, panie komandorze!



– Ojjoj. – Rosenblum uniósł ręce w odzegnującym geście. – Dopisze ci się współczynnik powiększający do dni służby. Emeryturę będziesz miał większą.

– Jeśli dożyję.

– Powiem ci, dlaczego to, co wymyśliła cesarzowa Wilthe, okazało się niezbyt praktyczne. – Rosenblum pokiwał ręką do znajomego miejscowego notabla, którego mijali. – Otoczyła się takim terrorem, że nie podszedł do niej nikt z bronią.

– Nikt uzbrojony nie podszedł bliżej? No to jednak była skuteczna.

– Zginęła potem w zamachu, którego dokonano w łaźni, podczas wizyty w jakimś garnizonie, który miała obowiązek odwiedzić.

– A w jaki sposób można kogoś zabić gołymi rękami, skoro ten ktoś jest przez cały czas otoczony przez strażników? – zainteresował się Tomaszewski.

– To proste. Z kilku wiader naraz oblano ją wrzątkiem. – Rosenblum skrzywił się, mówiąc te słowa. – Przyznasz, że dość bolesne, prawda?

– No niezłe, niezłe. Niech to szlag.

– Ale faktycznie. Broni żadnej przy sobie zamachowcy nie mieli.

Dźwięk fanfar przerwał im tę niezbyt przyjemną dyskusję. Wszyscy wokół zastygli najpierw w bezruchu, by tylko, kiedy hejnał już przebrzmiał, zacząć cisnąć się do miejsc, skąd było widać, co się dzieje na sali audiencji. Rosenblum i Tomaszewski mieli szczęście. W swojej przechadzce po szerokich korytarzach zatrzymali się akurat przy niewielkim wykuszu nad kolumnadą oddzielającą pomieszczenia dla służby. Można było widzieć stąd prawie jedną czwartą sali.

Herold na dole zapowiadał nadejście cesarzowej. Najpierw jednak musiał przecież wymienić wszystkie przysługujące jej tytuły, a to trwało dłuższy czas.

– Na co stawiasz? – szepnął Tomaszewski wprost do ucha koledze. – Powie o zamachu?

– Zapowiedziano, że dzisiaj nastąpi ogłoszenie spraw wagi państwowej. Może powie.

Tymczasem na salę audiencji wszedł mistrz ceremonii ze swoją świtą. Odprawiany przez niego dyplomatyczny rytuał przypominał trochę to, co robili najwyżsi kapłani w swoich świątyniach. Brakowało jedynie ołtarza ofiarnego i zabijanych na nim zwierząt, które darowano Bogom. Ale kto

wie? Jeśli scenariusz dzisiejszej audiencji miałby się potoczyć według historycznego wzorca, to może rolę składanych w ofierze zwierząt przejmą ludzie? I jedyną różnicą będzie to, że zamiast ołtarza umieszczonego w świątyni z przodu kat ustawi swój pień z tyłu, za plecami „wiernych”.

– Patrz! – Rosenblum wskazał coś palcem. – Ale numer.

Ludzie na korytarzu najwyraźniej byli czymś poruszeni. Tomaszewski nachylił się, żeby lepiej zobaczyć.

Coś niebywałego. Od strony prywatnych komnat pojawili się pierwsi ludzie z orszaku władczyni. Zamiast strażników byli to jednak marynarze z oddziału szturmowego, stacjonujący w bazie z imperialnymi ścigaczami. Bogowie! Po raz pierwszy chyba w historii świta z otoczenia cesarzowej miała w rękach gotową do użycia broń. I nie były to ani halabardy czy skałkowe karabiny, ani paradne miecze i tarcze. Marynarzy wyposażono w pistolety maszynowe i erkaemy. Jeden dźwigał na plecach radiostację, przez którą mógł w każdej chwili wezwać wsparcie lub umożliwić dowódcy tej zaimprovizowanej straży ogłoszenie ewakuacji.

Cesarzowa nie musiała niczego mówić ani ogłaszać. Wszystko stało się jasne. Kiedy sama pojawiła się w zjawiskowej sukni, której tren musiało dźwigać dwadzieścia dam do towarzystwa, nikt nie spodziewał się już zaskakujących wystąpień. I tu władczyni zaskoczyła swój lud po raz drugi. Po przywitaniu się z dworem, oficjalnymi gośćmi i przedstawicielami korpusu dyplomatycznego władczyni zapowiedziała rewolucję.

Herold podsunął jej odpowiedni dokument, cesarzowa zaczęła czytać dekret o zmianie systemu podatków w cesarstwie. Odtąd jeden podatek od przychodów i stanu posiadania miały zastąpić dwa podatki. Od zysku i od wartości dodanej. Władczyni sprawnie i ze zrozumieniem czytała pismo, które przygotowali jej doradcy skarbowi inspirowani doświadczeniami ludzi zza Gór Bogów. Nowoczesny system podatkowy pozwalał ludziom nie płacić podatków od przychodu, który został zainwestowany. Jeśli ktoś inwestował, budował, stwarzał miejsca pracy, od pieniędzy, które włożył w ten interes, nie płacił podatku w ogóle. Ciężar fiskalny mieli od tej pory wziąć na siebie wyłącznie konsumenci i temu służył drugi podatek. W całości płacił go wyłącznie ostateczny odbiorca towaru bądź usługi. Pozostali byli obciążani jedynie cząstkową opłatą od sum, które do finalnej rzeczy dołożyli.

Choć cesarzowa czytała bardzo powoli i wyraźnie, nikt niczego nie zrozumiał. Poza oczywiście nieliczną grupą bogatych kupców, bankierów i spekulantów, którzy podnieceni nowymi możliwościami, rozdyktowali się tak gwałtownie, że trzeba ich było siłą wyprowadzić na dziedziniec, gdzie mogli sobie gadać do woli, nie zakłócając powagi zgromadzenia.

Cesarzowa od spraw podatkowych gładko przeszła do problemów z administracją. Zaczęły się nużące wyliczanki problemów poszczególnych prowincji, a potem sumowanie, jaki wysiłek wojenny poniesie każdy z ośrodków w związku z operacją, która rozwija się wzdłuż drogi do Kong. Przy szczegółach dotyczących współpracy sojuszniczej między cesarstwem a RP Tomaszewski nie wytrzymał.

– Co to, do cholery, jest? – Nachylił się do ucha Rosenbluma. – Raport o stanie państwa czy co?

– No jak to? – odparł bardziej obeznany z dworem kolega. – Starożytny obyczaj nakazuje władcy zapoznanie ludu, jakie imprezy odbywają się dzisiaj w okolicy.

– Nie żartuj.

– Wbrew pozorom wcale nie żartuję. Ważne tutaj były podatki i ci, co chcieli, usłyszeli, co powinni. A teraz wrzeszczą do siebie na dziedzińcu zachwyceni bezmiarem możliwości, które się pojawiły. To ważne dla państwa. I maluczcy, ci z korytarza, niech się podniecają. A wiadomości dla ludu dopiero nastąpią.

– Nie mogłaby od razu?

– Nie, bo wtedy położyłaby na czymś akcent. A przemówienie skonstruowane jest w taki sposób, żeby o wszystkim mówić mimochodem, niejako przy okazji. Kto mądry, zrozumie, co zostało powiedziane. A kto głupi, niech od razu dołączy do tych wrzaskliwców na zewnątrz i podnieca się, ile wozów wyładowanych złotem będzie teraz można zarobić w szybszy sposób.

– Aha. – Tomaszewski skinął głową, domyślając się, o co chodzi. – Tu, na sali, wiadomości dotyczą czegoś więcej niż wozy ze złotem?

– Tak jest. Tu gra idzie o królestwa, ba, nawet o samo cesarstwo i władzę nad światem. Ale trzeba wielkiej finezji, żeby się rozeznąć.

– No to my się nie rozeznamy. A poza tym jestem głodny.

Rosenblum wzruszył ramionami.

– Masz chyba rację. Czas na zakąski.

Sprawnie wyprowadził Tomaszewskiego, gdzie nie dobiegał już głos władczyni. W rozległych niszach stoły uginały się pod ciężarem smakołyków. Można też było skinieniem wezwać któregoś z młodszych mistrzów, żeby ten osobiście skomponował drugie śniadanie, które słudzy mogli podać do jednego z pokoi na uboczu.

Tomaszewski i Rosenblum obsłużyli się sami. Sądzieli, że skoro rozmowę prowadzili po polsku, nikt ich nie zaczepi. Niestety, mylili się w tej kwestii.

– Witam pana admirała wszechoceanów! – Jakiś pucułowaty mężczyzna podszedł z rozłożonymi szeroko ramionami. – Miło mi znaleźć się w towarzystwie tak znamienitego żeglarza!

Tomaszewski zastanawiał się, skąd obcy facet wie cokolwiek o jego żeglarskim kunszcie. Ostatnio, jeśli chodzi o samodzielne jednostki, dowodził „Biegnącą z Bogami”. Ale to się nie liczy, bo jacht prowadziła Melithe.

– My się znamy? – zapytał.

– Och, nie osobiście. Ale byłem świadkiem twoich znakomitych manewrów żeglarskich, panie.

– Gdzie?

Obcy uśmiechnął się zagadkowo.

– Nie mogłem zasnąć ostatnio z powodu głośnych śpiewów w nocy, na obcą, nieznaną mi nutę, i czuwałem sobie na balkonie mojego domu. Przypadkowo więc byłem świadkiem, panie, jak nad ranem w fontannie przed świątynią Bogów Pomyślności wraz ze znajomym inżynierem zwodowałeś łódź. I na tak żenująco małym akwenie, mając do dyspozycji jedynie łupinkę, a zamiast żagla prześcieradło zatknięte na kij od szczotki, wykonałeś, panie... zwrot przez sztag! Oniemiałem! Takiego kunsztu żeglarskiego jeszcze, panie, w życiu nie widział!

Rosenblum parsknął śmiechem, o mało nie wypuszczając z rąk talerza z ciastem.

– O, ja cię chrzanię, Krzysiek! Takim cię jeszcze nie znałem.

– Oj, przestań. Dion mnie namówił, bo się naćpał czymś od Wyszyńskiej.

– I co? – Rosenblum kpił w najlepsze. – Czy odkryłeś na tym akwenie jakiś nowy ląd? Zatknąłś na brzegu sztandar Rzeczypospolitej?

– Żadnego ładu on nie odkrył, panie. – Pucułowaty plotkarz postanowił zdać szczegółową relację. – Objął za to w posiadanie pomnik sikającego młodzieńca z marmuru, który stoi na środku fontanny. Objął go tak mocno, że się chyba zakleszczył, bo nie chciał potem puścić, kiedy go znajomi usiłowali odciągnąć.

– Ach? To jeszcze szturm przez przeszkodę wodną miał tam miejsce?

– Oj, miał, panie. Miał. Cud, że młodzieniec sikający jeszcze stoi i ma czym sikać.

Rosenblum śmiał się tak, że musiał otrzeć łzy.

– Obok odznaki „Rajd na Baxi” powinni zrobić dla ciebie drugą. „Pogromca cesarskiej fontanny”.

– Ale śmieszne... – Tomaszewski krzywił się na to wspomnienie.

– Nie, panie. Żeglowałeś jak mistrz. Jak nawigator natchniony, zważywszy na środki, jakie miałeś do dyspozycji.

– Jesteśmy świadkami narodzin legendy. – Rosenblum klepał tę plotkarską gnidę po plecach. – Czyż nie?

– Gwiazdy! Gwiazdy żeglarstwa fontannowego!

Tomaszewski nie wiedział, co powiedzieć. Uratowała go jedna z dam dworu, która podbiegła do pucułowatego z informacją.

– Powiedziała! Powiedziała!

– Ale co?

– Zręcznie ukryta w sążnistym raporcie, maleńka wzmianka. Nikt nie usłyszał!

Tomaszewski i Rosenblum wymienili się spojrzeniami. „Nikt nie usłyszał”. Dobrze. Wszyscy na to czekali.

– Na litość wszystkich Bogów! Co powiedziała? – dopytywał plotkarz.

– Że w ramach tymczasowej reorganizacji z powodu wojny w Kong siły specjalne przechodzą pod bezpośrednie dowództwo sztabu generalnego. Ale oczywiście ich wykorzystanie po starym pozostaje w gestii służb specjalnych.

– O Bogowie!

Rosenblum wykorzystał sytuację.

– A jak tam ploteczki? – Nachylił się do damy. – Co ludzie mówią?

Kobieta zadowolona, że ktoś tak ważny jak obcy komandorzy chce słuchać tego, co ma do powiedzenia, odpowiedziała radosnym uśmiechem.

– Mówią, że to Rand pozbawił służby zębów.

Pucułowaty miłośnik oglądania regat fontannowych pokiwał smutno głową.

– Ciekawy chłopczyk – szepnął. – Ciekawe jednak też, czy chłopczyk wie, że władzę obcymi bagnetami zdobyć łatwo. Usiedzieć jednak na bagnetach nie sposób.

Tomaszewski i Rosenblum znowu spojrzeli na siebie.



Major Pełczyński podszedł do długiego stołu, na którym rozłożono części ekwipunku, jaki Kai i Nuk miały zabrać ze sobą. Patrzył wyłącznie na dziewczyny, ignorując obecnych w sali odpraw Wyszyńską i Tomaszewskiego.

– Doba przed wylotem na akcję – powiedział spokojnie. – Czas poruszyć sprawy nieprzyjemne.

– Dopiero teraz będzie nieprzyjemnie? – zakpiła rozparta w głębokim fotelu Nuk. – Znaczy co? Mamy skakać bez spadochronów?

Wyszyńska parsknęła śmiechem. Pełczyński zachował poważny wyraz twarzy.

– Tak. Właśnie o tym chciałem mówić.

Kai głośno przełknęła ślinę.

– Co?

– Już wyjaśniam. – Major podszedł do tablicy, do której przypięta była mapa. A właściwie coś w rodzaju mapy. Wyciąg ze źródeł znalezionych w imperialnych bibliotekach, będący poza szkicową linią wybrzeża po drugiej stronie oceanu jedną wielką białą plamą. Na szczęście specjaliście od operacji specjalnych nie chodziło o ląd. – Lecimy mniej więcej tędy. – Palec majora przesunął się przez środek oceanu. – Daleko przed nami znajdzie się samolot meteorologiczny. I wracając, zamelduje nam o stanie pogody nad celem.

– Łączność radiowa po tamtej stronie oceanu? – wtrącił się Tomaszewski. – Nie boi się pan, że nas namierzą?

– Nie. Z samolotem meteo porozumiemy się przez radio o bardzo krótkim zasięgu. Tylko w chwili, kiedy będziemy się mijać. My do celu, oni w drodze do domu.

– Rozumiem.

– No a co z tymi spadochronami? – Kai wyraźnie nie mogła się uspokoić.

– No właśnie. Zrzut nastąpi mniej więcej tu. – Teraz palec majora zastygł nad bliżej nieokreślonym punktem, położonym z dala od wybrzeża. – I muszę powrócić do kwestii, którą już poruszaliśmy, na razie tylko zdawkowo.

– Mhm? – Kai spojrzała na majora, jakby był sędzią mającym ogłosić wyrok.

Pełczyński pochwycił to spojrzenie i postanowił rozmydlić efekt dłuższą przemową.

– Normalnie postępujemy tak, że żołnierzowi skaczącemu na spadochronie specjalnym przydziela się drugi spadochron, awaryjny. Jeśli zawiedzie sprzęt podstawowy i szybowanie okaże się niemożliwe, zawsze można po prostu wylądować od razu. Awaryjnie. I żaden problem, jeśli stanie się to nad własnym terytorium. Jeśli lądowanie nastąpi na terytorium wroga, żołnierz ma wybór: albo podejmie indywidualną próbę przedarcia się do swoich, albo po prostu podda się obcemu wojsku. No trudno, skoczki szkoleni są tak, żeby w razie wpadki od razu szczerze odpowiadać na wszelkie pytania przesłuchujących. Dlatego niewiele wiedzą o celu akcji. To lepsze niż tortury, podczas których i tak każdy się przyzna.

– A nad morzem? – zapytała Nuk.

– No właśnie. Użycie spadochronu awaryjnego nad akwenem wodnym uruchamia wszystkie służby ratunkowe. Jest szansa podjęcia pechowego skoczka również na akwenu pod kontrolą przeciwnika, przy użyciu różnych środków technicznych. Ale powiedzmy sobie szczerze: tu nie mamy takich możliwości nawet teoretycznie.

– I w związku z tym nie dostaniemy spadochronów awaryjnych? – Nuk wzruszyła ramionami. – Bardzo słusznie. Lądowanie w wodzie, z dala od obcych wybrzeży, a o jakieś niewyobrażalne odległości od nas stanie się jedynie długą męczarnią zakończoną konaniem.

– A co dostaniemy zamiast spadochronów awaryjnych? – zainteresowała się Kai.

Pełczyński odwrócił się powoli od tablicy z mapą.

– Dostaniecie rewolwery. Dużego kalibru i z krótką lufą.

– Po co? – Czarownica nadal się nie domyślała.

Nuk zaczęła się śmiać.

– On się najbardziej boi nie tego, że coś zawiedzie i zginiemy od uderzenia w wodę. On się boi, że spadochron główny nie rozwinie się do końca albo coś się popsuje i lot w dal będzie niemożliwy. Ale znajdziemy się w wodzie żywe. I będziemy sobie pływać dzięki kamizelkom ratunkowym.

– No i po co rewolwer?

– Żeby strzelić sobie w głowę. – Sierżant ciągle wydawało się to zabawne. – Duży kaliber, krótka lufa. Nawet jeśli ci łapa będzie latać ze strachu na wszystkie strony, to i tak załatwisz sprawę szybko i definitywnie.

– To prawda – Pełczyński potwierdził słowa Nuk. – Rozwiązanie lepsze niż kilka dni konania bez żadnej nadziei.

– Ale jak? – wyrwało się Kai.

– Radzę nie strzelać sobie w skroń ani w czoło, bo pewien procent takich samobójców przeżywa. Najlepiej strzelać pionowo w górę, wkładając sobie lufę do ust. Ewentualnie umieszczając wylot lufy pod brodą. – Major demonstrował palcem, jak to się robi.

Czarownica potrząsała głową.

– Nie ma jakiegoś wsparcia?

– Ależ oczywiście, mogę wezwać dodatkowe wsparcie. Jeśli jest pani wyznawcą monoteizmu, zadzwonię po kapelana. Jeśli woli pani politeizm, każę zawołać któregoś z waszych kapłanów.

Wyszyńska skrzywiła się, słysząc ostatnią uwagę.

– To już mógł pan sobie darować – rzuciła.

– W instrukcji napisano, żeby żołnierzem przed akcją wstrząsnąć. Lepiej, żeby złamał się tu, siedząc w fotelu, a nie podczas akcji, narażając kolegów.

– Nie czuję się wstrząśnięta. – Nuk wyglądała na rozbawioną. – Chyba będzie pan to musiał zrobić własnoręcznie.

Tomaszewski uśmiechnął się mimowolnie. Ten spadochroniarz miał rację, charakteryzując dziewczynę. Każdy dowódca chciałby mieć taką w swoim oddziale. Bał się o Kai. Wiedział, że jest zdecydowana, inteligentna i daje sobie radę. Jednak była ewidentnie za młoda. A poza tym inaczej się postępuje, mając władnych kolegów i za plecami wielką armię z innego świata, a inaczej samemu, w ciemności i zagubieniu. Inaczej, kiedy każdą swoją pomyłkę da się naprostować, a za błąd grozi jedynie skwaszona mina



dowódcy, a inaczej, kiedy za błąd i chwilę słabości odpowiada się własnym życiem.

– Czy możemy przejść dalej? – zapytał, nie chcąc, żeby Pełczyński brnął w niepożądanym kierunku.

– Jasne. – Major znowu podszedł do stołu z wyposażeniem. – Długo myśleliśmy, w jaki sprzęt was wyposażymy. Po długich naradach stwierdziliśmy jednak, że żaden kamuflaż nie będzie adekwatny. Polecicie z naszym sprzętem.

– A jak nas złapią? – zapytała Nuk. – Wszystko się wyda.

– No właśnie. Ustaliliśmy, że tak będzie lepiej. Ponieważ nie możemy udzielić wam bezpośredniego wsparcia, stwierdziliśmy, że najlepiej będzie zastosować najprostszą procedurę. W razie złapania od razu przyznajecie się do wszystkiego. Żadnych długich przesłuchań, żadnych tortur, męki ani bezsensownego kluczenia. Odpowiadacie na każde pytanie szczerze i od razu. Tortur i tak nie wytrzymacie, a przy tej metodzie nasz sprzęt będzie działał na waszą korzyść. I da im do myślenia.

– A jeśli to będą jakieś prymitywy?

Pełczyński wzruszył ramionami.

– Nie sposób przewidzieć wszystkiego. Skoro jednak oślepiony przez dzikusów podróżnik przeszedł przez tę krainę bez większych problemów, to i wam powinno się udać.

– Z tych materiałów wynika – Kai podniosła opasłą instrukcję – że tam panuje satrapizm i zamordyzm.

Major wskazał Tomaszewskiego.

– To już kwestia wywiadu, a nie moja.

– Kai, nie ma słowa „satrapizm”.

– Krzysiek, właśnie go stworzyłam. Nie rozmydlaj.

– Tak naprawdę nie wiemy, co tam się dzieje. Przesłuchanie podróżnika skupiało się na pomniku cesarzowej Achai. Podróżnik nie był zbyt przytomny, gorączkował, tracił świadomość i mówił w malignie. Niewiele wiemy o jego przygodach. A instrukcja zawiera to, co sklecieliśmy ze strzępów i naszych domysłów.

– U, zaraza jasna – mruknęła Nuk. – Zupełnie jak przed wkroczeniem imperialnego korpusu do Wielkiego Lasu w Sait.

– Nie dobijaj mnie. – Kai przekręciła się na obrotowym fotelu w sali odpraw i stuknęła koleżankę w bok. –Wyobraź sobie, że nie wszyscy chcą

od razu złożyć swoje życie na ołtarzu ojczyzny.

– Że niby ja chcę?

– Ja się na ochotnika do wojska nie zgłosiłam.

– To co robisz w mundurze? Gwałtem cię wzięli?

Tomaszewski wszedł pomiędzy dziewczyny, żeby przerwać sprzeczkę. No i do wszystkich kłopotów, jakie go trapiły, doszły jeszcze kłótnie w oddziale rozpoznawczym. Super. Lepiej nie można było wymyślić. Nie miał zielonego pojęcia, czy konflikt między dwiema babami jest na poważnie, czy też jest jeszcze nadzieja, że to żartem podszyte albo tylko z powodu nerwów.

Pełczyński też to zauważył i błyskawicznie przeszedł do następnej kwestii.

– Nie jedziecie tam na bitwę. Więc jako broń poza wspomnianymi rewolwerami dostaniecie tylko służbowe pistolety w wersji specjalnej.

Obie znały już tę wersję. Zwykły pistolet pozbawiony ogranicznika i z przekonstruowanym zamkiem. Kiedy się założyło do rękojeści długi magazynek, mógł od biedy służyć za pistolet maszynowy. Bez szans na trafienie w cokolwiek z większej odległości. To była broń „ratunkowa”, do strzelania z kilku kroków, stawiając ścianę ognia, a nie do mierzenia w konkretny cel.

– A ewakuacja? – zapytała Nuk, przerywając ciąg nieistotnych wyjaśnień.

Pełczyński zerknął na Tomaszewskiego. Ten skinął głową.

– Jest możliwa drogą lotniczą, za pomocą łodzi latającej dalekiego zasięgu.

– Ale taką łódź musimy wezwać?

– Tak.

– I ile będziemy musiały czekać?

Tomaszewski westchnął mimowolnie.

– To ciężka sprawa, ponieważ żadna łódź nie ma takiego zasięgu, zakładając lądowanie w pobliżu celu i ponowny start z powierzchni morza. Będziemy musieli skrócić dystans, przesuając statek bazę. Dodatkowo warunki na końcu trasy muszą być idealne. Łódź podczas burzy ani zbytowego wiatru nie przyleci. No i trzeba się liczyć z czynnikiem obiektywnym. Statek baza dla łodzi latających nie jest w naszej

bezpośredniej dyspozycji. Musimy wystąpić o zgodę na ten manewr do dowództwa oficjalnie. Oczywiście admirał Wentzel wie o wszystkim, ale...

– Aha – domyśliła się natychmiast Kai. – Pozostaje pytanie, na jakiej liście priorytetów będziemy w danej chwili, prawda?

Tomaszewski przytaknął.

– To jak długo będziemy czekać na łódź po wezwaniu? – powtórzyła pytanie Nuk.

– Do dziesięciu dni – odparł sucho Tomaszewski. – Oczywiście postaramy się, żeby wszystko rozegrać szybko. Ale dziesięć dni przyjmijmy jako podstawę do przewidywań.

– Rozumiem. A jak ewentualna ewakuacja inną drogą? Jeśli coś pójdzie nie tak albo stracimy radiostację czy w ogóle stanie się coś nieprzewidywalnego?

Ciekawe, jak to ująć? Tomaszewski specjalnie nie unosił głowy, żeby nie napotkać wzroku Pełczyńskiego.

– Mmm...

– Aż tak źle? – roześmiała się Nuk.

– No nie. Możecie pójść śladami ślepego podróżnika. Przejść przez odkryte przez niego przejście północno–zachodnie, przedostać się przez kraj, gdzie podobno są budowle, w których ukryto pomnik cesarzowej Achai, i... – tu się zawahał. – I dojść do Wielkiego Lasu w Banxi z drugiej strony. A stamtąd przedrzeć się do naszych oddziałów w Kong! Eeee... lub oddziału przy świątyni w lesie.

– O mamó – wyrwało się Kai.

Nuk machnęła ręką.

– Zawsze chciałam być geografem – powiedziała. – Nie wiem tylko, czy aż tak bardzo.



Tym razem to była łatwizna. Wystarczyło pokonać trawersem zbocze nad wielką rozpadliną i przedostać się pomiędzy skałkami przypominającymi trochę grzbiet prahistorycznego jaszczura. Nazgaj i Szymkiewicz dostrzegli ostatni obóz zakonnych wspinaczy dosłownie chwilę później.

– Łatwo poszło!

– Bo widzisz – Szymkiewicz zdjął ustnik maski tlenowej – my jesteśmy w czepku urodzeni.

Dyszając ciężko, podeszli bliżej.

Trzy ciała skulone i przytulone do siebie leżały pod skałą mającą dać wspinaczom z zamierzchłych epok ostatnie schronienie. Żal było patrzeć na ich cienkie, skromne okrycia. Szczególnie mając na sobie nowoczesne puchowe kurtki z odpowiednim podkładem. I w ogóle miejsce sprawiało przygnębiające wrażenie. Bardziej niż poprzednio, przed grobem, który odkryli wcześniej.

– Szlag! Sprawdźmy, co mają w tych torbach, i spadajmy na dół – mruknął Nazgaj.

– Może nie dosłownie. Może nie „spadajmy” jednak – Szymkiewicz był w lepszym humorze.

– A coś ty taki wesoły?

– Bo my naprawdę w czepku urodzeni. Pięć wejść, dwa sukcesy. A dwa do trzech to świetny wynik.

– Daj spokój. – Nazgaj z niechęcią podszedł do pierwszych zwłok, leżących z lewej strony. – Posępne miejsce. Wygląda jak cmentarz.

– Raczej jak grobowiec. – Szymkiewicz podniósł rękę i wskazał trójnóg z wotami, znajdujący się na skale jakieś dwa metry nad nimi.

– Widziałem takie wota na zdjęciach w tych materiałach od wywiadu marynarki. To do czarów służyło czy jakoś tak.

Szymkiewicz skinął głową.

– Istotnie. I jak najbardziej słusznie, że ten stojak z wotami tam stoi. Ale teraz wyobraź sobie następującą sytuację...

Nazgaj wyprostował się, patrząc na kolegę. Jemu też wydawało się to dziwne.

– Ci ludzie zrozumieli, że nie pójda dalej i że już nie mają siły wrócić. Dotarło do nich, że zostaną tu na wieczność.

– I?

– I w stanie skrajnego wyczerpania jeden z nich wspiął się dwa metry w trudnym terenie, żeby zostawić ten stojak w charakterze krzyża na grobie. Nie wydaje ci się to nieprawdopodobne?

– Niby co?

– No wiesz, że umierasz. Że już nie dotrzesz do kolegów na dole. Jesteś słaby, wyczerpany, pozbawiony nadziei. I co? I naprawdę jedyna rzecz,

którą byś w takiej sytuacji zrobił, to podjęcie ostatniego, niewyobrażalnego w ich sytuacji wysiłku po to, żeby zawczasu postawić sobie krzyż na własnym grobie?

– Masz rację. Nigdy w życiu. Mając jeszcze tyle sił, żeby się wspiąć po tej skale, raczej bym schodził.

– Właśnie.

Przez chwilę patrzyli na siebie osłupiali. Choć naprawdę ciężko było porównywać sytuację tamtych i ich. To nie była jakaś strasznie zabójcza wysokość. Obaj byli więc w dobrej formie. No ale mieli też nowoczesne, ciepłe ubrania, wysokoenergetyczne koncentraty spożywcze w plecakach, współczesne lekarstwa i aparaty tlenowe. Właściwie dla nich były to zmagania czysto sportowe. Nie ciążył nad nimi obowiązek przekroczenia gór.

– Coś tu jest naprawdę nie tak. – Szymkiewicz pokręcił głową. – Nie mogę sobie wyobrazić faceta, który umierając, stawia sobie krzyż na własnym grobie.

Nazgaj zgodził się natychmiast.

– To w naszej mentalności rzeczywiście jest nie do pomyślenia. Masz siły, walczysz. Ale jak myśleli oni? – Wzruszył ramionami.

– Coś mi się wydaje dziwne. Popatrz. To, że tych trzech leży pod skałą nietkniętych, mnie nie dziwi. Są w osłoniętym miejscu. Ale jakim cudem ten trójnóg z wotami się ostał? Przecież stoi na szczycie skały.

– No? Jakim cudem go nie zwiało przez tysiąc lat?

– Fakt. Nie miał prawa się ostać. – Szymkiewicz poprawił swój ekwipunek. – Idę zobaczyć, co z nim, a ty sprawdź ich bagaże.

Nazgaj, zanim zabrał się do przeszukiwania ciał, zrobił kilka zdjęć. Szczególnie jedno chyba mu wyszło, z pewnego oddalenia, wykonane w taki sposób, że widać było, dlaczego to miejsce przypomina rodzinny grobowiec. Potem zabrał się do rewizji.

– Hej! – po kilku minutach rozległ się okrzyk z góry. – Już wiem, dlaczego oni się poddali tak nisko.

– Dlaczego?

– Bo stąd widać, że gór w tym miejscu nie da się przekroczyć. Wybrali złe miejsce i dopiero tutaj zdali sobie z tego sprawę.

– No tak. To by znaczyło, że zabiła ich utrata nadziei.

– Na to wygląda. Stracili morale.

- No to złaź, bo odkryłem tu coś ciekawego.
- Moment. Ja też coś odkryłem i muszę to zabrać.
- Zdjęcia zrób!
- Robię, robię, chwila.

Spadające z góry odłamki skał świadczyły, że Szymkiewicz musiał się z czymś szarpać. Wyraźnie słychać było uderzenia czekana. Nazgaj fotografował te znaleziska, których nie będą zabierali na dół. Było jasno i pogodnie, idealne światło do robienia zdjęć. Wystarczyło nastawić krótki czas migawki i trzęsące się ręce nie wpływały zbyt na jakość.

Po kilku minutach Szymkiewiczowi udało się zejść ze skały. Dyszał ciężko, nie mogąc wypowiedzieć ani słowa. Usta ukrył pod maską tlenową.

– Tym razem nie mają przy sobie papierów. – Nazgaj wykorzystał tę przerwę. – Ich torby są puste.

Szymkiewicz wolną dłonią zrobił gest, jakby wyjmował coś z woreczka.

- Brylanty? – Łatwo było się domyślić, o co chodzi. – Są.

Milczeli, podczas kiedy Szymkiewicz oddychał przez maskę. Potem odsunął ustnik od ust.

– Nic dziwnego, że w torbach nie mają papierów. Na tej wysokości, na wietrze wystarczy przecież podrzucić plik kartek do góry i koniec. Nie znajdziesz ich przez wieczność.

– Tak? A po co podrzucać do tego amulety? Tamci poprzedni zakonnicy mieli ich mnóstwo. Na szyi, na nadgarstkach, w torbach, w kieszeniach. Ci tutaj nie mają ani jednego.

- Zaraz ci wyjaśnię. Bo teorię mam.

– Co mi po teorii. To się kupy nie trzyma. Ci tutaj najpierw zrozumieli, że nie pójda dalej, umrą w tym miejscu. Więc zrobili sobie grób ze stojakiem wotywnym, pozbyli się wszystkich tajnych papierów i dodatkowo skrupulatnie wyrzucili lub ukryli wszystkie swoje amulety. Tak może by księgowy postąpił, bo widać tu ślady wyjątkowej konsekwencji. Ale nawet księgowy chyba nie postępowałby tak przed własną śmiercią.

– To nie oni – Szymkiewicz przerwał koledze, widząc, że tamten się rozpala.

- Co?

– To nie oni ustawili stojak z wotami. On nie tkwi tu od tysiąca lat. Postawiono go całkiem niedawno.

– Co? – powtórzył Nazgaj.

Szymkiewicz sięgnął do kieszeni, wyjął coś metalicznego i pokazał na wyciągniętej dłoni. Był to nowoczesny zaczep klinowy do mocowania w skale na rozpór. Każdy z nich miał zbiór podobnych, nanizanych na pasek przy biodrze.

– O, ja cię chrzanię...

– To jeszcze nie wszystko. – Szymkiewicz pokazał koledze strzępy liny.  
– Współczesna! A nie te parciane gówna, które mieli ci tutaj. – Czubkiem buta wskazał najbliższe ciało.

– O jasny szlag! Kto to mógł być?

Szymkiewicz włożył rękawice na powrót i długo oddychał przez maskę.

– Ktoś, kto znał ich rytuały. Ktoś, kto wiedział, jak wygląda zakonny grobowiec. Ale nie to jest przecież najdziwniejsze.

– A co?

– Brylantów jest podobna ilość do tej, którą znaleźliśmy przy tych poprzednich wspinaczach?

– Mniej więcej.

– No to odpowiedz na pytanie. Kto ze współczesnych dotarł aż tutaj, startując obojętnie z której strony gór, zrobił im grób, zabrał każdy papier, który mieli przy sobie, zabrał amulety, a zostawił brylanty? Czy jesteś w stanie wyobrazić sobie takiego człowieka?

Nazgaj zaprzeczył energicznym potrząśnięciem głowy. Myślał przez chwilę.

– A może tamten był już wyczerpany. I nie mógł udźwignąć kamyków?

– A ty nie będziesz mógł ich unieść? – zapytał retorycznie Szymkiewicz.

Argument był miażdżący. No pewnie, że będzie mógł. Nie zapomnialby o nich, nawet gdyby był w znacznie gorszej kondycji niż dzisiaj. Dla kogo więc amulety stanowiły większą wartość? Dla kogoś, kto wierzył w czary. I w związku z tym to nie mógł być Polak.

– Facet był zakonikiem.

– To jasne jak słońce. Pytanie: skąd się tu znalazł?

Nazgaj rozejrzał się, jakby liczył na to, że gołym okiem uda się dostrzec coś, co podsunęłoby właściwą odpowiedź. Poza skałami wokół jednak nie było niczego.

– Zaraz – powiedział po chwili. – Mamy już jakieś tam rozeznanie. Albo ktoś przyszedł tą samą trasą co my i ci martwi zakonnicy, czyli trawersem od lewej. Albo...

– Trawersem od prawej – dokończył za niego Szymkiewicz. – Trasą prosto z dołu do tego miejsca nie uda się dotrzeć.

– Właśnie. Ale gdyby facet posuwał się tą samą trasą co my, to na dole natrafilibyśmy na ślady jego obozowiska.

– Masz rację. Przyszedł trawersem z prawej. Czyli płynąc przy brzegu w prawo, powinniśmy natrafić na jakieś ślady.

Nazgaj machnął ręką.

– To i tak sprawa dowództwa, a nie nasza. Damy im do myślenia tym, co im przyniesiemy.

– I znowu masz rację. A my już schodźmy, zanim skończy się tlen.

– Sekunda. Przecież nie możemy wrócić z większą ilością kamyków niż poprzednio.

– Ach, tak. – Szymkiewicz zdjął rękawicę i nastawił rękę.

– Jeden dla mnie, jeden dla ciebie...



Kai wyrównała lot spadochronu tuż po tym, kiedy rozległ się terkot wysokościomierza. Zerknęła na kompas i teren pod nią. Właśnie wlatywała nad ląd. Dokładnie na tej wysokości, którą przewidzieli ludzie zlecający jej misję. Wszystko więc szło zgodnie z planem. Chwyciła znowu za uchwyty sterujące, zrobiła łagodny zwrot i ustawiła się na linii wzdłuż plaży. Ten cholerny hełm przeszkadzał w obserwacji, ale z tego, co dostrzegła dosłownie kątem oka, Nuk również robiła zwrot, dokładnie w tej samej chwili. Łatwiej było spojrzeć w dół. Plaża i łagodny klif wydawały się puste. Nigdzie żywej duszy, więc i na teren trafiły dobry.

Tak jak ją nauczono, wypuściła trochę „powietrza spod czaszy”. Spadochron zaczął opadać szybciej, a jednocześnie zwolnił, jeśli chodzi o prędkość poziomą. On rzeczywiście wszystko robił jakby sam, intuicyjnie, zdawałoby się, odgadując wolę skoczka.

Już po chwili Kai poprawiła się w uprzęży, złączyła nogi razem i ugięła w kolanach. Niepotrzebnie. Przyziemienie było tak łagodne, że nie upadła. Lądowanie zmusiło ją jedynie do przebiegnięcia kilku kroków. Szybko wybierała dolne linki, żeby czasza nie pociągnęła jej po piasku, a kiedy



udało się ją zgasić, odpięła paski pod brodą i zrzuciła hełm razem z ustnikiem maski.

– Jasna zaraza! – Ściągnęła gogle i rozmasowała swędzące policzki. – No jasna zaraza!

Gorączkowo zaczęła wypinać się z uprząży spadochronu. Instrukcja mówiła jasno: po lądowaniu na obcym terytorium w pierwszej kolejności należy odzyskać sprawność bojową. Czarownica szarpała się z klamrami, paskami i zwojami linek.

– Spokojnie! – Nuk wylądowała tuż obok. Równie sprawnie i bez strat. – Żyjemy!

– Niech cię jasna zaraza! – Kai po uwolnieniu się od spadochronu sprawdzała, czy wszystko z nią w porządku. Tak jak napisali: trzy przysiady, wyciągnięcie i zginanie rąk, oczy, kolejno zasłaniała lewe i prawe. Kontrola nadgarstków i stawów skokowych również zaliczona. – Melduję pełną sprawność!

– Służbistka. – Nuk również przeprowadzała autokontrolę. – Melduję pełną sprawność!

– No to możemy iść góry przenosić!

Nuk parsknęła śmiechem.

– No jednak jakieś jaja masz, trzeba przyznać.

– Powiedz mi, co to było, do jasnej zarazy?!

– Nie umiesz inaczej kląć? Nawet tego mam cię uczyć?

Kai nie dała się wytrącić z równowagi.

– Co to było?! No... Co to mogło być?!

– Mówisz o tej babie podpiętej do... – Nuk, szarpiąca się z oporządzeniem, nie wiedziała, jakiego słowa użyć. – No, lecącej tym...

– Latawcem – odpowiedziała Kai.

– No właśnie. To nie była polska maszyna. Bo ktoś by nam o tym powiedział.

– To z całą pewnością nie była polska maszyna. Już ich na tyle poznałam i wiem, że jak coś nie warczy, nie huczy, nie wyje i nie śmierdzi benzyną po horyzont, to to nie jest w ich mniemaniu dobra maszyna.

– Fakt. Więc nie wiem, co to było.

Czarownica nareszcie uporała się z oporządzeniem. Zdjęła plecak, kitbag i odpięła wszystkie pojemniki. Teraz mogła ściągnąć ciepły kombinezon.

– Ktoś oprócz nas tu umie latać? – zapytała. – Ktoś w naszym świecie opanował sztukę latania i teraz dopiero zobaczyliśmy ten ich... aparat latający po raz pierwszy?

– Bo po raz pierwszy ktoś z naszych leciał przez ocean, prawda? A zresztą co my wiemy o naszym świecie?

– Polacy powinni napotkać takie coś, latając samolotami.

– A co Polacy wiedzą o naszym świecie? – zakpiła Nuk. – Równie mało gównie jak my.

– No ale w żadnej z kronik nie ma nawet wzmianki o wielkich latawcach zdolnych unieść człowieka.

Nuk wzruszyła ramionami.

– Widocznie teraz dzieje się coś inaczej niż zwykle. Nie wiem zresztą. – Przygryzła wargi. – A zwróciłaś uwagę, że tamta obca pilotka, kiedy nas zobaczyła, zesrała się chyba ze strachu?

– Tak, przestraszyła się nas jak rzadko kto. To widziałam bardzo wyraźnie.

Obie, pozbywszy się ocieplanych kombinezonów, zdejmowały szybko polowe mundury. Miały przygotowane miejscowe stroje wykonane przez najlepszych krawców według wskazówek ślepego podróżnika. Trudno to zresztą nazwać strojami. Były to po prostu dwa wielkie prostokątne kawałki materiału z otworem na głowę pośrodku. Najpierw wkładało się biały, cieniutki i przylegający do ciała, a na wierzch drugi, cieplejszy i wykonany z bardziej szorstkiego materiału. Kiedy się w tym stanęło i rozłożyło ręce na boki, sylwetka przypominała wielki żagiel. Co gorsza, tkaniny nie były zszyte po bokach. Przy każdym ruchu więc coś podwiewało, odsuwało się i odsłaniało. Kobiety i mężczyźni nosili tutaj identyczny strój, z tym tylko, że mężczyźni mogli go spiąć paskiem. Kobietom z jakichś przyczyn to nie przystawało. W związku z tym jakikolwiek nieostrożny ruch, niespodziewany powiew wiatru mógł sprawić, że albo z tyłu, albo co gorsza, z przodu można było zostać odsłoniętym nagle do pełnego golasa. Należało zatem być czujnym i nie mieć zajętych dłoni. Najgorsze jednak okazały się buty. Ach, nazwanie czegoś takiego butami już samo w sobie było przesadą. Tubylcy nosili po prostu klapki. Nie żadne tam sandały ani chodaki, tylko zwykłe klapki. Proste podeszwy z rzemiennymi pętlami na stopy. W tym się nie dało chodzić. Już pierwsze kroki na plaży udowodniły dziewczynom, że przy każdym obsypuje się własne pośladki

fontannami piachu. A co będzie na drodze? Kiedy pieszemu wykręcą się kostki?

No nic. Nie ma co narzekać. Jednak zbierając swój ekwipunek, szybko zatęskniły za ciężkimi spadochroniarskimi butami, które będą musiały tu zostawić.

Trzymając w rękach wszystkie klamoty, których musiały się pozbyć, wspięły się na łagodny klif. Wyżej rosły rzadkie i rachityczne drzewka. Nie było problemu ze znalezieniem odpowiedniego miejsca. Tuż pod zboczem niewielkiego wzgórza wycięły wielki kwadrat darni i odsunęły na bok. Kopało się tu wrednie, ziemia piaszczysta i z mnóstwem małych korzeni, ale wyostrzone na brzytwę ostrza saperek radziły sobie wyśmienicie. Dziewczyny zgodnie z instrukcją nie rozsypywały ziemi byle gdzie, tylko na czasę jednego ze spadochronów. Pod sam koniec kopania, kiedy dół był prawie wystarczająco duży, Kai odciągnęła spadochron kilkaset kroków dalej i rozrzuciła nadmiar ziemi z dala od ich kryjówki. Potem czasę razem z całym niepotrzebnym wyposażeniem umieściły w dole, przysypały i nakryły wyciętym wcześniej fragmentem darni. Majstersztyk. Po „utupaniu” terenu nikt nie mógł zauważyć, że kryje się tu cokolwiek.

Zziajane wróciły na plażę. Nuk rozebrała się, co w przypadku miejscowego stroju nie trwało dłużej niż wzięcie oddechu, wzięła stalowe łopatkę i weszła do morza. Odpłynęła spory kawałek, zanim zanurkowała i wbiła obie saperki w piaszczyste dno. Teraz już nikt nie powinien odkryć jakiegokolwiek śladu lądowania. Wokół nie było niczego, co mogłoby świadczyć o obcym desancie.

– No to już możemy udawać dwie tubylcze kobiety. – Nuk po wyjściu z wody najpierw otrząsnęła się jak pies, a dopiero potem zaczęła wycierać.

– Jeszcze tylko akcent chwyćmy – przypomniała Kai. – Musimy mówić jak miejscowe.

– To już twoje zadanie. A... ty naprawdę potrafisz sprawić, że ja też nauczę się błyskawicznie?

– Bez żadnego problemu – uśmiechnęła się czarownica. – Nauczyłam Krzyśka po naszymu, pomogę i tobie. I to będzie dużo łatwiej.

– Mam nadzieję. – Nuk ponownie włożyła na siebie miejscowy strój. – Trochę jestem nieuk, jeśli chodzi o sprawy teoretyczne.

– Toteż zapoznam cię od razu z praktyką. – Kai zarzuciła swoją sakwę na plecy i ruszyła wzdłuż brzegu. – Damy radę.

Wbrew narzuconej sobie siłą dziarskiej postawie czarownica czuła się dziwnie na obcym brzegu. Przede wszystkim ten szok, kiedy trzeba było rzucić kombinezon, pozbyć się całego wyposażenia, hełmu, maski, butli tlenowych, zegarowych przyrządów, a nawet butów i włożyć to coś, w czym właściwie była prawie naga, czując powiewy wiatru na skórze pleców. Z drugiej strony miejscowe ubranie miało tę zaletę, że można było zwiesić z szyi na zwykłym rzemieniu kaburę rewolweru i ukryć ją idealnie pod własnym biustem. A sięgnięcie do rękojeści w przypadku stroju, który nie ma boków, było jednym błyskiem. Ale nie o to chodziło.

Kai czuła się potwornie samotna. Owszem, znajdowała się już przecież w trudnych sytuacjach. Jak choćby po raz pierwszy na pokładzie okrętu podwodnego z innego świata. Ale wtedy była w szoku. Rozedrgana i ledwie przytomna po utracie wszystkich towarzyszy podróży. Jej otępiały umysł nie przeżywał wszystkiego tak intensywnie, tłumiąc każde mocniejsze doznanie zbawczą otuliną ogłupienia. Teraz jednak nic takiego nie miało miejsca. Czarownica była sama, zdana na siebie, i to Bogowie jedni wiedzą gdzie, bez żadnych perspektyw nie tylko na pomoc, ale także na męski tors, na którym mogłaby się wypłakać.

– Coś taka struta? – zapytała Nuk.

– Nie daje mi spokoju ta pilotka, którą napotkałyśmy nad morzem. Co ona tam robiła?

– Pojęcia nie mam. Nie wiem też, jak takie coś może unieść człowieka.

– A to akurat ja wiem.

– No? – Nuk zerknęła na nią zdziwiona.

– Krzysiek pokazywał mi kiedyś zdjęcia szybowców. Okazuje się, że oni mają też maszyny bez silników i samoloty, które mogą latać bez warczenia i smrodu. W rękach mistrza takie coś może zanieść pilota nawet paręset kilometrów od miejsca startu.

– Niby w jaki sposób?

– Podobno wykorzystuje się prądy wznoszące powietrza. Jak ptaki. Można szybować do góry, można w dal, można zataczać kręgi prawie w nieskończoność. No ale do tego trzeba mistrza albo przynajmniej dobrego fachowca.

– To czemu nie przywieźli tego ze sobą tutaj?

– Wiesz, raz są warunki do lotu szybowca, a raz nie ma. Natomiast zwykły samolot z silnikiem startuje, kiedy mu się każe.

– No tak. – Nuk kiwnęła głową. – A jakby tak sobie wyobrazić królestwo, gdzie wszyscy latają tymi szybowcami od dziecka, to takich mistrzów pilotów znajdzie się tam pewnie całkiem sporo.

– Z całą pewnością.

– A czy ten ślepy podróżnik o czymś takim wspominał?

– No i właśnie tu jest zagadka. Nie wspomniał o tym ani słowem.

Długo szły w milczeniu, rozglądając się ostrożnie. Krajobraz jak dotąd sprawiał przyjazne wrażenie. Śliczny żółty piasek pod nogami, łagodne pagórki porośnięte rzadkim iglastym lasem, pomarszczone drobnymi falami morze. Było ciepło, choć słońce raz po raz znikало za niewielkimi chmurami.

Coś się tutaj jednak kryło dziwnego. Może nie tyle w krajobrazie, co w nich samych.

– Wiesz... – Kai postanowiła nawiązać do przerwanej rozmowy. – Przed nami to w ogóle... nieznany ląd.



Ciężkie i obszerne płaszcze pielgrzymów pozwalały zakryć nie tylko twarz, ale i szczegóły sylwetki. Można też było bez problemu przenosić pod nimi prawie każdego rodzaju broń. I dlatego też płaszczy tego typu oprócz udających się na dalekie wędrówki pielgrzymów używali wszelkiej maści spiskowcy i zamachowcy szeroko na przestrzeni ostatniego tysiąca lat. Dlatego też ludzie w nie odziani od dawna zwracali uwagę strażników i wszelkich wart. Kadir postanowił więc zerwać z tradycją. Żeby nie wzbudzać podejrzeń Shen, Sharri i on sam założyli dla odmiany rybackie peleryny i sztormowe kapelusze, kaptury równie dobrze osłaniające twarze.

Niestety, co prawda pod peleryną dało się ukryć broń bardzo łatwo, za to w palącym wiosennym słońcu wyglądali w nich dziwnie. Na szczęście nie na tyle dziwnie, że nieliczne straże nie mogły przypuszczać, że to właśnie partyzanci zrobili taką hecę.

Sharri klęła pomysł Kadira. Ryby, kupione u prawdziwego właściciela łodzi dla uprawdopodobnienia wizerunku, od upału zaczynały już lekko śmierdzieć. To wszystko nie przeszkadzało jedynie Shen. Jako córka rybaka była przyzwyczajona do różnych zapachów związanych z zawodem ojca i wiedziała też, że peleryny w pełnym słońcu nie powinny nikogo dziwić – każdy, kto trudni się rybołówstwem, jest lekko świrnięty. A czasami nawet

nie lekko. Szła więc, pewnie omijając wojskowych wartowników, którzy rzeczywiście mieli ją gdzieś. Żaden nawet nie skinął, żeby przywołać troje dziwnych „ludzi morza”. A może strażnicy mieli po prostu inne kłopoty na głowie? Malutkie nadmorskie miasteczko, położone przy drodze łączącej Kong z wnętrzem kraju, było dosłownie zapchane wojskiem. Oddziały, przeciskane wąskim gardłem w stronę bastionu partyzantów, grzęzły tu i rozkładały się obozami na każdym wolnym skrawku terenu. Nikt nie panował nad rozgardiaszem. Shen przypomniały się chwile przed wymarszem korpusu do Wielkiego Lasu w dolinie Sait.

– To tutaj? – Sharri zatrzymała się pod okapem jednego z największych budynków na obrzeżach miasteczka. Dom miał kilka wejść. Z jednej strony znajdowała się karczma, raczej pustawa, z drugiej wielkie pomieszczenia, będące kiedyś garkuchnią i stołówką dla robotników pracujących w okolicy w dawnych, dobrych czasach. Teraz te pomieszczenia zajmowało wojsko.

Cała trójka weszła do środka.

– Gospodarzu! – krzyknęła Sharri władcym tonem, a Shen złapała ją za rękę. To nie było miejsce, gdzie należało chwalić się gotowizną.

– Poprosimy o trochę wina – dokończyła za koleżankę. – Możliwie taniego.

– Co? Na skałę wpłynęliście i łódź zniszczona? – Gospodarz, młody, postawny mężczyzna, ledwie zwracał na nich uwagę. W dobry humor wprawiały go obroty, jakie osiągał dzięki przemarszowi wojsk. – Żebyście mi tymi rybami nie zasmrodzili całej sali!

– Siądziemy przy oknie. Nie zasmrodzimy.

– A co to za ubrania? Sztorm był?

– Ech, jak człowiek przez kilka dni jest przewiany wiatrem od świtu do nocy, to się rozkoszuje ciepłem – wyjaśnił Kadir. – Zdejmiemy, kiedy się tylko rozgrzejemy.

Gospodarz postawił przed nimi dzban wina i garnek z wodą. Mieszalniki i podgrzewacze do wina stały przy każdym stole. I nie zwracał sobie nimi więcej głowy. Pobiegł obsługiwać wojsko. Tam teraz było jeszcze dużo pieniędzy do wyciągnięcia.

Usiedli zgodnie z własną zapowiedzią przy oknie. Ale nie żeby wietrzyć przyniesione ryby. Rozciągał się stąd widok na wszystkie zabudowania gospodarcze wokół i rozległy plac pomiędzy nimi.

– Za długo tu nie możemy siedzieć. – Sharri rozglądała się niespokojnie. – Strasznie dużo wojska.

– Polacy zawsze są skrupulatni i punktualni – powiedział Kadir. – A my jesteśmy idealnie o czasie. – Wskazał cień, który rzucała wieżyczka nad miejską wagą. – W samo południe.

– Pytanie, czy w ogóle przyjdzie? – mruknęła Shen. Nalała sobie wina i nie mieszając z wodą, upiła dobry łyk. Wykrzywiło ją okrutnie. Co za kwaśny sikacz!

– Twoja wątpliwość została od razu rozstrzygnięta. – Kadir wskazał jej brodą mężczyznę w zielonym mundurze i charakterystycznej rogatej czapce. – Widzisz? Punktualni jak śmierć.

– Złowieszczco zabrzmiało – powiedziała Sharri. – A ja jestem przesadna.

– Naczelny ideolog głoszący koniec przesądów sam jest przesądny! – zakpił Kadir. – Cóż za okrutne zrządzenie losu!

– Nie o takie przesady mi chodzi! – odcięła się niedoszła kapłanka.

Cała trójka obserwowała oficera, który lawirował między kałużami pozostałymi z porannej ulewy, żeby nie pobrudzić sobie lśniących wysokich butów. Cóż za wzór elegancji. Na pierwszy rzut oka odróżniał się od wszystkich wokół niczym istota z innego świata, którą tak naprawdę był przecież w istocie. Ale tu nie robiło to na nikim wrażenia. Lotnisko w Kong blisko. Polscy żołnierze, nie konfliktując się ani z wojskiem, ani z partyzantami, lubiani przez miejscową ludność z powodu wielu cennych rzeczy, które po prostu wyrzucali na śmietnik, nie budzili żadnej sensacji.

– Rozgląda się zaniepokojony – syknęła Sharri.

– I bardzo dobrze, że się rozgląda – uspokoił ją Kadir. – Gdyby to była zdrada lub zasadzka, szedłby przecież prosto do celu.

– Niepokoi się, bo to, co robi, jest przecież nielegalne – dodała Shen. – A przynajmniej trochę jakby wbrew traktatowi.

– Właśnie.

Oficer dotarł, nieubrudzony, do karczmy. Już w progu pokazał, niestety, że konspirator z niego jak z koziej dupy trąba. Rozejrzał się i na widok „rybaków” zasalutował dziarsko.

– No żeż szlag – wyrwało się Kadirowi.

Shen posunęła się lekko, robiąc oficerowi miejsce przy stole. Nie zdążyła powiedzieć niczego, kiedy tamten dowiódł, że sprawę konspiracji

traktuje bardzo poważnie.

– Przepraszam, że się nie przedstawiam, ale moje nazwisko nie jest tu istotne.

Kadir mało nie parsknął śmiechem. Stanowili najbardziej barwną grupę w karczmie i powinni zwracać powszechną uwagę. Paradoksalnie jednak dzięki obecności nadmiaru imperialnego wojska nie zwracał uwagi nikt. Ale zasady konspiracji musiały zostać zachowane.

– Pańska obecność tutaj świadczy, że.... – Shen zawiesiła głos na moment. – Że dobijamy targu?

– Tak, dobijamy. – Oficer energicznie potrząsnął głową. Był młody i na pagonach widniał tylko stopień podporucznika. Taki człowiek na posyłki bardziej.

– Dobrze. – Uśmiechnęła się, chcąc go trochę odprężyć. – W takim razie to jest nasza część umowy. – Podąła mu pod stołem gruby plik kartek.

Podporucznik nawet nie zerknął. Być może dostał taki rozkaz. Schował kartki do swojego mapnika i zapiął starannie.

– Tak jak mówiliśmy – ciągnęła Shen. – Listy i raporty czarowników z wyprawy do Wielkiego Lasu w Banxi. Wszystkie zaszyfrowane. Oraz jeden pisany otwartym tekstem. Potwierdzający istnienie wtyczki w waszych szeregach.

– Wszystko przekażę do wydziału szyfrów, a kopie zgodnie z umową do Organizacji Randa.

– Świetnie. A wasza część umowy?

– Już wykonana. Pociągnęliśmy kabel z lotniska do budynku, który wskazali wasi ludzie. Kabel kładli sami Polacy, został porządnie zakopany, nikt z miejscowych nie widział. Myślę, że połączenie jest bezpieczne.

Bynajmniej nie chodziło o to, że ktoś mógłby się do łącza podpiąć i podsłuchiwać. Nic z tych rzeczy. Pojawił się problem innej natury. Gdyby drut wisiał normalnie, na słupach, miejscowa ludność najprawdopodobniej ukradłaby go pierwszej nocy. Metalowy drut jest zbyt cenny, żeby tak sobie wisiał. Był to zresztą problem całego imperium. Stosunkowo tanio dałoby się stworzyć sieć łączności telegraficznej. Niestety, trzeba było polegać na zawodnych i kapryśnych radiostacjach, które w zależności choćby od pogody raz działały, a raz nie. Druty telegraficzne sukcesywnie rozkradano, a nie sposób postawić przy nich żołnierzy tak gęsto, by ogarniali się



nawzajem wzrokiem. Przy tak gęstym ustawieniu wart już taniej byłoby zresztą, gdyby żołnierze krzykiem przekazywali sobie wiadomości.

– Czy będziemy w stanie obsłużyć to urządzenie?

– Oczywiście. To solidny i bardzo prosty telefon polowy na korbkę. Wasz człowiek wie, jak to obsłużyć.

– I z kim mamy połączenie?

– Bezpośrednio ze mną. A ja przekażę wszystko przez radio wedle życzenia albo do pana Randa, albo do komandora Tomaszewskiego. I tą samą drogą przekażę wam odpowiedź zwrotną.

– Jak szybko to będzie działać?

– Błyskawicznie. Ja nie wnikam w treść wiadomości. Moim zadaniem jest jedynie tekst zaszyfrować i odszyfrować. A działać to będzie przez całą dobę.

– No to świetnie. – Shen dyskretnie podała mu rękę. – Zatem jesteśmy dogadani.

– Jesteśmy dogadani – powtórzył.

Uścisnęli sobie dłonie.

Żołnierze, którzy pobierali właśnie posiłek w garkuchni obok, niekoniecznie chyba orientowali się, że ich sojusznik zawarł właśnie porozumienie nie do końca zgodne z traktatem międzypaństwowym łączącym go z cesarstwem. Ale tak już bywa w polityce. Prosty żołnierz nie musi niczego wiedzieć o szeptanych porozumieniach. On ma tylko poczuć na własnej skórze efekt ich działania.



– Imię i nazwisko?

– Leon Krawczyk.

– Stanowisko na pokładzie MS „Gradient”?

– Hydrolog.

– Czym konkretnie zajmował się pan na pokładzie „Gradienta”?

Chory poprawił się w łóżku, patrząc na przesłuchującego porucznika. To był jeden z pierwszych dni, kiedy rozbitek czuł się lepiej, i chyba zaskoczyło go obcesowe podejście marynarki w kwestii przesłuchania. Tomaszewski dotknął ramienia żandarma piszącego protokół.

– Panie poruczniku, myślę, że jeszcze będzie czas, żeby wszystko skrupulatnie zapisać. Mam wrażenie, że stresujemy chorego.

– Z całym szacunkiem, panie komandorze. – Porucznik był dokładnie w wieku Tomaszewskiego, jednak różnica stopni była dramatyczna. Wyraźnie stanowiło to dla niego problem. – Otrzymałem rozkaz, żeby wyjaśnić okoliczności śmierci jednego członka załogi „Gradienta” i zaginięcia pozostałych.

– Denerwując pana Krawczyka, niewiele chyba zyskamy. To cywil.

– Cywil, ale na jednostce operującej w ramach marynarki wojennej.

– No, nie nazwałbym tego rejsu operacją wojskową.

Twarz porucznika stężała. Nie wiadomo, czy przypomniał sobie, że admirał Wentzel jest wujkiem Tomaszewskiego, czy wciąż chodziło o samą różnicę w stopniach przy identycznej liczbie lat. Cholera wie. W każdym razie odpuścił. Zerknął na swoją przenośną maszynę do pisania, z wkręconym już i napoczętym formularzem przesłuchania, i najwyraźniej wściekły odchylił się na oparciu krzesła.

Tomaszewski nie zamierzał się z nim konfliktować, ale też nie chciał pozwolić, żeby służbisty żandarm zniweczył krótką okazję, kiedy lekarze pozwolili im nareszcie porozmawiać z rozbitkiem.

– No i widzi pan, panie Leonie, jeśli mogę się tak do pana zwracać, wszelkie niebezpieczeństwa, których doznał pan podczas swoich przygód, są niczym wobec naszej biurokracji.

Chory uśmiechnął się lekko. Jeszcze nie był pewien, czy zagrożenie ze strony oficera żandarmerii zostało na pewno zażegnane.

– Nie wiem, czy panu... panom – poprawił się niechętnie – pomogę. Mam ciągle ogromne luki w pamięci.

– Tak, rozmawiałem już z doktorem Błaszczkowskim. Nie liczę, że wyjaśni nam pan wszystko od razu. Bardziej mi zależy na tym, żeby dostarczył pan kilka nowych kamyków do układanej od dawna mozaiki.

– Spróbuję zatem. – Hydrolog trochę się rozluźnił. Widać było, że jest w niezłej formie, przynajmniej fizycznej. Wyglądał na jakieś czterdzieści lat, miał szczupłą, pociągłą twarz i co było bardzo charakterystyczne, czarne oczy. Mógł uchodzić za miejscowego, w przeciwieństwie do większości Polaków tutaj, wysokich i jasnookich, wyróżniających się z każdego tłumu od razu, w momencie kiedy się pojawiają.

– Czy mógłby pan opisać własne odczucie na temat tego, co działo się na pokładzie „Gradienta”?

Krawczyk uśmiechnął się smutno.

– Obawiam się, że późniejsze wydarzenia trochę zatarły pamięć tego, co działo się na pokładzie. Dobrze pamiętam jedno. Jakąś makabryczną apatię, bezsenność i depresję. Początkowo myślałem, że dotyczy tylko mnie. Usiłowałem pomóc sobie w zasypianiu.

– Jak?

– Za pomocą alkoholu. Ale po pierwsze był mało skuteczny. Po napiciu się spałem raptem jakieś pół godziny. A po drugie mój prywatny zapas szybko się skończył.

Tomaszewski przytaknął. No tak, każdy z załogi wziął tam coś ze sobą. Ale po wypiciu samemu, tak bez okazji, wszystkim było głupio krążyć po statku w poszukiwaniu wódki. Albo wręcz włamywać się do zapasów intendenta.

– I co pan zrobił?

– Poszedłem do lekarza po środki nasenne. Po jego uwagach zrozumiałem, że problem dotyczy nie tylko mnie.

– Rozmawialiście? Zareagował jakoś?

– Dał mi brom. Uspokajał głupio, że na morzu często tak się dzieje. Nawet mówił coś o chorobie ekspedycyjnej.

– Mhm. Czyli po prostu usiłował was uspokoić, wygadując cokolwiek.

– Ja też odniosłem takie wrażenie. Brom nie działał. To znaczy działał, ale jedynie na początku i od razu w dużych dawkach. Potem sprawiał tylko, że przez cały dzień chodziłem otepiały i nic do mnie nie docierało. Jakbym tkwił w kokonie z waty.

Tomaszewski przytakiwał. Znał ten stan. Z pokładu ORP „Poznań”, który pływał w tej samej okolicy.

– A co tam się wydarzyło?

Krawczyk spojrzał idealnie nierozumiejącym wzrokiem.

– Gdzie?

– Na pokładzie „Gradienta”. Czy miały tam miejsce jakieś dziwne zjawiska?

– Czy to, że wszyscy nie mogli spać, nie jest wystarczająco dziwne?

Tomaszewski zerknął na porucznika żandarmerii morskiej. Ten zachował kamienną twarz. Cóż, znał wypadki na statku badawczym jedynie z raportów. A trochę inaczej odczuwało się to wszystko, jeśli było się na pokładzie osobiście. I widziało postrzelaną sterówkę, resztki konserw zgromadzone na mostku, krew na korytarzu.

– Czy zaobserwował pan poruszające się przedmioty? Mamy to na filmie.

– Musiałbym zobaczyć ten film. Nie, przedmiotów nie widziałem. To znaczy poruszających się dziwnie.

– Nic niecodziennego nie zwróciło pańskiej uwagi?

Krawczyk wzruszył ramionami.

– Wiele rzeczy. Na przykład prześwietlała mi się taśma w aparacie fotograficznym.

– Słucham?

– No po prostu. Cała rolka została prześwietlona. Myślałem, że to jakaś wada fabryczna, więc sprawdziłem następną w laboratorium. Była w porządku. A po serii zdjęć i wyjęciu z aparatu nic.

– Zupełnie nic?

– Nie no, jakieś cienie na kliszy były. Ale do fachowej analizy albo do raportu te zdjęcia się nie nadawały.

– I co pan zrobił?

– Zgłosiłem problem laborantowi. Te taśmy to w końcu własność marynarki wojennej. Powiedział, że podobne rzeczy dzieją się z taśmami filmowymi. Być może cała seria jest wadliwa.

Tomaszewski znowu nie wiedział, co powiedzieć. Technik laboratoryjny, który nie potrafił sprawdzić, czy chodzi o wadę fabryczną, czy o jakiś czynnik występujący na miejscu? Mało prawdopodobne.

Zmienił temat:

– W jaki sposób odłączył się pan od załogi „Gradienta”?

Musiał trafić w jakieś bolące miejsce. Krawczyk odwrócił wzrok i patrzył na białą ścianę. Jego twarz ciągle pozostawała obojętna.

– Pamięta pan?

– Tak – odparł sucho hydrolog. – Pamiętam.

Zapadła drażniąca cisza. Ani powtórzyć pytanie, ani ponaglać chorego. Impas. Na szczęście tamten znowu przeniósł wzrok na Tomaszewskiego.

– Płynąłem pontonem.

– Pontonem? Po co?

– Nie byłem wtedy zbyt przytomny. Pamiętam tylko, że coś atakowało nas od spodu...

Tomaszewski podniósł rękę, przerywając Krawczykowi w pół słowa. W ten sposób daleko nie zajdą. System pytań o każdy szczegół i wymuszania

w ten sposób szybkich odpowiedzi był może i dobry w przypadku przesłuchań. Jeśli jednak nie miało się za cel zapędzenia rozmówcy w kozi róg, to lepszym sposobem było po prostu wysłuchanie jego opowieści. Zadając tylko te pytania, które pomogą zrozumieć jego tok myślenia.

– Czy mógłby pan szerzej powiedzieć, co sprawiło, że odłączył się pan od reszty załogi? Nie chcę przeszkadzać panu i przerywać co chwila.

– Ale ja sam nie wszystko rozumiem.

– Dobrze. W takim razie pytaniami postaram się jedynie pomagać.

Hydrolog skinął głową.

– Pogoda zrobiła się świetna. Postanowiliśmy popłynąć szalupą w stronę brzegu, żeby zrobić dokładniejsze zdjęcia, niż można było wykonać z pokładu „Gradienta”.

Tomaszewski doskonale wiedział dlaczego. Na obcych wodach, bez map kapitan statku zdecydowanie odmawiał odpłynięcia bliżej do brzegu. Nie mógł mieć przecież pojęcia, co mogło się kryć pod powierzchnią morza.

– Na wycieczkę zgłosiło się wielu chętnych – ciągnął Krawczyk. – Coś dziwnego tkwiło w psychice załogi. Każdy chciał opuścić pokład choćby na chwilę. To trudne do zrozumienia.

– Wcale nie – mruknął Tomaszewski. – Byłem, na pokładzie „Gradienta” już po tragedii.

– No właśnie. – Krawczyk westchnął ciężko. – Tamtego dnia ja również zgłosiłem się na ochotnika. Dla hydrologa na łodzi nie było wiele do roboty. Udawałem, że coś mierzę, i nikt nie wnikał.

– Po co wzięliście ze sobą broń?

– Skąd pan wie?

– Widziałem film. Być może właśnie z tej wyprawy.

Hydrolog ledwie dostrzegalnie wzruszył ramionami.

– Na pokładzie szalupy było dużo aparatów fotograficznych i kamer. Był też mój ponton.

– Pański?

– Ten, którym odpłynąłem potem. – Krawczyk podniósł wzrok na Tomaszewskiego. Nie miał wyrazu twarzy, który wskazywałby, że chce się usprawiedliwić z czegoś czy wykręcić. Nie wyglądał też na faceta, który chciałby coś ukryć. Zresztą chyba nie miał też takiej potrzeby. Był cywilem i nie można mu było zarzucić dezercji. – A co do broni, panie komandorze,

to połowę załogi statku stanowili przecież żołnierze. A oni zawsze mają mnóstwo broni.

Tomaszewski usiłował się nie skrzywić, słysząc, jak dyletant w sprawach wojskowych nazywa marynarzy żołnierzami.

– A po co wzięliście ponton? – zapytał.

– Jeśli warunki okazałyby się odpowiednie i znaleźlibyśmy dogodne miejsce, to chcieliśmy wylądować na brzegu. Szalupa i tak za duża i ma za głębokie zanurzenie. A tam nie wiadomo, jak dno ukształtowane. Tylko ponton może dotrzeć wprost do piasku na plaży i wrócić.

– Tak. Jasne.

Krawczyk sięgnął do nocnej szafki po szklankę z wodą. Upił jedynie malutki łyk.

– Na początku wszystko szło doskonale. Nawet nastroje się poprawiły. Tym bardziej że przez lornetki zauważyliśmy kawałek, gdzie można by było przeprowadzić lądowanie. Jak mówili ci, co się znali, bardzo dogodne. Ruszyliśmy więc w stronę brzegu.

– Powoli?

– Oczywiście. Nikt nie wiedział, czy tu są jakieś rafy, skały, mielizny. No i dlatego, że płynęliśmy ledwo, ledwo, nic się nie stało łodzi, kiedy w coś uderzyliśmy.

– W skałę?

– W coś względnie miękkiego.

– Zaryliście w piachu?

– Względnie miękkiego. Względnie. Tak jakby w jakąś wielką rybę. Tak przynajmniej wtedy myśleliśmy.

– A co to w rzeczywistości było?

– Nie wiem.

Tomaszewski wymienił spojrzenia z siedzącym obok żandarmem.

– Zatrzymaliśmy się – kontynuował Krawczyk.

Tomaszewski westchnął. No tak, szczur lądowy. Samochód, którym jeździł do pracy, da się zatrzymać w miejscu. Łodzi tak nie zatrzymasz.

– Ludzie zaczęli zaglądać pod szalupę. Potem ktoś powiedział, że trzeba się wycofać na pełne morze. Że coś tutaj może zniszczyć śrubę i będziemy mieli wielki kłopot, bo jesteśmy za blisko brzegu.

Tomaszewski potakiwał. To również rozumiał, choć amatorskie sformułowania hydrologa, którymi ten usiłował opisywać to, co się stało,

bardzo go drażniły. Nie mógł pojąć, jakim cudem ktoś, kto miał taki zawód, nie miał zielonego pojęcia nie to, że o marynarce, ale choćby o żeglarskim. Po chwili zastanowienia zrozumiał wszystko. Krawczyka pewnie zwerbowano wprost z wyższej uczelni. A tam kontakt z normalnym życiem czy w ogóle z rzeczywistością był przecież rygorystycznie ograniczony.

– Ktoś uruchomił silnik, który wcześniej zgasł, i popłynęliśmy do tyłu. Łodzią przestało tak strasznie kołysać. I wtedy Maciejewski nachylił się, żeby zobaczyć, w co uderzyliśmy. Miał nadzieję, że coś zobaczy. – Krawczyk zawahał się nagle. Upił kilka łyków ze szklanki, którą ciągle trzymał w ręku, i odstawił z powrotem na szafkę. – Wtedy... – znowu urwał.

Tomaszewski nie chciał mu przeszkadzać żadnymi pytaniami. Spodziewał się, co usłyszy.

– Wtedy spod wody wynurzyły się czyjeś ręce i wciągnęły Maciejewskiego pod powierzchnię. Ani krzyknął nawet.

Tomaszewski przypomniał sobie Mustafę, tatarskiego zwiadowcę. Rozpryskujący się lód na zamrożonym jeziorze, cios noża i ręce dzikusa wciągające żołnierza pod lód. Otrząsnął się.

– To były ręce kobiety czy mężczyzny? – spytał.

– Ja tego nie widziałem, bo stałem z tyłu. Nie wiem nawet, czy to były ludzkie ręce.

Znowu wymienili się spojrzeniami z żandarmem. Jeśli „ręce”, to ludzkie chyba. Zwierzę ma łapy. Niemniej styl takiej wypowiedzi mówił wiele o stanie umysłu opowiadającego.

– I co dalej?

– Ktoś zaczął krzyczeć, żeby się zatrzymać. Kto inny, żeby dalej płynąć w tył. Ale generalnie ludzie, którzy nie widzieli zajścia, nie dopytywali, co się stało, tylko rzucili się do kół ratunkowych i bosaków. Ale Maciejewski nie wypływał z żadnej strony.

– Przecież miał kamizelkę.

– Skąd pan wie?

– Po pierwsze takie są przepisy. Po drugie na filmie, który widziałem, wszyscy mieli na sobie kamizelki ratunkowe. Bez wyjątku, bo taki jest regulamin.

Krawczyk odkaszlnął lekko.

– No to on nie wypłynął na powierzchnię mimo regulaminowej kamizelki – powiedział cicho.

– I co zrobiliście?

– Coś zaczęło uderzać w dno łodzi. Jedni myśleli, że to odgłosy walki kogoś pod łodzią, inni, że ktoś chce po prostu rozwalić dno. Ci, którzy wzięli ze sobą na pokład szalupy broń, już mieli ją w rękach.

No tak. Tomaszewski wyobrażał sobie, co mogło się dzieć w takiej sytuacji.

– Ktoś wrzeszczał, że coś widzi i nie wie, czy strzelać. Ktoś mówił, żeby strzelać do wszystkiego, co nie ma kamizelki ratunkowej na sobie. Żeby kolegi nie zranić. Ale...

Ale w związku z tym, co działo się wcześniej na „Gradiencie”, i z nastrojami panującymi wśród jego załogi paniki nie można już było powstrzymać, dodał w myślach Tomaszewski.

– Wybuchła panika – Krawczyk potwierdził jego przypuszczenia. – Wilkowski, mój kolega z uczelni, krzyczał, że coś widzi. Że coś płynie na nas pod wodą. Kamizelka Maciejewskiego nigdzie nie wypływała. Jakiś żołnierz zaczął strzelać.

– W to coś pod wodą?

– Raczej na postrach. Stukanie w kadłub od dołu wzmogło się jakby. Zresztą nie wiem. Może ktoś chciał przebić deski jakimiś prymitywnymi narzędziami, nie mając w dodatku podparcia.

– A jak ten ktoś oddychał pod wodą? Widział pan w końcu napastników?

Krawczyk potrząsnął głową.

– Nie. Ale co najmniej kilku ludzi krzyczało, że coś widzi.

– I co było dalej?

– Żołnierze zaczęli strzelać do celów pod wodą. Nie wiem, czy widzieli cokolwiek. Łomotanie w kadłub nie cichło, ktoś ze schowka wyciągnął drewnianą skrzynkę.

– Z granatami?

– Tak. Ludzie zaczęli je wrzucać pod łódź, a ja trwałem w jakimś dziwnym stuporze. Nie poruszałem się. Skądś, zupełnie na spokojnie, przyszła myśl, że skoro pod wodą są jacyś ludzie, to od eksplozji granatów powinni i tak wypłynąć porażeni. Ale nic nie wypływało. Natomiast oberwało się naszej łodzi.

– Odłamki przebiły dno?



– Nie sądzę. Nie wiem zresztą – poprawił się po chwili Krawczyk. – Ale dno na pewno zostało rozszczelnione. Woda wpływała do środka dość szybko.

To znaczy, że granatami ktoś rzucał bardzo umiejętnie, pomyślał Tomaszewski. Nie chciał, żeby tonęły szybko i eksplodowały gdzieś głęboko, powodując tylko falę uderzeniową. Po zwolnieniu łyżki ten ktoś trzymał jeszcze przez moment każdy granat w dłoni. Kiedy rzucił, eksplozja następowała tuż pod wodą. Metoda świetna, jak się siedzi w bunkrze, bezpiecznym okopie albo podczas walk w mieście, z wielką ilością potencjalnych osłon. Taka sobie przy rzucaniu pod własną łódź.

– Znowu ryknął silnik i zaczęliśmy się oddalać od miejsca kotłowaniny. Odgłosy łomotania o dno ucichły, ale woda zaczęła się dosłownie wlewać do naszej łodzi. Ktoś krzychał, żeby napełnić ponton. I razem z Wilkowskim wyciągnęliśmy go, przywiązaliśmy do burty, a potem wyrzuciliśmy.

– Napełnił się bez problemu?

– Tak. Kiedy łódź się zatrzymała, Wilkowski pomógł mi wsiąść do pontonu i zaczął podawać najpotrzebniejsze rzeczy z wyposażenia. Poleciał po wiosła, ale w tym czasie coś znowu załomotało w dno. A ludzie ponownie rozpoczęli strzelaninę.

Krawczyk otarł czoło, na którym zaczął się gromadzić pot. Te zwierzenia najwyraźniej nie przychodziły mu łatwo. Tomaszewski nie chciał go spłoszyć, zadając obcesowe pytania.

– Skamieniałem ze strachu – podjął hydrolog po chwili. – Bałem się, że ktoś rzuci granat, a w pontonie to pewna śmierć. Ale... ale...

– Co się stało?

– Węzeł na linie, którą ponton był przymocowany do łodzi, zaczął się rozwiązywać. Sam z siebie. Jakby go rozwiązywały niewidzialne ręce albo jakieś czary. Na moich oczach!

– I co pan zrobił?

– Nic! Siedziałem skamieniały ze strachu. Ludzie wrzeszczeli i strzelali w wodę, ja nie mogłem się ruszyć, a węzeł powoli, ale metodycznie rozwiązywał się sam. To musiała być jakaś niewidzialna istota!

Tomaszewski westchnął ciężko. Wstał i przystawił sobie krzesło do okna. Potem odwiązał od karnisza sznurek służący do zaciągania firanek. Po chwili podał sznurek Krawczykowi.

– Proszę go zawiązać na moim przedramieniu – powiedział. – Takim samym węzłem, jakim przymocował pan ponton do łodzi.

– Po co?

– Pokażę panu „niewidzialną istotę”, która takie węzły rozwiązuje.

Krawczyk przełknął ślinę. W kilka sekund omotał sznurek na przedramieniu Tomaszewskiego, obejrzał, dokonał jakiejś poprawki i powiedział:

– Tak mniej więcej go zawiązałem.

Żandarm odwrócił głowę, żeby ukryć wyraz twarzy. Tomaszewski spokojnie ujął koniec sznurka i zaczął nim poruszać w górę i w dół oraz lekko szarpać.

– O, widzi pan? – odezwał się. – Już ustępuje. Bo to nie jest żaden marynarski węzeł. Zawiązał to pan jak gospodyni domowa sznur od bielizny, a potem biadoli, że wiatr zerwał jej pranie. Nie było ani wiatru, ani niewidzialnej istoty, tylko węzeł zrobiony do dup... do niczego znaczy.

– Tam nic nie szarpało sznurem.

– A ruch powierzchni morza? – Tomaszewski zreflektował się nagle, że zaczyna kpić z chorego, a w żadnym wypadku nie było mu to na rękę. Dodał więc spiesznie: – Proszę się tym nie przejmować. W szoku, w panice, kiedy wokół strzelają, nie takie rzeczy wyrabiali moi marynarze.

Krawczyk uspokoił się trochę.

– No ale...

– Naprawdę drobiazg. Ludzie zaskoczeni rozwojem wypadków są skłonni przypisywać je wielu dziwnym mechanizmom, niekoniecznie rzeczywistym. Ale w rozwiązywaniu węzła, zapewniam, nie było niczego cudownego.

Hydrolog, niezbyt przekonany, przytaknął.

– Co stało się potem? – zapytał Tomaszewski.

– Kiedy węzeł puścił, zacząłem dryfować. Coraz dalej i dalej od szalupy. A tam ciągle strzelali, wrzeszczeli. A ja z kolei trwałem w jakimś odrętwieniu. Siedziałem na dnie pontonu i nie mogłem się ruszyć. Moja łupinka oddalała się coraz bardziej, a ja nie mogłem dosłownie ruszyć nawet palcem.

– Nikt nie zauważył, że pan jest coraz dalej?

– Nie wiem. Może i zauważyli. Ale skoro strzelali w wodę, może pomyśleli, że to nawet lepiej? Odłamki granatów nic mi nie robią, nic nie

przedziurawi pontonu. A kiedy skończą tę kanonadę, to podpłyną po mnie i już. Zresztą nie mam pojęcia, czy ktoś tam jeszcze myślał racjonalnie. Ja na pewno nie myślałem.

– Rozumiem.

– Tam są takie słupy mgły, czy raczej, jak to określaliśmy: „chmury słupowe”.

– Wiem. Widziałem je z bliska.

– No właśnie. Biała kolumna pary wodnej o dużej średnicy, sięgająca od powierzchni morza gdzieś na niewyobrażalne wysokości. Te kolumny poruszają się, czy raczej suną to w jedną, to w drugą stronę, często zmieniając kierunek.

– I taki słup pana ogarnął?

– Tak. Zupełnie zniecka, bo nie patrzyłem za plecy, co się dzieje za mną. A zjawisko, mimo że monstrualne w skali, jest kompletnie bezgłośnie.

– Rozumiem – powtórzył Tomaszewski.

– Wpadłem w panikę. Paraliż ustąpił i zacząłem krzyczeć. Ale ten biały opar tłumi dźwięki. Coraz słabiej słyszałem nawet strzelaninę.

– Nie usiłował pan z niego wypłynąć?

– Nie miałem wioseł.

Ach tak. Tomaszewski przypomniał sobie, jak Krawczyk mówił, że tuż przed wybuchem paniki jego kolega poszedł po wiosła. No to rzeczywiście pat. O żadnym „wiosłowaniu” rękami czy nogami w lodowatej wodzie nie mogło być mowy.

– I co? – zapytał. – Słup przeszedł nad panem i co się wtedy stało?

– Prąd strumieniowy.

– Słucham? – Tomaszewski słyszał o prądach strumieniowych, ale... w stratosferze. Nigdy niżej.

– Dobrze pan słyszał. Prąd strumieniowy tuż nad powierzchnią wody.

– Niewyobrażalne.

Krawczyk skinął głową.

– Odkryliśmy je wcześniej. Nazwa może niezbyt fortunna, ale dobrze oddaje charakter zjawiska.

– Zaraz. Zapoznałem się ze wszystkimi materiałami dotyczącymi śledztwa w sprawie tragedii „Gradienta”, byłem osobiście na pokładzie i nie napotkałem żadnej wzmianki na temat prądów strumieniowych.

– A czytał pan wyniki naszych prac naukowych?

– Nie.

– No właśnie.

– Przecież ktoś musiał je analizować. A do mnie nie doszła najmniejsza wzmianka.

– Nie doszła, bo pan się zajmował wyjaśnieniem przyczyn tragedii. Ktoś oczywiście zajął się tymi materiałami, jakiś naukowiec. Ale po cholere miał przesyłać wnioski oficerowi wywiadu, badającemu wyłącznie przyczynę katastrofy? To dane naukowe, niemające nic wspólnego z tym, co działo się na pokładzie.

– No tak. Może pan mieć rację – zgodził się bez oporów Tomaszewski.

– Niemniej nie spodziewałem się, że prąd strumieniowy złapie mnie bezpośrednio po tym, kiedy chmura słupowa odsunie się od pontonu. To rzadkie zjawisko.

– Mógłby pan to powiedzieć jaśniej? A jednocześnie w taki sposób, żeby dyletant w tych sprawach zrozumiał? – Tomaszewski uśmiechnął się porozumiewawczo.

– Postaram się. – Krawczyk odwzajemnił uśmiech. Potem otarł pot z czoła. Najwyraźniej rozmowa była dla niego trudna i bardzo go męczyła.

Tomaszewski widział to oczywiście. Miał też nadzieję, że lekarz nie zajrzy do nich zbyt szybko.

– Mój profesor na uczelni zabiłby mnie za to wyjaśnienie. Ale spróbuję uprościć sprawę aż do fałszu.

Tomaszewski gestem pokazał, że docenia starania. A Krawczyk długo szukał najprostszych słów.

– Coś kieruje wiatr strumieniowy prosto w dół. Strumień nieprawdopodobnie rozpedzonego powietrza uderza w morze pod kątem i z taką siłą, że tworzy z wody na powierzchni rodzaj wodnej zawiesiny. Bardzo gęstej. Która dodatkowo gna z niewiarygodną prędkością. Uchwycony przez taki strumień na przykład ponton zaczyna, i teraz nie wiem: płynąć albo lecieć z nieprawdopodobną prędkością. Nie mam pojęcia, czy raczej jak poduszkowiec, unosząc się nad powierzchnią, czy jak ekranopłat. Ponieważ nie jest jasne, co jest w danej chwili powierzchnią wody. Zawiesina, a właściwie mieszanka powietrzno-wodna, jest tak gęsta i porusza się tak szybko, że wszystko, co porwie, zaczyna się „ślizgać” wraz z wiatrem. Oczywiście bez żadnego wpływu na kierunek. Żaden ster by tu nie zadziałał.



– A żagiel?

– Z tym bym uważał. Żeby nie zostać porwanym na żaglu do stratosfery, kiedy coś spowoduje odbicie wiatru.

– No ale zjawisko o takiej skali powinno przecież powodować szereg skutków silnie odczuwalnych w całej okolicy.

Krawczyk cmoknął i zaczął kręcić głową.

– Chyba wybudował pan sobie fałszywy obraz tego zjawiska, przepraszam. Tego się nie da wyjaśnić bez używania ścisłych terminów naukowych, a wszelkie przykłady są, jak widać, zwodnicze.

– W każdym razie, o ile cokolwiek zrozumiałem, pomknął pan gdzieś, zupełnie nie kontrolując kierunku?

Drzwi otworzyły się z nienacką. Nie było pukania, nie było słycać kroków na korytarzu. Lekarz miał srogi wyraz twarzy.

– Panowie! Co wy tu wyrabiacie?!

Tomaszewski i żandarm spojrzeli na niego zdziwieni. Przecież mieli jego zgodę. Ale chyba każda ze stron inaczej rozumiała określenie „zgodna na rozmowę”.

– Panowie oficerowie! – grzmiał lekarz. – Co wyście zrobili? Pacjent jest zdenerwowany, spocony, w kiepskiej formie! Co tu się działo? To było przesłuchanie czy co?!

– Tylko rozmawialiśmy – oburzył się Tomaszewski.

– Tylko rozmawialiście?! A pan Krawczyk jest w fazie rekonwalescencji. Przy takich nerwach i niepotrzebnych emocjach cały mój wysiłek może trafić szlag! Pacjent w tej fazie ma unikać silnych wzruszeń!

– My naprawdę...

– Proszę stąd wyjść! Natychmiast!

– A kiedy następnym razem...? – żandarm usiłował zadać pytanie, ale nie dane mu było dokończyć.

– Nie będzie żadnego następnego razu! – lekarz błyskawicznie rozstrzygnął jego wątpliwości. – Nie zobaczycie go do pełnego wyzdrowienia!

– Ależ, panie doktorze... – oponował Tomaszewski, również bez skutku.

– Proszę opuścić ten pokój. – Doktor wskazywał otwarte drzwi. – I proszę szybko, bo mi się spocony pacjent przeziębi w przeciagu! Siostro!

Nie czekając na przybycie posiłków, wyszli na korytarz.

– Dopiero zaczęliśmy... – Tomaszewski podjął próbę negocjacji, lecz lekarz był nieugięty.

– Nic mnie nie obchodzi wasze śledztwo. Ja jestem odpowiedzialny za jego życie.

– A ja za życie innych ludzi! – Tego już Tomaszewski nie wytrzymał. – Być może będę musiał posłać swoich marynarzy w miejsce, gdzie można się oparzyć od samego powietrza. I muszę się dowiedzieć, co to jest!

Zdaje się, że dla lekarza właśnie przyszła chwila refleksji. Zdał sobie sprawę, że wrzeszczy na faceta w stopniu komandora, i nagle nadeszło pewne uspokojenie.

– Nie no... – Teraz nie wiedział, jak wybrnąć. – Jak to parzy samo powietrze? I to, jak się domyślam, wcale nie gorące?

– O czymś takim ten hydrolog mówił w malignie.

– Mogło mu się tylko zdawać, bo przyczyna była odsunięta w czasie. Na przykład chorzy zostali poparzeni, w ogóle o tym nie wiedząc. Bezobjawowo. I żyli sobie, nie mając pojęcia, że są śmiertelnie chorzy, przez dość długi nawet czas. A potem wystąpiły objawy poparzenia trzeciego stopnia. Włącznie z bolesną i straszną śmiercią. Bez jakiegokolwiek kontaktu ze źródłem ciepła.

Tomaszewski patrzył na lekarza zdumiony. Po raz pierwszy słyszał o czymś takim.

– I ludzie sądzą, że są poparzeni samym powietrzem? Co powoduje te objawy?

Lekarz znał odpowiedź.

– Choroba popromienna.





## Rozdział 7



**D**o pierwszych sadyb Kai i Nuk dotarły długo przed zmrokiem. Trudno nawet określić, czy to była wieś, czy osada. Kilkadziesiąt dużych, ale nędznych drewnianych domów ciągnęło się wzdłuż czegoś, co od biedy można by nazwać ulicą, aż do niewielkiego ryneczku. Kupców jednak znajdowało się na nim niewiele. Większość mężczyzn, którzy zajmowali szerokie ławy przed szynkami, wyglądała na robotników rolnych.

Podstawowym zadaniem, które stoi przed każdym wywiadowcą, jest możliwie szybkie wtopienie się w tłum. Dziewczyny wiedziały o tym doskonale. Od razu też przekonały się, jak bardzo może się mylić sztab wywiadu marynarki, uważając, że te same zasady obowiązują na całym świecie. Wtopienie się w tłum to być może i oczywisty priorytet, ale zdecydowanie trudny do wykonania, kiedy agentami są dwie młode, atrakcyjne dziewczyny naprzeciw wygłodniałych z braku kobiet mężczyzn. I to mężczyzn wychowanych bynajmniej nie na książęcych salonach. Większość na widok tak ślicznych lasek zaczęła gwizdać. Pozostali wydawali dźwięki w rodzaju: „Uuuuu!”, ewentualnie: „Aleeee...”. Wtopienie się w tłum zawiodło więc na samym wstępie.

Dziewczyny od razu też usłyszały, co robotnicy rolni sądzą na ich temat.

- Ale cipy!
- Ty, patrz, jak ta wyższa dupskiem rusza!

- Ja bym zerznął tę wyższą!
- A ja tę z niewinną twarzą.
- A ta wyższa to na żonę. Patrz na mięśnie! I do jebania, i do roboty!
- Wolę niższą. I nie do roboty, tylko do wyru...

Kai czuła, że pąsowieje. Nuk zacisnęła palce na sękatym kiju, którym się podpierała. Było jasne, że ten, który pierwszy dotknie jej tyłka, rozrzuci zęby po całej okolicy. I nie oponowała, kiedy wyższa stopniem czarownica poprowadziła je do wylotu bocznej uliczki. Agentki wywiadu marynarki wołały zejść z oczu tłumowi, w który miały się regulaminowo wtapiać.

– No nie, no kurna... – Nuk upewniała się, czy na pewno przestały być widziane. – Jeszcze, szlag, czapki nam powinni dać z napisem: „Jesteśmy agentkami obcego wywiadu”.

– Albo czerwone latarnie – dodała Kai. – Z napisem na każdej: „Własność służbowa marynarki wojennej, zainwentaryzowano dnia...”.

Nuk uśmiechnęła się. Ta młoda czarownica wcale nie musiała być taka całkiem do dupy, jak jej się wcześniej wydawało. Powoli, bardzo powoli nawet skłonna byłaby uwierzyć, że ta mała sama rozwaliła szamankę potworów z pistoletu maszynowego. No może, może... Może i z niej będą kiedyś ludzie?

– Pytanie, co dalej? – mruknęła Kai.

No tak. Skoro zawiodła pierwsza procedura, zawieść mogą następne. Dziewczyny potrzebowały choćby i krótkiego, ale intensywnego okresu aklimatyzacji. Tu co prawda, w przeciwieństwie do świata za Górami Bogów, wszyscy posługiwali się tym samym językiem, ale z powodu oddalenia i ten jeden język podlegał konkretnym zmianom. A one obie mówiły z silnym akcentem charakterystycznym dla cesarstwa, nie znały tutejszej gwary ani większości charakterystycznych słów języka używanego na co dzień. Oczywiście była na to rada. Kai zaraz po wylądowaniu rzuciła na obie zakłęcie, jak kiedyś na Tomaszewskiego, a to rozwiązywało sprawę. Ale musiały się osłuchać. Z pustego powietrza obce zwroty do głowy nie dotrą.

Drugim problemem były pieniądze. Nikt nie wiedział, za pomocą czego dokonuje się tu płatności. Wywiad wyposażył je więc w złoto i srebro. Małe sztabki, monety (oczywiście cesarskie), a nawet grudki i samorodki bezpośrednio z kopalni. No i co z tego? Widząc cywilizacyjny poziom tutejszej osady, mogłyby postąpić dość głupio, gdyby weszły do podłego

szynku z pytaniem: „Czy akceptujecie tutaj sztaby złota z próbą gwarantowaną stemplem cesarskiej mennicy?”.

– Musimy jakoś znaleźć się przy ludziach.

– No to może wejdziemy do jakiejś karczmy?

– A czym zapłacimy?

– Pokażę parę grudek złota i powiem, że znalazłam w strumieniu.

Nuk zaczęła się śmiać.

– No i czemu rechoczesz?

– Wyobraziłam sobie ciebie, jak wchodzisz do szynku i mówisz: „Znalazłam złoto w Strumieniu Kojota!”. Chwilę później wszyscy wybiegną i zaczną gonić w tamtym kierunku. Łącznie z szynkarzem.

– Może nie wszyscy?

– No, może ktoś potem wróci. – Nuk była nawet skłonna się zgodzić. – Może ktoś wróci i powie, że po dwóch dniach jazdy konno zdał sobie sprawę, że nie wie, gdzie jest Strumień Kojota, a nawet nie ma pewności, czy taki strumień w ogóle istnieje.

Kai opuściła głowę.

– To może rzeczywiście nie najlepszy pomysł. Pewnie by mnie złapali i zaczęli przesłuchiwać w sprawie strumienia. To mi chciałaś powiedzieć, tak?

– Przystajesz być frajerką. – Nuk położyła koleżance rękę na ramieniu.

– A poza tym, jak już przejdzie ci pas i obraza na tamtych chamskich facetów, to pomyśl, ile komplementów dzisiaj usłyszałaś.

– Jakich komplementów?

– Że jesteś ładną laską i masz śliczną twarz. Sama bym cię zerznęła, gdybym była mężczyzną.

Nuk przeciągnęła się i założyła ręce za głowę. Strach nie gościł w niej zbyt często. Nie czuła się też osamotniona choćby przez samą odległość, jaka dzieliła je od cesarstwa. Ot, kolejna przeszkoda. Trochę współczuła czarownicy, która sprawiała wrażenie, że również nic jej nie przejmuje, choć ewidentnie odbywało się to „przy zaciśniętych zębach”. Ciekawe, czy strach i poczucie zagubienia dopadną Kai w końcu, czy też zdoła nad tym zapanować.

– To co robimy? – powtórzyła pytanie Nuk.

– Czemu mnie pytasz?

– Bo to ty jesteś dowódcą. Masz stopień kapitana marynarki, a ja dosłużyłam się ledwie sierżanta.

– Aha... – Kai zmarszczyła czoło, myśląc intensywnie. – No to wydaję ci rozkaz, sierżancie.

– Słucham!

– Masz znaleźć dla nas bezpieczną kryjówkę, żebyśmy mogły dotrzeć do jutra, ale taką jednocześnie, żebyśmy mogły się osłuchać z miejscową mową.

– Ożeż ty, cwaniaro jedna!...

– Odpowiada się „tak jest!”, sierżancie!

Siarczysty klaps w pośladek przerwał dalszą wymowę czarownicy. Kai podniosła rękę do ust, gotowa do rzucenia zaklęcia. Na szczęście kłótni, a być może i bijatyce w perspektywie zapobiegło pojawienie się wozu kupieckiego wyładowanego sprzętem. Dziewczyny natychmiast uśmiechnęły się do siebie, udając wielką przyjaźń. Żadnego wyrywania sobie włosów i drapania po twarzach nie będzie. Woźnica nie zwrócił na nie uwagi.

– Chodźmy za nim – szepnęła Nuk, kiedy ciężki pojazd minął je i kolebiąc się na koleinach w zaschniętym i wypalonym przez słońce błocie, zmierzał w sobie tylko wiadomym kierunku. – On musi stanąć gdzieś na popas.

– I myślisz, że tam będą bardziej światowi ludzie?

– Od tych na rynku? To chyba każdy jest bardziej światowy.

Ruszyły niespiesznie za wozem w bezpiecznej odległości. Bez trudu dotrzymywały mu kroku. Na tej nawierzchni nie można było rozwinąć większej prędkości.

– No i co? – spytała po kilkudziesięciu krokach Kai. – Wyjedzie z miasteczka.

– Nie wyjedzie. Zmrok niedługo, a mając stajnię do dyspozycji, żaden woźnica nie wybierze noclegu pod chmurką, gdzie przez całą noc nie zmruży oka, pilnując koni.

– Przed czym pilnując? Myślisz, że tu jest dużo wilków?

Nuk parsknęła śmiechem.

– Nie wiem, jak z wilkami. – Nie mogła opanować chichotu. – Ale koniokrady są wszędzie.

I rzeczywiście. Kiedy kupiecki wóz dotarł na peryferia osady, zwolnił jeszcze bardziej, a potem zatrzymał się przed wysokim płotem otaczającym kilka budynków na uboczu. Ktoś otworzył wielkie wrota, wpuszczając zaprzęg do środka.

– No i jesteśmy w domu – mruknęła Nuk. – To zajazd podróżniczy. Stajnia, kuźnia, karczma, stodoły i zagrody.

– To dobrze?

– Świetnie. Przecież tam nikt nikogo nie zna. Wszyscy przejezdni.

– A czym zapłacimy za nocleg?

– Woda ze studni za darmo. Tak jest we wszystkich krajach na świecie. A kiedy już będziemy w środku, zobaczymy, co i jak.

Nuk miała rację. Postój dla przejezdnych był naprawdę duży i odpoczywało w nim sporo ludzi oraz zwierząt. Nikt nie zwracał na nikogo uwagi. Dla nich nie musiano nawet otwierać wielkich wrót. Z boku znajdowała się mała furta dla pieszych. Nikt jej nie pilnował. Tak samo jak żadnej z kilku studni. Rozejrzały się i uznały, że miejsce jest idealne na przetrwanie nocy. Liczba kręcących się wokół osób sprawiała, że nie budziły niczyjego zainteresowania. Przycupnęły pod szerokim okapem chroniącym prymitywną rampę przeładunkową. Mogły w tym miejscu słyszeć śpiewy z karczmy, jak i rozmowy dobiegające z położonej bliżej kuźni.

Bez pośpiechu jadły suchary z jakimś koncentratem. Wywiad wyposażył je w jedzenie, które można przechowywać i które nie ciążyło w ich sakwach. No i wyjęto je z polskich opakowań fabrycznych, owijając w coś, co tu nie wzbudzało żadnej sensacji.

– Powiedz mi jedną rzecz... – Nuk wyciągnęła z sakwy swój koc i omotała się dokładnie. Koc wyglądał skromnie, był cieniutki i zajmował mało miejsca. Nie budził też niczyich podejrzeń. A jednak na zlecenie wywiadu zrobiono go ze specjalnej wełny, tkanej w równie przemyślny sposób. Lekki i kusy, był jednak wielokroć bardziej ciepły niż wszystkie koce, jakie można było spotkać po tej stronie gór. – Mam ochotę iść spać...

– Chcesz spać tutaj?! – Kai rozejrzała się w panice.

– No a gdzie?

– Przecież dookoła jest pełno ludzi.

– No właśnie. I nikt się nami nie interesuje. Pod tym okapem pewnie nikt nas nawet nie widzi, jeśli na nas nie nadeptnie.

– W nocy będą wartownicy. Sama mówiłaś. Ktoś będzie pilnował koni.

– A zamierzasz kraść konie, żeby im podpaść? – Nuk ziewnęła rozdzierająco.

– No coś ty? A jak... jak...

– Nie jąkaj się. Śpimy tu, bo i tak nie znajdziemy lepszego miejsca dzisiaj. Koniec dyskusji.

Kai zatkąło. Choć tak po prawdzie ona też była koszmarnie zmęczona. Myśl, żeby otulić się czymś ciepłym i zamknąć oczy, walczyła w jej głowie z chęcią znalezienia schronienia, które można by było uznać za choć w miarę bezpieczne. Sama nie wiedziała, co myśleć.

– A ja chciałam zapytać, czy to twoje zaklęcie dotyczące języka zadziała, jak śpię, czy powinnam czuwać.

– Jakie zaklęcie?

– I ona chce iść dalej, a nie jest już w stanie myśleć rozsądnie...

Kai zrozumiała dopiero po dłuższej chwili.

– Zaklęcie powinno działać we śnie równie dobrze jak na jawie.

– Aha. Czyli mogę strzelić komara, a rano będę już potrafiła mówić z miejscowym akcentem i tutejszą wymową.

– No chyba tak.

Nuk westchnęła ciężko.

– Tak czy nie? Zdecyduj się.

Czarownica wzruszyła ramionami.

– Użyłam tego zaklęcia tylko raz w życiu. Wobec Krzyśka. Musiał opanować zupełnie obcy sobie język. I wtedy trwało to bardzo długo. No ale... po pierwsze Meredith pokazał mi, jak to się naprawdę robi. Znacznie lepiej. A po drugie my nie musimy poznawać obcego języka od najgłębszych podstaw. Tylko wymowę i to, co gwarowe.

– Zlituj się i powiedz jak baba babie. Czy jak teraz zasnę, to rano będzie wszystko w porządku z moją wymową?

– Chyba tak.

– No i dobrze. – Nuk poprawiła koc, podłożyła sobie sakwę pod głowę i przewróciła się na bok. – Dobranoc. – Zamknęła oczy.

Kai chciała coś powiedzieć, ale zrezygnowała po namyśle. Nie było co ciągnąć bezprzedmiotowej dyskusji. Z lekką nutą strachu w głowie rozejrzała się. Bogowie... Tu wszystko było inne. Domy wokół jakby dużo większe niż w podobnych miejscach na terenie cesarstwa. Tylko jakieś takie

niechlujnie wykonane. No i wyłącznie z drewna. Nawet mieszkalne przypominały raczej stodoły. I ludzie dziwni. Mimo pozornego ruchu przed zmrokiem nie wydawali się pracować po to, żeby coś było zrobione. Prawdę powiedziawszy, ruszali się jak muchy w smole. Leniwie, powoli i bez jakiegokolwiek zaangażowania. Pozostało mieć nadzieję, że ich strażnicy również nie będą ambitni i dynamiczni w działaniu.

Kai wyciągnęła swój koc, okryła się, ale jakoś tak głupio było się położyć. Postanowiła spędzić noc na siedząco.



Teren tuż przed Kong rozszerzał się. Z wąskiego pasa położonego między morzem a górami, którą biegła cesarska droga, przechodził w dość rozległą równinę, gdzie oprócz lasów znajdowało się samo miasto i kilkanaście wsi wraz z należącymi do nich polami. Tę właśnie płaską część prowincji cesarskie wojsko uznało za swoją przestrzeń operacyjną i tu postanowiło rozwinąć swoje szeregi. O dziwo, imperialni dowódcy zrobili to w sposób perfekcyjny. Nie było korków u wylotu imperialnej drogi, nie było zagrożenia w czasie porządkowania przetasowanych w marszu oddziałów. Rozwinięcie skrzydeł nastąpiło bowiem pod osłoną desantu piechoty morskiej, lądującego dwa dni wcześniej na plaży w pobliżu polskiego lotniska. Desant nie był wielki. Ale kilka kompanii elitarnego wojska, które błyskawicznie przemaszerowało przez teren, zdawałoby się, „od dawna” znajdujący się w rękach partyzantów, zrobiło odpowiednie wrażenie. A wąskie gardło wylotu drogi, łatwe do zablokowania nawet niewielkimi siłami, zostało odpowiednio osłonięte. Piechota morska nie planowała żadnych spektakularnych działań, charakterystycznych dla ich stylu, i tym właśnie zaskoczyła przeciwnika. Na sam widok tych oddziałów można było spodziewać się błyskawicznego ataku na siedzibę główną partyzantów. A tu nie. Elitarne wojsko wykorzystano prawie jak zwykłą żandarmerię polową, połączoną, jeśli chodzi o wybór działań, ze zwykłą piechotą. Tyle że poruszającą się bardzo szybko. I to właściwie było wszystko. Żadnych spektakularnych działań, żadnych bitew, żadnych zaskakujących manewrów. Tyle tylko, że...

W chwili kiedy wiosna sprawiła, że teren nadawał się idealnie do działań bojowych, wielka cesarska armia stanęła w prowincji Kong gotowa

do boju, z całkowicie rozwiniętymi skrzydłami. I zasadniczo rzecz biorąc, mogła hełmami nakryć każdego przeciwnika.



– No to kłapa. Ruszyli!

Shen usiłowała się zerwać z prowizorycznego legowiska w tymczasowym obozie swojej kompanii weteranek. Noc była bardzo pracowita. Miała za sobą jedynie chwilę snu. Ledwie ogniskowała wzrok na Sharri stojącej u wejścia do namiotu.

– Co się stało? – zapytała, przecierając oczy.

– Ruszyli. Ale wiadomość już przeterminowana. Kurier miał pietra i przedzierał się dookoła. Lasami.

Shen długo nie mogła się pozbierać. Niedośzła kapłanka umoczyła swoją chustę w misce z wodą czekającej przy wejściu i podała koleżance.

– Masz. Ogarnij się.

Shen energicznie przetarła twarz i kark. Poczowała lekką ulgę.

– Co się stało? – powtórzyła.

– Armia imperium ruszyła na nas. Nie napotykając nawet symbolicznego oporu. Najpierw piechota morska wylądowała na plaży. Kilka oddziałów przemaszerowało przez sam środek prowincji, osłoniło wylot cesarskiej drogi, a wtedy to już... – Sharri rozłożyła ręce. – Rozwinęli się i właśnie ruszyli całą siłą w głąb Kong.

– I cóż zrobisz? – Shen podniosła się ociężale ze swojego legowiska. Usiłując nie chwiać się na nogach, dotarła jakoś do miski na trójnogu. Zaczęła się myć.

– A co ty tak od rana filozoficznie nastawiona do świata?

– A co? Ruszyli to ruszyli. Rozkazu wycofania imperialnemu sztabowi nie wydam.

Sharri wyraźnie się zdenerwowała.

– Mówiłam, żeby wyznaczyć linie obronne u wylotu imperialnej drogi. Wąskie miejsce! Kilku naszych powstrzymałoby dywizję!

Rozległ się głośny trzask. To Kadir, zrywając się z pościeli, uderzył głową w swój chlebak, podwieszony na noc pod stelażem.

– Kobieto, opanuj się! – syknął pod adresem niedoszłej kapłanki. – Chcesz walczyć partyzantami przeciwko regularnej armii w polu?



– Tam z jednej strony morze, z drugiej góry! Kilkadziesiąt kroków szerokości, zabarykadujesz i nikt nie przejdzie.

– Nikt też nie przeżyje z obrońców. Wojsko ustawiłoby armaty kilkaset kroków dalej i po ćwierci dnia ostrzału nie byłoby ani barykady, ani jej obrońców.

– To dalej stałaby druga nasza barykada.

– A obsadziłabyś ją kim? – zadał retoryczne pytanie Kadir. – Skąd wzięłabyś ludzi, którzy zgodziliby się tam trwać, widząc, co stało się z obsadą pierwszej?

Wkurzona Sharri rękami wykonała gwałtowny gest świątynnego odpędzania złych duchów. Kadir musiał wziąć to do siebie, bo wyszedł z namiotu bez słowa. Nie widziały, gdzie skierował się najpierw. Do lasu czy w stronę kuchni, żeby napić się czegoś, bo go suszyło. Leżący obok posłania bukłak nie miał zatyczki i nic się z niego nie wylewało. Widocznie został w nocy idealnie wysuszony.

– Dwoje posłańców! – rozległ się okrzyk od strony obozowiska. – Dwoje posłańców przybyło!

Zdyszana Nanti ledwie biegła. Widocznie poprzedniej nocy nie tylko rusznikarz odpędzał od siebie alkoholem myśl o tym, że sytuacja jest beznadziejna.

– Skąd są?

Nanti potrzebowała chwili na odzyskanie oddechu. Wzięła od Shen mokrą szmatkę i zwilżyła sobie czoło.

– Jeden od „Kolesia” Varika. A jedna z samego Kong. Po drodze zebrała też wiadomości, co z innymi grupami.

– No to dawaj ich tu.

– Tu? – Nanti rozejrzała się z dezaprobatą. – Siostrzyczko, ogarnij się najpierw. Wyglądasz, jakbyś balowała trzy doby z rzędu.

– Prawie nic nie piłam.

– Za bardzo się gryzłaś – poparła sierżant Sharri. – Gdybyś piła, tobyś lepiej wyglądała.

– No nie... – Nanti patrzyła na koleżankę, wykrzywiając zabawnie twarz. – Dowódca musi wyglądać.

Okropny sposób mówienia ze społecznych nizin. „Dowódca musi wyglądać”. Nie powiedziano, czy źle, czy dobrze. Shen nienawidziła tego nieprecyzyjnego sposobu wyrażania się na co dzień. Ciekawostka. Sama też

przecież wywodziła się z nizin. Dawniej jej to nie przeszkadzało? Czy też po prostu się zmieniała? A zaraza jedna wie. Dała się jednak przekonać. Wyszła za namiot i pozwoliła się polewać z wiadra lodowatą wodą. A po kąpieli włożyła czyste ubranie.

– Teraz lepiej?

– No, i tak właśnie powinien się prezentować dowódca. – Nanti pomogła jej przypasać broń. – Sharri, idź przodem. Ja będę przy boku.

– Tylko defilady nie róbcie.

– Ona ma rację – mruknęła Sharri i poprowadziła obie w dół łagodnego zbocza.

Posłańcy czekali w centrum obozowiska, przy kępie drzew, obok kuchni, gdzie były ukryte zapasy oddziału. Oboje nie wyglądali na zbyt optymistycznych. Prawdę powiedziawszy, przypominali raczej posłańców kłęski.

– Ty jesteś od „Kolesia”? – Shen podeszła do kilkunastoletniego chłopaka o niespokojnych, rozbieganych oczach.

– Tak! – Zerwał się na równe nogi. – Z meldunkiem przybiegłem.

– Z kiedy meldunek?

– Biegłem najszybciej jak mogłem!

Jak można przysłać takiego osła z raportem? – Shen już chciała skląć w myślach Varika, ale w porę się powstrzymała. Dowódca postąpił bardzo sprytnie, pozbywając się debila z własnego oddziału. Teraz debil stał się jej problemem.

– Co masz zameldować?

Chłopak wyprężył się na baczność i wykrzyknął radośnie:

– Kolega Varik kazał mi się nauczyć meldunku na pamięć i ja się go nauczyłem.

– Na pamięć? – Shen prychnęła śmiechem.

– Na pamięć!

Wymieniły z Nanti radosne spojrzenia. Jedyne Sharri mruknęła:

– Patrzcie. „Koles” nie pozwala na siebie mówić koleś. Tylko kolega.

Nanti szturchnęła ją i nakazała milczenie. W takich warunkach, kiedy z niego kpiono, przygłup mógł zapomnieć tekstu.

– No to recytuj – nakazała Shen.

Chłopak zrobił krok do przodu, wyprostował się jeszcze bardziej, odchrząknął i zaczął deklamować:

– Melduję, że nasz oddział zajął pozycje na wzgórzu przy skrzyżowaniu dwóch górskich dróg, niedaleko cesarskiej arterii...

– Uch – mruknęła Sharri. – „Koleś” zdołał go nauczyć nawet słowa „arteria”!

– Znak, że z edukacją tego chłopaka nie wszystko stracone – dodała Shen.

– Przestańcie. – Nanti powstrzymała komentatorki ruchem ręki. – Bo się posłaniec zacuka.

Posłaniec jednak wcale nie zamierzał się zacukać. Recytował tekst meldunku z dużym oddaniem i pewnością siebie. Miał wszystko wykute naprawdę na blachę.

– Początkowo imperialna armia nie wykazywała żadnego zainteresowania tą okolicą. Po przejściu głównych sił uderzeniowych w pobliżu pozostały jedynie szczupłe siły wartownicze i odwód, który w razie czego miał je wspierać. Po kilku dniach jednak pojawiły się oddziały pacyfikacyjne w trudnej do ustalenia liczebności. Zwiadowcy zidentyfikowali na pewno trzy odrębne kompanie, ale z całą pewnością liczebność tych jednostek jest dwu- albo i trzykrotnie większa. Wojsko nie wszczyłało żadnej akcji militarnej, ograniczając się do rekwizycji żywności i wszystkich zapasów w okolicznych wsiach. Skonfiskowane dobra jednak nie zostały nigdzie wywiezione. Zgromadzono je w kilku zajętych przez wojsko stodołach, a żołnierze zajęli się reglamentacją żywności wśród chłopów.

– Bogowie! – wyrwało się Nanti. – Co to za bezsens? Najpierw zarekwirowali, a potem wydają w porcjach.

– To żaden bezsens – powiedziała Sharri. – To przemyślane, bardzo rozsądne działanie.

– Jak to?

– To proste. Zabrali żywność i wszystkie zapasy. Chłopi nie mogą więc już wspomagać niczym partyzantów, nawet jeśli im sprzyjają. A żeby sami nie zdechli z głodu, to wydaje im się minimalne porcje na głowę każdego mieszkańca wsi. Korzyść podwójna. Wrogowie nie mają co jeść, a wojsko wie, ile osób jest we wsi i czy ktoś do lasu nie uciekł. Bo po żarcie każdy codziennie pewnie musi przyjść osobiście. – Sharri zerknęła na chłopaka, a ten potwierdził ruchem głowy.

– Aha, czyli chodzi o to, żeby potrzymać naszych trochę na głodnego? – upewniała się Nanti.

– Nie trochę, nie trochę. Tylko już do odwołania. I albo partyzanci zdechną z głodu, albo zdesperowani zaczną rabować, no i miłość ludu się od nich błyskawicznie odwróci.

Shen tylko machnęła rękami.

– Ta akcja w białych rękawiczkach uda się jedynie teoretycznie. Bo wojsko, które ją prowadzi, też musi mieć zaopatrzenie. A jedną drogą jedzenia dla takich mas żołnierzy, jakie są teraz w całym Kong, nie dostarczą. I już za chwilę żołnierze sami zjedzą to, co zgromadzili w zrabowanych stodołach.

– Obyś miała rację – westchnęła Sharri. – Przynajmniej wtedy zacznie się walka.

– Już się zaczęła – powiedział chłopak.

– Tak? No to dawaj dalej.

– Niedługo po siłach pacyfikacyjnych w okolicy pojawiły się oddziały wymiatające. Ich działanie polegało na przemarszach przez las niewielkich sił w celu sprowokowania partyzantów. W razie nawiązania kontaktu bojowego większe siły usiłowały otoczyć teren i zniszczyć wroga. Niestety, nie da się ukryć, że taktyka ta przynosiła z reguły szybki efekt. Wiemy na pewno o dwóch oddziałach partyzanckich zniszczonych w ten sposób. Przypuszczamy, na podstawie pogłosek, o zniszczonym lub rozproszonym jeszcze jednym.

– Nasi ludzie nie zdążyli się wyszkolić... – zaczęła Sharri, ale Nanti zgasiła ją jednym gestem.

– Ludziom z własnego oddziału – kontynuował chłopak – nie pozwoliliśmy dać się sprowokować. Tkwiliśmy w ukryciu, jak długo się dało. Kiedy sytuacja stała się dramatyczna, postanowiliśmy wycofać się w góry mimo braków w zaopatrzeniu. Na szczęście udało się nawiązać kontakt z przemytnikami, który dostaliśmy od Shen.

– Znaczący „Koleś” zwiął – mruknęła Nanti.

– Na jego miejscu zrobiłabym to samo. – Shen wzruszyła ramionami. – Wojna w polu z imperialną armią to sposób na bardzo szybkie samobójstwo.

– Na odchodnym jednak – ciągnął niezrażony chłopak – postanowiliśmy zadać cios imperium zła!

Wszystkie dziewczyny spojrzały na posłańca z nagłym zainteresowaniem.

– Kazaliśmy kilku ludziom włożyć na siebie fragmenty imperialnych mundurów, które były w naszym posiadaniu. W tym przebraniu moi partyzanci podpalili nocą parę chłopskich chałup, a po krótkiej szamotaninie udało się podpalić dwie stodoły ze zgromadzonymi zapasami. Na miejscu akcji kazaliśmy porzucić elementy imperialnego wyposażenia, jak manierki z wódką, pasy, ładownice i chlebaki.

– Zwycięstwo na miarę Achai i zdobycia Syrx! – Nanti rozłożyła ramiona i spojrzała prosto w niebo. – Biafra ze swoją „Masakrą pod Negger Bank” może się już w krzaki schować!

– I tu się mylisz, głupia! – Sharri fuknęła na koleżankę. – Propagandowo to mistrzostwo! A Varik to nie żołądny dupek!

– I przed kim będziesz tę propagandę uprawiać? Wszystkich naszych zmiotli!

– Narodu nie da się zmieść! Naród jest wieczny w przeciwieństwie do garstki głupców, którzy go tumanią!

– Na razie ci głupcy za pysk nas trzymają i mordą do ziemi!

– Może i za pysk, ale nie przy ziemi!

– Przestańcie, głupie cipy! – wrzasnęła Shen, chcąc uspokoić dwie kłótnice. – To wszystko? – zwróciła się do chłopaka.

Ten skinął głową i dodał, że jego dowódca w przemytniczej kryjówce czeka na rozkazy.

– Dobra. Idź coś zjeść, a wy mi dajcie drugiego posłańca.

– Jestem tu, pani. – Dziewczyna musiała się przebrać za chłopkę. Miała na sobie idealnie dobrany wiejski strój, odpowiednio znoszony. Niestety, zdradzał ją miejski akcent. Mówiła jak człowiek wykształcony.

– Nie mów do mnie per pani. Ty z Kong?

– Tak. Z samego miasta.

– I co tam? Są w okolicy jeszcze jakieś nasze oddziały?

Dziewczyna opuściła głowę.

– Myślę, że wszystkie nasze oddziały są ciągle w okolicy. A nawet w samym Kong. Jak uciekałam, to właśnie kaźniono ich na placu przed prefekturą. Pozostałych, tych, których kat nie dopadł, zabito na miejscu. Pewnie ciągle tam leżą, bo tym razem wojsko wszystko robi na postrach.

Ciszę, która zapadła po tych słowach, przerwała Shen dopiero po dłuższej chwili.

– Co robią na postrach?

– Nie zbierają zwłok. No chyba że delikwenta gdzieś w pomieszczeniu dopadli. Wtedy trupa na ulicę wywlekają. A gdy szłam do was, to widziałam przy drogach, co się dzieje. Trupy partyzantów, co ich w lesie zabili, w stosach na rozstajach poukładane. A jak żywego złapali, to powiesili na przydrożnym drzewie. Tam teraz całe aleje z wisielców ozdobą dla podróżnych się stały.

– Skurwysyny! – syknęła Sharri.

– Raczej kurwy – sprostowała Nanti. – Toż w wojsku same baby.

– Strach padł na wszystkich, których widziałam – ciągnęła dziewczyna. – Takiej rzezi dawno nie było. Ale perfidnie, wojsko trzymane żelazną ręką. Żadnych rabunków, żadnych dzikich rekwizycji. Tylko to, co w planie. Nie widziałam żadnego pokrzywdzonego przez mundurowe cywila.

– Żeby ich szlag! – Nanti potrząsnęła głową.

– Dobra, dobra. – Tym razem Sharri wykonała uspokajający gest. – Niech się złączą przesłuchania, poszukiwania ukrytych partyzantów. Niech się tylko zrobią dziury w dosyłanym zaopatrzeniu... I lud się odoczy mitu o surowej, ale sprawiedliwej armii.

– Czy miałaś kontakt z jakimkolwiek naszym oddziałem?

– Nie.

– W ogóle nic? Może coś słyszałaś?

– Nie. Utłukli wszystkich.

Shen poczuła, że po plecach przesuwa jej się coś lodowatego. Zupełnie jakby ktoś położył tam bryłę lodu i pozwolił łagodnie przemieszczać się w dół. Czowała, jak strach chwyta ją za gardło i zaczyna dławić coraz mocniej. Zresztą strach to za dużo powiedziane. Nie strach przed tym, co się stanie, przecież. Nie za bardzo dbała ani o swoją przyszłość, ani tym bardziej o bezpieczeństwo. Głęboki niepokój, który ją ogarniał, miał swoje podłoże raczej w tym, co mogła jeszcze usłyszeć. Potrząsnęła głową.

Była odpowiedzialna za tych ludzi?

No przecież nie. Nikogo nie ciągnęła na siłę, jej oddział nigdy nie prowadził żadnej akcji werbunkowej. No ale... przecież była jego dowódcą. To wiedzeni jej złowieszczym mitem ludzie zgłaszali się na ochotnika. Była więc odpowiedzialna.

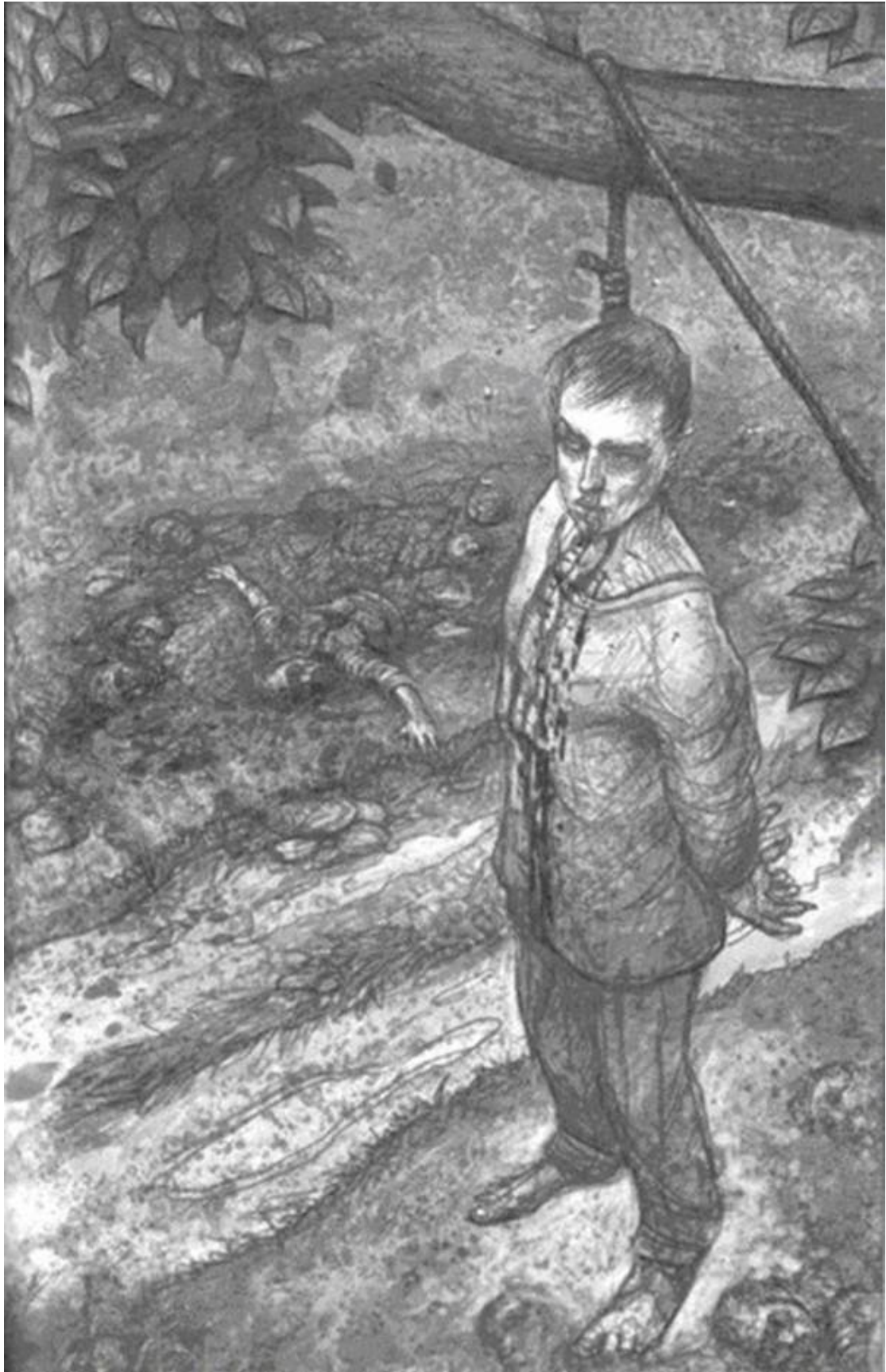
Nie! Nikt nie słuchał jej rozkazów. Żaden z oddziałów partyzanckich nie zastosował się do jej instrukcji. W razie inwazji wszyscy mieli ująć przecież do głębokich leśnych i górskich kryjówek. Prowadzić działania nękające według opracowanego wcześniej planu. A gdyby sprawy poszły dalej, gdyby nadarzyła się jakaś okazja, to wsparcia miała udzielić bezpośrednio jej wzmocniona kadrowa kompania, wyposażona w nową broń Kadira. Z tym tylko, że ludzie byli zbyt głupi, żeby zrozumieć tę koncepcję. Dali się zabić lub zgarnąć już od razu. Przy pierwszym uderzeniu. Z boku wyglądało to, jakby nikt w ogóle jej wcześniej nie słuchał. No, może poza „Kolesiem” Varikiem. I co to ma być? Rewolucja ludowa przeprowadzona rękami intelektualistów?

– Coś jeszcze wiesz?

– Po drodze słyszałam... – Dziewczyna zawahała się lekko. Niepewnie popatrzyła Shen w oczy. – Nasi na przedmieściach Kong usiłowali zatrzymać cesarską armię.

– A jednak? Sami? Jeden oddział na całą armię?

Tamta nie odpowiadała. Patrzyła gdzieś w dół, na własne stopy, tak jakby to ona była odpowiedzialna za to, co się stało.





– Jak było? – Shen postanowiła jej pomóc.

– Tam jest taki plac, wolny od zabudowy.

– Bogowie! Nie mów tylko, że nasi wyszli na plac?

Dziewczyna opuściła głowę jeszcze niżej.

– No bo... No bo wojsko z drugiej strony wyszło. I ustawiło się w dwuszeregu.

– Bogowie najświętsi... Czy chcesz powiedzieć, że partyzanci powtarzali manewry regularnej armii?!

– No... No tak.

Nanti jęknęła głucho.

– Czy nasi też stanęli w dwuszeregu?

– Nie było ich tyłu, żeby utworzyć dwuszereg. Stanęli naprzeciw w szeregu.

Sharri nie wytrzymała i zaklęła szpetnie.

– Fajna jest partyzantka, w której bojownicy sami się zgłaszają na egzekucję! I nawet ustawiać ich pod ścianą nie trzeba. Sami się zorganizują przed wykonaniem wyroku.

Dziewczyna brnęła dalej w swojej opowieści.

– Nasi byli bardzo bohaterscy, podniecali się okrzykami. A tamci...

– A tamci mieli komendę? Czy porucznik fatygowała się osobiście, czy rozkazy wyrzaskiwał zwykły sierżant?

– Tamci oddali jedną salwę z dwóch szeregów naraz. Zabitych i rannych partyzantów zostawili na placu. Wystawiono warty, żeby ludzie z okolicy nie podchodzili z opatrunkami lub jaką pomocą. No i wojsko poszło dalej. A ci zostali leżeć na bruku.

– Czemu macie takie miny jak przed ścięciem?

Kadir musiał w kuchni wykryć jakieś zapasy wina, albo nawet i czegoś mocniejszego. Najwyraźniej chlapnął już sobie sporą dawkę mimo wczesnej pory, ponieważ był w znakomitym humorze.

– No co tak stoicie? – dopytywał radośnie. – Czy już koniec zabawy w partyzantkę? – Ponieważ nikt mu nie odpowiadał, podszedł do Shen. – Co? Armia poradziła sobie już w pierwszych dniach kampanii?

– Tak.

– I co dalej?

Ponieważ nie odpowiedziała, Kadir przeniósł wzrok na posłańca.

– Powiedz, co z Polakami w Kong?

Dziewczyna zapytana o coś konkretnego podniosła głowę.

– Bardzo nie chcą się angażować w cokolwiek. Ale ci, którzy mieli coś wspólnego z partyzantami, chcieli się ukryć przed gniewem cesarzowej i usiłowali znaleźć się w ich bazie.

– Przecież lotnisko nie jest eksterytorialne. Jest nasze i stanowi część imperialnej drogi.

– Wiem. Ale wokół wieży kontrolnej jest niewielki obóz otoczony drutem kolczastym, który Polacy uważają za swój teren. Mają tam baraki, magazyny i hangary.

– Tak, wiem.

– No i właśnie tam chcieli się ukryć ci, co czuli się winni. Ale imperialna armia sprytna. Te same oddziały piechoty morskiej, co robiły desant, teraz otoczyły polską bazę kordonem i wyłapują uciekinierów wprost pod polskimi wartowniami. Dosłownie widać twarze ludzi w oknach, jak patrzą, co się tam wyrabia.

– A co się tam wyrabia?

– Piechota morska wiesza tych, co złapała na próbie wydostania się spod cesarskiej władzy.

– Za co wiesza?

– Za szyje. A powodem egzekucji jest zamiar rabowania sojuszniczej bazy, którą nasze elitarne oddziały chronią przed bandytami.

– No tak. – Kadir skinął głową. – No i perfidnie odbywa się to zgodnie z literą umowy między państwowej podpisanej między sojusznikami w Negger Bank. Oni to robią zgodnie z prawem.

– Jest, jak mówisz.

Rusznikarz tylko potakiwał w niemym podziwieniu dla racjonalnych zachowań imperialnego sztabu generalnego. Cóż, wolał nie mówić tego głośno, ale cesarska armia, która zupełnie nie radziła sobie z potworami w dolinie Sait, w walce z własnym narodem radziła sobie doskonale! Miał dziwne wrażenie, że generalnie wszelkim wojskom na całym świecie najlepiej walczy się ze swoimi. I koniecznie bezbronnymi.

– Wyrażasz się jak ktoś, kto odebrał edukację. Zauważyłaś może jeszcze coś ciekawego?

Dziewczyna uśmiechnęła się blado i bardzo nieśmiało.

– Cena za głowę naszego dowódcy wzrosła niepomiarowo.

Wyjęła z torby złożoną we czworo kartkę, którą musiała zerwać po drodze z jakiegoś płotu. Rusznikarz wziął list gończy do ręki, rozprostował papier i patrzył długo. Potem uderzył w niego drugą dłonią.

– Shen, kochanie! Jeśli odtąd zwrócę się do ciebie per „moja droga”, potraktuj to jak najbardziej dosłownie! – Kadir jeszcze raz zerknął na papier. – Jesteś warta kupę złota!

– Przestań się wygłupiać – fuknęła jak kotka. – Co mam teraz zrobić?

Spowaźniał natychmiast. Wskazał ręką żołnierzy ich oddziału, skupiających się pod drzewami.

– Musisz przemówić do ludzi. Wszyscy już słyszeli złe wieści.

– Co mam powiedzieć?

– No jakoś ubierz ładnie w słowa to, że musimy spieprzać w góry, i zrób z tej akcji wielkie zwycięstwo.

Wielkie zwycięstwo? Tej klęski nie da się nawet przerobić na zwycięstwo moralne. Przecież to po prostu koniec. Nie miała już nic poza własną kompanią i gdzieś tam małym oddziałem „Kolesia” Varika. Nikt nie mógł już pomagać partyzantom ani ich wspierać. Żywność reglamentowana. A każdego sympatyka zaraz powieszają ku uciezce gawiedzi. To koniec.

Idąc w dół łagodnego zbocza do swoich żołnierzy, uniosła głowę do nieba i coś szepnęła. Nikt nie dosłyszał poza Kadirem, który szedł najbliżej. Rusznikarz też nie był pewny. Według niego to brzmiało jak: „Achaja, przepraszam!”. Nie chciał jednak tego interpretować.

Na dole Shen zatrzymała się przed największym skupiskiem swoich ludzi. Pozostali zbliżali się niespiesznie.

I co tu powiedzieć, kiedy wszystko już stracone? A może uciekać z resztkami sił do Shah? Przecież tam powinni ich przyjąć z otwartymi ramionami. A może zostawić wszystko po prostu w zarzę, niech każdy radzi sobie sam? A może uciec gdzieś tylko z Kadirem? A może unieść się honorem i przejść do legendy, ginąc w samobójczym szturmie na wielokroć liczniejsze oddziały wroga? A jeśli nie zabiją jej podczas ataku i ranna dostanie się do niewoli? Wolą nie myśleć, co z nią zrobią. Nie płaci się góry złota za głowę kogoś, kogo się później tylko powiesi.

– Żołnierze!

A może powiedzieć: „Robimy składkę na wódkę i zapijamy się na śmierć”?

– Słyszaliście już złe wieści!

Dziewczyny z jej kompanii odpowiadały ponurymi pomrukami.

– Słyszaliście, co oni robią z naszymi braćmi?

Pomruki przybrały na sile. A potem zapadła idealna, namacalna wręcz cisza. Nikt nie śmiał się odezwać. Nikt nie miał niczego do powiedzenia.

Shen stanęła w rozkroku, zaplatając ręce. Długo trwała w milczeniu, a potem podniosła głowę.

– Dni imperium są policzone!

I dopiero w tej chwili Kadir zrozumiał, o co chodziło z tą Achają.



Pierwszy pokaz parowej lokomotywy w akcji na tej półkuli był zamknięty dla publiczności. Odbywał się na bocznicy w pobliżu lotniska, na zamkniętym terenie przy uniwersalnej rampie przeładunkowej, mogącej obsłużyć jednocześnie wózki samolotowe, jak i bezpośrednio wagony kolejowe. Zaproszeni widzowie stanowili elitę intelektualną Negger Bank. Sami inżynierowie, mędracy, najlepsi nauczyciele, wybrani, najbogatsi kupcy i spekulanci oraz kronikarze z najlepszych bibliotek. Ktoś puścił w obieg uwagę, że gdyby w polskiej bazie wybuchł teraz pożar i wszyscy by zginęli, to poziom intelektualny całego cesarstwa obniżyłby się prawie do zera. Ktoś nawet odważył się na obrazoburczą uwagę dotyczącą średniego poziomu inteligencji.

– O! – usłyszeli obecni na placu w momencie, kiedy pojawiła się cesarzowa z orszakiem i ochroną. – Nie potrzeba pożaru. Średnia już spadła!

No niestety. Elity intelektualne Negger Bank to nie dwór i nie wielmoże. Tu nastroje rewolucyjne były dość powszechne. A sympatie lokowano nie przy pałacowych oficjelach, ale raczej wśród ludzi Shen.

Z drugiej strony na placu stali kulturalni ludzie. Nie było powszechnych gdzie indziej uwag, że marynarze z pistoletami maszynowymi stanowiący ochronę władczyni paradują w obcych mundurach i z obcym wyposażeniem, a jedyną różnicą są przemalowane hełmy, z których zniknął biały orzeł polski, by dać miejsce czarnemu orłowi cesarskiemu. Tu ujmą było raczej to, że cesarzowa w ogóle przychodzi na spotkanie w otoczeniu uzbrojonych ludzi.

Wszystko to nie miało żadnego znaczenia wobec uroczystości, która miała się właśnie rozpocząć. Kolej budowali pragmatycy, a nie dworzanie. Nie było żadnego ceremoniału ani sążnistych przemówień. Jedyne krótkie podziękowanie za skończony kolejny etap prac wygłosił naczelnny miejscowy inżynier, a jemu z kolei w bardzo oszczędnych słowach podziękował polski dyrektor. I tyle. Wojskowa orkiestra zaczęła grać, a służący trudniący się dotąd roznoszeniem schłodzonego wina zaczęli odsuwać wielki parawan na wózkach, skrywający źródło białego dymu.

Już po chwili wszystkim zgromadzonym ukazała się smolistoczarna lokomotywa. Para wydobywająca się z komina i kilkudziesięciu innych miejsc przydawała zjawisku tajemniczości. I w tym momencie maszynista szarpnął sznur, uruchamiając sygnał. Przeciągły gwizd przetoczył się nad zebranymi. Na placu nie było chyba nikogo, kto nie drgnąłby chociaż z zaskoczenia. To był dźwięk, który we mgle, w nocy, podczas urwania chmury, huraganu czy zamieci śnieżnej miał być słyszalny w całej okolicy! Miał wybijać się ponad wszelkie inne dźwięki. Teraz spowodował, że wszyscy zgromadzeni zdali sobie sprawę z jednej rzeczy: przed nimi nie stoi maszyna, lecz potwór!

Monstrum podpięto do osiemnastu wielkich stalowych wagonów, a każdy z nich wypełniono bryłami skalnymi używanymi do budowy drogi. Maszynista zwiększył ciśnienie pary, a potem przełączył napęd. Składem szarpnęło coś niewidzialnego. Wielkie czerwone koła zabuksowały nagle, by w okamgnieniu odzyskać przyczepność i szarpnąć składem ponownie. Tym razem wypełnione skałami wagony zaczęły posuwać się naprzód. Coraz szybciej i coraz szybciej, jakby bez specjalnego wysiłku. Efekt psychologiczny był taki, że ludzie odruchowo zaczęli się odsuwać od toru.

Na placu stała jednak intelektualna elita. Większość ludzi zdała sobie sprawę, że nie ma na lądzie większej mocy niż czarne monstrum i to właśnie ono, a nie błyszczące samoloty wysoko na niebie, nie żelazne okręty najeżone armatami, zmieni ich świat. Inżynierom nie trzeba było pokazywać niczego dwa razy. Doskonale wiedzieli, że nic już nigdy nie będzie wyglądało jak dawniej. Ich świat dokonywał właśnie ostrego zwrotu i wraz z nastaniem ery ziemniaków i kolei żelaznej stawał się zupełnie innym światem.

Nie było tu hałasty, więc nikt nie krzyczał ani nie wiwatował. Rozległy się jednak niezbyt głośne, choć energiczne brawa. Ci, do których

adresowany był pokaz, dobrze zrozumieli, co się dzieje.

Tymczasem zagłuszona na moment orkiestra przeszła płynnie od marsza triumfalnego do delikatnej muzyki w tle. Służący przynosili stoły z przekąskami i ustawiali płócienne dachy na rusztowaniach. To naprawdę była impreza dla elity. Nikt nie spodziewał się więc pustych przemówień z trybuny, ale rautu, na którym przy winie i w luźnej atmosferze można przeprowadzić bardzo ważne, choć nieformalne rozmowy. Budowa wkraczała w decydującą, końcową fazę i należało załatwić mnóstwo technicznych spraw, których nie udawało się ustalić w roboczych salach konferencyjnych. Po pierwsze pod ręką były biura budowy z dokumentacją techniczną, a po drugie gości zaszczyciła przecież swą obecnością sama cesarzowa. I dzięki temu od ręki na miejscu można było uzyskać jej łaskawe, przyzwalające skiniecie głową, które stawało się obowiązującym prawem. Naprawdę komfortowa sytuacja.

Tomaszewski również przyszedł tu załatwić pewną techniczną sprawę. Na szczęście zgoda cesarzowej nie była mu do niczego potrzebna i nie władczyńszukał. Mędrzec Taner oraz inżynier Dion szukali również jego. I dlatego tylko próby wzajemnego odnalezienia się w tłumie trwały tak długo. W końcu jednak zostały uwieńczone sukcesem.

– Gdzieś na ubocze? – zapytał Taner na widok komandora. – Sprawę mamy do ciebie.

– To się świetnie składa, bo ja mam do was. Potrzebuję ekspertyzy, ale nie na uboczu, tylko w baraku przy hangarze.

– To dalej niż nasze pierwsze lepsze ubocze – skwitował Taner. – Więc najpierw nasza sprawa.

– Dobrze. – Tomaszewski był wyjątkowo ugodowy. – Najpierw wy.

Dion poprowadził ich na sam skraj placu, do stołów, które nie miały daszków. Cień dawały korony rosnących tu palm. Sukcesywnie zaczął odsuwać naczynia, żeby zrobić miejsce dla mapy Złych Ziem. Tymczasem Taner zaczął wyjaśniać, o co chodzi.

– Słuchaj, sytuacja zrobiła się naprawdę ciekawa.

– W kwestii rafinacji oleju skalnego na benzynę i olej napędowy? – domyślił się Tomaszewski.

– Tak. Razem z nim – Taner wskazał kciukiem inżyniera – pożyczylimy trochę pieniędzy i zrobiliśmy niewielki prototyp naszej oczyszczalni.

– Rafinerii – poprawił go Tomaszewski.

– Och, rafinerią to bym tego czegoś nie nazwał. Ale takie tam coś udało nam się zbudować. Właściwie nie nam, tylko jemu, inżynierowi, według mojego pomysłu.

– I działa?

– Działa.

Tomaszewski potrząsnął głową w niemym podziwieniu.

– No to zarobicie sporo forsy, sprzedając tę technologię. Zanim tu powstanie prawdziwa rafineria, to trochę potrwa, a dostawy ropy mogą się zaraz zacząć.

Taner westchnął ciężko. Najwyraźniej nie wiedział, jak zacząć trudną kwestię.

– Sprzedając ten pomysł, oczywiście zarobimy sporo pieniędzy. – Uciekał wzrokiem przed spojrzeniem Tomaszewskiego. – Ale produkując benzynę sami, zarobimy jakies z niczym nieporównywalne kwoty.

– To prawda. A czy was stać na to?

Mędrzec znowu westchnął ciężko.

– Byliśmy w banku Barucha. I tam nam jasno powiedzieli, że wchodzi w ten interes z każdą kwotą, jaka nam się zamarzy. Z każdą dosłownie. Sfinansują całe przedsięwzięcie.

– A co w zamian?

– A w zamian chcą połowy zysków.

Tomaszewski zaczął się śmiać.

– No to bardzo uczciwie!

– Owszem... – Mędrzec zawahał się i wypalił: – To na ciebie wypadałaby trzecia część pozostałej połowy!

– Jaka trzecia część? I czego?

– Zysków. No przecież bierzemy cię do spółki. Na jedną trzecią zysków.

Tomaszewski dopiero teraz zrozumiał, dlaczego tamten tak unikał jego wzroku.

– Człowieku, ja nie mogę. Jestem oficerem i za takie coś toby mnie... – Przesunął palcem po gardle. – Ale dziękuję za propozycję.

– Liczyliśmy się z tym, że tak odpowiesz – odezwał się Dion, który skończył właśnie mocowanie rogów mapy rozłożonej na stole. – Mamy więc inną propozycję.

– Czemu akurat ja?

– Zerknij na mapę i wszystko stanie się jasne. Bez ciebie z prawdziwym interesem nie ruszymy.

Zaintrygowali Tomaszewskiego. O co im chodziło? Z dużą ciekawością nachylił się nad mapą.

– No popatrz – tłumaczył Dion. – Jedną oczyszczalnię oleju skalnego budujemy tu, gdzie jesteśmy, bo to oczywista lokalizacja. A drugą w miejscu wydobycia oleju.

– Na Złych Ziemiach? A po co?

– Stamtąd będziemy transportować już benzynę, nie tylko surowy olej. A poza tym taka lokalizacja da oszczędność na transporcie. Przy naszej metodzie ilość odpadów jest ogromna. A tam po pierwsze niczego nie zatrujemy, bo ziemia i tak martwa, a po drugie nie będzie potrzeby transportowania wielkich objętości, które dopiero tutaj staną się odpadami.

– Logiczne. No i źródło zaopatrzenia w benzynę pojazdów poruszających się po Złych Ziemiach będzie na miejscu.

– Właśnie. Jednak wciąż jeszcze nie mówimy o prawdziwych pieniądzach.

– Bo? – ciekawość Tomaszewskiego nie malała. Dodał jeszcze drugie pytanie: – A do czego ja wam jestem potrzebny?

– Dobrze by było, gdybyś mógł wpłynąć na dowództwo, żeby przedłużyło trochę linię kolejową.

– No nieeee...

– To tylko mała bocznica. Taka nieważna linia. Popatrz. – Palec Diona przesunął się w lewo od pól naftowych na Złych Ziemiach. – Tory trzeba poprowadzić dalej. O tu, zakręt i jeszcze troszkę, dosłownie ciut, ciut i docieramy do rzeki Liu. E, zresztą ma ona różne nazwy. W każdym razie, jakkolwiek by się nazywała, rzeka jest spławna!

– I co z tego?

– A ty nie wiesz, co to za okolica?

– Po pierwsze nie wiem, a po drugie, żeby przedłużyć linię kolejową, trzeba sztabowi przedstawić jakiś powód.

– Powodem jest dostęp do wody. Na Złych Ziemiach jej nie ma i każdy dosłownie kieliszek trzeba wozić stąd.

– Eee... – Tomaszewski tylko machnął ręką. – Taniej wozić cysterny wody koleją, niż wybudować nowe tory.



– No i właśnie do tego jesteś nam niezbędny. Żeby przedstawić dostęp do rzeki Liu jako konieczność strategiczną.

Tomaszewski tylko się śmiał.

– To się teoretycznie oczywiście da zrobić. Dla Wentzla to pewnie pestka. Tylko gdybym go o to poprosił, on każe mi stanąć przed sobą i bardzo poważnie odpowiedzieć na pytanie dlaczego. I co ja mu wtedy powiem?

Taner wysunął się przed Diona.

– Ja powiem.

– Tylko krótko. Bo jak ty zaczynasz gadać w południe, to zmierzch zapadnie, zanim skończysz.

Mędrzec nie zwracał uwagi na inżyniera.

– Posłuchaj mnie, Krzysiek. Przybyliście tu, nie mając pojęcia, co zastaniecie. No i na pierwszy rzut oka wydawało się, że tu jest cywilizacja prymitywna, w stosunku do waszej ciemna i zacofana. Na pierwszy rzut oka. Mija dzień po dniu, zaczynaliśmy rozmawiać ze sobą, pojawiły się z waszej strony pilne techniczne potrzeby. I nagle okazało się, że nasi inżynierowie nie są wysrani przez srokę. Mają prawdziwą wiedzę, praktykę, umiejętności i są trzeźwymi facetami.

– No... rano trzeźwymi, a wieczorem już niekoniecznie – wtrącił się Dion.

– Cicho, głupku! – osadził go Taner. – Popatrz na mnie, Krzysiek. Jestem od ciebie dużo, dużo niższy, mam ciemniejszą skórę, czarne włosy i moje oczy nie są tak wodniste jak twoje. Ale czy czujesz, że w istocie jestem takim samym człowiekiem jak ty? Czy czujesz powinowactwo intelektualne? Czy czujesz we mnie bratnią duszę?

Tomaszewskiego wyraźnie poruszyła ta wypowiedź.

– Tak – powiedział. – Na wszystkie trzy pytania mogę odpowiedzieć twierdząco.

– No to powiem ci tak. Uznaliście i wiedzę, i umiejętności naszych inżynierów. Traktujecie ich jak kolegów, jak równych sobie fachowców, a nas, specjalistów z innych dziedzin, już jak alchemików i czarodziejów o umysłach zaćmionych szamanizmem.

– No nie...

– Ależ tak. A ja ci chcę dowieść, że jesteśmy lepszymi fachowcami niż oni. – Znowu wskazał Dion kciukiem. – I bardziej wszechstronnymi.

– Naprawdę nie wątpię.

– Przeszaniez wątpić dopiero za chwilę. – Taner wziął jeden z kielichów wypełnionych winem i zwilżył sobie gardło. – Tak sobie myślałem o tym, co się dzieje na świecie. I nagle zdałem sobie sprawę, do czego to wszystko zmierza.

– Co zmierza?

– Są dwie siły, u nas i u was, które rozpoczęły wyścig do pomnika cesarzowej Achai. Nie wiem, o co w tym chodzi, wiem, że wyścig trwa. Po coś armia polska uderzyła na świątynię potworów na płaskowyżu Banxi, i to z dwóch stron. Po coś cesarstwo wysłało tam czarowników. Po coś RP zostawiła wojsko przy ołtarzu w świątyni, po coś cesarstwo odzyskało Kong i zaczęło budowę przedłużenia cesarskiej drogi przez Wielki Las do tej świątyni. Po coś Polska trzyma na zapleczu cesarskich partyzantów Shen, a cesarstwo ćwiczy się w wysadzaniu desantów. W jakimś celu obie strony przeważają, co jest za Wielkim Lasem. I coś mi mówi, że obie strony przeważają też, co się dzieje na drugim kontynencie...

Tomaszewski z trudem powstrzymał się od okrzyku: „Skąd wiesz?!”. Powstrzymał się, bo to była logiczna konsekwencja, którą ktoś o umyśle Tanera mógł przewidzieć. Mędrzec zrobił pauzę w swoim wywodzie, a potem zapytał:

– Powiedz mi, Krzysiek, czym się z reguły kończy wielki wyścig?

– Z reguły? Wielką wojną – odpowiedź była oczywista.

– No właśnie. A ile dróg macie do Kong?

– Jedną. Między górami a morzem.

– Jedną. I to cesarską. A co będzie, jeśli wojna wybuchnie za Wielkim Lasem? I to dziś jeszcze nie wiadomo z kim? I... czekaj, nie przerywaj mi. – Taner podniósł rękę z kielichem, powstrzymując słowa Tomaszewskiego. – I może się tak zdarzyć, że ta wojna będzie wymagała użycia wszystkich polskich sił. Wszystkich czołgów, armat, całego zaplecza i mnóstwa zaopatrzenia. Pomyśl tak: czy w przypadku takiej wojny wasz sztab nie mianuje do stopnia generała oficera, który w tej sytuacji powie: ależ my nie mamy tam tylko jednej drogi. Mamy dwie!

– W marynarce wojennej nie ma stopnia generała.

– Ale zasadniczą myśl złapałeś, prawda? A czy cię mianują admirałem, czy królem, to już wszystko jedno, co?

Tomaszewski zapalił papierosa.

– Którędy miałyby prowadzić ta droga?

Nachylili się nad mapą.

– O, tędy, kolejną na Złe Ziemie, to już wiemy, potem skręt na boczną linię do przystani na Liu. Tutaj trzeba dobudować, ale to krótki wypierdek. A potem barkami z napędem spalinowym wodą do Kong i „dzień dobry” mówicie na lotnisku! Albo... Ponieważ rzeka Liu ma duże odnogi, to znowu skręt i jesteście za Wielkim Lasem. Czyż to nie piękne? Tu wasze oddziały wsiadają na peronie, a tam na Liu wysiadają przed albo za oddziałami przeciwnika. I to wszystko odbywa się błyskiem. A dodatkowo pamiętaj, Krzysiek, że rzeka jako arteria transportowa jest niezniszczalna! Nikt wam nie podkopie, nie rozwali i nie zniszczy!

– To cudowne! – powiedział Tomaszewski i zaciągnął się głęboko.

– Nieprawdaż? A dodatkowo my wybudujemy barki dla wojska, to będzie prywatne przedsięwzięcie, my będziemy je przechowywać i nikt nosa nie wsadzi. Wcześniej, niż będą potrzebne, nie przewącha.

– Armia dowolnej wielkości, z dowolną ilością zaopatrzenia niewyobrażalnie wręcz szybko znajdzie się w tamtym rejonie! Taner! Oficjalnie oświadczam, że twój umysł nie jest zaćmiony żadnym szamanizmem!

– No! – Mędrzec uśmiechnął się szeroko. – A ty, biedaku, będziesz sobie z żalem wspominał, że mogłeś mieć jedną trzecią z połowy zysków z benzyny, którą sprzedamy na wojnie.

– Wystarczy mi nominacja na króla – odciął się Tomaszewski.

– Mówiłem – mruknął Dion. – On to nie dla pieniędzy. Władza go ciągnie, nie złoto.

– Ano – zgodził się Taner. – Z tych dwóch namiętności, czy właściwie nałogów, popęd do władzy przynajmniej łatwiej ukryć.

Wzięli do rąk kielichy, żeby przypieczętować umowę. Tomaszewski, spełniając toast, nie mógł uwierzyć, że tak prosta perspektywa strategiczna mogła umknąć dziesiątkom sztabowców, którzy przecież musieli oglądać te mapy. Musieli zastanawiać się nad zabezpieczeniem pól naftowych z wojskowego punktu widzenia. I nikt nie dostrzegł, że tak proste i niezbyt kosztowne posunięcie potrafi stworzyć platformę do zawładnięcia Bóg jeden wie jak wielkimi obszarami o pierwszorzędym znaczeniu strategicznym? Nikt? Uspokoił się po chwili. No tak, w momencie tworzenia planów linii kolejowej nikt nie miał pojęcia o znaczeniu Banxi i

o tym, dokąd drogę otwiera jego posiadanie. Wtedy jeszcze, choć przecież nie tak dawno, linia kolejowa była szlakiem na koniec świata.

Ciekawe, jak na to zareaguje Wentzel. Bo tego, że się zgodzi, by wykorzystać okazję, Tomaszewski był pewien. A sam nie miał żadnych wątpliwości, że wokół Banxi zacznie się coś dziać. Nie on jeden.

– Dobra, chodźcie. – Tomaszewski odstawił swój pusty kielich i skinął na kolegów. – Jeden facet czeka na nas w baraku przy hangarze.

– A nie lepiej pić tutaj? – skrzywił się Taner. – Jeszcze nie jest tak upalnie, żeby się przenosić.

– Nie chodzi o picie. – Tomaszewski ruszył przodem, ciągnąc ich za sobą. – Po coś was dwóch dzisiaj szukałem. A sprawa szlaku przez Złe Ziemie wynika z waszej inicjatywy.

– A po co nas szukałeś? – Zaciekawiony Dion przyspieszył kroku.

– Z Shen musi być nie najlepiej. Wyraźnie robi wszystko, żebyśmy o niej pamiętali.

– Współczuję tej dziewczynie. Od początku kłody pod nogi.

– No, nie pieści jej życie. Ale dostarczony przez kuriera materiał jest rzeczywiście wart uwagi.

– Co się stało? – zainteresował się Dion.

– Partyzanci znaleźli na brzegu morza aparat latający.

– Wasz?

– No właśnie w tym cała zagwozdkka, że nie nasz!

Tanera dosłownie zatkało. Dion zwolnił.

– Jakim cudem...?

– No właśnie! – Tomaszewski skinął głową. Zaczekał, aż koledzy go dogonią, i ruszył dalej. – Na szczęście tam jest taki rusznikarz, Kadir. Facet ma głowę na karku, no i zna się na technice.

– Nie mów, że masz rysunki.

– Mam. Tylko to jest ta wasza geometria wykreślna, nie nasza. Dałem papiery specjaliście od techniki lotniczej, a on rozumie piąte przez dziesiąte. Nawet zaczął robić model tego czegoś, ale mu niezbyt idzie.

– No to my zrozumiemy, o co w tych szkicach chodzi. – Dion, którego ciekawość nagle została rozpalona do czerwoności nowym technicznym problemem, przyspieszył kroku. – Dobrze, że do nas przyszedłeś.

Inżynier szedł teraz tak szybko, że pozostali dwaj ledwie nadążali. Aparat latający! I to niewykonany rękami Polaków. To dopiero zagadka.

Tomaszewskiemu udało się go wyprzedzić dopiero na ostatnich metrach. Otworzył drzwi i przepuścił obu do środka, gdzie przy wielkim stole, z którego uprzątnięto narzędzia, czekał na nich specjalista skupiony nad rozłożonymi papierami.

– Panowie pozwolą. Inżynier Barszczewski, specjalista od techniki lotniczej. Inżynier Dion, mędrzec Taner.

Barszczewski, niemłody już mężczyzna z posiwiałą głową, podniósł się jednak bardzo energicznie.

– Miło mi poznać panów. – Zerknął na Tanera z zaciekawionym. – Czy mędrzec oznacza u was filozof?

Tanera szlag trafił i Tomaszewski musiał się wmieszać.

– Zapewniam, że w jego wiedzy nie ma ani cienia szamanizmu.

– W filozofii też nie. Ale to tylko takie ogólne pitu, pitu...

Tomaszewski przełknął ślinę.

– Nasi inżynierowie są specjalistami w bardzo wąskich dziedzinach nauk ścisłych. Proszę się więc nie dziwić podejściu do... – zawiesił głos, nie wiedząc, jak wybrnąć z sytuacji.

Pomógł mu Dion, pochylając się nad niedokończonym, sklejonym z papieru modelem.

– Skupmy się nad rysunkami. – Ostrożnie wziął model do ręki. – To fascynujące.

– I nawet niezłe oddane. – Taner ledwie rzucił okiem na szkice. – Choć proporcje nie te. Popatrzcie. – Wziął do rąk jedną z kartek. – Na tym szkicu Kadir narysował sam siebie na tle szczątków, żebyśmy mogli oszacować wielkość aparatu latającego. A ten model...

– Proporcje są niezłe. – Dion porównywał model z rysunkami. – Tylko tu jest coś nie tak.

– To chyba takie leże dla pilota – powiedział Barszczewski. – Zrobiłem je tej wielkości, żeby mógł się tam zmieścić normalny człowiek.

– A jakiej wielkości byłby ten człowiek w skali modelu? – zapytał Taner.

Barszczewski zmiął kartkę papieru, złapał kulkę między dłonie i szybko nimi poruszając, zrobił z niej niezbyt foremny walec. Przyjrzał się i uszczknął kawałek.

– No, mniej więcej taki.

Taner zaczął się śmiać.

– No właśnie. W porównaniu z długością skrzydła na rysunku to jest wzrost przeciętnego Polaka! A nie kogoś stąd. I dlatego się koledze Dionowi proporcje nie zgadzały.

– O ile go skrócić?

– O głowę. Nie. Więcej.

Barszczewski urwał kawałek papieru i znowu przystawił do modelu.

– Taki wzrost się zgadza?

– Nie. – Zaczęli sprawdzać wielkości, porównując model i rysunek. – Dalej nie.

– Ja to zrobię. – Taner przejął papierowy walec. Dłuższą chwilę przymierzał się z paznokciem i urwał jeszcze spory kawałek. – O! Teraz pasuje!

– Pasuje – przytaknął Dion. – Ale się nie zgadza.

– Co się nie zgadza? – zapytał Tomaszewski.

– Wzrost tego człowieka.

– No... a ile on miałby wzrostu w metrach?

Barszczewski przyłożył do papierowej tutki swoją skalówkę.

– Jakies sto trzydzieści centymetrów.

– Mniej! Dużo mniej.

– Sto dwadzieścia? Jeszcze mniej?

Tomaszewskiego zdenerwowało ich puste gadanie.

– Przyłóżcie do mnie dłoń. Dokąd by mi sięgał ten pilot, gdyby stanął obok?

– Mniej więcej dotąd. – Taner wysunął rękę tak, że jego dłoń znalazła się dużo poniżej mostka.

– Karzeł?

Dion tylko machnął ręką.

– Żeście się zablokowali własnym wyobrażeniem – powiedział. – Tym, że pilot musi być od razu mężczyzną. A może to niska kobieta?

– Karlica! – mruknął Barszczewski.

– No nieee!... Pan z kolei, jak mowa o kobiecie, odruchowo ma na myśli Polkę! Oczywiście, że inżynier Wyszyńska nie zdołałaby tu wcisnąć swojego kształtnego tyłka. Ale Kai niewiele by brakowało.

– No tak. Gdyby jej uciąć głowę, to rzeczywiście niewiele.

– Kobieta o takim wzroście to jeszcze nie karlica. Przeciwnie, takie dziewczęce typy mają naprawdę ogromną grupę zwolenników.

Barszczewski wzruszył ramionami.

– No jak tak, to tak. Wyobrażając sobie dziewczynkę pilota o wadze do trzydziestu paru kilogramów, to może naprawdę ten aparat by latał. Czemu nie. Ale gdyby pan siadł za sterami – inżynier wskazał Tomaszewskiego – wtedy to ustrojstwo po prostu spadnie jak kamień na ziemię! Inaczej nie da rady.

Tomaszewski spojrzał na dwóch pozostałych. Obaj zgodnie potakiwali głowami.

– No to do czegoś jednak wspólnie doszliśmy. Możemy sobie wyobrazić, jak wygląda pilot.

Barszczewski położył na stole następny rysunek.

– To może odgadną panowie przeznaczenie tych leciutkich latawców przymocowanych na sznurkach do głównego aparatu?

Taner pomasaował brodę.

– Człowiek nie ptak, nie wyczuwa ciepłych prądów wznoszących. Może pilot wypuszcza je, żeby unaocznić sobie ruchy powietrza?

– A może to system sterowania? – Dion krzywił się w zamyśleniu. – Wspomagania? Z czego mogą być te linki?

– Mam wszystkie próbki. Kadir jest właściwym człowiekiem do oglądania nieznanymi obiektów.

Barszczewski schylił się i wyciągnął spod stołu wielką kurierską torbę Imperialnego Ekspresu. Rozsupłał węzeł mocujący klapę i wysypał zawartość na stół. Było tam wszystko. Fragmenty tkanin, i to z opisem, z jakiej części pochodzą. Kawalki linek, sznurków, pasów uprząży, jakichś plecionek i impregnatów.

– O zaraza jasna! – Dion przysunął sobie krzesło, usiadł obok Barszczewskiego i obaj zaczęli z fascynacją oglądać wszystkie elementy. – O zaraza jasna! – powtórzył po chwili. – To wszystko naprawdę jest wyprodukowane przez kogoś z naszej cywilizacji. To nie jest ani polska technologia, ani nikogo zza Gór Bogów!

– No ewidentnie nie. Ale... kojarzysz jakieś wzmianki w starych pismach o maszynach latających?

– Nie.

– No właśnie. Skąd to jest?

– Kadir pisze o wybrzeżu na północ od Kong.

– Nie o to pytałem. Skąd pochodzi ten aparat?

– Zza Wielkiego Lasu? Zza oceanu?

Barszczewski postanowił się włączyć.

– Nie ryzykowałbym przelotu nad oceanem na czymś takim. Zresztą Kadir znalazł wrak maszyny latającej. Cholera wie skąd go prąd przyniósł.

– No tak. – Taner zamyślił się, a potem westchnął. – Co my tak naprawdę wiemy o naszym świecie? – zapytał retorycznie, ale doczekał się odpowiedzi od Diona.

– Niewiele więcej niż Polacy, którzy wylądowali raptem w dwóch miejscach. – Roześmiał się nagle. – No ale oni są na tyle bezczelni, że im się wydaje, że coś wiedzą. A tak naprawdę to mniejsze nawet gówno niż my.

Tomaszewski również zaczął się śmiać.

– Dobra, widzę, że jesteście zajęci, to nie będę wam tu dymił. Taner, chodź.

– Ja nie palę.

– Toteż zapalę sobie sam. Chodź.

Mędrzec dopiero teraz zorientował się, że ma po prostu wyjść i czegoś wysłuchać. Posłusznie powłókł się za Tomaszewskim i już na zewnątrz cierpliwie czekał, dopóki tamten nie zaciągnie się pierwszym dymem.

– Podoba mi się twój sposób myślenia – usłyszał po dłuższej chwili.

– No właśnie. Wiedziałem, że powiesz coś takiego.

– To źle? – zapytał Tomaszewski.

– Jesteś oficerem wywiadu. Jesteś ewidentnie zainteresowany moimi propozycjami w sprawie Złych Ziemi, więc teraz padnie propozycja dalszej współpracy.

– Podziwiam cię.

– Co mam zrobić?

– Znajdź mi obcego agenta w naszych szeregach.

Mędrzec błyskawicznie domyślił się, o co chodzi.

– Bo mnie, jako dziecku tej kultury, będzie łatwiej zrozumieć pewne rzeczy niż tobie?

– Właśnie tak.

Taner skinął głową.

– Co mi dasz na jego temat?

– Nie dostaniesz niczego na piśmie. Po prostu wpadnę do ciebie wieczorem i opowiem, co wiem.



– Dobrze. Napijemy się razem.

– Lepiej nie pij. Dostaniesz do podpisania dokument o zachowaniu tajemnicy. Tam będą wyszczególnione kary za jej złamanie. A z tymi punktami lepiej zapoznać się na trzeźwo.

– O kijku już mi opowiedziałeś. A gdzie marchewka?

– Dostaniesz absolutny priorytet dla tego waszego interesu benzynowego. Dostęp do wszystkich miejsc i nieograniczoną pomoc.

Taner klasnął w ręce.

– O tak! Właśnie tak powinna brzmieć propozycja obcego wywiadu. – Zaczął się śmiać. – Znajdę ci tego agenta, Krzysiu! Będziesz go miał niebawem!

– Nie będzie tak łatwo.

– Spokojnie, damy radę. To ktoś miejscowy?

– Rodowity Polak.

Taner nagle wciągnął powietrze z głośnym sykiem.

– O jasny szlag!



– Hej, panienki!

Kai otworzyła zaklejone snem oczy. Szara plama zajmowała jej większość pola widzenia. Zaczęła intensywnie mrugać, chcąc odzyskać ostrość. Dopiero kiedy przetarła powieki palcami, zdołała dostrzec starszego, łysogo człowieka, który się nad nią nachylał. Tuż za mężczyzną stała Nuk z nożem w dłoni i z ciekawością obserwowała, co facet zamierza zrobić.

Ten jednak nie zamierzał niczego złego. W dodatku był dość ociężały. Dopiero teraz zorientował się, że druga z dziewczyn wyskoczyła z legowiska i stoi za nim.

– O? – zdziwił się dobrodusznie. – Ale ty gibka jesteś!

Nuk ukryła nóż pod luźną szatą, a potem rozłożyła ręce. Co on taki? Orientować się trzeba było.

– Widzę, że wy tu dwie będzie klepiecie, skoro pod gołym niebem nocować wam przyszło. I to pod takimi cienkimi kocykami.

– My z Naher jesteśmy. – Kai stwierdziła, że jej język idealnie dopasowuje się do miejscowego brzmienia. Mężczyzna nie wykazał nawet

cienia zdziwienia jej obcym akcentem. A to znaczy, że obcego akcentu nie było.

– Aż z tak daleka? – Łysy skrzywił się lekko.

Obie wiedziały, co mówić, miały to napisane w instrukcji. Wedle słów ślepego podróżnika Naher było najbardziej odległą i najbardziej niedostępną prowincją tego królestwa. A jej mieszkańcy byli uważani za wielkich dziwaków i ludzi prawie niespełna rozumu.

– To źle?

– No nie, nie... – Usiłował być uprzejmy. – Przecież nie powiedziałem, żeście durne obie!

– Nie powiedziałaś.

Mężczyzna odetchnął głęboko. Był dość otyły i chyba od czasu do czasu miał problemy z dusznościami. W każdym razie sapał strasznie.

– Mam dla was nocleg lepszy niż ten tutaj, pod gołym niebem.

– My już noclegu nie szukamy. Jedziemy dalej.

– Ano i ja bym jechał dalej, gdybym mógł. I wam jazdę stąd proponuję, a wraz z nią nocleg i jedzenie, a jak się sprawicie, to może i grosza trochę.

– A w którą stronę jedziesz? – zapytała Nuk.

– Tam. – Łysy wyciągnął rękę ponad jej głowę.

Sierżant zerknęła, gdzie jest słońce, i przypomniała sobie szkicową mapę królestwa. Wiedziała przecież, jaka jest pora dnia, więc z oznaczeniem stron świata nie było żadnego problemu.

– „Tam” bardzo nam pasuje – powiedziała.

– No to już. Jesteśmy umówieni: podróż, jedzenie, noclegi i może trochę grosza za pomoc.

– Co mamy robić?

Mężczyzna zafrasował się nagle. Wielką chustką wyciągniętą spod poły swojej szaty ocierał spoconą łysinę. Długo cmokał i wzdychał. Wreszcie zaczął mówić.

– Wiecie co, no... szewcem jestem. Wędrownym. Tu buty sprzedam, tam naprawię, a jeszcze gdzie indziej na miarę zrobię...

Jakoś nie mogły uwierzyć. Te debilne klapki szyje się na miarę? No chyba że są tu jakieś inne rodzaje obuwia, o których nie słyszały.

– No i wiecie, jak to jest. Ja z reguły dwa razy do tej samej osady nie zajeżdżam. No rozumiecie może same. Lepiej klienta, któremu się buty

sprzedawo, dwa razy nie oglada. Bo za drugim razem on moze byc nie w humorze po prostu.

– A! – Nuk zrozumiala natychmiast. – Znaczy oszustem jeste szewskim, tak?

Meczyczna odpowiedzial z godnoscia:

– Jestem szewcem! – A po chwili dodal: – Ale przeciez nie powiedzialem, ze najlepszym szewcem w krolestwie.

Kai i Nuk rozesmialy sie jak na komende. Meczyczna zaczal im sie podoba.

– I co sie stalo? – zapytala czarownica.

– No widzicie, no... Ja nigdy ta sama droga nie wracam. Ale most na Niebieskiej Rzece sie zawalil. I tedy byla jedyna droga. No. No i... Przez pierwszy krąg wart miejskich zdazyłem przejecha. Dopadly mnie przed drugim, wozy otoczyly, woźnica uciekl, a ja ledwie z zyciem uszedłem.

– Kto napadl?

– Baby, które mają do mnie jakis zal.

– Znaczy oszukane przez ciebie kobiety? – zapytala Kai.

– Oj tam, zaraz oszukane. Buty sobie u mnie kupily. Ale co one mysla? Ze za pare nedznych cyniakow dostana sandaly, jakie nosi zona krola?! A moze jeszcze zlotem zdobione? A moze takie, co rok noszenia maja wytrzymac?

Nuk przytaknela.

– Mniej wiecej rozumiem, o co chodzi. I co? Te kobiety otoczyly wozy i nie chca pusci.

– W rzeczy samej! A wy macie te wozy stamtad wyciagnac i za drugi pas miejskiej straży przejecha. Za to jazda dalej, jedzenie, spanie i troche do sakiewki.

Nuk zerknela na czarownice, ale wcale nie czekala na jej zgode.

– Układ jest w porzadku – powiedziala. – Wyjasnij mi tylko, dlaczego nie wynajmiesz jakichs silnych facetow i nie rozpędzisz tych bab?

– Oj, panienko... – Łysy zalamal rece. – To jest za mala osada, zeby tu znalezc bandytow do wynajecia. A ci robotnicy rolni, ktorych na pewno juz widzialyscie, to na wlasne zony z kijami nie pojda.

– Bo nie wiadomo, kto by wygral. – Kai zachichotala.

– Ano. Oni przy piwie, w gębie jedynie mocni.

– No dobra! – Nuk szybko pozbierała swoje rzeczy. – Spróbujemy ci te wozy wyciągnąć. Ale bez gwarancji.

– I nie dziwota. Jedyłą gwarancję, jaką człowiek kiedykolwiek dostał, Bogowie nam dali. – Szewc, widząc ich zdziwienie, dodał: – Ano wtedy, jak nas tworzyli, Bogowie dali gwarancję. „Na pewno każdy z was umrze!”, powiedzieli. A cała reszta to jedna wielka niepewność.

Kai również pozbierała swoje rzeczy.

– Jak rozpoznamy wozy? – zapytała.

– Droga jedna, za pierwszą wartownią na pewno je zobaczycie. No i tłum kobiet. – Łysy przygryzł wargę. – Nie mam pojęcia, jaki pomysł wam podsunąć na odzyskanie tych wozów. Na pakach jest sporo butów, więc dla udobruchania możecie je rozdać. Ale oprócz tego są cenne skóry, no i same wozy też kosztowne. Tylko to uratujcie. A jakieś tam błyskotki, co w skrzyni są, to też możecie rozdać.

– Coś wymyślimy – mruknęła Kai.

Mężczyzna skinął głową. Narzucił na siebie pelerynę z kapturem, pod którym ukrył twarz.

– No to z Bogami! – Kiwnął im ręką. – Ja się przemknę opłotkami. – Zatrzymał się jeszcze na moment. – Papier przewozowy na zewnętrznej wartowni już zostawiłem, nie musicie się nawet zatrzymywać.

Obie ruszyły do wyjścia ze stacji postojowej, bardziej zaciekawione tym, co może się zdarzyć, niż zaniepokojone skalą trudności czekającego ich zadania. Łysy szewc był naprawdę zabawny. A co do prawdziwej jakości butów w oczach kobiet, to rzeczywiście, jeszcze się na całym świecie taki szewc nie narodził, który potrafiłby im w tym względzie dogodzić. Sprawa więc wcale nie była jednoznaczna moralnie. On potępiony, one skrzywdzone. Trzeba najpierw zobaczyć, co i jak.

Rozbawione własnymi myślami wyszły na drogę i ruszyły w stronę wartowni, za którą miały czekać wozy. Niestety, siedzący pod specjalnym daszkiem strażnik zatrzymał je jednym okrzykiem:

– Stać, kurwa!

Zaskoczone podeszły bliżej.

– O co chodzi?

– Gdzie lezicie jedna z drugą?! Papiery, kurwa, okazać!

– Nie mamy papierów – odruchowo odparła Kai. Nikt im o żadnych dokumentach koniecznych do podróżowania nie mówił. Zdała sobie zaraz

sprawę, że tym, co powiedziała, wkopuje je trochę. Natychmiast zmieniła ton: – My z Naher, panie.

– Aaa... Durnowate znaczy. I bez papierów jeszcze. – Chamski strażnik westchnął ciężko. – No to ja wam powiem, głupie cipy. Czy wiecie, ile osób musi być na wartowni, żeby przepuścić kogoś bez papierów?

– Nie wiemy – powiedziała Kai zgodnie z prawdą.

– Na wartowni muszą być następujące osoby – wyjaśniał powoli, jak komuś naprawdę głupiemu. – Muszą być: strażnik, kurwa, dowódca warty, kurwa, urzędnik miejski, kurwa! Zrozumiałaś, cielaku? Już wiesz, ile osób ma być na wartowni?

– Sześć – odparła Kai reżolutnie.

– Co?!

– No przecież wyliczaliście, panie. Trzech mężczyzn i trzy prostytutki!

Nuk uśmiechnęła się radośnie i spojrzała na czarownicę z pewną dozą szacunku. Najwyraźniej stare dowcipy wojskowe były jej znane. No, no.

– Ty ze mnie kpisz?! – ryknął strażnik.

Kai zastanawiała się, czy nie rzucić na niego jakiegoś czaru. Osada wydawała się zbyt mała i leżąca na uboczu, by mógł przebywać w niej jakiś czarownik, który mógłby ją wyczuć. Prawie na pewno nie mogło tu być nikogo takiego. Zaraz. „Prawie” to jednak nie „na pewno”, zganiała się w myślach. A jeśli był? Choćby wojskowy, z maszerującego tędy oddziału? To odkryje je z całą pewnością. No dobra, bez czarów. Zresztą na takiego głupka, jakim był ich przypadkowy ciemiężyciel, niczego mocnego nie było trzeba.

– Kpisz?! – zawył tamten.

Podchwyciła jego ton:

– Kpisz? Czy śnisz? Kpisz? Śnisz? – mówiła coraz ciszej i coraz bardziej mrucała. – Kpisz, śnisz i śnisz, kpiąc, śnisz, śniąc, śnisz... – Ciszej i ciszej. A potem podniosła rękę. – A w powietrzu są rybki. – Palcami kreśliła mu przed oczami przecinające się linie. – Małe rybki, jedna, druga, trzecia. – Rysowała je w powietrzu. – Rybki falują, wszystko faluje, a ty śpisz...

Kiedy mężczyźnie oczy wywróciły się do góry, klepnęła koleżankę w ramię.

– Chodź. Pan kimnie sobie na warcie, nie ma co mu przeszkadzać.

– Ożeż... – Nuk pokręciła głową. Była pod wrażeniem. Po raz kolejny pomyślała, że może Kai nie jest wyłącznie rozwydrzoną i wychuchaną panią z dobrego domu, za jaką ją dotąd uważała. Może kryje się w niej gdzieś głęboko zadziorna dusza.

– No, dalej natrafimy już na prawdziwe problemy – mruknęła czarownica. Miała rację. Zbliżały się właśnie do tłumu składającego się z kilkudziesięciu dyskutujących o czymś kobiet, które otaczały dwa ciężkie wozy.

– Ta, ze strażnikiem łatwo poszło. Teraz naprawdę groźny przeciwnik czeka.

– No! Spróbujmy iść w nogę, jakbyśmy maszerowały.

– Mundurów nie mamy.

– Ale mamy ciut inne ubrania niż one.

Dziewczyny zgrały krok i energicznie podeszły do tłumu kobiet.

– Witajcie! – krzyknęła Kai. – Czy to was skrzywdził szewski oszust?

– Tak! tak! – natychmiast rozległy się okrzyki. – Uciekł, sukinsyn!

– Nie uciekł, nie uciekł. Spokojnie! Podejdźcie tu, panie.

Kobiety z osady patrzyły na Kai z pewnym nawet zaciekawieniem. Nie, nie pojawiło się żadne zaufanie bynajmniej, ale zjawił się ktoś, kto chciał ich przynajmniej wysłuchać. A może się czegoś dowiedzą?

Kai wspięła się na kozioł wozu, który stał bliżej.

– Czy tu są wszystkie poszkodowane? – zapytała z głupia frant. I o dziwo, odniosło to skutek.

– Nie, nie wszystkie. Pewnie część siedzi w domach!

– To trzeba je zawołać. I jeszcze jedno. No nie stójcie byle jak. Stańcie wszystkie bliżej. Tu, przede mną. Bo inaczej będę musiała zdzierać gardło i dla was, które stoją bliżej, będzie za głośno, a te zza drugiego wozu i tak nie usłyszą.

Nuk, obserwująca wszystko z boku, przygryzła wargę. Nieźle. Młoda sobie radzi. Na razie zlikwidowała „okrążenie” wozów, skupiając baby z jednej strony.

– Proszę się ustawić w kolejkę! Zróbmy tu jakiś porządek. Przecież nie będę wrzeszczeć!

Kobiety ustawiały się niechętnie. Wołały patrzeć na to, co się dzieje, niż formować szereg.

– No, ludzie, ustawiajcie się! – krzyczała Kai. – Chcę zejść do was i z każdą porozmawiać oddzielnie!

– A gdzie szewc?

– Już on nam nie umknie! – Kai zeskoczyła z kozła. – Ty się o nic nie bój.

Niestety, kobiet w żaden sposób nie udało się ustawić. Czarownica wyciągnęła więc z cizby jedną i podprowadziła bliżej kozła.

– Jak cię oszukał ten złodziej?

– O! – Młoda i niedoświadczona kobieta, dziewczyna właściwie, kiwała głową. Nareszcie ktoś nazwał sprawę po imieniu. – O! – powtórzyła. – Buty mi sprzedał.

– Pokaż!

Najwyraźniej Kai miała do czynienia z idiotką. I dobrze, że na początek pójdzie mało wygadana. Dziewczyna podała jej klapki ze skóry.

– O!

– I co z nimi?

– Rzemień się oderwał. O!

– No tak, tak, ja znam ten typ buta. I nie rozumiem, jakim cudem rzemień się mógł oderwać?

– No właśnie.

– A co z nim robiłaś?

– Nosiałam, ale tylko dziesięć dni. I się rozerwał! Rozerwał już po dziesięciu dniach!

Kai wybałuszyła oczy.

– Jak to nosiłaś? Ten but nosiłaś? I wytrzymał aż dziesięć dni?

– No... – Dziewczyna ogłupiała patrzyła z nic nierozumiejącym wyrazem twarzy.

– Aż dziesięć dni! Wierzyć się nie chce, że on aż tyle wytrzymał! Przecież to obuwie trumienne. Na stopy nieboszczyka się zakłada, żeby na marach jakoś wyglądał. A ty aż dziesięć dni nosiłaś! Niebysza... – Kai nie dawała tamtej dojść do słowa. Sięgnęła na pakę wozu i podała pierwsze lepsze klapki, które znalazły się w zasięgu jej dłoni. – Należą ci się. Szewc mógł cię przecież uprzedzić, co kupujesz.

Jeden przeciwnik z głowy. Dziewczyna zdumiona odeszła na bok, wpatrując się w swoje nowe obuwie. Nie protestowała. W przeciwieństwie, niestety, do następnej baby. Grubej, wrednej, upartej.

– Ale mnie już nie wmówisz, że to trumienne, moja panno – warknęła, podając Kai klapki z urwanym rzemieniem. – Ze mnie głupka nie zrobisz!

Kai podniosła wybrakowany towar do oczu.

– No tak. Ewidentnie urwany! Do niczego.

– Właśnie! A rozwalił mi się już pierwszego dnia.

– No, śmiem wam wierzyć, pani. But jest ewidentnie rozwalony i co widać po braku ogólnych śladów zużycia, był noszony bardzo krótko. Możliwe, że nawet nie przez dzień.

– O! – A jednak niezadowolona klientka powtórzyła okrzyk swojej poprzedniczki. – I co teraz w takim razie?!

– Niestety, mam dla was złe wieści, pani. But bowiem był używany niezgodnie z przeznaczeniem.

Tamtą zatką.

– Jak to niezgodnie?!

– Ja muszę brać pod uwagę nacisk, jaki na podeszwę wywiera pani stopa i z jaką siłą noga napiera na rzemień. W przypadku waszej wagi, pani, wybaczcie, trzeba powiedzieć, że but był rozrywany dosłownie, a więc używany niezgodnie z przeznaczeniem. Trzeba było kupić but specjalnie wzmocniony.

– Co?! Co?! Co za chamstwo?!

– To nie chamstwo, pani. Proszę łaskawie popatrzeć. – Kai wyłuskała z tłumy chudą dziewczynę. – Wam, pani, na pewno nie urwał się rzemień, prawda?

– No nie – przyznała chuda. – U mnie się przetała podeszwa.

– No właśnie. Bo pani jest pięknie zbudowana i pani but był używany zgodnie z przeznaczeniem. A inne wady oczywiście uwzględnimy.

– Co za chamstwo! – wrzasnęła gruba.

– Chamstwo, bezczelność! – krzyczały inne kobiety. Choć nie wszystkie. Duża część bowiem zaczęła twierdzić, że to Kai ma rację i trzeba było kupić but wzmocniony, skoro się ma taką tuszę. Utworzyła się grupa wsparcia klientki, której sylwetkę i ciało pochwalono, twierdząc, że Kai można zaufać, bo jest bezstronna i wobec klientów, i wobec szewca.

Obserwująca to wszystko z boku Nuk wypluła źdźbło, które do tej pory żuła. Jednolity dotąd front przeciwnika został właśnie podzielony, a jego siły rozbite na dwie strony. No kurde. Ta czarownica nie była głupia.



A Kai zrozumiała, że sytuacja dojrzała już do ostatecznego rozstrzygnięcia.

– Czy ktoś może mi pokazać jakąś prawdziwą wadę buta?! – krzyknęła.  
– Do mnie! Proszę się zgłaszać do mnie!

– Ja mam! – Jakaś kobieta zaczęła się przepychać w stronę Kai. – U mnie się podeszwa zupełnie rozerwała. Najpierw pękła, a potem kawałek odpadł!

– No właśnie! Świetnie! – Kai przejęła uszkodzony but. – No nareszcie mam jasny dowód, że szewc sprzedaje buble. To oszust!

– Oszust! Oszust! – wołano wokół.

– Otóż to właśnie! Wytkniemy mu wszystkie braki. Kto umie pisać?!

– Ja! Ja umiem! – Dość młoda kobieta z ułożonymi z wielką troskliwością włosami przepchnęła się bliżej.

– Doskonale. – Kai cofnęła się w poblize wozu, otworzyła skrzynię, o której wspominał szewc, i chwilę w niej grzebała. Potem podniosła rękę. – Drogie panie! Widzicie te korale? Teraz więc po kolei, jedna za drugą, podchodźcie do kobiety, która będzie je mieć na szyi, i dyktujcie, jak was szewc oszukał. Wszystko ma być spisane.

Podeszła do tej z ułożonymi włosami i zarzuciła jej piękne korale na szyję.

– Nie musisz potem oddawać – szepnęła, a głośniej dodała: – Wszystkie panie prosimy tutaj!

Wręczyła „pisarce” znaną w skrzyni tabliczkę i rysik.

– Tutaj! Tutaj! Wszystko musi być spisane! – Odwróciła się i szybko wdrapała na kozioł. Dała znak Nuk, żeby brała drugi wóz. – A cały towar rekwirujemy i zawozimy na wartownię! – krzyczała. – O, tę tutaj! Powtarzam, wozy i towar rekwirujemy i odstawiamy na wartownię, pod opiekę strażników!

Nuk sprawnie ruszyła swoim wozem, niezatrzymywana przez nikogo. Kai natomiast nie potrafiła ruszyć. Wzięła do rąk lejce, krzyczała „wio”, ale przyprzęgnięte konie nawet nie pojrzały w jej kierunku.

– Lejcami trzeba je trzasnąć po grzbietach – poradziła któraś z kobiet.

Po dłuższej szamotaninie czarownicy udało się jakoś zmusić konie do posłuchu. Niestety, obok wozu biegła jakaś baba z zaciętym, podejrzliwym wyrazem twarzy. Zaraza jedna, mogła w każdej chwili jeszcze narobić krzyku.

– To dobrze, że nam towarzyszycie, pani – krzyknęła Kai. – Każdy świadek teraz potrzebny. Na wozie będzie łatwiej, proszę wskoczyć do koleżanki. – Uniosła się trochę w koźle. – Nuk! Nuk! Zabierz panią ze sobą!

Zwolniła nieco, patrząc, jak podejrzliwe babsko gramoli się na drugi wóz. Na szczęście droga była szeroka, a konie wiedziały, co robić. Wyminęły stojący wóz Nuk bez przeszkód.

Na wartowni też nie było problemów. Szewc, zgodnie z tym, co mówił, musiał wcześniej przedstawić papiery przewozowe, bo znudzony strażnik tylko pokazywał im ręką: „Jechać, jechać”. Kai uśmiechnęła się do niego.

– Co was te baby tak długo trzymały? – krzyknął. – Myślałem, że stratują!

– Bo mamy najpiękniejsze w królestwie korale!

Otworzyła jeszcze raz skrzynię, wyjęła solidny, piękny sznur i rzuciła strażnikowi.

– Dla żony!

– Nie mam żony. – Złapał korale w locie.

– To dla jakiejś pięknej panny! Od razu będzie bardziej przystępna!

– Dziękuję! – Zaczął się śmiać. – Przydadzą się!

Kai minęła bramę. Podejrzliwa baba, która jechała z Nuk, zwęszyła, co się dzieje, i zaczęła krzyczeć. Sierżant jednak nie straciła refleksu i zawtórowała równie głośno: „Cześć, chłopaki! Do zobaczenia”. W kakofonii dwóch głosów ciężko było zrozumieć, o co chodzi wrednej babie.

Kiedy odjechały spory kawałek od wartowni, Kai odwróciła się do koleżanki.

– Nuk! Tej pani za towarzystwo już dziękujemy!

– Tak jest! – Sierżant zdzieliła swoją pasażerkę łokciem w splot, żeby urwać krzyki. Potem z pięści w twarz i wykopała ją z kozła.

Teraz przyspieszyły. Zatrzymały się dopiero za zakrętem, przy sosnowym lesie, gdzie łatwo dało się ukryć wozy wśród drzew. Podłoże było twarde i dogodne dla manewrów.

Nuk zablokowała hamulec i pierwsza zeskoczyła na ziemię.

– Wiesz co, czarownico?

– Co?

Sierżant uśmiechnęła się.

– Dzisiaj zrozumiałam, że nie należysz do ludzi, którzy nasrają na własne nogi, widząc przed sobą problem.

Kai odpowiedziała uśmiechem.

– Niech ci Bogowie zapłacą za dobre słowo.



## Rozdział 8



Oddział wy dostał się z bezpośredniego zagrożenia ze strony imperialnej armii za cenę odcięcia się od potencjalnych źródeł zaopatrzenia. Przejście w góry, w miejsca porośnięte rzadkim lasem, a wyżej już tylko kosodrzewiną, oddaliło ich także od własnych ukrytych magazynów z żywnością, które przygotowali jeszcze zimą, zgodnie z polską instrukcją. Grupa Shen zaczęła szybko głodować, bo zabrane ze sobą zapasy skończyły się błyskawicznie. W końcu ile rzeczy można dźwigać po górskich szlakach, i to w sytuacji, kiedy priorytet stanowiły karabiny i amunicja. Poprzedniego dnia jednak udało się upolować trzy kozice. Zaplątały się biedne w małej dolince, daleko poniżej swojego terenu żerowania, i skończyło się to dla nich fatalnie. A żołnierze dowiedli, że przynajmniej szkolenie strzeleckie w tym oddziale stało na bardzo wysokim poziomie. Trzy kozice, cztery strzały. Wynik mistrzowski. I co z tego? Mięsa, jak na wzmocnioną kompanię, trochę mało. Szybko znalazły się dziewczyny, które umiały zdobyć oprawić i podzielić. Problem pojawił się z przyrządzeniem. Mięso dzikich zwierząt było zbyt twarde i żyłaste, by piec je nad ogniem. Należało je ugotować, co samo w sobie było wyczynem świata z powodu braku odpowiednich naczyń. Prawdziwa groza ujawniła się jednak po zjedzeniu ohydnej, śmierdzącej brei.

Shen leżała samotna w sporym oddaleniu od swojego namiotu. Wolała być bliżej krzaków, które chwiejnym krokiem często odwiedzała. Teraz

zwinęła się w kłębek, trzymając rękami za szarpiący paroksyzmami bólu brzuch. Nie mogła powstrzymać ani bulgotania, syczenia, ani własnych jęków powodowanych częstymi skurczami. Na przemian chciało jej się wymiotować albo pić. Słaba jak mucha, musiała co chwila chodzić w ustronne miejsce, co nie było łatwe, ponieważ wszyscy partyzanci zostali porażeni zbyt szybko zaspokajaniem głodem przy użyciu nieodpowiedniego pokarmu. Jej oddział był zupełnie bezbronny. Na szczęście poza żądnymi zemsty duchami zabitych kozic w okolicy nie było nikogo, kto mógł im zagrozić.

– Pić – szepnęła, sądząc, że umiera.

Ktoś nachylił się nad nią, przytykając bukłak do spierzchniętych ust. Zimna górską wodą. Shen otworzyła oczy. Sharri. Niedoszła kapłanka najwyraźniej hołdowała świątynnej zasadzie umiarkowania w jedzeniu i picciu, bo mimo że wolną ręką trzymała się za brzuch, to jednak wyglądała najlepiej spośród wszystkich wokół.

– Chodź – powiedziała, zawieszając sobie bukłak na ramieniu. – Pomogę ci przejść. Znalazłam fajne, ustronne miejsce.

– Nie dam rady.

– Chodź. Będziesz przynajmniej z dala od tych upiornych odgłosów. – Sharri wskazała kciukiem leżących pokotem ludzi.

Ujęła jęczącą Shen za ramiona i choć sama wątpiła, dość szybko postawiła na nogi. Potem założyła sobie rękę koleżanki na szyję.

– Chodź – powtórzyła. – Powoli. Prawa noga, lewa... Lewa! No lewa, powiedziałam! Nie, to nie jest lewa noga – tłumaczyła jak dziecku. – I nie udawaj. Dobrze wiesz, która jest lewa.

Jej przemowa odniosła jakiś tam skutek. Shen z trudem usiłowała się skupić na stawianiu kolejnych kroków. Czuła, jak telepie nią gorączka. Na szczęście po chwili, w oddalonym trochę od obozu i położonym wyżej miejscu, lekki wiatr ochłodził jej czoło. Sharri oparła swoją dowódcę o drzewo i pieczołowicie okryła kocem. Podążyła jeszcze wody.

– I jak? Lepiej?

– Żeby cię szlag trafił.

– Ale generalnie żyjesz jeszcze?

Shen była zbyt słaba, żeby wyjąć z kabury rewolwer i strzelić do dręczycielki. Zresztą prawdopodobnie pas z bronią został gdzieś na posłaniu. Patrzyła na Sharri jak umierająca łania. Ta zlitowała się

niespodziewanie i sięgnęła po swój chlebak. Bestia miała tam zakamuflowaną butelkę wódki! A teraz zębami wyjęła korek.

– Masz, pij – powiedziała niewyraźnie.

Widząc, że koleżanka ma problem z podniesieniem ręki, sama przytknęła jej szyjkę do ust.

– Ciągnij! No jeszcze! – Szybko zamieniła butelkę na bukłak. – Popij wodą! No popij, bo się zakrztusisz. Lepiej?

Shen gorączkowo przełykała ślinę, która nagle pojawiła się w jej ustach. Przez moment szarpało ją okrutnie. Potem jednak skinęła głową.

– Trochę lepiej – wyszeptała.

– No to odpocznij chwilę i zaraz powtórzmy kurację.

– Zbawczyni...

– O? A przed chwilą mordować chciałaś.

– Oj tam, oj tam. Daj jeszcze.

Sharri powtórzyła zabieg. Płyn palił w brzuchu, uspokajał to, co się w nim działo. Po dłuższym czasie od przyjęcia lekarstwa także umysł zaczął powracać na właściwe tory. A po jeszcze jednej dawce Shen mogła się nawet trochę skupić.

– Słuchaj... – Spojrzała koleżance w oczy. – Czy ktoś z naszych umarł?

– Na razie nie. Myślę, że dziewczyny mają szansę wydobrzeć. No ale co dalej? Znowu głód? Czy strzelanie do kozic i parę dni męki? Jak długo tak pociągniemy?

Shen wzruszyła ramionami.

– Trzeba posłać kogoś do naszych ukrytych zapasów.

– Istotnie. Małe grupki mogą przemknąć niezauważone. Ale małe grupki przyniosą mało zaopatrzenia. A duży oddział raczej cichcem nie przejdzie.

– To co nam pozostaje?

– Dekoncentracja. Podzielenie się na kilkusobowe pododdziały.

Shen była już na tyle silna, żeby zabrać Sharri butelkę i pociągnąć duży łyk.

– To koniec marzeń o jakiegokolwiek walce.

– Jakiej walce?! – obruszyła się Sharri. – Czy ty śnisz? Czy naprawdę chcesz się wystawić pod lufy całej armii?

Shen uśmiechnęła się kpiąco.

– A na co ty sama liczyłaś?

– Na powstanie ludowe. I przeliczyłam się. Wszyscy w dolinach siedzą grzecznie i czule całują pośladki ciemiężców. Niektórzy wręcz z jęczyzkiem.

Miała rację. Lud został spacyfikowany tak skutecznie, że nie śmiał zipnąć. Rosły jedynie sterty donosów w odtworzonej prefekturze. Lud prześcigał się we wskazywaniu domniemanego miejsca pobytu Shen, za którą nagroda przewyższała wszelkie wyobrażenie. Owszem, każdy teoretycznie chciałby wolności i dobrobytu, pod warunkiem jednak, że wolność i dobrobyt zostaną dostarczone pod nos przez kogoś innego. Rozmawiały o tym zresztą już wcześniej. Nowa idea znajdowała odzew. Ale nie wśród ludu. Przyciągała młodych, wykształconych romantyków, którzy byli wystarczająco szaleni, jak choćby „Koleś” Varik i jego kumple. To był jedyny oddział, poza kompanią weteranek, który jeszcze pozostał w lasach Kong. Mały, szczupły i ruchliwy, jakoś sobie radził.

– Bo widzisz – podjęła Sharri, kiedy sama też upiła kilka łyków z zakamuflowanej butelki. – Chyba zrobiliśmy błąd, odwołując się bezpośrednio do ludu.

– Ja się do nikogo nie odwoływałam – mruknęła Shen. – Legenda jakoś tak sama rosła.

– Nie sama, nie sama. Umiejętnie jej wzrost zapoczątkował Rand ze swoimi oddziałami plotkarek. A potem się potoczyło.

– Widzisz, tak się zawsze dzieje, kiedy chcesz komuś powiedzieć, jak jest, zamiast zostawić sprawy w rękach profesjonalistów, którzy wymyślą jakąś bajeczkę, słabo umocowaną w faktach, za to słodziutką, i wcisną ten kit ludowi.

– Święta racja – przyznała Sharri. – Nie wolno nigdy mówić prawdy, nawet w słusznej sprawie. Wszystko trzeba przerobić na łatwą do przełknięcia papkę. Oraz nakłamać w najważniejszych sprawach.

Shen zerknęła na koleżankę.

– I ja już wiem, jak to zrobić – mruknęła.

Niedoszła kapłanka oniemiała. I nawet niczego nie powiedziała, zadając kłam opinii o swojej porywczoci. Powoli podciągnęła kolana pod brodę i oparła na nich głowę.

– Liczyliśmy nie na tych ludzi, co trzeba, prawda? – zapytała.

Shen potaknęła.



– Istotnie. Rewolucji ludowej nie może robić lud, bo się do tego nie nadaje. Może co najwyżej dostać rolę „tłumu na ulicach”. Odwołać się trzeba do ludzi pokroju Varika. Powiedzieć „warstwie myślącej”, co się tu dzieje.

Sharri potrząsnęła głową.

– A jak to zrobisz? Polacy podobno mają u siebie gazety i radio, i różne takie, żeby się odwoływać wprost do ludzi. A my?

– My mamy heroldów.

– To cesarstwo ma heroldów. I nikt im nie wierzy.

– Znam kogoś, komu ludzie wierzą i ufają.

Sharri zerknęła z zaciekawieniem.

– Kogo?

– Kurierów Imperialnego Ekspresu.

Niedoszła kapłanka zaczęła się śmiać.

– No tak. Są uczciwi, nie bawią się w politykę, plotek nie powtarzają. Mówią tylko to, co widzieli sami, na własne oczy. Jako źródło informacji naprawdę bezcenni. Nawet cesarzowa korzysta z nich, słuchając wiadomości ze świata. Wszystko się zgadza. Ale... – Rozbawiona zerknęła na koleżankę. – Oni nadal mogą przekazać tylko to, co sami zobaczą.

– Więc zobaczą co trzeba. Mam pomysł, jak to zrobić.

– Dobrze... W takim razie pozostała tylko jedna wątpliwość. W Kong w stacji Imperialnego Ekspresu może być naraz raptem ze trzech kurierów. Jak chcesz nimi obsłużyć całe cesarstwo?

Tym razem zaczęła się śmiać Shen.

– Ależ to proste jak obsługa siekiery!

– Niby jak?

– Wystarczy powiedzieć Randowi, żeby jego służba wysłała z każdej prowincji cesarstwa „bardzo ważny list” do Kong. Z takim obliczeniem, żeby jednego dnia stawiło się tu tysiąc kurierów.



Odgłosy pracy siekier i pił docierały aż tu, do przedsionka świątyni dzikusów w Banxi, gdzie ustawiono oświetlone olejowymi lampami stoły dla inżynierów z korpusu saperów. Na coraz bardziej dokładnych mapach kreślono projekty i szkice przyszłych rozwiązań. Kwatermistrzowie na podstawie tych planów przydzielili na odpowiednie odcinki sprzęt i ludzi.

Meredith patrzył na ich pracę z pewnym podziwem. Widział wiele razy pracę imperialnych inżynierów, widział ich projekty i biura, w których były kreślone. Różnica pozornie niewielka, choć istotna. Tych ludzi tutaj od podobnych zespołów w cesarstwie różnił jedynie brak dużej liczby liczmanów. Po prostu nie było tu fachowców od rachunków, wszystko obliczały urządzenia. Podobno, tak przynajmniej twierdziła swego czasu Wyszyńska, prymitywne i posiadające jedynie uproszczone programy. Ale... tu Meredith ogarnął zimny dreszcz, chyba było to kalekie jeszcze i nieporadne, ale odbicie rzeczy Boga Sepha, z którą to rzeczą czarownik prowadził rozmowy w poprzednim życiu. Wirus. Ciekawe, dlaczego ani razu nie pojawił się tutaj? Czy wszystko w boskim planie szło we właściwym kierunku? A może przeciwnie. Nastąpiła jakaś katastrofa i Wirusa już nie ma? Nie, nie, w to akurat czarownik wątpił. Bardziej prawdopodobne wydawało się, że on sam nie był tej rzeczy do niczego potrzebny.

– Cieszę się, że pan przyszedł. – Baranowski przeprosił dowódcę saperów, z którym rozmawiał, i podszedł do czarownika. – Napije się pan kawy?

– Dziękuję.

Major gestem wskazał drogę do największego ze stołów, przy którym nad mapą siedział Siwecki.

– Chciałem zobaczyć obu panów naraz – wyjaśnił. – Bo zdaje się, że obaj interesujecie się tą świątynią.

– Obaj, obaj – roześmiał się lekarz. – I to zarówno razem, jak i osobno.

Meredith potwierdził jego słowa oszczędnym gestem.

– A co chciałby pan wiedzieć? – zapytał.

– I tu mam pewien problem. Właściwie nawet nie problem, po prostu musiałbym panom zabrać trochę czasu, żeby przedstawić sytuację.

– Ależ słuchamy. – Siwecki ledwie zauważalnie wzruszył ramionami. – Rozrywek co prawda jest tu co niemiara, lecz dla dobra sprawy jestem gotów poświęcić przedstawienie w amfiteatrze i bal u księżniczki, żeby pana wysłuchać.

Baranowski udał, że nie słyszy przytyku. Zresztą nie miał żadnego wpływu na brak rozrywek w puszczy.

– W związku z ponownym wkroczeniem wojsk cesarskich do prowincji Kong zapadła decyzja, że w oparciu o strukturę inżynierską tychże wojsk

imperialna droga prowadząca do tej prowincji zostanie przedłużona aż do świątyni, w której się znajdujemy.

– Aż tutaj? – zdziwił się Meredith.

– Tak. – Baranowski skinął głową. – Ja również nie mam pojęcia, co tu jest aż tak ważnego w tych lasach, żeby budować imperialną drogę przez chaszczę.

– Znikąd donikąd – dodał Siwecki.

– Nie, nie znikąd. – Major wykonał usprawiedliwiający gest. – Z centrum cesarstwa. To po pierwsze. A po drugie droga na Złe Ziemie jest również drogą donikąd.

– Tam jest ropa naftowa. A tutaj?

Meredith uśmiechnął się tajemniczo.

– No właśnie. Ponieważ trudno uważać, że rozkazodawcy to idioci, więc pozostaje kwestia dowiedzenia się, co tak cennego jest tutaj.

– Ołtarz? – poddał myśl Siwecki.

– Taniej go chronić lub korzystać z niego, utrzymując na miejscu takie siły jak nasze, niż od razu budować prawdziwą cesarską drogę. Ołtarz nie może być celem samym w sobie.

– To jeszcze nie wszystko – powiedział Baranowski, nachylając się nad mapą okolicy. – Kazano mi wstępnie oczyścić teren wokół świątyni. Zrobić odpowiednie podejście do lądowania, poszerzyć pole dla ewentualnej bazy i przystąpić do karczowania drzew na kierunku najbardziej nadającym się do poprowadzenia drogi. I słusznie. Oni zaczną budować od strony Kong, a my z tej strony zaczniemy już przygotowywać teren.

– Bardzo słusznie. Co w tym dziwnego?

– Otóż w oddziałach saperskich mam córkę leśniczego. Ona pierwsza zwróciła uwagę na dziwną rzecz.

– Córnica leśniczego?

– Tak. Podczas wycinki zauważyła, że liczba słoii w karczowanych drzewach różni się w sposób nieprzypadkowy.

Siwecki podniósł głowę.

– Nie rozumiem.

– W niektórych gatunkach drzew liczba słoii oznacza liczbę lat wzrostu. Nie każdy gatunek jest odpowiednio długowieczny, nie w każdym to zjawisko jest łatwe do zaobserwowania. – Baranowski rozłożył ręce. – To wszystko wiem od tej dziewczyny saperskiej, bo moja dotychczasowa wiedza o

drzewach dotyczy wyłącznie ich wytrzymałości na ostrzał artyleryjski w przypadku użycia pni jako dachu ziemianki.

Meredith zaczął się śmiać.

– Ja mam trochę większą wiedzę o drzewach. Tej dziewczynie chodziło o sekwoje, które tu są licznie reprezentowane?

– Tak. Otóż słoje powinny mieć w przypadku poszczególnych drzew rozkład przypadkowy, prawda?

– Tak. A nie mają?

– Nie. Zacząłem je liczyć i wyniki nanosić na mapę. Młodsze drzewa, mające wiek kilkuset lat, układają się w ciąg otoczony drzewami znacznie starszymi.

Baranowski rozłożył na stole kalkę z wynikami będącą nakładką na mapę.

– Co wam to przypomina, panowie?

– To droga! – Siwecki nie miał wątpliwości.

– Tak. Kilkaset lat temu była tu droga. I to mniej więcej na podobnym kierunku, na jakim budujemy dzisiaj.

– Fascynujące. – Meredith nachylił się nad mapą i nakładką, ale drobne znaczki i dziwne symbole niczego mu nie mówiły. Zrezygnował po krótkiej chwili.

– Gorzej. – Baranowski uśmiechnął się lekko. – Skoro tak, skoro dzięki tej dziewczynie odkryłem, jak biegła droga, postanowiłem się do niej dokopać.

– I dokopał się pan? Są jakieś ślady?

Major długo patrzył na mapę bez słowa.

– Tak – powiedział w końcu. – Ta droga była kamienna. Dokładnie taka sama, jaką będziemy budować teraz.

Meredith poruszył się niespokojnie.

– Cesarska droga tutaj? – mruknął. – Nieprawdopodobne. Musiałby być jakiś ślad w bibliotekach. Ktoś by o tym wiedział.

– Nie twierdzę, że droga była cesarska – powiedział Baranowski. – Tylko że była bardzo podobna do tej, która właśnie powstaje. Notabene, jej istnienie bardzo usprawni nam pracę. Siwecki przygryzł wargi. Wyjął ze swojej torby inny plan. Kiedy rozwinął go na stole, można było zobaczyć, że to szkic budynków świątyni. Raczej amatorski niż profesjonalny.

– My też – zerknął na Mereditha – zajmowaliśmy się świątynią i jej otoczeniem. I przyznam, że intuicja czarownika to jakiś nieprawdopodobny fenomen.

– Nie przesadzałbym z tą intuicją – uśmiechnął się czarownik.

– Ale już podczas poprzedniej rozmowy w tym gronie odgadł pan...

Baranowski, prawdę powiedziawszy, nie pamiętał poprzedniej rozmowy i pozwolił sobie przerwać lekarzowi.

– Do jakich wniosków doszliście, panowie?

– A pańskiej uwagi nie uszedł wystrój tej świątyni?

– Wystrój? Raczej jego brak – potwierdził major. – Owszem.

– No właśnie. Proszę mi powiedzieć, jakie budowle publiczne stawiane są w tak surowym stylu. Bez zdobień, bez jakiegokolwiek ornamentu czy czegokolwiek, na czym można by było zawiesić oko.

To uderzało wszystkich tu obecnych. Każda budowla publiczna przytłacza rozmachem. Świątynie są z reguły bogate, by pokazać chwałę Bogów. Pałace pełne przepychu, ratusze wspaniałe, podkreślające gospodarczą siłę mieszczan, biblioteki uduchowione, jasne. Sądy gigantyczne, uosabiające moc prawa, które zetrze każde zło na tym świecie. Fora są zdobione rzeźbami, a łaźnie wielkimi kolumnadami, po których pną się cudowne rośliny. Wszystko jest zdobione. Czy to posągami, czy mozaikami, czy wreszcie obrazami. Człowiek, jako jedno z nielicznych zwierząt na świecie, musi upiększyć każde miejsce, w którym przebywa. Podobno zdarza się to także jakiemuś gatunkowi egzotycznych ptaków. Poza tym nikt nigdy nie widział ani psa, ani delfina, ani mały czy osła, które dekorują cokolwiek. Człowiek musi wypełnić pięknem każde miejsce. Oprócz jednego. Odpowiedź wydawała się więc prosta.

– Jedyne budowle publiczne, których walory estetyczne są nieistotne, to... więzienia – powiedział Baranowski.

– Otóż to.

– No chyba nie chcą panowie powiedzieć, że ta świątynia to jedno gigantyczne więzienie?

– Postawiliśmy wiele hipotez. Jedyne ta pasuje do tego miejsca. No a teraz jeszcze dochodzi do tego informacja, że prowadziła tutaj porządna kamienna droga. – Siwecki nachylił się nad swoim szkicem. – Dam sobie rękę uciąć, że taką samą drogę znajdziemy po drugiej stronie świątyni. Tędy przywożono więźniów, a tędy prawdopodobnie wywożono.

Baranowski nie mógł się pogodzić z tą koncepcją.

– Ale na cholerę komuś tysiące więźniów w całkowitej głuszy?

– Tego nie wiemy. Ale przyzna pan, że ta świątynia różni się od innych.

– Innych? Znamy tylko jedną inną. Tę w dolinie Sait.

– Znamy dwie. – Siwecki potrząsnął głową. – Mamy przecież dokładne opisy miejsca kultu w Wielkim Lesie, który kiedyś dzielił Arkach od Królestwa Chorych Ludzi.

– Ach, fakt. Tę, którą zajęły wojska Achai. Tysiąc lat temu.

Meredith skinął głową.

– Obie są bardzo podobne. Przypominają też z grubsza wszystkie inne miejsca kultu. Wota, rzeźby, kaplice, liczne ołtarze, miejsce składania ofiar, odbywania rytuałów. Wszystkie są podobne. Ta, w której jesteśmy, nie.

Baranowski wzruszył ramionami.

– Rzeczywiście sprawia odpychające wrażenie. Ale żeby zaraz więzienie?

– A te liczne wielkie cele opatrzone kratami? Olbrzymie, jak sądzimy, kuchnie? Nawet spacerniaki, ślepe dziedzińce, które niczemu nie służą, co wydaje się już w ogóle ewenementem, bo to rzecz charakterystyczna raczej dla naszych współczesnych zakładów karnych, a nie dla tutejszych lochów.

– Zupełnie jakby komuś zależało na kondycji więźniów – dodał Meredith. – Naprawdę zastanawiające.

– I ten system bezpieczeństwa działający do dziś – ciągnął Siwecki. – To, że jednemu więźniowi, którego tu zastaliśmy, podawano specjalną truciznę, która sprawia, że nawet jak skazaniec ucieknie, to i tak z braku kolejnych dawek popadnie w malignę i umrze.

Baranowski zaplótł ramiona.

– To jest rzeczywiście bardzo zastanawiające – powiedział. – Ale po co komu taki wyrafinowany system, skoro i tak nie można stąd uciec? Dookoła nieprzebyte knieje z dzikusami, którzy są mistrzami tropienia.

– Właśnie. Po co?

– Kto chciał mieć aż taką pewność, że żadna informacja stąd nie dotrze do cywilizowanego świata? – dodał Meredith. – Bo przecież w to, że nie wybudowały tego potwory swoimi rękami, chyba pan nie wątpi. Prawda?

– Tak. W to akurat nie wątpię.

– No więc właśnie. A skoro budowle tę wzniosła jakaś cywilizacja techniczna, to musiała mieć w tym swój racjonalny cel. Powtórzę raz

jeszcze: racjonalny.

– I tym celem miałyby być więzienie dużej liczby ludzi w niedostępnej głuszy? – Baranowski nie dawał się przekonać. – Widziałem cesarskie więzienie w Negger Bank, z którego bierze się przestępców do budowy bazy. To bardziej średniowiecze przypomina niż zakład karny. No i po co byłaby im taka liczba więźniów akurat tutaj? Składali ofiary z ludzi?

Meredith cmoknął cicho i skrzywił usta.

– Nie. Zasadniczo nie znam żadnej kultury po tej stronie Gór Bogów, która składałaby ofiary z ludzi. No, coś tam było, jakieś wzmianki o nielicznych ekscesach w Luan czy starożytnym Troy, ale sądzę, że tam raczej chodziło o jakieś sekty stworzone przez niezupełnie normalnych ludzi. Nigdy nie składano ludzi w ofierze w ramach religii państwowej. Zresztą po co? Ludzie byli potrzebni gospodarce jako niewolnicy.

– A dzikusy?

– Potwory? Mało o nich wiemy. I tu od razu trzeba postawić pytanie: skąd potwory miałyby brać tylu więźniów z przeznaczeniem na ofiary, żeby zapełnić to olbrzymie więzienie?

– No fakt. Ale z drugiej strony, co wiemy choćby z relacji oddziału Shen, w dolinie Sait dzikusy wzięły do niewoli dużą liczbę żołnierzy imperialnego korpusu. Polska armia penetrowała rejony ich świątyni i żadnych jeńców nie uwolniła. Nie trafiła na choćby ślad.

– To prawda. – Siwecki zapalił papierosa. – Z relacji Shen wynikało, że dzikusy torturowały jeńców, co kończyło się ich śmiercią. Ale miało to raczej charakter zemsty, a nie ofiary dla Bogów.

– A co za różnica?

– Jeśli pan chce kogoś zamęczyć na śmierć, to nie buduje mu więzienia, w którym są liczne kuchnie i spacerniaki. Loch, dziura w ziemi, to tak. Ale nie spaceruje i regularne posiłki przed zamęceniem.

– No i Polacy nie napotkali niczego takiego w Sait – dodał Meredith. – Nie spotkały takich więzień również oddziały pacyfikacyjne Achai tysiąc lat temu.

– Może tysiąc lat temu ich po prostu jeszcze nie było? – odpowiedział Baranowski i musiał trafić, bo Siwecki zmarszczył czoło.

– A wiek drzew na resztkach drogi ocenia pan na kilkaset lat?

– Owszem. Ale błagam, taki ze mnie dendrolog jak z zapalniczki latarnia. To amatorska ocena.

Meredith uśmiechnął się znowu. Wyraźnie lubił majora piechoty za jego bezpośredniość i prosty, wojskowy sposób myślenia. No i na pewno był pod wrażeniem oficera, który wygrawszy wyścig z Tomaszewskim, zachował się jak człowiek honoru.

Teraz jednak wyraźnie nie był przekonany do teorii, którą właśnie usłyszał.

– Powiedzcie mi, panowie, do czego miałyby służyć tak wielkie więzienie w tej cholernej głuszy?

Siwecki uderzył dłonią w swój szkic.

– No, teraz, kiedy usłyszeliśmy o drodze, to chyba wszystko jest jasne.

– Co jest jasne?

– To wygląda jak więzienie zbiorcze, koncentracyjne, etapowe. Przypędzano tu więźniów grupami, karmiono i utrzymywano w dobrej kondycji, żeby potem, gdy zbierze się odpowiednia liczba, popędzić ich dalej.

– Gdzie? – wyrwało się Baranowskiemu, ale zaraz skrzywił się i machnął ręką, żeby nie odpowiadać na głupie pytanie. Przecież obaj nie mogli znać na nie odpowiedzi. – No dobrze – podjął po chwili. – Panowie, nie przekonuje mnie koncepcja „penitencjarna”, jeśli chodzi o wyjaśnienie charakteru tego dziwnego miejsca. Ale mam pewien pomysł. Ponieważ z powodu „niedyspozycji” pani pułkownik Thien ja dowodzę całym pułkiem z Kong, mogę wysłać trochę ludzi do sprawdzenia waszego pomysłu.

– W jaki sposób?

– Wyślę saperów. Niech tną drzewa i liczą słoje po drugiej stronie świątyni. A jeśli znajdą podobną anomalię, niech kopią, szukając resztek kamiennej drogi. Jeśli macie rację i kiedyś przepędzano tędy tłumy więźniów, to z tamtej strony musi być przecież taka sama droga jak z tej.

Siwecki uniósł się znad mapy i energicznie zaszalutował majorowi. Meredith natomiast uklonił się głęboko.



Łysy szewc był bardzo z dziewczyn zadowolony. Całą drogę wyliczał dokładne sumy w „cyniakach”, jak określał miejscowe pieniądze, które zamierzał im wypłacić za pomoc, i oczywiście coś ekstra dla Nuk, która zgodziła się pracować jako woźnica przy drugim wozie. Siedząca na



pierwszym Kai była więc bezrobotna i żeby nie skupiać się na paplaninie łysego, obserwowała wszystko wokół.

Ten kraj bardzo różnił się od cesarstwa. Każdy szczegół okazywał się inny. W mijanych osadach nie było kamiennych budynków. Wszystko z drewna. Wszystko wykonane w sposób lichy i jakby bez fantazji. Ot, budynek ma służyć, a nie wabić oczy pięknem. Tak samo stragany, stoiska i karczmy. Szare, bure, bez polotu, bez jakiejś najmniejszej choćby iskry fantazji. Tak samo ubrania ludzi. Brudnobiały jako szata wewnętrzna, brudnoszary na zewnątrz. Przy czym określenie „brudny” nie oznaczało, że ubrania były czymś upačkane albo nikt ich nie prał. Przeciwnie, generalnie wyglądały na czyste. Ale miało się wrażenie, że miejscowi tkacze nie potrafili wyprodukować niczego, co miałyby żywe barwy. No i ta bieda. A może inaczej. Nie bieda nawet. Ale wszystko wokół wyglądało na takie samo. Takie same domy we wsiach i osadach, takie same przedmioty, wozy, takie same ubrania. Tu nikt się niczym nie wyróżniał. No i chyba nikomu na niczym nie zależało. Widziała w kilku chałupach popsute okiennice. Gdzieś gdzieś zostawiono je tak i zwisały smętnie. Gdzie indziej po prostu zabito okna koślawymi deskami. I ludzie mieszkali w czymś takim, skoro dym unosił się z kominów.

Kai nie mogła zrozumieć jeszcze jednej rzeczy. Stanem, w jakim człowiek czuje się najlepiej, jest praca. Jakakolwiek działalność. Aktywność. Czarownica widziała wiele regionów w cesarstwie. I te bogate, wystawne, i te, w których panowała skrajna bieda. Widziała też bazy Polaków. I wszędzie, dosłownie wszędzie przez cały czas wrzało w porównaniu z tym, co obserwowała tutaj. W imperium ludzie bez przerwy czegoś chcieli, coś ich gnało do roboty, do interesów, do zmieniania swojego otoczenia. W polskich bazach aż kipiało. Tam nawet odpoczynek to nie spokojny hamak i drzemka. Polacy bawili się głośno, pili, tańczyli, wrzeszczeli. Bez przerwy czegoś chcieli, czymś się interesowali. A tu? Kai widziała wielu ludzi siedzących smętnie pod płotami, nieruchomo wpatrzonych w jakiś niewidoczny dla innych punkt. Nawet nie wyglądali na szczególnie wygłodzonych. Skąd więc ten marazm? Czarownica czuła, że te nieruchome, martwe oczy będą ją prześladować.

Tuż po południu zatrzymali się w małym zagajniku przy drodze.

– Trzeba zjeść coś ciepłego. – Łysy szewc sprawnie, jak na swoją tuszę, zeskoczył z kozła. – No, zakrzątnijcie się, dziewczyny. Musimy rozpalić

ognisko.

– A to co?! – zaperzyła się Kai. – Masz dwie baby pod ręką i od razu chcesz do garów zagonić? A dlaczego właśnie my?!

Spojrzał na nią zaskoczony.

– No wiesz co? Mówisz, jakbyś była wyższym oficerem w wojsku.

Nuk parsknęła śmiechem. Odwróciła się, żeby nie było widać jej radosnej twarzy.

– Bo co? Że baby, to od razu pichcić, gary szorować i ogniska pilnować?! A może jeszcze dupy ci dać po obiedzie?!

Szewc spojrział na Kai zdumiony.

– Nie mówiłem, żebyście poszły po drewno, dlatego że jesteście kobietami – wyznał. – Powiedziałem tak, bo jesteście ze trzy razy ode mnie młodsze. I wam sprawniej pójdzie.

Nuk podeszła do szewca, objęła ramieniem.

– Masz pecha, stary. Chyba będzie mieć swoje dni, bo normalnie tak nie krzycz. – Zaczęła się śmiać. – I nie martw się, ja ci przyniosę to drewno.

Kai zrobiło się głupio. Kiedy Nuk odeszła do lasu, sama zbliżyła się do szewca.

– Przepraszam. Trochę mnie poniosło.

– A nie szkodzi, panienko. Nie szkodzi.

– Wiesz, w mojej szkole... – Kai ugryzła się w język, bo o mały włos nie przyznała się, że prawie skończyła szkołę czarowników. – W tej szkole uczono nas asertywności. Szczególnie kobiety. Mężczyźni mają asertywność prawie że wrodzoną. A nam długo ją wpajano.

– A co to jest ta ase... asertywność? – z wysiłkiem powtórzył trudne słowo.

– To sztuka mówienia „nie” w każdej sytuacji. Musisz odpowiadać „nie” odruchowo, konsekwentnie, stanowczo i, jak mówię, w każdej sytuacji. Szczególnie właśnie kobiety się tego uczą.

– Aha, mówić „nie” w każdej sytuacji. – Skinął głową. – Czyli kiedy będziesz rodzić dziecko, panienko, a położna powie: „Przyj, dziewczyno, przyj!”, to ty odpowiesz: „A właśnie że nie będę!”. Tak?

Rozbroił ją trochę. Pacnęła starego szewca w przedramię.

– Nie bądź taki sprytny, co? Masz jakieś imię?

– A czy ja pytam o wasze imiona?

Ta odpowiedź zaskoczyła czarownicę i dała dużo do myślenia.

– Ja jestem Kai, a ta, co drewno zbiera, to Nuk.

– A ja jestem Lai, zwany też Kuk – zrymował prędko. – Czy wystarczająco szybko wymyśliłem sobie jakieś imiona?

Kai uśmiechnęła się radośnie, patrząc mężczyźnie prosto w oczy.

– Bardzo szybko – odparła. – Ale niestety, na głupią nie trafiłeś.

– Co masz na myśli?

Czarownica odczekała, aż Nuk wróci spomiędzy drzew i znowu znajdzie się w zasięgu głosu.

– Ano to mam na myśli, że te kobiety, które otoczyły wozy z butami, to wcale nie był twój największy problem. Mam wrażenie, że nawet jakoś tam je sprowokowałaś.

– A niby po co miałbym to robić?

Obserwowała uważnie twarz mężczyzny. Był dobrym aktorem. Ani jeden mięsień mu nie drgnął, podczas gdy grał rolę dobrodusznego szewca nieudacznika.

– Bo jesteś bandziorem normalnie, człowieku! Przemysłnikiem jakimś albo jeszcze co gorszego.

Zrozumiał, że się domyśliła. Sięgnął pod swoją szatę. I to był błąd. Nuk, jak wystrzelona z katapulty, znalazła się błyskawicznie za jego plecami i przyłożyła mu lufę rewolweru do potylicy. Durna! Gdyby teraz strzeliła, Kai, stojąca z przodu, dostałaby jego mózgiem prosto w twarz.

Czarownica odsunęła się trochę w bok i sięgnęła pod ubranie szewca, tam, gdzie trzymał swoją dłoń. Ze specjalnej kabury wyjęła niewielki pistolet z krótką lufą. Mogła się tego spodziewać. Broń bez przyrządów celowniczych, przeznaczona do strzałów z ekstremalnie małych odległości, prawie z przyłożenia. Ale takiego kalibru jeszcze nie widziała. Kulą z tej broni chyba można było przepołowić człowieka albo wywołać w nim wewnętrzną eksplozję. A strzelcowi odrzut pewnie by dłoń urwał.

Odciągnęła kurek i otworzyła panewkę. Dmuchnęła, pozbawiając broń prochu zapłonowego. Łysemu zogromniały oczy.

– Nie bój się, nie zabiorę ci tego. – Oddała bezużyteczną chwilowo broń. – Nawet palcem cię nie tkniemy.

Podniósł pytający wzrok.

– A skąd wiesz o...? – zawiesił głos, zerkając na swoje wozy.

– Oczy mam, rozum mam, obserwuję fakty, a potem łączę je ze sobą.

– Ale nie przeszukałaś wozów.

– Nie było mi to potrzebne. Mam tylko nadzieję, że nie wieziesz tam jakichś zwłok, a jedynie normalny przemyt czy inne nielegalne duperele.

– Trupów nie wożę – odparł natychmiast. – Zresztą śmierdziałyby już w tym upale.

– Wierzę, bo dobrze ci z oczu patrzy. Ty jesteś zwykły bandzior, nie morderca.

– Ale skąd wiesz? – powtórzył.

Rozłożyła ręce, uśmiechając się triumfalnie.

– Widzisz, historia z tymi babami sama w sobie była już podejrzana. Nawet pomyślałam, że sam je umiejętnie podpuściłeś, choć to jeszcze nie dowód. Historia dziwna, ale nie takie dziwne historie zdarzają się w życiu. To by jeszcze przeszło.

– A co by nie przeszło?

– Wiesz, niedoświadczona jeszcze jestem w bandyckim rzemiośle i dużo czasu mi zajęło, żeby zrozumieć, że załadowałeś na wozy trefny towar, i to taki, że w razie wpadki można za niego popaść w straszne kłopoty. Więc wymyśliłeś tak: po co mam się narażać? Wynajmę dwie naiwne baby, które się nawinęły, one są bez grosza, nocują pod gołym niebem, a poza tym głupie dupy się nie domyśla, że odwalają za mnie najbardziej niebezpieczną robotę. A poza tym ładne są, strażnicy będą na nie patrzeć od razu łaskawszym okiem. Na ich wdziękach się skupią w razie czego, a nie na trefnym towarze.

– Dobrze kombinujesz – przyznał.

– Zrozumiałam to, kiedy minęłyśmy już wartownię. Kiedy już Nuk wykopała tę wredną babę z kozła, przyszła mi do głowy myśl, żeby tak smagnąć mocniej konie i twoimi wozami udać się w siną dal. I co mógłbyś nam zrobić?

– No masz rację.

– Podjąłeś ogromne ryzyko, że ci twoje własne wozy z towarem zwiniemy. A jednak zdecydowałeś się na to, bo na wozach jest coś, czego strażnicy nie mogą zobaczyć. Wtedy się domyśliłam wszystkiego. A ty jeszcze upewniłeś mnie, przez całą drogę gadając o pieniądzach.

Zmarszczył brwi.

– A co pieniądze mają do tego?

– Bo o pieniądzach mówią ludzie biedni, którzy ich nie mają. Bogaci rozmawiają o pogodzie. – Zaczęła się śmiać. – Biedny kupiec będzie się

bez przerwy chwalił, ile to on zarabia na interesach, jaki ma dom, wóz, kantor i magazyny. Bogaty kupiec niczego nie będzie mówił, zainteresuje się tym, co ty masz do powiedzenia.

Łysy kiwał głową. To rozumiał.

– A ty, opowiadając bez przerwy, ile to nam zapłacisz za przysługę, powiedziałeś mi tym, że nie masz ani grosza. I że podjąłeś jakieś straszliwe ryzyko, żeby zarobić naprawdę dużo.

Tamten cmoknął w podziwie.

– Nie sądziłem, że można czytać we mnie jak w księdze. I że można to zrobić tak łatwo.

– Wbrew pozorom inteligentny jesteś. Tylko nerwy cię zżerają.

Uśmiechnął się zdawkowo.

– Co zamierzacie? – zapytał. – Bo pewnie skoro tak do mnie mówisz, to nie chcesz mnie wydać.

– Ano nie – przytaknęła. – Za przysługę ty pomożesz nam. A my musimy zdobyć trochę pieniędzy.

Wyraźnie się przestraszył.

– Spokojnie – powiedziała. – Nie interesuje nas twój towar. Swój chcemy sprzedać.

– A co macie?

Wyciągnęła spod szat sakiewkę. Rozsupłała powoli i wysypała na dłoń kilka złotych samorodków.

– Jesteście złodziejkami!

Na jego twarzy malowała się teraz tak gigantyczna ulga, że żaden aktor nie potrafiłby tego zagrać. Fałszywy szewc westchnął ciężko, przyłożył dłonie do skroni i zaczął je masować.

– Złodziejki! – jęknął z bezbrzeżnym ukojeniem. – Złodziejki, siostry moje! – Przytulił do siebie Kai i poczochnął ją po włosach. Nienawidziła tego, bo podobnie kiedyś robił jej ojciec, ale zacisnęła zęby. A on powtarzał: – Złodziejki! Nie mogłyście od razu tego powiedzieć, zołzy jedno, tylko musiałyście straszyć starego?!

Puścił Kai i podszedł do wozu. Zdjął z kozła ogromny bukłak i ruszył z powrotem.

– Chodźcie tu, dziewczyny. Bandyckie wino mam, z najlepszych piwnic w okolicy kradzione.

Nie wiadomo było, czy kpi, czy naprawdę nie gardzi również kradzieżą win. W każdym razie najpierw pociągnął sam wielki łyk, a potem dał im, żeby skosztowały.

– Ale macie łup. Złoto! Pewnieście musiały właściciela zamordować, co? Sprytnie dziewczuchy jesteście! A ja stary i głupi, że tego od razu nie zauważyłem.

Kai postanowiła nie wyprowadzać go z błędu. Wino było naprawdę dobre.

– Stary i głupi – powtarzał łysy. – Ale ty cwaniara jesteś. – Spojrzał na czarownicę. – Za przebiegła jak dla mnie. Fajną parę stanowicie, co razem na robotę chodzi. Ty jesteś ta cwana, co to jak drwał wie, które drzewo w lesie wybrać do cięcia, wie, jak uderzyć, jak drewno porząnać. A ta druga to po prostu twoja siekiera. Nie?

– Tak bardzo zależności między nami bym nie upraszczała – powiedziała Nuk. Jednak nie zamierzała się kłócić. Wino smakowało, tamci nie patrzyli, więc mogła strzelić sobie od razu kilka głębszych łyków na zapas.

Kai natomiast imponowało uznanie bandyty.

– No dobra, zjedzmy coś – powiedziała. – Bo mnie naprawdę zaczyna już ssać.

– Ano zakrzątnijmy się przy obiedzie... – zaczął szewc i zaraz dodał: – Razem się zakrzątnijmy. I wcale nie liczę, że dacie mi dupy po posiłku.



Dzień poprawnej wymowy admirała Wentzla zwany był przez jego otoczenie Dniem Sądu Ostatecznego. Oberwujek wbrew pozorom nie miał żadnych problemów z mówieniem. Nie seplenił, nie jąkał się, nie mówił niewyraźnie. No ale współczesna poprawna polszczyzna zawierała spory margines dowolności, większość normalnych ludzi nie mówiła przecież z przesadną starannością. Proste zdanie: „Chcę zjeść kanapkę” brzmiało zazwyczaj w uproszczonej formie, gdzie drugie „ę” zamieniano na „e”, a „ś” i „ć” obok siebie były słabo rozróżnialne. Poprawnie wypowiadali to zdanie jedynie najbardziej doświadczeni, wytrawni aktorzy oraz... admirał Wentzel, kiedy był w złym humorze. Gorzej było z podwójnymi literami. Na przykład każdy Polak nazwisko „Woydyłło” wymawiał w sposób taki, że literę „y” zamieniał na „j”, a podwójne „ł” zamieniał na pojedyncze:

„Wojdyło”. Poprawną wymowę w tym przypadku mieli tylko wyjątkowi mistrzowie sztuki aktorskiej oraz... admirał Wentzel w stanie furii. A jeśli w słowie „grill” słyszałeś dwa „l”, to oznaczało, że przed wejściem do gabinetu admirała należy napisać testament, ponieważ właśnie nastąpił Dzień Sądu Ostatecznego.

Od samego początku widać było, że tego dnia wszystko idzie nie tak. Sekretarka, która wpuszczała Tomaszewskiego do gabinetu admirała, wyglądała na zdrętwiałą ze strachu. Natomiast admirał z pozoru wyglądał normalnie. Podniósł wzrok znad papierów na biurku i powiedział spokojnie:

– Dzień dobry, drogi Krzysztofie.

Hm. Czy da się w wymowie tego prostego zdania popełnić jakiś błąd? Przy sposobie, w jaki wymawiał je admirał, okazało się jednak, że wszyscy Polacy robią to niepoprawnie!

– Melduję...

– Ciii. Spokojnie. – Wentzel opuścił wzrok, powracając do swoich papierów. Studiował je z oddaniem i z właściwą jego niemieckim przodkom systematycznością. Odezwał się ponownie dopiero po upływie kilku minut, kiedy to czekającego na bacność Tomaszewskiego oblewały już siódme poty. – Hm. Chyba zahaczyliśmy dnem o jakąś rafę.

Boże! Boże, nie! W głosie admirała słychać było nawet różnicę pomiędzy „h” i „ch”! Co się mogło stać?

– Popatrz tutaj. – Admirał podniósł duże zdjęcie, na którym widniał wykonany z metalu element jakiegoś wyposażenia. – To taki alpinistyczny wihajster. Nie znam się na tym. Ale to coś znaleziono podczas wyprawy na szczyty Gór Pierścienia. A zgubił jakiś współczesny wspinacz, Krzysztofie, ktoś, kto zrobił ołtarzyk zakonnikom, którzy zginęli tam przed tysiącem lat.

– Po tej stronie gór, jak się domyślam?

– Nie lubię, kiedy udajesz głupszego, niż jesteś, Krzysztofie.

– Tak jest.

Wentzel odłożył fotografię.

– Mam wrażenie, że nie panujemy nad sytuacją – powiedział.

Tomaszewski przełknął ślinę. I co tu powiedzieć? Lepiej czekać. Admirał przecież do czegoś zmierzał.

– Czy nasze agentki wysłane do szpiegowania Anglosasów odezwały się po wylądowaniu?

– Nie, panie admirale.

– A kto je szkolił?

Znowu przełknął ślinę. Mógł przecież wymienić nazwiska, ale to byli tylko wykonawcy rozkazów. Jego rozkazów.

– To moja wina, panie admirale.

– Przynajmniej nie uciekasz tchórzliwie przed odpowiedzią. Tylko tyle mogę zapisać na twój plus, Krzysztofie. Że nie jesteś tchórzem. Choć idioci z reguły nie są tchórzliwi, bo nie mają wyobraźni.

– Tak jest!

Tomaszewski nie miał pojęcia, co tu powiedzieć. Że to kobiety, które nie wychowały się w naszej cywilizacji? Nie czytały szpiegowskich książek, nie oglądały wojennych filmów? Że nie zdają sobie sprawy, że nadanie prostego kodu oznaczającego udane lądowanie jest czynnikiem superistotnym w całym tym wydarzeniu? No przecież to kobiety i całe zamieszanie należało potraktować raczej filozoficznie. Ze spokojem. I całą gamą możliwości. A może się zagadały? Może myślały o czymś innym, rozkojarzone bezmiarem doznań na nowym lądzie? A może po prostu książka z kodami gdzieś im się zapodziała?

– Jak to jest – Wentzel przeszedł do kolejnego punktu – że generał Kawalec już wie, że nie było właściwie zamachu na cesarzową? Kawalec wie od Lewandowskiego, a on od Chena. Dlaczego my nie wiedzieliśmy wcześniej?

– Ponieważ zamach zrobił się przypadkiem, panie admirale.

Wentzel na sekundę podniósł wzrok i natychmiast go opuścił.

– Mam wrażenie, że nie panujemy nad sytuacją – powtórzył.

Tomaszewski czuł, że admirał teraz przejdzie do sprawy zasadniczej. Przez moment miał wrażenie, że za biurkiem nie siedzi oficer marynarki, tylko kat z opaską na oczach.

– A co z obcym agentem w naszych szeregach?

Dlaczego piorun nie strzelił w to pomieszczenie przed sekundą? Dlaczego opatrność jest tak okrutna? Przecież podłoga mogłaby się rozstąpić i obaj wpadliby w otchłanie piekieł. Byłoby wtedy po sprawie i Tomaszewski nie musiałby odpowiadać.

– Nie masz mi nic do powiedzenia w tej kwestii?

Piorun, piorun, otchłań, cokolwiek! A może już czas na koniec świata? No niech się stanie cokolwiek!



– No cóż, możesz już iść, Krzysztofie, i dalej oddawać się alkoholizmowi, narkomanii, uczyć księżniczki tańczyć, jeśli z tym zawodem łączysz swoją dalszą karierę. Możesz też pływać w pijanym widzie po cesarskich fontannach, jeśli taka twoja wola. Do widzenia, drogi Krzysztofie.

Sekretarka na widok miny Tomaszewskiego wychodzącego z gabinetu szefa mało nie dostała zawału serca ze strachu. Przeżegnała się odruchowo i zaczęła szeptać bezgłośnie jakąś modlitwę. Jednocześnie rzuciła się do drzwi, by je przytrzymać, gdyby komandorowi na własną zgubę przyszło do głowy, żeby nimi trzasnąć. Kątem oka zauważył jeszcze, że współczująco pokazuje godzinę siódmą na zegarze i palcem przeciąga sobie po szyi. Aha, kośba trwa więc od samego rana i nie jest jedynym trupem pozostawionym psom na polu bitwy. Nikłe pocieszenie, ale jednak.

Wściekły i struty jednocześnie, co samo w sobie jest przedziwnym stanem ducha, włókł się korytarzem w stronę baru. Alkoholizm i narkomania, tak? No i właśnie miał ochotę się napić, ale nie dlatego, że jakoś szczególnie tego potrzebował, tłumaczył sobie, ale na zasadzie „na złość babci odmrozę sobie uszy”.

O mało się nie przewrócił, kiedy z bocznego korytarza wypadła na niego Wszyńska i całym ciężarem uderzyła pogrążonego w duchowych rozterkach. Oboje w uścisku zatoczyli się pod ścianę. Miała na sobie miejscową tunikę i poczuł ciepło jej ciała. To było pierwsze odczucie. Drugie, że walnęła go w bok torebką i najprawdopodobniej miała w niej swój minipistolet maszynowy, albo przynajmniej dwa kilo gwoździ, bo ból od uderzenia narastał z każdą chwilą.

– To jest zupełnie nie do pomyślenia! – krzyknęła, zirytowana do granic możliwości. – To jest absolutnie niedopuszczalne!

– To ty na mnie wpadłaś, Cholernico.

– A ja nie o tym! O tym palancie tam! – Wściekła jak osa wskazała za siebie, na wylot korytarza, z którego wyskoczyła. Nie miała więc na myśli admirała Wentzla, któremu wszakże również należały się takie słowa.

– Co się stało?

– Ty wiesz co?!... No nie, no co za buc normalnie!

Tomaszewski rozejrzał się, oceniając liczbę ewentualnych uszu, które mogły być odbiorcami niebezpiecznego przekazu. Potem zdecydowanym ruchem okręcił Wszyńską wokół własnej osi, ujął mocno pod ramię i

poprowadził do baru. Jeśli miała coś wygadywać pod adresem zwierzchników, to lepiej tam. Barman był przyzwyczajony do wysłuchiwania nie takich nawet wybuchów.

– Gdzie idziemy? – Pani inżynier otrząsnęła się nagle.

– Do baru, na głębszego.

– Myśl dobra, ale nie tutaj. Tu wszystko jest na podsłuchu.

– Żartujesz. – Tomaszewski znowu się rozejrzył, kto może słyszeć. Na szczęście tylko jakaś Polka, z wyglądu sekretarka, obejrzała się za nimi zdziwiona.

– Nie żartuję! – Wyszyńska wyzwoliła się z uścisku komandora i skręciła w korytarz prowadzący na zewnątrz. – Chodź za mną!

Ruszył posłusznie, oszołomiony tym, co powiedziała.

– Jak to na podsłuchu? – Dogonił kobietę bez trudu, bo choć miała długie nogi i szła bardzo energicznie, to miejscowe sandały nie mogły się równać z prawdziwymi butami.

– Nie tutaj, nie tutaj.

– Co się stało?

– A przyjechał jeden taki ważniaczek od Kocyana i normalnie przesłuchania nam robi, palant!

– Ciszej!

– Co ciszej, co ciszej?! Niech wie, co o nim myślę!

– A w twarz mu to powiedziałaś? – strzelił z zaskoczenia i trafił, bo błyskawicznie zmieniła ton.

– Ty wiesz, że on się uważa za Bóg wie kogo? Że normalnie przed wejściem do jego gabinetu zrobili mi rewizję osobistą?

– Jak osobistą, skoro masz na sobie tylko tunikę i nic więcej? – Tomaszewski szczerze się zdziwił.

– Grzebali w moich papierach, grzebali w mojej torebce! Brakowało, psiakrew, tylko baby z gumową rękawiczką!

Znowu dał się zaskoczyć.

– Co to jest baba z gumową rękawiczką?

– Lepiej, żebyś nie wiedział, co ona sprawdza.

Prawie wybiegli na zewnątrz. Wyszyńska założyła przeciwsłoneczne lotnicze okulary o szklach w kształcie łezek i zdecydowanym krokiem ruszyła w stronę parkingu.

– A żebyś ty wiedział, jak on mnie opierdalał z góry na dół! – podjęła.

Tomaszewski ledwie przełknął ślinę. Nie mógł przywyknąć do sytuacji, w której dama, kobieta z wyższym wykształceniem, inżynier, klnie jak marynarz. W takich dopiero chwilach czuł z całą wyrazistością, że ona pochodzi z innego świata.

– No normalnie go pogięło! – wzburzona mówiła jakimś dziwnym żargonem. – Do mnie nawijka z pretensjami! A ja mu mówię, że jestem głównym inżynierem stoczni i że może mnie polizać, bo nie podlegam służbowo kocyanowcom! A on wtedy!...

Urwała, zatrzymała się i spojrzała na Tomaszewskiego ze zdziwieniem, jakby dopiero teraz zauważyła jego obecność.

– A ty czemu jesteś taki współczujący nagle? – zapytała.

– Bo ja wracam z pogawędki bardzo podobnej w charakterze do twojej.

– Byłeś u Wentzla? – zapytała domyślnie.

– Mhm.

– I też cię opierdolił, suchej nitki nie zostawiając?

– Mhm.

Podeszła bliżej i położyła Tomaszewskiemu dłoń na szyi. Potem przyciągnęła jego głowę tak, że zetknęli się czołami.

– No to co...? Proponuję uczcić dzień braterstwa broni jakąś zdrową dawką wódki.

– Nie będę oponował.

– I proponuję też zbliżenie międzygatunkowe.

– Yyy? – nie zrozumiał, co ma na myśli.

– Pomiedzy tobą, szlachetnym człowiekiem, który został stworzony, a mną, zwierzęciem, które wylęgło się w procesie ewolucji.

– Nie mów o sobie „zwierzę”.

– Wiesz co, widząc pana, który przyjechał z firmy „Kocyan i wspólnicy”, nie mam cienia wątpliwości, że jesteśmy zwierzętami.

Roześmiał się.

– Aha. W takim razie admirał Wentzel to forma pośrednia.

– Między gatunkami? To znaczy między tobą a mną?

– Nie. Między glizdą a karaczanem!

Parsknęła śmiechem, pokrywając mu twarz drobinkami śliny.

– Oj, przepraszam. – Otworzyła swoją torebkę, która poza arsenałem różnorodnej broni zawierała, jak się okazało, także papierowe chusteczki.

Zacząła wycierać Tomaszewskiemu twarz, starannie i dokładnie. – Mam nadzieję, że się nie brzydzisz? – upewniała się jeszcze.

– Nie. Już raz pies mnie opluł, kiedy kichał.

Uśmiechnęła się radośnie.

– Naprawdę masz jaja. Chodź, chodź! – Poszła w stronę swojego odkrytego samochodu terenowego, zgrabnie kręcąc pupą.

Kiedy wsiedli, ruszyła szybko, od razu nabierając dużej prędkości. Zaraz jednak po opuszczeniu bazy musieli znacznie zwolnić. Negger Bank miało co prawda szerokie, równo brukowane ulice i były one nawet przystosowane do ruchu wielkich wozów. Niestety, nikt ich nie przystosował do szybkich samochodów, a ludzi nikt nie nauczył przepisów kodeksu drogowego, z tej prostej przyczyny, że takie przepisy nie istniały. Przedzierali się więc powoli, otoczeni tłumem dzieci, dla których stanowili niezmiennie ogromną atrakcję.

– Gdzie jedziemy?

– No właśnie. – Wyszyńska zsunęła lotnicze okulary na czoło. – W moim mieszkaniu na pewno jest podsłuch. Pytanie, czy w twojej willi już też?

– Nie przesadzasz?

– Po dzisiejszej rozmowie wiem, że nie. Zresztą jak myślisz? Dlaczego Wentzel był tak wściekły, że opieprzył nawet własnego siostrzeńca? Dlaczego ten buc od Kocyana opierdolił jedną z ich najlepszych agentek? Nie widzisz koincydencji w tych faktach?

Miała rację! Tomaszewski zdenerwował się nagle. Zapalił papierosa i zaciągnął się głęboko. Dlaczego on sam na to nie wpadł? Przecież te dwa typy musiały o świecie ze sobą rozmawiać. I podczas tej rozmowy musiały paść bardzo nieprzyjemne wzajemnie słowa.

– Możesz mieć cholerną rację.

– No! A po cieplej wymianie uwag dwaj wkurwieni starsi panowie dali upust emocjom wobec swoich ludzi.

Miała rację! No miała! Rzeczywiście była chyba ich najlepszą agentką. Ale też nie mógł sobie wyobrazić, jakim cudem jej cywilizacja pozwalała tak wysoko postawionej damie używać słów w rodzaju „wkurwieni”.

– Czemu mi tak mało opowiadasz o swoim świecie? – zmienił temat.

– Oj, nie mogę, takie mamy instrukcje. – Zerknęła na niego, jak przyjmie jej słowa. – A poza tym co mam mówić? Historię naszych

światów ogłędnie znasz. Jesteście kopią naszego świata i tylko Bogom w rachubach coś poszło lekko nie tak, bo jesteśmy do przodu z rozwojem o kilkadziesiąt lat. I tyle.

– No fakt. Biorąc pod uwagę eony czasu, kilkadziesiąt lat to drobiazg.

Tomaszewski zastanawiał się, czy w związku z tym i w jego świecie za kilkadziesiąt lat kobiety z wykształceniem inżynierskim zaczną używać słów takich jak „skurwysyn” w języku potocznym.

Wyszyńska zahamowała gwałtownie przed wozem, który rozkraczył się na środku drogi. Sarta towarów była przywiązana linami do paki i w żaden sposób nie dawało się jej zdjąć, żeby usunąć na bok uszkodzony pojazd.

– No co tam? – Pani inżynier zatrąbiła głośno, wzbudzając tym żywiołowy aplauz wśród otaczających ich terenówkę dzieci.

– Oj, jasna pani, oś szlag trafił. – Zza paki pojawił się rosły, niemłody już kupiec. – Nie da rady tego popchnąć, a dwa konie też nie pociągną. Utknąłem i próżno pomocy wyglądać.

– A zgłosiłeś to gdzieś?

– Niby gdzie? Po kowala posłałem, ale dziś targowy dzień, pewnie ma huk roboty. Dobrze będzie, jak wieczorem przyjdzie.

– No to zepchnijmy twój wóz na bok. – Wyszyńska wyskoczyła zza kierownicy.

– Nie da rady, jasna pani. Ani ludźmi, ani nawet we dwa konie.

– Oj, nie chrzań. Ja mam pod maską nie dwa konie, a tylko sto pięćdziesiąt, i na pewno dam radę. – Zakrzętnęła się przy linii holowniczej owiniętej wokół przedniego zderzaka. Tomaszewski ruszył na pomoc, a jednocześnie obserwował, jak ją traktowali miejscowi. To było coś przedziwnego, ale najwyraźniej obca istota budziła u mieszkańców Negger Bank wyraźną sympatię. Miała na sobie ich strój, mówiła ich językiem, choć kalecząc okrutnie, ale... starała się przynajmniej, wkładając w to wiele wysiłku. Nie wywyższała się, jak to się niektórym Polakom zdarzało, tylko była normalna. Tak właśnie. Normalna, zwykła, niczego przed nimi nie udawała. Klęła jak oni, rugała niefortunnego kupca, co zawałił drogę, jak oni, narzekała na robotę w upale dokładnie tak jak oni. Widać było w każdym calu, że otoczenie ją akceptuje. Widać było, że ludzie ją po prostu lubią, wystarczyło raz zerknąć. A kiedy wsiadła z powrotem za kierownicę i umiejętnie użyła wojskowego samochodu, który przecież był

przystosowany do ciągnięcia nie tylko wozów, ale też ciężkich stalowych armat, zaczęli wiwatować.

Tomaszewski sam czuł do Wyszyńskiej podziw za to, że potrafiła tak skutecznie nie budować żadnego dystansu. I czuł także... No właśnie, zastanowił się przez chwilę. Co jeszcze czuł?

– Możemy jechać. – Wyszyńska sprawnie zamocowała na powrót linę do holowania.

– Zdecydowałaś już gdzie?

– Najlepiej będzie jednak do mnie. Spociłam się i muszę zmienić tunikę. A jeśli chodzi o podsłuch, to znajdę na niego sposób.

Tomaszewski ciągle nie mógł uwierzyć. Oczywiście wywiad posługiwał się licznymi technikami podsłuchu, ale poza szklanką przytkniętą do ściany z jednej strony i do ucha z drugiej nic więcej nie przychodziło mu do głowy. Największym wyrafinowaniem technicznym było przewiercenie sufitu, umieszczenie mikrofonu w lampie i facet na krześle piętro wyżej, ze słuchawkami na uszach. Wyszyńska jednak najwyraźniej знаła inne sposoby.

– Czy w tym samochodzie może być podsłuch? – zapytał.

Zaprzeczyła.

– Aż tak dobrzy nie są. Słuchaj, my nie możemy przenieść tutaj produkcji całej technologii, jaką mamy u siebie. To niemożliwe, bo żeby wyprodukować układy scalone, trzeba mieć najpierw tranzystory, a żeby mieć tranzystory, trzeba najpierw wyprodukować lampy elektronowe. To tak w potwornym uproszczeniu, a zbytnie uproszczenie, pamiętaj, nie musi być nawet zbliżone do prawdy. – Uśmiechnęła się radośnie. – Oczywiście dzięki nam polska technologia dostała kopa takiego, jakiego inne gospodarki nigdy nie poznają. Ale to nie jest cudowne przyspieszenie. Pewnych procesów nie da się uniknąć ani pominąć. My was tylko chronimy przed ślepyimi uliczkami w rozwoju, my wiemy, co będzie za pięć, dziesięć lat, i w związku z tym zawczasu można wyprodukować potrzebne elementy.

– Wiem, wiem. Największą moją zagwozdką była produkcja bombowca, który ze stratosfery mógł w nocy bombardować przez powłokę chmur, podczas kiedy nie było na świecie takiego celownika, który by umożliwił dokonanie takiego cudu.

– A „Dragon” cię nie poruszył?

– Tak, to jeszcze większa zagadka. Okręt podwodny, manewrujący jak ociężała krowa, a jedyne poważne uzbrojenie na jego pokładzie to uzbrojenie przeciwlotnicze! No tak, ale wtedy jeszcze nie wiedziałem o istnieniu Agregatu, zwanego też Dużym Jasiem. I nie mogłem mieć pojęcia, do czego służą pionowe wyrzutnie.

– Istnienie bomby atomowej zmienia punkt widzenia w sposób dramatyczny, nieprawdaż?

Przytaknął.

– A wyrzutnie torped umieściliście tylko dlatego, że sztab marynarki się uparł?

– Wcale nie. Bo to nie okręt ma sprawnie manewrować. To musi zrobić sama torpeda.

Spojrzał na nią zaskoczony. Ale miała rację. Każdy okręt był przecież cięższy od torpedy. Gdyby tylko nauczyć ją sterowania...

– Daj nam jeszcze rok, może półtora – roześmiała się Wyszyńska – a ORP „Dragon” z przyciężkawego muła zamieni się w broń Sądu Ostatecznego.

Tomaszewski zmrużył oczy. O ile orientował się w topografii olbrzymiego miasta, dojeżdżali właśnie do celu. A ta cholerna kobieta sprawiła, że nieprzyjemne wspomnienia z porannej jatki u Wentzla zaczynały się powoli zacierać. Żeby go krew jasna!... Spokój, spokój, pani inżynier parkowała właśnie przed wejściem do własnego domu i tylko chwile dzieliły go od ukojenia w oparach alkoholu. Usiłował uwolnić myśli i odwrócić uwagę od rozmowy, która tkwiła w nim jak cierń.

– Przygotujcie mi prysznic. – Wyszyńska nie zdążyła wyskoczyć z auta, kiedy służba biegła już spełniać jej życzenia. – Weźcie sobie coś ekstra z kasetki, żeby poszaleć, i zróbcie sobie wolny dzień.

Trzy dziewczyny i dwóch chłopaków pochyliło głowy, chcąc wyrazić wdzięczność. Praca u takiej pani to naprawdę gratka. W całej dzielnicy praca u Polaków różniła się diametralnie od tego, czego można było doświadczyć u miejscowych. U pośredników ludzie pchali się do tej pracy. Ale też ci, którzy byli do niej przyjmowani, okazywali się profesjonalistami najwyższej klasy.

Podczas kiedy dziewczyny odprowadzały swoją panią pod prysznic, jeden z chłopaków posadził Tomaszewskiego w salonie, tuż przy patio. Jakoś odgadywał nastrój gościa. Zimna wódka i taca z zakąskami pojawiły

się błyskawicznie. Następnie służący zadał dwa nieistotne pytania, które pozwoliły mu się zorientować, czy gość ma ochotę chwilę porozmawiać o niczym, czy też raczej woli zostać sam. Odgadł dobrze, bo ulotnił się błyskawicznie, zapewniając, że wystarczy postukać widelczykiem o szkło, a pojawi się ponownie.

Tomaszewski nalał sobie trochę wódki. To dziwne, ale będąc marynarzem, wcale nie przepadał za owocami morza. Jako zakąskę wybrał sobie małą marynowaną cebulkę. Wypił, zagryzł i poczuł się lepiej. Czysto psychologiczne wrażenie, bo przecież związki chemiczne zawarte w alkoholu nie zdążyły jeszcze zadziałać. Zapalił papierosa, rozglądając się z ciekawością.

Nie zdążył nawet sprawdzić, czy po ostatnich zajściach z czerwonym winem na ścianie remont i malowanie przyniosły spodziewane efekty, kiedy z korytarza dobiegł go odgłos stóp uciekających z domu służących oraz ich ciche, acz radosne głosy. Wyszyńska najwyraźniej nie leniła się pod prysznicem. Podniósł wzrok w stronę wejścia do salonu. I oniemiał.

Tomaszewski uważał się za człowieka wyzwolonego, jeśli chodzi o sprawy między kobietami a mężczyznami. Inicjację seksualną przeszedł, jak na swoją kulturę, bardzo szybko, bo już na początku studiów w szkole marynarki wojennej. Szybko też nauczył się wszystkich atutów, które dawała mu ta szkoła. Przekonał się, że mundur marynarki wojennej jest najbardziej elegancki ze wszystkich rodzajów sił zbrojnych i działa na kobiety bardzo silnie. No, może tylko piloci ze swoimi skórzanymi kurtkami i białymi szalikami mieli lepiej. Reszta wojska ginęła w masie. Służba na morzu dawała jeszcze inne korzyści. Gdzie szedł, czy do kawiarni, czy na prywatkę lub bal, wyprzedzała go „marynarska sława” ludzi, którzy od wieków znani byli przecież z romantyzmu i umiejętności obchodzenia się z kobietami. Lśniące odznaki na mundurze świetnie nadawały się jako pretekst do nawiązania rozmowy. „Ta odznaka to tylko oznaczenie rodzaju służby. Ta konkretnie to wywiad marynarki wojennej”. I często to wystarczało. Z czym bowiem kojarzy się wywiad zwykłym ludziom? Każdy przecież czytał romanse. A tam wywiad to eleganckie damy, szybkie samochody, książęta uwikłani w międzynarodowe afery i towarzystwo z wyższych sfer. Nikt nie wyobrażał sobie przecież tygodnia przy nasłuchu radiowym w tajnym bunkrze, gdzie siedzi piętnastu spoconych facetów, którzy nie mogą wyjść na zewnątrz, żeby się umyć.



Nie, nie. A romantyczną przygodę z kimś, kto w mniemaniu wielu kobiet reprezentował romantyczny świat, każda chciała przeżyć.

No i tak to było. Tomaszewski korzystał z życia, a kiedy skończył szkołę i został oficerem, wszystko się zmieniło... Na jeszcze lepsze!

Był więc mężczyzną doświadczonym, obytym, radzącym sobie w świecie kobiet. Jednak nic, co istniało w jego kulturze i w kręgach, w których się obracał, nie przygotowało go na doświadczenia, jakie za sobą miała Wyszyńska. Pierwszy rzut oka powiedział mu, że jej kultura była... trochę bardziej wyzwolona niż jego.

Wyszyńska była dojrzałą kobietą. I bardzo świadomą faktu, że ma dobrze utrzymane ciało sportowca. Stała w przejściu, mając na sobie coś, co od biedy można byłoby uznać za szlafrok z najcieńszego, śliskiego materiału. Ale... poły szlafroka powinny się przynajmniej stykać ze sobą i być przewiązane paskiem. Te nie były. Ze zdziwieniem zauważył, że u zbiegu ud wcale nie miała skłębionego trójkąta włosów, tylko wąski ślad po nich. Przełknął ślinę, gdy Wyszyńska ruszyła w jego kierunku. Podmuch powietrza sprawił, że poły szlafroka zostały gdzieś z tyłu, odsłaniając kształtne biodra. Dopiero kiedy znalazła się przy nim, podniósł wzrok. Wyszyńska patrzyła mu prosto w oczy. Była idealnie świadoma wrażenia, jakie w tej chwili wywiera. Nalała wódkę do dwóch szklaneczek i podeszła bliżej, podając mu jedną. Teraz jej uda znalazły się w odległości może dziesięciu centymetrów od jego twarzy. Czuł zapach świeżo mytej skóry, czuł coraz bardziej intensywny zapach kobiety. Sytuacja, którą sama stworzyła, na Wyszyńską też oddziaływała z całą mocą. Podnosząc szklankę do ust, zauważył jej sterczące na baczność sutki.

Wypili, patrząc sobie w oczy. Wyszyńska napełniła naczynia ponownie, a potem odsunęła się o dwa kroki i usiadła na szezlongu, przybierając swobodną, półleżącą pozycję, przodem do Tomaszewskiego. Poły niby-szlafroka opadły bezładnie po obu bokach, odsłaniając długie, zgrabne nogi i płaski brzuch.

– Tak do końca nie wiem – powiedziała, patrząc na komandora z rozbijającą bezczelnością – czy u was istnieje tak naprawdę seks dla samej przyjemności? Bez żadnych zobowiązań?

– Istnieje – odpowiedział.

– Bo mnie bardzo odstresowują przystojni mężczyźni.

Uśmiechnął się, nie do końca wiedząc, co powinien zrobić. A jednocześnie cała sytuacja fascynowała go coraz bardziej. Czuł, jak gorąco uderza mu do głowy, jak wraz z alkoholem w żyłach rozpływa się cudowne uczucie pożądania tej właśnie kobiety.

– A u was zawsze tak pokazujecie się sobie nago?

– Nie – zaprzeczyła energicznie, ale łobuzersko zmrużone oczy mówiły coś zupełnie przeciwnego.

– Nie pokazujecie wszystkiego? – podjął jej grę i zaczął się droczyć.

– Nie – znowu zaprzeczyła. – A chciałbyś od razu zobaczyć wszystko?

Nie zdążył odpowiedzieć. A może odpowiedział mimowolnym wyrazem twarzy, tylko sam o tym nie wiedział? W każdym razie wygrała to starcie.

Wyszyńska, siedząc, właściwie półleżąc naprzeciw niego, nagle jednym energicznym ruchem rozstawiła szeroko nogi. Bez przerwy patrząc mu w oczy.

Tomaszewski przełknął ślinę. Tym razem fala gorąca, która go ogarnęła, w żaden sposób nie była spowodowana wódką w żyłach. Rozpiął kołnierzyk marynarki tropikalnego munduru.

– Chodź – szepnęła Wyszyńska, podnosząc się zgrabnie jak kotka. – No chodź, chodź...

Sprawiała, że wstał. Pociągnęła go w stronę otwartego na salon patio. Teraz to ona zajęła się guzikami marynarki. Potem koszuli. O mało się nie przewrócili, kiedy Tomaszewski chciał w ruchu pozbyć się butów. Udało mu się jednak zachować równowagę. No, w końcu był marynarzem.

Po przeciwległej stronie małego ogrodu znajdowała się duża, ale przytulna sypialnia. Również pozbawiona ściany. Z wielkim łóżkiem, na które Wyszyńska wskoczyła, kiedy tylko uporała się z jego spodniami. Uklękła na środku tyłem do Tomaszewskiego, by po sekundzie opaść na czworaka, a potem położyć głowę na skrzyżowanych rękach, wypinając pupę.

– Nie boisz się wejść do łóżka ze zwierzęciem?

– Jakoś nie. – Tomaszewski odzyskał pewność siebie. Widok, który miał przed sobą, powodował diametralnie odmienne od strachu uczucia.

– A co mam robić? – Poruszyła swoim kształtnym tyłkiem. – Mam być grzeczną suczką?

– Nie licz na to. – Usiadł na łóżku, a potem opadł na plecy, przyciągając kobietę do siebie. – Nie licz na żadną łatwiznę.

– Nie liczę, wojowniku. – Otworzyła szerzej błyszczące oczy. – Ale w takim razie będziesz musiał okiełznać swoją wojowniczkę.

– Czyż nie o to chodzi w walce?

Wtedy pocałował ją po raz pierwszy. Wpuściła jego język natychmiast i zaraz przejęła inicjatywę. A on zrozumiał, że dotąd, choć wydawało mu się inaczej, nie spotkał kobiety aktywnej w łóżku. To miało być to wyzwolenie? Ta zwierzęcość? Nie miał pojęcia. Cieszył się jej pomysłowością, poddawał wszechogarniającemu pożądaniu. Nie, nie miał już ochoty zwlekać. Użył wręcz siły, żeby ją nakłonić do poddania. I poddała się. By po chwili szepnąć mu do ucha:

– Usiłuj nie ogłuchnąć. Podnieca mnie mój własny krzyk.

Był to chyba najfajniejszy seks, jakiego dotąd udało mu się doświadczyć. Tak, nie uprawiać, lecz doświadczyć, bo Wyszyńska robiła wszystko, żeby przejąć inicjatywę. Dopiero kiedy zdobyła przewagę, doprowadziła, że leżał na plecach, a ona dosiadła go jak rumaka, poddała się rytmowi. Widział, jak z jej oczu powoli zaczynają spływać łzy. Jak skupia się już tylko na sobie. Rzeczywiście miała zdrowe płuca i zdrowe gardło. Jego też to podniecało. Doszedł chwilę po niej, kiedy mógł już skoncentrować się na sobie.

Wyszyńska opadła na pościel, dysząc ciężko. Otarł jej łzy fragmentem prześcieradła. A potem pocałował ją po raz drugi.

– Milutki jesteś. – Uśmiechnęła się. – Myjemy się?

Nie czekając na odpowiedź, wyskoczyła z łóżka. Też wstał i poszedł za nią.

– Odstresowałem cię? – zapytał.

– No masz! – Zaczęła się śmiać. – Już w ogóle nie pamiętam, co mnie przedtem tak zdenerwowało.

W łazience zamontowano specjalny niewielki basen z przepływem bieżącej wody, który umożliwiał kobiecie łatwe umycie się. Cesarstwo w niektórych sprawach stało wyżej niż Rzeczpospolita. On sam też miał do dyspozycji w pałacu księżniczki Yari bieżącą wodę, w ujęciu z ułatwieniami specjalnie dla mężczyzn. Praktyczność tych rozwiązań i wymuszana przez nie bezpruderyjność, przynajmniej w bogatych domach imperium, były czymś, czego jego ojczyzna mogła tylko zazdrościć.

Po chwili owinał się w grube kąpielowe prześcieradło. Pomógł też Wyszyńskiej. Rzeczywiście wyglądała na odprężoną i zadowoloną z siebie jak cholera. Patrząc na niego, mrużyła oczy i zabawnie przekrzywiła głowę na bok. Nie umiał w psychice pogodzić ze sobą dwóch obrazów tej samej kobiety. Bezwzględnej baby, która bez wahania zastrzeliła więzioną przez siebie czarownicę Zakonu, waląc z przyłożenia w maleńkim pomieszczeniu. Znał przecież makabryczne skutki tego strzału i koszmary widok pobojuwiska, niewielu mężczyzn zrobiłoby coś takiego. I drugi obraz, teraz, kobiety radosnej, rozbawionej wręcz, cieszącej się z życia jak mała dziewczynka. Jak to pogodzić? Nie miał zielonego pojęcia.

Wyszyńska wyczuła, że chce coś powiedzieć, być może zacząć ważną rozmowę, i położyła mu palec na ustach. Potem pokazała swoje ucho i najbliższą ścianę. Ściany mają uszy? Ach, no tak, rozkojarzył się zupełnie, przecież mówiła wcześniej o podsłuchu, którego istnienie podejrzewała w swoim domu. I nagle z całą wyrazistością wyobraził sobie ten podsłuch, obsługę ze słuchawkami na uszach i jej głośne okrzyki uniesienia. Hm...

I nagle przez ciąg irracjonalnych skojarzeń zadał sobie pytanie: czy właśnie zdradził Kai? No nie! Przecież nic ich nie łączyło. No ale wiedział, że dziewczyna, delikatnie mówiąc, obdarza go jakimś uczuciem. Wiedział. Nie, nie, żadnych takich. To był przecież tylko niezobowiązujący seks! Zaraz, zaraz, kobiety zawsze traktują to inaczej. No w porządku, ale dlaczego on ma myśleć jak kobieta? Przecież nie kochał Wyszyńskiej i się nie zakocha. To czysta, wydestylowana przyjemność. A nawet konkretne działanie we wspólnych interesach. No... Jeśli tak, to po co usprawiedliwia się sam przed sobą? Nie, nie, nie czuł się przecież winny, do cholery! Zresztą Kai tutaj nie było.

Aha! Reasumując: i tak dziewczyna się nie dowie!

Coś z tych przemyśleń musiało się odbić na jego twarzy, bo Wyszyńska uśmiechnęła się ciepło i poklepała Tomaszewskiego uspokajająco po policzku. Owinięci w ręczniki przeszli z powrotem do salonu, a stamtąd, już obciążeni pełną karafką i tacą z zakąskami, krętymi schodami weszli na dach jej posiadłości.

Nie sądził, że z dachu domu położonego na stoku łagodnego przecież wzgórza może się rozciągać aż tak piękna panorama części Negger Bank. Coś niesamowitego. Ogarnął ich gwar położonej niżej ulicy, leciuteńki wiatr przyniósł delikatne zapachy wydostające się z wielu kuchni, a w

przypadku tego, co przyrządzali mieszkańcy gorących terenów nadmorskich, wcale nie były to zapachy przykre. Morze dachów poniżej mieniło się poddającym się leniwie podmuchom bryzy, kolorowymi płachtami wywieszzonego prania. Pomiedzy budowlami widać było zielone wierzchołki drzew i palm. Gdzeniegdzie unosiły się strużki dymu.

– Ależ tutaj pięknie – wyrwało się Tomaszewskiemu.

– Lubię tu odpoczywać. – Wyszyńska wskazała dwa wyplatane leżaki osłonięte przed słońcem przez gałęzie rozpiętego na drewnianej kratownicy krzewu. – No i możliwości techniczne chłopców od podsłuchów tu się ewidentnie kończą.

– Co ty tak nagle z tymi podsłuchami?

– Dla ciebie to nagle, a dla mnie rzecz dość normalna. – Uśmiechnęła się w odpowiedzi. – A dzisiaj dodatkowo przekonałam się, że wrednie namolna. I komplikująca życie.

Domyślał się, że nie usłyszy szczegółów. A przynajmniej nie dzisiaj. Nalał wódkę do małych szklanek i podał jedną Wyszyńskiej.

– No to za zbliżenie między rasami! – Podniósł swoją.

– I, proponuję, za naszą prywatną umowę – dodała i wlała do ust zawartość szklaneczki.

– Masz coś konkretnego na myśli?

Potrząsała chwilę głową, nie zakąszając jednak niczym.

– To wódka z kaktusów. Doskonale więc pasuje sól i cytryna. – Wskazała mu tacę. – A co do umowy, tak. Mam coś konkretnego na myśli.

– Co? – zapytał obcesowo.

– Spróbujmy sobie nawzajem pomóc. W bezpieczny sposób, to znaczy nie narażając się na... – zawiesiła głos. – Na wiesz co.

– I nie sprzeniewierzając... – trochę ją sparodiował. – Wiesz czego.

– Właśnie tak. – Uśmiechnęła się do Tomaszewskiego tak sympatycznie, że musiał odpowiedzieć ciepłym uśmiechem. – Ty pogłaszczesz mojego szefa, a ja twojego i niech się głupi cieszą.

– No, za przeproszeniem, mój szef na tym lepiej wyjdzie!

– Mówiłam o głaskaniu w przerośni. – Teraz ona nachyliła się i napełniła szklanki. – Ja na przykład mogłabym ci powiedzieć, skąd wiem, że ten oślepiiony podróżnik, którego uwolniłeś w świątyni, kłamał jak najęty.

Tomaszewski o mało nie wypuścił z dłoni swojej szklanki. To była wiadomość absolutnie priorytetowa. Przygryzł wargi i powiedział po długiej chwili namysłu:

– A ja mógłbym ci powiedzieć, gdzie pobiegnie następna linia kolejowa.

– Gdzie pobiegnie?! – Aż podskoczyła. – I dlaczego ja o tym nic nie wiem?

Zaczął się śmiać. Wypił swoją porcję kaktusowej wódki i zagryzł kawałkiem cytryny. No dobra. Jeśli ich plan miał się udać, to musieli teraz okazać sobie nieco zaufania. Bez sensu było mówienie po trochu, w małych porcjach, żeby zobaczyć, czy druga strona nie oszukuje. Nie, nie. Szczypta zaufania. Teraz trzeba zrobić ten krok.

– Będiesz ze mną szczerą? – zapytał, nie po to bynajmniej, żeby usłyszeć kilka pustych zapewnień. Chciał usłyszeć w głosie Wyszyńskiej, jak bardzo była zainteresowana. A udając naiwnego, chciał też zakryć to, że jej informacja była dla niego sprawą najwyższej wagi. Nie mówiąc już o tym, że dla Kai i Nuk to było być albo nie być.

– No pewnie! – Wyszyńska była naprawdę podekscytowana. Nie mogła sobie wyobrazić, jakim cudem ktoś potrafił ukryć przygotowanie do budowy jakiejś linii kolejowej. – Pamiętaj o tym, co mówiliśmy w świątyni dzikusów w Banxi. Oboje jesteśmy tak naprawdę po tej samej stronie.

No dobrze, niech tak będzie. Tomaszewski zapalił papierosa wyjętego z leżącej na tacy paczki. Zaciągnął się do samego pępka.

– No to trzymaj się leżaka – powiedział. – Już niedługo nowoczesne środki transportu umożliwią przewożenie całych armii do Kong albo wręcz za Wielki Las na płaskowyżu Banxi.

– Eee... zbudujecie sieć lotnisk?

– A wyglądamy na kogoś, komu prezydent RP codziennie przysyła sto ton złota na drobne wydatki?

Wyszyńska przymknęła oczy, chcąc sobie przypomnieć, jak wygląda mapa opisująca tę okolicę.

– Jakim cudem...?

– Koleją do Złych Ziem można dojechać już teraz. Ta linia jest już jednak w trakcie projektowania istotnego uzupełnienia. Skręci nagle i zostanie przedłużona aż do rzeki Liu. A tam zostanie zbudowana baza

przeładunkowa i przystań dla barek i pontonów. Wszystko będzie można przewieźć rzeką do Kong albo za Wielki Las.

– A w zimie?

Sprytna była. Tomaszewski leciutko skłonił głowę przed jej inżynierskim podejściem do sprawy.

– A w zimie zamiast holowników te same barki będą ciągnięte po lodzie przez zwykłe traktory. Miejscowi inżynierowie zaprojektowali specjalny system wózków saneczkowych dla barek. Wymyślili też, jak wykrywać bańki powietrza pod lodem.

– Ożeż... – Wyszyńska była pod wrażeniem tej genialnej koncepcji. Jej minimalnych kosztów i możliwości błyskawicznej realizacji. Majstersztyk. Jedynym minusem było unieczynnienie trasy dwa razy do roku, podczas zamarzania i topnienia lodu, ale każdy strateg przecież z góry o tym wiedział i z łatwością mógł się przygotować. To dawało jakieś nieograniczone prawie możliwości transportu tysięcy ton sprzętu, zaopatrzenia, materiałów pędnych i ludzi w praktycznie dowolny punkt na tym olbrzymim obszarze. To sprawiało, że posiadacz takiej arterii komunikacyjnej de facto panował nad całą okolicą.

Podniecona ponownie napełniła szklaneczki.

– A powiedz mi, jakim cudem wiadomość o tym się nie roznosi? Dlaczego ani ja, ani nikt z moich chłopców od Kocyana nie mamy o tym zielonego pojęcia?

Tomaszewski wciągnął dym do ust i pyknął, puszczając w stronę kobiety idealne, powiększające się kółko.

– Bo nie bierze w tym udziału Wojsko Polskie – odparł, powodując u Wyszyńskiej widoczny szok. – To prywatna inicjatywa.

Nie mogła uwierzyć.

– Zawsze wiedziałam, że jesteś cwany. Ale aż tak?!

Podziw w jej oczach nie był udawany. No i stanowił piękne zwieńczenie ich dzisiejszej przygody. Udając, że to nic takiego, wzruszył ramionami.

– To logiczna konsekwencja naszych dotychczasowych działań. – Pięknie udawał, że to mała sprawa. – Tutejsi inżynierowie już są wdrożeni w projektowanie i realizację linii kolejowych. Mogą swoją pracę kontynuować, i to z radością, bo to honor dla nich niebywały. Robić coś, czego żaden inny inżynier w ich świecie nie robi. A na Złych Ziemiach

jest ropa naftowa, są więc i niewyobrażalne pieniądze. Każdy się tam może pożywić, ale prawdziwą kasę zwiną ci, do których należy inicjatywa. Zatem miejscowi wymyślili, jak szybko przerobić ropę na benzynę i jak dostarczyć wojsko w miejsce przewidywanych działań, żeby ta benzyna od razu stała się niezbędną. A finansuje wszystko bank Barucha, który chce szybko napełnić sobie skarbce po same sufity.

– Pieniądz wprawia wszystko w ruch – szepnęła Wyszyńska, potrząsając głową w podziw. – No i najważniejsze. Do czasu podjęcia jakichkolwiek działań w tym rejonie rzecz pozostanie praktycznie tajna, skoro nie bierze w tym udziału WP.

– Ano tajna – zgodził się Tomaszewski. – Nie widziałem jeszcze bankiera, który chodzi po forum i głośno się chwali, w co włożył fortunę.

Wyszyńska podniosła swoją szklankę do ust. Wypili za jakieś przyszłe wojny i kampanie, w których być może będą musieli wziąć udział. Oboje wiedzieli, jak ważną kartą przetargową jest strategiczna trasa o nieprawdopodobnej wręcz w tym świecie przepustowości. Drogi to było coś, na czym budowano imperia. A drogi żelazne to było narzędzie do całkowitej odmiany świata i naginania go do własnej woli.

– Masz rację, że ta informacja jest wiele warta. – Wyszyńska patrzyła na dachy domów poniżej, które wzmagający się wiatr zamieniał właśnie w niezwykle pole sztandarowe, na którym rolę flag spełniało łopoczące teraz, suszące się pranie. – Moja też będzie dla ciebie ważna.

– O tym, że ślepy podróżnik kłamał? A skąd możesz coś o tym wiedzieć, skoro on nie żyje?

– Wiem to od członka załogi „Gradienta”, którego Shen odnalazła w jakiejś wsi.

– Przesłuchiwałem go i nic...

– Wybacz – przerwała mu w pół słowa. – Zabrałeś się do tego od dupy strony.

I znowu język, który kłócił się z pozycją wykształconej damy. Ciekawe, czy za kilkadziesiąt lat tak będą mówić kobiety i tutaj?

– Dlaczego?

– Oj! – Machnęła ręką. – Za grzecznie to wszystko chciałeś załatwić. Umawiałeś się na wizytę, pytałeś lekarzy, jak długo pozwolą ci rozmawiać z chorym, pozwoliłeś się wyrzucić w momencie, kiedy on dopiero zaczynał mówić do rzeczy.



– A miałem inne wyjście? – zapytał, a po sekundzie namysłu dodał: – A jak ty go przesłuchałaś?

– Po pierwsze nie ja, bo to do mnie nie należy. Po drugie z nim w ogóle nikt nie gadał, bo to bez sensu. Facet ma dziury w pamięci, bredzi, majaczy i w dodatku naprowadzany pytaniami zaczyna wymyślać odpowiedzi, które chciałby usłyszeć ten, co pyta. To donikąd nie prowadzi.

– A jaka jest inna metoda?

– No przecież mówiłam, że on ciągle majaczy. Nękają go koszmary, rozmawia z kimś niewidzialnym, czasem gada z nieżyjącymi członkami załogi. Dość typowy rozpad osobowości.

– No i...?

– Założyliśmy podsłuch i nagrywamy wszystko. A odpowiedni ludzie spisują to i analizują. Jak człowiek mówi przez sen, to nie kłamie, prawda?

Kiwnął głową. No nieźle. Oczywiście miała rację, pod warunkiem, że nagrywany człowiek nie opowiadał po prostu swoich snów. Z tym że, trzeba przyznać, i ze snów fachowcy potrafią wyciągnąć wiele faktów. Sam znał tę metodę przesłuchań, choć na uczelni określano ją jako niezmiernie trudną.

– Nie tylko my zresztą słuchaliśmy, co on tam majaczy.

– Kto jeszcze? – poderwał się Tomaszewski.

– Chłopcy od generała Kawalca. – Wyszyńska spojrzała na komandora i uśmiechnęła się triumfująco. – Tylko że oni mają jeden zasadniczy problem.

– Jaki?

– Widzisz... Urządzenia do podsłuchu produkuje firma, w której rządzą inżynierowie tacy jak ja. – Znowu posłała mu porozumiewawczy uśmiech. – I w związku z tym wystarczy, że ktoś z naszych palcami pstryknie, i już Kawalec nie usłyszy tego, co by chciał usłyszeć, a czego nie powinien. Albo usłyszy coś zupełnie innego, co go daleko nie zaprowadzi. Przepraszam, że mówię obrazowo, a nie konkretnie, ale nie chcę się wdawać w techniczne szczegóły.

– Rozumiem.

– Mniejsza o Kawalca i jego niegrzecznych chłopczyków ze słuchawkami. Ślepy podróżnik najprawdopodobniej nie był w miejscach, które tak świetnie opisywał, i nie widział pomnika cesarzowej Achai!

Tomaszewski panował nad wyrazem twarzy. Z całą pewnością nie chciał teraz wyglądać na kogoś, kto jest podekscytowany w najwyższym stopniu.

– I wiesz to na podstawie bełkotu członka załogi „Gradienta”?

– Owszem. On był za Wielkim Lasem. Trudno powiedzieć gdzie, bo na podstawie majączeni nie sposób określić pozycji geograficznej. Tam egzystuje, tak, to najlepsze słowo, egzystuje pewien lud, który sam siebie nazywa „zesłańcami”, „posłańcami” czy jakoś tak. Żyją w czymś, co nasz człowiek określał mianem piekła. Tam zwykle powietrze powoduje oparzenia. Tam z powodu bezsenności popada się w szaleństwo. Mogłabym długo wymieniać różne straszne rzeczy, które mają tam miejsce. Niemniej przerażeni mieszkańcy tej posępnej krainy wyznają pewien rodzaj dziwnej religii. „Ten, który nie chce, żeby spali” nawiedza ich na jawie i robi z nimi jakieś straszne rzeczy.

– Kto to jest?

– No coś ty, Krzysiek. Przecież to tylko religia.

– A, no tak. Tak mi się powiedziało.

– W każdym razie, nie chcąc, żeby ten okropny potwór zaglądał im w oczy, nie mogąc spać, oślepiają się w religijnym szale.

– I sądzisz, że ten podróżnik sam się oślepił? Hm, to by miało jakiś sens.

– No właśnie. Dlaczego miałyby to robić dzikusy w Wielkim Lesie? Skoro już go złapali, trzymali za kratami i jeszcze napoili trucizną, która po ustaniu codziennych dawek powoduje śmierć, po co mieliby go jeszcze oślepić? I tak by nie uciekł.

– Mogli go oślepić, żeby nikomu nie zdradził... – Tomaszewski zawiesił głos, nie wiedząc, co chciał powiedzieć.

– Widzisz? – Wyszynska roześmiała się cicho. – To się kupy nie trzyma. Oślepić, żeby palcem nie pokazał czegoś na mapie? Przecież nie ma żadnych map.

– No to żeby takiej mapy nie narysował.

– Bzdura. Widziałam mapę, którą ty narysowałeś na podstawie opowieści Kai. Tę pierwszą z twojego raportu. No i co? Wyszkolonemu nawigatorowi wystarczy, że ktoś mu coś opowie. Gdyby Kai rysowała sama, wyszłyby jakieś bzdury.

Musiał przyznać jej rację.

– I co? I sądzisz, że wszystko wymyślił? Tych Anglosasów i ich żelazne okręty?

– Tego nie zmyślił – zaprzeczyła. – Gdzieś nauczył się kilku zdań po angielsku. To fakt, któremu nie zaprzeczemy.

– A te opowieści o przeogromnych budowlach?

– Nie zmyślił, moim zdaniem, gdzieś o tym przeczytał. Ale zwróć uwagę, że o ile był w stanie dużo nam powiedzieć o kraju, do którego posłaliśmy z misją Kai i Nuk, to o dalszej drodze generalnie nie powiedział nic.

– To fakt.

– Myślę więc, że na nasz kontynent on po prostu przypłynął.

– Sam? Przez ocean?

– Nie, przywieziono go statkiem i wysadzono na ląd. A dalej poszedł już sam, żeby nie budzić podejrzeń. – Wyszyńska westchnęła ciężko. – To zwykły szpieg, Krzyśku!

Tomaszewski zmełł przekleństwo. No tak! Ona mogła mieć rację. To by tłumaczyło, dlaczego tak mało usłyszał o drodze, którą tamten przebył. Dlaczego nieźle orientował się natomiast w sprawach cesarstwa. Dobrze go przygotowali. To szpieg! Wyszyńska miała rację.

– Wysadzili go po prostu w złym miejscu na brzegu – powiedziała. – Niefortunnie. Trafił w ręce tych sekciarzy, do krainy, którą nasz człowiek określił jako piekło i z której on sam wrócił nie do końca normalny. Tam go sekciarze najprawdopodobniej oślepiłi albo, nie wiem, odurzili czymś i sam to zrobił, ale on mimo to usiłował zbiec. I ruszył w stronę cesarstwa, wiedząc, że swoich w tym stanie już nie odnajdzie. Pech, że złapały go dzikusy.

– O jasny szlag!

– No!

Tomaszewski myślał intensywnie. No zaraz, ale jeśli to szpieg, to czemu powiedział o Anglosasach? – przyszło pytanie. Odpowiedział jednak sam sobie. Być może to była dla niego mało istotna kwestia. A być może cieszył się, że i tu są już „sojusznicy”. Cholera wie jak sytuacja przedstawia się w kraju, do którego wysłano Kai i Nuk. Cholerne baby nie odzywały się ciągle przez radio. A on dusi w sobie iskierki niepokoju, wiedząc, że w przypadku działań tych dwóch kobiet należy bezwzględnie przyjąć postawę filozoficzną. Maksimum spokoju.

– To wszystko brzmi rozsądnie – powiedział po dłuższej chwili. – Ale w takim razie ktoś jeszcze chce się dostać w okolice pomnika.

– Dziwi cię to?

– A mogłabyś mi wyjaśnić...?

– Akurat tutaj nie mogę, bo sama niewiele wiem, poza tym, że określono mi odpowiednie priorytety. A ja myślę, że nawet i moi dowódcy niewiele wiedzą, bardziej mają nadzieję dowiedzieć się po odkryciu pomnika. Ale dla nich to też priorytet, a przynajmniej taki był dla Osiatyńskiego.

Wyszyńska zamyśliła się, roztrząsając jakąś kwestię.

– Cholera, nie mam zielonego pojęcia, czego ten oślepiony podróżnik, który okazał się szpiegiem, mógł tam szukać.

– A ja się mogę domyślać.

Aż podskoczyła na swoim leżaku.

– Czego?

– Mogę się mylić, ale Siwecki z Meredithem odkryli w świątyni dzikusów w Banxi dziwną rzecz. Po pierwsze cała świątynia to jedno gigantyczne więzienie. A po drugie z Kong prowadziła do tej świątyni kamienna droga. Teraz, kiedy ją już odkryli, to przedłużenie tam drogi imperialnej odbędzie się błyskiem. Bo zamiast budowy nowej praktycznie można się ograniczyć do remontu starej.

– Nieprawdopodobne!

– A jednak. Siwecki dodatkowo skłonił Baranowskiego do szukania przedłużenia tej drogi sprzed paruset lat. Po drugiej stronie świątyni.

– I była?

– Tak. Dzięki uprzejmości majora Baranowskiego przeprowadzono tam prace. I znaleźli starą kamienną nawierzchnię pod cienką warstwą ziemi.

Wyszyńska rozmasowała sobie twarz.

– Jeżeli Baranowski w tym uczestniczy, to Kawalec wie o sprawie od samego początku. Przecież major wojsk lądowych musi pisać raporty.

– To jasne.

– A w takim razie kategorycznie musimy się dowiedzieć, co jest po drugiej stronie lasu.

– Kategorycznie! – Parsknął śmiechem. – I najlepiej bardzo szybko.

Wyszyńska należała do ludzi, którzy potrafią błyskawicznie podjąć decyzję. Błyskawicznie też potrafiła uspokoić emocje i wahania.

– Krzysiek, skoro łączy nas już prywatna umowa, to zrobię wszystko, żebyś się tam dostał. Razem ze mną oczywiście.

– A konkretnie, co zrobisz?

– Będziesz miał sprzęt, ludzi i zaopatrzenie na jedno skinięcie. Będziesz miał odpowiednie rozkazy i całe wsparcie. Wystarczy, że pstrykniesz palcami!

Tomaszewski poczuł, że właśnie Wyszyńska była kobietą, którą należało docenić. Poczuł też, dopiero teraz, że naprawdę można jej zaufać. Wspólnota interesów to jedno. A to, jakim była człowiekiem, to drugie. Bezwzględna baba, niewahająca się wręcz przed okrucieństwem w realizacji własnych planów, zdecydowanie jednak nie wyglądała na zdrajcę czy przeniwiercę. Były więc jednak pewne granice, których by nie przekroczyła. Przynajmniej miał takie wrażenie.

Wstał ze swojego leżaka i przysiadł na skraju drugiego. Nachylił się i lekko pocałował Wyszyńską w usta.

– I to w tobie lubię, Jadziu – celowo użył imienia, którego nie lubiła. – Jak seks, to seks, a jak umowa, to umowa. W gruncie rzeczy jesteś bardzo prostolinijna.

– Nie jestem prostolinijna! – Poderwała się, a on zaczął się śmiać, bo obudzenie w niej kobiecej przekory okazało się bardzo łatwe.

A od przekory do... do osiągnięcia jego następnego planu – droga już była bardzo bliska.



## Rozdział 9



**K**ai obudziła się gwałtownie, jakby ktoś nią potrząsnął. Ale nie. Fizycznie nic się nie stało. Miała po prostu błysk. Przez chwilę uspokajała się, usiłując opanować oddech. Drżącą ręką otarła pot z czoła, potem uniosła się na łokciach. Świt przeganiał właśnie nocny mrok, było mokro od rosy, zimno i nieprzyjemnie. Polskie koce czymś nasączono, woda i wilgoć nie miały dostępu do okrytej nimi Kai. Niestety, kilka chłopskich rodzin, tak zwanych wolnych najmitów, którzy poprzedniego wieczora przyłączyli się do ich ogniska, nie miało tyle szczęścia. Kobiety, które już krzątały się przy ogniu, wyglądały na przemarznięte do kości, a dzieci chlipały pod prowizorycznymi nakryciami. Klimat tutaj może nie był zabójczy i w dzień zimno nie dokuczało. Ale pogoda wyraźnie nie oszczędzała nikogo, kto chciał przespać noc, a nie był odpowiednio przygotowany.

Kai zerwała się energicznie z posłania, sądząc, że ruch ją rozgrzeje. Szarpnęła za swój koc i zaczęła trzepać nim w powietrzu, żeby pozbyć się kropelek wody. Usiłowała skupić się na zrozumieniu swojej wizji. Błyski stosunkowo rzadko zdarzają się we śnie. I dlatego są jeszcze gorsze w interpretacji niż te, które przychodzą za dnia, w chwilach, w których umysł jest w pełni skoncentrowany. Zaraz, zaraz... Co miała przed oczami? Krzyśka, który leży w łóżku z jakąś kobietą. Jaką? Wysoką, ładną, zdecydowaną. Tak, to Wyszyńska. Nie poczuła żadnych emocji. Dlaczego? Wyjaśnienie było proste. Jedyne mężczyzna, do którego miała zaufanie pod

względem znajomości kobiet, Rand, śmiał się w jej wizji. „I bardzo dobrze” – mówił. „I bardzo dobrze się stało. On właśnie zobaczył, co oferuje strona przeciwna. Techniczną doskonałość, wyrachowanie, zimną kalkulację i przypieczętowanie konkretnej umowy. Pod względem formalnym nic do zarzucenia. Ale to nie jest to, co kobieta może ofiarować. To zupełnie nie jest dotknięcie kobiecej tajemnicy. I bardzo dobrze się stało. Ty masz coś więcej”.

– Psiamać. – Nuk podniosła głowę, którą dotąd opierała o własny plecak. – Zimno, mokro, nieprzyjemnie. A ty z czego się śmiejesz?

– Taka już radosna się obudziłam. – Kai wzruszyła ramionami. – A uśmiecham się do własnych myśli.

– Wiedziałam, że... – Nuk zawiesiła głos, zdając sobie sprawę, że chciała użyć słowa „czarownice”. – Że takie jak ty są zupełnie porąbane.

– E tam.

– Co, dziewczyny? – Łysy szewc wychynął spod swojego koca. Mimo że jego okrycie było z grubszego materiału, mężczyzna w przeciwieństwie do nich wyglądał na przemoczzonego i przemarzniętego. – Już wstałyście?

– Ty też wstawaj. – Tryskająca energią Nuk złapała garnek, który wczoraj przed snem napełnili wodą. Teraz, żeby napić się czegoś ciepłego, nie trzeba było biec nad strumień. – Słuchaj, czy tą drogą przepędza się bydło?

– Nie. – Szewc obserwował z niechęcią, jak dziewczyny bez żadnego problemu umieszczają wielki gar na konstrukcji z kijów nad ogniem. – Jesteście nie do zdarcia. I to są te chwile, kiedy młodym a głupim zazdroścę ich młodości. – Skostniały ledwie gramolił się z barłogu. – W innych sytuacjach nie zazdroścę. Bo... Zaraz. Jakie krowy? Skąd tu krowy, do kroćset? Co ci przyszło do głowy?

Nuk uśmiechnęła się promiennie.

– Moje młode ciało czuje, że ziemia drży pod stopami.

– Nic nie drży.

– Ledwo, ledwo, ale jednak. – Oczywiście nie tłumaczyła mu, że jako żołnierz, weteran i zwiadowca była szczególnie wyczulona na wszystko, co dzieje się wokoło. – Więc albo zbliża się do nas stado krów, które wloką się noga za nogą, albo nadciąga jakiś wielki tłum.

– Jaki tłum? Tu nie ma żadnego tłumu. – Szewc wstał w końcu, ciągle jednak chwiejąc się niepewnie na nogach. – Może wojsko idzie?



– Nie. Wojsko maszeruje inaczej. Wojsko tupie, wojsko przecież jest ciężkie, bo ma swój sprzęt. Nie, nie, marsz wojska łatwo odróżnić od tłumu.

– To ja nie wiem, jakie ty wojsko widziałaś? – obruszył się szewc i sycząc z bólu od zastanych stawów, wyszedł na drogę i zaczął się rozglądać. – Nic nie idzie – zawyrokował po chwili.

– No przecież czuję. – Nuk potrząsnęła głową. – Tysiące ludzi. Jeśli to są ludzie.

Kai przyłożyła sobie dłonie do skroni. Za żadne skarby nie chciała używać zaklęć. Absolutnym priorytetem było, żeby się nie zdradzić. Ale przecież czarownice znają wiele metod koncentracji. Już po chwili mogła wskazać ręką kierunek.

– Idą stamtąd! I oboje macie rację. To wojsko idzie i zarazem tłum.

Szewc spojrział, gdzie pokazywała. Akurat pod wschodzące słońce. Oślonił oczy dłonią.

– A niech mnie czeluść pochłonie! Wojsko!

Szarpnął się w tył i byłby się przewrócił, gdyby nie Nuk, która doskoczyła w porę, żeby go podtrzymać.

– Wojsko! – krzyknął głośniejsz szewc. – Wozy ukryć w chaszczach!

Nuk zmarszczyła brwi. Nie zdążą. Konie były wyprzęgnięte na noc. A w trójkę nie dadzą rady.

Szewc podbiegł do chłopskich rodzin.

– Wojsko idzie!

– Oj, pomiłuj, panie! Pomiłuj nas biednych!

– Cicho! Pogódźcie się z tym, że wam wszystko zabiorą, Ale dam po cyniaku na głowę, tylko wozy pomóżcie przepchnąć!

Zapłata musiała być godziwa, bo wszyscy, łącznie z dziećmi, rzucili się do pomocy przy pchaniu. Wysiłkiem całej grupy udało się ruszyć pierwszy wóz. I to całkiem sprawnie.

Nuk zajęła się końmi, chcąc odprowadzić je znacznie dalej, żeby nikt nie usłyszał parskania.

– A nie lepiej, żebyśmy się wszyscy ukryli? – zapytała.

– Mała szansa, że będą las sprawdzać. Ale jak sprawdzą i znajdą nas, że się ukrywamy... – Szewc nie dokończył, robiąc wokół własnej szyi ruch, jakby się wieszał na niewidzialnej linie. – Szybciej, szybciej!

Drugi wóz odciągnięto z zasięgu wzroku ludzi, którzy nadciągali drogą. Udało się wszystko zamaskować gałęziami. Szewc zabrał dziewczynom

nawet koce i gdzieś schował, mówiąc, że szkoda ich, że są nowe. W zamian rzucił im jakieś podarte szmaty, jak sam powiedział: „na wszelki wypadek, gdyby mieli rabować”.

Przerażeni chłopcy zbili się w gromadkę przy drodze, kryjąc dzieci do środka. Szewc wyciął nożem spory kwadrat darni. W powstałej dziurze ukrył swoją sakiewkę, wrzucił też nóż i długo udeptywał.

Teraz już słyszeli zbliżających się ludzi. A po chwili zbita kolumna pokazała się na szczycie łagodnego wzgórza.

– No niezłe – mruknął szewc z przekąsem. – Armia dewastacyjna. To znak, że dostaliśmy na jakimś froncie w dupę.

– Jaka armia? – zainteresowała się Nuk. Wyteżęła wzrok i żadnego wojska w jej rozumieniu nie widziała. Owszem. Drogą szła masa ludzi, lecz trudno było mówić o szyku. Po prostu tłum. I to w dodatku nieuzbrojony. Przynajmniej w rozumieniu wojsk cesarskich, bo niektórzy z tych tutaj nieśli długie, zastrzone na końcu kije. Nikt jednak nie miał broni palnej. Nikt nawet nie miał niczego przy sobie, żadnego plecaka, manierki, sakwy czy choćby chlebaków. Nic. Żadnego elementu wyposażenia. Wyglądali jak łachmaniarze, w podartych ubraniach. Szary, nędzny i brudny tłum, który zamiast budzić grozę, ledwie słał się na nogach. – To ma być wojsko?

– Tak. Armia dewastacyjna.

Nie zdążył wyjaśnić nic więcej, ponieważ od kolumny maszerujących oderwał się pojedynczy jeździec i zbliżył się szybko. Wyglądał na oficera bardzo niskiej rangi.

– Ludu! – krzyknął niezbyt doniosłym głosem. – Słuchaj woli pana!

Chłopcy opuścili głowy, patrząc we własne stopy, szewc również. Jedyne Kai i Nuk stały jak cieleta, obserwując niecodziennego przybysza. Ten przynajmniej odziany był w coś, co można by uznać za lichy mundur. Ich opiekun wymierzył im szybko dwa kuksańce, więc posłusznie dołączyły do towarzystwa z opuszczonymi pokornie głowami.

– Ludu! Pan nasz, bóg i król oznajmia! Twierdza Tyr jest niegodna tego, by zdobywali ją nasi wspaniali żołnierze. Niech jej nędzni tak zwani obrońcy sczezną z głodu i wstydu. Nie okazali się godni pozostania naszymi przeciwnikami na polu walki. Niech więc zdychają jak zwierzęta.

Szewc, udając, że wyciera nos, zbliżył głowę do Kai i szepnął:

– Znaczy dostaliśmy wpierdol pod twierdzą Tyr i nie możemy jej zdobyć.

– Psy i szczury zamknięte w tak zwanej twierdzy Tyr niech zagryzają się wzajemnie ze wstydu. Nasz pan skierował bowiem na ich kraj dwie armie. Armie dewastacyjną i armie demoralizującą. I niech te nędzne psy teraz zobaczą, czy warto opierać się woli pana naszego.

– Cóż za wyrefinowany styl przemowy – kpił szeptem łysy szewc, osłaniając usta wielką chustką. – No dostaliśmy w dupę i już.

– Ludu! Pan nasz, bóg i król ogłasza wiadomość szczególnej wagi. W trakcie walk z wielokrotnie liczniejszymi oddziałami wroga zginął śmiercią bohatera wódz Linh, bezpośrednio skoligacony z rodziną pana naszego...

– O kurwa! – Szewc tym razem przestraszył się naprawdę.

– Nasz najukochańszy wódz przed śmiercią w ostatniej bitwie zabił własną ręką dwa tysiące sześciuset pięćdziesięciu dwóch przeciwników!

– Chwała! – Łysy szewc, przerażony do granic możliwości, wyrzucił do góry ręce i wykonał rytualny ukłon. – Chwała mu na wieki!

– Nawet najgorsi wrogowie rzewnymi łzami płakali na widok tego, jak ginie. – Oficer niskiej rangi najwyraźniej nie radził sobie z własnym językiem. Nie radził sobie także z logiką. Ale dla garstki chłopów przy drodze i trójki wędrownych handlarzy nie opłacało się wysłać kogoś bardziej biegłego w sztuce wymowy. – Kiedy zginął, z serc naszych żołnierzy wydobył się jęk. Wiedzieli jednak, że od ran zadanych w ostatniej bitwie przez wodza umarło potem jeszcze grubo ponad siedem tysięcy pięciuset trzydziestu wrogów!

Kai najwyższym wysiłkiem woli zaciskała szczęki, żeby się nie roześmiać. Kątem oka widziała, że ich opiekun, niestety, jest przestraszony nie na żarty. A kiedy oficer krzyknął: „Okażcie swój żal!”, bez namysłu padł na twarz i zaczął głośno płakać. Chłopi również runęli na ziemię, szlochając na wyścigi. Zerknęła na Nuk, ale ta nawet nie oddała spojrzenia. Jak wszyscy opadła na kolana, a potem na czworaka i zaczęła zawodzić, uderzając w „rozpaczy” dłońmi o ziemię. Chcąc nie chcąc Kai zrobiła to samo.

– Ojojjoj... – jęczała bez przekonania.

– Z życiem! – syknął szewc. – Z przekonaniem, głupia!

– O mamó! – Kai nie była dobrym aktorem. – Ojej! Oj, mamó, co za szkoda...

– Chcesz żyć, kretynko?!

Dopiero teraz czarownica dała z siebie wszystko. Zawodziła jak zawodowa płaczka, którą bogacze przyprowadzali na pogrzeby swoich bliskich. Poczucie debilizmu sytuacji przytłaczało Kai coraz bardziej. Co innego zawodowa aktorka, której za to płacą, albo wynajęta płaczka, czyniąca z lamentowania swój fach i sposób na życie. Ale przecież nie zwykli ludzie! Co to za cyrk? Co to za ośmieszanie się i robienie z siebie bałwanów? Nawet niewolnicy w dawnych latach tak się nie ponizali chyba!

Czuła się głupio jak nigdy. Zerkając na boki, zrozumiała, że jest w tym odczuciu odosobniona. Chłopskie rodziny wyły z takim oddaniem, jakby je na pal właśnie nabijano, jedno po drugim. Żołnierze idący drogą też jęczeli. Co za surrealistyczne widowisko. Wojacy zmierzający na wojnę beczeli jak dzieci. Co zresztą nie przeszkadzało kilku z nich odłączyć się na chwilę i obrabować żałobników przy drodze. Przydała się wymiana ich koców na podarte szmaty. Oj, przydała. A jakiś zagorzały bandzior wsunął nawet dłoń pod szaty Nuk, chcąc pewnie sprawdzić, czy sakiewki tam nie schowała, albo może pomacać po piersiach. Był to najgorszy z pomysłów w jego życiu. Sierżant złamała mu dwa palce i syknęła niczym wściekła kotka:

– Spierdalaj albo język wyrwę!

Odszedł wykrzywiony, ale rzeczywiście nie krzyczał.

Płacząc i lamentując, obserwowali przechodzące oddziały, a właściwie jedną wielką masę nierozróżnialnego, złachmanionego wojska, w ich rozumieniu bez broni.

Słońce stało już wysoko na niebie, kiedy lament szewca zaczął cichnąć. Wilgotna po nocy droga schła z każdą chwilą, a przechodzące oddziały wzbudzały coraz większy kurz. Nie było czym oddychać, żeby móc dalej płakać. Ale na szczęście też dzięki temu widoczność spadała coraz bardziej i leżący w pewnym oddaleniu od drogi byli mniej widoczni. Szewc miał ukrytą pod ubraniem manierkę. Teraz odważył się ją wyjąć i pociągnąć kilka łyków na oczyszczenie gardła. Podzielił się też dyskretnie z dziewczynami. Kai miała wrażenie, że dłużej nie wytrzyma. Sterceć pół dnia w debilnej pozycji na czworakach, lamentować i bić „z rozpacz” dłońmi o ziemię to było stanowczo za dużo. Nawet już wyklepała ręką mały dołek tuż przed twarzą. Co za bezsens. Nie sposób było w żaden sposób dostrzec, jak wiele wojska będzie jeszcze maszerować przed nimi. Musiała odwrócić uwagę od tego kretynizmu, bo bała się, że zwariuje.

– To mówisz, że to armia dewastacyjna? – zapytała szewca.

Łysy mężczyzna uznał, że są już mało widoczni i można względnie spokojnie porozmawiać.

– Tak. A teraz już widać, dlaczego ją wysłano.

– Dlaczego?

– Bo nie idzie nam na froncie. Nie potrafimy przełamać umocnień wroga, jak słyszałaś.

– A co to jest armia dewastacyjna? – do prowadzonej szeptem rozmowy włączyła się Nuk.

– Gdzie wyście się chowały, dziewczyny, że niczego nie wiecie?

– W Naher.

– A, no tak. To wiele wyjaśnia. – Szewc zamyślił się nagle. – A mnie to tak czasem przychodzi do głowy taka myśl: a może rzucić to wszystko i przenieść się do Naher?

– Póki co odpowiedz – ponaglała Kai.

– No dobrze, dobrze. Tylko przysuńcie się bliżej, żeby nikt nie usłyszał, że nie płaczemy po wodzu.

Kiedy spełniły polecenie, zaczęły opowiadać:

– Armia dewastacyjna zasadniczo nie jest uzbrojona w żadną broń. Bronią są jej żołnierze. A konkretnie, ich liczba oraz niski koszt utrzymania. Kiedy idzie nam bardzo źle, a przeciwnik zamknął się w fortecach, wtedy do boju wysyła się armię dewastacyjną. Żołnierzy głodzi się, nie dba o nich, nie ubiera. A kiedy są już wystarczająco zdesperowani, po prostu wypuszcza się ich na terytorium przeciwnika. A oni zżerają wszystko. Łącznie z korą drzew.

Trzeba przyznać, że tłumaczenie szewca zrobiło na Kai olbrzymie wrażenie. Tym bardziej że miała tuż przed sobą tych „żołnierzy”. Czuła, że są zdolni do zdzierania nawet kory z drzew. No i na sobie poczuła, że w tym kraju żaden debilizm nie spotka się z natychmiastową reakcją.

– I jak już oni wszystko ukradną, wszystko zjedzą, zniszczą, spałą i rozwalą, to przeciwnik zamknięty w twierdzach wie, że nie ma już czego bronić. Że jego twierdza znajduje się na pustyni.

– Ale chyba łatwo pacyfikować nieuzbrojonych ludzi, jak tych, co maszerują przed nami.

– A tak. Armia dewastacyjna jest narzędziem jednorazowego użytku. Z reguły wszyscy jej żołnierze giną. Z tym że już po zniszczeniu kraju, gdzie zostali wysłani. Albo w trakcie.

– Co za bezsens. Niemożliwe.

– U nas narodu dużo.

– No ale to niemożliwe tak wysyłać ludzi na pewną śmierć. W dodatku wygłodzonych i zdesperowanych.

– Przyznasz jednak, że to bardzo tania metoda, prawda? W nic nie inwestujesz przesadnie.

Kai nie mogła pogodzić się z tym, co usłyszała. Nie ona jedna. Nuk oparła czoło na nadgarstkach i nad czymś intensywnie myślała.

– Powiem wam coś jeszcze – ciągnął szewc, z rozbawieniem obserwując ich konfuzję. – Armia dewastacyjna jest rodzajem przywileju.

– Może być jeszcze gorzej?! – Nuk poderwała się zszokowana.

– Może, może. I uważaj, co robisz. Dalej przecież rozpaczamy po stracie wodza.

– Przepraszam. – Sierżant osunęła się z powrotem do pozycji „wklejemy w ziemię własne łzy”.

– Gorsza jest przecież armia demoralizująca – powiedział szewc.

– A co to takiego? – zapytała Kai.

– Zgodnie z nazwą. To armia, która ma zdemoralizować wojska przeciwnika.

– Przestań cedzić.

– Oj, są to żołnierze uzbrojeni mniej więcej jak ci tutaj. W zaostrzone kije, czasem mają proce i kamienie.

– Nie żartuj.

– Przemieszczają się w stronę przeciwnika, a kiedy go napotykają, dochodzi do bitwy. Te oddziały mają jednak własne zaopatrzenie, które podróżuje na wozach za nimi.

– I co jest na tych wozach?

– Alkohol i narkotyki. Te drugie służą do utrzymywania żołnierzy w stanie nałogowego półgłodu. A kiedy dochodzi do bitwy, dostają pełną dawkę, są pojeni alkoholem i wysyłani do boju.

– Toż wszyscy zginą! – Nuk nie mogła uwierzyć.

– O to chodzi. Wszyscy mają zginąć, bo po dawce narkotyku, którą dostali, i tak byliby potem niezdolni do życia. I wyobraź sobie, dziewczyno. Jesteś żołnierzem obcej armii. Stoisz w linii z karabinem w ręku. A tu na ciebie idzie fala za falą. Fala za falą, bo narodu u nas dużo! A ty strzelasz, kłujesz bagnietem i co? Powiedz, jak długo wytrzymasz, zabijając tysiące

ludzi idących na ciebie bez przerwy, fala za falą? Powiedz, na jak długo wystarczy ci amunicji? A na jak długo nerwów? Zapytaj siebie, kiedy rzucisz karabin i zaczniesz uciekać, żeby już nie uczestniczyć w tym koszmarze?

– O, ja cię pierdolę! – Nuk ukryła twarz w dłoniach i potrząsała głową. Po raz pierwszy też jako żałobnica po zabitym wodzu wyglądała bardzo przekonująco.

– Naprawdę nie zetknęłyście się nigdy dotąd z naszym wojskiem? – Szewc pokpiwał sobie z obu dziewczyn w najlepsze. – Odraza bierze się pewnie stąd, że dotąd opowiadałem o najgorszych rodzajach wojska. Opowiem więc o elitarnych. Na przykład armia opresyjna. Ta już jest bardzo przyzwoicie uzbrojona. I dodatkowo w swoich szeregach oprócz żołnierzy ma sędziów. Zająwszy tereny wroga, od razu sądzi tamtejszą ludność. „Za to, że byłeś poddanym obcego króla i jemu płaciłeś podatki, świnio, dostajesz wyrok dziesięciu lat ciężkich robót. Za to, że się nie zbuntowałeś przeciwko swoim władzom, jeszcze pięć. I to będzie z ogólną nawiązką za wrogość, w sumie dwadzieścia pięć lat ciężkich robót, z możliwością otrzymania bezzwrotnej przepustki na cmentarz, jak cię szlag trafi przed końcem wyroku”.

– No nie... – Kai po prostu nie mogła uwierzyć.

– A kto u nas pracuje? Więźniowie! No przecież mężczyźni werbuje się przymusowo do armii demoralizującej na przykład i tam sobie szybko giną. – Szewc uśmiechał się smutno. – No i dobrze, że nie pytacie, co z dziećmi posłanych na roboty wrogów. Przecież one do pracy niezdatne, nie zarobią nawet na jedzenie.

– To niemożliwe! – wyrwało się Kai. – Ludzie nie mogą postępować aż tak głupio.

– Ludzie nie mogą postępować głupio? – Zerknął na nią kpiącym wzrokiem. – To zamiast sterczeć przy drodze z wypiętym tyłkiem i pół już dnia udawać, że płaczesz, wstań i powiedz tym maszerującym, że masz zabitego wodza w dupie. – Roześmiał się cicho. – Przestań robić coś głupiego. Wstań i powiedz, że nie będziesz dalej udawała rozpacz.



Rosenblum czekał przy najlepiej położonym stoliku w... No właśnie, jak to nazwać? Już bowiem nie w karczmie, a jeszcze nie kawiarni. W

eleganckim lokalu z wyszynkiem i lekkimi potrawami. Zarezerwowany wcześniej stolik znajdował się na tarasie, z dala od innych, w cieniu drzewek rosnących w rozstawionych wokół donicach. Dodatkowymi atrakcjami były tu lekki wiatr od morza i wspaniały widok z góry na zatłoczoną statkami zatokę. Idealne miejsce do spotkań.

Rosenblum jednak, widząc Tomaszewskiego, który dźwigał wypchaną papierami aktówkę z glansowanej skóry, zrozumiał, że nie będą podziwiać wspaniałych widoków. Wstał szybko i oddali sobie honory, a potem podali ręce. Gospodarz osobiście pomógł nowemu gościowi przy krześle. Podstawił też specjalny zydeł, żeby można było położyć ciężką aktówkę.

– Czym mogę służyć panom oficerom? – zapytał w głębokim ukłonie.

– Lekkie śniadanie – zarządził Tomaszewski. – A na razie coś do picia. Najpierw musimy z kolegą porozmawiać.

– Rozumiem, usunę służbę z zasięgu słuchu.

Kiedy odszedł, Rosenblum spojrzał na komandora zdziwiony.

– Tu chcesz rozmawiać o poważnych sprawach? – zapytał. – Nie lepiej w bazie?

– Wyszyńska uprzedziła mnie, że w bazie wszystko może być na podsłuchu. I ona sama nie wie, kto kogo podsłuchuje oraz w jakiej kwestii.

– O Boże. Jakich czasów dożyliśmy...

– Prawda? – Tomaszewski położył na stole kilka eleganckich kopert. Większość z nich stanowiły te najdelikatniejsze, wykonane z satynowego papieru, które mogły zawierać co najwyżej kilka kartek maszynopisu. Tylko jedna była gruba, z tektury. Z ciężką zawartością.

Rosenblum powstrzymał się od uwag, w czasie kiedy gospodarz rozstawiał przed nimi kielichy z najcieńszego szkła i przygotował mieszalnik, w którym znajdowało się rozcieńczone, chłodne wino i pływające w nim owoce. Wykonał jeszcze jeden ukłon, a potem wycofał się, dając znak, że gdyby chcieli być obsłużeni, mają użyć zawieszzonego na specjalnym stojaku dzwonka.

Oficerowie przy stoliku nie zamierzali jednak w najbliższych chwilach z niego skorzystać. Tomaszewski otworzył pierwszą kopertę i wyjął z niej jedną jedyną kartkę.

– Przyszedł nareszcie meldunek radiowy od Kai i Nuk.

– Dzięki Bogu! – Rosenblum nie mówił o tym, ale zaczynał się już martwić. – Co im zajęło tak długo? Zdobycie wyczerpujących danych



wywiadowczych?

– Przeczytaj.

Komandor przebiegł oczami krótki tekst.

*Wylądowałyśmy szczęśliwie. Na początku zajęłyśmy się handlem butami. A potem przez cały dzień sterczałyśmy na klęczkach przy drodze i udawałyśmy, że płaczemy. Strasznie mnie bolą kolana. Poza tym nuda. Na razie nic się nie dzieje. Całusy, Kai i Nuk.*

Rosenblum zapowietrzył się nagle.

– Kur... Ja cię... no... do jas!... – nie mógł dokończyć żadnego ze słów.

Popatrzyli na siebie w milczeniu. Trwało to naprawdę długo. A potem obaj jak na komendę ryknęli śmiechem. Tak niespodziewanie i głośno, że przybiegł gospodarz z pytaniem, czy wszystko w porządku, a jeśli tak, to skoro tak im wesoło, to może przyśle grajka lub harfistę. Nie chcieli.

– Aleśmy, psiakrew, agentów wysłali!

– Jeśli im za handel butami wlepili dzień klęczenia, to co będzie, kiedy wezmą się za handel końmi?

– Nie wezmą się za konie, coś ty? Buty to co innego, rzecz miła kobiecie.

– No fakt. A jakby coś źle szło, toby nie kończyła słowem „całusy”.

– Coś w tym jest. A swoją drogą, ciekawe, o co im chodzi z tym handlem?

– Wiesz, bardziej się boję tego, co jeszcze nawywijają.

Tomaszewski skrupulatnie schował kartkę z pierwszym meldunkiem do koperty. To, co wyjął z drugiej, mogło im już raczej zepsuć humor.

– To jest zdjęcie jakiegoś wihajstra alpinistycznego. Jakaś Zatyczka rozporowa czy coś.

– Nie trudź się. Też nie mam o tym pojęcia.

– Znaleziona przy grobach zakonników na wysokości tysięcy metrów. Takich wihajstrów jednak, choć podobny do naszych, nie produkuje się już od kilkunastu, a nawet więcej lat. Oczywiście można takie kupić jeszcze gdzieś w małych, tanich sklepach z pomocami alpinistycznymi.

– Ale jeśli kogoś stać na wspinanie się po tej stronie Gór Pierścienia, to raczej nie kupuje sprzętu w tanich sklepach po naszej stronie – Rosenblum wpadł mu w słowo. – Ani na wyprzedazach, prawda?

– Właśnie.

– Stąd wniosek, że Anglosasi byli tutaj przed nami. Co najmniej kilkanaście lat wcześniej.

– To właśnie chciałem zasugerować.

Obaj oficerowie znowu mierzyli się wzrokiem. I znowu trwało to długo.

– No tośmy posłali te dwie ślicznotki w niezłe bagno – powiedział w końcu Rosenblum.

– Na to wygląda. – Tomaszewski otworzył trzecią kopertę i podał koledze gruby plik kartek. – Zapoznaj się z tym, ale tu, na miejscu, nigdzie nie zabieraj.

– To materiały od...

– Wyszyńskiej. Nauczka dla nas, jak w cwany sposób, wbrew lekarzom można było „przesłuchać” rozbitka z „Gradienta”. Ale... – Tomaszewski zawiesił głos. – Z tych materiałów wynika, że uwolniony przeze mnie ślepy podróżnik po prostu kłamał o swojej podróży do dziwnego miasta z monstrualnymi budowlami. Najwyraźniej nie widział też pomnika cesarzowej Achai. To po prostu szpieg.

– Czyj?

– Z Królestwa Nayer, czyli kraju, do którego wysłaliśmy Kai i Nuk.

– No to niezłe – mruknął Rosenblum posępnym głosem.

Potem ruchem ręki odpędził nachalnego gospodarza, który znowu usiłował im coś zaproponować. Szybko przerzucał kartki, przebiegając po nich wzrokiem.

– Z tych materiałów wynika... – I zachnął się nagle: – Jeśli z czyichś majaczeń może w ogóle cokolwiek wynikać.

– Nie krępuj się w snuciu przypuszczeń.

– Że tam gdzieś toczy się jakaś wojna. Między Nayer właśnie a krajem, gdzie... – Rosenblum spojrzał na Tomaszewskiego nic nierozumiejącym wzrokiem: – Gdzie są aparaty latające? – wypowiedział to jak pytanie.

Ten potwierdził skinieniem. Z kolejnej koperty wyjął zdjęcie modelu wykonanego przez inżynierów Barszczewskiego i Diona.

– Wszystko składa nam się powoli do kupy – powiedział.

– Z przewagą kupy – dodał Rosenblum.

Tomaszewski uśmiechnął się lekko.

– Może. W każdym razie taki aparat latający, a raczej jego resztki, opisał Kadir. Szczątki znaleziono w okolicach Kong.

– Mhm. Obie strony tak jakby zaczęły się interesować okolicami Banxi?

– A nie mają powodu? Plotki o naszym pobycie na tym kontynencie mogły się już rozprzestrzenić.

– To prawda. – Rosenblum przygryzł wargi. – Czy Bankierski Szlak nas tam zawiedzie?

Bankierskim Szlakiem nazywano tu po prostu spis szkół, które trzeba było ukończyć, i listę praktyk, które trzeba było odbyć, żeby zostać poważnym bankierem. Tylko wtajemniczeni jednak wiedzieli, że ta nazwa od czasu, kiedy do projektu włączył się bank Barucha, oznacza nową linię kolei żelaznej.

– Tak. Do rzeki Liu. I do Kong, a czy w bok, to dopiero trzeba sprawdzić.

– Czy Liu to nie imię księżniczki, która jeździ na rowerze, przypadkiem?

– Tu często powtarzają się nazwy. Czasem jedna rzecz z kolei ma ich kilka różnych. To między innymi efekt tego, że imiona własne składają się tylko z jednego członu, a nie z imienia i nazwiska jak u nas. Muszą się powtarzać.

Rosenblum oddał wszystkie kartki, które miał w rękach. Tomaszewski powoli i systematycznie zaczął wkładać je do odpowiednich kopert. Dopiero potem nalał nareszcie wina do dwóch wysokich kieliszków.

– Naszym absolutnym priorytetem jest więc sprawdzenie, co jest i co się dzieje za Wielkim Lasem w Banxi – powiedział Rosenblum cicho.

– Mhm – mruknął Tomaszewski.

– Polecisz tam?

– Mhm.

– A co zawiera ostatnia koperta?

Tomaszewski wziął do ręki ciężkie, sztywne opakowanie z grubej tektury i położył na środku stołu.

– Nie zaglądamy do niej tutaj.

Rosenblum przytaknął.

– Naszym największym obecnie problemem jest kret, zdrajca, wśród naszych ludzi. – Tomaszewski mówił teraz bardzo cicho. – Wiem, że muszę

polecieć i zobaczyć, co jest za Wielkim Lasem. Ciężko mi jednak zostawić sytuację zawieszoną i bez rozwiązania.

– Czyżby sen o niezastąpioności? – zakpił delikatnie Rosenblum.

– Wprost przeciwnie. – Tomaszewski wskazał leżącą pośrodku kopertę.

– Właśnie ciebie proszę o przysługę.

Napotkawszy pytający wzrok przyjaciela, kontynuował:

– W sprawę tego faceta zaangażowałem już i Tanera, i Randa. Ale widzisz, Rand teraz jest zajęty porządkowaniem własnej organizacji po swoim niespodziewanym zwycięstwie nad specsłużbami.

– I długo mu to zajmie.

– Właśnie. Możliwości są dwie. Albo chłopaki złapią go razem, ewentualnie dostarczą nam odpowiednich informacji, albo to im się nie uda. Jeśli się nie uda, to mamy przeciwko sobie dwie siły. Mocodawcę tego faceta i generała Kawalca.

Rosenblum potakująco skinął głową.

– Wiem, jak szybko rozwiązać tę kwestię. Jednak jeśli nie będzie mnie na miejscu, sprawy mogą przybrać niepożądany dla nas kierunek rozwoju. A w razie jakiejś wrogiej akcji mieć przeciwko sobie tego kogoś i generała Kawalca naraz nie jest dobrym rozwiązaniem. Skoro nie możemy więc nic zrobić przeciwko panu X, spróbujmy powstrzymać Kawalca.

– Jak?

– Jego główne chwilowo źródło to Chen i Lewandowski. Ale trzeba pamiętać, że Lewandowski to zwykły sierżant z zaopatrzenia. Nie przeciwnik dla nas.

– Bo?

– Opiera się na ludziach, których zwerbował Chen. Ale dam sobie rękę uciąć, że nie ma żadnego planu B. Żadnego kontaktu z ludźmi Chena, gdyby samego Chena zabrakło.

– Też mam takie wrażenie.

Tomaszewski, słysząc tę odpowiedź, uśmiechnął się szeroko.

– No i w związku z tym mam prośbę. Gdyby zaczęła się jakaś akcja przeciwko nam, coś, czego nie przewidzieliśmy, to... załatw Chena.

– Co jest w tej paczce? – ponowił pytanie Rosenblum.

– Nierejestrowany nigdzie pistolet, bez numerów fabrycznych, nigdzie niezapisany, nieistniejący w żadnej kartotece, za to z pełnym magazynkiem.

Gdyby co, włóż rękawiczki, zastrzel Chena, wyrzuć broń na miejscu zbrodni i oddal się w niewiadomym kierunku.

Tomaszewski z uwagą obserwował twarz starszego kolegi. Nie mógł opanować nerwowego przełknięcia śliny. A potem przeciwnie, zaschło mu w ustach.

– No ale może nic się nie stanie – powiedział, siląc się na uśmiech.

Rosenblum powoli, jakby leniwie, sięgnął po ciężką kopertę z tektury. Podniósł ją i położył sobie na kolanach.

– To co? Zamówimy nareszcie jakieś śniadanie, tak?



Oshee biegła całą noc. Poruszanie się po pustyni w dzień wydawało się niemożliwe. Słońce pewnie spaliłoby jej skórę, a nie miała niczego, czym mogłaby się okryć. Korzyść więc podwójna. W nocy słońce niestraszne, a ruch pozwalał się rozgrzać i mroźne w jej odczuciu podmuchy wiatru nie były tak uciążliwe. Nie wzięła jednak pod uwagę jednego czynnika. Nie wzięła pod uwagę tego, że jest jednak pewna granica ludzkiej wytrzymałości. Kiedy noc miała się już ku końcowi, nogi po prostu ugięły się pod nią. Runęła na piasek i w pierwszym odruchu chciała się jeszcze podnieść. Niestety. Zemdlała chwilę później.

Ocknęła się, kiedy słońce stało wysoko. Skóra paliła ją na całym lewym boku, a w głowie panował zamęt. Nie mogła za bardzo otworzyć oczu. Bukłak? Gdzie jest jej bukłak? Zaczęła macać rękami wokół. Był!

– Broni szuka!

Szarpnęła się, słysząc słowa wypowiedziane z obcym, ledwie zrozumiałym akcentem. Oczu jednak nie mogła otworzyć w dalszym ciągu. No to wszystko stracone! Zdała sobie sprawę, że jej misja zakończy się fiaskiem, dokładnie w chwili, kiedy usłyszała szcęk jakiegoś mechanizmu. No i co ze zwiadowcy, który co prawda dowiedział się tego, co mu kazano, ale nie zdołał wrócić i zameldować? Jaka jest jego przydatność?

– Broni szukała, psiakrew!

– Nie klnij po polsku.

– A co za różnica „psiakrew” czy „psiamać”? Znaczenie podobne.

– Uszy moje ranisz z samego rana. Już sobie w półśnie wyobrażałam, że jestem w domu, na urlopie...

– Nie śpij na siodle, bo zlecisz!

Głosy należały do kobiet. Pewnych siebie, sądząc z brzmienia, energicznych, władnych. Nie było w nich żadnego wahania. Dziwne. Kto mógł żyć na pustyni, tak daleko od jakichkolwiek ludzkich siedzib?

– Hej, Ban, podejdź do niej i kopnij mocno, żeby się przeturlała! Zobaczymy, czy czegoś nie ukrywa pod ciałem.

– Sama podejdź. A jak mnie dziabnie nożem?

– Tak! – do dyskusji dołączył ktoś trzeci. – Przestrzelmy jej kolana i będzie spokój.

– Nie okaleczajcie jej! Nie jesteśmy już strzelcami pustynnymi, a jak się sierżant, kurwa, dowie!...

– Pojebana baba. Nic nie jest po staremu.

Ktoś podszedł bliżej i niesamowicie twardym buciorem kopnął ją w bok. Oshee posłusznie przeturlała się na plecy, pokazując, że nie ma niczego ukrytego w dłoniach. Usiłowała otworzyć oczy. Niewiele z tego wyszło. Ledwie szparki, przez które widziała same sylwetki. Ta, która ją kopnęła, pochyliła się właśnie i podniosła jej bukłak.



– O, ja cię pierdolę! Ona ma tu jeszcze trochę wody. – Potrząsała bukłakiem energicznie. – Nie jest taka do końca zagubiona.

– Ma jeszcze wodę? Ban, jesteś pewna, że to nie siki?

– Chcesz spróbować, Sari? A może pani kapral łaskawie popróbuje?

– Szeregowo. Ocućcie ją!

Dziewczyna o imieniu Ban wyjęła zatyczkę z bukłaka i wylała resztę wody na twarz leżącej.

– No, jak masz na imię, kochanie? – zapytała grzecznie.

– Oshee.

Zarobiła potężny kopniak w brzuch.

– No to witaj na Złych Ziemiach, Oshee – roześmiała się tamta. – I zaraz się dowiesz, dlaczego te ziemie nazywają złymi.

Odpowiedział jej śmiech kilku innych dziewczyn. Dzięki wodzie Oshee mogła szerzej otworzyć oczy. Teraz dopiero zobaczyła swojego oprawcę. Dziewczyna miała na sobie przedziwny mundur w białe, żółte i brązowe ciapki. Szerokie spodnie, lekką bluzę, zasłonięte czarnymi płytkami oczy i czapkę z długim daszkiem. Była obwieszona ekwipunkiem. Paski, kabury, pokrowce, jakieś chusty, siatki, to wszystko tworzyło nierozróżnialny kłęb dziwnych kształtów. W rękach miała karabin z długą lufą, też niezwykle, takiego zwiadowca też jeszcze nigdzie nie widziała.

– Kim...? – Odkrztusiła z gardła coś, co je blokowało. – Kim jesteście? – odważyła się zapytać.

– A co? Nie widać? – Tamte znowu zaczęły się śmiać. – Wojsko Polskie, na twoje, psiamać, nieszczęście!

Lepszego ubawu chyba nie mogła im dostarczyć. Oshee dopiero teraz odważyła się ostrożnie rozejrzeć. Dziewczyn było pięć, wszystkie w obcych mundurach, wszystkie z karabinami o długich lufach. Cztery z nich siedziały na wielbłądach, jedna, Ban, stała tuż obok. Kto mógł operować na tych terenach, i to w dodatku tak dobrze wyposażony?

– Jesteście cesarskie? – zapytała nieśmiało.

– Eee... Patrz! – Ban kucnęła przy półnagiej dziewczynie. – Kumate babsko. Nie żadna dzikuska.

– Jesteśmy cesarskie z urodzenia, no i narodu – powiedziała jedna z dziewczyn, które siedziały na wielbłądach. – Ale zwerbowało nas Wojsko Polskie. Teraz służymy ludziom z żelaznych okrętów. Bo weterankom ze strzelców pustynnych świetnie płacą. Bogate będziemy!



– Tak, Sari. – Ban wyjęła z chlebaka metalowy, błyszczący walec i zaczęła odkręcać coś na jego końcu. – Będziesz bogata, jeśli cię tu nuda nie zabije. Bo po mojemu zdechniesz, zanim się wzbogacisz.

– Jaka nuda? Zaraz przecież wbijemy tę tu gołą na pal i wesoło będzie do wieczora!

Oshee zasłoniła się odruchowo. Przecież wcale nie była goła. Miała szeroki pas tkaniny przewiązany na pasku wokół bioder i opaskę na piersiach. Swój kombinezon rzeczywiście musiała zostawić w kryjówce, bo nie dało się w nim biec.

– Masz, pij. – Ban naląła czegoś do nakrętki walca, który okazał się sporym kubkiem. – Nawet zimne jeszcze.

Oshee przyjęła kubek i zbliżyła do ust. To nie woda! Zawartość pachniała bardzo dziwnie.

– Nie bój się, to sok jabłkowy, a nie trucizna. Przysyłają nam tu różne witaminy, żebyśmy skorbutu na pustyni nie dostali.

– Tia, w tym wojsku inne porządki niż w cesarskim – powiedziała Sari. – Pij, nie bój się. Zatruc się nie zdążysz, bo przecież gdy wbijemy na pal, to wszystko z ciebie wycieknie i trucizna nie zadziała.

Żartują, żartują, teraz już wiedziała. Wypiła słodkawy, orzeźwiający napój, tak zimny, że nie mogła sobie wyobrazić, jakim cudem można mieć coś o tej temperaturze na pustyni. Dla pewności jednak rozejrzała się, czy w pobliżu nie rośnie jakieś drzewo ani nie ma żadnego drąga, na który można by ją nabić. Na szczęście nie było.

– Chcesz coś zjeść?

Ban wyjęła z torby przypiętej do biodra jakiś błyszczący pakunek i zaczęła go odwijać. Zupełnie jakby był zawinięty w cieniutki metal. Nieprawdopodobne.

– Masz, to chleb z mięsem. Nie chcesz? Ja też tego syfu nie tykam, ale nam takie przysyłają. To ci posmakuje. – Wyjęła z kieszeni na udzie inne zawiniątko i znowu zaczęła odwijać, a właściwie zdzierać cieniuteńki metal. Bogowie, ile ona miała na sobie wyposażenia i wszelkich dóbr. Te wszystkie kieszenie, kabury, torby i pokrowce coś kryły. Obca żołnierz miała przy sobie jakieś niewyobrażalne zasoby pożywienia.

– To czekolada. Masz.

Oshee dopiero teraz zauważyła, że Ban ma na dłoniach rękawiczki bez palców. Ostrożnie przyjęła podawane przedmioty. Poczowała zapach. Głód

szarpnął nią tak silnie, że momentalnie zapomniała o strachu. Odgryzła wielki kawał brązowej tabliczki i zaczęła gorączkowo żuć. Bogowie! Czegoś takiego nie miała w ustach nigdy w życiu. Co za rozkosz. Tak, to właściwe słowo. Rozkosz! Zagryzła chlebem z mięsem. Żuła jak mogła najszybciej, dogryzając co chwila nowe porcje. Miała już policzki wypchane do granic możliwości.

Dziewczyny na wielbłądach wciąż się śmiały.

– Daj jej jeszcze kiszzonego ogórka i każ popić jogurtem – krzyknęła Sari. – To ją przesra dokumentnie!

– Nie kpij, nie kpij. Nigdy nie zagubiłaś się na pustyni?

– Na golasa? Nigdy!

Ale im dostarczyła rozrywki. Te wyposażone przez jakiegoś nieprawdopodobnie bogatego władcę dziewczyny chyba naprawdę miały ją za dzikuskę.

– Skąd jesteś? – zapytała Ban.

Oshee wskazała ręką kierunek, z którego przyszła. Spowodowała tym tylko nowy wybuch śmiechu.

– Dużo nam to powiedziało. No ale dobra, przeżuj wszystko, zanim się udławisz, i wstawaj. Zabieramy cię stąd.

Spojrzała pytająco, lecz Ban nie odpowiedziała. Palcem przesunęła daszek płóciennej rogatywki tak, żeby czapka zjechała na tył głowy.

– No wstawaj, mała!

Pomogła Oshee stanąć na nogach, a potem podprowadziła do swojego wielbłąda.

– Wsiadaj.

Zwierzę było ogromne, wspiąć się na siodło trudno. Ban zajęła miejsce z tyłu i zmusiła wielbłąda, żeby wstał. Gibnął się tak, że mała nie spadła. Oshee widziała już oczywiście te wierzchowce pustyni, ale nigdy sama na czymś takim nie jechała. Na szczęście siedząca za nią Ban złapała dziewczynę w locie.

– Aleś ty mała i lekka – powiedziała. – Widzę, że jesteś kobietą, ale wyglądasz jak dziecko.

Oshee milczała, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Wszyscy u was tacy mali?

I jak tu wyjaśnić? Nie chciała mówić, że nie wszyscy przecież, a jedynie ci, których rekrutowano do dalekiego zwiadu, elitarnej jednostki

wojskowej. Nie wiedziała, jak tu, ale na pewno gdzie indziej powiedzenie tego mogłoby skończyć się wyrokiem śmierci.

– Wcale nie jestem mała – powiedziała ostrożnie. – To ty jesteś duża.

– Ja? Chyba żarty robisz. Dużi to są Polacy.

– Ta – mruknęła jadąca obok Sari. – Wielkoludy pieprzone.

– Jak to? – odważyła się spytać Oshee. – Jesteście Polakami czy nie?

– Polkami – poprawiła ją Ban. – Już ci mówiłam, służymy w Wojsku Polskim, więc słuchamy ich rozkazów. Ale my ze strzelców pustynnych. Weteranki, doświadczone na pustyni. To nas z pocałowaniem ręki do służby zwerbowali. I płacą jak udziałowym księżniczkom. Ale służba taka sama i tu, i u cesarskich.

– Akurat taka sama – obruszyła się Sari. – Jedzenia i zaopatrzenia potąd. – Przesunęła sobie dłonią nad głową. – Mundury porządne. I broń się nie zacina.

– To fakt. Te karabiny się nie zacinają. No i możesz strzelać do tego, co po prostu widzisz. Bez względu na odległość.

Obie obce dziewczyny wdały się w dyskusję o wyższości karabinu z lunetą nad pistoletem maszynowym na pustyni. Tu warunki inne niż w lesie, cel widać z daleka. Karabin snajperski jest powolny w strzelaniu, ale tak celny i dalekosiężny, że nikt nie zdoła nawet podejść, żeby strzelić samemu.

Oshee niewiele rozumiała. Z zaciekawieniem przyglądała się dziwnemu wzgórzcu, ku któremu zmierzali. Wzgórze wydawało się sztucznym nasypem. Było zbyt regularne i ciągnęło się w idealnie prostej linii od prawa do lewa. Tylko komu i do czego był potrzebny taki nasyp?

– Jak chcesz zobaczyć prawdziwą Polkę, to zaraz twoje życzenie się spełni – Ban skończyła najwyraźniej dyskusję o broni i powróciła do rozmowy ze swoim jeńcem. – Nasza sierżant jest Polką.

– Akurat! – parsknęła Sari. – To chyba na tej zasadzie, na jakiej ja jestem cesarzową.

– Nie gadaj. Ma ich paszport, ma męża Polaka.

– No i tylko dlatego mianowali ją sierżantem i teraz rządzi terenem na wieleset kilometrów dookoła.

– To dużo? – odważyła się zapytać Oshee.

– Kilometr to tysiąc kroków – wyjaśniła Sari. – To znaczy moich kroków na ten przykład, a nie twoich, dzieciaku.

– Nie gadajcie na sierżant, baby – odezwała się milcząca dotąd dziewczyna z naszymi kapralem. – Weteranka jak my. I to z doliny Sait.

– Tak. Ale z piechoty! I to z korpusu, który cały zabito. A strzelców pustynnych nigdy nie pokonano. – Ban poklepała kolbę swojego karabinu snajperskiego. – A teraz to już nawet po prostu niemożliwe.

– Zawistnice! – skwitowała tę wypowiedź kapral. – A nie przychodzi wam do głowy, że Polacy po prostu zupełnie nie mają już ludzi? Przyjmują każdą weterankę na tyle kumatą, żeby zdała egzamin. A jak same wiecie, trzeba być strasznym matosem, żeby go nie zdać.

Ban zaczęła chichotać.

– I dzięki temu po raz pierwszy w historii Wojsko Polskie składa się z samych bab!

– Przynajmniej tutaj – zawtórowała jej Sari.

Wielbłądy dotarły na szczyt wzgórza i Oshee doznała szoku. Na nasypie ułożono dwie sztaby metalu niewiarygodnej wprost długości. Przymocowane do drewnianych, równo ociosanych bali, ciągnęły się w jedną i w drugą stronę, aż nikły po prostu w jakiejś szalonej perspektywie. Bogowie! Kto był na tyle bogaty, żeby ułożyć sobie ot tak tyle żelaza na pustyni?! Nie mogła uwierzyć w to, co widzi.

– Po to przysłaś? – zapytała Ban. – To chciałaś zobaczyć?

Wielbłądy przekroczyły nasyp i przedostały się na szeroką kamienną drogę. Sądząc po stanie nawierzchni, droga była nowiuteńka. Mały oddział skręcił w prawo i powoli ruszył w stronę drewnianych wież strażniczych.

– Pamiętaj, szpiegu. – Ban dotknęła ramienia Oshee. – Jeśli chcesz podejść do naszej bazy, musisz iść drogą. Wokół na piasku są pola minowe. Nadepniesz na ukrytą minę i polecisz do swoich Bogów zdać raport. Ale nie od razu. Urwie ci nogi albo ręce, twarz porani i będziesz długo zdychać. Mniej więcej w tej odległości od pierwszych umocnień musisz już wejść na drogę i iść tak, żeby warty cię widziały. Rozumiesz?

– Uważasz mnie za szpiega i mówisz mi takie rzeczy? Zaraz mnie zabijecie, tak?

– Nie zdałabyś polskiego egzaminu. Popełniłaś błąd logiczny.

Oshee wykręciła głowę i spojrzała na tamtą zdziwiona.

– Dłaczego?

– A po co wyjaśniać cokolwiek komuś, kto ma być zaraz zabity? Mogłabym ci oczywiście coś mówić, żeby cię na przykład poniżyć przed

śmiercią. Ale czy czujesz się poniżona moimi wyjaśnieniami?

Oshee uśmiechnęła się po raz pierwszy tego dnia. Nieźle zarazy wyszkolone. Inteligentne bestie na tych wielbłądach. Teraz uwierzyła, że dziewczyny wybrane z szeregów strzelców pustynnych należały do elity.

– Przepraszam – mruknęła. – Nie mam dziś najlepszego refleksu.

– O? – zdziwiła się Ban. – Nie jesteś taką dzikuską, na jaką wyglądasz.

Oshee nie odpowiedziała, obserwując rząd drewnianych słupów obok drogi, spiętych jakimś drutem. Bała się zapytać, co to jest. Powoli zbliżali się do pierwszych umocnień. Ze zdziwieniem zobaczyła, że składają się z worków wypełnionych piaskiem, ułożonych jeden na drugim. Przedziwne rozwiązanie, jakiego nigdy dotąd nie widziała. Czuła pewien podziw dla jego prostoty. No i taniości, która była nieporównywalna chyba z niczym innym.

Za umocnieniami jednak żołnierze nie wystawili posterunków. Zresztą po co mieliby tkwić tu w upale? Wartownicy na wysokich wieżach widzieli przecież wszystko, co mogłoby im zagrażać. Sam fort nie był zbyt okazały. Poza stanowiskami obronnymi składał się z dużych magazynów, koszar i drewnianego budynku pomiędzy kamienną drogą a nasypem, na którym leżały dwie żelazne sztaby. Nad budynkiem widniał wielki napis, którego znaczenia nie mogła odgadnąć.

Ban zauważyła, że Oshee patrzy w stronę tablicy.

– Zsiadamy.

Wielbłądy zatrzymały się przed wejściem do drewnianego budynku. Sprawnie zaczęły klękać, a Oshee znowu o mało nie poleciała na ziemię przez łeb zwierzęcia, które ją wiozło. Na szczęście Ban chwyciła ją za ramię i sprawnie postawiła na ziemi.

– Chodź z nami – powiedziała. – I nie bój się. Sierżant nie je dzikusów na obiad.

Cała grupka wspięła się po drewnianych schodach. Sari otworzyła drzwi i weszła pierwsza do dużego pomieszczenia stacji. O dziwo, w środku było trochę chłodniej niż na zewnątrz. Pod sufitem poruszało się kilka dziwnych śmigieł.

– A co to ma znaczyć?!

Zza ażurowego przepierzenia wyszła do nich młoda, pewna siebie kobieta. Nie była zbyt ładna, ale pociągła twarz mówiła, że z całą pewnością nie brakuje jej charakteru. Miała na sobie nie zwykły maskujący

mundur jak pozostałe dziewczyny, ale elegancką marynarkę ze złocistymi naszywkami na rękawach i spódnicę do kolan. Elegancki pas miał koalicijkę, a skórzaną kaburę kryjącą pistolet wypastowano na połysk. Pantofle zamiast wojskowych buciorów, pomalowane na czerwono usta i takiegoż koloru paznokcie robiły wrażenie. Oczy podkreśliła głębokim cieniem, a szyję omotała elegancką, zwiewną chustą. Widać było, że to władczyni, pod której rozkazami jest teren ciągnący się na wieleset kilometrów wokół. Oshee pochyliła głowę w geście pełnym szacunku.

– Pani sierżant, chciałyśmy zameldować... – zaczęła kapral, ale nie dane jej było dokończyć.

– Milcz! – Sierżant prawie nie podnosiła głosu. Tak jak cesarzowa chyba. Czuć było styl wielkiej władzy. – Nie odzywałyście się od prawie doby, głupie siksy!

– Bo nam się lampa w radiostacji stłukła.

– Jak to stłukła? Coście z radiostacją robiły?

– No się wytrzęsła na wielbłądzie i lampa w niej pękła.

– Pewnie na słońcu była i się nagrzała! Tyle razy mówiłam, żeby nie trzymać środków łączności pod palącym słońcem! Tyle razy!

– Ale...

– Żadne ale! Przez całą dobę nie dałyście znać, że żyjecie. Już chciałam wiatrakowiec wezwać, żeby go posłać za wami, głupie dupy! Ja mam tu, kurwa, polski regulamin! I muszę się go trzymać!

Wyćwiczony umysł zwiadowcy, jakim dysponowała Oshee, notował fakty: oni mogą wezwać jakieś wsparcie, które może pomóc wysuniętemu oddziałowi w ciągu jednej doby. Szybko, psiamać! I jakim cudem?

Drgnęła, kiedy wzrok władczyni spoczął na niej.

– Kto to jest?

– Dzika jakaś – odparła Ban.

– Czemu goła?

– Nie wiem.

– Przecież nawet dzikusy nie łążą w tym słońcu na golasa. Miała jakąś broń?

– To miała. – Ban podała pani sierżant bukłak zwiadowcy. Ta przyglądała się przedmiotowi z uwagą.

– Na pewno nie cesarskie ani polskie. To także nie gówno, które mogliby wydzierać dzicy z niewyprawionych skór.

– Tak jest! A poza tym ona jest dość kumata, pani sierżant.

Władczyni podniosła swój badawczy wzrok.

– Jak masz na imię? – zapytała cicho.

– Oshee, wielka pani!

– Mores zna – powiedziała Sari. – To nie dzikuska, którą na przespiegi przysłał jakiś kacyk albo szaman.

– Dobra, dobra. – Sierżant chciała sama sprawdzić. – Skąd jesteś?

– Stamtąd. – Qshee natychmiast pokazała kierunek, skąd przyszła.

– Nie bądź taka sprytna. – Sierżant cofnęła się pod ścianę i wzięła do ręki tyczkę mierniczą. Podeszła bliżej i podała ją dziewczynie. – Przytknij do tego czoło i okręć się wokół niej parę razy – powiedziała wesoło. A kiedy Oshee skończyła się kręcić, powtórzyła pytanie: – Skąd przysłaś?

– Stamtąd. – Zwiadowca wyciągnęła rękę dokładnie w tę samą stronę co poprzednio. Trochę oczywiście kręciło jej się w głowie, ale nie miało to żadnego wpływu na jej orientację w przestrzeni. Była zbyt doświadczona, żeby ją zdezorientować taką dziecinną sztuczką.

Ban gwizdnęła cicho, ale z dużym podziwem.

– Dobra jest.

– A może wymienisz jakąś nazwę geograficzną? – zapytała sierżant. – Skąd pochodzisz?

– Z Nayer, wielka pani – skłamała natychmiast.

– A gdzie to, do zarazy, jest?

Zwiadowca się nie dziwi, zwiadowca nie wyraża swojego zdania ani opinii, zwiadowca może jedynie notować fakty w pamięci, żeby przekazać wszystko dowódcy. Toteż na twarzy Oshee nie ukazał się nawet cień niebotycznego zdziwienia. Kobiety, które ją otaczały, najwyraźniej nie miały pojęcia, gdzie jest Nayer. A to rodziło w głowie fundamentalne pytania o los całej jej cywilizacji. Ale zwiadowca nie jest od udzielania odpowiedzi na żadne pytania. Ma dostarczyć swoją wiedzę tym, którzy ją wysłali. Teraz jednak dziewczyna zaczęła się modlić. Żeby tylko opatrność pozwoliła jej wrócić i zameldować. To, czego się dowiedziała, mogło stanowić o życiu lub śmierci jej kultury.

– Nie chcesz powiedzieć, to nie mów. – Sierżant wzruszyła ramionami.

– A ty, Sari, wyślij swoją radiostację do warsztatów najbliższym pociągiem.

– Mogłabym sama wymienić lampę, gdybym tylko miała...

– Ty już mi wymieniłaś koło w łaziku. A kiedy odpadło na wydmie, to przez ciebie musiałam iść w upale sześć kilometrów na piechotę.

– Oj, bo to te śruby takie dziwne jakies... Nie jak gwoździe u kowala.

– Aha, to ty zerwałaś gwinty, waląc w śruby młotkiem? – Sierżant uniosła brwi w zdziwieniu. – Lamy, zapewniam, jeszcze bardziej dziwne. Odeślij radiostację najbliższym pociągiem. I tylko nie do kowala, proszę.

– Tak jest!

Sierżant objęła Oshee ramieniem i pociągnęła za sobą.

– No i widzisz, z kim ja się muszę użerać na tym zesłaniu – westchnęła.  
– Te dziewczyny ze strzelców pustynnych są takie półdzikie.

No tak, tak. Nie ma to, jak kiedy już na wstępie podkreśli się własną wyższość i obycie w szerokim świecie. A najłatwiej to się robi w porównaniu z czyjąś zaściankowością.

Krętymi schodami weszły piętro wyżej, na ocieniony płóciennym dachem taras nad stacją. Było tu znacznie chłodniej. Normalne zjawisko na pustyni: im wyżej, tym zimniej. Każdy doświadczony zwiadowca wie dobrze: chcąc przeżyć na rozpalonych piaskach, nie odpoczywa się w głębokim cieniu pod skałą, tylko pod osłoną nawet szmaty, ale na wysokim wzniesieniu. To temperatura zabija, nie słońce.

Żołnierze z patrolu zostały na dole. Tylko Ban ze swoim karabinem o długiej lufie towarzyszyła im w charakterze ochrony dowódcy.

– Nie przedstawiłam ci się. – Sierżant podeszła do lśniącego mosiądzem, podłużnego kształtu przymocowanego do specjalnego trójnogu. – Na imię mi Maii. Przyjechałam na to zesłanie, o dziwo, z własnej woli, bo od razu mnie awansowali do stopnia sierżanta.

Czyżby to miało znaczyć, że przedtem była szeregową? Tym przybyszom aż tak brakowało własnych ludzi? Niesamowite.

– Tak, tak, ja też nie sądziłam, że przyjdzie mi w życiu rządzić obszarem wielkości małego państwa, na którego terenie niczego jednak nie ma. Poza olejem skalnym w dużych ilościach. Za to kiedy odsłużę swoje, to wracam w stopniu chorążego na etacie porucznikowskim. Ot co! – Sierżant podniosła palec, podkreślając wagę tej informacji. – Willę sobie chcemy z mężem wybudować nad morzem. Do Polski chyba nie wracamy. Tu większe możliwości.

Oshee nie komentowała. Choć miała wrażenie, że kobieta w eleganckim mundurze w tej jakiejś prawdziwej Polsce nigdy nie była. W każdym razie



na pewno nudziło jej się tu potwornie, skoro przygodnemu zwiadowcy opowiadała takie rzeczy. No tak, ale obcy zwiadowca jest chyba jedynym człowiekiem, który każdej informacji wysłucha z niesłabnącą uwagą. Taki, słowem, słuchacz idealny. I wyzalić się można, i ponarzekać, a on cienia znudzenia przecież nigdy nie okaże. To akurat rozumiała.

– No i widzisz – ciągnęła Maii. – Człowiek w tym zapomnianym garnizonie świruje z nudów, musi gadać albo z dziewczynami, które młotkiem radiostację naprawiają, albo z takimi jak ty koczownikami, którzy ani be, ani me. Choć na inteligentną wyglądasz i nie wiem, dlaczego głupola chcesz udawać. Ale twoja wola, mam to w dupie. Muszę powtórzyć tylko to, co wszystkim szpiegom mówię. I nie bój się, wszystkich wypuszczam, żeby wieści do swoich wodzów zanieśli.

Oshee wciąż zachowywała kamienny wyraz twarzy. Zwiadowca nie okazuje emocji. Wystarczy, że wszystko zapamięta.

– Sytuacja wygląda tak. – Maii uśmiechnęła się smutno. – Wiemy, jakie legendy krążą o nas wśród koczowniczych plemion. Wiemy, co myślą o szynach kolejowych i elektrycznych izolatorach, które widzą na słupach. I wiemy też, o jakie niezmierzone bogactwa nas podejrzewają. To wszystko prawda. Jest tylko jedno „ale”.

– Ale? – Oshee w pierwszej chwili nie zrozumiała.

– Ale to wszystko jest nie do wzięcia – uśmiechnęła się sierżant. – Z tym że wolimy z koczownikami pójść na układ, niż zabić was wszystkich.

Stojąca z boku Ban poklepała znacząco swój karabin, którego kolbę oparła o wysunięte na bok biodro.

– Bo tak się sprawy mają: wiem, że porcelanowe izolatory na słupach są strasznie fajne i przydatne do wyrobu miliona niezwykle pięknych rzeczy, ale jak mi ktoś choć jeden słup zwali, to każę zamordować całe plemię. Potraktuj mnie poważnie. Tuż pod każdym słupem rozsypujemy dla was porcelanową stłuczkę, możecie brać, ile chcecie. A jak zabraknie, to przyjdźcie do nas. Damy stłuczki, ile zdołacie unieść! Ale za zwalony słup każę połączyć z powietrza napalmem! Ty w ogóle wiesz, co to jest napalm?

– Nie, wielka pani.

Maii zamyśliła się na moment.

– Służyłam kiedyś w korpusie, który wkroczył do Wielkiego Lasu w dolinie Sait. Potwory, które tam żyły, zabiły cały korpus. Cały! A potem wystarczyła jedna głupia bitwa z RP, która skończyła się tym, że zrzucono

na nie napalm z powietrza. I wszystkie groźne potwory spłonęły w jednej chwili. Napalm przykleja się do ciała. Nie można go zgasić, nie można odkleić, nie można nic poradzić. Człowiek płonie powoli, warstwa po warstwie, aż do kości. Rozumiesz?

Oshee przytaknęła.

– Lepiej więc nie narażać się na to. Bierzcie stłuczkę, nie walcie słupów. Nie tykajcie szyn. Chcecie żelaza? Chcecie blachy? Nie ma sprawy, po doświadczeniach w Kong już wiemy, jak to rozwiązać. Tam jest śmietnik. – Sierżant wskazała miejsce, gdzie znajdował się wielki dół wypełniony odpadkami. – I tam jest wszystko. Puszki po konserwach, farbie, smarach, oleju, kanistry, wiadra, beczki, stare gwoździe, nakrętki, drut i cała masa metalu w najlepszym gatunku, gotowego do użycia. Wszystko, co się nam popsuło albo jest niepotrzebne, znajduje się tam i możecie sobie to zabrać. Za darmo, w dowolnej ilości, kiedy chcecie. Całe to niezmierzone bogactwo możecie sobie brać w każdej chwili. Ale jeśli tkniecie mi choć jeden słup albo jedną szynę... Każę zabić was wszystkich. Zrozumiałas?

– Tak, wielka pani.

– Układ uczciwy. A nawet powiem, że jeśli was głód przyciśnie albo jakieś nieszczęście się wydarzy, to wam damy trochę żarcia na przetrwanie. Przyjdźcie i poproście, a na pewno coś dostaniecie. My też jesteśmy ludźmi i warto z nami gadać. Rozmawiać, nie kraść. Jeśli przyjdziecie w dzień, drogą i bez broni, dogadamy się. Z pustymi rękami nie odejdziecie. Ale jakby wam przyszła myśl o rabunku nocą...

Maii zawiesiła głos w znaczącym niedopowiedzeniu.

– Nie radzę nocą przez pustynię. Tam pola minowe, zasieki i to. – Ujęła dłoń Oshee i położyła na rękojeściach podłużnego przedmiotu na wielkim trójnogu. – To zwykły karabin. A raczej nie taki zwykły. O, tu jest chłodnica z wodą, tu pokrywa zamka, tu pojemnik, który zawiera taśmę z amunicją. Strzel sobie, co?

– Słucham?

– No strzel sobie. Tu jest spust, naciśnij i trzymaj, trzymaj, trzymaj. Nie puszczaj.

Oshee, skołowana natłokiem informacji, nacisnęła spust do oporu. Karabin zaczął huczeć ogłuszająco, wstrząsając masywnym trójnogiem. Broń palna nie była jej obca, spodziewała się wystrzału, ale to?! On strzelał

bez przerwy! Przez cały czas! Jednostajnie! Widziała gejzery piasku gdzieś daleko na wydmach, ogłuszający ryk paraliżował wszystko wokół.

– No dalej! Dalej! – krzyczała Maii. – Nie wyczerpie się!

Tego uczucia nie można było z niczym porównać. Nieprawdopodobna moc znalazła się w rękach zwiadowcy. Moc ludzi? Moc Bogów? Piorunująca wszechwładza?

Musiała trafić w tę jakąś minę, bo na pagórku w oddali coś eksplodowało nagle, wyrzucając w górę zwały ziemi. Odskoczyła do tyłu przestraszona. W dzwoniącej w uszach ciszy sierżant znowu położyła jej dłoń na ramieniu. Przyciągnęła do siebie, przytuliła.

– No i co? Chciałabyś atakować nasze pozycje, brnąć przez pole minowe i zasieki wprost na to metalowe bydło strzelające bez końca? Chciałabyś poznać to uczucie?

– Nie!

– To powtórz swojemu kacykowi, że jeśli przyjdzie drogą za dnia, bez broni, to się dogadamy. Dużo dobra od nas wyniesie. Ale jak mi zwali choć jeden słup telegraficzny, to zabiję jego, jego żonę, jego dzieci i wszystkich krewnych. Spalę całe koczownicze plemię! I powtórz mu, że napalmu nie da się zgasić i nie można go odkleić od ciała. Zrozumiałaś?

– Tak, wielka pani.

– I powiedz mu jeszcze, że mogę kazać przywieźć tu błyskawicznie wojsko pociągiem. A pociąg jest jeszcze gorszy. On ryczy, robiąc takie „Uuuu!”. – Sierżant w teatralnym geście uniosła groźnie rękę. – Albo gwizdże tak, że ludzie głuchną na zawsze!

Stojąca obok Ban skrzywiła się lekko. Potem zrobiła minę w stylu: „Ona już wystarczająco nastraszona”.

Zwiadowca nie jest od okazywania uczuć ani jakichkolwiek emocji. Ale jeżeli ktoś chce, żeby się bał, to czemu nie. Można na pokaz okazać i strach, i przerażenie. Zwiadowca nie ma honoru. Jak każą lizać stopy i błagać o litość, to będzie lizał i błagał. Celem jego życia jest dostarczenie zdobytych informacji, a to, czego Oshee dowiedziała się teraz, było na wagę życia i śmierci. I za to można było zapłacić każdą cenę. A ci tutaj chcieli tylko, żeby się bała. Więc się bała. Cała dygotała nawet, usiłując tylko nie przesadzić z nadmierną ekspresją.

– No dobra. – Maii westchnęła ciężko, widząc, że cel został osiągnięty. – Więcej ci nie mówię, bo nie zapamiętasz.

Podniosła głowę.

– Ban, dajcie jej coś do zjedzenia i wodę. A potem odwieź ją trochę, gdzie będzie chciała.

– Dobra. A mogę wziąć łazik?

– Bierz. Tylko nie majstruj młotkiem przy śrubach.

– Gdzie tam, od tego Sari jest przecież.

Ban chwyciła Oshee za rękę i podprowadziła do krętych schodów.

– Na dół – rozkazała.

Piętro niżej nie było już żołnierzy z patrolu. Pewnie poszli odpoczywać, jedynie Ban miała jeszcze zadanie do wykonania. Zdjęła z haka sporą płócienną torbę i podała zwiadowcy.

– Masz tu trochę jedzenia i wodę. A poza tym sznury koralu dla waszych kobiet, świecidełka dla wodza i jego kumpli i różne tam takie paciorki z błyskotkami. Powinno się waszym spodobać.

Oshee posłusznie przyjęła torbę. Niestety, i tak będzie ją musiała zostawić na wydmach. Choć może i dobrze. Wątpiła, żeby paciorki i koraliki znalazły uznanie w dowództwie dalekiego zwiadu. Chociaż znając niektóre baby stamtąd... kto wie?

– Chcesz coś jeszcze? Jakąś pamiątkę? Cokolwiek, co nastroi cię do nas przyjaźnie?

– Ja wiem, że jesteście przyjazne, wielka pani – powiedziała.

Oshee doceniała starania. Lecz w duchu i tak wiedziała, że pokaz możliwości metalowego bydlaka piętro wyżej, i to dokonany własnymi rękami, był bardziej przekonujący od jakichkolwiek koralików i świecidełek.

Wyszły na zewnątrz i ruszyły wzdłuż niewielkiej uliczki prowadzącej do bramy pomiędzy magazynami. Oshee podziwiała przemyślność tych żołnierzy tutaj. Kazano im chronić tę linię słupów. Tubylcy niszczyli słupy, požądając porcelanowych izolatorów. Co więc należy uczynić? Sprawić, żeby porcelanowe cacka stały się na rynku bezwartościowe. Rozrzucić w dużych ilościach pod słupami. Bierz, ile chcesz, jeden z drugim. A chcesz drutu? To przyjdź do nas i weź sobie ze śmietnika. Też ile chcesz. Ale niczego nie niszcz. Bo... I tu następuje kulminacja programu dla wycieczek. Oto nasza broń. Ale nie tylko możesz popatrzeć. Postrzelaj sobie sama. Zobacz, jak łatwo zabija się ludzi. Dziesiątkami. Setkami. Tysiącami. Strzelaj, strzelaj, nie wyczerpie się! Sama zobacz. Zobacz, jakie to proste.

A teraz, gdy już czujesz to, co czuje celowniczy tego metalowego bydlaka, wyobraź sobie, co czuje ten, kto z przeciwnej strony biegnie w kierunku celowniczego. Pod jego ogniem.

Tuż przy bramie czekał na nich przedziwny wóz z ogromnymi kołami. Był cały z żelaza. Nie miał dyszla. W środku na odkrytej pace siedziały dwie młode dziewczyny z karabinami. No tak. Jak w każdej armii, najgłupsze zadania ochrony powierzano najmłodszym rekrutom. I jak w każdym wojsku, w każdym kraju, wszędzie bez wyjątku najmłodszy nie śmieli protestować.

– Wsiadaj. – Ban zajęła miejsce z przodu, z boku, przed kołem osadzonym na metalowej żerdzi.

Zrobiła coś i wóz zaczął warczeć. A potem nagle ruszył. Tętno Oshee skoczyło nagle do bardzo wysokich wartości, ale usiłowała nie dać niczego po sobie poznać. Powinna przewidzieć, że skoro ktoś ma karabin, który strzela bez końca, z całą pewnością musi też mieć wóz, który rusza od razu z ogromną prędkością i bez pomocy koni. Gdy wyjechali za bramę, okazało się, że koła nie turkocą na kamiennych płytach drogi. Spod pojazdu dochodził tylko lekki szelest. Oshee wychyliła się, chcąc zerknąć z boku. No tak. Koła były miękkie!

Ban zauważyła jej ciekawe spojrzenie. Uśmiechnęła się lekko.

– Gdzie cię podrzucić? – zapytała.

Oshee po raz kolejny pokazała ten sam kierunek. Była nie do zdarcia, jeśli chodzi o konsekwencję i orientację w przestrzeni.

– Inteligentna jesteś – powiedziała szeregowca, która siedziała przy kole, najwyraźniej służącym do sterowania pojazdem. – Ja co prawda nie jestem tak „perfekcyjnie” polska jak Maii, ale swój instynkt mam. I często widzę więcej niż sierżant.

– Czy to dla mnie oznacza coś złego?

– Nie. Mam w dupie, kim naprawdę jesteś.

Oshee zerknęła w bok, chcąc sprawdzić, czy tamta mówi poważnie. Ze zdziwieniem stwierdziła, że najwyraźniej tak.

– Widzisz, poza tym, że werbowali nas, bo jesteśmy weterankami, znamy pustynię, burza piaskowa nas nie przestraszy i nie pogubimy się na wydmach, to jeszcze zrobili nam egzamin. Przyjmowali tylko te, które go zdały.

– Najlepsze?

– Właśnie nie. Najbardziej inteligentne. Ale po tym jeszcze zrobili nam kurs, gdzie wszystko bez kręcenia i kłamstwa wyjaśnili. W prostych słowach, żebyśmy mogli skumać.

– Co wyjaśnili?

– O co im chodzi. Te najbardziej błyskotliwe pojęły. A reszta wystarczy, że zapamiętała.

Oshee zrozumiała, że mówiąc to, Ban od razu stawia się w szeregu tych błyskotliwych. Niech jej będzie. Może i miała rację, a w każdym razie mówiła jak ktoś naprawdę inteligentny.

– A co trzeba, żeby zrozumieć czy zapamiętać?

– Że to nie armia mistrzów ani geniuszy. Że robiąc swoje, nie musisz być najbardziej bohatera ani najbardziej przebiegła. Dlatego też Maii nie wnikała, czy jesteś córką kacyka, czy wysłał cię tu plemienny szaman, czy sztab wywiadu jakiegoś mocarstwa. To bez znaczenia.

Oshee nie za bardzo chciała uwierzyć. Ale też miała swój instynkt zwiadowcy. I czuła doskonale, że Ban mówi szczerze.

– Nie jest ważne, czy każdy element maszyny jest idealny i najlepszy. Ważne, żeby zbiór tych elementów działał zawsze tak samo, w powtarzalny sposób. A temu właśnie służą ściśle procedury.

– I dlatego nie wnikacie, kogo znajdziecie na pustyni?

– Właśnie tak.

Trudno to było zrozumieć. Ale po długim zastanowieniu można było domyślić się sensu. Zdziwiającego, odległego w sposobie myślenia, obcego, ale sensu. W każdym razie Oshee zastanawiała się nad tym, co usłyszała, kiedy zjechali z kamiennej drogi i ruszyli wśród piasków pustyni w stronę nieodległych wzgórz.

Łazik sprawował się na piasku doskonale. I choć unikali co większych wertepów, wątpliwe było, żeby tą trasą mógł przejechać normalny wóz zaprzężony w konie. Nie bez przyczyny koczownicze ludy używały tu wielbłądów. Szybkość jednak, którą mógł rozwinąć patrol, pozostawała niedosiężna dla wszystkich zwierząt z wyjątkiem ptaków. Wzgórza rosły w oczach. Potem łazik zatrzymał się na szczycie niskiego pagórka.

– Tyle ci wystarczy? – zapytała Ban.

– Tak. – Oshee wyskoczyła na piach. – Dziękuję.

– Do usług. Obojętnie komu, ale powtórz dokładnie wszystko, co tu widziałaś.

– Z całą pewnością powtórzę.

– A może chcesz jednak coś na pamiątkę? Tak dla siebie? – Ban rozglądała się po wnętrzu łazika.

Zwiadowca nie ma zachcianek. Zwiadowca nie może być chciwy, nie może mieć chęci posiadania czegokolwiek ani potrzeby zbierania pamiątek. Zwiadowca nie ma prawa pożądać żadnych dóbr! A jednak Oshee złamała się po raz pierwszy w życiu.

Jakby wbrew sobie, wyciągnęła dłoń w stronę czapki szeregowej.

– Bardzo chciałabym mieć to. – Pokazała palcem.

– Moją rogatywkę? Ale, dziecko, na niej jest orzeł, godło. Nie mogę ci jej dać.

– Nie, nie czapkę. To!

Ban sięgnęła do czoła, macając dłonią, co ma tam tak szczególnie cennego. Po chwili wybuchła śmiechem.

– Ach! Gogle? – Ściągnęła przymocowane nad daszkiem okulary na gumce i podała dziewczynie. – Masz. Magazynier daruje mi tak drobną zgubę bez problemu.

Oshee nie miała czapki, lecz błyskawicznie założyła gogle na czoło. Jej szybkość rozśmieszyła wszystkich na pace łazika.

– No to żegnaj! – Ban przekręciła okrąg na metalowej żerdzi i ruszyła, zawracając, a koła pojazdu wyrzucały w górę fontanny piasku.

Oshee odwróciła się powoli i ruszyła ku wzgórzom. Dzięki podwieszeniu do kryjówki miała już blisko. Zerknęła na słońce. Stało jeszcze wysoko na niebie. Wystarczająco wysoko. Nie było więc na co czekać. Biegając truchtem, dotarła do swojej jamy na skalistym wzgórzu. Najpierw trzcinki. Wyciągnęła je wszystkie z ukrytego pod kamieniami pokrowca. Wbijała je w podłoże jedną po drugiej, sprawdzając, czy skrawki szmatek przywiązane do końców mogą przekręcać się razem z podmuchami lekkiego wiatru.

Dzięki tej konstrukcji już „widziała” powiewy. Doskonale. Teraz kombinezon. Musiała pozbyć się wszelkich zbędnych ciężarów, więc zostawiła torbę ze świecidełkami od Maii. Zdjęła też własną bieliznę (wcale przecież nie była dotąd goła, jak chciały tamte!) i odrzuciła pod skały. Oczywiście nie pozbyła się tego cudu Bogów, jakim były jej nowe gogle. Na nagie ciało nałożyła gruby i ciepły kombinezon.

Latawca nie mogła ukryć pod kamieniami. Czekał na nią na samym szczycie wzgórza. Oshee sprawdziła wszystkie wiązania i spokojnie usiadła przy nim, czekając na odpowiedni wiatr.

Ci, którzy nigdy nie próbowali, mówią, że grube i ciepłe ubranie nie jest odpowiednie na siedzenie w upale. Nie mają racji. Jeśli człowiek tkwi nieruchomo, nigdzie nie łązi i niczego nie robi, nie produkuje ciepła sam z siebie, wtedy gruby kombinezon działa jak termos. Nie czuć upału. Można siedzieć w wysokiej temperaturze znacznie dłużej niż na golasa. Pod warunkiem jednak, że promienie słońca nie padają bezpośrednio. A Oshee siedziała przecież w cieniu skrzydła własnego latawca.

Pierwszy ostrzejszy podmuch zauważyła późnym popołudniem. Był na tyle silny, że poczuła go nawet na skórze policzka. Skrawki szmatek na trzciniowych wskaźnikach już tańczyły jak oszalałe. Oshee wstała szybko i ostrożnie zaczęła przywiązywać się do skomplikowanej upręży. Jeszcze chwila. Sprawdziła wszystkie węzły. Już. Skrawki tańczyły dziko we wszystkich kierunkach, ale jej doświadczenie pozwalało odczytać te ruchy. Oshee dosłownie widziała wiatr. Zrobiła kilka kroków, wyczuwając ciężar latawca. Wszystko w porządku. Uważnie obserwowała skrawki szmatek na wbitych w podłoże trzcinach.

Nagle chaotyczne podmuchy zamieniły się w potężniejszy powiew. Jeszcze nie ciąg, ale i ciągu tu, na ziemi, nie potrzebowała. Lewo? Prawo? Jak to przewidzieć? Nie da się przewidzieć. Trzeba zobaczyć.

Już! Dostrzegła to, czego potrzebowała.

Zaczęła biec w dół stoku. Robiła tylko drobne kroki. Coraz szybciej, coraz szybciej. Skrawki szmatek łopotały na wietrze. I znowu to zobaczyła. Teraz! Leciutko podskoczyła nad krawędzią uskoku, uniosła nogi, umieszczając od razu stopy w odpowiednich olstrach. Latawiec z szumem najpierw szarpnął w dół, a potem położył się łagodnie na lewe skrzydło, łapiąc wiatr. Jest. Wystartowała. Lewą dłonią zwolniła pierwszy szperacz. Skrawek płótna na cieniutkim sznurku poszybował szybciej niż ona. Żeby tylko nie zaryć w piach poniżej, bo będzie musiała nieść to wszystko z powrotem na szczyt wzgórza. Ale nie. Nie unosiła się jeszcze co prawda, udawało jej się jednak utrzymywać wysokość. Wypuściła drugi szperacz, z kontrą. Oba małe latawce na uwięzi jakby rozpięchły się na dwie różne strony. Wypuściła więc trzeci, z małym ciężarkiem balastowym. I znowu „zobaczyła” wiatr. Czowała go bardzo wyraźnie. Łagodny skręt na



prawo. Kątem oka dostrzegła ptaka, który również zataczał kręgi. No to świetnie. Prąd wznoszący! Przyciągnęła trochę swoje szperacze. Zaczęła się wznosić. Uśmiechnęła się do siebie. Wznoszenie z każdą chwilą było coraz szybsze. Wystartowała.

Oderwała prawą dłoń od szkieletu i opuściła sobie gogle na oczy. Bogowie! Co za cud techniki. Tak bardzo jej pomoże, kiedy znajdzie się wysoko, gdzie ostre, zimne wiatry wyciskają łzy, przeszkadzając w nawigacji. Już nie będą!



## Rozdział 10



**P**ozycja Randa zmieniła się w sposób diametralny. Do pałacu nie wchodził już ani bocznymi drzwiami, ani pod osłoną polskiej delegacji. Dla niego przewidziano teraz główne wejście, to z rzędami sypiących kwiaty służących. Ogromną bramę otwierali tradycyjnie ubrani odźwierni w strojach zaprojektowanych przed tysiącami lat jeszcze przez cesarza Luan i zupełnie nietradycyjni marynarze z pistoletami maszynowymi w dłoniach, w mundurach zaprojektowanych gdzieś za Górami Bogów. Powiew nowego.

Z boku natychmiast pojawił się podręczny, który gnąc się w ukłonach, prowadził Randa dalej do miejsca, gdzie aktualnie znajdowała się cesarzowa. Cóż za miła odmiana po czasach, kiedy musiał przemykać się bokiem, usiłując nie natknąć się na żadną z wyżej postawionych speckurew. Nawet Aie mogła mu teraz towarzyszyć. Z pewnymi obostrzeniami: bez broni, bez prawa odzywiania się, ale jednak.

Oboje rozglądali się z ciekawością, łowiąc oznaki zmian, które właśnie się dokonywały. Minęli na przykład biuro polskiego oficera łącznikowego. Coś niesamowitego. Oficer łącznikowy przy samej cesarzowej? Od kontaktów z obcym rządem i jego przedstawicielami tutaj jest przecież ambasador osobiście. Nikt niżej! A jednak... Po zamachu okazało się, że sam ambasador to za mało. Jego można prosić, można wezwać, można i alarmować, ale to wszystko działo się zbyt wolno. A tu potrzebny był „chłopak na posyłki”, na tyle jednak władny, żeby uruchomić pewne

mechanizmy samemu, nie czekając na pozwolenie z góry. Funkcja z racji bliskości majestatu wyjątkowo honorowa, ale też wymagająca niezwyklej orientacji w sprawach światowych. Ciekawe, kogo wyznaczono na to bardzo odpowiedzialne stanowisko? Rand zdawał sobie sprawę, że oficer łącznikowy to nie osoba, która tu czuwa, tylko biuro z obsługą, ale ktoś przecież tym rządził. Ktoś brał na siebie cały ciężar decyzji. Kto taki?

– Panie? – Służący pokazał drzwi komnaty, gdzie przebywała cesarzowa, a potem wymownie zerknął na Aie, dając do zrozumienia, że nowomodne parasolki i ochroniarzy zostawia się w szatni.

Dziewczyna skinęła głową i usunęła się pod ścianę. Jeden z roślących marynarzy uzbrojonych w zamorską broń otworzył wielkie skrzydło. Jak za wojny, pomyślał Rand, wchodząc do środka i od razu, z marszu, wykonując głęboki pałacowy ukłon. Cesarzowa czekała na niego. Gdzieś w środku poczuł rozlewającą się falę radości. No proszę. Dobry los sprawił, że teraz ona czeka na niego. Na szczęście ukłon pozwalał świetnie ukryć to, co malowało się na jego twarzy.

– Wielka pani!

– Podnieś głowę!

– Pani...

– I jak sytuacja? Czego się dowiedziałeś?

Ależ była niecierpliwa. No tak, mógł sobie przecież wyobrazić, co przeżywa. Sama w wielkim pałacu, ze świadomością, że ktoś na nią czyha. Na oficjalnych spotkaniach, jak choćby tym z okazji otwarcia linii kolejowej na Złe Ziemie, panowała nad sobą idealnie. Ale tutaj? W prywatnych komnatach nie chciała ukrywać emocji.

– Specsłużby są tak zaskoczone zmianą sytuacji, że na razie nie przejawiają jakiejś szczególnej aktywności.

– Na razie?

– A myślisz, pani, że pogodzą się z wyrwaniem im kłów ot, tak sobie? Działaliśmy ekstremalnie szybko i dlatego ulegli dezorientacji.

– Co jest w takim razie nie tak? – Cesarzowa podeszła do misy pod oknem i wzięła owoc daktyla. – Przecież skoro zorganizowali spisek, powinni być przygotowani na każdy obrót sprawy.

Niebezpieczeństwo! W głowie Randa jakby surmy bojowe zagrały. Ta sprytna suka już się domyśla, że coś nie pasuje do mozaiki zamachu stanu. A za chwilę dojdzie, że żadnego zamachu na jej osobę nie było. Aż się

spocił. Na szczęście władczyni właśnie włożyła do ust lepką słodycz i szukała naczynia, w którym mogła obmyć pałce. Najlepiej więc będzie nie komentować teraz. Choć czuł, że zaraz grunt może mu się zapalić pod nogami.

– Pani, sytuacja wygląda tak: siły specjalne tkwią generalnie w koszarach. Zmiana władzy nad nimi, wdrażanie nowych procedur przekazywania rozkazów są w toku i zmierzają do rychłego zakończenia. Dosłownie dni dzielą nas od chwili, kiedy sztab generalny przejmie pełnię władzy na wojskami sił specjalnych. Na papierze.

– Jak to na papierze?! – zachnęła się i o mało nie zakrztusił daktylem.

– No co tu powiedzieć...? Ich wojska tkwią w koszarach i dopóki sytuacja wydaje się uspokojona, wykonają każdy rozkaz sztabu generalnego. A jak dojdzie co do czego, to trzeba zadać sobie jedno pytanie. Jeśli cokolwiek się zacznie, nie wiem, rozruchy, wojna domowa, jakieś większe zamieszanie, to nie wiemy, czyj rozkaz wykonają, jeśli do koszar dotrą dwa. Ze sztabu generalnego wojska i z kolegium szefów sztabów służb specjalnych. Czyj rozkaz zostanie wykonany? Pojęcia nie mam.

– To co należy zrobić, twoim zdaniem?

– Wysłać wojska specjalne gdzieś bardzo daleko. Na jakąś wojnę. Byle hen, hen, za górami, za lasami.

– Żadna wojna się nie toczy!

– Oj tam. – Machnął lekceważąco ręką. – Nowa wojna to nie problem.

– Po pierwsze siły specjalne nie są od tego, żeby walczyć na jakimkolwiek froncie – ochłodziła jego wojenny zapach. – A po drugie czym ja będę się bronić w razie...

Nie dokończyła celowo. W razie czego więc? Wojny domowej? No to ciekawe, po której stronie w tej wojnie będą walczyć siły specjalne? Rozruchów? O tak! Do tego mogą się przydać. Ale znowu nie wiadomo, komu okażą lojalność.

– Pani, naszym wrogiem jest kolegium szefów sztabów sił specjalnych. To dziesięć kobiet, które rządzą służbami specjalnymi cesarstwa. To one zorganizowały spisek i to one sięgną po nasze głowy, jeśli okazemy słabość lub choćby cień wahania.

– Wymowny jesteś. Ale stracisz pewnie ten dar, kiedy spytam, jak je spacyfikować.

– Nikt sobie z tym nie poradzi – mruknął. – Jakakolwiek próba zniszczenia tego sztabu będzie oznaczać wojnę domową. Bo służby specjalne są wszędzie.

– Tak myślałam. – Cesarzowa opuściła głowę, roztrząsając coś w myślach.

Ciekawe, czy wyrzucała sobie, że praktycznie całą strukturę bezpieczeństwa w cesarstwie oparła na jednej jedynej służbie, która od dawna sięgała po władzę. A Rand pojawił się przypadkiem. Właściwie „sam się zgłosił” i traktowano go praktycznie jak zabawkę. I teraz na tej zabawce trzeba było się oprzeć. Na szczęście do gry dołączyła nowa siła. I o niej to właśnie musiała myśleć cesarzowa.

– A Polacy? Jak zareagują Polacy, gdyby cokolwiek się zaczęło?

– To zależy od skali. Jeśli to będzie głupi zamach na ciebie, pani, to staną murem za majestatem, tak jak to właśnie zrobili. A jeśli powstanie ludowe? A jeśli wszyscy obrócą się przeciw tobie pewnego dnia? – Rand wzruszył ramionami. – Oni mają układ z cesarstwem i mają podstawy, by sądzić, że każdy władca na twoim miejscu układu dotrzyma, bo nieskończenie korzystny. Jeśli tylko nowy będzie pragmatykiem, niech sobie siedzi na twoim tronie. Im wszystko jedno.

– Ich siła pozwala...

– Jaka siła, pani? – Rand odważył się przerwać władczyni.

– Napalm, gaz bojowy i coś gorszego, o czym czasem wspominają półgębkiem.

– Ależ ta ich siła jest zbyt zabójcza, żeby się z nią liczyć. To mniej więcej tak, jakby nauczyciel w szkole wobec krnąbrnych uczniów mógł zastosować tylko karę śmierci. Żadnej innej. Wyobrażasz sobie to, pani? „Chodź tu, chłopcze, słyszałem, że podczas lekcji uszczypnąłeś kolegę. Orzekam karę śmierci! Zaraz woźny zabije cię na dziedzińcu”. No przecież taką szkołą nie da się rządzić!

– No nie – przyznała rozbawiona. – Ale da się ją spacyfikować w pół modlitwy.

– Da się. A po co ci szkoła bez uczniów? Do czego ma służyć?

Cesarzowa nie znalazła odpowiedzi. Rand kontynuował:

– I to jest właśnie to, że Polacy prowadzą wobec nas bardzo nowoczesną politykę, My, najeżdżając kogoś, robimy z niego niewolnika. Oni nas najechali, czyniąc z nas hegemonia! To u nas jest przecież teraz

rozwój, rozkwit i coraz większe bogacenie się. To my pierwsi na świecie mamy szansę zerwać z widmem głodu wśród prostego ludu. Czy pamiętasz cesarstwo sprzed dwóch lat, pani? Szarpane z zewnątrz, rozrywane od wewnątrz, na krawędzi upadku?

– Teraz chyba nie jest lepiej, prawda?

– W głębi kraju jeszcze nie. Ale na wybrzeżu...

– Dokonano zamachu na władcę, co wcześniej było nie do pomyślenia – teraz ona wpadła mu w słowo.

– Nie przerzucajmy się słowami – zaproponował pogodnie. I zmienił temat: – Cokolwiek byśmy myśleli o sytuacji, mamy ciągle ten sam problem. Kolegium szefów sztabów sił specjalnych. Dziesięć wrogich nam pań, nie do ruszenia i nie do zaatakowania w żaden realny sposób.

– No i sam mówisz, że nic im nie możemy zrobić. Na wszystko trzeba długiego czasu, tak?

– Niestety, wielka pani. – Wbrew słowom, które wypowiadał, uśmiechnął się jednak.

– Co? – nie zrozumiała jego zachowania.

– Jeśli pijak prosi cię o jałmużnę, a ty, zmęczona jego nagabywaniem, chciałabyś, żeby dał spokój, wtedy nic mu nie dawaj.

– Licząc na to, że zdechnie z głodu? Ale to może trwać i trwać. A on, zdesperowany, może się dopuścić gwałtownych czynów.

– Właśnie, więc jest druga metoda. Daj, pani, pijakowi wielką sumę. Niech się zapije na śmierć.

Władczyni założyła rękę na rękę.

– Zabawne. Porównujesz kolegium do pijaka?

– Są natrętni, mogą się dopuścić gwałtownych czynów – zacytował jej słowa. – W żaden sposób nie możemy ich rozwiązać, zlikwidować jednym rozkazem ani dalej osłabiać. Wojna domowa na włosku.

– Cóż więc robić?

– Skoro nie możemy kolegium osłabić, spróbujmy je wzmocnić.

Aż podskoczyła.

– Co?!

– Jak słyszysz, pani. To dziesięć spiskowczyń dogadanych ze sobą. Nie możemy ich zdegradować ani pozbawić wpływów. Więc spróbujmy dodać im znaczenia i obowiązków. Tyle że nie udźwigną ani splendorów, ani pracy. Nie możemy zmniejszyć składu kolegium, ale przewidując natłok

pracy, możemy go przecież zwiększyć. Przeznaczyć na to dodatkowe środki. I wydać rozkaz: kolegium ma być jeszcze potężniejsze, jeszcze większe!

– Ach...! – zrozumiała teraz. – Ty chcesz tam wprowadzić naszych ludzi?

– Do składu kolegium? – Wzruszył ramionami i zaraz się skrzywił, bo wypadło to dość obcesowo. – A w jaki sposób? Nie, to niemożliwe, żeby tam wsadzić kogoś spoza specsłużb. A w specsłużbach nikogo nie mamy.

Potrząsnęła głową.

– To co chcesz zrobić?

– Po prostu. Twoim rozkazem i faktem, że dasz większe fundusze, zwiększy się skład kolegium z dziesięciu członków do... pięćdziesięciu. Aż się posikają ze szczęścia te młode speckurwy, co od lat czekają na awans.

– Ale to będą ich ludzie!

– No to co? A myślisz, wielka pani, że tam u nich jest jednogłówność? Przecież podgryzają się wzajemnie, walczą ze sobą, konkurują. Każda ma swoją klikę, swoje koleżanki i... swoich wrogów. – Zaczął się śmiać. – A poza tym w spisku było dotąd dziesięć bab. Teraz w kolegium będzie pięćdziesiąt. I co? Te stare mają wprowadzić w arkana tajnych działań czterdzieści nowych naraz? A jeśli trafią na jedną chociaż patriotkę? A jeżeli któraś z nowych uzna, że w tej rozgrywce stanie po twojej stronie, pani, bo będzie to dla niej lepszy interes? Nie, nie, nie. Pięćdziesiąt bab naraz nigdy się nie dogada.

Słyszając tę uwagę, cesarzowa również zaczęła się śmiać.

– Rand, Rand, Rand, czasami to się cieszę, że jesteś po mojej stronie, genialny dzieciaku.

Usiłował nie zmieniać wyrazu twarzy.

– Równie mądry – ciągnęła – a może nawet mądrzejszy niż mój kochany Izaak.

Aha! To znaczy, że oficerem łącznikowym RP w pałacu jest Rosenblum! Ulubieniec kobiet, wygadany, elegancki, pragmatyczny do bólu komandor Rosenblum. Rand podziwiał cynizm Polaków, którzy do kontaktów skierowali właśnie jego. I dobrze.

Izaak Rosenblum był facetem, z którym dało się gadać. Gadać i dogadać.





Łysy szewc był zadowolony jak jasna zaraza. Najwyraźniej pozbył się całego trefnego towaru, który wiózł, pokonując wszelkie przeszkody, bo po powrocie z rozmów w cechu kupców bławatnych podśpiewywał sobie pod nosem i co chwila pociągał łyk z ukrytej pod szatami butelki. Musiał rano zrobić interes swojego życia, bo sprzedając po południu niepotrzebne już wozy i konie, nawet specjalnie się nie targował.

A kiedy wieczorem przyniesiono mu sporą skórzaną torbę, stracił wszelkie hamulce i zaczął pić po to tylko, żeby się upić.

– No co, dziewczyny? – Przysiadł już chwiejnie na wielkim krześle przy łóżku. – To ostatnia noc razem. Jutro się rozstaniemy, więc może się napijecie ze mną?

– Nie, dziękuję – odparła Kai. – Wódki nie piję. – Przypomniała sobie potwornego kaca, który doświadczył ją w Negger Bank, i okrutny sposób, w jaki zwalczał go Tomaszewski. – Właściwie to w ogóle staram się nie pić niczego.

– Ot, kapłanka naszego króla i boga! – Łysy szewc palnął się dłonią w kolano. – A może ta silniejsza, co bardziej człowieka przypomina niżli posąg, się napije?

Nuk zerknęła na czarownicę. Nie to, żeby jakoś strasznie chciała się napić, ale może uda się coś z niego jeszcze wydobyć.

– Czemu nie? Skoro częstujesz.

– No i widzisz. Tyś prawdziwa kobieta, a nie to, co tamta. – Szewc podał Nuk swoją butelkę. Najwyraźniej żadne kubki nie były przewidziane. – Chociaż nie żebym jej nie lubił. Lubię!

– O? – Kai zerknęła na niego z zaciekawieniem. – A za co, jeśli nie tajemnica?

– Talent kupiecki masz, dziecko – powiedział poważnie. – Jakby ci w fachu, który teraz uprawiasz, coś nie wyszło, to pamiętaj: kupiecką córką jesteś z urodzenia!

– No co ty? – Kai obruszyła się wyraźnie. Jej ojciec nie był żadnym kupcem. Pochodził z wysoko urodzonych, z ludzi, którzy nie utrzymywali się z własnej pracy.

– Wiem, co mówię. Widziałem cię wtedy na wozie. Jak radziłaś sobie z tłumem wściekłych bab. Ty masz kupiecką głowę i żyłkę do handlowania.

Z klientami sobie radzisz, jakbyś nic innego w życiu nie robiła!

Nuk, widząc, że czarownica tak naprawdę nie wie, czy cieszyć się z tych słów, czy uznać za zniewagę, bo przecież ona od dziecka do wyższych celów chowana, podniosła butelkę.

– Twoje zdrowie! – Pociągnęła haust tak wielki, że szewc spojrział na nią z głębokim uznaniem.

– A z ciebie żołnierz jest – powiedział, przyjmując butelkę z powrotem. – Też z urodzenia. Zawadiacka z ciebie dziewczyna! – Łyknął wódki. – Pocięchę z ciebie twój mąż będzie miał wielką. Jeśli tylko trafi się taki wojownik, któremu uda się ciebie okiełznać.

– Mam w dupie żeniączkę – odparła ciepło Nuk.

Uśmiechnął się.

– Lata lecą – szepnął, kręcąc głową. – A ty jesteś jak dziki koń, najlepszy w stadzie. Jeśli tylko znajdzie się taki mistrz jeździectwa, który zdoła cię ujeździć, to będzie miał najlepszą klacz na świecie!

– A ty co taki mądry? – Kai odebrała mu butelkę, bo zmieniła zdanie. Poczuli się ujęta tym, że ma jakieś zdolności, których nie zawdzięcza pozycji rodziców ani szkole czarnoksiężstwa, i jednocześnie urażona, że powiedział o kupiectwie we krwi. – A sam bez żony?

– Właśnie – zawtórowała koleżance Nuk. – Bo mu żona tylko po to, żeby ją ujeźdzać. To i się żadna nie zdecydowała na takiego jeźdźca.

– Oj, dzieci wy moje. – Szewc pochwycił butelkę od Kai i szybko skorzystał. – Ja nie mówię, żeby wam dokuczyć. Mówię, żeby was ostrzec, bo was polubiłem szczerze.

– Ostrzec? – Teraz Nuk przejęła butelkę. Impreza wyraźnie się rozkręcała. – Niby przed czym?

– Łatwo was rozgryźć. Z początku tylko myślałem, żeście złodziejki. Sam sobie wmówiłem, przekonywałem się, że mnie nie wydacie.

– Jak to rozgryźć? – Kai wzięła butelkę od Nuk i z wrażenia upiła dwa łyki na raz. – Że niby kim jesteśmy?

– Szpiegami! – Szewc obruszył się, jakby go o głupotę podejrzewały. – No toż od razu widać, że wy szpiony. Ty mózg, głowa, a ona twoje zbrojne ramię. – Odebrał im swoją butelkę i w zapadłej nagle ciszy zagulgotał głośno. – Dam se rękę uciąć, że ty – wycelował palcem w Kai – jesteś wysokiej rangi oficerem, a ty – przeniósł palec na Nuk – jesteś sierżantem jakiejś elitarniej jednostki! Mylę się?

Czarownicę zatkało, a jej koleżanka nie mogła zaczerpnąć oddechu. Jak on...?

– No i nawet dobrze was wyszkolili. Tyle że nic o naszym królestwie nie wiecie. A poza tym ktoś was wpuścił w maliny.

– Kto nas wpuścił?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Nie wiem kto – westchnął. – Ale nie przedstawiajcie się już, że jesteście z Naher. Nikomu.

Spojrzały na siebie ukradkiem. To mogła być pułapka, w którą usiłował je złapać, ale nie. Obie miały przeświadczenie, że szewc mówi szczerze.

– Nie zwróciłyście uwagi – ciągnął – że Naher, prowincja, z której rzekomo pochodzicie, to nieprawidłowo wypowiedziana nazwa naszego królestwa?

Zaniemówiły. Od razu też pomyślały o ślepym podróżniku i jego wynurzeniach.

– Naher to przecież taki dowcip – tłumaczył. – To tylko źle wypowiedziane słowo „Nayer”. Jakby głupek mówił jakiś. Bo z tego się robi dowcipy ludowe. Skąd jesteś? Z Nayer. Ale śliniący się debil wymówi to „Naher”. – Zrobił minę totalnego kretyna i zaczął przesadnie seplenić: – Naher, Naher. – Pociągnął łyk z butelki i powrócił do swojego normalnego, teraz tylko trochę podpitego głosu. – No nie można się tak przedstawiać, bo albo mówi się w ten sposób, że samemu jest się głupkiem, albo daje się świadectwo tego, że się nie wie, o co chodzi. Ktoś was wystawił, skoro kazali wam mówić takie bzdury.

Nuk zaklęła brzydko, odebrała mężczyźnie butelkę i przechyliła gwałtownie, wlewając do gardła piekący płyn. Po chwili Kai zrobiła dokładnie to samo. Szewc był dobrze przygotowany, z sakwy przy łóżku wyjął drugą.

– No i widzicie, dzieci wy moje – westchnął. – Łatwo was rozgryźć. Już nie wspominając, że ty – zerknął na czarownicę – opowiadasz o jakichś szkołach, które ukończyłaś. Używasz słów, których zwykły człowiek nie rozumie. Nie sposób, żeś ty prosta złodziejka – westchnął. – Jako kupiec mogłabyś zostać mistrzem natchnionym. Ale jako szpieg... – Machnął ręką. – Musisz nadrabiać wdziękiem.

Nuk zerknęła na koleżankę z cieniem politowania, nie umknęło to łysemu szewcowi. Nie był aż tak pijany, jak by się mogło wydawać.

– Nie myśl, żeś ty lepsza – mruknął. – Bo po tobie też wszystko widać. Skaczesz z lekkością pchły, żeby komuś żelazo do szyi przystawić. A kiedy samą tylko dłonią złamałaś pałce temu, co cię chciał po cyckach zmacać, to szybko przyszło zrozumienie, że ty na wielu wojnach doświadczenie zbierałaś. Nie tobie iść gościńcem w śmiesznych szatach i prostą złodziejkę udawać.

– A co jest śmiesznego w naszych szatach? – Nuk dała się zaskoczyć.

– Ano materiał na nie tkany w najdroższych przędzalniach. Jeszczem takiej jakości nie widział. A ubranie najprostsze z możliwych. – Szewc łyknął ostro, wytarł usta i dokończył myśl: – To tak jakby ze złotogłowiu tunikę chłopu uszyć do pracy w polu. Pojmujesz?

– Tak.

– No. Dzieci wy moje. Ale pomogłyście mi i dlatego ja wam krzywdy nie dam zrobić. Ja też wam pomogę.

– Dwóm obcym szpiegom w twoim mniemaniu? – zapytała Nuk podchwytliwie i musiała trafić w samo sedno, bo szewc zachmurzył się, zacisnął wargi, myśląc o czymś niezbyt przyjemnym. Siedział tak długo, od czasu do czasu pociągając z butelki. A potem powiedział:

– Co? Wy, dwie wojaczki, nie jesteście w stanie mnie pojąć?

Nuk skinęła głową, a Kai nie rozumiała.

– No to ja wam powiem. – Pociągnął jeszcze jeden łyk dla odwagi. – Wy dwie, gdybym to ja szpiegował u nas, tobyście mnie same chwyciły i na strażnicę zawlokły. Dlaczego więc ja tego nie robię? Ano... Tak się zastanowiłem właśnie. I zadałem sobie pytanie: a czego ja mam tu bronić? Tego, że muszę ryzykować gardło w ciemnych interesach, żeby żona miała co do garnka włożyć? Czy tego, że mam codziennie gorliwie modlić się do mojego króla, bo jest bogiem? A może tego, że kiedy jakiś watażka mu zginie, to przez cały dzień mam sterczeć przy drodze tyłkiem wypięty do góry i płakać, lamentować i wyc z żalu po nim? I tego, że wszyscy dali się tak upodlić, że biorą w tym udział? Hm, a może mam bronić tego, że jeśli nie będę płakał odpowiednio głośno i nie dość przekonująco, to mnie do wojska wezmą? Głodzić będą, poniżać i pędzić jak bydło do obcych krain, gdzie całkiem już zezwierzęcony, narkotyki dostanę i z gołymi rękami pójdę na obce linie ginąc, niczego już nie udając. Hm, myślę sobie tak i myślę, i zastanawiam się: wartoli o to wszystko tak z uporem walczyć? Iść do straży i donieść na was? No mógłbym nawet. Ale straż zacznie pytać. A co ja z

wami robiłem, skąd was znam, dlaczego my razem. I pytać zaczną o wszystko moją żonę. A i dziatki przesłuchają, może chłopak co powie ciekawego o mojej przeszłości albo dziewczyna da się podpuścić. Mogą i sąsiadów moich w mieście przesłuchać. A nuż z zawiści coś sypną? A nawet jak nie, to i tak przecież już jestem w ich rękach. Wypuszczą mnie potem do domu? A po co? Skoro już siedzę sam z siebie. Dla wszelkiej pewności do armii demoralizującej wcielą, zaszczyt bycia żołnierzem mnie nie ominie, także i zaszczyt śmierci za ojczyznę. Co z tego, że zamroczony narkotykiem i z gołymi rękami przeciw ich karabinom? Żołnierski zaszczyt to zaszczyt, bez względu na okoliczności. I nawet będę zbiorowym bohaterem patriotycznych pieśni.

Nuk odkasznęła, nie mogąc sobie poradzić z własnymi myślami. A są tacy, co mówią, że w cesarstwie źle. Że imperialna armia to świnie. Kurza twarz.

– Nie interesuje cię, dla kogo rzekomo szpiegujemy? – zapytała Kai.

– U nas jest taka mądrość ludowa. Mniej wiesz, krócej będziesz cierpieć na przesłuchaniu.

I co tu powiedzieć? Wszystkiego mogły się spodziewać, ale nie tego. Ślepy podróżnik wystawił ewentualnych szpiegów, którzy chcieliby tu przybyć i kierować się jego wskazówkami. Wystawił jak tarcze na łatwy strzał. Całe ich szkolenie było do dupy. Ale przeliczył się w jednym. Tu, na miejscu, pierwszy napotkany człowiek jest co prawda w stanie je rozgryźć, ale nie chce stanąć w obronie swojego władcy. Obojętny mu los własnego kraju w takim kształcie, jaki zna. Bo został doprowadzony do stanu, gdzie wszystko inne może okazać się lepsze. Ot, życie! Ot, jak padają cudze perfidne plany, a każdy zwód napotyka kontrzwód z zupełnie nieprzewidzianej strony.

– No dobra, dzieci. – Łysy szewc spojrział na nie dość trzeźwo, zważywszy, ile wódki pochłonął wcześniej. – Czego tak naprawdę chcecie się dowiedzieć?

Kai i Nuk wymieniły się błyskawicznymi spojrzeniami.

– Chcemy znaleźć ludzi z żelaznych okrętów – powiedziała czarownica, a sierżant zaczęła bezgłośnie kląć pod adresem przesadnej prostolinijności koleżanki.

Szewc jednak nie okazał zdziwienia.

– A to jesteście na dobrej drodze. – Smętnie pokiwał głową. – Ale zaraz, co? Chcecie ich tylko znaleźć, wkręcić się w ich szeregi czy ukraść jakieś tajemnice?

– Dowiedzieć się, skąd są.

Nuk ukryła twarz w dłoniach, zażenowana szczerością czarownicy. Nie wytrzymała jednak długo. Nachyliła się po nową butelkę, zabrała ją właścicielowi i pociągnęła kilka łyków.

– Krążą legendy, że pochodzą zza Gór na Końcu Świata. Ale jak sądzę, ta odpowiedź was nie satysfakcjonuje.

– Nie.

Kai zamyśliła się. Góry na Końcu Świata? No skoro tu bogiem był król, to siłą rzeczy nie mogło być legend o Górach Bogów. Ciekawe. Monoteizm, trochę podobny do tego u Polaków, ale niezgodny z Prawdziwą Opowieścią. Nagle przypomniała sobie, że podczas studiów na zajęciach z historii czytała jedną z ksiąg niewłączonych do kanonu. Monoteizm pojawił się już tysiąc lat temu w Cesarstwie Luan. Zaczął głosić go jako pierwszy naczelny wróżbita cesarstwa. Po upadku Syrinx jednak okazało się, że wróżbita był agentem wywiadu mędrca Zaana, a jego opowieść zwykłą przykrywką, mającą wcześniej pomóc mu w karierze i w odróżnieniu się od innych wróżbitów. Skompromitowany agent, bojąc się zemsty zwolenników cesarstwa, które pomagał obalić, uciekł statkiem pełnomorskim z wielkimi zapasami i słuch po nim zaginął. Ciekawe. A jeszcze ciekawsze jest to, że ujawniony agent w swojej ucieczce mógł dotrzeć aż tutaj. Znając jego sprawność, jakość wyszkolenia i obycie na cesarskim dworze, połączone ze zdobytym w Luan doświadczeniem, mógł przecież zostać i królem tutaj. Przygryzła wargi. Byłoby śmiesznie, gdyby w tym kraju monarchię połączoną z wiarą w króla–boga wprowadził były agent wywiadu Zaana. Taka po prostu dynastia... agenturalna. Usiłowała się nie roześmiać.

– Powiem wam, jak dotrzeć do portu, skąd wypływają żelazne okręty.

– Bardzo strzeżony?

Szewc wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Pewnie port jak port. Przecież ktoś ich musi zaopatrywać, obsługiwać i dostarczać wszystko. Zapewne tylko pałace obcych są strzeżone.

– To daleko stąd?

– Nie. Problem macie inny.

– Jaki?

– Kim tak naprawdę jesteście. Bo jeśli przedstawicie się znowu jako kobiety z Naher, to zwiedzicie najbliższą ciemnicę, i to bardzo dokładnie.

– Trzeba mieć tutaj jakieś dokumenty, nie wiem, jakiś rozkaz wyjazdu czy co?

Szewc najpierw uśmiechnął się rozbijając, a potem rozłożył ręce.

– Trzeba i nie trzeba jednocześnie. Nie wiem, jak wytłumaczyć, bo to może i całej nocy zabraknąć. Na przykład taka chłopka nie ma żadnych dokumentów, ale też i nie powinna nigdzie podróżować. Tak w ogóle niech wam myśl przez głowę nie przemknie, żeby się przedstawiać jako chłopki, bo wystarczy jedno spojrzenie na wasze wypiełgnowane rączki, żeby wiedzieć, że pracą fizyczną to wy się nie paracie. Musicie to sobie jakoś przemyśleć.

– A ty nam nie pomożesz?

– A w tej kwestii to, jak pamiętacie, ja waszej pomocy potrzebowałem. I jakoś się udało.

No tak. Trudno było kontrargumentować.

– Dam wam coś. – Ze swojej sakiewki wyjął niewielki metalowy pręcik. Wryto na nim małe znaczki. Przypominało to trochę odważnik do precyzyjnych wag służących w kantorach do wyliczania wartości kruszców, ale w przeciwieństwie do odważnika znaczków na pręcie było bardzo dużo.

– Co to jest?

– Wotum, totem, list przewodni, a właściwie polecający do różnych ludzi, którzy prawo rozumieją trochę inaczej niż reszta w całym kraju. Posiadacz takiego... listu jest dla swoich swój. Rozumiesz, o co chodzi?

– Tak.

– Nie pokładaj w tym zbytnich nadziei. To nie jest klucz otwierający wszelkie drzwi. Ale to pozwala przynajmniej nawiązać rozmowę z odpowiednimi ludźmi.

– Znaczą z bandziorami? – chciała się upewnić Nuk.

– Jeśli takich jak ja nazywasz bandziorami, to tak. Z bandziorami.

– A jak ich rozpoznać?

– Zaraz wszystko wam powiem.

Nuk, w miarę jak alkohol zaczynał na nią działać, robiła się coraz bardziej niecierpliwa.

– Powiedz jeszcze, czy załatwiłeś wymianę złota na pieniądze?

– Tak. W nocy przyjdzie tu lichwiarz i wszystko załatwi.

– Uczciwy?

I tu łysy szewc się zdenerwował.

– A gdzieś ty widziała uczciwego lichwiarza?! – krzyknął rozsierdzony.

– Zbój przyjdzie, co was wydyma, jak będzie chciał! Uczciwego lichwiarza jej się zachciewa, psiamać! A może jeszcze masz zachciankę mieć lisa, co kur nie dusi? A może jadowitego węża, co nie kasa, tylko do nóg ludziom się łasi i jak kot mruczy, co? A może poborcę podatków, który ci powie, że niczego nie jesteś już winna skarbowi królestwa? A może kapłana, co ofiary nie będzie chciał za swoje modły?

– Daruj jej. – Kai, chcąc uspokoić mężczyznę, nachyliła się i położyła mu dłoń na kolanie. – Jak wypije, to zawsze jej się jakiś uczciwy lichwiarz zwiduje. Albo mądry władca dla odmiany.

– Ach, pijana już? – To stanowiło dla szewca rzetelne usprawiedliwienie. – No to rozumiem. A kiedy już wytrzeźwieje, powiedz jej, że skoro jest szpiegiem, to chyba na pieniądzach jej nie zależy.



Ores, młody poeta, otworzył oczy, czując na twarzy powiew rzeńskiego powietrza.

– Drzwi! – jęknął. – Niech ktoś zamknie drzwi!

Jak każdy wydelikacowany intelektualista bał się przeciągów. Nie wiedzieć czemu zresztą. Ale według ludzi, wśród których się wychowywał, nagły powiew zimnego powietrza był sprawcą wszelkich nieszczęść, od zwykłych przeziębień po ciężkie choroby kończące się nieodwołalnie śmiercią. Z jednej strony trudno się dziwić. Jeśli ktoś większość życia spędził w stojących upałach Negger Bank, z rzadka tylko łagodzonych lekką bryzą znad morza, to sama podróż w chłodnych i wietrznych rejonach górskiej drogi do Kong mogła przyprowadzić o dreszcze trwogi. A do tego jeszcze te nieprzewidziane przeszkody.

Wczoraj ich woźnica rozpędził się zanadto na zjeździe ze wzgórza i uderzył w poprzedzający ich pojazd, tworząc okropny karambol. Niektórzy z podróżujących nim pieśniarzy wypadli na drogę. Jękom i lamentom nie było końca, groził im nawet wybuch hysterii. Na szczęście jadącym ostatnim, nietkniętym wozem pisarzom udało się jakoś ogarnąć zszokowanych artystów i przywrócić porządek na drodze. Niestety, okazało



się, że dwa z trzech wozów wynajętych przez Organizację Randa nie nadają się chwilowo do dalszej drogi i nie obejdzie się bez interwencji kowala. Nie dość tego, znajdowali się na głębokim zapleczu imperialnej armii operującej w Kong i w pobliżu nie było nawet żadnego posterunku, żeby móc zwrócić się o pomoc. Poeci, pieśniarze i pisarze zostali więc zdani wyłącznie na własne siły i, o zgrozo, musieli przejść na piechotę od feralnego wzgórza do najbliższej wsi. Pół dnia drogi na piechotę! Pół dnia! Może dla normalnego człowieka to trwałoby krócej, ale przecież artyści to nie wojsko, w nogę jednostajnym tempem maszerować nie będą. Tu trzeba było przysiąc i pomóc koledze, który nie chciał dźwigać dalej zapasów wina, a tam wyciągać z rowu kogoś, kogo rozebrało słońce i to, co wypił jeszcze na wozie. Na szczęście najbardziej pozbierani z całej grupy pisarze panowali jakoś nad poetami i pieśniarzami, a pod wieczór doprowadzili ich do dużej, jak się okazało, wsi leżącej przy, jak mówili miejscowi, „przemysłowym szlaku”.

O zgrozo, wszystkie pomieszczenia mieszkalne zajęte były przez kurierów Imperialnego Ekspresu. Kwatery dalej, w pobliżu Kong, były z kolei niedostępne z powodu armii, więc dla posłańców zorganizowano bazę właśnie tutaj i było to jedyne miejsce, gdzie można zobaczyć naraz dziesiątki, ba, setki kurierów. Z powodu czyjejś omyłki najprawdopodobniej wszyscy znaleźli się w tej samej okolicy. A do tego poeci, pisarze i pieśniarze, którzy mieli sławić imperialną armię w prowincji Kong i unieśmiertelnić jej dokonania.

Wolnych miejsc do spania zatem nie było. Na szczęście okoliczni chłopcy uprawiali winnice na stokach wokół i sprzedawali swoje wino po bardzo rozsądnych, umiarkowanych cenach. Jedynie dzięki temu udało się późną nocą zamroczyć artystów alkoholem do tego stopnia, że przestali grandzić i dali się położyć spać w starej stodole.

Niestety, rano problem zakwaterowania odezwał się ze zdwojoną mocą.

– Zamknijcie drzwi. – Poeta Ores usiłował pokonać ból głowy i otworzyć oczy. – Przeciąg!

– Nie przesadzaj. – Pisarz Kane nachylił się nad przyjacielem. – Wichury nie ma. Nie wywieje cię.

Pomógł koledze usiąść, krzywiąc się jednocześnie z powodu tego, co widział.

– Uch, wierszokleci... Macie słabsze głowy niż my.

– Pić – wyszeptał poeta.

Kolega podał mu manierkę, już po pierwszym łyku zapachniało zdradą.

– Przecież to woda! – Ores z obrzydzeniem odrzucił manierkę. – Chcesz, żebym przeziębiał sobie gardło?!

– A? Wina potrzebujesz? – Kane objął kolegę ramieniem i usiłował sprawić, żeby ten wstał z prowizorycznego barłogu. – To musisz wyjść na zewnątrz.

– Och, boli! – Ores podwinął spód tuniki i badawczym wzrokiem oglądał swoje udo. – O Bogowie! Przecież to siniak! Wołaj medyka!

– Tutaj? Co najwyżej znachora.

– Bogowie! Nogę mi utną.

Kane westchnął ciężko i sapiąc z wysiłku, postawił kolegę na nogi.

– W Kong przy lotnisku powinien być polski lekarz. Może ma jakąś maść na siniaki, bo oni wszystko mają.

– Nie śmieć się! Nogę mi utną!

– To coś wczoraj wyrabiał?

Tym pytaniem Kane wyłączył wymowę kolegi, bowiem poeta wszystkie swoje zasoby intelektualne wprzągnął do zadania przypomnienia sobie, co takiego wczoraj miało miejsce, o czym dzisiaj nie pamięta. I w związku z tym dał się prowadzić pod ramię między rozrzuconymi wokół ciałami, pograżonymi w różnych stadiach snu.

Na zewnątrz było już zupełnie jasno. Obok dwóch pisarzy zajmowało się jakąś grą, która polegała na rzucaniu kamykami w stado kaczek za ogrodzeniem. Nie wiadomo, czy zwyciężał ten, po którego rzucie ptaki uciekały najszybciej, czy ten, który kolejnymi uderzeniami zmuszał je do zygzakowania. Byli zbyt pochłonięci współzawodnictwem, żeby udzielić odpowiedzi.

Tuż obok w kolejce do studni stali całkiem trzeźwi i nieskacowani kurierzy. Straszny widok. Każdy miał ze sobą miednicę do porannych ablucji, za to żaden nie wyglądał na kogoś, kogo coś boli, łupie, ssie, zaćmiewa myśli, mąci umysł, kręci i męczy w żołądku, rozrywa zbolałą duszę ani w ogóle komu dolega cokolwiek. Ores poczuł zalewającą go falę zazdrości. W dodatku tamci patrzyli na niego i krzywili się z odrazą, widząc, w jakim jest stanie. No żeby ich Bogowie pokarali! Ale tu i teraz. Poeta zerknął w niebo, lecz zdając sobie sprawę, że Bogowie nierychliwi i pioruna zaraz nie ześlą z bezchmurnego nieba, postanowił w duchu, że za

karę nie wyrecytuje im nigdy żadnego ze swoich wierszy. Nikt z wymuskanych, tryskających energią o poranku młodzieńców z Imperialnego Ekspresu nie odczytał właściwie tego postanowienia. Zmiany na twarzy poety zauważył jedynie pisarz Kane.

– Nie martw się – pocieszał kolegę. – Świnia też potrafi być trzeźwa całą dobę. Tylko co z tego?

Ores objął przyjaciela, którego właśnie poznawał w biedzie.

– To chodź na wino!

– A chodź! Pokażemy im...

Przerwał im gromki okrzyk:

– Zbrojni! Zbrojni idą!

Kurierów momentalnie wywiało spod studni. Jak jeden mąż rzucili się do miejsc, gdzie zostało ich oporządzenie, po mundury, swoje rozpoznawalne barwy i broń. Na środku wsi zostali jedynie Ores i Kane, za jedyny odwód mając dwóch pisarzy pod płótem, specjalistów od przeganiania kaczek, z kamieniami w dłoniach, zamarłych z przerażenia.

Zza pobliskich domów wyłoniło się kilka dziewczyn z karabinami w rękach. Od razu stało się jasne, że to nie imperialna armia. O Bogowie! Przecież nocowali przy „przemytniczym szlaku”. To bandytki!

Kane miał silniejszą głowę i mniej męczył go kac. Zauważył, że karabiny mają bębnowe komory nabojoye. A wielostrzałowej broni nie było na wyposażeniu armii imperium.

– To partyzanci.

Słyszając to, Ores uklonił się dwornie członkiniom patrolu.

– Lubicie poezję, drogie panie? – zapytał, a widząc, że nie reagują, dodał: – A poetów?

– Nie takich brudnych i obszarpanych jak ty – odparła najbliższa, z krótkim, grubym warkoczem przewiązanym czerwoną wstążką.

– To może czytała pani którąś z moich kronik? – podjął pałeczkę Kane.  
– A może moje romanse, opowieści o miłości?

Dziewczyny nie sprawiały wrażenia takich, które potrafią czytać. Obojętnie przeszły obok i ruszyły dalej. Zza narożnej chałupy wychodzili kolejni partyzanci. Niektórzy na koniach, niektórzy ciągnący niewielkie wozy z dziwnymi metalowymi konstrukcjami na pakach. Zaczynało robić się groźnie.

– Zaraz poruszę ich do głębi mocą swojej poezji – szepnął Ores.

Kane, bardziej przytomny, szarpnął go za rękę.

– Daj spokój! Panie chyba nie przyszły na spotkanie autorskie.

– Nie musicie się niczego obawiać, panowie!

Obaj spojrzeli na kobietę dosiadającą wierzchowca czarnej maści. Kane skądś ją znał. Skacowany umysł nie pracował za szybko. Dopiero po bardzo długiej chwili przyszło skojarzenie partyzantów i listów gończych.

– Czy pani Shen? – zapytał. – Mamy zaszczyt z samą panią Shen?

Kobieta na koniu uśmiechnęła się sympatycznie.

– Nie wiem, czy zaszczyt, ale to ja we własnej osobie.

Kane uderzył kolegę łokciem w bok.

– Ocknij się, poeto! Dziś wielki dzień!

– Bo? – Ores mało się nie wywrócił. – Powołałeś literackie siły zbrojne? Dołączamy do powstania?

– Narzekałeś wczoraj, że nie masz natchnienia. To już masz! Patrz, kogo będziesz w wierszach sławił.

Shen uśmiechnęła się znowu w odpowiedzi. Ruszyła dalej i gromkim głosem wydawała rozkazy:

– Karabiny Kadira na stanowiska. Tam i tam! Przestrzelać broń i sprawdzić, czy rozstaje mają pełne pokrycie ogniem!

Zwabieni okrzykami poeci, pisarze i pieśniarze zaczęli opuszczać stodołę. Oszołomieni nawałą światła osłaniali oczy dłońmi. Wieść rozchodziła się szybko.

– Partyzanci! To Shen we własnej osobie! To Shen!

Nie lada gratka. Artyści gremialnie pchali się do studni, chcąc wypędzić resztki snu i alkoholu z głów. Nie wolno było uronić ani jednego szczegółu z takiego widoku. Ale traf! Będzie o czym pisać i śpiewać! A do tego opowieści w karczmach i fakt, że liczni słuchacze będą im przecież musieli trunki stawiać, chłonąc każde słowo tak niesamowitej historii.

Spod okapów licznych chat wokół powychodzili także imperialni kurierzy. Już w swoich barwach, z idealnie ułożonym oporządzeniem. Równie ciekawi tego, co się dzieje, jak zalani i rozmemłani artyści.

Shen niczym stara aktorska wyga doskonale udawała zdziwienie.

– A skąd wy tutaj w takiej liczbie? – Rozglądała się ze zmarszczonymi brwiami.

– Sami nie wiemy, pani – odparł wesoło jeden z kurierów bez cienia strachu w głosie. No przecież nigdy w dziejach nikt nie tknął nawet palcem

Imperialnego Ekspresu, bo i po co? Złota ani kosztowności nigdy nie przewozili. A za kradzież cudzych papierów krótka droga do mistrza tortur była, bo nikt przecież na to pieniędzy by nie skąpił.

– Nigdy nie widziałam kurierów w jednym miejscu w takiej liczbie.

– My też nie, pani. Śłali nas z listami do Kong, ale tam armia teraz, o miejsce trudno, a i żołdacy niechętnie patrzą na obcych przemykających za ich liniami. No to nam zorganizowano prowizoryczną stanicę tutaj.

– Przecież tu nic nie ma.

– No właśnie, pani.

Rozmowę przerwał im meldunek partyzanta ze szpicy.

– Stanowiska na perymetrze gotowe!

– Przestrzelać broń, sprawdzić przykrycie ogniem drogi!

– Tak jest!

Już po chwili dwie serie z wielolufowych, uruchamianych korbami kartaczownic Kadira wstrząsnęło okolicą, robiąc odpowiednie wrażenie.

– Droga przykryta ogniem!

– Spocznij, luzuj! – Shen odwróciła się na koniu i zmarszczyła ponownie brwi. – Teraz powinnam wydać rozkaz, żeby moi ludzie rozłokowali się na odpoczynek, ale widzę, że nie ma miejsca.

– Zmieścimy się, pani – powiedział młody kurier. – My przecież nigdy nie opowiadamy się po żadnej ze stron. Możemy pomieszkać razem.

Pewien starszy, siwy już pisarz wyszedł przed tłum artystów. Suszyło go trochę, więc otarł dłonią spierzchnięte usta.

– Ależ my co piękniejsze dziewczęta z oddziału zapraszamy do nas, do stodoły. Zapewniam, że nie zabraknie tam intelektualnej rozrywki najwyższej próby!

Poeci zaczęli wiwatować, kurierzy przeciwnie, patrzeć złowrogo na siwego.

– Panowie, panowie, spokojnie – powtarzała Shen coraz bardziej rozbawiona. – My tu tylko na krótko.

– Nic nie szkodzi. Radzi będziemy wysłuchać opowieści z pola walki.

– Niczego nie mamy do opowiadania. A jak chcecie czegoś posłuchać, to proszę, uratowaliśmy kilka chłopek z miejsca kaźni. Mogą wam opowiedzieć, co armia wyrabia.

Stojący obok kurier skrzywił się lekko.

– To opowieść z drugiej ręki – mruknął. – A nam wolno opowiadać tylko o tym, co widzieliśmy na własne oczy.

I o to chodzi, pomyślała Shen, choć oczywiście nie powiedziała tego głośno.

Artyści nie mieli takich oporów. Z wielką ciekawością zaczęli rozmawiać z „uratowanymi od kaźni” chłopkami. No i dowiedzieli się o tym, o czym powinni wiedzieć. O egzekucjach, rekwizycjach, zastraszaniu i wszystkim, czego doświadczała prowincja Kong ze strony imperialnej armii. I co z tego, że dziewczyny nie były prawdziwymi chłopkami? Opowiadały prawdziwe historie. No, prawie.

Uwagę obecnych na placu przykuł zaraz nowy oddział zbrojnych, który pojawił się we wsi. Widać było, że to jakieś inne wojsko. Dziewczyny z karabinami miały na sobie stroje przystosowane do działania w nocy. Wszystko czarne, nawet twarze zasłoniły chustami, a te fragmenty, których zasłonić się nie dało, posmarowały sadzą. Poruszały się bezszelestnie, sandały owinięte były grubą warstwą szmat. Sharri zeskoczyła z konia i podbiegła do Shen.

– O zaraza jasna! Aleśmy się długo nie widziały!

Istotnie długo. Od świtu, kiedy się rozstały, upłynęło już przecież trochę czasu. Shen również zsiadła i dziewczyny padły sobie w ramiona.

– Ile to już...?

– Nie widziałyśmy się od początku kampanii.

– Bogowie... A jak ludzie?

Sharri wzruszyła ramionami.

– Przybywa z każdym dniem. Coraz więcej środków potrzebuję, żeby utrzymać bazę szkoleniową.

– Żebyś ty mi tylko garnizonu dla całego pułku nie wybudowała w górach.

– Nie no, co ty? Do pułku to mi jeszcze brakuje. Trochę.

Rzeczywiście. W stworzonym dziś rano oddziale miała osiem osób. Do stanu najmniejszego pułku brakowało jej jedynie tysiąc stu dziewięćdziesięciu dwóch żołnierzy. Rzeczywiście trochę. Shen dłonią potargała włosy na głowie koleżanki.

– A co nowego, powiedz? Co się wydarzyło?

– Aj, nie będę się chwalić. – Sharri zerknęła wymownie na stojących tuż obok kurierów.

– No mów, mów, oni nie powtórzą o niczym, czego nie widzieli na własne oczy.

– A no to inna sprawa. – Sharri wyjęła z przewieszanej przez ramię sakwy wielką metalową odznakę. – Widziałas z bliska coś takiego?

Shen wzięła kawał rzeźbionego metalu do ręki i z uwagą studiowała napisy.

– To przecież herb batalionu szturmowego! – Zdziwiona podniosła oczy. – To przecież za duża odznaka, żeby nosić ją na ramieniu.

– Pewnie, że za duża na ramię. Zerwałam ją im ze sztandaru!

Rozradowane dziewczyny uściskały się serdecznie. A kurierzy obserwowali to wszystko. Nie mogli potem powtarzać, że widzieli zagładę albo ucieczkę z pola bitwy całego batalionu szturmowego, bo tego nie widzieli. Mogli jedynie powtórzyć, że widzieli na własne oczy zerwany ze sztandaru batalionowy herb. Nie mogli mieć pojęcia, że herb był dziełem Kadira, który po pierwsze wiedział, jak taki herb wygląda, a po drugie fach rusznikarza dał mu odpowiednie umiejętności do kształtowania metalu.

Sam Kadir pojawił się na placu chwilę później, wprowadzając nań wozy z zaopatrzeniem. Żołnierze mogli pobrać amunicję i brakujące elementy wyposażenia. Nikt nie mógł wiedzieć, że to, co teraz pobierali żołnierze, wcześniej, o świcie, musieli na te wozy włożyć. Ale w związku z tym wszystko teraz pasowało.

Sam Kadir został zasypany pytaniami o przebieg walk. Najwyraźniej artyści uznali, że mężczyzna opowie im to lepiej. Kurierzy o nic nie pytali. Obserwowali nieledwie zdziwieni, że na wozach przyjechała także żywność dla chłopów, którzy odbierali teraz z pak żywe kury. Nikt nie wpadł na myśl, że te kury chwilę wcześniej, podczas wjazdu do wsi, zostały z gospodarstw „pożyczone”. Odbierający swoją własność pomstowali nawet, ale kto by tam chłopów słuchał. Oni zawsze narzekają.

Obrazu zaplanowanej akcji utorowania bezpiecznej drogi w góry dopełnił nadchodzący od strony imperialnej drogi oddział „Kolesia” Varika. Ci ludzie, pokonując okropne stromizny i przedzierając się przez potworne chaszczce, zesli z przemytniczego szlaku zaledwie kilkaset kroków dalej. Ale ich pojawienie się, maszerujących imperialną drogą, zrobiło kolosalne wrażenie. To czyja jest w końcu ta arteria? Cesarska? Czy w rękach partyzantów? A może używają jej jedni i drudzy?

Miraż, ułuda, omamy i zwidy. To rzeczywistość. Ludzie jednak mieli widzieć co innego. Wzorową operację umocnienia „przyczółku” na drodze, która pozwalała oddziałom operującym wzdłuż linii zaopatrzenia przeciwnika ponownie zaszyć się w górach. Wielką liczebność różnych grup partyzantów, wzorowe i dostatnie zaopatrzenie. No i zebrani tu imperialni kurierzy oraz artyści widzieli to, co mieli widzieć. Bez żadnego nacisku ze strony „komediantów”. Bez propagandy. Nie chcesz słuchać, co mamy do powiedzenia? To nie. Po prostu stój i patrz, a potem opowiadaj w całym kraju, co widziałeś. I tylko to, co widziałeś, nic więcej.

Stali więc i patrzyli.

A „Koleś” Varik robił wrażenie. Długi płaszcz na ramionach miał odwinęte do tyłu poły, żeby dla wszystkich widoczne były kabury dwóch rewolwerów na biodrach. Z płóciennego kapelusza, jakie nosili nadzorcy rolni, oderwał rondo, rozklepał i nosił na głowie na ukos, tak żeby nakrycie prawie zasłaniało prawe ucho. W zgięciu ramienia trzymał obrzyn, a w ustach miał trzcinkę, którą powoli żuł. Ludzie odruchowo rozstępowali się przed nim, kiedy podchodził do Shen zdać meldunek. Niestety, okazał się aktorem efekciarskim.

– Chcesz potrzywać, koleś? – Podał Oresowi swój obrzyn. – Muszę mieć wolne obie ręce.

Poeta z wielką ciekawością zajął się bronią.

– Tylko spustu nie naciśnij. Siekańcami nabite i skosisz pół tłumy.

Kane, przełknąwszy ślinę, odebrał koledze broń. Miał przynajmniej tyle rozumu, żeby lufę trzymać do góry, bo kiedy przypadkowo broń wypaliła z wielkim hukiem, nie ucierpiał nikt ze stojących wokół.

Shen stłumiła przekleństwo. „Koleś” Varik nie przejmował się jednak, być może nawet nabił samym prochem. Wyjął z kieszeni płaszcza mapę i zaczął rozwijać ją przed Shen.

– Tylko mów oględnie – ostrzegła. – Dużo ludzi dookoła.

Skinął głową na znak, że rozumie, i ułożył płachtę w dłoniach tak, żeby tylko ona widziała, co pokazuje.

– Zajęliśmy pozycję strategiczną tutaj. A tu było zabezpieczenie. Naszym celem, według twojego rozkazu, był ten teren...

Shen z całych sił zaciskała zęby, żeby nie ryknąć śmiechem. „Koleś” ze śmiertelnie poważną miną, mówiąc o pozycjach strategicznych, pokazywał



jej palcem na mapie największe skupiska krzaków. Z najwyższym trudem zachowywała powagę.

– Atak nastąpił z zaskoczenia. Zajęliśmy obiekty strategiczne tu i tu, i jeszcze tutaj. – Pokazał palcem polankę w niewielkim zagajniku, płot i jakąś kałużę. Mapa nie była w skali strategicznej, ani nawet taktycznej. Varik skądś wydobył szkic jakiegoś agronoma z narysowanym otoczeniem gospodarstwa rolnego. Shen robiła jednak dobrą minę do złej gry.

– Jakie straty?

„Koleś” zasępił się wyraźnie. A potem włożył ręce do kieszeni swojego płaszcza. Po chwili wyjął z nich dwie garści identyfikacyjnych blaszek. Armia imperium, wzorem wojska ludzi z żelaznych okrętów, przyjęła system dog tagów, widząc liczne korzyści takiego rozwiązania. I właśnie wprowadzała je do użycia, a Varikowi, rabującemu jakiś wóz taborowy, wpadła w ręce cała skrzynka nowiutkich blaszek. Kiedy jednak tutaj wyjął dwie pełne garści, powiało grozą. A on potrafił wykorzystać efekt.

– Atak był błyskawiczny i z zaskoczenia – powiedział głosem zmęczonego weterana. – Imperialni nie mieli żadnych szans.

Poeci, pisarze i pieśniarze tłoczyli się wokół, wstrzymując oddechy. Shen postanowiła to wykorzystać.

– Ludzie! Obywatele! Jeśli ktoś, jak my, buntuje się wobec zastanego porządku, jeśli zrzuca z siebie pęta dotychczasowej władzy, to uczciwym jest, jeśli przedstawi własne racje. Jeśli powie głośno, bez kręcenia i bez kłamstwa, co skłoniło go do tak dramatycznych i ostatecznych czynów! Musi wyjaśnić wszystkim, jaki jest jego cel, jakie zamiary i co chce osiągnąć swoimi postępami. Musi wytłumaczyć wszystkim jasno i w zrozumiały sposób, skąd wziął się jego bunt.

Shen przechadzała się wśród milczących ludzi. Ciszy na placu nic nie mąciło.

– I ja nie unikam tego obowiązku! Przeciwnie. Chcę wszystko wyjaśnić! – Rozejrzała się po twarzach mężczyzn, którzy stali najbliżej. – Wiem, że kurierzy nie chcą słuchać niczego, dla nich ważne jest to, co zobaczą. Ale muszę powiedzieć swoje wobec absolutnej elity intelektualnej tego kraju.

O! To były właściwe słowa skierowane do właściwych ludzi. Kadir, układający je rano, dał radę! Bowiem fala pychy i samonadęcia zalała właśnie dusze zgromadzonych tu artystów, napełniając je równocześnie

sprzyjaniem Shen. O tak! Jak się ich tak traktuje, to oni rzeczywiście mogą zrobić dużo.

– Panowie... Wiecie, że szkół nie kończyłam. Nie jestem partnerem dla waszej błyskotliwej inteligencji. W moim imieniu będzie więc mówić oficer polityczna Sharri, bardziej biegła w kontaktach z ludźmi tak wyjątkowymi jak wy!

Artyści zaczęli klaskać. Pochylali głowy. O tak, to były właściwe dla nich słowa. Nikt więc nie zwrócił uwagi, że Sharri, aby być lepiej widziana, wspięła się na przygotowaną przedtem skrzynkę. Nikomu nie przyszło do głowy, że skoro przywiozła wozem skrzynkę, to musiała wcześniej wiedzieć o tym spotkaniu. Nikt tego jednak nie analizował. Nie tego przecież dotyczył spektakl, który rozgrywał się na ich oczach.



Ogromny wiatrakowiec zatoczył krąg przed lądowaniem, a potem ustawił się pod wiatr. Wyrównanego terenu poniżej nie dałoby się nazwać co prawda lotniskiem i samolot by tu nie wylądował, ale dla maszyny z ogromnym śmigłem u góry zamiast skrzydeł teren okazał się wręcz idealny; brak pasa startowego był zaletą, a nie wadą, ponieważ pilot mógł schodzić idealnie według wskazań kolorowego rękawa umieszczonego na wysokim drągu. Nawet dla tak dużej konstrukcji kilkanaście metrów dobiegu wystarczyło w zupełności.

Siwecki ruszył w stronę niespodziewanego gościa, zanim jeszcze pilot wyłączył silnik. Coś niebywałego, Krzysiek zgłosił się przez radio, że leci, i nikt nie miał pojęcia, że to już. Że rozmawiali z odległości kilkudziesięciu kilometrów zaledwie. Wizyta może i była niezapowiedziana, ale przyjęta przez wszystkich z ogromną radością. Nudy, która panowała na terenie zajętej świątyni dzikusów, nie dało się porównać dosłownie z niczym.

Tomaszewski pierwszy wyskoczył z kabiny. Nie zdążył zdjąć hełmu, kiedy Siwecki chwycił go w ramiona i wyściskał z całej siły.

– Powiedz, że nasze zesłanie się kończy! Stary, powiedz, proszę cię!

– Kończ się, kończy. – Tomaszewski mocował się z paskiem hełmu i podpiętym doń elektrycznym kablem. – Już niedługo.

– Niedługo? – Siweckiemu opadły ręce. – Tu można oszaleć.

– Naprawdę prawie już. Armia imperialna zajęła się drogą i ktoś was złuzuje.

– Błagam, tylko nie mów, że zluzują nas, dopiero kiedy wybudują drogę?!

Na szczęście Meredith uratował Tomaszewskiego od udzielania precyzyjnych odpowiedzi.

– Witamy pana komandora, witamy. – Podszedł z wyciągniętą polskim zwyczajem ręką.

Uścisnęli się. Czarownik najwyraźniej też cieszył się z jego wizyty.

– Niestety, ja tylko przelotem. Zatankujemy i w drogę.

– No ale opowie nam pan, co w świecie wielkim ciekawego się dzieje. Napije się czegoś.

– Z wielką przyjemnością. Tak wiało tam, w górze, i tak nas wyhuściło, że wypiję wszystko, co mocne, a czym mnie panowie poczęstują.

Tomaszewski żartował oczywiście. Kiedy pilot zdjął zabezpieczenia i otworzył skrzynię ładunkową, wyjął z niej skrzynkę, sądząc po charakterystycznych brzęknięciach, zawierającą wyłącznie jakieś butelki.

– Wiem, że oficjalne transporty często nie mogą zawierać pewnych rzeczy, więc zaopatrzenie specjalne przywiozłem wam osobiście.

– To rozpijanie wojska – mruknął Siwecki, przejmując jednak skrzynkę ochoczo. – No ale dobrze. Zajmę się tym przykrym obowiązkiem.

– Tak. – Meredith smętnie pokiwał głową. – Widzę, że dowództwo Wojska Polskiego, jak kazałby każdy dobry strateg, zajęło się w pierwszej kolejności zabezpieczeniem podstaw do prowadzenia dalszych działań.

– Naprawdę budowa drogi idzie pełną parą? – spytał Siwecki, kiedy ruszyli w stronę świątynnych zabudowań.

– Naprawdę. Po ukończeniu linii kolejowej na Złe Ziemie buduje się tam jeszcze coś, co nazwałem roboczo „bocznica specjalną”. Pójdzie błyskiem, bo tam możemy w tej chwili zatrudnić jednego inżyniera na kilometr bieżący trasy. A i tak jest ogromna nadwyżka, więc już przysyłają tutaj ogromną liczbę zaprawionych w budowie dróg ludzi.

– Ale ta tutaj jest inicjatywą cesarstwa?

Tomaszewski zatrzymał się, kiedy jakaś myśl przyszła mu do głowy. Po chwili ruszył dalej, wiedząc, że jej nie rozstrzygnie.

– Tak po prawdzie to nie wiem. – Zerknął na Mereditha, jakby u niego szukając odpowiedzi, ale czarownik tylko rozłożył ręce.

Natomiast Siwecki domyślił się czegoś błyskawicznie.

– Aha – mruknął. – Czyli to może być tak, że „bocznicą specjalną”, będącą w polskich rękach, jest naszą odpowiedzią na drogę imperialną, która teraz poprowadzi na drugą stronę lasu Banxi?

Tomaszewski wolał nie komentować. Przywitał się wylewnie z majorem Baranowskim, który czekał przy wejściu do świątynnego przedsionka. Kwatery wojska były tuż obok, a tu urządzono nawet coś w rodzaju małego kasyna. Boazerie zrobione z desek, których prawdziwym przeznaczeniem były kiedyś skrzynki do transportu zaopatrzenia, szynkwas z rozklepanej blachy zużytych konserw i podwieszany sufit z płacht brezentu w barwy maskujące może nie sprawiały wrażenia domowej atmosfery, ale na pewno ocieplały widok ponurych, gołych ścian starożytnej budowli.

– Kawę? Bimber?

Za barmana przebrał się starszy kapral piechoty morskiej. Włożył płócienny fartuch, przez przedramię przewiesił sobie śnieżnobiałą szmatę. Radził sobie doskonale.

– Mamy też ciepłe przekąski.

Tomaszewski otrząsnął się.

– Nie, nie, nic do jedzenia. – Widać w powietrzu wytrzęsło go naprawdę niezłe. Choć jako marynarz powinien być odporny na kołysanie. – Raczej to drugie.

– Rozumiem, panie komandorze. Bimber bez kawy.

– Dobry wybór. – Baranowski skinął głową. – Miejscowy specjał, którego koniecznie trzeba spróbować.

– Powiedz, a jak tam Kai? – dopytywał Siwecki. – Są od niej jakieś wieści?

Tomaszewski z sykiem wciągnął powietrze.

– Trudno powiedzieć, co tam się dzieje na innym kontynencie. Meldunki, które dostajemy od czasu do czasu, są... – Zaczął szukać odpowiedniego słowa.

– Niezbyt ściśle? – poddał myśl Siwecki.

– Są kobiece. To chyba najważniejsze słowo. Bardzo kobiece.

Baranowski zaczął się śmiać.

– Urocze określenie.

– No a co donosi? – Lekarz nie mógł opanować ciekawości.

– W pierwszym meldunku doniosła, że obie zajęły się handlem butami.

– Czym?!

– Butami. A ostatni meldunek wam przeczytam. – Tomaszewski rozpiął kieszeń kombinezonu na ramieniu i wyjął złożoną we czworo kartkę. Rozprostował ją szybko. – Cytuję: „Ślepy podróżnik wpuścił nas w straszne maliny. Przez to wszyscy już wiedzą, że jesteśmy szpiegami, a konkretnie, wie łyśy. Ale nie ma się czym przejmować, bo jest bardzo przyjazny, ponieważ pomogliśmy mu w sprawie butów. Pijana Nuk pobiła nieuczciwego lichwiarza. Ale nie ma sprawy, zapłaciłam mu za siniaki. Jesteśmy w drodze do bazy ludzi z żelaznych okrętów”.

– O Boże... – Baranowski ukrył twarz w dłoniach. – To jakiś szyfr?

– Nie sądzę.

– Mogę? – Meredith wyciągnął rękę po kartkę. Kiedy ją dostał, delikatnie przesunął papier pod nosem, jakby wąchał jakiś tajemny, zawarty w radiogramie zapach. – Nie nadawała tego w stanie wzburzenia. Nie była też przerażona ani zmartwiona.

– Dzięki. Przynajmniej jakieś pocieszenie. Niemniej sprawa tajemniczych butów nie została wyjaśniona.

– Myślę, że Muszka z koleżanką wbrew pozorom doskonale sobie radzą. No a pisze, jak pisze. Przecież jest prawdziwą kobietą.

– A buty?

– To jakiś kryptonim. Ciągłe do tego wraca.

Tomaszewski uśmiechnął się do czarownika. Kiedy kapral przyniósł kieliszki wypełnione różowawym płynem, wypili zdrowie wywiadowców.

– No to wszystko się zgadza. My doszliśmy do podobnych wniosków. Ślepy podróżnik kłamał nam jak z nut – powiedział Siwecki.

– Nie był w budynkach tak wielkich, że z oddechów zgromadzonych tam ludzi tworzyły się chmury? – zapytał Tomaszewski ciekawy ich zdania.

– Nie był. To zwykły szpieg – odparł Meredith. – Jedyne czytał gdzieś o tym. A w każdym razie wierzył w tę opowieść.

– A skąd to można wiedzieć?

– Widzisz... – Siwecki zerknął na czarownika. – My też zapomnieliśmy, że dysponujemy najczulszym instrumentem do wyczuwania ludzkiej aury, jaki był kiedykolwiek do dyspozycji w całej historii cywilizacji.

Meredith odzegnująco podniósł rękę.

– Zamknąłem się w jego celi na kilka nocy – wyjaśnił. – I czegoś tam się dowiedziałem.

– Z samej aury?

– Tak. On oprócz doraźnych zadań szpiegowskich szukał też śladów czegoś, co określał słowami „Księga Przejścia”. Czy jakoś tak.

– Księga Przejścia?

– Fragmentów tekstu, który umożliwia dotarcie do tego miasta, gdzie jest ukryty pomnik cesarzowej Achai. Ślepy podróżnik chciał się między innymi dowiedzieć, czy ta księga jest również na naszym kontynencie.

– Również?

– U nich jest. Nie wiem, czy cała, nie mam pojęcia, czy czegoś nie brakuje. W każdym razie dla szpiega bardzo istotne było sprawdzenie, czy na tym kontynencie też znają tę księgę.

– Hm... – Tomaszewski skinął na barmana i wskazał swój kieliszek. Miejscowy samogon faktycznie nie miał sobie równych. Śmiało mógłby dostać nalepkę na butelki, znak akcyzy i ruszyć na podbój świata. – Ciekawe. Żeby aż tak ryzykować dla jakiejś książki?

– A Osiatyński i fragmenty całunu? – poddał myśl Baranowski. – Zresztą powiem inaczej. Jako oficer wojsk lądowych widzę jeden powód wykonywania samobójczych misji wywiadowczych.

– Jaki?

– Oni prawdopodobnie ruszają w kierunku... – Baranowski wyjął z kieszeni szkicową mapę w dużej skali i rozłożył na stoliku. – Tu, gdzie być może rozciąga się pęsepną kraina z budowlami, w których ukryto pomnik. – Jego palec trafił na wielką białą plamę, która świadczyła, że o geografii tych regionów wiedzą zero, używając języka ogólnowojskowego. – Ruszają tam całą siłą i wysyłają szpiegów, żeby zorientować się, co mają na głównej flance. Czy istnieje jakieś zagrożenie z naszej strony.

Tomaszewski skinął głową.

– To ma sens – powiedział. – Ale też to znaczy, że oba kontynenty gdzieś tam się łączą.

Baranowski wyjął ołówek i zaczął kreślić na mapie linię łączącą znane i domniemane na podstawie skąpych opisów z cesarskich bibliotek brzegi.

– To rysuję zupełnie z wyobraźni – podkreślił, żeby nikt nie miał wątpliwości. – Ale chcę wam unaocznić pewien problem. Jeśli siły królestwa Nayer prą tu – narysował znak zapytania w miejscu, gdzie być może leżała kraina z monstrualnymi budowlami – to skoro my stanowimy

dla nich flankę, świadczy, że nie idą najkrótszą drogą. Że coś ich stopuje. – Narysował drugi znak zapytania.

Tomaszewski przyglądał się mapie z uwagą. To nic, że natchnieniem do narysowania tych kresek i znaków był wyłącznie sufit. Pozwoliło to jednak skierować wyobraźnię na właściwe tory.

– No nic – mruknął. – Dziękuję za rysunek poglądowy. Bardzo mi to pomoże podczas zwiadu.

Baranowski zerknął na Siweckiego, a potem, jakby szukając pomocy, na Mereditha. Nie doczekał się jednak reakcji.

– Nie znam dokładnie procedur marynarki wojennej. – Sam zdecydował się zadać nurtujące go pytanie. – Ale czy to nie dziwne, że w zwiadzie lotniczym uczestniczy sam komandor? Nie za wysoka ranga do tego zadania?

– Może będę musiał gdzieś wylądować. – Tomaszewski uśmiechnął się, unikając odpowiedzi.

– No rzeczywiście – odezwał się niespodziewanie zdziwiony czarownik. – Tak wysoki dowódca na zwiad?

Tym razem Tomaszewski nie mógł się wywinąć od odpowiedzi.

– Nie mówiłem o tym, ale dysponuję naprawdę tajnymi materiałami od inżynier Wyszyńskiej. Pochodzą z rekonstrukcji opowieści hydrologa z załogi „Gradienta”, z jego majaczeń i koszmarów. Na ich podstawie i na podstawie waszych raportów mogę się domyślać, gdzie pędzono ludzi, których tutaj gromadzono i przetrzymywano. Ale to tylko domysły na podstawie cudzych majaków. Muszę wszystko zobaczyć sam. Powierzenie tego zwykłemu zwiadowcy nie wchodzi w grę.

Przerwało mu nadejście szeregowego piechoty morskiej, który zameldował się służbiście przy ich stoliku.

– Panie komandorze. Jest pewien problem przy tankowaniu i rozłożeniu ładunków na wiatrakowcu. Obsługa chce, żeby pan podjął decyzję.

– Jasne. Już idę. – Tomaszewski podniósł się szybko. – Panowie, przepraszam na moment. Postaram się zaraz do was wrócić.

Kiedy odszedł, Siwecki wziął do ręki mapę ze szkicami Baranowskiego.

– No proszę. Jak się zainteresował hipotezą, że kontynenty mogą się łączyć.

Major zerknął na jego zadowoloną z czegoś minę.

– A ty z czego się tak śmiejesz?

– No właśnie? – do pytania dołączył Meredith.

– Oj, chłopaki, chłopaki... – Młody lekarz odchylił się na oparciu krzesła. – Tacy z was fachowcy. Każdy to geniusz w swojej dziedzinie. A nie możecie zrozumieć tak prostej rzeczy.

– Jakiej?

– Czego nie możemy zrozumieć? – Obaj najwyraźniej zainteresowali się tym, czego sami nie mogą odgadnąć, a co jest jasne i proste dla Siweckiego.

– Pytacie, dlaczego komandor dowodzi zwykłym zwiadem lotniczym. No aż śmieszne.

– No dlaczego?

– Bo tu nie chodzi o żaden zwiad, tylko o Kai, chłopaki. O kobietę!

Baranowski aż syknął, wkurzony, że ta oczywista odpowiedź nie przyszła mu do głowy.

No tak. Misja na obcym kontynencie, sprawa absolutnie priorytetowa. Ale kiedy się okazało, że ślepy podróżnik sam jest szpiegiem, to tam, za morzem, zrobiło się niebezpiecznie. I teraz sprawa pomocy dla Kai stała się priorytetem.

Meredith miał jednak inne spojrzenie na sprawę.

– A sympatyczna pani inżynier nie ukoła tęsknoty? – zapytał.

– Czeka, czeka... – Siwecki zerknął na czarownika. – Podoba mi się trop, którym podąża twój tok myślenia. On... – Zmrużył oczy. – On się przespał z Wyszyńską. I pewnie okazała się fajna oraz technicznie doskonała.

Czarownik aż klasnął w dłonie.

– I dopiero to mu pokazało, jak ważna jest dla niego prawdziwa miłość młodej czarownicy! – Uśmiechnął się. – No i wszystko jasne. To ma ręce i nogi.

– No cóż... – Baranowski skinął głową, najwyraźniej zgadzał się z przedmówcami. – Komandor na pierwszej linii... Ale nie takie rzeczy sprawiały kobiety w historii świata.



Miasto było wielkie, lecz co uderzało od pierwszej chwili, wydawało się pustawo. Budynki, w większości drewniane, może jeszcze nie chyliły się ku upadkowi, jednak sporej liczbie niewiele brakowało. Wrażenie



zapuszczenia, brudu i jakiejś takiej biorącej zawsze górę szarzyzny nie opuszczało przybyszów od pierwszej chwili. Nieliczni ludzie tej biednej krainy snuli się ospale pod ścianami, nigdy środkiem ulicy, załatwiali niespiesznie swoje sprawy, zdawali się nie interesować niczym wokół. Nie było tu ducha walki o swój los wszechobecnego w cesarstwie, nie było wrażeń mrowiska, gdzie każdy pędem dążył, by załatwić swoje sprawy i oddać się czemuś, co frapowało, fascynowało, nie dawało spać. Snujący się nieliczni przechodnie wydawali się zasypiać na stojąco, pozbawieni woli i inicjatywy.

– Straszne. – Kai niepewnie się rozglądała. Zwróciła uwagę, że one same, jakby poddając się charakterowi miejsca albo nie chcąc się wyróżniać, potulnie zeszyły ze środka drogi i tak jak miejscowi przemykały pod ścianami nienaprawianych od dawna budynków. – Gdzie są wszyscy ludzie?

– Może zapędzono ich do pracy? – Nuk również nie miała tęgiej miny. – I ulice się zapełnią o jakiejś porze dnia dopiero?

– I gdzie ci ludzie pójdą, kiedy ich już zwolnią z pracy?

– Nie rozumiem.

– No to patrz. Ile karczem widziałaś po drodze?

Nuk rozejrzała się, jakby dopiero teraz do niej docierało, co widzi.

– Chyba jedną? – zabrzmiało to jak pytanie.

– Właśnie. – Czarownica przyspieszyła kroku. – I tak z pracy do domu ich przepędzają? O jednej porze?

– Coś w tym jest. Targu z prawdziwego zdarzenia też tu nie widzieliśmy.

– No ale była kolejka pod jakimś magazynem.

– Tym z żywnością? – Sierżant usiłowała sobie przypomnieć ponury widok. – Coś tam dawali chyba do zarcia. Ale to wyglądało, jakby coś rozdzielali. A nie jakby ludzie robili zakupy.

No tak. Nikt niczego nie wybierał. Nie targowano się, nie kłócono. Dziwne. Wrażenie obcości pogłębiło się, kiedy wyszły na plac przed jakąś budowlą z kamienia. Sam budynek był chyba siedzibą władz albo administracji. Jak wszystko wokół, jego ściany również wymagały remontu. Ale nie to było najbardziej uderzające. Ogromny plac przed budynkiem był zupełnie pusty. Nikt, dosłownie nikt nie przemierzał wielkiej przestrzeni. Zresztą tak właściwie to po co miałyby to robić. Elewacje innych domów

naokoło placu nie miały niczego, co mogłoby przyciągać przychodniów. Nie tylko oberż, ale nie było tam kramów, kantorów, kupieckich składów, ani nawet burdeli. Małe wejścia sugerowały, że były to zwykłe pomieszczenia, gdzie mieszkali ludzie. Obie nie mogły sobie tego wyobrazić. Ogromny reprezentacyjny plac w samym środku miasta. Budowla publiczna, w której nikt nie załatwiał spraw, a wokół zwykłe domy mieszkalne. W imperium byłoby to nie do pomyślenia.

A jednak atmosfera przytłaczała do tego stopnia, że same też nie przeszły na skrót, przez środek placu. Przemknęły pod ścianami.

– Dziwna jest mała liczba strażników – powiedziała Nuk.

– A czego mają pilnować?

– No nie wiem. Może łapać złodziei?

– Jakoś mi to wygląda na brak przybyszów do okradzenia i tym samym brak złodziei.

– Zawsze jest co kraść.

– Ale niekoniecznie z sakiewek na ulicach.

Ulica za placem prowadziła prawdopodobnie prosto do portu. Najpierw wyszły na bulwar, pustawy, jak wszystko wokół, pozbawiony drzew, nieprzyjemny. Tu jednak ktoś się nimi zainteresował. Jak sądziła Kai, nie byli to strażnicy po cywilnemu. Raczej miejscowe cwaniaczki, gromadzące się przy każdym porcie w każdym mieście na świecie. Obie nie wzbudzały już jednak większego zainteresowania. Dzięki łysemu szewcowi ubrane teraz naprawdę jak miejscowe, celowo niechlujne, z potarganymi włosami, nie przywodziły na myśl kogoś, kto dysponuje większymi pieniędzmi.

– Gdzie mamy iść?

– Do starego spichlerza. Przy zrujnowanej twierdzy, w stronę świątyni króla–boga.

– Tyle to i ja wiem – syknęła Nuk.

Od łysego szewca dostały kontakt do jakiegoś szemranego kupca. Gdyby pokazały ciężarek ze znakami, który im dał, może uzyskałyby jakąś pomoc. Ale jak tu znaleźć zrujnowaną twierdzę, skoro wszystko wokół wyglądało jak zrujnowane? Który to „stary spichlerz”, skoro absolutnie żaden nie był nowy? No szlag!

– Nie możesz użyć trochę swojej mocy, czarownico durna?

– Od razu mnie odkryją, jeśli tu jest jakikolwiek czarownik.

– Może nie ma?

– No kurna, ale jak sprawdzę i będzie, to się zrobi za późno.

– Na jaką zarazę te wasze moce czarnoksięskie, skoro do niczego nie służą?

Kai uśmiechnęła się słodko. Dzięki Meredithowi wiedziała już, co odpowiadać na takie zaczepki.

– Czarownik jest jak samolot myśliwski. A te samoloty do niczego nie służą poza neutralizacją samolotów wroga.

Na ten argument nie było żadnej odpowiedzi. Nuk machnęła ręką.

– No to zestrzel przynajmniej jakiś bombowiec – dowiodła, że wie coś o polskim wojsku pozostawionym w macierzy. – Przesłuchamy załogę i przynajmniej czegoś się dowiemy.

– Patrz! – Kai przestała słuchać utyskiwań sierżant. – Dym!

– No, dym. No i co z tego?

– Ale taki czarny, gryzący!

Nuk podniosła głowę. Nie była zbyt dobra w rozpoznawaniu rodzajów dymu i nie miała pojęcia, o co tamtej chodzi. Kai natomiast przyspieszyła kroku.

– Nie leć tak! Zwracamy uwagę.

– Ale jesteśmy u celu!

– Zwolnij, idiotko! – Nuk chwyciła czarownicę za rękę. Nie zdołała jej jednak powstrzymać. Kai zrobiła zmyłkowy krok w tył, uwolniła rękę i wbiegła po kamiennych schodkach na pomost przy murku oddzielającym bulwar od skarpy opadającej ostro w stronę basenu portowego.

– Patrz!

Nuk, klnąc, wspięła się za koleżanką. Dłonią osłoniła oczy przed słońcem. Stąd rzeczywiście można było dostrzec źródło czarnego, gęstego dymu. To dźwig portowy. Cały wykonany ze stali!

Ludzie z żelaznych okrętów. Byli tutaj z całą pewnością. Dźwig w porcie napędzany maszyną parową należał do nich. Nikt inny na tym świecie nie dysponował taką techniką. Nuk jednak, w przeciwieństwie do czarownicy, od razu zaczęła wyciągać wnioski z tego, co widzi. Dobrze ją przygotowano na szkoleniu w zakresie obserwacji.

Dźwig napędzany maszyną parową, umieszczoną bezpośrednio na korpusie, jako część konstrukcji. To znaczyło, że ludzi zza gór nie ma tu zbyt wielu. Nie stać ich albo nie jest im potrzebne przywiezienie generatorów prądu i umieszczenie napędzającej ich maszyny parowej w

innym, wygodniejszym miejscu. Poza tym węgiel, który to wszystko uruchamia. Na szerokości geograficznej, na której się znajdowały, węgiel łatwiej znaleźć niż ropę naftową. Korzystali więc z tego, co pod ręką. Nie mieli miejscowych źródeł ropy. Nie stać ich było na przywożenie płynnych paliw z za gór jak RP. A poza tym dźwig jest jeden i najprawdopodobniej jedyny. Więcej więc nie potrzeba. I już można oszacować, tak mniej więcej na razie, liczebność przybyszów. No i fakt, że nie dysponują raczej przesmykiem przez Góry Bogów, przez który mogą przepływać statki. A jak się tu dostają? Każda informacja musi być złożona z inną informacją, zaczerpniętą z innego źródła. Dziewczyny poinformowano, że wspinacze wysokogórscy znaleźli na wysokościach klamrę z tamtego świata. I wszystko jasne. Jednak ewidentnie elementów konstrukcji, które tu widziały, nie przytargano przez góry na plecach tragarzy. Musiał istnieć inny system transportu. No i teraz właśnie wspinacze powinni dostać konkretne zadanie. Była pod wrażeniem szkolenia przed akcją, jakie im zafundowano. Bogowie! Jak wiele rzeczy można wywnioskować z prostego widoku jednego dźwigu w porcie, jeśli się tylko wie, w jaki sposób myśleć! Jedno spojrzenie i już ma się informacje o kardynalnym znaczeniu!

– Musimy nadać meldunek – powiedziała.

– Tak. – Kai skinęła głową. – A widzisz jeszcze jedną zasadniczą różnicę pomiędzy tym tutaj a polską bazą w Negger Bank?

– Poza tym, że tam dźwigów jest mnóstwo i żaden nie jest napędzany bezpośrednio maszyną parową? – Nuk zamyśliła się na chwilę. – Tu w okolicach bazy nie ma tłumy szturmującego wejścia do miejsca „mlekiem i miodem płynącego”.

– Właśnie. Jakby nikogo z miejscowych ta baza nie interesowała.

– Może ludzie z za gór rozliczają się tylko i wyłącznie z władcą? I lud się nie upasie dobrze płacną pracą. Może kupcy tutaj mają nakaz sprzedaży towarów do magazynów państwowych i nie mogą sprzedawać bezpośrednio obcom? Słyszałaś, co mówił łysy.

– Ale to bezsens.

– Nie żebym się czepiała, głupia sroko, ale uczyli nas, że wywiadowca ma obserwować i wyciągać wnioski, a nie oceniać cokolwiek.

– No to wyciągnęłam wniosek – zaperzyła się Kai. – Tu wszystko jest bez sensu.

– Ano właśnie. Zaraz rad tutejszemu królowi zaczniesz udzielać.

- Na pewno by skorzystał!
- Idiotka!
- Głupia cipa!
- Ty po prostu masz nasrane w umyśle!
- A ty się nie nachylaj nad ogniem! Bo ci trociny w głowie zapłoną!
- Spokój! – rozległ się skądś męski głos.

Zamarły przerażone.

- Nie bluzgać się, głupie baby! Na dół tu. Do mnie zejździe!

Obie wychyliły się nad poręczą pomostu, gdzie stały. Poniżej na bulwarze czekał gruby strażnik w dość czystym nawet mundurze. Wydawało się, że nie miał broni przy sobie, więc albo je zlekceważył, albo sprawa nie była z gatunku tych groźnych.

– No, złaźcie tu! – powtórzył, patrząc srogo. – I nie bluzgajcie tak na siebie, bo głowa mnie rozboleła od waszych krzyków.

Obie, niepewne, ruszyły schodami w dół.

– Siedzę ja sobie w wartowni, patrzę, jak idziecie, i myślę sobie: aresztuję was, jak do mnie dotrzecie. To nie! Wypocząć nie dały! Obie wlażyły na pomost i dalej wrzeszczeć na siebie. Aż się musiałem pofatygować do was i tu was ująć. Z dała od wartowni.

– Aresztować nas chcecie, panie? – Nuk stanęła przy strażniku. – A za co?

– Za co? – Grubas zmarszczył brwi i podrapał się w czoło, myśląc nad czymś intensywnie. – No... Za ten, no... Za zakłócanie porządku za pomocą wrzasku! O!

– Ale zaraz – włączyła się Kai. – Kiedy szłyśmy w stronę wartowni, to jeszcze na siebie nie krzyczałyśmy i porządku nie zakłócałyśmy, a wyście już wtedy chcieli nas aresztować. To za co?

– A ty nie bądź taka mądra! – Strażnik rozżłościł się wyraźnie, ale jak to zwykle bywa u ludzi otyłych, ta złość nie była jakoś szczególnie straszna. Wyglądał w gruncie rzeczy na dobrodusznego człowieka. – Cielę mi się wygadane trafiło! A tu chodzić nie wolno! W ogóle nie wolno. Niczego nie wolno. No i aresztuję was. Chodźcie za mną!

Odwrócił się i ruszył w stronę wartowni, a one zostały same, niczego nie rozumiejąc. Rozejrzały się gorączkowo. Nikogo! I co mają teraz zrobić? Iść za nim? Czy może uciekać? Wiadomo, że gruby ich nie dogoni w żaden

sposób, a strzelać nie miał z czego. Ale może miał gwizdek i jeśli go użyje, rzuca się na nie jakieś hordy, których teraz nie widać?

Strażnik musiał chyba poczuć, że nie idą za nim, bo zatrzymał się i odwrócił.

– No co jest?! Przecież was aresztowałem. Chodźcie za mną!

– A ty nas do lochu wrzucisz. – Kai nie mogła się opanować. – Nas? Do lochu? I tam zgnijemy?

– Do jakiego lochu? – obruszył się znowu. – Za co do lochu?

– No bo chodzimy tu, a nie wolno, i jeszcze bluzgamy na siebie!

– Za bluzganie jedna na drugą to jeszcze żadnej kobiety nie posadzili przecież. Boby musieli wszystkie baby w kraju wyaresztować, co do jednej sztuki – powiedział szczerze.

– A! Czyli kłamałeś poprzednio!

– O matko moja! – jęknął strażnik. – Pyskate babsko mi się trafiło. I dlaczego to akurat na mojej zmianie?

– Nie pójdziemy do lochu, gdzie zgnijemy! – wrzasnęła Kai, czując, że sprawa „kryminalna” nie jest chyba zbyt poważna. Strażnik najwyraźniej niewiele usłyszał z tego, o czym rozmawiały.

– Ani na gwałt! – dodała Nuk. – Też nie pójdziemy.

Gruby otarł wielkie krople potu, które gromadziły mu się nad brwiami.

– Przestańcie jazgotać wreszcie – poprosił. – Inspekcja będzie wieczorem na wartowni i porządek trzeba zrobić. To aresztujemy, kogo się da. Za to przecież ciepłą strawę dostaniecie i miejsce do spania.

– W lochu? Gdzie zgnijemy?

– W stodole, u nas lochu nie ma. A liczba aresztantów musi być duża na noc, bo planu nie wyrobimy i nas samych aresztują. No chodźcie, więźniarki jedne! Przecież noclegu tutaj bez dokumentów i tak nie znajdziecie.

– A skąd wiesz, że nie mamy dokumentów? – dała się zaskoczyć Kai.

– To przecież widać.

Dziewczyny spojrzały po sobie zdziwione. Tak łatwo je rozgryźć? I jemu aż tak nie zależało? Ważniejsza była fikcja liczby „aresztantów” na noc i wizja lśniącej wartowni niż autentyczne ściganie przestępców? Ciekawe.

Tym razem jednak, kiedy ruszył, powlokły się za nim. Resztki obaw wyparowały z ich głów, kiedy zobaczyły wartownię. Wielki budynek z

ciemnego kamienia z kratą zamiast jednej ze ścian. I za tą kratą kilkanaście aresztowanych wcześniej kobiet pucowało podłogę i ściany wielkimi szmatami. Kilku więźniów mężczyzn nosiło wielkie płachcie wyciętej skądś trawy i układało pieczołowicie tuż przy wejściu. Warty przysypiały na posterunkach, a podoficera przy kantorku obudził dopiero gruby strażnik.

– Mam jeszcze dwie! – zameldował.

Dowódca warty ledwie otworzył oczy.

– Kim jesteście?

Podaly mu swoje imiona, ale ten obruszył się wyraźnie.

– No możecie sobie jeszcze jakieś wymyślić. – W jego głosie dało się wyczuć irytację. – Kim jesteście, pytam?

– Jesteśmy kucharkami. – Kai pamiętała uwagi łysego szewca i już nie mówiła, że są z Naher. – Za pracą idziemy. Przy kuchni. – Usiłowała stylizować się na sposób mówienia głupola, bo chyba taki tu obowiązywał. Żadnych skomplikowanych form składniowych.

Podoficer otworzył oczy znacznie szerzej i po raz pierwszy okazał im autentyczne zainteresowanie.

– Kucharkami? – Aż się nachylił nad blatem, gdzie leżało kilka papierów.

– Tak, panie.

Mężczyznę zapowietrzyło.

– Kucharkami... – powtórzył mimowolnie. – Kucharkami. – Aż klasnął w dłonie. – No to jazda do garów! A postarajcie się, bo wieczorem będą na inspekcji oficerowie, a nawet jeden gość z zagranicy będzie!

Kai struchlała. Przecież o gotowaniu nie miały pojęcia. A dowódca warty dosłownie promieniał.

– Tylko nie waż się dawać ich do sprzątnia! – opieprzał niewinnego przecież grubego strażnika. – Do kuchni je i natychmiast odsuń od gotowania te łamagi, co gównu potrafią. Oddaj tamtych dwóch pod rozkazy tych dziewczyn. Niech tamci pomagają!

– Strażnicy pod rozkazami więźniarek? – odważył się zaproponować gruby.

– Przecież wyraźnie mówię, nie? – Podoficer, choć używał prostackiego języka i wyglądał na idiotę, najwyraźniej nie miał jednak wątpliwości. – No jazda, no!

Kai ruszyła za grubym bez wahania. Nuk przeciwnie, była przytłoczona tym, co zrobiła jej koleżanka.

– No i coś ty mądrego wymyśliła? – syknęła, kiedy weszły do ciemnego korytarza prowadzącego na zaplecze.

– Co?

– Jakie kucharki, kretynko? Umiesz gotować?!

– Myślałam, że ty umiesz. No przecież w wojsku wszystkiego uczą.

– Pojebało cię? Gotowania uczą?!

– A nie?

Nuk załamana zakryła twarz dłońmi i przez to mało nie wyrznęła głową w słup rozdzielający korytarz i magazynowe nisze. Kai obrażona nie zwróciła nawet uwagi. Po chwili odezwała się jednak.

– Co tu tak strasznie śmierdzi? Zaraz zwymiotuję.

– To kuchnia, głupia dupo! Tak właśnie śmierdzi wojskowa kuchnia.

– Nie bluzgać na siebie. – Gruby strażnik nie wnikał, co tam kobiety szepczą między sobą. Nie chciał, żeby się kłóciły, bo jak spieprzą robotę, to cała odpowiedzialność może spaść na niego. Otworzył niewielkie drzwi na końcu korytarza. Smród buchnął stamtąd ze wielokrotnioną mocą. – To tutaj. Do roboty!

Teraz już obie były przestraszone. Niepewnie weszły do sporego pomieszczenia. Na jego środku umieszczono olbrzymi gar, w którym coś bulgotało. Szara piana na wierzchu przywodziła na myśl wszystko oprócz tego, co można by było włożyć do ust.

– No! – Strażnik odpędził dwóch mężczyzn, którzy dotąd zajmowali się kotłem. – Teraz już nic nie róbcie – nakazał. – Macie tylko pomagać tym dwóm babom. To prawdziwe kucharki i obiecały, że zrobią na dzisiaj wieczór prawdziwą ucztę. A czasu już mało. I do roboty!

Usłyszawszy określenie „prawdziwa ucztą”, Kai mało nie zwymiotowała. Nuk trzymała się lepiej. W jej oczach jednak czaił się strach. Bacznie obserwowała tajemnicze procesy, które zachodziły w mętnej, zburzonej powierzchni cieczy w garze. Ten widok nie napajał optymizmem.

– Co robimy?

Kai postanowiła zebrać się w sobie.

– Z czego ma być kolacja? – zapytała jednego z pomocników.



Młody człowiek o twarzy, która nie zdradzała nadmiaru inteligencji, wskazał gara. Nie dopytywała, co zawierał.

– Musimy zlikwidować ten smród.

Najwyraźniej nie zrozumiał.

– Co?

– Ten smród. Z czego on się bierze?

– Pewnie z mięsa.

– A co? Nieświeże?

Młody człowiek otworzył usta i tak już pozostał. Nie miał zielonego pojęcia, o czym mówi nowa kucharka.

– Smród się bierze chyba z tej wody po gotowaniu – Nuk miała swoją teorię.

– To ją wylejmy!

– Ale wtedy mięso będzie zimne.

– To zagotujmy jeszcze raz.

– Wtedy mięso będzie bez wartości... I chyba bez smaku.

– Jeśli to coś smakuje tak, jak śmierdzi, to może i dobrze. – Kai podpatrzyła u pomocników, jak mają związane fartuchy. Zdjęła jeden z kołka, narzuciła sobie przez szyję i zawiązała jak oni. – Hej, wy tam! – zwróciła się do nierozgarniętych pomocników. – Wylejcie całą wodę z gara.

– Ale... – Coś takiego nie mieściło się w głowie. Najwyraźniej nigdy dotąd nie przeprowadzali takiego doświadczenia. – Tak nie można.

– No już, zarazy jedne! Bo poszczuję was moją koleżanką!

Nuk się wkurzyła, tamci przeciwnie, przestraszyli. Posłusznie wylali wodę z gara do ścieku biegnącego pod kuchnią. Kai zajrzała do środka i znowu z trudem powstrzymała odruch wymiotny. Na dnie leżały dwa ogromne kawały szarego mięsa.

– Wyjmijcie to i pokrójcie w małą kosteczkę – nakazała. – Ale migiem. Gdzie są przyprawy?

– Gdzie jest co? – zapytał jeden z pomocników. Ten bardziej inteligentny.

– Przyprawy – powiedziała Kai. Widząc jednak, że tamten nie rozumie, dodała: – Gdzie macie sól?

– Soli nie mamy. To nie dwór jakiś ani kantyna w dowództwie okręgu.

– A co jest?

– Mięso jest. – Wskazał końcówką noża wielki szary fragment jakiegoś zwierzęcia, który ciął właśnie na małe kawałeczki, jak kazała. O dziwo, szło mu to nawet bardzo sprawnie. – I chleb jest – powiedział po chwili.

Kai rozejrzała się z westchnieniem. Usłużna Nuk zdjęła z półki jeden z leżących tam bochnów. Postukała palcem.

– Twardy jak skała. – Z wielkim trudem odłamała kawałek i włożyła sobie do ust.

– I jak smakuje?

– Jak błoto. Z dużą ilością piasku.

Kai westchnęła znowu. Nie załamała się jednak.

– Dobra, zrobimy z tego grzanki. Niech oni chleb też pokroją w kostkę.

– Co z niego zrobimy? – Nuk jeszcze nie spotkała się z czymś takim.

– Grzanki. Musimy tylko usmażyć chleb na płycie. Widziałam u Polaków.

Nuk postanowiła zatrzymać dla siebie wszelkie uwagi na temat smażenia chleba. Wolała nie gasić zapału czarownicy, która zaimponowała jej nawet trochę tym, jak szybko potrafiła się zebrać w sobie. Znowu poczuła, że nie doceniała tej wychuchanej dziewczyny z bardzo dobrego domu.

Pomocnicy szybko uwijali się z robotą. W przypadku prostych zadań okazali się naprawdę skuteczni. Posiekali mięso na odpowiednie kawałki, wrzucili do oczyszczonego naprędce kotła i zaczęli gotować w świeżej wodzie. Potem zajęli się chlebem.

– Jak myślisz? – Kai zerknęła na koleżankę, kiedy przysiadły z boku, ponieważ chwilowo w kuchni nic się nie działo. – Co to za mięso?

– Pewnie konina. Ale ze starego, padłego konia.

– Żartujesz! – Kai przypomniała sobie, o czym mówili Tatarzy w drodze do lasu w Banxi.

– Czemu miałabym żartować? W niektórych krajach mięso końskie jest uważane za przysmak. A jak głód czy niedobór, to jedzą wszyscy.

– I widziałaś, jak jedli?

Nuk uśmiechnęła się smutno.

– Jeden ze szczegółów utkwiał mi w pamięci podczas którejś z moich kampanii. To była wojna z Kime. Oczywiście nakryliśmy ich czapkami, jak to cesarstwo zawsze potrafiło. Ale jednej twierdzy nie mogliśmy zdobyć.

Tuż przed oblężeniem schroniły się tam oddziały ich częściowo rozbitej konnicy. Szturm za szturmem i nic. Walczyli zaciekle.

– I co?

– Jak zwykle w takich wypadkach. Nie da się inaczej, to trzeba wziąć głodem. Nic nie poradzisz. Rozłożyliśmy obóz, czekamy. Cholernie długo, bo w murach przecież ta ich konnica, więc mięsa wystarczy im na wiele, wiele dni. Na szczęście byli też i cywile w wielkiej liczbie, którzy tam się schronili. Musieli ich utrzymywać, więc w sumie to się trochę równoważyło.

– I co? Poddali się?

Nuk przytaknęła.

– Kiedy zjedli wszystkie konie, to się poddali. Nas, czyli siły specjalne, wprowadzono do wnętrza twierdzy jako pierwsze. I pamiętam makabryczny widok. Do dziś potrafi mi się przyśnić.

– Jaki?

– Wiesz, z konia możesz zjeść praktycznie wszystko. Każda część nadaje się do gara. Oprócz jednej.

Kai była coraz bardziej ciekawa.

– Jaka część konia się nie nadaje?

– Kopyta. – Nuk podniosła głowę i zerknęła na koleżankę. – I ten widok pamiętam do dziś. Olbrzymie wzgórze usypane z odciętych końskich kopyt, wznoszące się przy każdej ich kuchni polowej. Makabra.

Czarownica otrząsnęła się. O szlag. Miała zbyt plastyczną wyobraźnię. Stosy kopyt. Do jasnej zarazy. Mogła tego nie słuchać.

Nie chciała dać niczego po sobie poznać, ale chyba wstała trochę zbyt energicznie.

– No jak tam? – Podeszła do pomocników. – Skończone?

– No.

Nuk podniosła się leniwie.

– Rzeczywiście, jakby nie śmierdzi zbyt. – Nachyliła się nad garem. – Choć coś mi mówi, że żadnego smaku też nie ma.

– Wzięłam ze sobą trochę przypraw. – Kai podniosła z ziemi swoją sakwę i zaczęła w niej grzebać.

Ni stąd, ni zowąd poczuła nagle irracjonalne wzruszenie. Przypomniała sobie z całą wyrazistością, skąd wziął się u niej zwyczaj wożenia ze sobą przypraw. Miała wrażenie, jakby to wydarzyło się wczoraj, a to był przecież

sam początek historii. Jej historii. Pamiętała dobrze, kiedy jako uczennica udająca „czarownicę w misji” przybyła wprost ze szkoły świątynnej do Yach. A tam, na samym początku swojej przygody, do składu dahmeryjskiego kupca. Stary, doświadczony handlarz pomógł dziewczynie zebrać ekwipunek na wyprawę i udzielił bezcennych rad. Wciąż miała w głowie jego słowa: „Weź ze sobą dwa bandolety, woreczek gorczycy i koniecznie przyprawy do mięs!”.

Uśmiechnęła się do swoich wspomnień. Paradoksalnie dawne wydarzenie połączyło się w jej głowie z czymś, co przeżyła niedawno. Krzysiek, który chciał, żeby koniecznie poznała polskich poetów, podarował jej książkę, w której oprócz wierszy były także fragmenty wspomnień. A tam wieszcz żyjący jakieś dwieście lat temu udzielał rad kolegom udającym się w podróż. Były identyczne jak dahmeryjskie: podróżnik musi wziąć dwa bandolety, worek gorczycy i przyprawy do mięs... Zabawne.

– I jakie przyprawy wzięłaś? – pytanie Nuk sprowadziło Kai z powrotem.

– Skondensowany wyciąg z lubczyka ogrodowego. – Dziewczyna podniosła do światła graniastą buteleczkę wypełnioną bardzo ciemnym płynem. – Oni to nazywają „magi”, „magik” czy jakoś tak.

Nuk z dużą dozą sceptycyzmu patrzyła na czarownicę. Nie chciała jej odzierać z nadziei, ale sama wiedziała, że najbardziej nawet cudowny dodatek nie jest w stanie zmienić smaku brei z kotła.

Czarownica wyjęła inną butelkę, większą, z jasnego szkła. Płyn w środku był zupełnie bezbarwny.

– Podobno to jest dopiero sprawca cudów w kuchni, chociaż w większych ilościach może być stosowany jako trucizna – powiedziała.

– A co to jest?

– To już współczesny wynalazek z za gór. Glutaminian sodu.



# Rozdział 11



**W**iatrakowiec po kilku godzinach lotu zdawał się równie ciężki jak w chwili startu. Reagował leniwie na stery, każdy manewr odbywał się ze sporym opóźnieniem w stosunku do ruchów drążka. Tomaszewski miał wrażenie, że coś jest nie tak, pilot jednak rozwiązał jego wątpliwości.

– Nie ubywa nam ciężaru, bo to bardzo oszczędna maszyna. – Coś pobrzękiwało w słuchawkach i głos pilota brzmiał bardzo zabawnie. – A wypakowani jesteście strasznie.

– Woląłem wziąć jednak paliwo na powrót.

Pilot uśmiechnął się chyba. Mikrofon przymocowany do hełmu zasłaniał mu usta.

– Ale nie aż tyle – odważył się na uwagę w stosunku do przełożonego. – W tej chwili przypominamy raczej latający tankowiec. – Wskazał kciukiem te wszystkie kanistry przymocowane paskami w każdym wolnym miejscu. – Przez tydzień możemy latać z tymi zapasami.

– Obyśmy nie musieli.

– To przez ten ciężar maszyna reaguje ociężale. Ci dwaj piechociarze – machnął brodą w kierunku dwóch żołnierzy, którzy im towarzyszyli na bocznych siedzeniach – te trochę zaopatrzenia i przyrządów to żadne obciążenie. W tej chwili wozimy głównie benzynę tam i nazad.

– I dobrze, muszę zrobić szkic mapy. A to naprawdę potrwa.

Pilot nie śmiał komentować. Dla niego na dole nie działo się nic ciekawego. Lecieli nad morzem, tuż przy monotonnej i słabo rozróżnionej

linii brzegu. Plaża i las zdawały się nie mieć końca. Dopiero teraz drzewa zaczynały rzednąć, ustępując miejsca coraz większym polanom, a nawet łąkom.

– Rzeka. – Wskazał palcem, kiedy zauważył charakterystyczny uskoki w piaszczystym klifie.

– Strumień. Możemy tam podlecieć?

– Nie za blisko, panie komandorze. Cholernie wieje, a wiatr ciągle przybiera na sile.

– To dlatego tak nami rzuca?

Pilot zaprzeczył ruchem głowy.

– Wiatr jest bardzo silny, ale stały. To kołysanie to dlatego, że usiłuję manewrować i lecieć tuż przy brzegu.

– A co? Zwiewa nas nad pełne morze?

– Tak jest. Choć generalnie utrzymujemy zadany kierunek.

– To może lepiej wylądować i przeczekać wicher?

– Panie komandorze, wyląduję na tej plaży bez problemu. Pytanie, czy później będę mógł z niej wystartować.

Tomaszewski skinął głową. No tak, wiatrakowiec nie potrzebował lotnisk ani niczego, co było absolutnie niezbędne w przypadku samolotu. Jednak startowało się nim dokładnie tak, jak ruszało samochodem z trzeciego biegu. Krótka, bo krótka, lecz koniecznie utwardzona nawierzchnia była jednak istotna. Czytał gdzieś, że w kraju już testuje się śmigłowce, maszyny, które pozwalają na pionowy start, bez rozbiegu. Ale tutaj na razie eksperymentalnych maszyn nie przysyłano.

Sięgnął do schowka po lornetkę ze stabilizatorem i ze zdumieniem spostrzegł, że powierzchnia metalowej skrzynki jest oszroniona.

– Co to jest? – spytał pilota.

Ten wychylił się na swoim siedzeniu na tyle, na ile pozwalały pasy, żeby zobaczyć.

– To oblodzenie. Jest strasznie zimno. – Wskazał na tarczę termometru z boku tablicy przyrządów.

Minus siedem. Tomaszewski w lotniczym kombinezonie, hełmie, goglach i ocieplonej warstwie ubrania pod spodem nie czuł mrozu.

– Ujemna temperatura w lecie? – zdziwił się.

– Jeszcze nie ma lata, panie komandorze. – Pobrząkiwanie w słuchawkach stawało się coraz wyraźniejsze i coraz bardziej nieprzyjemne.

– Ale tak, to dziwne na tej wysokości.

– Nie można czegoś zaradzić?

– To wiatrakowiec, nie samolot. Nie mamy systemów przeciwooblodzeniowych. Zresztą... W rzadko którym samolocie są. Może teraz w tych najnowszych częściej.

Tomaszewski z trudem, z powodu wielkiego hełmu, oglądał różne części konstrukcji. Nie znał się na oblodzeniu maszyn latających. Na okręcie bosman wysyłał ludzi z młotkami i siekierami, żeby zbijali lód, tu jednak wszystko wyglądało inaczej.

– Jakby mniej kołysało – powiedział po chwili. – Czy to znaczy, że jesteśmy ciężsi?

– Nie, panie komandorze. Wiatr się bardzo wzmaga.

– Wiatr jest silniejszy i przez to mniej rzuca?

– Pierwszy raz widzę coś takiego. Proszę zerknąć, jak nam prędkość skoczyła.

– Wieje od ogona? Prosto w śmigło napędowe?

– W tej chwili śmigło prawie w ogóle nas nie napędza. Tylko stabilizuje, a pcha nas ruch powietrza.

– Możesz manewrować?

Pilot lekko poruszył drążkiem. Bez wyraźnego efektu. Manewrując dźwignią przekładni wirnika głównego, udało mu się lekko unieść i opuścić. To wszystko. Tomaszewski przypomniał sobie nagle opowieść rozbitka z „Gradienta” o tym, jak dziwny wiatr niósł jego ponton tuż nad powierzchnią morza. Dotąd traktował słowa hydrologa jak urojenia powstałe w wyniku maligny. Teraz jednak nie był już pewien.

– Czy to może być wiatr strumieniowy?

– Jetstream? Na tej wysokości? Niemożliwe.

– No ale zaczęliśmy mknąć z jakąś nieprawdopodobną prędkością.

– Nie wiem. Przyrządy wariują. Temperatura spada błyskawicznie.

Pieprzone anomalie pogodowe. Tomaszewski parokrotnie doświadczył już ich oddziaływania, lecz nigdy na aparacie latającym. I to lecącym daleko od bazy oraz jakichkolwiek siedzib ludzkich.

– Jaką mamy prędkość?

– Nie wiem. Potworną!

– Jak to nie wiesz?



– Przymroziło nas! Prawdopodobnie oblodziło rurkę ciśnieniową i prędkościomierz niczego już nie wskazuje. Albo same bzdury.

– Jak to możliwe?

– To przecież jest tak naprawdę zwykły manometr różnicowy. Jeśli oblodziło mu wlot, którym mierzy ciśnienie dynamiczne, to zgłupiał.

Wiatrakowiec nie jest maszyną przeznaczoną do lotów długodystansowych, nie ma bogatej tablicy przyrządów. Nie ma też możliwości zastępowania odczytów nieczynnych aparatów pomiarowych odczytami innych. To prosta maszyna do prostych zadań. Co prawda w nieskomplikowanym urządzeniu nie ma się za bardzo co zepsuć, ale kiedy już się zepsuje, to możliwości zrobienia tego inaczej jest raczej niewiele.

Tomaszewski rozglądał się na próżno. Brzegu już nie było widać. Nie wiadomo, czy znikł za dziwną rozproszoną mgiełką, a raczej niesioną przez wiatr białawą zawiesiną, czy po prostu oddalili się już za bardzo. Zerknął na zegarek. Nawet szybka była oszroniona. W lotniczym kombinezonie niewiele się czuło. A słuchawki w hełmie i ryk odkrytego silnika głużyły wycie wiatru.

– Możemy się zniżyć?

– Pewnie tak – odparł pilot po chwili wahania. – Tylko nie wiem, co będzie niżej.

– Nie możemy tak lecieć bez końca.

– Prawie nie zużywamy teraz paliwa. Wirnik nas niesie pchany wiatrem.

– I co? Nie możemy zawrócić?

– Przy tym wietrze nie możemy nawet skręcić. Maszyna się rozpadnie.

– Spróbujmy zejść niżej.

– Pod nami powierzchnia morza, panie komandorze. Musimy lecieć z wiatrem.

– A gdybyśmy spróbowali się wznieść?

– To nie samolot, panie komandorze. Nie mamy tlenu na pokładzie. Zresztą... nasz pułap praktyczny nie jest za wysoki.

– No ale wiatr nie wieje od wysokości zero aż do stratosfery.

– Może i nie wieje. Jednak im wyżej, tym zimniej. Ciekawe, ile nam jeszcze brakuje, żeby się wirnik zatrzymał.

No tak, skrzydeł nie mieli. Jeśli lód zatrzyma wirnik, po prostu spadną bez żadnej autorotacji. Mało kto przeżywa wodowanie wiatrakowca nawet

w normalnych warunkach. Lepiej wyskoczyć przed uderzeniem w wodę. A nawet jeśli nastąpi cud i to się uda, to co dalej? W kamizelce ratunkowej na środku oceanu, na akwenu, gdzie nie ma żeglugi, nie ma lotnictwa, nie ma żadnych baz ani radia. To już lepiej uderzyć w wodę z całą siłą i mieć problem z głowy od razu.

Jak długo tak lecieli? Tomaszewski tracił poczucie czasu. Usiłował zetrzeć szron ze szkiełka swojego zegarka, żadne zabiegi nie przynosiły jednak skutku. Szron musiał jakimś cudem osiąść od środka. Na tablicy przyrządów działały tylko urządzenia mechaniczne i busola. Dla zabicia czasu w pamięci rysował ich kurs. Wbrew pozorom nie oddalali się od brzegu zanadto – jeśli oczywiście jego linia nie uległa dramatycznej zmianie. Odległość od plaży rosła powoli i gdyby tylko Tomaszewski mógł określić upływ czasu, zdołałby ją nawet dość dokładnie obliczyć. Niestety, nie miał pojęcia, jak długo lecieli w białawej mgiele. Pięć godzin? Siedem? Dziesięć? Nie. Dziesięciu raczej nie, bo musiałyby się zacząć powoli ściemniać. A nic na to nie wskazywało. Zbeształ w myślach sam siebie. Jak ma cokolwiek obliczać, skoro nie zna również prędkości, z jaką lecieli? No szlag!

– Chyba zwalniamy.

Głos pilota wyrwał Tomaszewskiego ze stuporu. Zasnął? Nie, niemożliwe. A skąd pilot wiedział, że lecą z mniejszą prędkością? Przyrządy ciśnieniowe nie działały w dalszym ciągu. Mgła jednak wokół rzedła wyraźnie. Patrząc w dół, widziało się już powierzchnię morza.

– Skąd wiesz, że zwalniamy?

– Czuję na drążku, panie komandorze. Maszyna reaguje inaczej.

Ktoś dotknął jego ramienia. Żołnierze zajmujący fotele z tyłu nie mieli hełmów podpiętych do interkomu. Tomaszewski zobaczył dłoń w grubej lotniczej rękawicy, wyraźnie wskazującą mu kierunek. Podniósł głowę i popatrzył w tamtą stronę.

– Łąd!

– O ja cię... – pilot również musiał zauważyć. – Ziemia! Ale... przed nami!

Jeśli to łąd, to powinien znajdować się z tyłu, trochę po prawej. A był z przodu. Dokładnie na osi.

– To jest to cholerne połączenie między kontynentami – szepnął Tomaszewski. – Tędy przybył ślepy podróżnik.

– Słucham, panie komandorze?

– Nic, nic. Czy będziemy mogli tam wylądować?

– Jeśli znajdę odpowiednie miejsce. Pogoda wyraźnie się uspokaja.

– A nad lądem powinno być w ogóle znośnie. – W Tomaszewskim odezwał się marynarz. – Mam sekstans Zrobię pomiar i będziemy wiedzieć, w jakiej odległości od bazy jesteśmy.

– Oj, bardzo by nam to pomogło, panie komandorze. Wtedy będziemy mogli wrócić według przyrzędów.

Tomaszewski długo analizował własne wnętrze. Widok lądu wyraźnie go uspokoił. Bał się więc wcześniej? Wzruszył ramionami. Szaleństwa pogodowe były czymś, do czego na tej półkuli można było przywyknąć. A lot w prądzie strumieniowym (jeśli oczywiście to naprawdę był prąd strumieniowy) należał do przeżyć ekstremalnych, choć z drugiej strony... Pamiętał twarz czarownika Mereditha tuż przed odlotem. Starzec patrzył na niego pogodnie. Szeptał coś, czego pewnie ludzie stojący obok nie słyszeli, on sam jednak miał doskonały słuch i nie umknęło mu znaczenie. „Nadszedł czas, by wyprostować ścieżki świata. To miejsce nie jest przypadkowe. Ci ludzie nie znaleźli się tu przypadkiem. I nie przypadkiem też chłopak z tobołkiem przestał się pokazywać. Zmierzamy do rozwiązania”. Hm. Ani miejsce, ani ludzie, a więc i pora nie jest przypadkiem, według Mereditha. On wierzył, że coś większego niż on sam prowokuje sytuację. Nie, nie rozwiązanie przecież, nie rozstrzygnięcie, ale sam początek. Sądził więc, że na początku misji nie stanie się nic, co ją zniweczy. I jako jedyny z zegnających tych, którzy odlatywali w nieznane, nie był zaniepokojony.

No dobrze. To sam Meredith. A on? Czy nagle tak naprawdę i do końca uwierzył w czary?

– Tam, panie komandorze. – Pilot wskazał ląd, do którego zbliżali się w szybkim tempie. – Widzi pan? Jeziorka.

Tomaszewski miał raczej niemiłe wspomnienia związane z jeziorkami. Te jednak, widoczne w oddali, nie były skute lodem i nie przywodziły na myśl strasznych wydarzeń.

– Co z nimi? – zapytał.

– Dookoła gęsty las. Nie ma możliwości lądowania. A przy morzu plaża wąska i kamienista, jak widać. Zresztą morski piasek zawsze zdradliwy. Nigdy nie wiadomo: twardy, miękki czy najgorzej, łaciaty.

– A co mają do tego jeziora?

– Wokół nich prawie zawsze plaża. Piasku nadsypanego na ziemi. Z reguły więc tworzy dość twardą nawierzchnię.

Tomaszewski wzruszył ramionami. Każdy rodzaj piasku nad jeziorami, które znał, był „miękki”. No tak, inaczej ocenia się gołymi stopami podczas wakacji, a inaczej podwoziem. On sam na przykład nigdy nie przejechałby samochodem przez świeżo zaorane pole. A samoloty lądowały, czego wiele razy był świadkiem na ćwiczeniach.

– Rób, jak chcesz, tylko... – ugryzł się w język.

Mówić pilotowi, że jeśli uszkodzi maszynę przy lądowaniu, mogą już nie opuścić nigdy tego miejsca, byłoby dość głupie. Pilot chyba sam to wiedział. Trudno jednak oprzeć się potrzebie podkreślenia oczywistości. Przygryzł lekko wargi. Sam mógł przecież podjąć inną decyzję. Lądować i musieli, i nie musieli jednocześnie. Choć byłoby to bardzo trudne, Tomaszewski mógł określić ich pozycję w trakcie lotu bez jakiegokolwiek lądowania. Mógł też przeprowadzić w tym fotelu odpowiednie obliczenia i wyznaczyć kurs powrotny. Z drugiej strony trzeba było przelać paliwo z kanistrów do zbiorników wiatrakowca. I znowu, teoretycznie, posługując się prymitywną ręczną pompką, mogli to zrobić w trakcie lotu. Licząc się z niewielkimi stratami. Teoretycznie.

Ale co to za zwiad bez dotknięcia stopą obcego lądu? O właśnie. Chyba tu tkwił główny problem. Każdy odkrywca w dziejach schodził przecież na suchy ląd. No tak, lecz stare drewniane statki musiały przecież uzupełnić zapasy wody pitnej. Oni nie musieli. Za to, w przeciwieństwie do dawnych odkrywców, nie mogli oprzeć się pokusie rozprostowania kości, bo dalsze siedzenie w metalowych fotelach po tak wielu godzinach w nich spędzonych stawało się torturą nie do zniesienia. A drugą nagłą potrzebą, która również zamieniała się w torturę, była chęć wysikania się w krzakach. Rzecz również obca dawnym żeglarzom, którzy mogli folgować sobie, kiedy chcieli. Podobno zresztą, jak donosiła prasa lotnicza, nowe myśliwce dalekiego zasięgu wyposażano już w urządzenia pełniące rolę pisuaru. Na wiatrakowcu czegoś takiego nie było.

Ta... Przesłanki prowadzące do jakichś konkretnych działań nie muszą być przecież tak do końca racjonalne.

– Ląduj, gdzie uznasz za stosowne – zdecydował Tomaszewski.

Wiatrakowiec położył się w łagodnym wirażu. Teren poniżej pokryty był gęstymi drzewami. Trochę luźniej robiło się w okolicach jezior, tam jednak z kolei gęste krzewy pokrywały całą wolną powierzchnię aż do tafli wody.

– Tu jest ładny kawałek. – Pilot wyciągnął rękę, pokazując jedno z nielicznych jezior okolonych plażą z żółtego piasku. – Widzi pan komandor?

– Nie za wąsko?

– W sensie?

– Nie uderzymy łopatami wirnika w gałęzie?

– Ale ja pokazywałem tam dalej. – Ręka pilota zatoczyła niewielki krąg.

– Widzi pan komandor? Przy wstędze.

– To może być jakaś droga.

– Najwyżej tutejsi wieśniacy na nasz widok narobią w gacie.

– Oby.

Maszyna przeleciała nad terenem lądowania, podczas kiedy pilot wychylał się, chcąc obejrzeć każdy szczegół. Inspekcja musiała wypaść pozytywnie, bo wiatrakowiec wykonał jeszcze jeden zwrot, zwolnił gwałtownie i ustawił się mniej więcej pod wiatr na osi prowizorycznego lądowiska.

W dół schodzili pewnie. Bez żadnego wahnięcia, bez poprawek i korekt. Już po kilkunastu sekundach koła ryczącego silnikiem wiatrakowca dotknęły podłoża. Żadnych skoków ani odbić. Od razu zaczęło się kołowanie, podczas którego błyskawicznie wytracali szybkość. Pasy wrzynały się w klatkę piersiową Tomaszewskiego. Ale po chwili ryk silnika ścichł nieco, a kiedy maszyna skończyła kilkunastometrowy dobieg i znieruchomiła, pilot wyłączył go w ogóle.

– Co to jest? – Pierwszy uporał się z paskami i zdjął hełm.

Tomaszewski szamotał się ze skomplikowaną uprzężą na głowie dużo dłużej. Kiedy jednak uwolnił uszy od wielkich słuchawek, też usłyszał. To był huk wystrzałów!

– Startujemy? – Pilot spojrzął w panice na dowódcę.

Tomaszewski rozejrzył się szybko. Akurat. Startować nie mogli, bo kiedy tylko maszyna znieruchomiła po lądowaniu, dwóch żołnierzy piechoty morskiej wyskoczyło ze swoich foteli na piasek. Obaj teraz sikali pod najbliższymi drzewami.

– Psiakrew!

Strzelanina nie była zbyt intensywna. No i nie słyhać było żadnych bitewnych okrzyków. No nie, no... pół minuty ich nie zbawi.

Tomaszewski skinął na pilota i również zeskoczył ze swojego fotela na piach. Mało nie upadł. Zdrętwiałe mięśnie nie pozwalały na żaden bieg. Ledwie zdobył się na kilka chwiejnych kroków i czując ból w całym ciele, ulżył sobie pod prowizoryczną osłoną. To naprawdę odbiera rozum. Dopiero potem mógł się skupić.

Nic dziwnego, że z góry nie widzieli walczących, jeśli akurat natrafili na jakąś bitwę. Przecież żołnierze strzelający w lesie kryli się za drzewami, unikając polan i odkrytych miejsc jak ognia. A silnik głuszył odgłosy walki. Rozejrzał się jeszcze raz, usiłując dostrzec cokolwiek konkretnego. Na szczęście nie było widać obcych żołnierzy, a pilot ustawił maszynę tak, że start mógł nastąpić od razu. Bez potrzeby odwracania się czy przeciągania. Kuśtykając, Tomaszewski wrócił do wiatrakowca. Cholerne mięśnie. Wszystko w jego organizmie krzyczało, żeby nie sadzić się jeszcze na metalowym fotelu, który przerodził się w narzędzie tortur.

– Do mnie! – krzyknął wbrew sobie. – Zajmować miejsca!

Byłoby idiotyzmem zarządzić tu postój na dłużej i starać się określić położenie geograficzne.

– Panie komandorze! – Pilot jednym skokiem zajął swoje miejsce i teraz szamotał się z pasami. – Tam!

Tomaszewski spojrział we wskazanym kierunku. W pierwszej chwili nie zauważył niczego podejrzanego. Gęsto rosnące drzewa i niezbyt gęste krzaki pod nimi. Nigdy nie potrafił prawidłowo rozpoznawać gatunków, dla niego drzewa dzieliły się na liściaste, iglaste oraz palmy. No to te były liściaste i nie były brzojami, bo nie miały białych pni.

– Co widzisz?

– Ktoś tam się skrada. – Pilot musiał mieć znakomity wzrok.

Żołnierze, którzy zdążyli wrócić w pobliże maszyny, zdjęli z ramion paski automatów. Jeszcze nie przeładowali broni. Chyba nie dostrzegali niczego podejrzanego.

– Widzisz ludzi?

Pilot nie zdążył odpowiedzieć, bo nagle padł strzał. Nie od strony podejrzanego zarośli, tylko od jeziora. Ktoś ukrywał się po drugiej stronie wody.

– Padnij! – Tomaszewski runął na ziemię i wyszarpnął z kabury rewolwer.

Dwaj żołnierze rzucili się na ziemię dokładnie w chwili, kiedy ktoś zaczął strzelać zza krzewów przy plaży. Tuż obok. Piechociarze odpowiedzieli ogniem, a terkot dwóch peemów zagłuszył wszystkie inne dźwięki. Tomaszewski gorączkowo rozpinał górę kombinezonu. Tu sześciostrzałowy przydziałowy rewolwer, uwiązany sznurkiem do specjalnej uprząży na szyi, mógł nie wystarczyć. Z trudem udało mu się dosięgnąć kabury, którą miał pod lotniczym kombinezonem. Wyjął z niej swój służbowy pistolet i w desperacji przeładował, chwytając pokrywę zamka zębami.

Rozejrzał się i zamarł. Siedzący obok pilot trzymał się za zakrwawione lewe ramię. Jasny szlag! Tysiąc myśli pojawiło się nagle w głowie Tomaszewskiego. Widział czerwone kropelki kapiące ze zwisającej z boku lewej dłoni pilota. Kurwa! Wszystko stało się jasne. On był jedynym człowiekiem już przypiętym pasami. Jedynym, który nie mógł wykonać komendy „padnij”.

– Zajmij się nim! – krzyknął Tomaszewski do żołnierza, który leżał bliżej.

– To nic, nic. – Pilot usiłował łokciem rozpiąć krępujący go pas. – Tylko draśnięcie. W lewą rękę.

Tomaszewski przeturlał się na bok, by mieć widok na taflę jeziora. Nie podnosił się, i słusznie. Już po sekundzie padły stamtąd dwa strzały. Potem jeszcze jeden. Instrukcja mówi jasno, co należy robić w takiej sytuacji. Musiał osłonić swoich ludzi ratujących rannego. Wciąż w pozycji leżącej uniósł pistolet do oka. Strzelił dwa razy. Potem jeszcze dwa. Niespecjalnie celując. Chodziło tylko o to, żeby tamci bali się wystawić głowy zza osłony. Żeby nie mogli mierzyć spokojnie. Odpowiedziała mu salwa z trzech czy czterech karabinów. A potem tamci zrobili coś, czego instrukcja nie przewidywała. Po prostu jej autorzy nie brali pod uwagę broni, którą ładuje się przez lufę, stojąc i wystawiając się na strzały przeciwnika.

Według współczesnej myśli wojskowej było to zupełnie nieracjonalne. Z tym że tamci nie kierowali się współczesnymi instrukcjami. Po prostu poszli do ataku na bagnety.

Tomaszewski wziął głębszy oddech, kiedy zza drzew po drugiej stronie jeziora wypadało co najmniej dziewięciu ludzi z bronią ustawioną na

wprost. Szybko zerknął za siebie. Jeden z żołnierzy opatrywał rannego, drugi osłaniał ich od strony najbliższych zarośli. Tomaszewski musiał więc poradzić sobie sam. O Boże. Pistolet miał jeszcze cztery naboje, rewolwer sześć. Dziesięć kul na dziewięciu przeciwników. Nie można popełnić najmniejszego błędu.

Tomaszewski podniósł się, stając na równych nogach. Tamci nie mogli biec szybko. Jezioro okazało się niezbyt głębokie, woda sięgała im raptem do kolan.

Każdy w tej sytuacji pewnie odruchowo zaczęłby się cofać, widząc liczebną przewagę napastników. Ale to byłby najgłupszy błąd. Tomaszewski miał w dłoniach dwie spluwy z krótkimi lufami, niezbyt celne, musiał więc, zamiast zwiększyć dystans, zmniejszyć go. Ruszył więc w stronę połyskujących w słońcu bagnetów. Teraz tylko żeby nie stracić nerwów. Nie dać się ponieść emocjom. Wszedł do wody.

– O, ja cię pierdolę! – wyrwało mu się, kiedy ziąb ogarnął mu łydki. – O, ja cię pierdolę!

Zrobił krok i drugi w kierunku nadbiegających ludzi z karabinami. Powoli, żeby nie stracić równowagi, nawet się nie zachwiać. Z jakiej odległości ma się pewność, że kula trafi przeciwnika? Z przyłożenia! No ale oni trzymali bagnety. No to z dwóch, trzech kroków. Bezbłędnie w miejsce, w które należy trafić, czyli w korpus. Mierzy się w mostek. W jednej i drugiej broni miał wysokoenergetyczne naboje dużego kalibru. Każda dobrze umieszczona kula miała moc obalającą.

– O, ja cię pierdolę!

Nie było czasu na przekładanie broni z ręki do ręki. Tomaszewski zatrzymał się i podniósł lewe ramię, zgrywając przyrządy celownicze według lewego oka. Trzasnął odwodzony kurek. Cztery kroki, trzy... Bum. Strzał w mostek. Mężczyzna w łachmanach poleciał w tył. Tomaszewski przeniósł lufę na następny cel. Trzy kroki, strzał w mostek, ciało w tył.

– O, ja cię pierdolę!

Wszystko w jego mięśniach mrowiło, szarpało, swędziało, drżało... Żadnego błędu. Nie mógł popełnić żadnego błędu! Trzy kroki, kurek, strzał w mostek, przeniesienie. Kurek, strzał w mostek, przeniesienie...

– O, ja cię pierdolę!

Miał ochotę wyć ze strachu. A oni biegli na niego z nastawionymi bagnetami. Tuż–tuż! Kurek, strzał w mostek, przeniesienie! Naboje licz,



kutasie!

Cztery dotąd, powiedziało coś w nim zupełnie spokojnie. Kurek, strzał w mostek, przeniesienie – ten był piąty. Jaka jazda! Mdlący strach paraliżował, a jednocześnie wydobywał skądś zupełnie nieprawdopodobne pokłady energii. Trzy kroki, kurek, strzał w mostek i... zamiast przeniesienia na kolejny cel puścił broń swobodnie, niech zawisnie na sznurku, bo ten był szósty. Boże! Czy można się aż tak bać?! Ale jaka adrenalina! Strach i jednocześnie poczucie, że bierze udział w najlepszej zabawie swojego życia. Podniósł i wyprostował prawą rękę, jednak coś było nie tak. Aha! Mierzył wciąż lewym okiem. Otworzył więc prawe. Zrobił dwa kroki, za blisko, strzelił w ostatnim momencie, poczuł mdłości, wymioty powstrzymał w ostatniej sekundzie.

Pocisk z pistoletu miał trochę mniejszy kaliber, za to większą energię. Przeleciał przez mostek mężczyzny w łachmaniarskim mundurze, skręcając lekko, wydostał się na zewnątrz i trafił w rękę mężczyzną obok. Łut szczęścia zawsze się przyda. Tomaszewski stracił ułamek sekundy na zgranie przyrządów. Strzał. Dobry, prosto w mostek. Pełnopłaszczowa kula przemknęła przez ciało żołnierza i poleciała gdzieś w niezmierną dal. Króciutka chwilka, by ciało trafionego „zrozumiało”, że już nie żyje, że rozerwane serce już nie pracuje. Po trafieniu z pistoletu ludzie nie padali na plecy. Jakoś tak dziwnie łamali się w sobie, osuwając na ziemię dokładnie w miejscu, gdzie stali. No tak. Większości energii pełnopłaszczowy pocisk nie oddawał trafionemu ciału, tylko zabierał ze sobą gdzieś w nieznaną. Zanim prymitywny karabin wypadł z martwych dłoni, napastnik zdążył jeszcze zrobić gest, jakby chciał dźgnąć komandora bagnetem w brzuch. Ale to już był tylko skurcz mięśni.

Tomaszewski przełknął ślinę. Popatrzył na stojącego tuż obok ostatniego przeciwnika, który trzymał się za postrzelony łokieć. Krew spływała między palcami obficie. Młody chłopak. Cholera wie ile mógł mieć lat. Kilkanaście?

Stali w odległości jakichś dwóch kroków od siebie i mierzyli się wzrokiem. Chłopak nie miał już karabinu. Musiał upuścić broń w chwili, kiedy został ranny.

– No i co tak się, psiakrew, gapisz? Instrukcja jest jasna – powiedział Tomaszewski, jakby chciał się usprawiedliwić. – A pierdolę to wszystko! – dodał i strzelił chłopakowi prosto między zezujące na lufę pistoletu oczy.

Drżąc, a właściwie dygocząc, zawrócił w wodzie i zaczął brnąć w stronę brzegu, gdzie czekał wiatrakowiec. Rękawem kombinezonu usiłował wytrzeć pot, który zalewał mu oczy. Nie mógł nawet iść prosto. Parę razy zatoczył się i byłby pewnie upadł, na szczęście jednak wyszedł na płyciznę, gdzie było łatwiej, a potem na piaszczysty brzeg.

– Ale żeś ich pan najebał, panie komandorze! – W głosie żołnierza piechoty morskiej nachylnego nad rannym pilotem brzmiał niekłamany podziw. – A temu ostatniemu to co żeś pan powiedział?

– Że go pierdołę – odparł Tomaszewski szczerze.

Opadł bez sił pod burtą wiatrakowca, nie mogąc nawet za bardzo ogarnąć okolicy wzrokiem. Musiał uzupełnić amunicję. To jedno kołatało mu w głowie. Zerknął w dół. Rewolwer przyczepiony sznurkiem leżał na ziemi. Był już całkiem zapiaszczony. Tomaszewski odpiął więc uprząż na szyi i odkopnął pustą broń dalej. Z trudem wyjął ze szlufki przy kaburze zapasowy magazynek do pistoletu.

– Medal panu dadzą, panie komandorze!

– A co tu?

– Grzesiek dostał i nie żyje. – Żołnierz wskazał ciało kolegi leżące kilka kroków dalej. – Z tych krzaków go załatwili. Ale chyba już też nie żyją. A ten tu... – Wskazał pilota i odsuwając się trochę, przeciągnął sobie palcem po szyi. – Niedługo – zakończył szeptem.

– Co?

Żołnierz najpierw sprawdził, czy pilot na pewno jest nieprzytomny.

– Umiera, panie komandorze. To agonia.

– Jak to? Przecież dostał tylko w rękę.

– Ręka najbardziej go bolała, fakt. Ciało może czuć ból tylko w jednym miejscu, i ten najsilniejszy. Tak naprawdę dostał w klatkę, rękę rozwalił mu odłamek własnego zębra.

Tomaszewski wypuścił powietrze z płuc. Nie chciał sprawdzać, czy piechociarz ma rację, i odsłaniać ran spod opatrunku. Wyjął chusteczkę i zaczął ścierać krew z własnej twarzy.



– No to zostaliśmy tylko my dwaj. Jak ci na imię, przypomnij?

– Maniek, panie komandorze.

Tomaszewski nie czepiał się, że meldunek nie został złożony według regulaminu. Nie mógł zapomnieć własnych słów wypowiedzianych w szoku niedawno na jeziorze. „Instrukcja jest jasna”. Ciekawe, czy własne wzorcowe według regulaminu zachowanie będzie go prześladować.

Gdzieś z boku znowu huknął strzał. Niezbyt blisko. Ukryci za burtą, nawet nie podnieśli głów.

I co dalej? Bez pilota, nie wiadomo gdzie, wśród walczących ze sobą nieznanych sił? Tomaszewski nie rozstrzygał spraw przyszłości. Ściągnął z siebie lotniczy kombinezon, w którym zaczynał się właśnie gotować. Szybko schował pistolet do kabury. Potem wyjrzał zza maszyny.

Trup drugiego żołnierza leżał dwa kroki dalej. Wpół czołgając się, wpół posuwając na czworakach, dotarł do niego. Chwycił pistolet maszynowy, wyjął dwa magazynki z futerału. Chciał się cofnąć, kiedy usłyszał ostre:

– Padnij! Padnij! Idą jacyś!

Tomaszewski przywarł do ziemi. Maniek lepiej widział zza w miarę bezpiecznej osłony.

– Ilu?

– Nie wiem dokładnie. Wielu. Ale to inni jacyś.

– Jak to inni?

– Porządne mundury mają. Nie to, co ci łachmaniarze, co pan komandor ich na jeziorzku do nogi wystrzelał.

Tomaszewski miał więc do rozstrzygnięcia podstawową kwestię. Czy ma leżeć dalej w ukryciu? Wtedy groziło mu, że go odkryją zniecka i strzelą odruchowo. Albo wyjść już teraz, uprzedzając ich działania. I mieć nadzieję, że wróg twojego wroga i tak dalej. Oba rozwiązania były złe. To drugie jednak dawało jeszcze cień szansy na skok w bok, jeśli przypuszczenia co do zamiaru obcego wojska okażą się mylne.

– Nie strzelać! – krzyknął. – Nie strzelajcie! Nie jesteście wrogami!

Zaczął się podnosić powoli, unikając wykonywania gwałtownych ruchów. Teraz ich zobaczył. Kilkunastu żołnierzy w mundurach nieznanego kroju. I faktycznie, schludnych oraz w miarę czystych. Prowadził ich młody oficer ze srebrnymi insygniami na rękawach.

– Nie strzelajcie! Nie jesteście waszymi wrogami.

Żołnierze unieśli broń, ale oficer podszedł bliżej. Z ogromną ciekawością przyglądał się mundurom marynarki wojennej. Jeszcze większą uwagę przykuł sam wiatrakowiec.

– A kim jesteście w takim razie? – zapytał z dziwnym, obcym akcentem. Tomaszewski ledwie go rozumiał. No i pojawiła się w umyśle podstawowa kwestia. Co odpowiedzieć? Tłumaczyć, że są z za gór? I w skomplikowany sposób wyjaśniać w pośpiechu trudne kwestie? A jeśli tamci okażą się niecierpliwi? Żołnierze ciągle mierzyli do nich z jednostrzałowych karabinów.

– Jesteśmy cesarscy – odpowiedział, wybierając najmniej skomplikowaną i nie do końca nieprawdziwą wersję.

– A! Cesarscy! – Ciekawość młodego oficera wyraźnie się wzmogła. – Cesarscy... No tak, pamiętam ze szkoły. To wojska cesarzowej Achai napadły na nas jakieś tysiąc lat temu!

Ale pech. Co za wredna, amoralna terrorystka z tej pieprzonej Achai! Musiała napadać na wszystko wokół?

– No ale... – Tomaszewski nie wiedział, jak wybrnąć. – To nie do końca tak.

– No nie do końca. Biliśmy się na terenach, które wy zwaliście Złe Ziemie.

– E, to na szczęście daleko.

– W waszych szkołach – nie ustępował tamten – pewnie uczą, że to wyście wygrali. To nieprawda! To myśmy wygrali!

I jak tu załatwić sprawę polubownie...? Tomaszewski uśmiechnął się, wkładając w uśmiech wszystkie pokłady empatii.

– Wiesz co? Nieważne, kto wygrał – powiedział. – Ważne, żeśmy się już wtedy spotkali.

Oficer zaczął się śmiać. Dał znak żołnierzom, żeby opuścili karabiny.

– A co to jest? – Trzymaną w rękę trzcinką pokazał wiatrakowiec.

– Maszyna latająca.

– Z żelaza?!

Tomaszewski wzruszył ramionami.

– My wszystko mamy z żelaza.

– Jak ci sojusznicy Nayer?

– O nie, nie. Akurat Nayer to nasi wrogowie. – Tomaszewski dobrze pamiętał nazwę kraju, gdzie wysłał Kai.

– To, co widać dookoła, potwierdza twoje słowa. – Oficer zerknął na trupy, które pływały w płytkiej wodzie małego jeziora obok. – Sporo żeście ich natłukli. – Zrobił kilka kroków w bok i rozchylił trzcinką zarośla po drugiej stronie. Zobaczył zwłoki tych, do których strzelała piechota morska. – I to w czterech tylko? No, no... Ładnie. Widać, że nie w króla wierzyacie, tylko w Bogów, bo ich po bożemu potraktowaliście.

– Pilota mi zabili.

– O szlag! – Oficer najwyraźniej zdawał się czuć, jak wielka to strata. – Zerknął na leżącego w zakrwawionym opatrunku człowieka. – No nic. Musimy...

Nie udało mu się dokończyć. Coś zagrzechotało, uderzając w blachę maszyny, a po chwili dobiegł ich huk salwy oddanej znowu z zarośli po drugiej stronie jeziora. Tomaszewski podniósł pistolet maszynowy i skoczył w kierunku wiatrakowca. Zakrwawiony, padający na ziemię żołnierz podciął mu nogi.

Tomaszewski przewrócił się i wyrznął w coś głową. Ostatnie, co zobaczył, zanim ogarnęła go ciemność, to zabity chłopak, który wynurzał się z wód jeziora. „Czemu ja? Czemu ja?” – powtarzał.



– Wnoś te gary! – krzyczał strażnik. – Szybciej!

Kai nie dawała rady. Nuk, silna jak wół, sama jedna uniosła okręcony szmatami gar.

– Już wszyscy czekają! Czego się guzdrzesz, durnoto?!

Coraz bardziej zdenerwowana czarownica chwyciła deskę, na której spiętrzone były naczynia, i dokonując cudów zręczności, ruszyła za swoją sierżant.

Strażnik wbrew pozorom wcale nie był złośliwy. Otwierał przed dziewczynami kolejne drzwi i przytrzymywał, chcąc pomóc. Jego opryskliwość brała się bardziej ze strachu o własną karierę, a raczej jej koniec, jeśli da dupy przy delegacji złożonej z ważnych gości. Dziewczyny też się bały, choć czegoś zupełnie innego. Według nich posiłek, który zrobiły, nie nadawał się nawet do skarmiania świń. I zaraz stanie się to jasne dla wszystkich. Wyda się, że kucharkami są takimi jak prostytutki kapłankami.

– Teraz uważajcie! – szepnął ostrzegawczo strażnik. – Na litość naszego króla i boga... – Otworzył ostatnie drzwi i przepuścił je do głównej sali strażnicy.

Przy długich ławach pod ścianami pousadzano w równych odstępach wszystkich wartowników, podoficerów i ważniejszą służbę. Przy stołach bliżej środka siedzieli funkcyjni, niżsi oficerowie i cywile, sądząc z nadęcia malującego się na ich twarzach, pełniący jakieś ważne funkcje. Nie ich jednak bał się strażnik. Przyczyna jego strachu siedziała przy wielkim stole prezydialnym. Oprócz dowódcy strażnicy znajdowało się tam trzech wyższych oficerów, niskiej rangi czarownik i ktoś w dziwnym stroju. Przypominającym trochę to, co nosili Polacy.

To jeden z tych Anglosasów, przemknęło Kai przez głowę. I od razu pojawiła się idiotyczna myśl: A może być tak zagadać? Po angielsku? Obsobaczyła sama siebie. Bardziej należało się obawiać tego czarownika z przepaską na czole, ale... bez przesady. Jeśli nie użyje czarów albo nie napisze tuszem na własnym czole, że też jest czarownicą, tamten nie miał szans jej rozpoznać. Nosila specjalny amulet od samego Mereditha, chroniący ją przed banalnymi metodami wykrycia, jak choćby igiełką czy drzazgą. A do wyższych czarów ten tutaj pewnie nie był zdolny.

– No! – Prowadzący zebranie oficer zerknął na dziewczyny, które lekko oszołomione przystały pod drzwiami. – Pojawił się i nasz poczęstunek. Czym chata bogata! Zapraszamy!

– Rozstawiajcie naczynia.

– Ale...

– Żadne „ale”. – Strażnik nagle zorientował się, o co mogła pytać Kai. – Rozstawiać pełne. Ta druga niech macha chochlą, a ty masz nosić. Zaczynij od stołu prezydialnego.

Tego akurat nie musiał mówić. Nuk napełniła ostrożnie dwie miski, które przejęła od niej Kai. Z pewnym zdziwieniem zauważyła, że posiłek składający się głównie z mięsa musiał tu być rzadkością. Po niesłabnącej uwadze, z jaką śledzili ją wzrokiem ludzie, których mijała z parującymi naczyniami, wywnioskowała, że oni byli po prostu głodni. I że czekają na coś wyjątkowego, czego nie doświadczają na co dzień. Podświadomie chyba spodziewała się jakiejś nieufności czy wrogości nawet, ale teraz, kiedy skończyła stawiać naczynia na stole prezydium, ludzie na niższych

szczeblach patrzyli na nią z wyraźną sympatią. Ba, pochwyciła nawet kilka uśmiechów. Dobra, dobra, zganiła siebie w myślach. Poczekaj, aż spróbują.

Jakby w odpowiedzi prowadzący zebranie zagaił:

– Proszę, proszę, nie krępujcie się, bracia, i jedzcie, póki gorące. Wybaczcie skromny poczęstunek...

Przerwały mu liczne śmiechy. Prowadzący uśmiechnął się również. A jednak mięso było tu rarytasem. I dziewczyny przynajmniej pozbawiły go większości smrodu.

– Nasi wspaniali goście – ukłonił się w stronę ludzi za stołem prezydialnym – nie zabawią u nas długo. Muszą zanieść swoje tak bardzo niepokojące wieści do każdej strażnicy, komendy i garnizonu w naszym wspaniałym królestwie. Dlatego pozwólcie, będziemy kontynuować przy jedzeniu.

Ciekawe, co zamierzał tym osiągnąć? Pewnie to, żeby każde obwieszczenie władzy kojarzyło się ludziom z sutym poczęstunkiem. Kai jednak nie zastanawiała się nad psychologicznymi sztuczkami, które chciała osiągnąć władza. Prawie skamieniała ze strachu, kiedy jeden z oficerów sięgnął po łyżkę i nabrał sobie tego czegoś, co miało udawać gulasz. Wymieniły się z Nuk spojrzeniami. No jasna zaraza! Teraz się wyda, że nie są kucharkami i o gotowaniu nie mają zielonego pojęcia. Rosły mężczyzna włożył zawartość łyżki do ust. Gryzł powoli. Na razie nie wypluwał niczego, nie kłął ani nie wymiotował. Przełknął. A potem podniósł do ust drugą łyżkę.

– I jak? – zagadnął go kolega siedzący obok.

– Nawet da się zjeść.

Musiał brzmieć przekonująco, bo mężczyzna w ubraniu ludzi z Górn Bogów nabrał sobie porcję. Najpierw powąchał z uwagą, potem posmakował.

– No nie. Jak na taką zapadłą strażnicę, to rarytasy tu podają.

Kai spotniała nagle. Niczego nie rozumiejąc, znowu spojrzała na Nuk. Ta ledwie dostrzegalnie wzruszyła ramionami. No tak. Dzięki wam, Bogowie, za glutaminian sodu! A tak nawiasem mówiąc... Czego to ludzie nie wymyślą? Żeby kilka kropli tego specyfiku zamieniało zwykłe gówno w smaczną potrawę? Pamiętała przy tym o fakcie, że to trucizna. Miała tylko nadzieję, że goście na tej sali nie zaczną zaraz masowo umierać.



– Bracia – podjął mówca po chwili – nie co dzień zdarza nam się gościć kogoś tak godnego szacunku jak przedstawiciel Cichych Braci z za gór. – Wskazał mężczyznę w obcym, niepasującym do tej cywilizacji ubraniu. – Sprawa jest naprawdę ważna i musimy wysłuchać tego, co szanowni delegaci mają nam do powiedzenia, z niesłabnącą uwagą. Musimy zapoznać się ze wszystkim, co mają nam do przekazania. Naszym obowiązkiem jest przyjąć do naszych serc i umysłów każde słowo, które padnie z ust naszych braci, którzy nie szczędzą wysiłków, by oświecić nas, prostych ludzi, i przygotować należycie do pełnienia naszych strażniczych obowiązków.

Kai usiłowała nie patrzeć na mówcę. Rozdawała sumiennie miski z jedzeniem, starając się w ogóle nie patrzeć w stronę prezydium. A szczególności nie patrzeć na „Cichego Brata”, bała się przyciągnięcia jego wzroku. Nie wiedziała, czy umie panować nad własną twarzą wystarczająco, żeby nie zauważył, że tacy jak on byli właśnie celem jej wyprawy na obcy kontynent. A z drugiej strony nie mogła się oprzeć, żeby nie zerkać dyskretnie na mówcę. Co za idiotyczny styl przemawiania. Przecież on w każdym zdaniu powtarzał to samo.

– Bracia! Nadszedł czas, by przemówił ktoś godny! Ktoś, kto powie nam, jak ważne sprawy dzieją się wokół nas. Ktoś, kto otworzy nam oczy na najbardziej palące problemy, których my sami często nie jesteśmy w stanie dostrzec.

Kai miała dość. Nagle zdała sobie sprawę, że gdyby miała tak siedzieć i słuchać podobnych bredni przez cały dzień, chyba by oszalała.

– A gwarantem tego, o jak ważnych rzeczach mówić dziś będziemy, jest, jak widzicie przecież, sama obecność Starszego Brata tu, między nami!

Aha, „Cichy Brat” miał jeszcze jedno określenie: „Starszy Brat”. No proszę, jak ładnie tu sobie ustawiono hierarchię. Ci z za gór musieli tu być usadowieni od dawna. Musieli przybyć na tę ziemię na długo przed Polakami. A teraz zadaniem Kai było szybko przekazać tę informację do kwatery wywiadu marynarki. Pytanie tylko jak. Nie bardzo wyobrażała sobie nadawanie wprost z wrogiej strażnicy nawet nocą.

– Proszę o zabranie głosu naszego wspaniałego dowódcę straży w tym portowym mieście, czcigodnego Ahela! Cieszymy się, bracia!

Rozległy się brawa. Zza stołu prezydyjnego wyszedł, o dziwo, nie oficer, ale jeden z cywilów. Też miał donośny głos, wyćwiczony do

publicznych wystąpień. A kiedy zaczął mówić, Kai oklapła. Ten sam styl co u poprzednika. Sześć razy to samo w pięciu kolejnych zdaniach. Pierdu, pierdu, pierdu, bez żadnego konkretnego. Niekończąca się opowieść o tym, jakiego nieprawdopodobnego szczęścia doświadczają na co dzień mieszkańcy królestwa, mając zaszczyt być poddanymi boga i króla, a także jego wspaniałych sług, dowódców i przywódców różnych rang. Cywil mówił długo. Kai zdążyła rozdzielić porcje dla wszystkich. Potem stanęła obok równie bezrobotnej Nuk i usiłowała nie ziewać.

Zdenerwowanie i napięte nerwy przez wszystkie ostatnie dni właśnie dawały o sobie znać. Kiedy minęło kolejne niebezpieczeństwo i jakimś cudem dzięki zagranicznej chemii nie odkryto, że nie są kucharkami, gwałtowne uspokojenie przybrało formę pomoru dosłownie i Kai czuła, że głowa zaczyna jej ciążyć, a jedynym marzeniem teraz jest przyłożenie jej do poduszki. Nic z tych rzeczy, usiłowała się opanować. Musi być czujna jak zwiadowca, a nie wymiękać jak gospodyni po zrobieniu dobrego obiadu.

Zmusiła się, żeby myśleć jak agent wywiadu. Podstawowa sprawa: dlaczego człowiek przedstawiony jako dowódca straży w mieście jest cywilem i nie nosi żadnego munduru? Cywilna kontrola nad armią? Zaraz, strażnicy to nie armia, tylko służba wewnętrzna. Ale nad nimi cywil? I to jeszcze mówiący tak głupio od dłuższego już czasu?

Dała się zwieść. On wcale nie mówił głupio, jak miało się okazać już po chwili. Kwiecisty styl, składający się z powtarzania truizmów i natrętnej propagandy, był tu po prostu oficjalnym sposobem wyrażania myśli.

W przemowie Ahela zmienił się ton. Cywilny dowódca straży zaczął omawiać sytuację międzynarodową. Kai i Nuk nadstawiły uszu w nadziei, że może dowiedzą się czegoś o toczony właśnie wojnie, ale nic z tego. Ahel w kontraście do świetlanej rzeczywistości królestwa zauważył też pewne niedociągnięcia, którym jednak nie nadał konkretnej nazwy. Niedociągnięciem tym, oczywiście przejściowym, chwilowym, niezbyt uciążliwym, niewartym właściwie głębszej refleksji, winni są wrogowie. To oni usiłują pustoszyć królestwo i niszczyć jego najwspanialszą na świecie gospodarkę. A wśród wrogów szczególną uwagę należy poświęcić cesarstwu. To znaczy „tak zwanemu cesarstwu”. Nie ma ono bowiem nawet swojej oficjalnej nazwy, tak jest głupie i nieporadne. Jego mieszkańcy określają je różnymi słowami: cesarstwo Achai, cesarstwo Arkach,

cesarstwo Biafry albo po prostu imperium. Tak zwane cesarstwo leży daleko, za morzem. Niestety, jego zezwierzęcona armia sięga coraz dalej w kierunku obszarów strategicznie interesujących królestwo. Zniszczono nawet wspañałą kulturę przyjaznych i pokojowo nastawionych mieszkańców Wielkiego Lasu w Banxi tylko po to, żeby zbliżyć swoje oddziały do terenów operacyjnych królestwa.

Kai zmarszczyła brwi. Zaraz, zaraz, gdzie Wielki Las, a gdzie królestwo? O jakie tereny operacyjne chodzi? Po dłuższej chwili zrozumiała, że tutejszy władca dopiero chciałby tam posłać swoje armie, ale nie teraz jeszcze, tylko w przyszłości. Wiele by to wyjaśniało w kwestii szpiega, którego dotąd znała jako ślepego podróżnika.

Skupiła uwagę, bo Ahel przeszedł właśnie do niktzemnych sojuszników imperium spod osławionego znaku RP. Ci podli, godni najwyższej pogardy przybysze zza gór sprzymierzyli się dodatkowo z największymi wrogami ludzi w całym wszechświecie, z okropnymi Ziemcami, potworami, zwierzętami w ludzkiej skórze. Razem dali już niejedną popis swoich zbrodniczych umiejętności, choćby zrzucając napalm i gazując śmiertelnie spokojnych i miłujących pokój mieszkańców Wielkiego Lasu w dolinie Sait.

Czarownica słyszała, jak stojąca nieco z tyłu Nuk westchnęła cicho. No szlag! Ci tutaj mieli swoje wtyki po drugiej stronie morza. I to konkretne. Wiedzieli naprawdę dużo i na bieżąco. A jak wysoko zdołali umieścić swoich szpiegów?

Ahel zgrabnie połączył obecność Ziemców w imperium za morzem, podłą działalność podżegaczy wojennych spod znaku RP oraz trudną sytuację ekonomiczną w niektórych aspektach życia w królestwie.

– Bracia! – mówił z płomienną wiarą. – To, do czego zdolne są imperialne służby, podniecane wyciem wydobywającym się ze skundlonych gardeł Polaków, sprzymierzonych już wręcz ze zwierzętami, przechodzi wszelkie ludzkie granice! Czy wiecie? Czy macie chociaż pojęcie, że nie gdzieś w dalekiej przyszłości, nie kiedyś tam, ale już teraz cesarscy lokaje śmia podnieść na nas rękę?! Tak! Tutaj i teraz! Na naszej ziemi!

Szmer oburzenia rozległ się na sali.

– Bandyty i zbójcy! Ręka w rękę jeden z drugim podpalacz i morderca, podnoszą na nas ręce pospołu! Jeśli ktoś z was myśli, że zostawia nas w

spokoju, to jest w błędzie! Właśnie wysłali swoich szpiegów! Wysłali do nas cesarskiego śmiecia od czarnej roboty, zawodowego mordercę zezwierzęconego tak, że podczas bitwy potrafił sobie zrobić spódniczkę z włosów oskalpowanych ofiar, niewinnych kobiet i dzieci, które zarznął!

Kai i Nuk skamieniały. Paraliżujące, odbierające oddech i przeraźliwie zimne uczucie strachu owładnęło nimi, odbierając możliwość jakiegokolwiek reakcji. Kto może wiedzieć aż tyle? Kto może mieć pojęcie o spódniczce z włosów Nuk? I najważniejsze, co teraz będzie? Co z nimi zrobią, skoro już wszystko odkryli?

Czarownica bała się otworzyć przymknięte oczy. Miała wrażenie, że jeśli tylko ruszy powiekami, wszyscy zebrani na sali rzucą się na nią i zaczną rozszarpać gołymi rękami.

Ale nie. Nic się nie stało. A kiedy przez wąskie szparki w oczach rozejrzała się, zauważyła, że ludzie nawet nie patrzą w jej stronę. Odetchnęła lekko i otworzyła oczy trochę szerzej.

Ahel właśnie rozwodził się nad zbrodniami wojennymi popełnianymi przez Polaków. Szczegółowo opisywał, jak to Tatarzy wieszają jeńców bez sądu, ot tak, po prostu na gałęziach. Mówił o tym, jak marynarka wojenna strzela do chłopów, ot tak, z okrętowej armaty do zwykłej, spokojnej wioski, jak tak zwani doktorzy z wojsk lądowych przeprowadzają eksperymenty na miłujących pokój mieszkańcach Wielkich Lasów... Dużo wiedział. Ale na razie chyba mało konkretnie. Przykład ze spódniczką z włosów mógł być przypadkiem. Historia była znana wśród Polaków, mogła się rozpowszechnić wśród cesarskich żołnierzy. Ale cała reszta świadczyła, że królestwo wprowadziło naprawdę wysoko ulokowanego agenta, który ma dostęp do wielu informacji. Jak wysoko?

– Bracia! Musimy zachować szczególną czujność! Właśnie teraz, bo wiemy z całą pewnością, że służusy cesarstwa, działając ręką w rękę z polskimi podżegaczami wojennymi, wysłali do nas dwóch agentów! O, jakie to dobrane towarzystwo, sami mordercy i szpiedzy!

Kai całą siłą woli powstrzymywała się od spojrzenia na Nuk.

– Ich zadaniem jest wyrwanie nam wszystkich naszych tajemnic, a także zabijanie w nocy śpiących żołnierzy i zatrucie studni! Musimy wykazać się niebywałą zupełnie czujnością, albowiem oni nie wysłali byle kogo. Tą szajką szpiegów dowodzi kapitan Wojska Polskiego!

Kai poczuła nagły ból w okolicach mostka, paralizujące uderzenie strachu i zimny pot, który momentalnie pojawił się na czole. Ich agent tkwił w sztabie!

Ahel zakrztusił się nagle i zaczął pokasływać. Sięgnął po stojący pod ręką kubek, ale ten okazał się pusty. Stojący obok dziewczyn strażnik pchnął Kai do przodu.

– No idź! Dolej mu wody!

Skołowana, przerażona do granic możliwości czarownica złapała dzbanek i podeszła do stołu prezydialnego. Ahel postawił przed nią kubek, ale nie przerywał przemówienia.

– Musimy być czujni, bracia! Kto wie? A może ten polski kapitan już dosypał mi trucizny do obiadu?! A może właśnie teraz nalewa mi zatrutej wody do kubka?!

Kai rozlała wodę na całej powierzchni stołu. Poczerwieniała na twarzy. Nie mogła nawet przełknąć śliny. Słuchacze trwali w nagłej konsternacji. Oficerowie sarkali i odsuwali krzesła.

– I coś ty najlepszego narobił? – Starszy Brat wyraźnie jednak miał pretensje do mówcy. – Przecież to ona robiła ci obiad i ona przyniosła wodę. I teraz cała drży, rumieńców dostała. Co chcesz osiągnąć straszeniem dziewczyny? Zaraz ludzie zaczną się śmiać!

Obecni na sali nie odważyli się na żadne śmiechy. Mówca wybrnął idealnie z sytuacji, przekazując głos Starszemu Bratu i uniemożliwiając mu w ten sposób jakąkolwiek dalszą krytykę. Sam, zadowolony, napił się wody i odprowadził rozemocjonowaną Kai z powrotem pod ścianę.

– Kim są te dwie? – zapytał szeptem strażnika.

– To więźniarki.

Usłyszawszy to, Ahel wyprowadził dziewczyny na korytarz, skinął też na strażnika i po chwili zamknął za nim drzwi.

– To mówisz, że to aresztantki? – Zmrużył oczy. – A kto je aresztował?

– Ja osobiście!

– Aha. Są więc podejrzane, być może są wrogami królestwa, a jednocześnie przygotowują obiad dla delegacji z dowództwa? Jak to wytłumaczysz?

Strażnik zrozumiał, że zabrnął w koziego róg. I że komendant dobrze wie, co tu się wyrabia. Zastanawiał się, jak wybrnąć z matni. Kai też myślała intensywnie. I kiedy tylko puściły pierwsze okowy potwornego strachu,

zrozumiała jedną rzecz. Agent w polskim sztabie był bardzo wysoko, a jednak nie wiedział wszystkiego. Ahel powiedział o niej „kapitan Wojska Polskiego”, a przecież była kapitanem marynarki wojennej. Niby to samo, z tym że nikt, kto zna stosunki w formacji, nigdy nie wyraziłby się w ten sposób.

– No... panie komendancie. – Strażnik wił się, nie wiedząc, co powiedzieć. – Aresztowałem je, bo szły spalić komendę.

– Skąd mogłeś znać ich zamiary?

– No... miały to wypisane na twarzy!

– Aha. – Ahel spokojnie przytaknął. – Na twarzy – powtórzył. – Rozumiem.

– Bo...

– Ja ci powiem, dlaczego je aresztowałeś. Zrobiłeś to, kiedy się dowiedziałeś, że są kucharkami. I powiem ci jeszcze coś. Jeśli tak sprawy wyglądają w tej strażnicy, to ja się głęboko zastanowię nad wysłaniem całego składu na front!

– Ależ, panie!...

– Milcz. Zabieram ci te baby, idioto!

Ahel odwrócił się od zmartwiałego ze strachu strażnika, a jego twarz przybrała pogodny wyraz. Poklepał dziewczyny po ramionach.

– Tak, tak, dobrze słyszałyście – powiedział. – Złapałyście szczęście za pięty, dziewczęta. Będziecie odtąd służyć w samej komendanturze tego miasta! Będziecie gotować dla mnie!

Kai zatkanęło. A Nuk dygnęła zgrabnie i powiedziała z radosnym uśmiechem:

– Bardzo dziękujemy, panie komendancie!

Ależ miała nerwy. Jak postronki.



Tomaszewski obudził się w czymś miękkim i ciepłym. Było mu tak dobrze, że nie miał ochoty otwierać oczu. Skądś, jakby z oddali, dochodził szum morza. I coś jeszcze. Jakby łopotanie sztandarów? Jakichś flag?

– Obudziłeś się – usłyszał kobiecy głos.

Szarpnął się na łóżku. Poczuł w głowie ukłucie bólu, ale lekkie już i stłumione. Przypomniawszy sobie walkę przy wiatrakowcu. Uderzył w coś, padając? Tego nie wiedział.

– Już, już, spokojnie. – Ktoś położył mu rękę na czole. – Na szczęście czarownik był w pobliżu. Uśpił cię i żołnierzom udało się przywieźć cię tutaj.

Tomaszewski otworzył oczy i zaraz zmrużył oślepiiony nawałą światła.

– Gdzie ja jestem?

– W Avahen. Nadmorskiej twierdzy–górze.

Udało mu się zogniskować wzrok. Tuż obok stała młoda dziewczyna, na ile mógł rozpoznać z pozycji leżącej, była bardzo niska. Miała sympatyczną twarz i krótko ścięte włosy. Uniósł się na łokciach, by móc przyjrzeć się dokładnie. Dziewczyna była ubrana w szeroką, wzorzystą spódnicę do kolan i białą, cieniutką bluzę. Bardzo dokładnie widział rysujące się pod spodem sterczące, małe piersi.

– Kim jesteś? – odchrząknął, żeby odblokować gardło.

– Ina.

– Inna?

– Nie. – Roześmiała się. – Ina, przez jedno „n”.

Podawała mu kubek wody i pomogła, kiedy pił. Udało się nie rozlać wszystkiego. Tomaszewski dopiero teraz zrozumiał, jak bardzo był spragniony. Wydawało mu się, że poza tym nic jednak mu nie dolega. Obmacał skórę na głowie. Żadnej rany jednak ani wyczuwalnej blizny tam nie było.

– Czarownik na szczęście był w pobliżu – powtórzyła. – Wszystko wyleczył. Nawet medyka nie trzeba było. Wszystko w porządku z tobą.

Miała trochę dziwną składnię. No i akcent, taki sam jak u oficera spotkanego na polu bitwy. Ledwie mógł ją zrozumieć.

– A co z moimi ludźmi?

Rozłożyła ręce.

– Im się nie udało. Żołnierze przynieśli ciała tutaj. Wyprawiliśmy im prawdziwy pogrzeb.

Tomaszewski potrząsnął głową. Z tego wniosek, że ten ostatni, Maniek chyba, też zginął. Ostatnią rzeczą, którą pamiętał, był początek następnej strzelaniny w tamtym lesie. Dźwiękiem, który szczególnie wrył mu się w pamięć, był odgłos kul uderzających w maszynę.

– Jesteś Polakiem, prawda?

– Skąd wiesz? – Drgnął zaskoczony.

Dziewczyna uśmiechnęła się i przysiadła obok na łóżku.

– My też mamy swój zwiad. I trochę o was wiemy. Troszeczkę.

– Co na przykład?

– Wiemy o dziwnych drogach budowanych przez was na terenach, które wy nazywacie Złe Ziemie.

Przypomniał sobie, co żołnierz w lesie mówił o napaści wojsk cesarskiej Achai.

– Zapewniam cię, że nie budujemy dróg po to, żeby na was napaść.

Znowu się roześmiała.

– Czasy się zmieniły? – Oparła głowę na ramieniu Tomaszewskiego. – No nie... Tylko jakiś tępy liniowy oficer niskiej rangi mógł ci tam, w lesie, zarzucić agresję cesarskiej sprzed tysiąca lat.

– Powtórzył ci tę rozmowę?

Przytaknęła.

– Bardzo dobrze zrobiłeś, mówiąc mu, że jesteście cesarscy. Gdybyś zaczął tłumaczyć wszystkie skomplikowane sprawy dotyczące zależności między imperium i RP, to zaraza jedna wie jak to by się tam skończyło.

– Ty naprawdę dużo wiesz. Jesteś oficerem wywiadu?

– Nie. Jestem pilotem. No, teoretycznie jestem... – Skrzywiła się, jakby musiała poruszyć jakąś bardzo bolesną sprawę. – Mam się tobą zajmować i usłyszeć, co wy wiecie o lataniu.

Tomaszewski skinął głową.

– Wiesz, trochę cię rozczaruję, Inna.

Zerknęła spod oka.

– Dlaczego wymawiasz moje imię przez dwa „n”?

– Bo jest podobne do pewnego polskiego wyrazu, który idealnie oddaje to, jaka jesteś.

Wzruszyła ramionami.

– A dlaczego niby mnie rozczarujesz? – zapytała.

– Ponieważ nie jestem pilotem, Inna. Jestem marynarzem.

Aż podskoczyła.

– A co robił marynarz na maszynie latającej?!

– Był wożony przez pilota – odparł spokojnie Tomaszewski. – To wiatrakowiec marynarki wojennej. A ja tam tylko dowodziłem. Nie znam się na lataniu.

To zrozumiała. Ale też nie mogła się pogodzić z tym, co usłyszała.



– To u was marynarka wojenna ma własne lotnictwo? – Nie mogła uwierzyć. – Jesteście aż tak bogaci?

Westchnął.

– W porównaniu z sytuacją w tym świecie... aż tak. Mogę się jeszcze napić?

– Pewnie. – Podskoczyła do stołu pod oknem po dzbanek. – Mów, czego ci potrzeba. Jesteś głodny?

– Nie. Nie czuję głodu.

– To pewnie efekt działania leczniczej magii. – Znowu usiadła obok Tomaszewskiego, ale tym razem się nie uśmiechała. Smutno spuściła głowę. – Szkoda, że się nie dowiemy niczego o waszym lataniu. Jest zupełnie inne niż nasze.

– Widziałem rysunek jednej z waszych maszyn – powiedział. – Rozbiła się gdzieś przy brzegach Banxi, a morze wyrzuciło szczątki.

Ina spojrzała na niego z żywym zainteresowaniem.

– Nasi inżynierowie razem z cesarskimi na podstawie tych szkiców zrobili model waszego statku powietrznego. No i proporcjonalnie obliczyli, jakiego wzrostu powinien być pilot, żeby taka maszyna mogła go unieść. No i wyszło nam, że pilotem mogłoby być dziecko. – Zaczął się śmiać. – A widząc ciebie, mam wrażenie, że niewiele się pomylili.

Ina stanęła w bardzo wdzięcznej pozie. Niby dlatego, żeby pokazać, jaka jest niska. Nie, nie była karlicą. Miała proporcjonalną i bardzo harmonijną budowę ciała. Powiedzieć, że sięgała Tomaszewskiemu do pasa, byłoby niewielką przesadą. Sięgała trochę wyżej. Ale już nie do mostka.

– Ja i tak jestem za duża – wyjaśniła. – I nikt mnie nie chce.

– Nie rozumiem.

– Widzisz, bo to trochę skomplikowane. Nasze maszyny dalekiego zwiadu są tak naprawdę leciuteńkimi latawcami. Mogą szybować na niezmierzone odległości. Wykorzystują i ciepłe prądy powietrza, i zimne wiatry. Dobry pilot, jeśli nie ma pecha, może lecieć prawie bez końca. Ale musi sam być jak piórko. Żadnego konkretnego ciężaru te latawce nie udźwigną.

– To wiem z naszych wyliczeń. Latacie jak szybowce. Tylko chyba trochę dalej i trochę lepiej.

Ina skinęła głową.

– Nie wiem, co to szybowce, domyślam się tylko z nazwy. Ich odpowiednikami są u nas ślizgacze powietrzne. I tymi teoretycznie mogą latać.

– Strasznie mieszasz, Inna.

– Opowiem ci dokładniej następnym razem. – Nie obraziła się w typowo kobiecy sposób za jego sugestie, że nieskładnie mówi.

Ina okazała się bardzo sympatyczna. Tomaszewski nie miał problemu z porozumieniem się z tą dziewczyną. Błyskawicznie łąpał z nią kontakt ponadśłowny, co dotąd nawet wśród wykształconych elit Negger Bank nie było takie szybkie i oczywiste.

A tu? Zdawało się, że pomiędzy nim a tą malutką kobietką nie ma żadnych cywilizacyjnych różnic. Ciekawe, czy cała ta kultura była bliska mentalnie, czy też po prostu ona sama miała jakieś nieprzebrane pokłady empatii. W każdym razie z Iną rozmawiało mu się jak z kimś bliskim.

– Czy mogłabyś mi powiedzieć, gdzie jesteśmy? – zmienił temat, choć kwestia pilotów i tutejszych maszyn bardzo go interesowała. No niestety. Były też ważniejsze sprawy. Do lotnictwa wrócą później.

– Jesteśmy w twierdzy, która znajduje się we wnętrzu wydrążonej góry, tuż przy morzu. Właściwie nawet na cyplu. I jesteśmy oblężeni przez wojska Nayer. Bitwa, w której przypadkiem brałeś udział, była ostatnią próbą wyrwania się z oblężenia. Niestety, nieudaną.

– Nie no, w porządku. Pytałem o sprawy bardziej ogólne. W jakim królestwie się znajdujemy?

– Nie jesteśmy królestwem, tylko związkiem wolnych ludzi.

– Republiką?

– Nie rozumiem tego słowa. Jesteśmy związkiem wolnych miast.

– Aha. To do mnie trafia. A nazwa?

Ina po raz kolejny pokazała swoje białe, równiuteńkie zęby.

– Nie ma nazwy w języku ludzi. Legendy głoszą, że nazwa naszego związku pochodzi z języka Bogów.

– I jak brzmi?

Dziewczyna otworzyła lekko usta i wydała bezgłośnie tchnienie. Wyglądało to, jakby lekko chuchnęła.

– Ach! – Tomaszewski postanowił zazartować i pacnął się dłonią w czoło. – Chuchlandia? Co rano, kiedy się witacie, każdy musi chuchnąć, żeby było jasne, kto się wczoraj upił?

– Ty paskudo! – Ina runęła do przodu, porwała wielką poduszkę i zaczęła okładać Tomaszewskiego z całych sił po głowie. – Zaraz tak przerobię nazwę twojego kraju, że...

Nie usłyszał, co zamierzała zrobić, bo napała z taką siłą, że oboje zwalili się na podłogę. Śmiejąc się, walczyli dalej i wcale przewaga nie była po stronie Tomaszewskiego, bo pod kołdrą był goły i musiał się nią osłaniać. Kiedy rozwalili stół, a stojące na blacie naczynia runęły z brzękiem na podłogę, otworzyły się drzwi i stanął w nich starszy, kostyczny mężczyzna.

Oboje zamarli na podłodze.

– Widzę, że zawarliście już bliższą znajomość – powiedział sucho.

Tomaszewski przełknął ślinę.

– Przepraszam, że nie podaję ręki, ale muszę zasłaniać się kołdrą, a poza tym pański człowiek siedzi na mnie okrakiem.

Mężczyzna usiłował zachować poważny wyraz twarzy.

– Ina – powiedział surowo – prosiłem, żebyś grzecznie porozmawiała z naszym gościem, jak pilot z pilotem. A nie od razu w mordę, jak nie będzie chciał gadać.

– Ale to nie pilot, tylko marynarz, panie. – Dziewczyna wyglądała na skonfundowaną.

– To jeszcze nie powód, żeby go od razu bić po głowie.

– Tylko drapała – Tomaszewski usiłował usprawiedliwić Inę.

– Wybacz, gościu. – Mężczyzna poprawił na sobie skórzaną kamizelkę.

– Zazwyczaj w naszym kraju traktuje się przybyszów z szacunkiem. Mam nadzieję, że i ona się opamięta.

Nie dając czasu na żadną reakcję, uklonił się sztywno i zamknął drzwi.

– Kto to był?

– Mój dowódca. – Dziewczyna nie miała tęgiej miny.

– Masz teraz przechłapanie?

– Raczej, psiamać, tak. – Przygryzła wargi.

– Spokojnie, jakoś to załatwimy. – Tomaszewski usiłował wyczołgać się spod dziewczyny, nie tracąc jednocześnie kontaktu z kołdrą. – Słuchaj, masz coś, w co mógłbym się ubrać?

– Jest tu twój mundur. – Ina zeskoczyła z niego zgrabnie i podeszła do skrzyni pod ścianą. – Wyczyszczony i naprawiony na szwie, gdzie się rozdarł.

– No dobra. – Tomaszewski, ciągle używając kołdry jako osłony, zaczął się ubierać. – Na czym skończyłaś? W sensie sytuacji u was?

Ina westchnęła ciężko. Najwyraźniej to, co zobaczył jej dowódca, nie było tym, co powinien zobaczyć.

– No szlag – prychnęła. – A srał to pies!

Tomaszewski pokręcił głową. Dziewczyna z obcego kraju wydawała mu się tak bliska jak ktoś, kogo znał od dawna i od dawna lubił. Niesamowite. Śmiał się w duchu, widząc zmiany zachodzące na jej twarzy. Usiłowała przestawić swój umysł na nowy tor myślenia.

– To jest tak – zaczęła nareszcie po dłuższej chwili. – Walczyliśmy z Nayer prawie od zarania. Ale raczej dość niemrawo. Wiesz, jak to jest?

– Krok w przód, krok w tył?

– O właśnie. Takie tam zwykłe konflikty na granicy między krajami, które są zorganizowane według dwóch różnych idei. Ale od kilkunastu lat, może od dwudziestu już, Nayer napiera z coraz większą siłą. Jest coraz bardziej zdeterminowane. Ponosi jakieś monstrualne straty, kompletnie nie liczy się z własnym wojskiem, ale prze naprzód nieubłaganie. Zdaje się, że ma niewyczerpane zasoby ludzkie. Nas nie byłoby stać na coś takiego. A oni potrafią nawet narkotyzować swoich praktycznie nieuzbrojonych ludzi i pchać naprzód w szale, po to tylko, żeby nakryć nas ciałami.

– Wojsko, które zaatakowało nasz wiatrakowiec tuż po wylądowaniu, wyglądało na zorganizowane. Obszarpańcy, ale mieli broń palną i komendę.

– Bo pechowo trafiliście na elitę. Armię, która oblega naszą twierdzę. Murów, widzisz, nawaleni narkotykami szaleńcy gołymi rękami jednak nie zdobędą.

Tomaszewski zamyślił się. Czy to był zbieg okoliczności? Jego umysł błyskawicznie kojarzył fakty. Kilkanaście lat temu wrogie królestwo pod bokiem wzmogło napór. Alpiniści w Górach Pierścienia znaleźli na niebywałych wysokościach grób, czy raczej kurhan wzniesiony ku pamięci wyprawy zakonnej sprzed kilkuset lat. W tym miejscu znaleźli też lekko przestarzały wihajster służący do wspinaczki. Czyżby kupiony w świecie za górami... kilkanaście lat temu? To koincydencja czy przypadek?

– Słuchaj, Inna, czy siły Nayer nie chcą przypadkiem przebić się przez wasze terytorium do miejsca, gdzie przed wiekami wzniesiono monstrualne budowle?

– Tak, chcą dojsć do bieguna. – Spojrzała na niego zaskoczona. – Skąd wiesz?

– Ciąg skojarzeń. – Uśmiechnął się raczej smutno, bo wolałby nie mieć racji.

– Są opętani tą swoją Księgą Przejścia. Chcą przebrnąć przez tereny legendarnego piekła i dotrzeć do budowli wzniesionych ponoć przez Bogów. I co gorsza, podobno wiedzą jak.

Tomaszewski odnalazł w kieszeni munduru ledwie napoczętą paczkę papierosów i zapalniczkę. Włożył jednego do ust.

– Mogę tu zapalić?

– Co zapalić? – nie zrozumiała.

Pstryknął zapalniczką, a dziewczyna podskoczyła lekko na widok płomienia, który pojawił się znikąd. Dym z papierosa sprawił, że się rozkaszała.

– Co to za świństwo?

– Nie przejmuj się. – Tomaszewski z ulgą zaciągnął się głęboko. Wszystkie fakty układały mu się w głowie. Anglosasi, którzy odwiedzili Nayer, siedzą tam już od kilkunastu, może dwudziestu lat. Cholera jasna! I realizują własny plan. Zupełnie inaczej niż Polacy. Przed wszystkim dobrze wiedzą, do czego dążą. I, teraz już wszystko na to wskazuje, są w jakimś sensie kontynuatorami, a może nawet potomkami uczestników zakonnych wypraw na drugą stronę gór. I jeśli ich celem jest zdobycie pomnika cesarzowej Achai, to są bliscy jego realizacji. Szlag! A on tu tkwił zupełnie odcięty od całego świata.

– Czemu się katujesz tym smrodem? – zapytała Ina. – To jakiś religijny rytuał? Samoukaranie się za popełnione grzechy?

– To rodzaj narkotyku – wyjaśnił.

Odskoczyła pod ścianę.

– I zaraz wpadniesz w szal, a potem mnie zaatakujesz?!

– Raczej nie. To ma uspokajać.

– Śmierdzący dym jako forma uspokojenia? – Dziewczyna usiłowała zatkać sobie nos. – Bogowie, co się tam u was, w imperium, wyrabia!

– Powiedz mi jeszcze – Tomaszewski nie chciał wdawać się w dyskusję o zwyczajach – co się stanie, kiedy siły Nayer zdobędą tę twierdzę?

– Związek wolnych miast straci dostęp do morza.

– A droga do bieguna zostanie otwarta?

– Jeszcze nie. Pozostanie im ostatnia twierdza. Ale ma niewielkie znaczenie. Jeśli padnie Tor Avahen, zachwieje to całym naszym związkiem. Tu jest archiwum państwa. Tu są dokumenty najwyższej wagi państwowej. Pisma historyczne. Nawet fragmenty wykładni Księgi Przejścia, element, którego chyba szukają nasi przeciwnicy po całym świecie.

Tomaszewski skinął głową. No tak. A ostatnia próba przebicia się z obleżonej twierdzy zakończyła się klęską.

– Nie możecie ewakuować archiwum drogą morską? – zapytał.

– Dokąd? Zresztą czym? Nie jesteśmy ludem morskim, nasze są góry, turnie, przepaście.

– A te latawce się nie nadają?

– Do transportu czegokolwiek nie. Ale można by było wywieźć najważniejsze skarby ślizgaczami powietrznymi. Z tym że one się nie wznoszą. Zasięg ślizgu przy starcie z wierzchołka góry to średnio cztery, pięć tysięcy kroków. I lądujemy prosto w rękach armii Nayer.

– No to rzeczywiście pat. – Tomaszewski kłął w duchu. Fakt, że dysponował teraz ważnymi informacjami i w żaden sposób nie mógł ich przekazać, doprowadzał go do szału. Zaciągnął się jeszcze raz. – Przydałyby się wam wiatrakowce.

– No niestety. – Ina uśmiechnęła się, robiąc zabawną minę. – Mamy tylko jeden. Ten twój, a ty nie umiesz latać, bo jesteś marynarzem.

Tomaszewski podskoczył na łóżku.

– Macie mój wiatrakowiec?!

– No pewnie. Nawet najbardziej tępy oficer w najbardziej niekorzystnej sytuacji na polu walki nie mógł przecież zrezygnować z takiej gratki. Nasi piloci musieli zobaczyć tę maszynę. Więc żołnierze przeciągnęli ją do twierdzy, razem ze wszystkimi rzeczami, które były w środku i tymi porzrzuconymi obok.

Nie mógł uwierzyć.

– O szlag! Inna, zaprowadź mnie do wiatrakowca natychmiast!

– Nie ma sprawy. Ale po co, skoro nie jesteś pilotem?

– Zrozum, dziewczyno. Oprócz tego, że potrafimy latać na maszynach z żelaza, to jeszcze potrafimy rozmawiać ze sobą na ogromne odległości. Tak po prostu, przez powietrze.

Nie mogła uwierzyć. Patrzyła na niego zbaraniałym wzrokiem.

– Tam jest radiostacja! Rozumiesz? Tam jest radiostacja!

Sam jednak nie był taki pewny swego. Przecież ostatnim dźwiękiem, jaki pamiętał sprzed utraty przytomności, był odgłos kul walących w metal wiatrakowca.



Słońce, które wzniosło się na sam szczyt swojej codziennej drogi, sprawiało, że nawet to wielkie, pustawe miasto złożone z sypiących się drewnianych domów mogło wydawać się choć w miarę przyjazne. Niestety, idącym środkiem ulicy dwóm dziewczynom nic nie wydawało się przyjazne. Szły szybko, pomstując i rugając się wzajemnie, i choć widać było, że są przyjaciółkami, to w tej chwili można by odnieść wrażenie, że jedna najchętniej przyłałaby drugiej.

– Bo jesteś durna jak oślica! Żeby zgodzić się być kucharką samego komendanta, to trzeba nie mieć rozumu za grosz!

– A co miałam zrobić? A jak tobie nie pasowało, trzeba było wtedy pysk rozedrzyć, a nie teraz na mnie!

– Idiotko! Mamy tylko jedną małą buteleczkę glutaminianu. Nie wystarczy, żeby zrobić zjadliwą breję dla całej komendy!

– A kto ci każe dla całej komendy?! Kilka kropel i tylko komendantowi zrobisz dobrze!

– No właśnie tego się bałam. Że to się skończy robieniem komendantowi dobrze! Bo oni zaraz się zorientują, że żadnymi kucharkami nie jesteśmy.

– No pewnie, że nie jesteśmy żadnymi kucharkami, durna babo! Jesteśmy kucharkami samego komendanta!

– No nie, po prostu przestań mnie rozśmieszać! Bo mnie zaraz brzuch rozboli! A ty wymiękniesz, jak cię zaraz spytają, co dziś na obiad!

– Powiem: dziś gówno wymieszane z sikami! Firma „Cesarscy szpiedzy” życzy smacznego!

– Nie rycz tak głośno! Zaraz nas ktoś usłyszy!

Nagle obie zdały sobie sprawę, że je poniosło. Przerażone zaczęły się rozglądać, ale w zasięgu wzroku nie znalazły nikogo. Miasto było prawie opustoszałe. I mimo słońca, które rozświetlało spróchniałe ściany, przygnębiające. Ciekawe, czy to efekt wyniszczającej wojny, prowadzonej gdzieś daleko, za granicami, czy też osobliwy stan umysłu powodowany życiem w tym kraju? W każdym razie nikt się nimi nie interesował. Szły

sobie ze swoimi sakwami, których na strażnicy nikt im nie sprawdził, niezaczepiane przez nikogo. Przedziwny kraj, który jednocześnie za byle co karał zesłaniem do oddziałów prowadzonych na rzeź.

– O! – Kai wyciągnęła rękę, wskazując okazały, oczywiście kamienny budynek. – To chyba komenda miasta.

– Może uciekajmy, póki czas? – nie wiadomo, czy to był żart, czy Nuk straciła pewność siebie.

– Niby gdzie? Zresztą dopiero wtedy stałybyśmy się ściganymi, i to w obcym, nieznanym terenie. – W głosie Kai brzmiała raczej rezygnacja. – No i... wtedy byłybyśmy pierwszymi w historii świata szpiegami, którzy uciekli z miejsca, do którego dążyli przez cały czas i w którym znajduje się cel ich misji.

– Chyba tak. – Nuk przyspieszyła, widząc cel.

– No i jak sprawimy, żeby nas tu nie przeszukano?

– Krzykiem. Widziałam, jak zachowuje się komendant wobec strażników i jakie tu zwyczaje panują.

– I potrafisz kogoś zakrzyczeć?

– Ja w garnizonach chowana. – Nuk spojrzała na czarownicę wyraźnie rozbawiona. – Wiem nawet, jak osiągnąć efekt krzyku bez wrzeszczenia na cały głos.

– Zobaczymy.

Strażnik, który wyszedł im na spotkanie, zdawał się niepodatny na żaden krzyk. Toteż Nuk nie krzyczała. Kiedy on ryknął: „Stój!”, unosząc broń, po prostu skręciła, żeby go ominąć.

– Stój, bo strzelam! – Strażnik energicznie odwiódł kurek swojego karabinu.

– Co? – szepnęła Nuk niebotycznie zdziwiona. Skręciła znowu i ruszyła wprost na wycelowaną w nią lufę. – To jest nieregulaminowe użycie broni.

– Jak nieregulaminowe?

– Mierząc w człowieka, trzymasz palec na spuście.

– Ja ci....

– Milcz. Jestem kucharką komendanta. – Nuk mówiła stanowczym głosem, wcale jednak go nie podnosząc. Widać było, że cała sytuacja jest dla niej po prostu rutynowa. Ani dobra, ani zła, ani przejmująca, ani traktowana z przesadną obojętnością. Po prostu zwykła. – Zachowujesz się nieregulaminowo.



– Ja...

– Milcz. Bo zaraz okaże się, że nie rozpaczałeś szczerze po stracie naszego wodza polowego, naszego ukochanego dowódcy, który poległ, zabiwszy wcześniej niezliczone zastępy wrogów.

Nuk minęła strażnika z idealną obojętnością. Kai ruszyła za nią, usiłując nie prowokować mężczyzny i nie patrzeć mu w twarz, na której dostrzegła wielką konfuzję.

Obie swobodnie przeszły przez brukowane podejście do głównych drzwi. Strażnik, który ich pilnował, był po pierwsze znacznie młodszy od poprzednika przy budce strażniczej, a po drugie widział, jak dziewczyny ominęły przeszkodę. Usiłował udawać, że nie widzi dwóch intruzów. Wyraźnie rozjuszyło to Nuk.

– Co?! A drzwi to mam sobie sama otworzyć?!

Najwyraźniej nie zamierzała nawet sięgnąć do klamki. Chłopak runął, żeby im usłużyć. Kiedy droga stała otworem, przeszły obok, nie zaszczycając strażnika nawet spojrzeniem. Następnemu przeciwnikowi, urzędnikowi, który siedział za potężnym stołem, sierżant w ogóle nie dała nawet zacząć swojej kwestii.

– Osobiste kucharki pana komendanta w celu zakwaterowania. Osobne pomieszczenie, dwa łóżka, garderoba, a wszystko w pobliżu i kuchni, i gabinetu dowódcy. Ale biegiem! Żeby tu korzeni nie zdążyła zapuścić!

Urzędnik rzucił się w stronę korytarza, by szybko wykonać zadanie. Kai chciała na niego czekać, Nuk jednak wzięła ją za rękę i poprowadziła dalej. Uznała, że czekanie na kogokolwiek w tej sytuacji byłoby błędem.

– Nieprawdopodobne. – Czarownica nie mogła uwierzyć w to, czego była świadkiem. – Niesamowite zupełnie. Po prostu wlażyliśmy do komendantury ot, tak sobie. Bogowie, co za kraj, przecież każdy bandyta, każdy szpieg teoretycznie mógłby tu wejść bez żadnego...

– Ciiii, dziecko. – Nuk złapała ją dłonią za potylicę i przysunęła jej głowę blisko swojej. Dziewczyny dotknęły się czołami, patrząc sobie w oczy. – Kai, dziecino, postaraj się zapamiętać, że obie jesteśmy szpiegami i właśnie tu weszłyśmy. Dobrze?

– No... tak. Ale to taki... splot przypadków. Szczęście mamy po prostu.

– Posłuchaj mnie, mała. Szczęście i Bogowie osobiście zawsze sprzyjają tym, którzy są bezczelni, zaradni i na nikogo nie czekają. Chcesz mieć szczęście i Bogów stojących po swojej stronie? To natychmiast zrób

coś dla samej siebie. I jak ci się już uda, to zawsze się okaże, że Bogowie akurat bardzo ci sprzyjają. Rozumiesz?

– Rozumiem. – Czarownica zmarszczyła brwi. – Chcesz powiedzieć, że jesteśmy najlepszymi agentami na świecie?

Nuk nie zdążyła odpowiedzieć. Ktoś zaczął je wołać. Okazało się, że główny cięć nie tylko wezwał już odpowiedniego urzędnika, ale nawet sprawił, że ten zszedł na dół i osobiście zainteresował się sprawą.

– Jesteście nowymi kucharkami komendanta? – Szczupły, niski mężczyzna miał przedziwną fryzurę z przylizanych, zasłaniających przedwczesną łysinę włosów. Co chwila musiał poprawiać jej stan. – To proszę za mną. Pokażę wam kwatery.

– Musimy mieć osobną. – Nuk ruszyła za nim wzdłuż korytarza, ciągnąc za sobą koleżankę.

– Nie dość, że osobną – uśmiechnął się sympatycznie – to jeszcze z dala od więzienia. – Zawahał się, wskazując wielki budynek z szarego kamienia, widoczny przez okna prowadzące na wewnętrzny dziedziniec. – No, z dala jak z dala. Ale przynajmniej bez widoku na to przeklęte miejsce. – Gestem zaprosił na szerokie schody. – Niestety, wasza kuchnia przylega do więziennej. Choć oczywiście i produkty, i wyposażenie są zupełnie inne, możecie mi wierzyć.

Ruszył przodem, a Kai przełknęła ślinę. Długo nie mogła odwrócić wzroku od ponurych, zakrytych Windami okien po drugiej stronie dziedzińca.



Sharri, która odbierała meldunki przez bezpośrednie połączenie z polską bazą, przyniosła plik kartek zawierających raporty Organizacji Randa.

– Mogę wam trochę poprzekadzać? – Bezcelnie odsunęła zasłonę przed namiotem zajęтым przez Kadira i Shen. – Przeczytam najnowsze doniesienia.

– Błagam, tylko nie czytaj. – Shen powoli podniosła się z posłania i sycząc z powodu bólu mięśni, usiadła na brzegu swoistego materaca zrobionego z drobnych gałązek drzew. To wszystko było jednak za twarde, zbyt kłujące, niewygodne i w ogóle... Ostatnio Shen zdawała się przygnieciona przez troski i brzemień odpowiedzialności. Przygaszona jak nigdy.

– Tak, tak – zawtórował Kadir. – Opowiedz nam wszystko własnymi słowami.

Sharri przysiadła na małym zydeltu, jedynym elemencie wyposażenia, który przyjechał skądś, a nie był wykonany własnymi rękami z materiałów dostępnych w lesie.

– Zdziwicie się, ale nasza prowokacja z nakłamaniem imperialnym kurierom się udała. Plotki o naszej sile, o sprzyjaniu miejscowej ludności i o tym, jak dajemy popalić regularnej armii, obiegają właśnie cały kraj. Są wzmacniane przez ludzi Randa, ale nie tylko.

– Jak to?

– No, wzmacniają się same. Chyba lud chce wierzyć, że pomiędzy wojskiem cesarskim a nami panuje tu coś w rodzaju równowagi.

Shen prychnęła ze złością.

– Lud w różne rzeczy chce wierzyć. A kiedy dojdzie co do czego, to po staremu, od razu ugina kark i służy już nawet nie z oddaniem, ale z zapamiętaniem starej władzy.

– Oj, nie przeginaj, lud to lud. I nie miej wymagań jak od filozofów.

– Ja nie mam żadnych wymagań. Ale proszę też, żeby nie wymagać niczego ode mnie. Żeby nie mówić, że mam przyjść, dać wolność i bogactwo, a żądający palcem nie ruszy. A nawet zdradzi natychmiast, jeśli takie rozwiązanie będzie choć trochę bardziej korzystne.

– Jesteś zgorzkniała.

– Naprawdę?

Kadir dał Sharri dyskretny znak, żeby nie drażyła. Niech opowiada dalej. Niedoszła kapłanka zrozumiała w jednej chwili: zły dzień.

– Jeszcze lepszy efekt osiągną na dworach ci wszyscy artyści. Pieśniarze, poeci, pisarze. Tak pianę biją, że sięgają już szczytów nieprawdopodobieństwa. I najlepsze jest, że wysoko urodzeni im wierzą. Są przekonani o zbrodniach naszej armii, naszych zwycięstwach, a przede wszystkim że pałac rozsiewa zwykle dezinformacje.

– No popatrz. Zawsze wiedziałam, że artyści są odpowiednim nośnikiem dla propagandy.

– Jeden nawet został skazany za obrazę majestatu, tak pyskował zajadle. Ale koleś stanął za nim murem, twierdząc, że jego los jest dowodem na to, jak postępuje pałac, dowodem na zbrodnię i kneblowanie ust wolnym obywatelom. Liczba paszkwili, antycesarskich wierszyków i

obrazoburczych pieśni wzrosła tak niepomrotnie, że skazanego musiano zwolnić.

Shen skinęła głową.

– No tak. Inteligencja zawsze potrafi walczyć o swoich. I w tej walce chłopaki nigdy nie biorą jeńców.

Sharri uśmiechnęła się lekko.

– To tylko kwestia interpretacji – powiedziała.

– A co nie jest kwestią interpretacji?

– To, co się dzieje we wsiach. Mija właśnie początkowy okres „uspokojenia wszystkiego”. Za to zaczynają się problemy z zaopatrzeniem. Nudzące się sądy polowe zaczynają „rozliczać” tych, co sprzyjali partyzantom, oraz tych, „którzy mogli sprzyjać”. Powolutku, powolutku wszystko wraca do normy, czyli piszczącej biedy, rekwizycji i zezwierżenia armii okupacyjnej.

– Jakiej okupacyjnej? Przecież armia imperium działa na własnej ziemi.

– To tylko kwestia interpretacji – powtórzyła Sharri.

– Posłaniec! Posłaniec! – nagły krzyk przerwał ich rozmowę.

– Dawać go tu! – Shen odwinęła płachtę namiotu i wyszła na zewnątrz. Mięśnie ciągle bolały po niewygodnej nocy. Woda w brezentowym wiadrze przeznaczona do porannych ablucji nie wyglądała zachęcająco. Shen ledwie zamoczyła dłonie i przemyła twarz. Kiedy zacznie przypominać leśną dzikuskę w poszarpanej odzieży? –Wiesz, ile czasu musi minąć, żeby gniew ludu do czegoś ponownie doprowadził?

– Już za rok...

– Optymistka. Zresztą jeśli zimy doczekamy, to będzie istny cud. Chyba że Polacy zrobią nam rzuty z powietrza, a wszyscy wiemy, że nie zrobią. Zachowują się, kurwa, jak panna na wydaniu. „Chciałabym, ale nie wiem z kim”.

– Oj, nie przesadzaj. – Sharri urwała na widok chłopaka z karabinem niedbale przerzuconym przez ramię. Uderzył ją jego uśmiech. Proszę, partyzant, a zadowolony ze swego losu. – Ktoś ty?

– Ja z oddziału „Kolesia” Varika.

– No co tam?

– Z meldunkiem przyszedłem – powiedział chłopak. Miał łobuzerką twarz i zawadiacki sposób bycia. Wszystko w nim mówiło, że do partyzantów nie przyłączył się, by walczyć o sprawiedliwość społeczną ani

o jakiegokolwiek inne brednie w swoim mniemaniu. Interesowała go przygoda, strzelanka i łupy. No i ładne dziewczyny, w których oczach był bohaterem. I to wszystko. Być może tylko w odwrotnej kolejności. – Bo „Koleś” strasznie źle się poczuł. Kaszłał i wymiotował, i w ogóle... No i lekarza potrzebował. A konkretnie, jego lekarstw, bo sam wiedział, co mu jest, nie? A najznakomitszy lekarz to w miasteczku Kirsty mieszka. No tośmy poszli na głębokie tyły imperialnej armii przemytniczym szlakiem. No i...

– Nie mów, żeście weszli tak o do miasteczka za plecami cesarskiej armii?

– No nie mówię, tylko mówię właśnie, żeśmy weszli! Ale fajnie było. Świt, mgła, a tu „Koleś” Varik, na mule siedząc okrakiem, wjeżdża do miasteczka. Szef kaszle, prycha, rzezi, a my, idąc w dwóch rzędach pod ścianami, strzelamy od czasu do czasu, jak ktoś się z okna wychyli. Ale fajnie! Zajęliśmy miasteczko w jednej chwili. A strach w mieszkańców wstąpił! Uciekali, żarcie wynosili, jak tylko ktoś z naszych krzyknął. Wino, owoce, wszystko, co kto chciał, normalnie. A lekarz zajął się szefem, no i teraz go tam podejmuje. Ale „Koleś” kazał zameldować dowódcy, że jego oddział zmienił miejsce stacjonowania.

– I ciągle tam jesteście? – zapytała Sharri.

– Tak jest! Wystawiliśmy mocne warty po obu stronach, to i nikt się nie wymknie.

Shen wyjęła z namiotu mapę i rozłożyła na trawie. Musiała studiować ją w pozycji na czworakach. Kirsty jest tu, jej palec przesuwiał się powoli. Z jednej strony góry, z drugiej morze i niewielka zatoczka, nad którą leży miasteczko. Wąska, ciasna kiszka.

– Jesteś pewien, że nikt się nie wymknął i nie ostrzegł armii?

– No jasne. Varik musi tam zostać kilka dni.

– A jeżeli przyjedzie konwój z zaopatrzeniem dla wojska?

– To się konwój wpuści w pułapkę i złupi. Chcemy tego, bo zaopatrzenia będziemy mieli do zesrania.

Shen skinęła głową. Zerwała się na nogi lekko i zgrabnie, całe poranne przygnębienie gdzieś zniknęło.

– Szykować broń! – wrzasnęła na całe gardło. – Przygotować się do wymarszu!

– No co ty? – Sharri spojrzała na koleżankę zaskoczona. – Co chcesz zrobić?

– Kirsty jest w naszych rękach. Trzeba to wykorzystać.

– Jak?

– To przecież jest przecięcie jedynej drogi prowadzącej z głębi kraju do Kong! To jest operacja, która odetnie naszą armię od jej baz!

– No chyba w kurę się zamieniłaś i jaja robisz! – Niedoszła kapłanka zaperzyła się wyraźnie. – Grupka partyzantów wyjdzie na imperialną drogę i trochę tam postoi, i to będzie się nazwać przecięciem głównej arterii zaopatrzenia?!

Shen uśmiechnęła się szeroko.

– Przecież sama mówiłaś. To tylko kwestia interpretacji!



## Rozdział 12



**T**o wcale nie było tak, że całą górę wydrążono, tworząc ciąg sztucznych jaskiń. Aż tak tytanicznej pracy budowniczowie nie wykonali. Najczęstszym sposobem „zagospodarowania góry”, jeśli można użyć tego określenia, było wykorzystanie naturalnych rozpadlin i stromych wąwozów. Po prostu dzielono je stropami, uzyskując w ten sposób szereg pomieszczeń, jedno nad drugim, skomunikowanych głównie za pomocą drabin, rzadziej schodów o skośnych stopniach. Ktoś, kto tu złamał nogę, był prawdopodobnie przykuty do jednego pomieszczenia do czasu, aż wyzdrowiał. A zapasy i wszystkie potrzebne rzeczy dźwigano z piętra na piętro po prostu na plecach. Prymitywne, napędzane pracą mięśni windy były tu rzadkością. Jeszcze rzadsze były transportowe pochylnie i dźwigi.

Natomiast przy naturalnych jaskiniach, które adaptowano na potrzeby mieszkańców, ktoś wykazał się nieprawdopodobnym wręcz kunsztem. System doświetleń ciemnych komór to istny majstersztyk. Specjalne lustra rozprowadzały światło z małych otworów, które wykuto w skale dość równomiernie po całych salach. Z kolei wszystkie sztuczne jaskinie, wykute od podstaw, wyróżniały się ogromnymi otworami prowadzącymi na wielkie tarasy. Każdy z nich, niezależnie od wysokości, na której się znajdował, pozbawiony był jakiegokolwiek barierki czy choćby poręczy. Osoby z lękiem wysokości w ogóle nie powinny się na nich pojawiać.



Najciekawszy okazał się jednak brak jakiegokolwiek intymności. W żadnym z pomieszczeń nie było wydzielonych korytarzy. Jeśli szło się poziomym ciągiem, to po prostu z pokoju do pokoju. Jednego za drugim, nierzadko przez sam środek. Mieszkający tam ludzie nie reagowali na przechodzących. Można było zobaczyć wszystko. Każdy etap dnia codziennego, każdą chwilę z życia rodzin. Tomaszewski początkowo był zdziwiony, że nikt nie zwraca uwagi choćby na jego nieznaną tu mundur. Ale szybko zrozumiał, że to po prostu wymóg. Konsekwencja życia w „pokojach przechodnich”. Każdy, kto szedł gdzieś załatwić jakąkolwiek sprawę, siłą rzeczy przechodził przez sam środek domów, w których toczyło się codzienne życie. Szybko dało się zauważyć, że obojętność wobec przechodzących jest koniecznością. Tomaszewski był świadkiem wielu intymnych scen i czynności, podczas których sam wolałby nie być obserwowany przez obcych. Widział kochającą się parę. Spokojnie, na oczach wszystkich, pod cieniutkim kocym. Jediną różnicą w stosunku do zachowań innych par w innych kulturach był fakt, że kobieta w trakcie uniesień zachowywała się wyjątkowo cicho. Ale przez to może i sam akt wydawał się bardziej przepełniony czułością niż zazwyczaj.

Tomaszewski w każdym razie doznał szoku, kiedy dotarł do celu podróży, wielkiego hangaru na aparaty latające. Monstrualna sala była kiedyś naturalną jaskinią. W zewnętrznej ścianie wykuto tylko wielki otwór prowadzący na wyrównany taras, a w środku wybudowano równiuteńką drewnianą podłogę. Zgromadzone tu, stojące obok siebie w różnym stadium złożenia lub podwieszane pod sklepieniem aparaty latające robiły piorunujące wrażenie.

– Co cię tak poruszyło? – Ina wydawała się zaskoczona jego reakcją.

– Te aparaty latające.

– Przecież wy też umiecie latać.

– Nie porównuj. Setki lat rozwoju różnych technologii doprowadziły do tego, że latamy. Siłowo, mechanicznie, w sposób wymuszony i wykorzystując prawa fizyczne jakby w sposób będący wbrew naturze. A tu? Boże... Jak można się unieść na tych trzcinkach i błonach? To dla mnie szok.

– Mówiłam: jak się nie ma pecha, można tym lecieć prawie w nieskończoność.

– Przecież to wszystko jest takie leciutkie, kruche, mam wrażenie, że gdybym na tym usiadł, tobym połamiał ze szczętem.

– Dlatego nasi piloci muszą też być leciuteńcy.

– No bez przesady. Jeśli kichnę, te błony się porozrywają.

– Wbrew pozorom nie. Ale aparaty muszą być leciutkie. W dalekim zwiadzie pilot często musi nieść cały latawiec nawet wiele dni.

– Wręcz nieprawdopodobne. – Tomaszewski podszedł do najbliższego aparatu i pochylił się nad nim z taką ostrożnością, jakby to był najcenniejszy eksponat w muzeum starożytności.

– Co cię tak dziwi?

– Brak jakichkolwiek przyrządów!

Zaczęła się śmiać.

– Ach, teraz rozumiem. – Pacnęła się dłonią w czoło. – A tak nas to dziwiło, kiedy oglądaliśmy waszą maszynę. Te wszystkie rzeczy, które chyba podpowiadają wam, jak lecieć.

– No wiesz, nie bardzo sobie wyobrażam, jak wy z kolei możecie latać. Bez sztucznego horyzontu, wariometru, busoli, żyrokompasu, mierników ciśnienia i całej masy innych wskaźników.

– Trochę rozumiem. – Zmarszczyła brwi. – Wiem, co to ciśnienie, choć my tego słowa używamy w trochę innym znaczeniu. Ale po co wam horyzont, i to sztuczny?

– A jak się dowiedzieć, czy lecisz w górę, w dół, czy krzywo?

– Przecież widać.

– W nocy też widać? We mgle też widać? A w chmurach jak z tym widzeniem będzie?

– O Bogowie! – Westchnęła z wyraźnym podziwem. – I wy to wszystko macie na przyrządach? To wszystko da się zmierzyć?

– Tak. A wy?

– U nas pilot jest wszystkimi przyrządami. I musi sam wszystko czuć. Dlatego wstępny wybór pilota następuje często przed urodzeniem, a sity selekcji zaczynają działać od najwcześniejszego dzieciństwa.

– Jak to przed urodzeniem?

– Musi istnieć duże prawdopodobieństwo, że dziewczynka będzie miała odpowiednie predyspozycje i nie urośnie potem za bardzo. A osvajanie z powietrzem, z pogodą i jej zmianami następuje od razu po urodzeniu.

– I tylko dziewczynki?

- Do dalekiego zwiadu chłopcy się nie nadają. Wyrastają za duzi.
- Jak można czuć sobą zmiany ciśnienia na przykład?

Wzruszyła ramionami.

– To akurat najprostsze. Specjaliści łamią dziecku kości obu dłoni. O te. – Pokazała palcem kość, która łączyła najmniejszy palec z nadgarstkiem. – Każdą dłoń łamie się w inny sposób, a złamań nie nastawia, zrastają się trochę krzywo. Do dziś zresztą, jak każda z nas, mam nie do końca sprawne dłonie, choć uszczerbek jest znikomy. No i dzięki temu poprzez ból czuję każdą zmianę pogody, każdy skok ciśnienia, każdy nadchodzący front. A różnice w bólu obu dłoni pozwalają mi odczuwać nawet kierunek przesuwania się mas powietrza.

Tomaszewski był wstrząśnięty tym, co usłyszał. Ludzie jako żywe przyrządy pomiarowe. A wskaźnikiem jest ból. Niesłychane, mówiąc bardzo delikatnie.

– Kiedy od dziecka, od niemowlęcia, jesteś do czegoś przeznaczony, bez trudu znosisz ból. Bo wszystko jest dla ciebie. Treningi, loty z kimś starszym, ślizgacze, dosłownie wszystko. Istota wybrana, która może robić, co chce. Wymaga się od niej tylko ciężkiej harówki i bezgranicznego poświęcenia. Ale nie za darmo. Powoli stajesz się bożyszczem.

– Mówisz to chyba ze smutkiem.

Przytaknęła.

– Wiesz, nadchodzi moment, kiedy to naprawdę staje się twoim przeznaczeniem. Powietrze staje się bardziej naturalnym środowiskiem niż ziemia. Czujesz się wolna, taka jak ptak, wolna nawet bardziej niż one. Stajesz się panią przestworzy. Czymś innym niż reszta ludzi. A ja byłam jedną z najlepszych. Mówili o mnie „pilot natchniony”. Wznosiłam się tam, gdzie innych ogarniał już strach, szybowałam bez żadnych granic.

– I co? – Tomaszewski nie wiedział, czy nie jest zbyt obcesowy. Wspomnienia chyba za bardzo bolały Inę.

– Nic. Rosłam bez opamiętania, a kiedy stałam się kobietą, zaczęłam też tyć.

– Ty? Jesteś szczupła!

– Szczupła, ale nie chuda. Usiłowałam się nawet głodzić. Nie dojadałam tak, że traciłam przytomność. I nic. A w dodatku szybko to odkryli.

– Pilot nie może tracić przytomności? Nie może mu się robić ciemno przed oczami?

– Właśnie. – Pod powiekami Iny pojawiły się łzy. – No i... istota stworzona do unoszenia się w przestworzach, do wolności bez granic została zesłana na ziemię. Na własnych nogach. I jak każda kobieta, która poza lataniem niczego nie umie, odesłana do garów.

– Nie przesadzasz? Masz chyba unikatowe zdolności.

– I co z tego, jeśli nie mogę latać? Pewnie, że mam. – Znowu wzruszyła ramionami. – Mogę uczyć młodych, ale tylko teoretycznie. Czyli w grę wchodzi bardzo małe dzieci. Mogę też pracować w hangarze. Pomagać przy startach. – Załamał jej się głos. – Ale z tego sama zrezygnowałam. Nie mogę znieść widoku latających dziewczyn, podczas kiedy sama wiem, że jestem od nich sto razy lepsza, a do końca życia pozostanę tutaj. Jak kaleka. – Ina otarła łzy. – Znajomi mówią, że podobno dobrze gotuję. Mogą to być tylko uprzejmości. Taka jałmużna dla upośledzonej. Niech się cieszy, głupia.

– Chyba cię rozumiem.

– Co? Jesteś teraz marynarzem bez swojego okrętu?

– Nie. Nigdy nie marzyłem o marynarce wojennej. Właściwie to rodzina zmusiła mnie do kariery na morzu, bo wujek jest admirałem i musiałem kontynuować tradycję.

Spojrzała na niego z cieniem zaciekawienia.

– A kim chciałeś być?

– Szpiegiem! – odparł bez wahania. – Wiesz, od dziecka pochłaniałem filmy i powieści sensacyjne. A tam szpiegdy z pięknymi kobietami w szybkich samochodach...

Ina pewnie nie rozumiała takich pojęć, jak powieść, film czy samochód, ale kontekst wyczuwała idealnie.

– I co? Nie spełniło się?

– W pewnym sensie spełniło, bo marynarka ma swój własny wywiad. I powiedzmy nawet, że piękne kobiety są. – Wskazał kurtuazyjnie Inę. – Ale gdzie, do cholery jasnej, szybkie samochody?!

Dalej nie rozumiała wszystkiego, ale rozbawił ją swoim uniesieniem.

– No widzisz, a mnie wyciągnęli z lamusa, dopiero kiedy ty się pojawiłeś. Myśleli, że jesteś pilotem i jakoś się dogadamy. Ale i tego zadania nie wykonałam.

– Bez przesady, dogadamy się. – Tomaszewski położył Inie dłoń na ramieniu. Drgnęła, co wziął za dobry znak. Niesamowite, jak dobrze mógł

się z nią porozumieć, i to od początku. – Zaraz, ale mówiłaś, że jednak latasz, na tych ślizgaczach czy jak.

Machnęła lekceważąco ręką.

– Ślizgacze stosuje się w sytuacjach awaryjnych. To jeden krótki, nudny lot z częstotliwością raz na rok albo na dwa lata. A może i rzadziej.

– Aha. No to faktycznie niedobrze.

– No.

Przytuliła się do niego lekko. Chyba po to, żeby ukryć wyraz twarzy. Po chwili odsunęła się, przełykając ślinę.

– Chodź, zaprowadzę cię do twojej maszyny.

Zaintrygowany ruszył za Iną. Jakaś myśl drażyła mu umysł, nie dając spokoju.

– Słuchaj, Inna. Czemu nikt nie chce mnie przesłuchać? Czemu jakiś dowódca nie chce dowiedzieć się o wielu...

Nie dała mu dokończyć.

– Jesteśmy w oblężonej twierdzy, z której nie można się przebić, czego byłeś świadkiem. Lada chwila może nastąpić kolejny szturm, a my nie mamy już zaopatrzenia. Nawet z wodą pitną jest krucho. Myślę, że dowództwo ma tyle spraw na głowie, że porozmawia z tobą później.

– Oby nie już w obozie jenieckim, jak będziemy leżeć na sąsiadujących pryzkach.

– To nam nie grozi. Ci z Nayer zabijają wszystkich, kiedy tu wejdą.

– Tak od razu?

– Nie. Kobiety najpierw zgwałcą.

Trudno było odmówić Inie logiki. Nie mógł czegoś zrozumieć. Jakim cudem tak szybko łąpał z nią kontakt, rozmawiali, jakby byli dobrymi przyjaciółmi, i to od lat, a jednocześnie cała ta kultura miała wiele cech trudnych do przyjęcia w jego własnej. Ten brak jakiegokolwiek intymności, spraw prywatnych i takich, których absolutnie nie mógłby zaakceptować. Nie wyobrażał sobie na przykład mieszkania w domu, przez który codziennie przechodzą tłumy ludzi w tę i w tamtą stronę, nawet jeśli nie podkradają niczego z kuchni po drodze. Oczywiście oblężona twierdza, ciasnota – to mógł zrozumieć, ale ci ludzie wydawali się zżyci z takim stanem rzeczy od lat. Było to dla nich naturalne.

Powrócił myślami do Iny. Ciekawe. A może to ich łatwe dogadywanie się to po prostu przesłuchanie przez dowódców? Zlecili sprawę

dziewczynie, która miała, zdaje się, nieprawdopodobne pokłady empatii i która więcej potrafiła się dowiedzieć podczas luźnej rozmowy niż rzeczowego przesłuchania. Jeśli tak, to tylko należy się cieszyć z rozsądku ludzi, którzy tu dowodzili.

– Gdzie mnie prowadzisz, Inna? – zapytał, kiedy pochylnia, po której schodzili, stała się tak stroma, że buty zaczęły mu się ślizgać.

– Do najniższego hangaru. Tuż nad ziemią.

– Zaraz zęby sobie wybiję.

– Już dochodzimy. Tu wszędzie jest mało miejsca i czasem musi być trochę stromo.

Sama jednak nie miała najmniejszych problemów z utrzymaniem równowagi. I to najwyraźniej nie dlatego, że jej buty, a właściwie obcisłe mokasyny, miały podeszwy zapewniające lepsze tarcie. Wcale nie. Potrafiła jakoś tak dziwnie balansować całym ciałem, że najgorsze ześlizgi pokonywała, stąpając pewnie jak baletnica na najlepszym z parkietów. W przeciwieństwie do Tomaszewskiego, który już zjeżdżał, trzymając się ściany. Ciekawe, jak tę drogę pokonać z powrotem? Na czworakach?

– Chodź, niezgrabny wielkoludzie. – Skinęła na niego. – Już doszliśmy.

Otworzyła niewielkie drzwi, przepuszczając go przodem. Ten hangar robił wrażenie. Był o wiele większy od poprzedniego. Z jednej strony, od wnętrza góry, znajdowały się rampy przeładunkowe, jakieś windy czy dźwigi, a z drugiej olbrzymi otwór sięgał sklepienia, ukazując ogromny taras. Było tu jasno, szum morza dochodził skądś z bliska, a wewnątrz zastawione było maszynami innego typu niż w poprzednim miejscu, na górze. Dużo większe, cięższe i bardziej solidne, sprawiały wrażenie, że można było do nich załadować już jakiś konkretny ładunek. Prawdopodobnie to właśnie były te tak nie lubiane przez Inę ślizgacze. Wzrok Tomaszewskiego jednak przykuła inna konstrukcja. Tuż przy otworze w zewnętrznej ścianie stał zaparkowany jego wiatrakowiec.

Przyspieszył kroku. Maszyna nie wyglądała na strasznie postrzelaną. Zauważył dwie dziury w jednym z kanistrów. Postukał dłonią w te, które stały obok. Pełne! Osłona przekładni? Nienaruszona. Radiostacja? Wygląda na całą. Czuł, jak przyspiesza mu puls. Akumulatory? Szlag, to wymagało dłuższego sprawdzania, nie było ich widać na wierzchu. Wskoczył do półotwartej kabiny i zajął miejsce pilota. Główny przełącznik elektryki. Nic. Strzelił nim kilka razy. W ogóle nic. Zaraz, zaraz, zaraz, to nie musi

być poważne uszkodzenie. Zaczął się rozglądać. Ina, która przyglądała się wszystkiemu, co robi, z wielką ciekawością, domyśliła się, czego szuka. Pokazała mu kilka przestrzelin w osłonach urządzeń.

No tak, skrzynka bezpieczników poszła się paść na łące. Palcem uniósł resztki klapki. Czekala go koronkowa robota. Kula dosłownie wyrwała cały panel, z którego sterczały tylko pozbawione izolacji druty. Dużo roboty, ale łatwej. I nie teraz. Sięgnął do swojego schowka z mapami. Wyjął z niego skoroszyt, do którego swego czasu dopiął kilka kartek z notatkami. Notatki nie były mu teraz potrzebne. A spinacz do papieru jak najbardziej. Tomaszewski rozgiął go szybko i dokładnie tak samo, jak kiedyś jako chłopiec watawał w domu wywalone korki, spiął na krótko końcówki układu bezpieczeństwa. Tu napięcia nie były duże. Chodziło tylko o zasilanie układu awaryjnego. Jeszcze raz pstryknął przełącznikiem. Tym razem wskazówki niektórych przyrządów zaczęły leniwie piąć się do góry lub w prawo, w zależności, jak wyskalowano tarcze.

No to super! Jeden akumulator pokazywał zero, pewnie był przestrzelony i spuścił płyn, ale drugi miał aż dziewięćdziesiąt dwa procent naładowania. Wystarczy na wszystko, na co miałby ochotę. Z ulgą opadł na oparcie metalowego fotela.

– Coś okazało się dobrze? – zapytała Ina. Była tak zajęta patrzeniem, co robi, że z wrażenia zapomniała o zamykaniu ust. Jak mała dziewczynka. Uśmiechnął się do niej.

– Na razie tak.

Podniósł hełm pilota i przytknął sobie do krtani laryngofon.

– Raz, raz, raz. – Słuchawki momentalnie powtórzyły jego głos.

Rewelacja. Pstryk przełącznika radiostacji i... głucha cisza. Spokojnie. To nie musi być nic poważnego. Z trudem, nie wychodząc na zewnątrz, precyzyjnie się na siedzenie dla pasażera. Z tego miejsca miał łatwiejszy dostęp do metalowych skrzynek z urządzeniami. Uśmiechnął się do dziewczyny.

– Inna, no, wskakuj do środka! Zobacz sobie, co czuje nasz pilot.

Nie sądził, że jest aż tak zafascynowana tym, co widzi. Dziewczyna, stojąca dotąd na zewnątrz po stronie pasażera, zamiast obieć maszynę i wsiąść po drugiej stronie, po prostu ruszyła przed siebie i przegramoliła się przez Tomaszewskiego, zajmując miejsce pilota. Poczł z bliska zapach Iny i

zupełnie inne myśli pojawiły się w jego głowie. Szybko jednak przywołał się do porządku.

– I jak? – Zerknął w bok. – Oprzyj nogi na tych pedałach. – Pokazał jej gdzie. – I teraz naciskaj, jeden i drugi, naprzemiennie. Popatrz do tyłu, czym poruszasz i jaki to ma wpływ na lot. Wyobrazisz sobie?

O mało się nie roześmiał, widząc wysiłki dziewczyny, żeby zobaczyć cokolwiek.

– Aha, nie sięgasz głową ponad oparcie fotela... – Wyjął ze schowka spadochron. – Podnieś pupę! – Wsunął spadochron pod pośladki Iny. – O, teraz już widzisz stery ogonowe. Aha... – Przygryzł wargi. – Teraz z kolei nogami nie sięgasz do pedałów. Ty kurduplu!

– Nie jestem kurduplem! – zaperzyła się. – Jestem po prostu stosunkowo niska.

– „Stosunkowo niska”? „Stosunkowo” to chyba licząc w grupie wyjątkowych konusów! W życiu nie widziałem tak małej kobiety.

– Cicho bądź, niezgrabny wielkoludzie! Tu wszystko jest wielkie. I jak tym poruszać?

– A poruszaj sobie, czym chcesz. Oprócz tych dwóch spustów. – Pokazał jej czerwone klapki zabezpieczające dźwignie strzałowe.

– A co to jest?

– Spusty, które uruchamiają ładunki wybuchowe do odstrzelenia łopat wirnika. Tych u góry. – Wskazał palcem. – Tych, które stanowią siłę nośną maszyny. Naprawdę uważaj, bo ładunki są tak skonstruowane, że zadziałają nawet w hangarze.

– A po co odstrzeliwać łopaty?

– Jeśli maszyna zacznie spadać, a my z niej wyskoczymy, to te łopaty zabiją nas momentalnie. W mgnieniu oka.

– A po co wyskakiwać? Przecież i tak zginiemy od uderzenia w ziemię.

– Wcale nie. To, na czym siedzisz, to spadochron. Gdybyś miała założoną uprząż, po szarpnięciu tej dźwigni rozwinie się nad tobą czasza, która spowolni upadek. Co najwyżej złamiesz sobie nogę. Chociaż... Przy twoim ciężarze czasza raczej uniesie cię na jakimś ciepłym prądzie.

Pokazała mu język. I to na całą długość.

– W ten sposób podróżowało dwóch ludzi nad oceanem. Zauważyła ich jedna z naszych dziewczyn ze zwiadu.



– Kai i Nuk – domyślił się Tomaszewski. – One miały spadochrony typu latające skrzydło. Zupełnie inne. – Zamyślił się, bo wspomnienie o młodej czarownicy okazało się bardzo intensywne. – Całe zdarzenie musiało dać wam wiele do myślenia, prawda?

– Nie, nie dało. Nikt jej nie uwierzył.

Popatrzyli na siebie w milczeniu, a potem naraz wybuchnęli śmiechem. Co za niesamowita dziewczyna. Tomaszewski przez cały czas miał wrażenie, że rozmawia z kimś, kto tak jak on wychował się w jego kulturze. I w dodatku że znał tego kogoś od wielu, wielu lat. Nawet w Polsce niezmiernie rzadko ogarniało go takie uczucie. A tu? Poza krańcem świata? Nieprawdopodobne.

– No dobra, bo mnie ciekawość pożera – powiedziała. – Pokaż mi, jak się tym lata.

– Połóż prawą rękę na wolancie, lewą na dźwigni gazu. O tak. Tu masz przekładnię, a tu przełożenie i przeniesienie napędu. I rozdzielnik.

– O Bogowie!

– Już wymiękasz, Inna? Jeszcze nie zacząłem.

– No to mów dalej.

– Tu masz panel sterowania silnikiem i przyrządy. Ciśnienie oleju, temperatura, obroty, przekładnia. Tym regulujesz skład mieszanki paliwa i powietrza, a tym dopływ paliwa. Tu regulujesz skok śmigła, tego pchającego. Teraz układ przeniesienia. To ten tutaj i przyrządy, które pokazują ci stan głównej przekładni oraz ustawienie łopat wirnika, tego u góry. Przed tobą natomiast są główne zegary. Sztuczny horyzont, ciśnieniomierze, wysokościomierz, wariometr, zakrętomierz...

– Bogowie, przestań! Tego, tego... się nie da ogarnąć umysłem.

– To zależy od pojemności czaszki, a co za tym idzie, wielkości wspomnianego umysłu.

Uderzyła go pięścią w ramię. Pewnie z całej siły w swoim rozumieniu. Tomaszewski jednak ledwie poczuł.

– Czego nie rozumiesz jak dotąd?

– Na zarazę wam ten sztuczny horyzont na przykład, skoro jest przecież naturalny?

– Dobra, nie będę już wspominał o nocy, mgle czy chmurach. Ale musisz zrozumieć jedną rzecz. Ta maszyna, w której siedzimy, jest tak naprawdę jednym wielkim generatorem mocy. I wytwarza siły, które są

wbrew naturze. Na przykład siłę odśrodkową. Kiedyś kolega z lotnictwa marynarki pokazał mi to doświadczenie. Wziął mnie do awionetki, takiego małego samolotu, wystartowaliśmy, a on przymocował dużą szklankę na tablicy przyrządów. My lecimy, a on otworzył butelkę z wodą i nalewa do szklanki. Wszystko w zgodzie z naturą. Dotąd. Woda leci z butelki do szklanki w dół.

Ina skinęła głową. Przygryzła język, jak dziecko, które intensywnie stara się zrozumieć trudny problem.

– Po chwili kolega zaczął robić beczkę. – Tomaszewski pokazał gestem, na czym polega manewr zwany beczką. – Samolot obraca się powoli i nagle lecimy bokiem w stosunku do powierzchni ziemi. Jedno skrzydło w górę, drugie w dół. A my jakby leżymy. Ale woda dalej leci z butelki do szklanki! Leci w bok, w stosunku do linii horyzontu równolegle. – Pokazał jej dłońmi. – Woda leci z lewej strony do prawej.

Ina westchnęła ciężko.

– I to jeszcze nie koniec. Kolega ustawił samolot do góry nogami. My zwisamy głowami w kierunku ziemi. A nogi mamy w stronę nieba. Ale najśmieszniejsze, że woda dalej leci z butelki do szklanki. Tym razem... pod górę!

– Mamusiu moja kochana! To czarownik był?

– Nie. My nie latamy tak jak wy, w zgodzie z wiatrem, poddając się kaprysom pogody, współgrając z ptakami. Nie. My korzystamy z brutalnych praw fizyki wbrew naturze. Liczba koni mechanicznych, moment obrotowy, stopień sprężania! To są wartości dla nas istotne! Rozumiesz?

– Tylko tyle, że wy nie z wiatrem, a zawsze pod wiatr?

– Tak. A żeby móc wykorzystać prawa fizyki, musimy je przecież znać. Musimy przez cały czas kontrolować. I stąd ta masa przyrządów, która mówi ci wszystko o czynnikach i parametrach. O stopniu wyprodukowanej siły, którą trzeba przeciwstawić naturze. U was pilot musi czuć, musi mieć talent, musi mieć duszę artysty, musi być istotą natchnioną, żeby współgrać z naturą. A nasz pilot musi po prostu znać instrukcję użycia i obsługi maszyny! Bo ona nie do współgrania z czymkolwiek, ona do łamania na siłę służy.

– Teraz rozumiem – szepnęła Ina przejęta do granic możliwości. – Potrafiłeś mi to wytłumaczyć! Zrozumiałam istotę!

Westchnął cicho i położył rękę na ramieniu dziewczyny. Właściwie na szyi.

– Tak, my nie zastanawiamy się, czy wiatr sprzyja, czy prąd pomyślny będzie. Nas interesuje tylko, ile koni mechanicznych stoi za naszymi plecami.

Ina zaskoczyła Tomaszewskiego. Położyła rękę na drążku sterowym i zrobiła coś, co kiedyś widział w wykonaniu Melithe. Zaczęła głaskać stery.

– To piękna maszyna – szepnęła. – Czuję jej zimną moc. Jest prześliczna.

– To świetnie – odparł. – Pozwól więc, że zajmę się radiostacją.

Nachylił się nad pulpitem. Każdy z ustawionych poniżej aparatów był zamocowany na zatrzaski i łatwo dawał się wysunąć. Już pierwszy rzut oka na pudło nadajnika pokazał, że żadna z kul nie uderzyła bezpośrednio. Pokrywa była lekko wygięta, ale nie nosiła śladów uderzenia pocisku.

Tomaszewski za pomocą odpowiedniego ostrza w scyzoryku odkręcił pokrywę. Wyjął ze schowka latarkę i poświecił do środka. Siedząca obok Ina na widok strumienia światła wydobywającego się znikąd o mało nie dostała zawału. No szlag! Wnętrze radiostacji nie było zniszczone w najmniejszym stopniu. Niestety, jedna z lamp, z rysą pęknięcia na powierzchni, była czarna od sadzy, która osadziła się wewnątrz. Wypuścił powietrze z płuc.

– Coś źle? – zaniepokoiła się dziewczyna.

– Jedna z lamp się przepaliła. Może pękła od wstrząsu, kiedy któraś z kul trafiła w dźwigar.

– I nie możesz się porozumieć ze swoimi?

Cmoknął cicho.

– To tylko jedna lampa... – Nie wiedział, jak to powiedzieć. – Nie wozi się ze sobą zapasowych, ale do dyspozycji jest przecież krokomierz. Gdyby tylko wymontować z niego jedną i wsadzić tutaj. Tyle że nie mam pojęcia, czy tak można zrobić.

– Źle?

– Cholera! Jestem marynarzem, a nie elektrotechnikiem! Za moich czasów na akademii morskiej nie było tych komputerów Wyszyńskiej.

– I po prostu nie potrafisz? – domyśliła się.

– Nawet nie wiem, czy tak można – powtórzył, usiłując ukryć przed Iną ton rezygnacji. – No i krokomierz potrzebny mi jest do czegoś innego.

– A krokomierz to jest to pudło tutaj? – Spojrzała na komandora z cieniem strachu. Intuicja podpowiadała jej, że drugie ważne urządzenie musi stać obok pierwszego ważnego. No i miała niesamowity wzrok.

Oświetlił wskazaną skrzynkę. Ogromna przestrzelina była widoczna dokładnie na środku pokrywy.

– No ładnie – mruknął. – To już wszystko jasne.

– A po co ci był ten krokomierz? – spytała, ciągle pełna ciekawości.

– Zapisywał parametry lotu. No i miał analizator, który potrafił powiedzieć, jaki dystans przebyliśmy w trudnych warunkach. Ale to nic takiego.

Wyjaśnił jej, że może przecież wziąć sekstant i określić w najbliższe południe swoje położenie geograficzne. Jej kraju na polskich mapach nie ma, ale to nie problem. Odległość można określić, porównując współrzędne jego i lotniska. Niestety, jego zegarek nie był przez dłuższy czas nakręcany i stoi. Dlatego najpierw musi określić, kiedy nastąpi środek dnia, i ponownie go nastawić. A to potrwa.

Ina zaczęła się śmiać. Wyjaśniła, że nie są takimi prymitywami, jak ich podejrzewa, i na terenie twierdzy jest wiele zegarów słonecznych. I ona powie mu, kiedy będzie południe. Niech sobie określa swoją pozycję i oblicza odległość. Z tym jednak, że jest dużo prostsza i szybsza możliwość.

Dziewczyna zgrabnie wyskoczyła z kabiny i podeszła do najbliższego ślizgacza. Z wnętrza wyciągnęła dużą płachtę papieru.

– Widzisz, nasze mapy na pewno się nie pokrywają. – Położyła płachtę na siedzeniu pilota. – Ale przecież gdzieś muszą być na nich punkty styczne. Zaznaczone i u was, i u nas, na samych granicach, przy krawędziach.

– Inna! Psiakrew, jesteś genialna! – Tomaszewski wyjął ze schowka swoją mapę, rozprostował i oboje zaczęli porównywać. I choć przeszli w tym zakresie diametralnie różne szkoły, to ta czynność była wspólna i dla lotników, i dla marynarzy. Obie profesje musiały się znać na dokładnej kartografii pod groźbą utraty życia.

– O, tutaj, tutaj! – Dziewczyna jedną ręką pokazywała coś na jednej mapie, drugą na drugiej. – Patrz! To jest takie samo!

– Możesz mieć rację, Inna. Trzeba tylko przeskalować. – Tomaszewski szybko tworzył ołówkiem szkic na wyrwanej z notesu kartce.

– Teraz widzę! – ekscytowała się dziewczyna. – Nasze mapy pasują do siebie w tym miejscu!

– Tak, są kompatybilne. I to nawet z niewielkim tylko przelicznikiem. – Tomaszewski skinął głową. – No to mam odległość na rysunku. Teraz tylko skalóweczka... – Wyjął z mapnika trójgraniastą linijkę i przyłożył do mapy odpowiednim bokiem.

– I co? Ta twoja maszyna doleciałaby do bazy?

– Bez większego problemu! – Podniósł rozpogodzoną twarz, ale po sekundzie radość zaczęła znikać. – Powtórzę ci raz jeszcze: marynarzy u nas nie uczy się latać – powiedział, a potem wskazał dziesiątki różnorodnych zegarów, wskaźników, dźwigni, kontaktów i przełączników, które producent umieścił w kabinie wiatrakowca.



Kuchnię komendantury od kuchni więziennej oddzielała ogromna śluza. Mieściły się tam pomieszczenia gospodarcze, składy i magazyny oraz izby dla pracowników. Jedno z nich właśnie Nuk i Kai zaanektowały błyskawicznie dla siebie. Było to miejsce oddzielone od innych, a jednocześnie położone w samym centrum, tuż przy wspólnej części, jaką było wielkie palenisko. Hałas towarzyszący pracy wielu ludzi okazał się nieznośny, ale też jeśli w tym pomieszczeniu mówiło się szeptem, to nie sposób było podsłuchać czegokolwiek. Zresztą trudno sobie wyobrazić szpiega sterczącego z uchem przyklejonym do ściany, kiedy wokół kręciło się mnóstwo pomocników kucharzy.

Nuk, która właśnie wróciła z rekonesansu w mieście, przysiadła na wielkim worku zawierającym, jak sprawdziły wcześniej, resztki i łuski po młócce jakichś zbóż. Prawdopodobnie karmiono tym więźniów w zakładzie po drugiej stronie. Notabene podobno takie łuski są bardzo zdrowe i polecane przez różnych medyków. Gorzej, kiedy stanowią podstawę diety, jeśli nie jedyny jej składnik. Nuk jednak nie przejmowała się, czym byli karmieni więźniowie.

– Słuchaj, żeby uniknąć problemów przy wychodzeniu, a przede wszystkim wchodzeniu tu z powrotem, zapytałam, czy mogą nam wystawić przepustki. No i oczywiście wystawili. Do niczego nie uprawniają poza wejściem tu, do kuchni, i wniesieniem ewentualnie produktów, ale popatrz, jak wyglądają.

Nuk wyjęła z sakiewki dwa zwinięte dokumenty na pergaminie. Oba na górze miały wielkie godło komendanta straży i równie wielką pieczęć. Poniżej widniał napis: KOMENDANTURA MIASTA – PRZEPUSTKA.

– Widzisz? – śmiała się Nuk. – Pokazujesz takie coś komukolwiek i co on widzi? Godło, nazwę instytucji, która wystawiła ten dokument, pieczęć i imię. A dalej... to już drobnym pismem, że my kucharki! Nie zauważysz, o co w piśmie chodzi, kiedy na chwilę tylko pokażę. Ale jaja!

– No co ty?

– No mówię ci! Wiesz, straganów czy kupieckich kantorów jak u nas to tutaj nie ma. Ale różne produkty do jedzenia można dostać. Z tym że to wszystko psie gównu najgorszej jakości i niczego dobrego nie mają. I tej nędzy to nie chcą sprzedawać. Jakiś debilizm jest w tym państwie!

– Bogowie, powiedz nareszcie. Udało ci się kupić coś ekstra czy nie?

Nuk podniosła dłonie, chcąc powstrzymać niecierpliwość koleżanki.

– Posłuchaj mnie do końca – powiedziała spokojnie. – Mam taki papier i wchodzę do składu. Patrzą na mnie niechętnie, jak rarogi jakies. Chamstwo normalnie i taka bezczelność, taki, taki brak sprzyjania, takie wypisane w oczach: spierdalaj, prochu marny!

– Na składzie tak robią?

– Tak swoich traktują. A ja nic. Nie przejmuję się, chodzę, oglądam sobie od niechcienia. A kiedy już się skumuluje na mnie niechęć i wrogość, to podchodzę do najważniejszego machera i powoli, beznamiętnie, okazując demonstracyjnie znudzenie i brak zainteresowania, macham mu przepustką przed nosem i bez wyrazu, bez cienia ekspresji mówię: komendantura.

Na chwilę zapadła cisza. Przerwa była najwyraźniej potrzebna Nuk dla wzmożenia efektu dramatycznego.

– A oni w jednej chwili zesrani! – krzyknęła nagle. – Gówno leci na ziemię, smród się dookoła niesie! Strach na ich twarzach przypomina eksplozję!

– Mam tylko nadzieję, że to poetycka przenośnia – mruknęła Kai. – I że nikt nie sra na środku magazynu z żywnością!

– Oj no, sama rozumiesz. – Nuk machnęła ręką. – A jak już wszyscy zamarli i nie śmiać wziąć oddechu, kiedy umieranie z braku powietrza już im pisane, wtedy cicho i beznamiętnie wymieniam, jakich świeżych rzeczy potrzebujemy na jutro. Wtedy najodważniejszy z nich zapewnia, że rano

będzie na mnie czekało wszystko, co chcę dla komendanta. A ja dopiero wtedy rozdieram mordę: Jak to czekały, krzyczę. Co ty myślisz, że se ze mnie dziewczkę na posyłki zrobisz?! Jutro o świcie w zębach mi to pod drzwi komendantury przyniesiesz i tam na czworakach czekać na mnie będziesz! I módl się, żebym cię stamtąd z powrotem puściła, a nie zatrzymała, wiesz gdzie...

– No chyba tak nie powiedziałaś? Żartujesz, prawda?

– Nie żartuję. A co oni mi mogą?

Kai zapowietrzyło.

– Albo kpisz, albo zapomniałaś, że jesteśmy agentami i chyba nie powinniśmy się wyróżniać?

– Wcale nie kpię. – Nuk zmarszczyła brwi, zastanawiając się, na ile podkoloryzowała swoją opowieść i sama zaczęła w nią wierzyć. Wyszło jej, że nie za dużo, bo z całą pewnością zakończyła: – Jutro będziemy miały wszystko świeże i pod nos. A sama mówiłaś, że jak dostaniemy produkty prosto od chłopca, to z tym glutaminianem damy radę.

Czarownica ukryła twarz w dłoniach.

– Ale nie sądziłam, że tak nawywijasz.

– E tam! – Nuk machnęła dłonią. – A ty co załatwiłaś?

Kai opuściła ręce i zerknęła na koleżankę z uśmiechem.

– Opętałam jednego strażnika – powiedziała triumfalnie. – I będę miała to, co chcemy. Tylko ty się znasz na ludziach, więc wolałabym, żebyśmy razem tam poszły.

– Czarów użyłaś z tym strażnikiem?

– Nie używam czarów pod bokiem obcych czarowników, głupia. A może inaczej, użyłam czarów, które są w dyspozycji każdej kobiety.

Nuk podeszła bliżej i dotknęła własnym czołem czoła koleżanki. No tak, Kai z coraz większą pewnością zaczynała rozumieć, że jest młodą, atrakcyjną kobietą. A dzięki Krzyškowi i temu, w jakich sferach obracała się w Negger Bank, zaczynała też wiele rozumieć na temat istoty relacji kobiet i mężczyzn.

– Coś wymyśliła, zarazo jedna?

– Wiesz, trudno raczej uznać nas za kucharki, nie?

– Co to ma do rzeczy?

– Widzisz, dowiedziałam się, co tu jest grane. – Kai kiwnęła głową w stronę gmachu więzienia. – Tam są tysiące aresztowanych. Dziesiątki

tysięcy. Przytłaczająca większość ma sprawy dęte w rodzaju „nie dość ładnie płakał z okazji żałoby narodowej” i dalej w tym stylu.

– I co?

– I oni wszyscy idą na wojnę. Do karnych oddziałów. Poza garsteczką, która ma prawdziwe sprawy w toku, za prawdziwe przestępstwa. No i pomyślałam sobie, że łatwo kogoś, kto nie dość ładnie płakał, wyciągnąć z transportu na śmierć, jeśli się jest kucharką komendanta, prawda?

– Dobrze kombinujesz. I co wymyśliłaś?

– To, że wyciągnę jednego więźnia. Najlepszego kucharza spośród tysięcy więźniów.

Nuk spojrzała na czarownicę z niekłamany podziwem.

– Kai, ty jesteś genialna!

– Niech ci Bogowie zapłacą za dobre słowo.

– Ale zaraz? Mamy teraz iść i wybrać kogoś z setek cel?

– No nie. Tym się strażnik zajął. Wybrał kilku, co mieli napisane, że z zawodu są kucharzami. A ja poprosiłam go, żeby ich wszystkich tu przyprowadził i niech każdy coś upichci. Tam, w kuchni. – Kai wskazała kciukiem ścianę dzielącą ich od pomieszczeń służących do przygotowywania posiłków.

– I? I oni tam gotują?

– Myślę, że już skończyli. Strasznie się grzebałaś na mieście.

Nuk wzruszyła ramionami.

– To chodźmy sprawdzić, jak im poszło – powiedziała.

– Ty idź.

– Jak to ja? Sama?

– No. Ja nie mogę, bo mam za miękkie serce.

Sierzant opadły ręce. Nie zrozumiała czarownicy. Co ma serce do konsumpcji i oceny jakości potraw? Patrzyła na Kai podejrzliwie. Na szczęście ta zaczęła wyjaśniać.

– Bo widzisz. Wyciągnąć możemy tylko jednego. A to oznacza, że pozostali muszą wrócić do swoich cel. A ja nie będę w stanie nikogo odesłać z powrotem na śmierć. Nie mogłabym im spojrzeć w oczy.

– Aha! To znaczy, że ja mam to zrobić, tak?

– No tak. Bo ty masz doświadczenie w armii. Niejednokrotnie przecież posyłałaś już ludzi na śmierć.

Nuk o mało nie eksplodowała.



– Jest, kurwa, zasadnicza różnica posłać kogoś do ataku, gdzie każdy ma jednak szansę, a odesłać na transport cmentarny!

– No właśnie. I tylko ktoś o tak żelaznej woli jak ty może sobie poradzić z tym problemem. – Czarownica zrobiła w tył zwrot, podeszła do zakratowanego okna i oparła się rękami o wąski parapet. Z wielkim zaangażowaniem i całą sobą zaczęła obserwować, co też interesującego dzieje się na otoczonym murami placu. Chwilowo nie działo się nic takiego, a plac zasadniczo był pusty, ale uwaga czarownicy nie słabła, bo może coś zacznie się dziać.

– Aha... – Kai przypomniała sobie coś i odwróciła na chwilę głowę. – Jakby oni ugotowali jakieś smaczne rzeczy, to przynieś. Bo chyba właśnie zgłodniałam z tego wszystkiego.



– Hej, ty! – na ulicy rozległ się głośny okrzyk. – Hej, ty tam! Wyjdz!

Varik z trudem podniósł się z łóżka. Specjalnie dla niego wzniesiono u węzłowania konstrukcję z poduszek, źle znosił pozycję horyzontalną. I w ogóle jego choroba była dziwna. Zawsze zaczynała się wraz z nastaniem pełni wiosny. Nagle, ni stąd, ni zowąd, Varikowi zaczynały płynąć łzy z oczu. Niby nic, ale dorosły mężczyzna wyglądał jak bekka, bez przerwy płakał. I jak wytłumaczyć wszystkim, że to tylko tak, z powodu nieznanego lekarzom schorzenia? Potem zaczynał swędzieć nos. A potem zaczynała się już pełna jazda. Oczy puchły, zamieniając się w zaropiałe szparki, nos zatykał się momentalnie, a w płucach pojawiała się coś, co zamieniało je w jedno wielkie ognisko rżenia, kaszlu, charkotu. Wzięcie oddechu zakrawało na cud, a odkrztuszenie czegokolwiek było niemożliwe. Miał wtedy wrażenie, że żyje praktycznie na bezdechu.

Na chorobę nie było lekarstwa. Teoretycznie trochę pomagały różnego rodzaju środki uspokajające, ale miał wrażenie, że działają bardziej na umysł niż na ciało. Można było, wzorem mitycznego Zaana, który również na to cierpiał, topić się powoli w alkoholu. Varik jednak czytał kroniki uważnie i wiedział, jak to się skończyło u wielkiego filozofa. Pił coraz więcej, a zbawienne dla umysłu skutki tego picia były coraz mniejsze. Natomiast przykre efekty uboczne coraz większe. A ulgi tak naprawdę żadnej, bo nawet zamroczenie było z biegiem lat krótsze. Kiedy żył w mieście, zawsze na czas pełnej wiosny chował się w ciemnym

pomieszczeniu, kazał zasłaniać okna grubymi kotarami, zamykać drzwi. I tam, w zaduchu, może nawet czuł pewną ulgę, a może tylko tak mu się wydawało. Ale tu teraz? W lesie nie mógł już wytrzymać, a bliskość morza dawała pewną ulgę, więc wkroczył na czele swojego szczupłego oddziału do tego zapomnianego przez Bogów miasteczka na dalekim zapleczu imperialnej armii operującej w okolicach Kong.

A teraz ten dziwny okrzyk.

– Hej, ty! Wyjdź!

Varik chwiał się na nogach. Z najwyższym trudem zapiął pas z kaburą rewolweru, włożył do niej broń. A potem mimo upału narzucił na ramiona zrabowany czarownikowi płaszcz. Jeszcze tylko rozklepany kapelusz bez ronda i już mógł wyjść na spotkanie przeznaczenia. Był sam. Gościnnie lekarz, który go przyjął, poszedł na targ uzupełnić domowe zapasy. Partyzanci zostali rozmieszczeni w kwaterach wokół. Jeśli nie nastąpiło nic nieprzewidzianego, to teraz, kiedy na ulicy pojawił się intruz, powinni już zajmować stanowiska na dachach budynków. A czy zajmowali? Zaraza jedna wie. Problemem jego oddziału było to, że składał się generalnie z idiotów.

– Hej, ty!

Varik pchnął drzwi i wyszedł na wąską werandę. Długo nie mógł otworzyć oślepionych nawałą światła oczu. Było samo południe, słońce operowało z bezlitosną ostrością. Nasadą dłoni usiłował przetrzeć piekące powieki, ale niewiele to dało. Kiedy tylko mógł dostrzec cokolwiek, ruszył naprzód. Po kilku krokach stanął na środku ulicy. Tyłem do słońca, przodem natomiast do starszego mężczyzny w cywilnym ubraniu. Nie mężczyzna był jednak głównym problemem. O ból istnienia przyprawiało raczej kilkudziesięciu mężczyzn z karabinami, którzy stali za plecami cywila. Mieli na sobie mundury miejskiej straży. Prawdopodobnie przybyli więc z najbliższego większego miasta. Tu, w tej dziurze, żadnej straży nie było. Jak przedostali się przez linię wart? A zaraza ich wie, nie mogło to jednak być trudne. Czyż nie wspominał przed chwilą, że jego oddział składał się głównie z kretynów? Lud zgłaszający się dobrowolnie do walczących oddziałów, niestety, nie był dobrym wojskiem.

– Czego chcesz, koleś? – wychrypiał.

– Jestem prefektem straży. – Mężczyzna nie miał przy sobie żadnej broni. Pewnie mógł liczyć na swoich ludzi. Na ludzi i ich wyszkolenie. –

Jeśli chodzi o władzę cywilną, ten teren podlega właśnie mnie.

– No i?

– Mam dla ciebie propozycję. Ofertę, której nie mogłaby złożyć armia. Proponuję ci dogadanie się.

– A w jakiej kwestii, koleś, chcesz się ze mną dogadywać?

Prefekt uśmiechnął się lekko. Był kostycznym człowiekiem, lecz z całą pewnością nie był mało inteligentny.

– Jeśli wkroczy tu armia, a wy zaczniecie się bronić, żołnierze spalą to miasteczko. Wyrzną winnych i niewinnych, cud nastąpi, jeśli tu kamień na kamieniu zostanie. Oni mają jasno powiedziane. Partyzantów i tych, co pomagali, wyłapać i rozstrzelać na miejscu. Prości ludzie, prosty rozkaz. Taki, żeby wojacy pojęli i problemów nie mieli ze zrozumieniem.

– A ty, koleś?

– Mnie obowiązuje jedyny cywilny dokument, jaki wydano w waszej sprawie. To list gończy na Shen. Jeśli jej nie ma wśród was, to cała reszta mnie nie obchodzi. I dlatego ja mogę wam dać propozycję, o której żołnierzom nawet myśleć nie wolno. A ja chcę zaproponować, żebyście poszli stąd precz!

Zaskoczył Varika. Prefekt najwyraźniej mówił szczerze.

– Tak – ciągnął mężczyzna. – Tylko ja mogę złożyć ci taką propozycję. Idźcie stąd. Tak po prostu, wycofajcie się do lasu i dalej. Ja nawet nie mam kim was ścigać, moi strażnicy nie będą przecież ganiać za wami po chaszczach. Oni od szlifowania miejskich bruków są.

– A wtedy nikt nie zginie?

– Nikt nie zginie, nic się nikomu nie stanie. Miasteczko będzie stać nienaruszone, tak jak przedtem. Po prostu nic się nie stanie, a was jakby tu nigdy nie było.

– Uczciwa propozycja, ale...

– Zanim powiesz „ale”, pomyśl o sobie – przerwał mu tamten. – Pomyśl o tym, że kiedy wkroczy tu armia, zastrzelą cię jak psa. Twoje ciało położą w jakimś chlewie i wpuszczą gawiedź, żeby cię oglądała. Być może nawet jakiś artysta zrobi ci portret pośmiertny, bo chcą mieć dowód, że ty to ty. Pomyśl tak: ty jesteś „Koleś” Varik, człowiek legenda. Wyśniony, sławny dowódca ludowy. Człowiek, który wraz z Shen sam jeden przeciwstawił się całej sile imperium! Wycofaj ludzi do lasu. Uciekajcie do Shah, przecież wrogów cesarstwa przyjmą tam z otwartymi rękami. A ty sam jedź później

dalej. I żyj w jakichś odległych, bogatych krajach, opromieniony własną legendą. Uwierz mi. Legenda będzie z upływem czasu obrastać w coraz to nowe zdarzenia i bohaterskie czyny. Pijąc wino z książętami, będziesz coraz bardziej sławny i wielki.

– Mądrze mówisz, koleś. – Varik zaniósł się kaszlem. – Szczególnie że dzięki temu nikt nie zginie. Ty mądrze gadasz.

– No właśnie. A ty jesteś przecież człowiekiem wrażliwym i wykształconym. Dysponujesz inteligencją, która pozwala ci zważyć racje.

Szlag, tamten tego akurat mógł nie mówić. I popełnił tylko jeden błąd, sądząc, że coś takiego nie chodziło Varikowi po głowie. Owszem, chodziło, przemyślał to już wielokrotnie. I wiedział, że prefekt nie kłamał. Tak, mógłby żyć gdzieś daleko w dostatku, otoczony sławą za życia, jak niegdyś Virion. Nawet imiona mieli podobne. Legenda za życia... Człowiek dowodzący strażą racjonalnie sobie wszystko przemyślał.

Znowu dopadł go kaszel, zarzęziło w płucach. Varik zachwiał się na nogach, po raz kolejny usiłował przetrzeć zalepione ropą oczy wierzchem dłoni. Wszystko go swędziało. Ale to przecież już niedługo. Jeśli wejdzie tu wojsko, to naprawdę jego zmasakrowane zwłoki wystawią w jakimś chlewie ku uciesze gawiedzi.

Myślał o tym wiele razy. Właściwie to chciałby, żeby wszystko nareszcie się skończyło, chciałby już sobie pójść, chciałby przystać na bardzo rozsądną i racjonalną propozycję prefekta. Bo propozycja była rozsądna. Nie dość tego, pokazywała, że wśród przeciwników oprócz żądnych mordy oprawców i tępych żołdaków są także ludzie rozumni. Którzy jeśli ich misją jest zachowanie porządku publicznego, jak w przypadku prefekta, starają się robić to mądrze. Rozumnie. Jak najbardziej skutecznie, unikając jakichkolwiek strat.

Jeśli Varik stąd pójdzie, to dla wszystkich będzie dobrze. I co gorsza, Varik chciał już sobie stąd pójść. Tylko po co tamten wspominał o wrażliwości i wykształceniu?

Bo momentalnie, z powodu nadmiaru wyobraźni, pojawiło się pytanie skierowane do siebie: I co dalej, koleś? Kurwa jebana w dupę mać!

Ma jechać gdzieś w pizdu i grzać się w promieniach własnej sławy? Wśród obcych? Jak dobrze płatna małpa w cyrku? A co tych obcych będą obchodzić jego sprawy? Sprawa, dla której walczył? To przecież obcy będą, nie swoi. No dobra, ale co ma ze swoich? Otoczony kretynami, ludźmi o

małych duszach, tępakami, którzy wszystko mieli małe oprócz przekonania o własnej wielkości.

I otoczony przez debilnych nienawistników, których zwie swoimi, zginie tu bez sensu? Po co? A kogo w ogóle on obchodzi? No przecież nikogo. Więc dlaczego się męczy? Ktoś powiedział, że może i nigdy nie osiągnie zwycięstwa, ale dzięki niemu w głowach tych ludzi rodzi się pieśń. I co z tego? I co komu z pieśni nuconej przez żebraków i durniów? Kiedyś, za ileś tam lat, może przyjadą tu ludzie zobaczyć, gdzie zginął. I co? I paru nędzarzy, tylko po to, żeby dostać kilka groszy od przyjezdnych, zaczną fałszować piosenkę o komendancie „Kolesiu” Variku. Tak to ma być?

Bezsens. Bezsens... Bezsens!

Po co prefekt wspominał o wrażliwości i wykształceniu? Może i inaczej załatwiłby sprawę, a tak? Co? Ma zginąć tylko po to, żeby nie mówili, że legenda jest tchórzem? Jaki idiotyzm. On sam też jest idiotą. Kurwa!

– Co, koleś? – Varik wszedł w swoją rolę i zmierzył się z przypisanym mu przeznaczeniem. – Tobie się wydaje, że rewolucji minął już czas?

Prefekt odpowiedział pytaniem:

– Jesteś pewien, że tego chcesz?

Nie, nie był pewien! Nie był pewien niczego. Nie chciał ginąć w masakrze na głównej ulicy tego miasteczka. Nie miał nawet pojęcia, czy jego ludzie zajęli stanowiska na dachach, czy wystawia się sam. Wszystko jedno! To tylko przeznaczenie.

– Ja też mam propozycję – powiedział ochryple, z trudem powstrzymując kaszel. – Liczę do trzech. Jeśli odejdziecie spokojnie, to nikt nie zginie.

– Dość głupie rozwiązanie.

– Raz! – Varik odchylił połą płaszcz po prawej stronie, ukazując rękojeść rewolweru.

Prefekt patrzył na niego bez wyrazu.

– Dwa!

No. To wszyscy giniemy. A może nie wszyscy? Tylko on sam?

– Trzy!

Varik wyszarpnął rewolwer z kabury, odciągając kurek.

– Wycofujemy się! – zakomenderował prefekt. – Wszyscy w tył! Wycofujemy się!

Strażnicy powoli opuszczali lufy swoich karabinów. Najpierw tylne rzędy, potem ci z przodu zaczęli się odwracać. Szybciej i szybciej, w doskonałym ordynku. Byli dobrze wyszkoleni.

– Ożeż... – wysnęło się Varikowi, który nie mógł uwierzyć w to, co widzi. – Koleś, co jest?

Prefekt bez słowa odwrócił się na pięcie i przyspieszając, ruszył za swoimi ludźmi.

– O zaraza jasna! – Varik stał na środku pustoszejącej ulicy z rewolwerem w ręku. – Co jest?

Stał jak skamieniały wywołanym efektem. Potem coś go tknęło i odwrócił się, żeby spojrzeć w tył.

W perspektywie ulicy zobaczył Shen siedzącą na koniu, który zbliżał się lekkim truchtem. A za nim tyralierą szli partyzanci, trzymając w rękach szybkostrzelne karabiny. I to nie byle jacy. To były weteranki z Negger Bank. Osłaniane przez maszynowe karabiny Kadira.

– No nie... – Varik spuścił kurek w swoim rewolwerze. – Co zamierzam popełnić jakiś bohaterski czyn, to...

– Chyba dokonać, a nie popełnić – krzyknęła Shen.

– Jestem bandytą w świetle prawa, więc czyny „popełniam”, choćby i bohaterskie.

– Ach, zapomniałam, że jesteś potwornie wykształcony. – Shen zatrzymała konia tuż obok i zgrabnie zeskoczyła na bruk. – Nic się nie bój. I tak niedługo będą mówić, że sam jeden ze spluwą w garści pogoniłeś pięćdziesięciu uzbrojonych strażników.

– He! – Varik rozejrzał się, a potem parsknął śmiechem. – No! Chyba będą!

– Bardzo ci dziękuję, mój ty bohaterze, że zająłeś ten punkt na imperialnej drodze. Miałeś genialny pomysł.

– Ale...

Shen nie dała mu dokończyć.

– Sharri! Do mnie! Szykuj posłańca do naszego punktu łączności z Polakami.

– Jasne!

– Podyktuję ci list do Randa i...

– Słyszałam, że Tomaszewskiego nie ma w bazie.

– To do Rosenbluma. I... – Shen klasnęła w dłonie. –i najważniejsze. Do Wyszyńskiej!



Nowy bezpiecznik wyskoczył z zatrzasku, pchany siłą mocującej sprężyny poleciał wielkim łukiem i, co Tomaszewski mógł już tylko słyszeć, upadł gdzieś, uderzając w, sądząc po dźwięku, naprężone płótno.

– Ale z ciebie niezgrabiasz – skomentowała Ina.

– Najgorzej, że teraz nie wiem, gdzie on jest.

– Jak to gdzie? – Dziewczyna wstała leciuteńko i podeszła do najbliższego powietrznego ślizgacza. – No przecież tutaj. – Podniosła drobiazg, który leżał na jednej z powierzchni nośnych.

– Ależ ty masz wzrok!

– A ty masz za grube palce. – Roześmiała się. – Pokaż. Gdzie to ma się znaleźć?

– O, tutaj.

Ina jednym pewnym ruchem umieściła bezpiecznik na swoim miejscu w skrzynce.

– Te wszystkie rzeczy z drobiazgami ja ci mogę robić. Tylko mów, co i jak.

– Dzięki.

Ina nachyliła się nad nim, z zaciekawieniem obserwując rozbebeszoną skrzynkę.

– I co? Da się naprawić?

– Jeśli chodzi o układ elektryczny, to już właściwie naprawione. A czy jedyna ocalała z krokomierza lampa będzie pasowała do radiostacji, to nie mam zielonego pojęcia.

– Mhm... – Dziewczyna zrobiła mądrą minę, zapewne chcąc wypowiedzieć się szerzej na temat własnych poglądów dotyczących radiotechniki, na szczęście nie zdążyła. Wiatr wpadający przez wielkie wrota prowadzące na taras przyniósł ze sobą dziwny dźwięk. Jakby ktoś w oddali bił w kilka wielkich gongów.

– Co to jest?

– Siły obłętnicze przegrupowują się do ataku na mury.

– Będzie szturm?

– Kiedyś na pewno. A czy dzisiaj, zaraz, tego nie wiem.

– O! – Tomaszewski, wyraźnie zaciekawiony, podniósł głowę znad instalacji elektrycznej wiatrakowca. – I będziemy musieli pójść na mury?

– Nie sądzę, żeby wymagano tego od gościa. – Zerknęła na niego z przekąsem. Potem ujęła swoją szeroką spódnicę w dłonie i lekko podciągnęła do góry, wykonując perfekcyjne pałacowe dygnięcie. – A ja się z kolei do walki wręcz nie nadaję, bo jednym kopnięciem wywalą mnie na ziemię. Taka już jestem, dupa nie pilot i dupa nie wojownik.

– Przestań. Sama mówiłaś, że byłaś najlepsza.

– Na pewno najlepsza z uziemionych dożywotnio – zakpiła z siebie. – Ale ty chyba lubisz się bić. Oficer, który odnalazł was w lesie, mówił, że sam jeden wyszedłeś na środek sadzawki i zabiłeś dziewięciu wrogów. Stojąc z nimi twarzą w twarz.

– Musiałem. – Wzruszył ramionami. – Naprawdę musiałem i nie mam w związku z tym wyrzutów sumienia. – Poczł lekką suchość w ustach. – No, może z wyjątkiem jednego.

– A co? Zdążył spojrzeć ci głęboko w oczy przed egzekucją?

To było wredne zagranie. Ale też Ina fascynowała Tomaszewskiego coraz bardziej. Machnął ręką, żeby dać jej klapsa, lecz uskokzyła zgrabnie i wtedy poczuł jej zapach. Z powodu wzrostu i drobnej budowy ciała traktował ją jak dziecko. A przecież była dojrzałą kobietą. Ich oczy spotkały się na moment. Ina odwróciła szybko wzrok.

– Jak to jest z tym Nayer? – Tomaszewski zmienił temat. – Od dawna się ścieracie?

– Od zarania właściwie. Od zawsze. Ale dotąd to było jak sąsiad z sąsiadem. Raz my ich w jakiejś bitwie, a raz oni nas. A potem parę lat chwiejnego pokoju. Aż znowu kogoś poniosło albo któryś z władców się nie wyspał. No i z kopa sąsiada, a on z pięści oddał. Nuda...

– Ale teraz to chyba wygląda trochę poważniej.

– Mhm. – Ina przykucnęła obok, ściśle opinając rękami spódnicę wokół ud. – Nie wiem, jak to możliwe, ale nagle zaczęli mieć dostęp do jakichś niewyobrażalnych zasobów ludzkich. Gina, umierają, są zabijani jeden za drugim, a nacisk nie słabnie. Jakby mieli dostęp do jakichś zupełnie nieprawdopodobnych posiłków.

– A co mówi wasz wywiad?

Machnęła ręką.



– U nas chyba nie jest tak jak u was. Ale powiedzmy, że to, co byś od biedy nazwał wywiadem, twierdzi, że taka kampania nie jest możliwa. Że doprowadziłaby do fizycznego wyniszczenia tamtego narodu. Nikt nie wie, jak rozwiązać tę zagadkę i odpowiedzieć na pytanie: skąd oni czerpią zasoby? Skąd mają ciągle nowych żołnierzy, których wciąż zastępują kolejnymi? My walczymy na własnym terenie, w bezpośredniej bliskości swoich baz. Jesteśmy więc stokroć bardziej skuteczni. Zabijamy ich w jakichś niewiarygodnych ilościach. A oni wciąż idą naprzód. Nic ich nie przejmuje. Żadne straty nie robią wrażenia. – Ina wzruszyła ramionami.

– Dziwne. – Tomaszewski aż się wił z powodu własnej niemocy. Każdego dnia tutaj zdobywał setki materiałów wywiadowczych najwyższej wagi. I w żaden sposób nie mógł przekazać ich do centrali. Dziś w nocy jego skołatany umysł w sennej malignie wymyślił nawet mewy pocztowe, bardziej oczywiście jako wyraz manowców, na które sprowadzała go bezsilność. – Nie wiecie, skąd nagle takie parcie naprzód?

– Niewiele wiemy.

– Chyba jakichś jeńców wyższych stopniem w końcu przesłuchaliście?

Tomaszewski nie miał pojęcia, czy dziewczyna naprawdę nic nie wie, czy raczej zakazano jej wtajemniczać bądź co bądź obcego w tajne sprawy. No ale co on mógł im zaszkodzić? Nie, to bzdura. Traktowali go jak pozbawioną większego znaczenia ciekawostkę. I nic więcej.

– Przesłuchaliśmy. I mówią jakoś dziwnie. Podobno Księga Przejścia odzyskuje znaczenie. Rozplątuje? Rozwikłuje? Czy jakoś tak.

– Księga Przejścia odzyskuje znaczenie? Jesteś pewna?

– Tak mówili. – Znowu wzruszyła ramionami. – A co oznacza ten bełkot, to nie wiem.

– Zaraz, zaraz. Ja już słyszałem o Księdze Przejścia. Jej fragmentów szukał szpieg z Nayer. – Przypomniał sobie rozmowę z Meredithem w świątyni dzikusów w lesie Banxi. – To jest chyba dla nich bardzo ważne. – Znowu miotał się w poczuciu niemocy i braku możliwości przekazania informacji, które, czuł, stanowiły istotny element wywiadowczej mozaiki.

Ina nie zdążyła odpowiedzieć. Nieustannemu dźwiękowi gongów, dobiegającemu z oddali, zawtórowały nagle donośne gwizdy.

– Co to jest, Inna?

– Piszczalki alarmowe. – Rozłożyła ręce. – „Wszyscy na mury!” Czyli zaraz zacnie się szturm.

Tomaszewski skinął głową. Zamknął skrzynkę z bezpiecznikami, przeszedł na tył maszyny i otworzył luk bagażowy. Długo zastanawiał się, co wybrać. Pistolet maszynowy? Nie wiedział, jak zbudowane są mury i czy zasięg nie będzie za mały. Nagle uśmiechnął się do własnych myśli. Ze specjalnego futerału wyjął dalekosiężny karabin myśliwski z lunetą – element wyposażenia w razie awaryjnego lądowania w dzikim lesie. Wrzucił do kieszeni dwie paczki amunicji.

– Dziwna broń – westchnęła Ina i zaraz zorientowała się, co Tomaszewski zamierza zrobić. – Wiesz, goście garnizonu nie są przewidziani do bezpośredniego użycia w walkach obronnych. Ja zresztą też nie.

– A nie można zerknąć? – Zbliżył się do niej. – Widziałem wiele filmów o obronie starożytnych twierdz, ale u nas te twierdze to już tylko resztki ruin.

Zrozumiała to po swojemu.

– Ach, ty się po prostu lubisz bić. – Pokiwała głową. – No cóż. Na pewno wizyta na murach przedstawiciela cesarstwa będzie ciepło przyjęta, a twoje poparcie podniesie morale obrońców.

– Błagam, nie rób ze mnie przedstawiciela cesarzowej osobiście. Ale chętnie powiem coś miłego o poparciu RP.

Uśmiechnęła się sympatycznie.

– No to chodź. – Odwróciła się szybko, furkocząc szeroką spódnicą. Po drodze ze schowka w jednym ze ślizgaczy wyjęła procę i kilka okrągłych kamieni. – Pozwól, że też się uzbroję. I bez radosnego śmiechu, proszę. To broń odpowiednia dla człowieka o moich gabarytach.

Nie dyskutował. Dziewczyna wyprowadziła go najpierw na taras, potem stromą pochylnią na dół, do podnóża góry, gdzie znajdowały się zabudowania gospodarcze twierdzy. Budynki były w różnym stanie, dało się dostrzec po nich skutki długotrwałego oblężenia. Jedne zostały nadpalone, inne przeciwnie, częściowo rozebrane. Prawdopodobnie materiałów budowlanych potrzebowano gdzie indziej. No i jasne stało się jeszcze jedno. Gdyby wróg zajął to miejsce, z pozoru niezdojta twierdza we wnętrzu góry stałaby się właściwie niczym więcej jak pułapką zastawioną na obrońców. Bez zaplecza u podnóża nie mogłaby się długo bronić, nawet gdyby we wnętrzu góry zgromadzono znaczne zapasy.

Zapach spalenizny unosił się wokół w różnym stopniu natężenia. Ale ponad wszystko, teraz kiedy wyszli z bezpośredniego wpływu morskiej bryzy, przebijał jakiś dziwny, nieprzyjemny smród. Tomaszewski pociągnął kilka razy nosem.

– Co to jest, Inna? – zapytał. – Coś tu czuć takiego...

– To woń trupów – uwolniła go od potrzeby znalezienia odpowiedniego słowa. – Ciała wrogów rozkładają się na przedpolu.

– Ożeż. Nie można z nimi czegoś zrobić?

– Niby co chcesz robić? Leżą na przedpolu.

Kiedy wąskimi schodami weszli na mury, w miejscu, gdzie łączyły się przejścia obronne, fetor wzmógł się jeszcze. Tomaszewski zastanawiał się, czy wypada wyjąć chusteczkę i przytknąć do twarzy. Zrezygnował, bo rozum podpowiadał mu, że to nic nie da. Cholera, oglądał dziesiątki filmów, w których ukazywano oblegane twierdze. Na żadnym jednak nie pokazano, siłą rzeczy, upiornego smrodu.

Ina pokazała mu drewniany podest obserwacyjny, wyniesiony ponad konstrukcję muru.

– Popatrz, ten z czarną chustą to dowódca obrony twierdzy, Vaun. Tego obok już widziałeś, to mój dowódca. – Dziewczyna pomachała ręką, żeby zwrócić na siebie ich uwagę. – Ukłoń się.

Kiedy obaj dowódcy spojrzeli w ich stronę, Tomaszewski zasalutował dziarsko. Miał na sobie mundur i czapkę z godłem, żadne więc kłanianie się w grę nie wchodziło. O dziwo, tamci odpowiedzieli salutem. Oczywiście miejscowym, pięściami do czoła.

– Zawsze prowadzicie gości w pobliże naczelnego dowództwa? – zapytał swojej przewodniczki.

– Jesteś chyba pierwszym gościem w historii twierdzy, który chciał zobaczyć szturm na mury. Więc nie wiem, gdzie powinnam cię zaprowadzić.

– A jesteś pewna, że szturm nastąpi dzisiaj?

– Tak. Zwiad lotniczy doniósł, że wczoraj ich armia otrzymała ogromne posiłki. A ponieważ nie mają ich czym karmić, szturm nastąpi dzisiaj. Wielu zginie, ciągle na głodnego i nie będą stanowić obciążenia ani dla ich kuchni polowych, ani dla systemu zaopatrzenia.

– Zabójcza logika.

– Chcesz zobaczyć wroga?

Skinął głową. Ina, przepychając się pomiędzy ludźmi gotowymi do walki, poprowadziła go do wąskich drewnianych schodów. Tu już żołnierze zwracali uwagę na Tomaszewskiego. Bardziej na jego przedziwny karabin niż na egzotyczny mundur. Można było dostrzec wielką ciekawość w ich oczach. Podobnie było na murze. Obrońcy przy blankach specjalnie robili im miejsce, żeby mogli dojść do samej krawędzi.

– Najwyraźniej mają ochotę zobaczyć, jak strzelasz – roześmiała się Ina.  
– I w ogóle co sobą reprezentuje cesarska armia.

Tomaszewski tylko pokiwał głową.

– Mówiłem ci, że reprezentuję RP. – Wychylił się przez mur, oceniając sytuację. Na razie obce wojska były za daleko, żeby stanowić realne zagrożenie, gdyby ktokolwiek chciał strzelać. Żadna tutejsza kula nie miała takiej donośności. Ale widok rzeczywiście budził grozę. Uformowane w dość jednolite czworoboki oddziały zajmowały całą przestrzeń na dalekim przedpolu. Bliżej znajdowały się umocnione stanowiska armat i okopy, nad którymi przerzucono już pomosty dla wojsk mających wziąć udział w bezpośrednim szturmie. Na niewielkim wzniesieniu zbudowano pomost, na którym zajmowała miejsce dość spora orkiestra, na razie jednak bezczynna. Robotę miało tylko kilku „muzyków”, niemiłosiernie walących w ogromne gongi. Trochę dalej na wzgórzu oficerska świta na koniach fetowała właśnie jakiegoś korpulentnego człowieka w idealnie białych szatach, niesionego w ich stronę w lektyce, którą dźwigało aż dwunastu ludzi.

– To ich dowódca? – Tomaszewski wskazał Inie kierunek.

– Dowódca szturm jest tam. – Dziewczyna pokazała człowieka na koniu, z czarną chustą na szyi, właśnie zdającego raport. – Ten w lektyce to dowódca całej armii. Ale raczej polityczny niż wojskowy. – Uśmiechnęła się lekko. – On w szturmie udziału raczej nie weźmie.

Odpowiedział jej uśmiechem.

– A ci tutaj? – Wskazał kilkunastu jeźdźców pomykających na niewielkich koniach bardzo blisko murów. – To jacyś zwiadowcy?

– Nie. To durnowaci szamani, których zadaniem jest rzucanie na nas uroków przed bitwą. Ale nimi się nie przejmujemy. Patrz! – Ina umieściła jeden z kamieni w miseczce swojej procy. Poprosiła żołnierzy o więcej miejsca i zaczęła kręcić sznurami nad swoją głową. Szybciej i szybciej, jej twarz przybrała wyraz skupienia. Dziewczyna puściła sznur, uwalniając świszczący pocisk.

Nie trafiła, ku ogromnemu zawodowi mężczyzn wokół. Ale kamień musiał przelecieć blisko twarzy jeźdźca, bo ten odruchowo szarpnął lejcami, wierzchowiec stracił rytm i o mało się nie potknął o leżące najbliżej zwłoki.

– A ty? – Ina spojrzała na Tomaszewskiego. – Trafisz do ruchomego celu?

– A macie tu gdzieś worek z piaskiem?

– Po co ci worek?

– Może być z grochem. Jeszcze lepiej.

– Chyba zwariowałeś.

– No dobra, może być duży kłęb szmat. Muszę umościć sobie stanowisko.

Ina patrzyła na Tomaszewskiego jak na wariata, ale żołnierze wokół przeciwnie, ochoczo podawali skombinowane skądś szmaty i robili zakłady między sobą. Czy zamorski strzelec trafi w cel, czy nie trafi?

Tomaszewski zbił miękki kłęb bezpośrednio na murze i zrobił na środku coś w rodzaju zagłębienia, w którym położył karabin. Najpierw zaczął regulować nacisk spustu, tak by dawał najmniejszy opór. Potem lunetę. Następnie przestawił sprężynę iglicy na krótki skok i dopiero na końcu załadował pięć naboju. Napięcie u żołnierzy, którzy obserwowali niecodzienne tu procedury, rosło z każdą chwilą. A kiedy Tomaszewski zaczął powoli i w idealnym skupieniu składać się do strzału, sumy zakładów uległy chyba podwojeniu.

Mierzył długo, a potem lekko, leciutko musnął spust. Strzał padł natychmiast, ogłuszając wszystkich na murze. Nowoczesny karabin był dużo głośniejszy od broni, którą trzymali żołnierze twierdzy. Drgnęli nawet dowódcy na pobliskim podeście do obserwacji przedpoła. No i najdziwniejsze. Z lufy nie wypływał dym!

Wszyscy wytrzeszczali oczy, chcąc dostrzec efekty strzału.

– Nie trafiłeś! – pierwsza krzyknęła Ina. – Żaden z tych pieprzonych szamanów nie spadł z konia!

Tomaszewski wyprostował się powoli.

– Patrzysz w złym kierunku – powiedział cicho.

Ina zaczęła się rozglądać po przedpołu. Stojący obok żołnierze również. Nie mogli znaleźć wzrokiem żadnej ofiary zamorskiego oficera. A potem, po bardzo długiej chwili, ktoś wrzasnął:

– O Bogowie! Tam! Tam, na wzgórzu!

Głównodowodzący armią spadł z lektyki. Jego biała dotąd szata była zbryzgana krwią. A wśród towarzyszących mu oficerów rozdziła się panika. Zaczynali krzyczeć, biegać wokół i dopiero teraz zasłaniać swojego martwego już dowódcę własnymi ciałami. Nie było już po co. Pocisków do myśliwskiej broni nie obowiązywały żadne ludzkie konwencje. Po uderzeniu w cel rozpryskiwały się całe, zabijając natychmiast, w cokolwiek by trafiły.

– Bogowie... Bogowie... – Ludzie nie mogli uwierzyć. Przecież taki strzał był niemożliwy do oddania. Nikt nie zabił dotąd w dziejach dowódcy obcej armii, strzelając z murów obleganej twierdzy. Przecież nigdy żaden odpowiednio wysoki dowódca nie podjeżdżał odpowiednio blisko.

Ktoś zameldował o cudownym strzale dowództwu na podeście. Oficerowie zaczęli schodzić na dół, żeby znaleźć się bliżej i zobaczyć, jakim sposobem udało się strzelić celnie na taką odległość.

Tomaszewski przeładował karabin. Złożył się znowu, wciskając łożo broni w kłęb szmat. Czekał cierpliwie, aż ludzie na wzgórzu uspokoją się trochę. Żołnierze na murze, widząc, co się święci, uciszali co bardziej rozgorączkowanych wiwatujących.

– Mierzysz do dowódcy szturm? – domyśliła się Ina.

– Oni sądzą, że trafienie w szefa armii to był przypadek... – szepnęła Tomaszewski i musnął spust. – Nie był!

Na widok spadającego z konia człowieka z czarną chustą na szyi obrońcy twierdzy zaczęli wyc. Oficerowie na wzgórzu biegali wokół, zderzając się ze sobą. Tomaszewski przeładowywał spokojnie i strzelił jeszcze dwa razy w największe kłębowisko ciał. Dwa razy musiał w kogoś trafić, bo tamci w panice zaczęli uciekać ze wzgórza. W komorze został jeden nabój. Nie było sensu tracić go przypadkowo. Tomaszewski wybrał łatwiejszy cel. Podniósł się ze swojej pozycji, postawił lewą nogę na murze i złożył się z ramienia. Strzał był banalny. Człowiek, który dyrygował muzykami walącymi w ogromne gongi, dostał w sam środek pleców, poleciał do przodu i uderzył w podwieszoną do specjalnego stojaka, lśniąca złościście tarczę własną głową.

To był ostatni dźwięk, który dobiegł od strony orkiestry. Muzycy, tak jak przed chwilą oficerowie na wzgórzu, zaczęli uciekać w panice, porzucając instrumenty. Nad polem niedosłej bitwy zaległa cisza.

– Chyba szturm już dzisiaj nie będzie – zażartował Tomaszewski, opierając kolbę karabinu na swoim biodrze. – A mając tyle wojska pod murami i braki w zaopatrzeniu, może umrą z głodu?

– Bogowie! – Dowódca twierdzy przepychał się przez tłum wyjących na całe gardło żołnierzy na murach. – To jest ten cesarski oficer...

I choć to nie było pytanie, Ina potwierdziła ruchem głowy.

– Nieźle strzela, nie?



– Znakomicie gotowałem. – Agire podniósł się z klęczek dopiero po kilku modlitwach, kiedy dowiedział się, że te dwie dziewczyny chcą wyciągnąć go z więzienia i zapobiec wysłaniu na front, gdzie zginie w samobójczej misji już pierwszego dnia. Doskonale wiedział, że zaopatrzenia brakuje i niektórzy ze skazanych „żołnierzy” uważają samobójczy atak nawet za rodzaj wyzwolenia od męki głodu.

– No. – Nuk wzruszyła ramionami. – Mnie przynajmniej przekonałeś, że umiesz.

– To jest dar – powiedział więzień. Powoli rozmasowywał sobie twarz. Mógł mieć jakieś trzydzieści lat. Ale włosy, które chyba przedwcześnie los poprzetykał mu pasmami siwizny, oraz Pobrzdżone przejściami oblicze nadawały mu wyraz pozwalający sądzić, że dobiega pięćdziesiątki. Jedyne skóra, choć szara i zmęczona, była ciągle dość jędrna, by zdradzić jego prawdziwy wiek. –Albo się ma zdolność do gotowania, albo nie. W żadnej szkole, u żadnego mistrza nie można się tego nauczyć.





– I co? – zapytała Kai, siedząca na workach pod oknem ich kanciapy. – I dzięki temu darowi zostałeś kucharzem samego księcia?

– Tak właśnie.

– A jak cię księżę znalazł? Sam mówisz, że żadnych szkół nie kończyłeś, u mistrza nie terminowałeś, więc skąd się o tobie dowiedział? Tak cię wziął? Z targu czy z ulicy?

– Nie. To znajomi znaleźli...

– Nie pierdol mi tu. – Nuk nachyliła się nad kucharzem. – Jeszcze moment i zaczniesz nam wmawiać, że twoi znajomi są też znajomymi samego księcia.

– Nie, nie, nie, no skąd. – Agire zaprzeczał gwałtownymi ruchami głowy, jednocześnie unosząc ręce w odzeganym geście. – Po prostu mój wujek znał ochmistrza...

Kai chyba straciła cierpliwość.

– Nuk, przylej mu z całej siły – mruknęła. – Albo nie – zmieniła zdanie. – Odprowadź go do strażników i każ wezwać następnego z listy.

– Nie! Błagam! – Agire znowu runął na kolana. – Wielkie panie! Błagam! O litość proszę!

– Zdecyduj się. Błagasz nas czy łżesz w żywe oczy? – spytała Kai rzeczowo.

– Powiem. Wszystko wam powiem! Proszę, nie odsyłajcie mnie!

– No to mów. Ale tak, żebym ci uwierzyła.

Agire ewidentnie walczył ze sobą.

– No śmiało – zachęciła go Nuk. – Za co kucharz samego księcia mógł trafić do więzienia? Co?

Kucharz westchnął ciężko, a potem jednak zebrał się w sobie. Wiedział, że tu i teraz to one, te dwie dziwne dziewczyny, są dla niego jedyną realną władzą.

– Oskarżono mnie o udział w związku przestępczym – powiedział cicho. – No ale przecież każdego można oskarżyć niesłusznie. Każdego można wtrącić do lochu, nie mając żadnego dowodu!

– Nareszcie jesteśmy w domu. – Kai ziewnęła rozdzierająco. – Do rzeczy. Co kradłeś?

– Jedzenie, oczywiście. To znaczy nie, to oni tak mówili.

– Dobra, bandyto jeden. My nie sąd i my nie sprawiedliwość czynić będziemy. Świat nie jest sprawiedliwy i w nim nawet taki bydlak jak ty

może dostąpić szczęścia, a uczciwy człowiek może zostać pogiębiony. A ty, żeby dostąpić czegokolwiek, musisz tylko przekonać nas o swojej przydatności.

– Jestem genialnym kucharzem! Jestem najlepszy!

– Prosimy o dowody, nie przechwałki.

– Tak, tak, należałem do bandy, która grabiła żywność. Tam, gdzie jeszcze czasem była, czyli na wsiach. Ale ja miastowy, do ulic mnie ciągnęło, a nie dróg polnych. Do Hanego przystałem, do największej bandy.

– W miastach grabiliście?

– W jednym, tym tutaj, gdzie teraz jesteśmy. Magazyny same. A siłę mieliśmy, że się nas nawet trochę strażnicy bali.

– A czemu tu?

– No tu jest baza ludzi zza gór. Tu jeszcze trochę jedzenia jest do wzięcia. No ale coraz ciężej było. Łapanka za łapanką. Co chwila kogoś z naszych zwijali. No to Hane powiedział, że teraz kraść będziemy oficjalnie. Że czasy się zmieniły.

– Osobliwe spojrzenie na rzeczywistość.

– Był dogadany z jakimś informatorem na dworze księcia. I gdyby tylko udało się znaleźć jakiegoś dobrego kucharza, tamten mógłby go wkręcić na dwór. Bo stary kucharz właśnie zmarł, a w tym kraju znaleźć kucharza to raczej na cud trzeba liczyć. No bo niby z czego gotować i tej sztuki się uczyć?

– Co fakt, to fakt. – Kai przypomniała sobie ich występ w kuchni na strażnicy. Gdzie dwie dyletantki potrafiły zrobić wrażenie na gościach.

– No i nie mogliśmy znaleźć. Aż się raz okazało, jak trafiliśmy w magazynie większe zapasy, że ja to potrafię. Że talent mam, dryg do tego po prostu.

– Ciekawe.

– No i przyszykowali mnie, mówić nauczyli z cesarskim akcentem, że niby cudzoziemcem jestem...

– Czyli twój sposób mówienia w tej chwili to ma być cesarski akcent? – Kai spojrzała na niego z niekłamanym zaciekawieniem. A kiedy przytaknął, usiłowała się nie roześmiać i nie spojrzeć kpiąco na Nuk.

– Spodobało się – ciągnął Agire. – Księżciu się spodobało moje gotowanie, jak już mnie podstawili na dworze. Chwalić się zaczął, że ma

cudzoziemca na służbie. Gości podejmować raczył, mnie mając za główną atrakcję.

– A ty go rabowałeś?

– No nie z przedmiotów przecież. Ale to ja pisałem, czego mi potrzeba, książkę kwity rozkazywał wystawiać i kwestia tylko mieszkania w papierach, żeby nikt nic nie odkrył. Od tego to już kto inny był. I żyło mi się dobrze, herszt mój zadowolony, goście pałacowi wniebowzięci, coraz znaczniejsi przyjeżdżali, żeby posmakować...

– Aż się wydało? – zapytała Kai.

Agire opuścił głowę. Chyba płakał i nie chciał pokazać. Ta, biedny człowiek. Nie wiedział, jak się w odpowiedniej chwili odłączyć od swoich bandyckich braci. A może nie mógł? Nie chciał? I tu nagle ze świecznika do pierdła, a potem na śmierć w ponizeniu, upodleniu, nikomu niepotrzebną. W życiu zawsze się plecie.

– Przestań się mazać. Teraz dla nas gotować będziesz. A właściwie z nami.

Nie mógł uwierzyć. W swoim pojęciu pewnie szczerze przyznanie się do procederu grzebało możliwość współpracy, a tu odwrotnie. Przekonał je do siebie.

Kai podeszła do niego i uniosła z kolan. Objęła za szyję i przytuliła policzek do jego policzka.

– A teraz ci coś pokażę, żebyś nie myślał, że my pierwsze lepsze jesteśmy. – Wyjęła z sakiewki ciężarek, który dostały od łysego szewca. Przysunęła kucharzowi pod oczy, żeby dokładnie mógł zobaczyć wyryte na nim znaki. Początkowo nie mógł uwierzyć. Potem tylko przełknął ślinę.

– Złodziejki jesteście. O Bogowie! Siostry wy moje! Bogowie was zesłali, żeby mnie, brata waszego, z ponizenia podnieść, od śmierci uchronić.

– No już, już. Bez egzaltacji.

– Siostry... siostry wy moje.

– Może i siostry, ale rozkazów słuchasz naszych. No i opowiesz nam o różnych rzeczach, które chcemy wiedzieć.

– Wszystko wam opowiem. Wszystko, co chcecie, bo ja na wielkim dworze służyłem. Wielmoży znam, bogaczy, książęta i nawet ludzi zza gór znam wielu. Ja wszystko, o czym na ucztach, w zaciszu mówili, pamiętam. Bo ja byłem bliskim zausznikiem mojego księcia pana!

– No i dobrze. – Kai poklepała go po plecach. – A jak już wszystko zrobisz, o co cię będziemy prosić, to dostaniesz sporo złota i uciekniesz sobie do takiego kraju, który będzie ci się podobał... bracie.

– Przecież nie ma już takich krajów – zachnął się Agire, powodując ich niebotyczne zdziwienie.

– Jak to?

– Przecież ludzie zza gór już zjednoczyli wszystkie kraje do jednego celu. Teraz Nayer walczy o twierdzę Avahen i cały ich kraj. Ale zaraz tam przecież ruszy cały kontynent.

Kai nie mogła uwierzyć własnym uszom. Nuk nie była lepsza. Zmarszczyła czoło, nie mogąc się pogodzić z własnymi myślami.

– Jak to cały kontynent ruszy? – zapytała bezwiednie. – Na twierdzę Avahen?

– Nie. Na cesarstwo po drugiej stronie morza. Póki tam jeszcze nie ma za dużo obcych. No i te masy ludzi potrzebne są, żeby dotrzeć do miasta na czubku świata.

– Co ty mówisz?

– Wiem, co słyszałem na dworze od największych. Cesarstwo ma zostać powstrzymane w drodze na biegun. A masy ludzi mają przejść przez kraj zwany Piekłem i dotrzeć do miasta na czubku świata.

Kai zamarła z otwartymi ustami. Po prostu z tego wszystkiego zapomniała, co chciała powiedzieć.



– Jakaś kobieta! – zameldowała rozprowadzająca warty. – Sama od strony gór!

Shen zmarszczyła brwi. Kobieta? I to w dodatku sama? Nie mogła sobie wyobrazić, czego mogłaby tu szukać. Miejscowa nie była, boby sobie wartownicy w ogóle nie zawracali nią głowy. Zerknęła na Sharri, z którą właśnie obchodziły prowizoryczne umocnienia, podtrzymując morale żołnierzy.

– Tam. – Rozprowadzająca wskazała kierunek.

Wyszły spomiędzy drzew na środek drogi prowadzącej w góry. Shen przyłożyła do oczu lornetkę.

– O, ja cię pierdolę! To Wyszyńska!

– No nie mów! – Sharri nie mogła uwierzyć. Wytężyła wzrok. Było coś w schodzącej z najbliższego wzgórza kobiecie, w jej sprężystym kroku, co mówiło, że na pewno nie pochodzi stąd. A w bezczelnej postawie i pewności siebie, że w ogóle nie jest poddaną cesarstwa, ale... Wyszyńska? Sama? Na piechotę?

Zbliżała się szybko. Można było pozbyć się wątpliwości. Pani inżynier miała na sobie miejscową tunikę i sandały. Nawet jej plecak pochodził chyba z demobilu imperialnej armii. Jedynym odstępstwem był pistolet maszynowy na pasku przewieszonym przez szyję i pas z zapasowymi magazynkami. Shen potwornie imponowało to, że tamta potrafiła błyskawicznie zrezygnować ze statusu wielkiej damy brylującej na salonach w Negger Bank i przyjść ubrana jak miejscowa chłopka, na piechotę, Bogowie jedni wiedzą z jak daleka. Była też cholernie odważną babą.

– Cześć, dziewczyny! – Wyszyńska szybko znalazła się w zasięgu głosu.

– Cześć. Skąd ty tutaj?

– Kiedy dostałam od ciebie wiadomość, od razu wiedziałam, że muszę tu być.

– Ale jak?

– Przyleciałam wiatrakowcem. Niestety, jedyne pewne miejsce do lądowania było prawie trzydzieści kilometrów stąd. Więc musiałam przyjść na własnych nogach.

– Trzydzieści kilometrów? – Sharri miała dobre pojęcie o mierze odległości stosowanej przez Polaków.

– Co? To tylko cztery godziny marszu. W dodatku cały czas z górki. – Wyszyńska wyjęła z kieszeni plecaka manierkę i upiła kilka łyków wody. Nikomu nie umknął szczegół, że manierka była prawie pełna, nawet po tak długiej drodze. Nikomu też nie umknęło, że nie zażądała niczego do jedzenia ani picia, wszystko miała ze sobą. – No i jak? Zrozumiałaś wszystkie swoje dotychczasowe błędy?

– Nie wiem, czy wszystkie. – Shen tylko machnęła ręką. – Ale zrozumiałam, że tworzenie jakiejś małej, oderwanej od świata enklawy partyzantów jest bez sensu. Imperium zawsze ją zgniecie, bo nie może tolerować pod swoim bokiem istnienia żadnego mitu.

– Bardzo słusznie – potwierdziła Wyszyńska. – Nie dość, że mądrze myślisz, to jeszcze sądzę, że dzięki Sharri jesteś w stanie precyzyjnie wyrazić to słowami.

Niedoszła kapłanka uśmiechnęła się skromnie i dygnęła teatralnie jak mała dziewczynka zadowolona z pochwały.

– Ale to, że mądrze myślisz, to za mało. – Wyszyńska podeszła do Shen tak blisko, że dzieliło je dosłownie kilka centymetrów. – Udowodnij mi, że nie przyszłam tu na darmo. Powiedz mi, że pokonałam te pieprzone trzydzieści kilometrów na piechotę, a przedtem odbyłam ten pieprzony lot z Negger Bank nie na darmo. Udowodnij mi, że nie zmarnowałam tego czasu. – Inżynier wzięła głębszy oddech i dokończyła kwestię: – Powiedz mi, co chcesz zrobić?

Shen teraz już nie miała żadnych wątpliwości.

– Zamierzam zdelegalizować cesarstwo. I powiedzieć wszystkim, że jego dni są policzone.

Wyszyńska chwyciła Shen w ramiona i potrząsnęła z całej siły.

– No właśnie! – krzyknęła. – Nie cackać się, nie negocjować, nie chcieć tylko swojego spokojnego kawałka ziemi! Nie! Teraz tylko my albo oni!

– No właśnie. Zamierzam powiedzieć cesarzowej...

– Jakiej cesarzowej?! Nie ma takiej! A tej kurwie, co nielegalnie zajmuje cesarski pałac, nic mówić nie potrzeba!

– O, to, to, to... – Figura retoryczna wyraźnie spodobała się Sharri. – Do ludu trzeba mówić dosadnie i w prostych słowach.

– Ale lud chyba nas trochę zawiódł, prawda? – Shen spojrzała na koleżankę kpiąco. – A jedyny mój dowódca, który ma jaja, to doskonale wykształcony Varik.

– Bo mówić będziemy do inteligencji, ale stylizować się będziemy na przemowę do ludu.

– Mniejsza z tym. – Wyszyńska ciągle trzymała Shen w ramionach. – Musisz powiedzieć jedno. Każda władza musi być pod kontrolą narodu. A cesarstwo właśnie straciło prawo do istnienia. I już.

– Dobra. Chodźmy do miasteczka.

– Czy kurierzy z Imperialnego Ekspresu przybyli? – Wyszyńska poprawiła swój ekwipunek. Zdawała się w ogóle nie odczuwać zmęczenia. Kiedy ruszyły ulicą w dół, ku morzu, jej krok wydawał się tak sprężysty, jakby dopiero co rozpoczęła spacer.

– Tak. Rand miał mało czasu, ale przybywają od kilku dni.

– A armia?

– Za wcześnie na armię. Jakiś prefekt usiłował nas wyrzucić na czele kilkudziesięciu zbrojnych, ale „Koleś” postraszył ich rewolwerem i sobie poszli. – Shen zaczęła się śmiać. – Sharri już robi z tego wiekopomny rewolucyjny czyn.

– I bardzo dobrze. A co z jego chorobą?

– No niestety, ciężko. Masz jakieś lekarstwa?

Wyszyńska wzruszyła ramionami.

– Coś mam. Nie wiem, czy dobrze dobrałam tylko na podstawie opisu. Po mojemu to ta nowomodna alergia i astma.

– „Nowomodna”?

– Widzisz, mam w pewnym sensie dwie ojczyzny. – Wyszyńska rozłożyła ręce. – W mojej starej ojczyźnie alergia jest istną plagą. A tutaj, w nowej, dopiero co zaczynają ją diagnozować. To choroba cywilizacji.

Shen niewiele zrozumiała. Schodziły szybko w stronę siedziby dowództwa partyzantów, chwilowo umieszczonego w karczmie, jedynym lokalu zdolnym pomieścić najważniejsze składowe ich arsenału. Kadir wolał nie ryzykować i nie lokować łatwopalnych materiałów w domach mieszkańców. Tak naprawdę to nie wiadomo było, kto jest po czyjej stronie. Partyzanci czuli się tu bardziej jak najeźdźcy i okupanci.

Varik i Kadir wyszli im na spotkanie. Wyszyńska przywitała się, o dziwo, jak na nią, bardzo ciepło nawet. Niestety, stan „Kolesia” wprowadził ją w lekką konsternację.

– Słuchaj, będziesz mi dzisiaj bardzo potrzebny – bez wstępów przeszła do rzeczy. – Dasz radę?

Wzruszył ramionami. Ledwie zapał. Przy każdym wdechu słycać było rżenie, prawie nie mógł otworzyć zaropiałych oczu.

– Dam radę – wychrypiał.

– Szlag! Chodź tu. – Wyszyńska zaczęła szukać w swoim plecaku podręcznej apteczki. – Słuchaj, Kadir. – Miała podzielną uwagę i najwyraźniej nie zamierzała tracić czasu na tylko jedną czynność naraz. – Czy dałbyś radę wysadzić drogę albo zawalić skałami po jednej i po drugiej stronie miasteczka?

– Oczywiście. Mogę zablokować imperialną drogę. Prochu powinno wystarczyć.

– No to przelicz wszystko dokładnie i poślij ludzi, żeby przygotowali stanowiska strzałowe.

– To będzie raczej kiepska przeszkoda dla imperialnej armii.

– Posłuchaj, zawalona skałami czy wysadzona droga, która osunie się do morza, to rzeczywiście mała przeszkoda. Ale groźba jej wysadzenia to już rzecz bardzo poważna. Nie doceniasz ludzkiej psychologii.

Kadir uśmiechnął się radośnie.

– Możesz mieć rację. Człowiek bardziej boi się tego, co mogłoby być, co grozi, zapowiada się złowieszczo, niż tego, co już się stało.

– Właśnie. Mamy bardzo mało czasu. Zajmij się tym, jeśli mógłbyś wyświadczyć mi tę uprzejmość.

Wyszyńska najwyraźniej znalazła w plecaku to, czego szukała. Przez chwilę przeglądała zawartość wyjętej torebki. Nalała do nakrętki swojej manierki trochę wody, wrzuciła tam białą pastylkę, która natychmiast zaczęła musować i pienić się obficie.

– Masz, weź to. – Podała Varikowi inną pastylkę i kazała popić buzującym białą pianą płynem. – Nie uzdrowi cię natychmiast, ale powinno powstrzymać większość objawów. A teraz rób wydech. Na tyle, na ile możesz. – Zaczęła energicznie potrząsać dłonią, w której trzymała niewielki metalowy przedmiot. – To inhalator – wyjaśniła. – A teraz wdech! – Przytknęła wylot metalowej tulejki do ust „Kolesia”. Rozległ się cichy syk jakiegoś gazu. – I jeszcze raz. – Powtórzyła całą procedurę, a potem kazała Varikowi usiąść na kamiennych schodach prowadzących do karczmy. Stała za nim i odchyliła mu głowę do tyłu, opierając jej czubek o własne nogi. Z małej buteleczki wpuściła mu po kilka kropel bezbarwnego płynu do każdej ze spojówek. – No, już bardziej cię nie mogę zachemizować – zażartowała. – Siedź tu i czekaj, aż się polepszy.

Kadir, który przyglądał się każdej czynności z dużym zainteresowaniem, miał jednak wątpliwości.

– To pomoże? Dawno nie widziałem człowieka w tak złym stanie.

– Szczerze mówiąc, nie wiem. – Wyszyńska nie zamierzała niczego udawać. Jej bezpośredniość była aż bolesna. – Albo umrze, albo lekarstwa zadziałają.

– A wiesz przynajmniej, co mu jest?

– Jestem inżynierem, nie lekarzem. – Tu również nie zamierzała niczego przed chorym udawać. – A podałam mu leki na alergię. Jeśli to nie



alergia, to mu zaszkodzą.

Sharri potrząsnęła głową i chciała coś powiedzieć, nie została jednak dopuszczona do głosu.

– Masz przygotowany jakiś tekst? Żeby przemówić do ludu?

– Tak na już to nie. – Była kapłanka, przywrócona na właściwe tory myślenia, zmarszczyła brwi. – Ale w każdej chwili mogę coś sklecić.

– Coś przełomowego, proszę. – Wyszyńska odwróciła się do Shen: – Ilu kurierów jest już w miasteczku?

– Ośmiu.

– Strasznie mało. Trudno, nie czekamy na następnych, bo nie mamy czasu. Shen...

– Tak?

– Każ swoim spędzić ludzi na główny plac. Kurierom zapowiedz, żeby też przyszli. Wygłosisz przemówienie do narodu. A ja bym potrzebowała kogoś, kto umie ładnie pisać.

Wyszyńska miała dar organizowania wszystkiego tu i teraz. Przecież to, o czym mówiła, było już wymyślone, przewidziane, gotowe do realizacji. Tyle tylko, że jakoś nikt nie określił ani terminu rozpoczęcia, ani chwili, w której konkretny etap powinien się zacząć. Teraz jednak każdy wiedział, co ma robić. Dwie dziewczyny biegłe w sztuce pisania zostały przydzielone pani inżynier, ludzie zaczęli być zwoływani na plac, ktoś biegł po kurierów.

– Varik! – Wyszyńska chwyciła „Kolesia” pod ramię. – Wstawaj!

– Coś dziwnego się ze mną dzieje – powiedział cicho.

– Mnóstwo nowoczesnej chemii Kocyana krąży w twoich żyłach. – Podniosła go na siłę. – No chodź. Potrzebuję twojej siły przekonywania.

Zerknął do góry wymęczony.

– A mam jakąś?

– Wiesz, podoba mi się facet, który za pomocą jednego rewolweru potrafi rozgonić pięćdziesięciu strażników.

– Nie musisz wierzyć we wszystko, co o mnie mówią. – Varik oparł się na jej ramieniu całym ciężarem. – A w ogóle skąd wiesz o tym zajściu?

– Służby plotkarskie Randa nie próżnują. Jesteś bohaterem ludowym w całym kraju.

– O szlag!

– Skup się teraz. Potrzebuję jakiegoś stolarza, malarza, kogokolwiek w tym stylu.

Varik odkaszlnął po raz pierwszy chyba od kilku dni głębiej. I po raz pierwszy wziął trochę głębszy oddech. Ze zdziwieniem obserwował, co dzieje się z jego organizmem.

– Jest stolarnia przygotowująca stemple do kopalń...

– Prowadź – Wyszyńska przerwała mu w pół słowa. – Dziewczyny! – Zerknęła na te, które umiały pisać. – Za mną!

Ruszyli powoli wzdłuż ulicy. Coś dziwnego działo się z Varikiem. Kręciło mu się w głowie, ledwie szedł, ale z drugiej strony z każdym krokiem, szczególnie kiedy pochylał się do przodu, mógł, kaszłąc, odkrzuszać to coś, co zajmowało mu płuca. Straszliwy ciężar na piersiach, który go dusił, doprowadzając do szaleństwa, zdawał się maleć, a myśli stawały się coraz bardziej racjonalne.

– To chyba tutaj. – Wolną ręką otarł pot z czoła, zatrzymawszy się przed niskim budynkiem o ścianach wymurowanych z rzecznych kamieni. – Tam na zapleczu powinni być stolarze.

Wyszyńska nie miała żadnych wahań. Przerzuciła sobie pistolet maszynowy z tyłu na brzuch i pewnym krokiem weszła do środka.

– Hej, wy tam! Robota jest pilna! Dziewczyny, wy też chodźcie tutaj!

Varik usiadł pod filarem podtrzymującym okap dachu. Oddychał wyraźnie głębiej. Kaszlnął kilka razy, ale już nie sucho. Z każdym kasznięciem męczący go ciężar stawał się coraz mniejszy. Poczował, że odpływa. Odgłosy kłótni Wyszyńskiej i stolarzy odsuwały się coraz dalej, pomstowanie majstra stawało się szeptem...

Zasnął oparty o kamienną ścianę. Kiedy otworzył oczy, słońce stało już w zenicie. Pierwszą konstatacją było to, że ma suche oczy. Żadnej ropy, żadnych łez. Miał też suchy język – to z minusów. Dotknął twarzy. Z nosa nic nie ciekło. Nic też nie swędziało. I najważniejsze. Wziął głęboki oddech. W płucach pozostały tylko słabe poświsty. Kaszlnął lekko kilka razy i w cudowny sposób pozbył się nawet tego. Bogowie! Mógł normalnie oddychać!

Usiłował wstać, ale zakręciło mu się w głowie. Tuż obok czeladnicy stolarscy układali drągi, do których wcześniej przymocowali drewniane tablice.

– Macie wykrzykiwać hasła, które są tu namalowane – instruowała Wyszyńska.

– Ale ja nie umiem czytać! – oponował majster.

– Tu jest napisane „Shen” – wyjaśniała spokojnie. – A tu „cesarzowa”. Tu „nierządnicza”, a tu „precz”...

– Znaczy co mam krzyczeć? Że Shen to nierządnicza?

– Debilu. Masz krzyczeć: niech żyje Shen, a cesarzowa to nierządnicza!

– Ale ja nie mogę. Moi ludzie robotę swoją mają.

Wyszyńska była zbyt energiczną kobietą. Uderzyła majstra pięścią w twarz, odskoczyła o krok i przeładowała swój pistolet maszynowy.

– Ja nie mam ani chwili do stracenia na dyskusję z tobą, idioto. Wiesz, co to jest? – Wycelowała z obu rąk, mierząc stolarzowi prosto w twarz.

Z trudem przełykając ślinę, skinął głową. Bał się nawet podnieść rękę, żeby dotknąć rozbitego jej pięścią nosa.

– Jazda! – wrzasnęła na niego. – Dziewczyny! – Zerknęła na te dwie, które ozdabiały deski napisami. – Niech czeladnicy biorą transparenty i jazda! Varik! – Odwróciła głowę w drugą stronę. – Żyjesz?

– Żyję.

– No to wygarniaj ludzi z domów. Niech wychodzą na ulicę i dołączą do demonstracji! No rusz się!

Tym razem Varikowi udało się wstać. I nawet ustać, choć na chwiejnych lekko nogach.

– Co mam robić? – zapytał.

– Oj, człowieku. Tam, na placu, przemawiają Sharri i Shen. A jak ludzie słuchają ogłoszeń? Jak słuchają tego, co mówi herold? W milczeniu. A my potrzebujemy spontanicznego entuzjazmu! Pamiętaj, że kurierzy mogą opowiadać tylko o tym, co widzieli na własne oczy. Żadnej własnej interpretacji, żadnych domysłów. Tylko to, co widzieli sami! Rozumiesz?

– Chyba tak. Znaczy... lud ma wystąpić ze szczerym poparciem dla Shen? – upewnił się jeszcze.

– Tak właśnie. – Wyszyńska znowu szturchnęła majstra.

Dziewczyny, które malowały napisy, popychały stolarskich czeladników, ustawiając ich w pochód. Każdy ze zdezorientowanych uczniów dźwigał inne hasło. Sami nie wiedzieli, co mają u góry napisane, ale wiedzieli już, co krzyczeć. Partyzantki były bezbłędne.

Varik pobiegł do najbliższego domu. Z trzaskiem otworzył drzwi.

– Wychodzić! Wszyscy wychodzić! Macie dołączyć do pochodu!

Ponieważ rodzina zaskoczona przy posiłku reagowała zbyt powoli, wyszarpnął z kabury rewolwer.

– Wszyscy won! Bo chałupę spalę!

Dopiero teraz zaczęli się ruszać. Varik nie czekał, popędził do następnego domu. Tym razem drzwi otworzył z kopa.

– Wszyscy won! Dołączyć do pochodu! I krzyczeć na całe gardło!

– Ale co krzyczeć? – Ojciec rodziny wybałuszał oczy. Matka przy kuchni przygarniała dzieci.

– Kiedy usłyszysz „Shen”, to krzycz „niech żyje”. Gdy usłyszysz „cesarzowa”, masz wrzeszczeć „precz, precz!”. Zrozumiałeś?

Nie czekał, aż się zbiorą. Popędził dalej. W kolejnym domu zastał aż kilkanaście osób. Od najstarszych przez dwa młode małżeństwa po gromadkę dzieci. Rozgardiasz rósł z każdą chwilą.

– Wszyscy na ulicę!

Patrzyli na niego, niewiele rozumiejąc. Varik chwycił za włosy najbliższą dziewczynkę i przyłożył jej lufę rewolweru do głowy.

– Na ulicę! – wrzasnął. – Dołączyć do pochodu i krzyczeć „niech żyje!” albo spalę wam chałupę i wszystkich pozabijam!

Tłum na zewnątrz rósł z każdą chwilą. Dziewczyny z partyzantki usiłowały wprowadzić porządek we wznoszonych okrzykach. Trudno było mówić o entuzjazmie, ale na pewno ludzie weszli na plac w stanie najwyższego uniesienia, jeśli chodzi o emocje.

Shen wkraczała właśnie w kluczowy fragment swojej płomiennej przemowy.

– Nie! To nie jest zbuntowana prowincja! To my jesteśmy cesarstwem!

– A tamci, co poprzednio? – odezwał się ktoś z ludzi, którzy wcześniej stali na placu. – A tamto cesarstwo, co było?

– Jest od dzisiaj nielegalne!

– Precz! Precz! Precz! – wył tłum, który dotarł na plac wraz ze „spontanycznym” pochodem.

– Cesarstwo to my! – ogłosiła Shen.

– Niech żyje! Niech żyje! Niech żyje! – wrzeszczeli ludzie z pochodu zgodnie z instrukcją ukrytych za plecami innych dziewczyn z oddziału.

Majster i czeladnicy stolarscy, stanowiący trzon tłumu, wiedzieli, że wkurzona Wyszyńska połowę z nich może skosić jedną serią.

– Kochamy cię, Shen! – krzyczeli więc głośno. – Shen! Shen! Shen! – wkładali w te słowa naprawdę dużo emocji.

– Shen, jesteś moją matką! – krzyczała dziewczynka, której Varik trzymał lufę przy potylicy. Miała wyjątkowo piskliwy, wybijający się ponad okrzyki tłumu głos. – Kochamy cię, Shen!

Liczna rodzina w trosce o dziecko wtórowała jej z najwyższym oddaniem. Emocje się udzielały. Ludzi ogarniał szal.

Ośmiu kurierów Imperialnego Ekspresu patrzyło na wszystko bez słowa. Byli służbą apolityczną i nie wolno im było niczego interpretować. Mogli opowiadać tylko o tym, co widzieli na własne oczy.



## Rozdział 13



O byczaje zmieniały się coraz bardziej. Cesarzowa przyjmowała gości w obecności marynarzy uzbrojonych w broń automatyczną. W dodatku już nie można było wyjść sobie na balkon ani pospacerować po parku. Audiencja miała miejsce w zamkniętym pomieszczeniu z oknami zabezpieczonymi w ten sposób, że żaden snajper nie mógł dostrzec, kto znajduje się w środku.

Cesarzowej żadne związane z bezpieczeństwem utrudnienia zdawały się nie przejmować. Siedziała skupiona przy podręcznym stoliku z dokumentami, które musiała podpisać. Nie podnosiła wzroku, mimo to Rand doskonale wiedział, że słuchała jego raportu bardzo uważnie.

– Budowa drogi przez Wielki Las w Banxi postępuje bardzo szybko. Choć trudno to nazwać budową. To raczej odkrywanie i odnawianie starej nawierzchni, od lat ukrytej pod warstwą ziemi.

– Powiedz mi – przerwała mu w pół zdania – jakim cudem nie wiemy niczego o drodze, która paręset lat temu prowadziła z Kong gdzieś przez sam środek Wielkiego Lasu?

– Trudno odpowiedzieć na twoje pytanie, pani. Jednak te kilkaset lat, obliczone na podstawie wieku porastających tę drogę drzew, może być obliczeniem bardzo złudnym. Sam proces nawiewania ziemi był długotrwały. Nie mamy zielonego pojęcia, czy ktoś dbał o nawierzchnię...

– Kto? – znowu mu przerwała. – Potwory?

Rand z trudem powstrzymał się przed wzruszeniem ramionami.

– Nie wiemy niczego o tej drodze. Mogła powstać za Cesarstwa Luan. Mogła jeszcze wcześniej. Nie mamy żadnej wiedzy o wydarzeniach, które miały tam miejsce.

– Rozumiem.

– A praca idzie szybko, ponieważ po przegranej wojnie z nami w Shah panuje okropna bieda. Doszło tam wręcz do wewnętrznej wojny, a właściwie szeregu rzezi. Jeńcy nie chcą wracać do domu, bo panuje głód.

– A my ich tak dobrze karmimy?

– Karmią kupcy, węsząc w przedłużeniu drogi wielki interes.

Cesarzowa po raz pierwszy podniosła głowę i spojrzała Randowi prosto w oczy.

– A dokąd ta droga prowadzi?

Rand był przygotowany na to pytanie.

– Polacy teraz robią zwiad w tamtym kierunku.

– Nie udzielaj mi wymijających odpowiedzi, proszę. No cóż, nadszedł czas, żeby przyznać, że się czegoś nie wie. Żeby jasno i jednoznacznie powiedzieć, że się nie ma bladego pojęcia.

– Moje informacje pochodzą zawsze z różnych źródeł. Powtarzanie informacji, które pochodzą tylko z jednego źródła, jest jak powtarzanie plotek. Jedna pani drugiej pani, jak na targu nie przymierzając.

– No dobrze. Powiedz mi o informacjach, które zdobyłeś na ten temat, a które są potwierdzone przez inne źródła.

– Wielka pani. Nasz plan, który polegał na tym, żeby obezwładnić dowództwo służb specjalnych poprzez dodanie im władzy, czyli mianowanie nowych oficerów sztabu, powiódł się. Dawniej to był kolektyw może i rywalizujących ze sobą, ale zgranych w działaniu ludzi. Teraz, kiedy ich sztab powiększyliśmy o kilkudziesięciu nowych oficerów, panuje tam bałagan i wzajemna podejrzliwość...

Cesarzowa przerwała potok jego wymowy, unosząc rękę.

– Czy ty to właśnie nazywasz zgrabną zmianą tematu? – zakpiła. – Zanim opowiesz o swoich sukcesach, skończ najpierw odpowiadać na poprzednie pytanie.

Rand odchrząknął.

– Mam dość dokładne informacje, co odkryli polscy agenci na drugim kontynencie, w państwie Nayer. To pośrednia odpowiedź na twoje pytanie, pani.



– To tam, gdzie jest baza tych, jak oni ich nazywają, Anglosasów?

– Tak. I co gorsza, z doniesień wynika, że Anglosasi są tam dużo dłużej niż Polacy tutaj.

– I co z tego wynika?

– Hm. To w ogóle ciekawa kwestia. Prawdopodobnie udało im się zjednoczyć cały kontynent. Chcą ogromnymi siłami ruszyć na biegun, żeby zająć miasto Bogów. Ale najpierw chcą spacyfikować cesarstwo.

– Bogowie! A po co?

– Z tego powodu, że istniejemy? – Rand odpowiedział pytaniem. – Chcą może być hegemonom w dostępie do boskiej władzy, jaką być może daje biegun.

– A to nie przypadkiem Polacy chcą nas wkłęcić w jakąś wojnę? Sami nie mając tu odpowiednich sił?

No! Najgorsze niebezpieczeństwo minęło. Rand zdołał tak nakręcić, żeby nie odpowiedzieć bezpośrednio, co znajduje się za Wielkim Lasem w Banxi. Zaczął teraz wyjaśniać, że pogląd, jakoby Polacy nie mieli tu własnych sił, jest błędny. Na samej tylko pustyni na Złych Ziemiach mają odpowiednik dywizji. Rozproszonej teraz i używanej do zadań wartowniczych. Ale w razie potrzeby zwykłych wartowników można kupić i postawić na ich miejsce. A samemu mieć tam niesamowity związek bojowy. Po pierwsze złożony wyłącznie z weteranek strzelców pustynnych, oswojonych z tamtejszymi warunkami, ostrzelanych, niedających sobie w kaszę dmuchać. A po drugie dziewczyny mają nowoczesną broń. Karabiny z lunetami nie pozwolą klasycznej armii podejść choćby na taką odległość, by móc samemu wystrzelić.

A za wsparcie ta dywizja ma drugą dywizję. Ochronę bazy w Negger Bank też łatwo zastąpić, a z żołnierzy dysponujących nowoczesnym uzbrojeniem szybko stworzyć drugą dywizję. Tym razem ciężką. Dysponującą czołgami i pojazdami pancernymi. Jej trzon to weteranki korpusu z doliny Sait. Ostrzelane, doświadczone, w rozsypkę na sam widok wroga nie pójda, oj, nie pójda. Przypieprzą ze swojej ciężkiej broni i przełamią każdą obronę.

– To wszystko nasi żołnierze, choć na obcej służbie – powiedziała cesarzowa. – Przeciwko nam nie wystąpią.

– Toteż i Polacy nie mają planu występowania przeciwko nam – potwierdził Rand. – Ale dwie swoje dywizje mogą posłać, gdzie chcą za

granicę, bez naszej wiedzy i zgody, prawda?

Przygryzła wargi.

– Masz rację. I mogą rozpętać tym wojnę, jaką zechcą.

– Tak. To szczupła armia, ale niesłychanie mobilna, elastyczna, dysponująca potworną przewagą ognia. Za to też mająca cały szereg ograniczeń.

– Jakich?

– Ano, kiedy im się tory kolejowe skończą, a wraz z nimi zaopatrzenie, to dalej nie pójdą. Bo taka armia żre zaopatrzenia jak żadna inna w historii. A po drugie do lasu ani w góry z tą armią też nie pójdą. Nie będą przecież weteranki ze strzelców pustynnych po chaszczach się błąkać, bo ich tam zaraz ktoś załatwi z tymi ich karabinami o długich lufach.

– Aha. To stąd ta nowa bocznica kolejowa i dostęp do spławnej rzeki przy Wielkim Lesie?

– Tak jest. Coś mi się wydaje, że nasi ludzie zza gór szykują się, żeby godnie podjąć ludzi zza gór z innego kontynentu.

– Aż tak? – Cesarzowa zamyśliła się na chwilę. – I w tym celu mogą sprowokować nawet wojnę niekorzystną dla cesarstwa?

– Ci, których nazywają Anglosasami, bardzo spędzają im sen z oczu.

– Hm... – Znowu popatrzyła na niego badawczo.

Rand uśmiechnął się tajemniczo. Miał w zanadrzu jeszcze jedną informację.

– Mój człowiek rozmawiał z Duon, tłumaczką, która towarzyszyła wyprawie Baranowskiego do Wielkiego Lasu. Dziewczyna ma jakiś nieprawdopodobny talent do języków. Poza polskim opanowała inne języki ludzi zza gór, w tym oczywiście angielski, opanowała także języki, w jakich ludzie porozumiewają się z maszynami.

– Są takie języki?

– Tak. Do krokomierzy należy przemawiać w sztucznym języku. Ale nie składa się on wyłącznie z kodów. Zawiera także ludzkie wyrazy, a nawet zwroty.

– I co?

– Otóż język maszyn nie jest oparty na języku polskim. Wszystko, co w nim ludzkie, pochodzi z... angielskiego.

Cesarzowa była naprawdę inteligentną kobietą. Wszelkie możliwe i niemożliwe implikacje, które płynęły z tej informacji, przemknęły jej przez

głowę. Siedziała w milczeniu, patrząc gdzieś przed siebie, a Rand bał się zakłócić jej zadumę. Przerwała ciszę po bardzo długiej chwili.

– A zmieniając już temat... Powiedz mi, czy w cesarstwie zdarzyło się ostatnio coś, o czym mi nie powiedziałaś?

Rand odruchowo odwrócił wzrok.



– Poruszaj orczykiem!

Tomaszewski odsunął się od steru kierunku, żeby nie oberwać w twarz dość sporą metalową powierzchnią.

– A co to jest orczyk? Bo zapomniałam. – Siedząca w kabinie Ina wychyliła się na tyle, na ile pozwalały na to jej gabaryty. Szczęściem przy pomocy miejscowych rzemieślników udało się wyregulować fotel tak, że niewysoka dziewczyna mogła już sięgać do najważniejszych dźwigni i przełączników. Jej pomoc przy naprawie wiatrakowca była odtąd nieoceniona.

– No przecież orczyk to te pedały na dole.

– Aha. – Ina zaczęła kopać na przemian to jeden, to drugi. Sięgnąć nie było łatwo, tym bardziej że przez cały czas usiłowała obserwować, jaka jest reakcja maszyny na jej ruchy. – I co? Działa?

– Działa. Możesz przestać.

– I ten orczyk to ster kierunku?

– Ster srunku – zażartował, bo wiedział już, na ile może sobie z dziewczyną pozwolić. Była całkiem pozbawiona głupich przesądów. – A co? Wiesz, jak zmieniłby się lot maszyny, gdybyś w powietrzu użyła tych pedałów?

– No pewnie! – fuknęła jak kotka. – Wiatr nie ma dla mnie tajemnic. Ruchy powietrza też.

– No to widzisz. Prawie skończone.

– Wiatrakowiec jest sprawny?

– Prawie.

– I co? Polecisz nim?

Tomaszewski podniósł się z ciężkim westchnieniem.

– Tyle razy ci tłumaczyłem. Nie umiem latać.

– No ale potrafiłeś naprawić maszynę.

Podszedł bliżej. Nachylił się nad wykrojem półotwartej kabiny.

– Wiesz co... – zawahał się na moment. – Może umiałbym obsłużyć silnik. Tak na zdrowy rozum: mieszanka chyba powinna być bogatsza w chwili startu, kiedy potrzeba najwięcej mocy, a potem można ją zubożyć, żeby nie spalać jak smok. Może poradziłbym sobie z ustawieniem skoku śmigieł, też na zdrowy rozum. Jeśli ustawione są tak – pokazał na trzymanej pionowo dłoni, o co mu chodzi – to nie popychają wiatrakowca, jeśli tak – zmienił ułożenie dłoni – pchają z całą siłą. A jeśli w chorągiewkę, to w ogóle nie będą się poruszać. To wszystko proste, ale... Lecieć? W życiu. Rozsmarowałbym się tuż za pasem startowym.

– To po co naprawiamy maszynę?

– Bo spróbuję naprawić też radiostację. Przecież widziałaś, co robię wieczorami.

– Widziałam, że ci nie idzie.

– Ale może częściami z rozwalonego krokomierza uda się doprowadzić radiostację przynajmniej do możliwości użycia kodu kreskowego.

– I co ci to da? Przylecą po ciebie?

– Wystarczy, że wyślą samolot i zrzucą tu pilota na spadochronie. Następnego dnia wystartujemy.

Ina wzruszyła ramionami.

– No ale po co ci sprawny wiatrakowiec do samej radiostacji?

– Bo ona korzysta z akumulatora – wyjaśniał cierpliwie. – A akumulator trzeba ładować. Bez silnika i alternatora nie naładujemy, a bez prądu nie zrobimy w ogóle niczego. I koło się zamyka.

Ina, jak to miała w zwyczaju, nagle zmieniła temat.

– Myślałam, że interesują cię nasze maszyny latające. Tak się różnią od waszych, a ty nie zrobiłeś ani jednego rysunku. A tyle mówisz, że masz do przekazania swoim mnóstwo informacji, które tu zdobyłeś. I że każda chwila tutaj to ogromna strata.

– Inna, zrobiłem setki rysunków. – Wyjął ze skrytki w kokpicie aparat fotograficzny i pokazał dziewczynie. – Aż mi się wszystkie filmy skończyły.

– Mogę zobaczyć?

– Nie potrafię tutaj wywołać tych rolek. U nas jednak fachowcy zrobią z klisz odbitki z nieprawdopodobnymi wręcz szczegółami, bo każde ze zdjęć można prawie dowolnie powiększać.

Patrzyła na niego dziwnym wzrokiem. Nie mógł rozpoznać, czy wierzy mu, czy nie. Zdążył już zauważyć, że mimo ponadwzrostowego porozumienia, które istniało między nimi, dziewczyna myślała w przedziwny sposób, zupełnie dla niego nieoczywisty.

– No dobra – mruknął. – Za dużo gadamy, za mało robimy. Podaj osiemnastkę i dwa zaciski.

Ina zaczęła grzebać w skrzynce z narzędziami stojącej na fotelu pasażera.

– A czemu uciekliśmy z murów, kiedy zaczął się szturm? – zapytała nagle.

– Jak to uciekliśmy?! – Tomaszewski, nachylony nad uchwytami stalowych linek sterujących, zbyt gwałtownie podniósł głowę i uderzył z całej siły w dźwigar towarowy. – O szlag! Jak to uciekliśmy? Sama powiedziałaś, że zaraz cię zgniotą.

– Bo ja jestem mała i nie nadaję się do walki wręcz. A ty jesteś dużym mężczyzną. Mogłeś naszym pomóc.

– Nie znam się na walce wręcz. A w magazynku służbowego pistoletu mam raptem osiem nabojów. I co miałem z nim zrobić?

– Miałeś karabin.

– I dwie paczki amunicji w kieszeni. Z czego jedną już napoczęta.

– Ale mogłeś strzelać.

– Do tłumu ludzi? Po co? No nie... To jest specjalistyczna amunicja, do precyzyjnych, dalekich strzałów. A nie walenia w tłuszczę.

– No i uciekłeś.

– Poszedłem za tobą. Na murach podczas szturm nie snajper potrzebny, tylko chłop z okutym cepem do rozwalania mózgów.

– Teraz mydlisz mi oczy, a ty po prostu nie jesteś odważny! Nie chcesz walczyć podczas szturm, nie chcesz wystartować tą swoją maszyną, bo się boisz, że spadniesz. Może nie jesteś takim zwykłym tchórzem, bo jednak zastrześliłeś sam jeden na jeziorze dziewięciu ludzi, ale to było w rozpaczy. Sam z siebie odważny nie jesteś.

Konkluzja Iny sprawiła, że Tomaszewski uderzył się osiemnastką w dłoń i zaklął tak, jak żaden oficer nie powinien nigdy kląć przy kobiecie. Przez chwilę stał skonfundowany.

– Ja się boję lecieć, mówisz? – syknął po dłuższej chwili.

– Ewidentnie. – Ina rozłożyła ręce.

– No to jutro lecimy! Zabieram cię ze sobą!

Tu zaskoczył trochę dziewczynę, szybko się jednak otrząsnęła.

– Przecież przed chwilą mówiłeś, że nie umiesz się tym wznieść.

Tomaszewski wyprostował się, stanął przed Iną w lekkim rozkroku i oparł pięści o biodra. Zaczął się głośno śmiać. I to z wyraźną satysfakcją.

– No co? – fuknęła. – Przecież mówiłeś, że nie umiesz.

– I nie jest mi to do niczego potrzebne!

– Jak to?

– Bo polecisz ty!

Tak go ta myśl rozbawiła, że długo nie mógł się opanować. A widząc minę dziewczyny, przeżywał chyba najpiękniejsze chwile swojego życia. Zemsta była słodka.

– No co, tchórze? – warknął na nią. – Wymiękasz?

– Ale ja pojęcia nie mam o tej maszynie.

– Ja ci będę ustawiał wszystkie przełączniki. Ty tylko chwyć za drążek sterowy i jazda! Latanie jest takie samo na wszystkim, co potrafi wznieść się w powietrze.

– Ale...

– To ty jesteś pilotem, a nie ja. Polecisz, tchórze! I dopiero kiedy silnik ci ryknie za tyłkiem, zrozumiesz, co to prawdziwy strach!

– Nie nazywaj mnie tchórzem!

– A jak cię mam nazwać? Nic się nie bój, polecisz, czy chcesz czy nie. Bo wiesz co? – Tomaszewski wyraźnie się nakręcał. – Bo ja pójdę do twojego dowódcy i mu powiem, że na planszy pojawia się nowy gracz. I to ważny! Wy następnego szturmują już nie przetrzymacie. Sama wiesz o tym dobrze. Ale twój dowódca, choćby był najbardziej tępym oficerem na świecie, zrozumie, co mu powiem. A ja mu powiem: słuchaj, psia twoja morda, albo obwąchasz się z nowym graczem, jakim jest RP, albo umieraj sobie tu w samotności. I powiem mu, żeby ci kazał ze mną lecieć! I nawet jeśli jest najgłupszym oficerem na świecie, to ci każe! Wyda ci rozkaz.

Ina przełknęła ślinę i pospiesznie wyszła z półotwartej kabiny wiatrakowca. Obciągnęła na sobie szeroką spódnicę, wyprostowała się nawet i zamarła z poważnym wyrazem twarzy.

Zaskoczyła tym Tomaszewskiego. Aż tak na nią podziałały jego słowa? Ha, ha, no to teraz sama widzi...

Nagle zdał sobie sprawę, że dziewczyna wcale nie patrzy na niego. Tylko na coś, co znajduje się z tyłu. Za jego plecami. O szlag! Wiedziony jakimś irracjonalnym przeczuciem odwrócił się gwałtownie.

Tuż za nim stało dwóch ludzi. Jednym z nich był dowódca Iny, którego właśnie przed chwilą obrażał, a drugim dowódca całej twierdzy, Vaun. Uch... Bolesny widok w tej sytuacji. I co tu zrobić? Odgryźć sobie pokazowo język?

Vaun zdziwił Tomaszewskiego swoją reakcją.

– Doszliśmy do podobnych wniosków co ty, panie oficerze – powiedział tonem, w którym słycać było wyłącznie pragmatyzm. – Widząc waszą broń na murach, widząc waszą maszynę, zrozumieliśmy, że jak to zgrabnie ująłeś, „obwąchanie się” z twoją ojczyzną jest chyba jedyną rozsądną rzeczą, jaką można zrobić. – Vaun spojrział w bok, na swojego kolegę. – Dlatego też powiem mojemu najgłupszemu na świecie oficerowi o psiej twarzy, żeby kazał dziewczynie cię słuchać.

Dowódca Iny nie zmienił wyrazu twarzy.

– Lecisz, Ina. To rozkaz – powiedział cicho.

– Tak jest! – wrzasnęła dziewczyna, prężąc się na baczność.

– I słuchasz rozkazów obcego oficera bez komentarzy.

– Tak jest!

– No. – Vaun pokiwał głową. – Ta sprawa załatwiona. Zresztą mądry wybór – westchnął. – Ona była kiedyś naprawdę najlepszą z najlepszych. Istnym pilotem natchnionym.

– Dziewczyna sobie poradzi z obcą maszyną – powiedział dowódca Iny.

– Mam tylko nadzieję, że zapiekła złość na los, który ją skrzywdził, nie zepsuła jej duszy.

– No i nie żal będzie, jak ją stracie, skoro i tak jest za gruba, żeby latać na waszych aparatach – wypalił Tomaszewski, wyczuwając ton dwóch mężczyzn. Wcale nie byli obrażeni. Czuł, że choć z tak różnych światów i kultur pochodzili, byli to tacy sami faceci jak on.

Widząc wyraz twarzy Iny, dowódcy zaczęli chichotać. Vaun powstrzymał się pierwszy i zmienił temat.

– Kiedy już skończycie pracę, zapraszam do sztabu na rozmowę. Chcielibyśmy poważnie pogadać o „obwąchiwaniu”.

– Na pewno przyjdę.

– A tak nawiasem mówiąc... – rzucił dowódca Iny. – Ciągłe używasz słów „psiakrew”, „psia twarz”, czy choćby „obwężywanie”. Czy psy u was są przedmiotem kultu, panie? W psy wierzycie?

Ale się zemścił, świnia jedna. Nie dali Tomaszewskiemu czasu na ripostę. Po wymianie ukłonów odeszli, usiłując nie zahaczyć wzrokiem o wściekłą do imentu Inę.

Kiedy wyszli, dziewczyna usiłowała nawet pomstować, ale Tomaszewski, który bawił się coraz lepiej, zgasił ją momentalnie.

– Inna, czy wiesz, co to jest mobbing?

– Nie.

– Bo wiesz, przybywają do nas różni tacy inżynierowie, Bóg wie skąd naprawdę, a wśród nich różne takie wyzwolone kobiety. I dzięki nim kobieca prasa jest zaśmiecana obcymi wyrażeniami, którymi kobiety bardzo się przejmują. Mobbing dotyczy na przykład relacji pomiędzy szefem a pracownicą. To dobrze, że nie znasz tego pojęcia, bo mogłabyś mnie opacznie zrozumieć, teraz, kiedy zaistniała między nami zależność służbowa.

– A co to jest ten mobbing? – spytała podejrzliwie, marszcząc brwi.

– Wytłumaczę ci na przykładzie.

Tomaszewski podszedł bliżej i klepnął dziewczynę w kształtny pośladek.

– Do roboty, młoda! Klucz osiemnaście mi podaj!



Wieść o kolejnej żałobie narodowej uderzyła znienacka i z paraliżującą siłą, powodując totalne przerażenie u każdego mieszkańca Nayer. Co to za wojna, która spowodowała aż dwie żałoby w tak krótkim czasie? I czy skoro przeciwnik zadaje nam aż tak dotkliwe straty, to znaczy, że przegrywamy? Map dostępnych dla każdego oczywiście w kraju nie było. A jednak ludzie wykształceni, choć z trudem, potrafili jednak do nich dotrzeć. I ze studiowania tych map wynikała prosta prawda. Poprzednio przeciwnik zdołał zabić wodza Linh, który oblegał twierdzę Tyr. Obecnie zabito dowódcę armii oblegającej twierdzę Avahen, a ta była położona znacznie dalej na terytorium przeciwnika. Wniosek więc prosty: wygrywamy, a przynajmniej szybko posuwamy się w głąb wrogich ziem. Ale co się wydarzyło? Poprzednio zabito Linha, który był co prawda



spowinowacony z rodem panującym, ale takich jest wielu. Linh był nikim, jakimś tam watażką, który otrzymał swoje stanowisko jedynie z powodu swojego urodzenia. A teraz? Wróg zdołał zabić dowódcę armii! Jakim cudem? Przecież głównodowodzący to nie żołnierz, który wywija bagnetem na pierwszej linii atakujących wojsk. W jaki sposób wróg zdołał się przebić aż do sztabu? Samo to pytanie napełniało umysły ludzi zgrozą, a cała ceremonialna żałoba tylko umacniała to uczucie.

Ludzie gromadzili się na placach, by płacząc, lamentując i wyjąc wniebogłosy, wyrazić swoją rozpacz z powodu śmierci wielkiego bohatera. Zaprzestano pracy, produkcji i w ogóle jakiegokolwiek działalności, by móc cały swój czas poświęcić na opłakiwanie tak wielkiej straty. Donosiciele zdwoili czujność, śledząc, czy wszyscy są wystarczająco przekonujący w swym żalu, czy na pewno nikt nie usiłuje ukradkiem czegoś zjeść albo się napić, które to trywialne czynności absolutnie przecież nie licowały z powszechnym nastrojem żałoby.

Na szczęście w komendanturze zakaz jedzenia i picia obowiązywał tylko połowicznie. Nie wolno było karmić więźniów w ponurym budynku tuż obok. Natomiast pozostali musieli uczestniczyć w stypie. No niestety, trzeba było słuchać sążnistych wystąpień żałobnych, ale jedzenia i picia, w tym alkoholu, było w bród. W końcu to stypa, a nie post jakiś.

Wydawało się na początku, że Kai i Nuk przeżyją sądny dzień. Roboty zważyło się tak dużo, że zdawało się niemożliwe, żeby dwóm dziewczynom udało się zrealizować choć jej niewielką część. A jednak Agire potrafił podzielić pracę tak, że większość realizowały pomocnice do prostych poruczeń w innych częściach kuchni. W osobnej, specjalnej, przeznaczonej dla komendanta i najbliższych współpracowników, rządził już tylko i wyłącznie sam „wielki kucharz ksiązęcy” i dwie jego „siostry złodziejki”. Nikt nie miał prawa się wtrącić i nikt też nie śmiał. Kai stworzyła idealną legendę i nikt nie próbował wściubiać nosa w ich sprawy.

W Nayer panował zwyczaj, że kucharz sam podawał przygotowane przez siebie potrawy do stołu. Praca z pozoru trudna, na szczęście szybko okazało się, że Kai i Nuk same nie muszą niczego nosić. Od tego jest służba. Ich rolą było doglądać, kontrolować, dbać. A to oprócz wysłuchiwania nudnych przemówień pozwalało też słuchać rozmów pomiędzy oficerami w cywilu i zaproszonymi gośćmi, wśród których wielu

było ludzi zza gór. Wokół tych stołów dziewczyny kręciły się najchętniej, nie zapominając jednak o najważniejszym stole komendanta.

– Ty słyszałaś, słyszałaś? – gorączkowała się Kai, kiedy udało im się zaszyć w wydzielonej części kuchni. – Oni wcale nie mówią po angielsku!

– Mówią, mówią – uspokajała koleżankę Nuk.

– Owszem, w większej grupie. To znaczy jeśli większa grupa słucha, to mówią po angielsku. A jak dwóch rozmawia, to już nie.

– Nie byłam szkolona w językach ludzi zza gór. Nie wiem.

– Wygląda na to, że to wcale nie są Anglosasi! – Kai nie mogła się uspokoić. – Rozumiesz. To grupa międzynarodowa!

– Dziwne słowo.

– Ale ja wyraźnie słyszałam, jak dwóch rozmawia ze sobą w innym języku. Myślę, że język angielski jest u nich obowiązujący dla całej grupy. Żeby wszyscy się mogli porozumieć. Ale jeśli dwóch z jednego narodu rozmawia ze sobą, to łatwiej im używać ojczystego języka.

– Hej, dziewczyny! – Agire przerwał im okrzykiem zza największego gara na palenisku. – Sam tu nie dam rady!

Musiały teraz zawołać pomocnice i przypilnować, jak młode roznoszą talerzyki z przekąskami. Stypa miała przewidziany regulaminem przebieg, a każda potrawa miała swój czas podania, ściśle określony przez etykietę. Chcąc nie chcąc musiały znowu pojawić się na sali biesiadnej.

Komendant, zachwycony smakiem serwowanych przez dziewczyny potraw, paradoksalnie nie zwracał na nie uwagi. Wolał przyjmować dyskretne gratulacje i pochwały z powodu odnalezienia tak niezwykłych talentów kucharskich. Był w swoim żywiole. I gdyby nie żałobny charakter uroczystości, pewnie dałby popis swoich umiejętności, nie wiadomo, śpiewaczych czy recytatorskich. W miarę rosnącej liczby spełnianych toastów wyraźnie ciągnęło go w stronę mównicy i na pewno nie byłaby to próba kolejnego podkreślania zasług zabitego dowódcy. Na szczęście siedzący najbliżej skutecznie powstrzymywali go przed publicznym wystąpieniem w tym stanie.

Tymczasem mężczyzna, który okupował właśnie mównicę, nie był najwyraźniej nawet podchmielony. Jednostajnym, nudnym, beznamiętnym tonem opisywał wszystko, co dotyczyło tragicznych wydarzeń. Kai nadstawiła uszu, dopiero kiedy dotarł do opisu samej śmierci.

– Nasz nieodżałowany, najodważniejszy z odważnych dowódca, którego serce nigdy nie zdrząło w obliczu wroga, nie został pokonany w walce. Przeciwnik nie odważył się stanąć w polu naprzeciw niego i rozpocząć boju, patrząc mu w oczy. Nie! Tchórzliwy i podstępny wróg zadał mu obrzydliwy cios w plecy! Nasz wielki i wspaniały, nieznający trwogi wódz stanął sam jeden, w białej szacie na szczycie wzgórza, by dowodzić atakiem na tak zwaną twierdzę Avahen. Niech nikt nie sądzi, że wróg wyszedł zza murów, by stanąć do walki. Nie! O nie! Jak najpodlejszy tchórz, jak ktoś, kto nie wie, co to honor i odwaga, wróg, bojąc się podejść bliżej, strzelił do naszego wodza z ogromnej odległości.

Kai zatrzymała się jak wryta. Nie miała wielkiego pojęcia o obleganiu twierdz, ale przecież wódz chyba nie powinien pojawiać się pod wrogimi murami w zasięgu strzału. Nuk dostrzegła zaskoczenie koleżanki. Przechodząc obok, niby przypadkiem nachyliła się do jej głowy i dosłownie tchnęła w ucho:

– Chyba nasi już w Avahen. Jakiś snajper sprzątnął padalca.

Czarownica usiłowała nie uśmiechnąć się szeroko. Szybko opuściła głowę, zasłaniając twarz włosami.

– Wiadomo, z czyjzego poduszczenia nastąpił tak przeraźliwie podły i po trzykroć tchórzliwy czyn! Wiadomo nie od dzisiaj o padlinożernych podżegaczach wojennych spod znaku tak zwanego orła w koronie! Podżegaczach, którzy sami boją się wystawić tchórzliwe nosy ze swych plugawych nor, ale dostarczają broń wieprzom z tak zwanego imperium i, jak teraz widać, także z innych krajów, a potem za pomocą swojego złota szczują ich do ataku na żołnierzy wolności!

Kai złapała spojrzenie Nuk i mrugnęła do niej ledwie dostrzegalnie. Sierżant najwyraźniej miała rację. Rzeczpospolita może i jeszcze nie szczuła złotem obrońców twierdzy, ale jej macki sięgnęły nawet do Avahen. Ktoś przecież ustrzelił dupka w białej szacie, zapewne ku wielkiej uciechu żołnierzy na murach.

Dziewczyny spotkały się na zapleczu, gdzie mogły porozmawiać, dopiero po zakończeniu przeraźliwie nudnej przemowy. Nie dane im było skomentować tego, co usłyszały. Nuk miała większą sensację.

– Niesamowite, wiesz, trochę mi się rozlało z talerza na stół, kiedy obsługiwałam jednego z ludzi z za gór. I zaczęłam przeproszać, a on...

– Przyjął przeprosiny?

– To też, ale nawiązała się cicha rozmowa. Wiesz, oni tam wszyscy śmiertelnie znudzeni tą częścią oficjalną, a on mnie normalnie podrywa.

– No, niekoniecznie mu się dziwię.

– No ale, kurde, oficjalna uroczystość, żałoba, ja w strachu, żeby mi się noga na niczym nie powinęła, a on opowiada, czego to on mi nie pokaże, jak pójdziemy do pokoi gościnnych, gdzie się zatrzymał.

– Fakt. W tej sytuacji to ani mu w pysk, ani z nim pójść. Pat po prostu.

Nuk spojrzała na Kai zaskoczona. A chwilę później już mówiła dalej.

– Powiedziałam, że bardzo się martwię losem naszych wojsk pod Avahen, no bo nie wiedziałam, jak wybrnąć. A on odpowiada, że to bez znaczenia. Patrzę zdziwiona, a on mi mówi, że przecież i tak twierdza padnie i że niedługo zrzucą na twierdzę broń biologiczną.

– Co?

– Tylko powtarzam. A jego zapytałam, po co obrońcom zrzucić jakąś broń jeszcze, skoro mury dotąd niezdobyte. Zaczął się śmiać i powiedział, że ta broń sama obrońców zabije, nawet bez żołnierzy Nayer. Tak mnie ogłupił, że zapytałam, jak można coś zrzucić na twierdzę, skoro mury wyżej niż przedpole, a on na to, że z powietrza. Że mają motoro... – zabrakło jej słowa. – Motoszybo...

– Motoszybowiec – podpowiedział Agire, który właśnie przechodził obok z wielką, moką szmatą w ręku. Owijał nią kolejne rozgrzane prawie do czerwoności garnki i w tumanie pary zestawiał z ognia. – Widziałem taki – dodał z dumą. – Nawet z bliska.

– Gdzie?

– Na dworze u mojego księcia pana, job jego mać. To znaczy nie na dworze, tylko na łące za dworem. To takie coś, co furczało i jazgotało strasznie, i leciało w powietrzu. Ale tuż nad łąką przestało jazgotać nagle i osiadło na trawie leciutko.

– I jak takie coś wygląda?

Agire podszedł bliżej i na zaparowanej blasze nad rynną zmywaka zaczął kreślić palcem.

– O, takie coś. Tu ma skrzydła, takie długie, że dłuższe niż on sam. Ale nie rusza nimi jak ptak, bo to w ogóle nie jest zwierzę. W środku siedzi człowiek, w takiej malutkiej kabince, że ani ruchu nie zrobisz. A od spodu to on ma jeszcze taki karabin, co sam strzela seriami i może z powietrza wrogów razić.

Kai usiłowała sobie wyobrazić dziwną maszynę latającą na podstawie bardzo kiepskiego rysunku kucharza. Niezbyt przypominała polskie samoloty. Głównie z powodu monstrualnie długich skrzydeł.

– No i takie coś może startować w powietrze, bo ma z tyłu to terkoczące coś, jak małe łopaty od wiatraka. Ale może latać i bez tego. Jak jest na wysokości, to już nie musi wyć. Leci samo pchane wiatrem i może tak lecieć bardzo daleko i jak mówili, bardzo tanio. A to strasznie ważne, bo wszystkiego przez góry nie da rady przeciągnąć.

– Co? Co mówisz?! – Kai z trudem panowała nad twarzą, żeby nie odbiła się na niej najwyższa ekscytacja.

– No przecież to ludzie zza gór – tłumaczył cierpliwie Agire. – Więc wszystko, czego tutaj nie ma, muszą przywieźć przez góry, prawda? No i mówią, że żadne duże elementy nie wchodzi w grę. Nic wielkiego przez przełęcz nie przeciągną, bo mają tam takie szyny, co nie są zbyt wytrzymałe. I dlatego te ich żelazne okręty są takie kanciaste, bo wszystkie są jak z klocków u dziecka poskładane. Całego okrętu przecież przez góry nie przeciągną.

Niebywałe! Kai i Nuk właśnie zdobyły masę informacji wywiadowczych najwyższej wagi. Pożegnały się ze snem dzisiejszej nocy. Muszą wysłać meldunek. Czarownica przygryzła wargi. Nadawać ze środka komendy straży wroga? A czemu nie? Pod latarnią podobno najciemniej. Zresztą Wyszyńska tłumaczyła jej, że wielkiego niebezpieczeństwa nie ma, nawet jeśli ludzie zza gór prowadzą ciągły nasłuch. Ich szpiegowska radiostacja nagrywa cały meldunek na mały drucik. A dopiero potem drucik jest przewijany i zawartość nagrania jest wysyłana w eter z ogromną prędkością. Kilkanaście razy szybciej niż normalnie. Wychodzi z tego jeden pisk, który jest nagrywany na inny drucik za oceanem. A potem dopiero odtwarzany w normalnym, zrozumiałym tempie. I dlatego nawet jeśli wróg podsłuchuje, to nigdy nie ustali, skąd sygnał jest nadawany. Prawdopodobnie nigdy też nie ustali, co było wysyłane.

– No dobra – powiedziała. – Ale jak to jest z tym zrzucaniem broni? Na jakiego grzyba broń komuś zrzucić? I to jeszcze wrogowi.

– A to ja ci wyjaśnię – uśmiechnęła się Nuk. – Bo mi ten dupek usiłował powiedzieć.

– Chciał wyrzeć wrażenie. No mów.

– Broń biologiczna to po prostu pchły.

– No nie... Co oni tam w tej twierdzy, własnych pcheł nie mają?

– Może i mają. Ale te, co je zrzucą z powietrza, na straszne choroby cierpią. I jak ugryzą człowieka w twierdzy, to on też zachoruje.

Kai wzruszyła ramionami. Bogowie, co za dumny pomysł! Kto mógł wymyślić taki idiotyzm? Pchły zrzucić. Może na spadochronach? Co za debilizm? No dobrze, kazali jej na szkoleniu nie oceniać informacji wywiadowczych, to nie będzie oceniała.

– A ten motoszybowiec może dolecieć na zupełnie nieprawdopodobne odległości i spokojnie wrócić – wtrącił się Agire, chcąc się pochwalić, że też ma mnóstwo ciekawych informacji. – A z tego karabinu, co sam strzela pod spodem, można porazić tych pozał się Boże latających zwiadowców z twierdzy Avahen. Przeciw takiej maszynie te ich latawce nie podskoczą.

Niesamowite. Ilość informacji wywiadowczych, które przypadkiem zdobyły jednego popołudnia, była ogromna. Uprzedzał ją Rosenblum. Często jest tak, że o istotnych sprawach człowiek dowiaduje się przypadkiem.

– Dobrze. – Położyła uratowanemu od śmierci kucharzowi dłoń na ramieniu. – Człowieku, który wiesz wszystko. Czy mógłbyś mi jeszcze powiedzieć, gdzie mogłabym znaleźć Księgę Przejścia?

– Pewnie. – Uśmiechnął się, rozradowany faktem, że go potrzebują. – To bardzo ważna księga. Bo jeśli chce się dojść do miasta dawnych Bogów, trzeba przepędzać niesłychane rzesze ludzi przez Piekło. Ale to się nie uda. Tak już przed wielu, wielu laty ktoś usiłował robić w cesarstwie i nic. A Księga Przejścia umożliwia...

– Ja nie o to pytam – przerwała mu ochoczy wykład. – Gdzie mogłabym znaleźć choćby jeden najskromniejszy egzemplarz?

– Wszędzie. – Popatrzył na Kai zdziwiony.

– Jak to wszędzie? – Nie mogła uwierzyć. – Tu, w tej kuchni, też?

– No nie. – Wzruszył ramionami. – W kuchni to nie. Ale w tej zapomnianej przez ludzi komendzie gdzieś powinna być.

– Zaraz – włączyła się Nuk. – Dlaczego tę komendę nazywasz zapomnianą przez ludzi?

– Bo nieważna. Cywilna. – Zerknął na nią zaskoczony. – Ci tutaj od spraw politycznych są. Ktoś coś źle powiedział, nieodpowiednio lub za mało żal wyrażał podczas żałoby i takie tam tałatajstwo tu mają. – Wskazał kciukiem kierunek, gdzie stało olbrzymie więzienie. – Pomieszana ze

złodziejaskami drobnica. Prawdziwa komenda, od poważnych spraw, to jest wojskowa! – Dla podkreślenia powagi podniósł palec. – Tam to nie tylko wejść, tam zbliżyć się do murów nawet trudno. O!

– Aha, dzięki za wyjaśnienie. I naprawdę sądzisz, że Księga Przejścia może być gdzieś tutaj?

– No przecież to nie jest tajna księga! – Kucharz zaperzył się nagle. – Wszędzie jest. Na dworach książąt, w instytucjach państwa, w urzędach. Myślę, że tutejszy komendant też musi mieć swój egzemplarz. Teoretycznie codziennie powinien czytać fragmenty, a w ważnych chwilach nawet odczytywać swoim ludziom. Ale czy to robi, to zaraza jedna go wie. Mój książę, job jego mać, też nie czytał nigdy. Ale miał! Bo musiał. I ten tutaj też pewnie ma.

Kai zrozumiała, że w takim razie musi chodzić o księgę taką jak na przykład Biblia u ludzi zza gór. No, w łaźni ani przy łóżku jej nie uświadczysz, nikt też jej nie czyta, ale jak się uprzeć, to w ciągu dnia da się jeden egzemplarz gdzieś znaleźć. Tak, to jest to właśnie.

– A gdzie komendant może mieć swój egzemplarz?

Agire wzruszył ramionami.

– Pewnie u siebie w gabinecie. Po jaką zarazę miałyby to gdzieś chować?



Izaak Rosenblum siedział zasepiony za biurkiem. Poranna kawa nie smakowała, a złe myśli nie dawały spokoju. Wiadomości dostarczane przez agentów z Nayer były szokujące. Zasadniczo burzyły całe dotychczasowe pojęcie o tym świecie i zasadach jego działania. Ciekawe jednak, czy Kai nie przesadzała? Hm. Poznał ją już dość dobrze. Pewnie, że miała skłonność do typowo kobiecej przesady, ba, egzaltacji nawet. Ale chyba nie byłaby skłonna kłamać lub koloryzować, jeśli chodzi o fakty. A te były alarmujące.

Rosenblum przygryzł wargi. Dobrze, że te dwie agentki zostały wysłane. Teraz wszystko wskazuje na to, że zdecydowano się dosłownie w ostatniej chwili. Coś oświeciło nagle Tomaszewskiego i dobrze, że się uparł. Gorzej, że teraz sam zniknął. Jeszcze gorzej, że wojska lądowe zdobywają tutaj, w Negger Bank, przewagę. A w samym sztabie Wojska Polskiego kryje się obcy, wysoko postawiony agent i nikt nie ma pojęcia, kim on jest.

Rosenblum otworzył szufladę i wyjął z niej grubą kopertę, którą dostał od Tomaszewskiego. Powoli, starannie nałożył rękawiczki, białe, paradne, jedyne, jakie miał tu pod ręką. Koperty nie trzeba było rozrywać, nie została zaklejona, tylko zabezpieczona specjalną drucianą kłamrą. Rosenblum wyciągnął ze środka duży, lśniący od smarów pistolet. Taki sam jak jego służbowy. Sądząc po jakości wykonania, był to również produkt fabryki broni w Radomiu. Tyle tylko, że wyprodukowany przez kogoś samotnie i po godzinach. Nigdzie nie było ani numerów fabrycznych, ani nawet samej sztancy FB. Czysta, dziewicza spluwa, z importowaną brytyjską amunicją, co okazało się po wyjęciu magazynka i jednym spojrzeniu na kołnierz otaczający spłonkę pierwszego naboju.

Wystarczyło przebrać się w jakikolwiek inny mundur, odnaleźć Chena, strzelić z bliska kilka razy, porzucić broń i odejść. Tubylcy nie rozpoznawali Polaków po twarzach, jeśli się nie miało znaków szczególnych, a Rosenblum nie miał. Miejscowe straże dostały jasne wytyczne, mała szansa, by chciały zatrzymać oddalającego się szybkim krokiem cudzoziemca. Zresztą przecież nie strzelałby na targu. A przy zachowaniu minimum zasad ostrożności i rozsądku byłoby to morderstwo doskonałe. Nikt nie śmiałby nawet podejrzewać szefa wywiadu marynarki, a przekazany przez miejscowych pistolet nic śledczym nie powie. Pytanie tylko, czy nadszedł już czas?

Ponure rozmyślenia przerwało energiczne pukanie do drzwi.

Układ z ordynansem mieli jasny: po pierwszym pukaniu wchodzi, nie czekając na zaproszenie. Tym razem jednak młody człowiek guzdrał się strasznie. I dobrze. Rosenblum zdążył schować pistolet na powrót do koperty i zdjąć rękawiczki.

– Co tam?

– Panowie Baruch i Taner do pana komandora.

– Proś.

Rosenblum wstał i wyszedł zza biurka. Bankier Baruch, w prostej linii potomek najstarszej instytucji finansowej, jaka istniała na świecie, był człowiekiem, który zasługiwał na najwyższy szacunek. Był też chyba najbogatszym człowiekiem w imperium i skoro fatygował się osobiście, sprawa musiała być niezwyklej wagi.

Rosenblum nie znał i nigdy dotąd nie widział żadnego z gości, kiedy jednak pojawili się w jego gabinecie, od razu rozpoznał Barucha, choć ten



wcale nie wyróżniał się przesadnie eleganckim ubraniem. Ale bankier miał w sobie coś, co zjednywało mu ludzi. Sympatyczny uśmiech, brak dystansu, żadnego gestu, który zdradzałby cień namaszczenia czy powagi. Był młody i nienadęty, musiał się podobać kobietom.

Po wzajemnej prezentacji i wstępnych uprzejmościach rozsiedli się w fotelach. Z powodu pory goście odmówili koniaku, nie pogardzili jednak lodowatą wodą mineralną z dodatkiem cytryny.



– Już spieszę wyjaśnić, jaki jest powód naszej tak wczesnej wizyty – zaczął Taner. – Pozwalamy sobie niepokoić pana komandora z powodu pewnej sprawy, którą zlecił mi pan komandor Tomaszewski.

– Tak – uśmiechnął się Rosenblum. – Krzysiek bezwzględnie należy do ludzi nieprzejmujących się jakimikolwiek regułami. Proszę więc powiedzieć, w jaki sposób złamał regulamin wobec pana.

Taner roześmiał się, uderzając dłońmi we własne uda.

– Nic takiego, naprawdę. Złamał wobec mnie tylko zasadę o tajemnicy służbowej.

– Aha. A w jaki sposób?

– Powiedział mi, że w waszym sztabie działa jakiś wysoko ustawiony agent. A wiecie o tym jedynie na podstawie listu, który przy czarowniku jadącym z Banxi znalazł partyzant Shen, niejaki „Koleś” Varik.

– No tak. – Rosenblum przełknął ślinę. – Komandor Tomaszewski po prostu skreślił wszystkie punkty obowiązującego nas regulaminu i uznał za nieważne. Tak dramatycznego złamania wszelkich zasad jeszcze nie widziałem.

– Przyniosło ono jednak konkretny rezultat.

Rosenblum nachylił się w jego stronę.

– Proszę się dobrze zastanowić nad odpowiedzią na to pytanie – powiedział. – Czy wie pan, kim jest obcy agent w naszych szeregach?

– Tak – odparł Taner bez wahania. – Co nie znaczy, że podam panu jego imię.

W pomieszczeniu zapadła cisza. Słysząc było wyraźnie szum wiatraków pod sufitem i szelest poruszanych powiewem firan.

– Słucham zatem.

– Długo się z tym męczyłem. Rozwiązanie problemu w żaden sposób nie chciało mi przyjść do głowy. No i zrozumiałem, że Krzysiek chyba pokładał we mnie przesadne nadzieje.

– Chyba nie, skoro się udało.

– Taaak... – Taner potarł brodę. – Jedyńm dobrym pomysłem było to, że skoro sam jestem za głupi, żeby rozwiązać sprawę, trzeba pójść do mądrzejszego. No i przedstawiłem sprawę mojemu serdecznemu przyjacielowi, Baruchowi.

Rosenblum tylko stłumił westchnięcie. Paragraf trzysta pięćdziesiąt jeden, punkt pierwszy. Śmierć przez rozstrzelanie. Taka właśnie

regulaminowa kara groziła Tomaszewskiemu za złamanie tajemnicy wobec Tanera. A teraz, skoro w grę wchodziło grono osób, to już był wręcz spisek.

– I? – powiedział jednak. Był pragmatykiem.

– Baruch od razu znalazł rozwiązanie. Już podczas pierwszej mojej wizyty.

– Ach, przesadzasz, Taner. – Baruch rozłożył ręce. – Nie od razu odgadłem. Musiałem skonsultować się z panem doktorem Siweckim.

Rosenblum oniemiał. To już nie był nawet spisek. To było tworzenie organizacji wywrotowej!

– W jaki sposób? Przecież Siwecki jest w lesie na płaskowyżu Banxi. W ruinach odciętej od świata świątyni.

– Oj. – Baruch zrobił gest, jakby odganiał od siebie jakiegoś owada. – To wymagało rzeczywiście jakichś połączeń ze sobą różnych systemów radiostacji w różnych centralach, a nawet linii telefonicznych. Nie znam się na tym. Niemniej wszyscy ludzie, którzy dokonywali tych cudów, byli do mnie bardzo życzliwie nastawieni i chcieli skutecznie pomóc.

No tak. Baruch chciał porozmawiać z kimś, kto znajdował się na drugim końcu świata, to porozmawiał. Pieniądze mogą wszystko. Sam Rosenblum, jako szef wywiadu marynarki wojennej, korzystając z tych samych polskich urządzeń i polskiego personelu, pewnie nie byłby w stanie dokonać takiego cudu.

– I... wie pan, kim jest ten agent? – zapytał.

Baruch skinął głową.

– To czarownik, panie komandorze.

Rosenblum nie wytrzymał i zapalił papierosa. Zaschło mu w ustach, ale nie chciał ryzykować i napić się lodowatej wody, żeby nie dostać czkawki w najważniejszym momencie spotkania.

– Skąd pan to może wiedzieć?

– Wasz błąd polegał na tym, że źle zinterpretowaliście treść listu uzyskanego przez „Kolesia” Varika. Tam jest charakterystyczny fragment mówiący, że ich człowiek „sam się odkrył”. Odczytaliście to jako: odkrył swoje karty, popełnił błąd, sam się ujawnił. A to interpretacja, która zaprowadziła was na manowce. Zaczęliście szukać człowieka, któremu powinięła się noga, który zrobił coś nie tak.

– A właściwe odczytanie?

– „On sam się odkrył” znaczy: on odkrył coś u siebie, on odkrył, kim jest naprawdę.

– Odkrył, że jest czarownikiem?

– Tak właśnie.

Rosenblum zaciągnął się głęboko.

– A co na to Siwecki?

– Potwierdza taką możliwość. Powiedział mi, że tak, że przecież na waszej półkuli żyli potomkowie zakonnych wypraw przez góry. Musiały więc krążyć wśród nich geny czarowników. Nie mogły się ujawnić tam, bo u was nie ma magii. A ten oficer, potomek dawnych zakonników, przypadkiem znalazł się tutaj. Jego geny zapewne po wielu mutacjach znowu zestroiły się właściwie, i to w miejscu, gdzie mogły dać o sobie znać. I ten oficer pewnego dnia odkrył, że potrafi coś więcej niż koledzy. Że jest zupełnie inny. Że dzieją się z nim rzeczy, których nie potrafi wyjaśnić. Ani on, ani polscy lekarze, ani nikt od was. Natomiast miejscowi... przeciwnie. Powiedzieli mu, co to jest, zainteresowali się, szybko odnalazł nowych kolegów. Czy mam mówić dalej?

Rosenblum zaprzeczył ruchem głowy. Łatwo było odgadnąć, co stało się dalej. Łatwo było też dostrzec teraz niewyobrażalne wręcz konsekwencje tego faktu. I całą grozę, którą implikowały.

Baruch uprzedził niewypowiedziane pytanie.

– Gdybym zaczął wypowiadać się na temat magii, to dalece wyszedłbym poza swoje kompetencje. Nie wiem, jak odkryć czarownika. Dlatego tu moja pomoc musi się skończyć. Ale nie zostajecie sami.

– Słucham?

– Z tego, co wiem, pała do was sympatią jeden z najwybitniejszych znawców sztuki czarnoksiężskiej, jakiego zna historia. – Baruch uśmiechnął się szeroko. – Mówię o czarowniku Meredicie.

Taner zaśmiał się głośno.

– Nawet jeśli to nie wasz brat – powiedział – to pomoże wam na zasadzie: wróg mojego wroga jest moim przyjacielem.

Tym razem uśmiechnął się również Rosenblum. Żałował, że goście nie zdecydowali się na koniak. Ale nic to. Odbije sobie po ich wyjściu.

– Czy mógłbym jakoś...? – zaczął, ale Baruch znowu go wyprzedził. Był facetem niesamowicie szybkim, jeśli chodzi o myślenie.

– Zrewanżować się za przysługę? – dokończył myśl komandora. – Tak po prawdzie to przyszedłem też z własną prośbą. – Jego ton był ujmujący. – Wiem, że przybył tutaj wysoki rangą przedstawiciel firmy „Kocyan i wspólnicy”. Czy istniałaby taka możliwość, żeby zorganizować kolację z jego udziałem, na której i ja byłbym obecny?

– Ależ, proszę pana, zorganizowanie dyskretnej kolacji przez admirała Wentzla w podziękę za pańską pomoc jest naszym obowiązkiem, a lista gości leży w mojej gestii. Proszę tylko powiedzieć, jaki termin pasowałby panu najbardziej.



Ina patrzyła na wszystkie zegary i przełączniki, które miała tuż przed sobą, z niesłabnącym uczuciem przerażenia. Znała przestwór, znała powietrze. Znała być może powietrze tak dobrze jak nikt inny na świecie. I wiedziała wystarczająco dużo o tym żywiole, by znać jedyny sposób, dzięki któremu można było przeżyć w przestworzach. Metodą tą było współgranie. Poddanie się powietrzu, lot z wiatrem, wznoszenie z prądem, opadanie z tchnieniem. Jeżeli wystarczająco dobrze poznało się upodobania oraz narowy pana i władcy, który istniał wszędzie wokół, można było jak nienachalny i nieśmiały służący skorzystać z wielu darów hegemonia. Można było lecieć, poddając się jego woli, korzystać z kaprysów, jeśli odgadło się je odpowiednio wcześniej, wyczuwać zmiany i zmieniać swoje plany w zależności od tych zmian. Będąc uniżonym i czujnym sługą, można było korzystać z potęgi wiatru. Połamane za młodu kości dłoni wskazywały wszelkie skoki ciśnienia, ból oznajmiał wolę powietrznego oceanu, własne samopoczucie ostrzegało przed nadciągającym frontem.

Teraz jednak Ina patrzyła na martwe wskaźniki obcej cywilizacji. Tu nie było współgrania, nie było odgadywania woli wiatru. Większość wskaźników dotyczyła mocy silnika, sprawności przekładni, ustawień tego, co pchało cały aparat w górę i do przodu. Te wszystkie zegary wołały wręcz, że nie ma w nich żadnej woli współpracy. Wszystko ma być zmierzone, ściśle określone i podporządkowane procedurom. To, czy wznoszą się, czy opadają, pokazywał wariometr; to, czy mają wyślizg, czy naślizg, określał zakrętomierz, a gdzie są i w jakiej pozycji do otoczenia – mówił sztuczny horyzont. Odczucia kłamały, przyrządy nie! Tak brzmiało kredo obcej kultury. Nie powinienesz niczego czuć. Masz skrupulatnie

zmierzyć i zastosować się do procedury. A wiatr to wiatr – jego kierunek i prędkość mierzy się, przeliczając ciśnienie dynamiczne w kilku rurkach. I już.

Ina знаła kilkaset określeń na rodzaje wiatru. Krzysiek kilka. Dla niego właściwie to albo wiało, albo nie. Zamiast nieprawdopodobnej wprost liczby nazw rodzajów pogody mówił, że pogoda jest zła albo dobra. I tyle – barometr mówił mu więcej niż własne ciało. A teraz wychowana w zupełnie innej kulturze dziewczyna, zamiast współgrać z wiatrem, miała się wznieść w zgodzie z intencjami twórców tej obcej filozofii. Miała to zrobić na siłę, na chama, z całą mocą wyjącego silnika! Kierując się wskazaniem przyrządów. O Bogowie! Nerwowym wzrokiem po raz kolejny skakała od zegara do zegara na tablicy rozdzielczej. Ile ich jest!

Odruchowo poprawiła gogle i hełm. Źle się czuła w tym grubym i ciepłym wyposażeniu zabitego pilota. Na szczęście kombinezon nie nosił już śladów krwi. Krawiec, który go zmniejszał i przystosowywał do wymiarów dziewczyny, musiał ująć tak wiele materiału, że ubranie wyglądało jak nowe. Nad prawą klapą, gdzie znajdowało się miejsce na imię i nazwisko pilota, dowcipny Tomaszewski kazał wyszyć napis: „Inna” Ina. A na ramieniu: SIŁY POWIETRZNE – TWIERDZA AVAHEN i godło ich władcy. To, nawiasem mówiąc, wypadło bardzo ładnie. Widziała, jak inne dziewczyny pilotki, które zgromadziły się z ciekawości, chcąc zobaczyć niecodzienny start, znowu, jak za dawnych lat, patrzyły na nią z silnym odcieniem zazdrości.

– No dobra – mruknęła do siebie zlna ze strachu zimnym potem. – Procedura to procedura.

– Co? – Krzysiek stał z tyłu, od strony hangaru.

– Kontakt! – Ina trzasnęła odpowiednim przełącznikiem.

– Jest kontakt! – usłyszała w odpowiedzi. Tomaszewski szarpnął mocno tylnym śmigłem. Raz i drugi, aż coś ryknęło nagle, pojawił się siwy dym, a śmigło zaczęło się obracać.

– Zwolnić bloki!

O Bogowie! Była prawie zesrana ze strachu. To coś trzęsło się, ryczało i drżało coraz bardziej. Sama też dygotała wewnątrz i nie potrzebowała żadnego dodatkowego podskakiwania.

Dwaj mężczyźni usunęli bloczki na linkach spod kół. Tomaszewski wskoczył do kabiny, zajmując miejsce obok. Od razu zapiął i zaciągnął

pasy. Bogowie... Na co im pasy? Przecież zaraz podtoczą się na skraj tarasu, a potem runą w dół. Podobno benzyna w baku lubi w takich sytuacjach wybuchać, więc zanim umrą od ran spowodowanych roztrzaskaniem o kamienie, będą się jeszcze długo palić. I te pasy pewnie po to, żeby płonąc, nie biegali wokół i nie podpalali niczego więcej.

Ina musiała się skupić na procedurze. Taras przed hangarem nie był duży. Piętnaście metrów, jak mówił Tomaszewski. Piętnaście dużych kroków, potem przepaść. Spokojnie. Lewa dłoń na przekładni, szarpnąć do siebie, spojrzenie w górę: wielkie śmigła nad nimi zaczynały się powoli obracać. Bardzo powoli! O Bogowie, tylko piętnaście kroków przed nimi! Mamusiu kochana, po co mnie rodziłaś?!

Skład mieszanki to już Krzysiek. Sprzęgło, rotory, skok śmigieł, przekładnia główna, podobno start przypomina ruszanie samochodem na trzecim biegu. Co to jest samochód? A co znaczy trzeci bieg?! Ina była przerażona. Nie rozumiała tego ryczącego pojazdu, nie czuła go. I co gorsza, nie potrafiła znaleźć w sobie niczego, na czym mogłaby się oprzeć w tej całej sytuacji, w rozedrganiu, które paraliżowało ją coraz bardziej. Zrozpaczona rozglądała się, jakby spodziewała się znaleźć w otoczeniu, w tym tłumie, który zebrał się, żeby zobaczyć ich spektakularną katastrofę, kogoś, kto mógłby udzielić pomocy. Niestety, wśród rozpalonych przejęciem i ciekawością twarzy nie zobaczyła nikogo, kto by jej sprzyjał.

Zaraz... No przecież teraz to już przesadza. Nie ma nikogo, kto jej sprzyja? Otrzeźwiło ją. W takim razie trzeba się oprzeć na tych, którzy jej nienawidzą.

Z łatwością odnalazła twarze swoich dawnych koleżanek z dalekiego zwiadu. Najpierw była dla nich przyczyną zazdrości. Potem, kiedy okazało się, że kariera Iny jest zakończona, stała się obiektem kpin i niewybrednych dowcipów. Tak jak przedtem zazdroszczono jej talentu, tak później nikt nie darował jej żadnego upokorzenia. Szydzono z niej, okazywano pogardę. I teraz na nowo zobaczyła te twarze. Tym razem skupione, pełne nienawiści tylko dlatego, że Ina znowu stała się obiektem powszechnego zainteresowania. Że znowu zabiera im część chwały, rzeczy, która jest przecież niepodzielna i należy wyłącznie do nich.

Czy złość i nienawiść mogą być podstawą, na której można budować?

Mogą.

Ina zaczęła się śmiać.



– Co? Nerwy? – usłyszała w hełmie głos Krzyśka.

– Wprost przeciwnie. Właśnie się ich pozbyłam.

– To na co czekamy?

– Na oklaski. – Ina obciążyła przekładnię rotoru nośnego. Zerknęła do góry. Wielkie śmigła właśnie przyspieszyły.

– Chcesz oklasków? Daj im trochę jazzu! Przecież ci nuciłem.

– No to jazz!

Dziewczyna ścisnęła mocniej drążek. Szarpnęła manetką gazu i zwolniła nogami oba hamulce. Silnik zawył pełną mocą, a wtedy Ina zmieniła skok pchającego śmigła. Coś szarpnęło nimi, wiatrakowiec ruszył do przodu, rozpędzając się momentalnie. Rozbieg z piętnastu kroków błyskiem zmalął do dwóch i... Oderwali się od podłoża daleko przed przepaścią. Rotor u góry pracował na wystarczających obrotach.

Ina pamiętała, że nie może przyciągać do siebie sterującego drążka zbyt mocno, bo staną dęba i spadną. Nie może go też oddalać za bardzo, bo spadną bez stawiania dęba. Tak po prostu. Ani w lewo, ani w prawo, ma kontrolować prędkość.

Zerknęła na obce jej wciąż zegary. Prędkość, prędkość, prędkość, jest! Mierzona w węzłach, a odległość w milach, wysokość w metrach... O Bogowie! Zmniejszyła dla próby szybkość. Aparat latający zachowywał się poprawnie mimo wycia i drgań. Delikatnie w lewo. Teraz okazało się, po co jest sztuczny horyzont. Skręt był prawie niewyczuwalny przez ciało. Teraz w prawo. Nie! To nie są żadne czary! Czuła tę maszynę! Czuła ją i przez nią czuła wiatr. Musiała tylko opanować stres wywołany przez ten warkot.

Ina położyła wiatrakowiec w lekki zakręt. Zatoczyła łuk.

– Widzisz? Biją ci już brawo!

A srał ich pies! Niech ci, co zostali na lądowisku, robią sobie, co chcą! Miała ich w dupie! Bogowie! Znowu latała! I to był prawdziwy lot. Silnik z tyłu wcale nie przeszkadzał. Zaczynała się bowiem uczyć, co to jest lot, kiedy dysponuje się własną mocą.

Zakręt w prawo. Łagodnie. Wyczuwała maszynę. Co za genialna zabawka! Teraz lekko w górę. I lekko w dół. Cudownie.

No to jazz! Strzeliła nagle zakręt z przewyżką. Dosłownie zawróciła, i to błyskiem, na poprzedni kurs. Zaczęli się zbliżać do bazy i miejsca, skąd wystartowali.

– Uważaj – rozległo się w słuchawkach. – Końcówki rotorów nie mogą przekroczyć jakiegś tam prędkości. A w przypadku ostrych zakrętów przekraczają.

Krzysiek też najwyraźniej nie wiedział dokładnie, o jakie wartości chodzi. No ale w końcu co marynarz miał do lotnictwa? A Ina była pilotem z urodzenia. I właśnie czuła, jak kończy się jej bieda. Jak potrzaskane za młodu marzenia powstają z popiołów. Jak z odtrąconego byle kogo staje się znowu człowiekiem. Tyle tylko, że ktoś ją właśnie podniósł porzuconą jak niepotrzebną rzecz, otrzepał z kurzu i posadził znowu za sterami. Gogle nie pozwalały Tomaszewskiemu zobaczyć, że dziewczyna płacze.

Przeleciała tuż nad głowami ludzi zgromadzonych na tarasie startowym. Rzeczywiście wiwatowali zawzięcie. Miała ich głęboko w dupie!

– Krzysiek? Przyjmiecie mnie na pilota?

– Powiem ci tak. Na tej półkuli z maszynami nie ma problemu, ale pilotów potrzeba rozpaczliwie. Dowódcy aż wyją z braku kadr.

– To przyjmiecie mnie do polskiego wojska? Złożę wam przysięgę na wierność. Na wierność i wyłączność w lojalności. Możesz mi zaufać.

– Aż tak ci brakowało latania?

– Pomyśl sobie, jakbyś stracił w bitwie dwie nogi i rękę. Żyłbyś jako ten kaleka, zdychał sobie powolutku. Aż tu nagle przychodzi medyk i mówi: proszę, oto dla ciebie nowe nogi i nowa ręka. Tyle tylko, że te nogi są takie, że kiedy zrobisz krok, to wychodzi ich od razu sto. Bez żadnego wysiłku.

Usłyszała jego śmiech. Ina weszła w ciasny wiraż i nagle zaczęli się błyskawicznie wznosić.

– O Boże, co to jest? – Tomaszewski patrzył w zdumieniu na oszalały wariometr.

– Prąd wstępujący – wyjaśniła. – Tymi waszymi przyrządami go nie namierzycie. A ja potrafię.

– Wierzę ci. Widzę.

– Weźcie mnie do waszego lotnictwa. Krzysiek, ja naprawdę jestem pilotem natchnionym. I złożę wam przysięgę wierności.

– Jak skończysz kurs techniczny, to pewnie posadzą cię nawet na myśliwcu. Albo nie, znasz teren i tutejsze warunki. Pewnie dostaniesz samolot rozpoznawczy. – Tomaszewski zubożył mieszankę paliwową,

ustawiając parametry na długotrwały lot. – Dobra. Wejźmy na kurs. Trzeba oszczędzać paliwo.

– Mam lepszy pomysł. Już czuję tę maszynę.

– No?

– Lećmy w stronę Nayer. Na tym kursie pojawią się szybkie i zimne wiatry, które zanoszą nas do twojego Banxi. Wtedy paliwa wystarczy na pewno.

– Trochę ryzykowne.

– Nie. Uwierz mi, że pokonywałam większe odległości w ogóle bez silnika.

Znowu zaczął się śmiać.

– Rób, jak chcesz. Ufam ci.

Ina zerknęła na narysowaną wspólnie mapę, potem spojrzała na żyrokompas. Bardzo delikatnie operując drążkiem, zmieniła kurs i zaczęła się wznosić. Robiło się coraz zimniej, ale skórzane, podbite barankiem kombinezony skutecznie chroniły przed mrozem. Cudowna rzecz, której dotąd nie знаła. Tak ciężkiej odzieży leciutkie latawce nie mogłyby udźwignąć. Tam liczyło się każde źdźbło trawy bez mała.

– Powiedz mi, a przyjmujecie w ogóle do wojska miejscowych?

– Pewnie. Ludzi brakuje jak jasna cholera. A fachowców to już w ogóle jak na lekarstwo.

– I znasz kogoś, kto jest fachowcem i od razu przeszedł do służby u was?

– Znam. Melithe. Jest nawigatorem na niszczycielu. Jak się okazało, co potrafi, to już jej nie wypuścili.

– I nauczyła się waszego sposobu pływania?

– To poszło w dwie strony. Ona nauczyła się korzystać z nowoczesnych przyrządów, a oni dowiedzieli się, jakie korzyści przynosi jej nos i wyczucie.

Ina spojrzała na Tomaszewskiego i przez dłuższy czas nie odwracała głowy.

– Patrz, gdzie lecisz – zażartował, a potem przyznał: – No dobra. Tak po prawdzie nie bez znaczenia jest, że wasi biorą jakiś ułamek tego, co musielibyśmy zapłacić Polakowi. Więc wezmą cię do lotnictwa, bo na samym rozławkowym zaoszczędzą grube tysiące.

Ta argumentacja wyraźnie uspokoiła dziewczynę. Kwestie ekonomiczne przekonywały zawsze lepiej niż cokolwiek mniej racjonalnego. Już bez niepokoju zaczęła powoli i metodycznie poznawać maszynę w locie. Zgrywała wskazania zegarów z tym, co czuła bez nich. Wiatrakowiec co chwila delikatnie zmieniał wysokość, to robił lekkie zakręty, to znowu leciał po prostej.

Siedzący obok Tomaszewski domyślał się, co czuła dziewczyna. Chyba najpiękniejszy dzień w jej dość zasranym życiu. Najpierw na piedestale, potem strącona w otchłań, z której nie ma żadnego powrotu. I nagle przybywa jakiś fircyk nie wiadomo skąd i okazuje się, że otchłań ma jednak wyjście. Awaryjne. Ale jest. Przedziwna historia. A to, jaki dziewczyna ma talent, zdążył już poczuć. Biedna. Wsadzona do maszyny stworzonej według całkiem dla niej obcych pojęć i technologii, odmiennej wręcz filozofii, zaczynała ewidentnie sobie radzić. Nie była zagubionym dzieckiem. Krok po kroku badała możliwości swojej nowej zabawki i wydawała się zachwycona. On sam nie bał się już, że końcówka wirnika przekroczy jakąś tam dopuszczalną prędkość na zakręcie. Ina czuła, na co może sobie pozwolić, a na co nie. I to bez czytania instrukcji.

– Tam! – Dziewczyna nagle wyciągnęła przed siebie rękę. – Patrz!

Zerknął we wskazanym kierunku. Niestety, niczego nie było widać. Sięgnął do schowka po lornetkę.

– Czego mam szukać?

– Tam w powietrzu. Coś leci.

Lornetka wcale nie pomagała w lokalizacji celu, jeśli nie wiedziało się, gdzie on jest. Po dłuższym przeglądaniu horyzontu dostrzegł ciemny kształt.

– To nasi! – krzyknął. – Samolot.

– Nie sądzę – mruknęła.

– Zbliź się. To nasi!

Zaczął regulować ostrość. Cholerna radiostacja. Niestety, nie udało mu się nikogo wywołać. Po chwili dostrzegł za to wyraźnie smukłą konstrukcję sunącą nad horyzontem. To szybowiec? Kto mógłby tu prowadzić takie coś? I po co Wojsku Polskiemu szybowiec na tej półkuli?

Zaraz dostrzegł swój błąd. To był motoszybowiec. Wyraźnie widział lśniący krąg pchającego maszynę śmigła. Widział też dziwne zbiorniki pod skrzydłami, w pobliżu kabiny, i coś, co było podwieszane z dołu, pod

kadłubem. Szybko okazało się, co to jest, kiedy obca maszyna zrobiła zwrot, a ich samych omiotły prześliczne, błyskawicznie pojawiające się smugi.

– W górę! – wrzasnął Tomaszewski. – W górę!

– Co to jest? – Ina szarpnęła drążkiem.

– Pociski smugowe. Skurwysyn do nas strzela!

– No to my strzelajmy do niego.

– Ciekawe z czego?

Motoszybowiec przemknął głęboko pod nimi i właśnie robił zwrot, żeby zaatakować ponownie.

– Zestrzeli nas? – zapytała dziewczyna.

– Teraz już wątpię. – Tomaszewski wyraźnie się uspokajał. To nie myśliwiec ich zaatakował, tylko maszyna przystosowana do strzelania. A znając przecież częstotliwość lotów nad oceanem, nie było to strzelanie do celów ruchomych. Pewnie pilot nie miał nawet specjalnego celownika, a do tej pory walił do tego, co na ziemi. – Widzisz, wznosimy się za szybko. Po wykonaniu skrętu będzie mu nawet trudno przyjąć pozycję do strzału. A odległość w pionie rośnie z każdą chwilą.

– To po co zaczynał?

– On też był zaskoczony naszym widokiem. No i myślał, że nas spruje za pierwszym razem. Ma jakieś szybkostrzelne gówno pod spodem.

Ina sprawnie nabierała wysokości. Pilot motoszybowca rzeczywiście nie wiedział, co zrobić. Po wykonaniu zwrotu leciał lekkim zygzakiem, jakby bojąc się, że zostanie zaskoczony od tyłu.

– Nie widziałam nigdy takiego – powiedziała dziewczyna. – Ale już o nich słyszałam.

– O kim? Znaczy o czym?

– O tych maszynach. Mają je ludzie z żelaznych okrętów, którzy są sojusznikami Nayer. To coś lata jako zwiad, przynosząc nieszczęście. Czasem strzela do żołnierzy w linii, chcąc spowodować panikę na polu bitwy. Zawsze z dużej wysokości. A czasem zrzuca coś z góry. Jakiś proszek do zatrutowania wody, po którym ludzie chorują. Podobno zwiastuje też klęski i kataklizmy. Opowiadają, że po jego locie nad oblężoną twierdzą następuje plaga pcheł, a ludzi zaczyna dotykać jakaś zaraza.

– O sukinsyn. – Tomaszewski poluzował swój pas i wygiął się, grzebiąc w zasobniku bagażowym. – Aha, teraz rozumiem tego oficera, który spotkał

mnie pierwszy na polu bitwy.

– Co?

– Dziwiła go nasza maszyna z żelaza. Też sądził, że jestem sojusznikiem Nayer. Na szczęście chwilę przedtem usłaliśmy okolicę wrogimi żołnierzami i nie musiałem niczego udowadniać.

W skrzynce bagażowej Tomaszewski znalazł kilka granatów, zastanawiał się, czy można ich użyć. Uznał jednak, że to nic nie da. Wyjął więc pistolet maszynowy i kilka magazynków.

– Walczymy? – podnieciła się Ina. – Dowalmy mu!

– Spokojnie, to nie myśliwiec. Ale... ja również wolałbym, żeby ten pan nie wrócił i nie złożył meldunku na temat tego, co widział.

– Ale to on zaczął!

– A my nie mamy broni, spokojnie – tłumaczył dziewczynie. – Nie mamy szans w walce kołowej, bo wiatrakowiec zawraca topornie, a szybowcem można kręcić kółka prawie w miejscu. Jeśli zejdziemy na jego pułap i damy czas na manewr, to będzie po nas.

– To co robimy?

– Mamy ogromną przewagę w prędkości wznoszenia. Skorzystamy więc z energii kinetycznej.

– O mamó! A po ludzku?

– Pikujesz w dół, wyprowadzasz maszynę z lotu stromego, kiedy osiągniemy jego wysokość, zrównujemy się z nim na jednym pułapie, ale tylko na moment, ja strzelam, a ty znowu do góry. Zgromadzona przez nas energia kinetyczna pozwoli nam lecieć w górę jak rakietą. Rozumiesz?

– Słów w ogóle. Ale wiem, o czym mówisz – zakpiła. – Jak na sankach rozpędzisz się na zboczku w dół, to jesteś w stanie wjechać prawie do połowy następnego wzniesienia, tak?

– No mniej więcej. A my mamy jeszcze silnik.

– No to rozumiem, o co chodzi. Już?

– Zaczekaj, przypnę się bokiem. – Tomaszewski dokonywał cudów zręczności na metalowym fotelu. Musiał wystawić na zewnątrz nogi i oprzeć je na wsporniku podwozia. Ale przypięty był dobrze. – Pamiętaj, magazynek opróżniam w dwie sekundy. Na jego pułapie możesz być tylko przez moment, bo skręci i nas zestrzeli.

– Rozumiem. Już?

Skinął głową. Ina lekko odepchnęła dźwęk, pochylając gwałtownie nos maszyny. Zaczęli pikować z rosnącą szybkością. Kiedy zdławiła silnik, wycie wiatru zagłuszyło wszelkie inne dźwięki.

Ina przyciągnęła dźwęk na siebie. Wiatrakowiec zaczął wyrównywać, a potworne przeciążenie przyparło ich do foteli. Kiedy znaleźli się w odległości kilkudziesięciu metrów od motoszybowca, Tomaszewski wystrzelił długą serię w jego kierunku. Potem przycisnął spust jeszcze raz, opróżniając magazynek do końca. Dziewczyna pchnęła dźwignię gazu i zaczęli się znowu wznosić, odzyskując dużą część poprzedniej wysokości.

Tomaszewski zerknął w dół na tyle, na ile pozwalała osłona kabiny. Z tej odległości nie sposób było ocenić efekty ostrzału. Nie mogły być dotkliwe. Tamta maszyna leciała dalej, zygzakując lekko. Pilot być może w ogóle nie zauważył nawet, że do niego strzelano. W pistolecie maszynowym nie było przecież pocisków smugowych, które w powietrzu miały za zadanie ułatwić celowanie.

– Musisz podejść bliżej.

Ina kiwnęła głową.

– Rozumiem.

Weszła w łagodny zakręt, długo wybierała pozycję do startu, by po chwili runąć w dół bez żadnego ostrzeżenia. Dobrze, że Tomaszewski był przypięty. W ostatniej chwili zmienił magazynek, wyrzucając pusty na zewnątrz. Kiedy okropne przeciążenie wgniotło go bokiem w fotel, znajdowali się dosłownie kilkanaście metrów od motoszybowca. Nacisnął spust i tym razem trzymał go tak długo, aż wystrzelał wszystkie naboje. Wiatrakowiec mknął już do góry. Tym razem obcy pilot musiał albo dostać, albo przynajmniej coś zauważyć. Ewidentnie stracił nerwy. Wykonał kilka niezbornych manewrów, jakby chciał zrzucić z ogona niewidzialnego przeciwnika.

– Jeszcze raz! – krzyknął Tomaszewski. – Szybciej!

– Nie mam odpowiedniej wysokości!

– Nie szkodzi!

Runęli w dół. Ina doskonale przewidywała manewry maszyny poniżej. Tomaszewski szybko zmienił magazynek. W najniższej fazie lotu nacisnął spust, mierząc idealnie z niewielką poprawką. Pięć strzałów i stop. Zacięcie!

– Szlag! W górę!

Wyrzucił na zewnątrz nieopróżniony do końca magazynek i przeładował broń, chcąc pozbyć się niewypału. Założył nowy magazynek, przeładował raz jeszcze. Dziewczyna, pozostawiona sobie, sama podejmowała decyzje. Tym razem pikowała ze ślizgiem w bok, zupełnie zaskakując ostrzeżonego już pilota poniżej. Kiedy znaleźli się kilkanaście metrów od niego, Tomaszewski znowu wystrzelił długą serię. Motoszybowiec położył się ostro na skrzydło i runął w ich stronę, przedostając się pod wiatrakowiec.

– W górę!

Komenda była niepotrzebna. Ina doskonale czuła, jak wykorzystać energię kinetyczną i błyskawicznie zacząć się wspinać na niedosiężne dla motoszybowca wysokości.

– Dobrze! – krzyknął Tomaszewski, wymieniając magazynek. – Jak on pod ciebie, to ty w górę. Jak on od ciebie, to ty za nim.

– Wiem! Ale jazz! – Dziewczyna była najwyraźniej zachwycona całą akcją. – Jeszcze! Jeszcze! Dopierdolmy mu!

– Inna! Skąd ty znasz takie słowa?

– Ty też, kiedy się zapomnisz, klniesz strasznie! – Ina nie pozostawała dłużna. – Podejdę jeszcze bliżej!

– Czekaj, bo teraz on jest już ostrzeżony.

– To wejdę mu na ogon!

– Nie, Inna. Teraz atakujemy od słońca. Nie będzie mógł patrzeć w naszą stronę.

– Rozumiem!

– Tym razem nurkujesz za nim, zmieniasz tor lotu i mijamy go, wznosząc się. Pojawimy mu się w polu widzenia od spodu. Daj z siebie wszystko!

– Będę tak blisko, że będziesz mógł poklepać go po twarzy.

– Boże... Pamiętaj, że na górze mamy ogromny rotor!

Ina zdawała się nie słuchać. Zdążyła tak zgrać się z maszyną, że trudno było zauważyć jej ruchy przy drążku. Kilkomina ledwie dostrzegalnymi pchnięciami ustawiła maszynę na pozycji będącej osią pomiędzy słońcem a miejscem, gdzie prawdopodobnie znajdzie się przeciwnik za kilkanaście sekund. Potem bez żadnego ostrzeżenia przeszła od zwykłego lotu do pikowania ze ślizgiem. Tomaszewski zapał się jak mógł, żeby utrzymać stabilną pozycję.



Wiatrakowiec idealnie wszedł na linię ogona motoszybowca. Ina zaczęła go wyprowadzać do lotu poziomego daleko z tyłu. Nagle znaleźli się pod pułapem tamtego, w kulminacyjnym momencie „dołka” głęboko pod nim i z tyłu. Zaczęli iść w górę, błyskawicznie zbliżając się do przeciwnika od tyłu, od słońca i z dołu. Tomaszewski zrozumiał nagle, że Ina jest po prostu o całe niebo lepszym pilotem niż tamten. Bawiła się jak as myśliwski z rekrutem, który pierwszy raz siedzi za sterami. Podwiozła do celu idealnie. Kiedy znaleźli się dziesięć, dwanaście metrów od jego kabiny, Tomaszewski nacisnął spust. Przez dwie sekundy opróżnił magazynek, usiłując celować bez zgrania przyrządów, aż odległość zaczęła gwałtownie rosnać z powodu wznoszenia. Wtedy też skończyła mu się amunicja.

– Dostał!

– Gdzie? Nie widzę?

– Dostał! – krzyczała Ina. – Dostał! Dym!

Ciężko było dostrzec cokolwiek podczas ostrego wznoszenia, ale po dłuższej obserwacji Tomaszewski również zobaczył wąską, białawą strużkę dymu czy pary ciągnącą się za silnikiem motoszybowca. Smużka szybko zmieniała barwę na smolistoczną, by po chwili buchnąć większym kłębem.

– Śmigło mu się nie obraca! – krzyczała dziewczyna. Ależ miała wzrok. Tomaszewski tego nie widział. Kiedy Ina wyrównała, osiągnąwszy odpowiednią wysokość, złapał za lornetkę. Ale i ona niewiele pomogła. Odległość zwiększała się z każdą chwilą, a wiatrakowcem po prostu trzęsło. Ale i komandor miał wrażenie, że tamten pilot ustawił łopaty w chorągiewkę. Silnik musiał być poważnie uszkodzony.

– Doleci do brzegu lotem ślizgowym? – zapytał. – Jak myślisz?

– Jeśli jest pilotem natchnionym, to doleci – zakpiła. – Lepiej dla niego jednak, żeby okazał się pływakiem natchnionym. Wtedy może dopłynie.

– Zastanawiam się, czy atakować jeszcze raz.

– Szkoda paliwa. – Dziewczyna szybko oceniła sytuację. – Już po nim. Swojego zadania nie wykona.

– No to chyba wywołaliśmy wojnę między dwoma państwami. A przynajmniej miał miejsce pierwszy groźny incydent.

– To on zaczął! – ucięła. – Myśmy się tylko bronili.

Tomaszewski westchnął. Nie mieli wielkiego wpływu na bieg wydarzeń.

– Inna, podczas walki zużyliśmy sporo benzyny.

Spojrzała na niego z uśmiechem.

– Nie martw się. Odszukam silny wiatr i on nas poniesie.

Tomaszewski lubił pewne siebie kobiety. A ta tutaj przebyła dzisiaj naprawdę daleką drogę w tym zakresie. Spoglądał na Inę spod oka. Siedziała rozparta w fotelu, pewnie trzymając drążek sterowy. Czy tak wygląda kobieta szczęśliwa? Nie wiedział. Ale na pewno tak wygląda kobieta spełniona.

– Inna, powiedz mi jedną rzecz.

– No?

– Przed startem podszedł do ciebie Vaun i coś ci szepnął do ucha.

– Tak. – Potwierdziła ruchem głowy. – Tylko się nie śmieję.

– Nie będę.

– Powiedział, że Avahen i w ogóle cały mój kraj czeka już teraz tylko na cud.

– O?

– Tak. I dodał jeszcze, że tylko ja ten cud mogę sprawić.

Tomaszewski wytrzymał i zgodnie z obietnicą nawet się nie uśmiechnął. Natomiast Ina zaczęła się śmiać, ubawiona do imentu.



Czasami w ludzi wstępuje geniusz. Tak po prostu, bez żadnego ostrzeżenia, bez chwili zastanowienia, będąc postawionym przed ważnym dylematem, można odpowiedzieć genialnie. I tak właśnie stało się w przypadku Kai.

Komendant przyszedł do kuchni osobiście z samego rana, kazał budzić ludzi. To znaczy tych, którzy obsługiwali komendanturę; kucharze, którzy dbali o więźniów, od dawna byli na nogach. Sprawa musiała być ważna. Ale Kai, obudzona znienacka, nie bardzo wiedziała, gdzie się znajduje.

– Słuchaj mnie uważnie. – Komendant był bardzo przejęty. – Muszę zorganizować małą kolację dla kilku wyjątkowych gości. Kameralną, bez świadków, gdzieś na uboczu. Ale pragnę też, żeby goście poczuli się wyjątkowo uhonorowani. Na kolację musicie przyrządzić coś absolutnie wyjątkowego.

– Będzie, jak pragniesz, panie – wyjąkała wyjątkowo nieprzytomna czarownica. Co jej tam? Może obiecać, co zechce. Agire pod groźbą odesłania na front i tak da z siebie wszystko. Talent bezsprzecznie miał.

– Nie chcę jednak podawać posiłków w kantynie. Tam jest zbyt bezosobowo, nieprzytulnie i zaraz też kolacja przerodzi się w oficjalne przyjęcie.

– A gdzie chcesz tę kolację podać, panie?

– No właśnie od ciebie usiłuję się tego dowiedzieć, durna! Posiłki nie mogą być transportowane na zbyt wielką odległość, bo będą zimne. A nie mogę zorganizować spotkania zbyt blisko kuchni, bo na tym piętrze jest obskurnie. Nie mogę w oficjalnej sali audiencji, bo jest za daleko. Więc... – O mało się nie zakrztusił z irytacji. – Więc powiedz mi, gdzie możesz podać ciepłe posiłki tak, żeby – i zaczął wyliczać: – nie było za daleko od kuchni, było przytulnie i konfidencjonalnie, jednocześnie oficjalnie i prywatnie...

I tu właśnie Kai oświecił błysk geniuszu.

– Najlepiej będzie podać wszystko w twoim gabinecie, panie – powiedziała.

– Ach... – Komendant zmarszczył brwi, myśląc intensywnie, bo prostota tego rozwiązania nie przyszła mu wcześniej do głowy. – Ale czy to nie za daleko? Wszystko wystygnie po drodze.

– Nie, panie. Urządzimy obok stanowisko do podawania potraw. Wszystko będzie gorące.

– Dacie radę przygotować wszystko w ciągu jednego dnia?

– Tak, panie. Tylko poproszę o dostęp do gabinetu i żeby nam nikt nie przeszkadzał.

Komendant pokiwał głową. No tak. To będzie najlepsze rozwiązanie. Po raz kolejny pochwalił się w myślach za to, że wypatrzył te dwie kucharki i że wziął je do komendantury ze sobą. A teraz wpuści je do gabinetu i one mu tam same wszystko urządzą. Świetnie!

Kiedy wyszedł, Nuk podeszła do czarownicy.

– Taka praca agenta wywiadu to łatwizna, nie? – szepnęła jej do ucha. – Poszło ci jak z płatka.

– No. – Kai też była zadowolona. – Gabinet jest nasz przez cały dzień. I nikt nam nie będzie przeszkadzać.

– To jest robota. – Nuk zamierzała kopnięciem obudzić Agirego, ale okazało się, że on wcale nie spał. Leżał skulony ze strachu i chyba udawał

umarłego.

– Słyszałeś, co pan komendant kazał?

Kucharz potwierdził energicznym gestem.

– No to biegniemy obejrzeć gabinet, leniu. A potem ty się wszystkim zajmiesz, bo my tam chwilę spędzimy i się rozejrzemy.

Agire gramolił się ze swojego barłogu.

– Oj, siostrzyczki wy moje nierozgarnięte – pomrukiwał. – Wy pewnie myślicie, że tam jest skarbiec albo co. Że tam jest dużo cennych rzeczy, które można później ukraść.

– Ty ciągle o jednym. Wstań wreszcie i chodź z nami!

– A ja nie o złocie nawet. Wam się ciągle wydaje, że wszędzie dookoła same tajności. To tajne, tamto tajne.

– A nie jest tak?

– Jest, jest, ale nie tak, jak myślicie. Pewnie się spodziewacie, że on w gabinecie będzie miał tajne papiery albo akta, które można ukraść i sprzedać. A nie wiecie, że on może nawet pisać i czytać nie umie? On jest nieważnym cywilnym komendantem do spraw małych i nieistotnych. Jedynym jego poważnym zadaniem jest prawdopodobnie kontrolowanie prawdziwego komendanta, wojskowego, czy ten przypadkiem spisku jakiegoś nie planuje.

– Niepiśmienny komendant do kontroli ważniejszego? – zdziwiła się Nuk.

– A co? Źle pomyślane? – roześmiał się Agire. – Toż on z samych kompleksów się składa i z poczucia niższości. On pierwszy doniesie, jak tylko zauważy choć cień padający na komendanta wojskowego. On się da pokroić osobiście nawet nie za dowód, ale wręcz za najmarniejszą poszlakę przeciwko tamtemu. No i głupi, więc będzie służył wierniej niż pies.

– No, może i nie jest to źle pomyślane – przyznała Kai. – Ale jak u niego nie ma akt, to gdzie są?

– U tych, co pisać biegle potrafią. – Agire śmiał się z nich w najlepsze. – Pewnie w kancelarii zamknięte. U pisarzy.

– To i dobrze – ucięła Kai. – Bo my nie akt ani tajnych dokumentów szukamy. Chodźcie nareszcie, niezguły!

Nuk chwyciła kucharza za ubranie pod szyją i jednym szarpnięciem postawiła guzdrałę na nogi.

– Chodź.

Kai otworzyła drzwi i pierwsza wyszła na korytarz. Oczywiście, że nie chodziło jej o żadne tajne dokumenty. Ani akta ludzi, którzy zupełnie jej nie obchodzili i których prawdopodobnie nie spotka nigdy w życiu. Wcześniej jednak Agire mówił, że w gabinecie komendanta powinna być przechowywana Księga Przejścia. Księga klucz do rozwiązania zagadki. Jakim cudem dzięki zawartym w niej słowom udało się zjednoczyć cały kontynent i pchnąć w stronę miasta Bogów? Jaki cud sprawiła księga napisana przed milleniami i dlaczego dotąd jej treść nie powodowała żadnych zawirowań? Dlaczego dopiero teraz pchnęła masy ludzkie do realizacji bardzo niecodziennego celu? Kai nie mogła się doczekać, żeby zobaczyć, co zawiera. Księga fascynowała ją coraz bardziej.

Agire, wypytywany dotąd, nie umiał powiedzieć niczego konkretnego. Sam Księgi Przejścia nie czytał i nie było mu to do niczego potrzebne. A co zawiera? Znał tylko plotki. Podobno w księdze znajdowały się niepojęte rysunki, przedstawiające jakieś nieznane zwierzęta, nieistniejące rośliny. Podobno na ilustracjach przedstawiono dziwne zjawiska atmosferyczne, znaki niebios, plany gwiazdowe. Kto stworzył księgę, kucharz nie wiedział. Była, istniała od zarania, towarzyszyła najważniejszym urzędom w państwie.

Dziewczyny prawie wbiegły na piętro po szerokich kamiennych schodach. Gabinet komendanta znaleźć łatwo. Ogromne, pozbawione jakichkolwiek zdobień drzwi znajdowały się tuż za wylotem schodów. A w dodatku, gdyby ktoś jeszcze miał wątpliwości, pilnowało ich dwóch uzbrojonych strażników.

Kai podeszła do nich bez wahania.

– My z polecenia komendanta – palnęła bezczelnie, usiłując nie używać słowa „kucharki”. – Uprzedzono was?

– Tak... tak, pani. – Strażnik najwyraźniej wiedział, kim są, ale nie miał pojęcia, jakiej formy użyć, by się do nich zwracać. Do zwykłej kuchni przecież nie powinno mówić się „tak, pani”. No ale to były służące samego komendanta. No szlag!

– Będziemy tu wnosić różne rzeczy i graty z kuchni. Dopilnujcie, żeby nikt nam nie przeszkadzał. Aha, no i żeby nikt postronny tutaj nie wchodził!

To już była niesłychana bezczelność. Powiedzieć strażnikowi, żeby nikogo nie wpuszczał! Samemu wchodząc. Mężczyzna najwyraźniej nie

miał pojęcia, jak się zachować. Gotował się wewnątrz.

– Nic tam nie ruszajcie! – warknął, żeby dać im odpór.

– Jak to?! – zaperzyła się Kai. – Przecież musimy wynieść parę mebli! To my mamy urządzić kolację, a nie ty!

Nuk w ogóle zignorowała strażnika. Chwyliła okute ciemnym metalem obramowanie i napała energicznie. Nawet ona musiała użyć naprawdę dużo siły, żeby ruszyć solidne skrzydło. No tak, zrozumiała, po to stało tutaj dwóch mężczyzn. Żeby otwierać.

Weszli do środka.

Wnętrze było ogromne, ciemne, prawie pozbawione sprzętów. Najlepszym określeniem było: majestatyczne. Miało chyba olśniewać petenta czy kogokolwiek, kto przyszedł tu albo został wezwany. Urzędować jednak, w zwykłym sensie tego słowa, tutaj raczej nie było można. Żadnych dokumentów, żadnych szaf ani skrzyń. Stół pod jedną ze ścian i wielki, rzeźbiony nie fotel już, ale tron chyba pełniły wyłącznie funkcję dekoracyjną. Albo ich zadaniem było jedynie wywołanie wrażenia. Agire mógł mieć rację. Sprawy pewnie załatwiało się w kancelarii.

– No a gdzie księga? – zapytała rozczarowana wyraźnie Kai.

– Pewnie tam, gdzie jest światło, żeby ją czytać – zakpił Agire. – Na przykład pod oknem? – zabrzmiało to jak pytanie.

Pewnym krokiem przemierzył mroczne wnętrza, zmierzając w kierunku reprezentacyjnego stołu.

– O, tu? – Wskazał drewniany stojak pod ścianą.

Podszedł do okna i niezbyt umiejętnie zaczął szarpać grubą, ciężką storę, która go zasłaniała. Przyniosło to jakiś efekt, dopiero kiedy pomogła mu Nuk. Też szarpiąc z całej siły. Odsunęli zasłonę i wpuścili do środka trochę dziennego światła.

Zaintrygowana Kai podeszła do stojaka. Zobaczyła ją! Oprawiona w grubą skórę Księga Przejścia leżała na honorowym miejscu. Na specjalnej podstawce, gotowa do czytania.

– O zaraza jasna! Jest!

– No i co z tego? – Nuk wzruszyła ramionami. – Zamierzasz ją tu na miejscu całą przeczytać? Czy będziesz przepisywać pracowicie literę po literze? – Zaczęła się śmiać. – Za dwa lata skończysz. – Zerknęła na opasłe tomiszczce.

– Meredith nauczył mnie czytać całą stronę z góry do dołu, a nie z lewa na prawo po jednej linijce. I powiedział mi, jak zapamiętać najwięcej po jednym czytaniu. Śmiał się, że niepotrzebnie ślęczałam w szkole nad księgami, które on połykał sto razy szybciej i bez wysiłku.

– No to pokaż, jak to się robi! – Nuk wzięła się pod boki. Ewidentnie nie wierzyła koleżance w takie cudowne umiejętności bez użycia czarów.

Kai przełknęła ślinę i podeszła bliżej. Dotknęła skóry, w którą była oprawiona księga. Czuła, jak mimowolnie przyspiesza jej oddech. Tom zawierający jakieś zamierzchłe tajemnice, ukrytą od wieków wiedzę i treść, która poruszała narody. Trochę się denerwowała.

Po chwili jednak wzięła głębszy oddech i otworzyła księgę na pierwszej stronie.

Obserwująca ją z boku Nuk była przygotowana na kpiny, którymi zamierzała zaatakować koleżankę w kwestii błyskawicznego czytania i zapamiętywania całych tomów. Przygotowała sobie nawet dowcip: „Właśnie przeczytałam błyskawicznie Wielką Księgę Wszystkich Bogów, całe dwanaście tomów. Rzecz jest chyba o religii!” Ha, ha, ha...

Ze zdziwieniem jednak zauważyła, jak czarownicy rozszerzają się oczy. Kai bez słowa przewracała kartkę po kartce, a jej twarz tężała.

**KONIEC TOMU CZWARTEGO**





# Andrzej Ziemiański

**Porzucił prestiżową karierę naukową i zajął się pisaniem książek. Już po kilku latach zdobył uznanie pół miliona Polaków czytających *Achaję z wypiekami na twarzach*.**

Z wykształcenia jest architektem. Widzi i myśli obrazami. Podgląda, słucha i rozmawia dla przyjemności. Lubi fotografować puste miejsca. Sam jest dla siebie pracownikiem, szefem i przewodniczącym komitetu strajkowego. Nieustannie prowokuje czytelników i recenzentów swoim podejściem do sztuki pisania. Mówi, że cierpi na przymus tworzenia.

Jego bohaterowie żyją własnym życiem – sami wybierają gatunek i formę opowieści, dzięki czemu z niezrozumiałego dla siebie powodu autor otrzymał wór nagród od czytelników. Pierwsze dwa tomy *Achai* nominowane były do Nagrody im. Janusza A. Zajdla. Drugi tom otrzymał w 2004 roku nagrodę Nautilus.

Cykl *Achaja* to także jedna z najbardziej kasowych serii w polskiej literaturze. To dzięki tym książkom pisarz może realizować swoje najśmielsze egzotyczne podróże i otaczać się ulubionymi gadżetami.

Ziemiański w swoich książkach ceni kobiecość. Nawet w filigranowej postaci dostrzega siłę, która go pasjonuje. Ale to nie oznacza, że ma dla niej litość.

Pisarz ma w sobie coś z hazardzisty – ale uwaga – jeśli zaczyna grę, to żeby wygrać.



COPYRIGHT © BY Andrzej Ziemiański  
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2014  
WYDANIE I

ISBN 978-83-7964-051-5

Wszelkie prawa zastrzeżone

All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA Eryk Górski, Robert Łakuta

PROJEKT ORAZ GRAFIKA NA OKŁADCE Piotr Cieśliński

ILUSTRACJE Dominik Broniek

REDAKCJA Karolina Kacprzak

KOREKTA Magdalena Byrska

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ Dariusz Nowakowski

SPRZEDAŻ INTERNETOWA

[swiatksiazki.pl](http://swiatksiazki.pl)



ZAMÓWIENIA HURTOWE

Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o. s.k.a.  
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91  
tel./faks: 22 721 30 00  
[www.olesiejuk.pl](http://www.olesiejuk.pl), e-mail: [hurt@olesiejuk.pl](mailto:hurt@olesiejuk.pl)



fabryka słów  
WYDAWNICTWO

WYDAWNICTWO

Fabryka Słów sp. z o.o.  
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a  
tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91  
[www.fabrykaslow.com.pl](http://www.fabrykaslow.com.pl)  
e-mail: [biuro@fabrykaslow.com.pl](mailto:biuro@fabrykaslow.com.pl)

# ANDRZEJ, ZIEMIAŃSKI

Intryga, wojna i niepowtarzalny świat wykreowany przez Andrzeja Ziemiańskiego powracają!

Ponad pół miliona fanów cesarzowej Achai doczekało się siódmej odsłony kultowego uniwersum.

Świetni bohaterowie.  
Dużo akcji. Zero nudy.  
Czego chcieć więcej od fantasy?

**Jakub Winiarski,**  
Nowa Fantastyka

Jak zwykle doskonały język  
i błyskotliwe pomysły.  
Ziemiański to prawdziwy  
fachowiec fantastyki.

**Jarosław Grzędowicz,**  
autor Pana Lodowego Ogrodu

*Co czeka władcę?  
Zwycięstwo czy śmierć?  
Imperium musi trwać!  
Imperium musi trwać!*

## POCISNIAK CESARZOWEJ ACHAI TOM IV



[fabrykaslow.com.pl](http://fabrykaslow.com.pl)



Patroni medialni



[lubimyczytac.pl](http://lubimyczytac.pl)

[legarnia.pl](http://legarnia.pl)

[military.pl](http://military.pl)

[gavran.pl](http://gavran.pl)

[kawerna.pl](http://kawerna.pl)

Zobacz filmy

